



— RANSOM RIGGS —

BIBLIOTEKA DUSZ

— TRZECIA POWIEŚĆ Z SERII —

OSOBLIWY DOM
PANI PEREGRINE

MEDIA RODZINA

Ransom Riggs

Biblioteka dusz

Spis treści

Tytuł oryginału:
Library of souls

Copyright © 2015 by Ransom Riggs
All rights reserved
First published in English by Quirk Books, Philadelphia, Pennsylvania.
Copyright © 2016 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki
Doogie Horner

Fotografia na okładce dzięki uprzejmości Johna Van Noate

Opracowanie polskiej wersji okładki i wyklejki
Rafael Martins

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-265-6

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 60
mediarodzina@mediarodzina.pl
www.mediarodzina.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Elibri.

Mojej mamie



ZIEMI KRAŃCE, MÓRZ OTCHŁANIE
CZASU MROKI,
SAM SIĘ PORWAŁEŚ NA NIE.

E.M. Forster

SŁOWNICZEK OSOBLIWYCH TERMINÓW



OSOBLIWYCY

Ukryta gałąź każdego gatunku, ludzi i zwierząt, pobłogosławionych i zarazem przeklętych nadnaturalnymi cechami. Dawniej szanowani, od pewnego czasu osobliwcy budzą strach i są ofiarą prześladowań, więc żyją jak wyrzutki na obrzeżach społeczeństwa.



PĘTLA

Ograniczona przestrzeń, w której jeden dzień powtarza się bez końca. Pętle są tworzone i dogłdane przez ymbrynki, które w ten sposób chronią osobliwych podopiecznych przed niebezpieczeństwem. Pętle nieskończenie spowalniają proces starzenia się mieszkańców, co wcale nie oznacza, że są oni nieśmiertelni. Każdy „darowany” im dzień składa się na dług, który muszą spłacić, starzejąc się makabrycznie szybko podczas zbyt długiego pobytu poza pętlą.



YMBRYNKI

Władczynie osobliwości, dysponujące umiejętnością zmiany kształtu. Potrafią w dowolnej chwili przybrać formę ptaków

i manipulować czasem. Cięży na nich odpowiedzialność za ochronę osobliwych dzieci. W starym języku osobliwców słowo ymbryne (wymawiane ym-bryn) oznacza obrót albo okrażenie.



GLUCHOLCE

Niegdyś osobliwcy, obecnie potwory zlaknione dusz dawnych współbraci. Głucholce wyglądają jak zaszuszone trupy o zaskakująco muskularnych szczękach, w których kryją się potężne jężory podobne do macek. Ten rodzaj istot jest szczególnie niebezpieczny, gdyż mogą je dostrzec tylko nieliczni osobliwcy, z których jedynym znanym i żywym jest Jacob Portman. (Jego zmarły dziadek był drugim). Głucholce do niedawna nie mogły wdzierać się do pętli, lecz opanowały tę umiejętność, przez co pętla nie są już bezpieczną przystanią dla osobliwców.



UPIORY

Głucholec, który pożre odpowiednio dużo osobliwych dusz, staje się upiorem. Te stwory, widzialne dla wszystkich, pod każdym względem przypominają zwykłych ludzi, tyle tylko, że mają idealnie białe oczy bez tęczówek i źrenic. Upiory to nieprzeciętni manipulatorzy, doskonale potrafią wtapiać się w otoczenie, dzięki czemu od lat przenikają zarówno do środowisk osobliwców, jak i zwykłych ludzi. Mogą być kimkolwiek: sklepikarzem, kierowcą autobusu, twoim psychiatrą. Od dawien dawna mordują, zastraszają i porywają osobliwców, wykorzystując głucholce w roli skrytobójców. Ostatecznym celem upiorów jest zemsta na osobliwcach i przejęcie władzy nad ich światem.



ROZDZIAŁ PIERWSZY



Znajdowaliśmy się w zasięgu jęzorów potwora. Stał wpatrzony w nasze szyje, a w jego skurczonym mózgu kłębiły się mordercze fantazje. Powietrze było przesycone jego apetytem. Głucholce rodzą się głodne dusz osobliwców, a teraz miał nas przed nosem, jak dania w stołówce. Addison wielkości maleńkiej przystawki dzielnie trwał u moich stóp, z ogonem na sztorc. Emma opierała się o mnie, wciąż zbyt oszołomiona po wstrząsie, żeby wykrzesać z dłoni coś więcej niż tylko zapalczany płomycek. Za plecami mieliśmy zniszczoną budkę telefoniczną, a cała stacja metra przypominała nocny klub po ataku bombowym. Para z wysadzonych rur buchała ze świstem w upiornych kłębach, roztrzaskane ekrany zwisały smętnie pod sufitem. Wszędzie aż do torów zalegała warstwa rozbitego szkła, migając histerycznie w stroboskopowym świetle czerwonych lamp alarmowych niczym dyskotekowa kula kilkusetmetrowej średnicy. Tkwiliśmy w pułapce pomiędzy twardym murem z jednej strony a sięgającą łydek warstwą szklanych odłamków z drugiej. Dwa kroki przed nami czaił się stwór, któremu wrodzony instynkt podpowiadał, że należy nas rozczłonkować. Mimo to głucholec nawet nie drgnął. Zdawał się wrośnięty w ziemię i tylko kołysał się na piętach jak alkoholik albo lunatyk, zwieszając upiorny łeb z paszczą, w której czaילו się kłębawisko uspiionych przeze mnie węży.

To ja tego dokonałem. Ja, Jacob Portman, chłopak z zadupia na Florydzie. Dzięki mnie potwór chwilowo nas nie mordował, nie urządzał krwawej jatki rodem z mroku i dziecięcych sennych koszmarów. Zabroniłem mu tego. Stanowczo kazałem potworowi zabrać jęzor z mojej szyi. „Cofnij się” — warknąłem. „Stój” — wycedziłem w języku złożonym z dźwięków, których, jak wcześniej sądziłem, człowiek nie zdołałby z siebie wydobyć. I stał się cud — głucholec mnie posłuchał. Patrzył na mnie wyzywająco, ale jego ciało było mi posłuszne. Udało mi się zapanować nad senną zmorą, rzucić na nią zaklęcie. Tyle tylko, że to, co uspione, musi się przebudzić, a zaklęcia ustępują, zwłaszcza te rzucone przypadkowo. Czuję, że pod nieruchomą powłoką głucholec cały się gotuje.

Addison trącił mnie nosem w łydkę.

— Zjawiają się kolejne upiory — mruknął. — Czy ta bestia nas przepuści?

— Przemów do niego jeszcze raz — zasugerowała Emma nieco bełkotliwym i niewyraźnym głosem.

— Każ mu się odwalić.

Mimo starań nie mogłem znaleźć odpowiednich słów.

— Nie wiem jak — wymamrotałem.

— Przed chwilą wiedziałeś — zauważył Addison. — Mówiłeś tak, jakby opętał cię demon.

Przed chwilą słowa same cisnęły mi się na usta i czekały, aż je wypowiem, chociaż dotąd nie miałem pojęcia, że je znam. Teraz, gdy próbowałem wydobyć je z siebie ponownie, czułem się tak, jakbym musiał łowić ryby gołymi rękami. Za każdym razem, kiedy którejś dotknąłem, natychmiast mi umykała.

„Precz!” — krzyknąłem, jak się okazało, po angielsku. Głucholec nawet nie drgnął. Wyprostowałem się i patrząc w jego czarne jak atrament oczy, ponowiłem próbę.

„Wynoś się! Daj nam spokój!”

Znów po angielsku. Głucholec przechylił głowę niczym zaniepokojony pies, ale dalej stał jak słup soli.

— Poszedł sobie? — spytał Addison.

Inni nie mogli tego wiedzieć, tylko ja widziałem potwora.

— Wciąż tu tkwi — odparłem. — Nie wiem, co jest nie tak.

Poczułem się jak głupek i straciłem pewność siebie. Czyżby mój dar tak szybko zdążył zniknąć?

— Mniejsza z tym — odezwała się Emma. — Z głucholcami i tak nie da się dyskutować.

Wyciągnęła rękę, próbując rozniecić płomień, ale tylko zasyczał i zgasł. Była wyraźnie wyczerpana, więc objąłem ją mocniej w talii, żeby nie upadła.

— Oszczędzaj siły, zapaleczko — poradził jej Addison. — Na pewno się przydadzą.

— Mogę walczyć zimnymi rękami, jeśli będę musiała — oświadczyła Emma. — Najważniejsze, żebyśmy znaleźli pozostałych, zanim będzie za późno.

Nadal miałem ich przed oczami. Elegancki strój Horace’a wyglądał żałośnie. Siłaczka Bronwyn nie miała szans z uzbrojonymi upiorami. Enoch był oszołomiony po przetoczeniu się fali uderzeniowej, a Hugh wykorzystał panujący chaos i ściągnął ciężkie buty ze stóp Olive, aby uniosła się w powietrze. W ostatniej chwili jeden z upiorów zdołał złapać ją za piętę i gwałtownie ściągnąć, nim odfrunęła zbyt wysoko. Wszyscy płakali z przerażenia, pod bronią zaganiani kopniakami do wagonu. Pociąg odjechał wraz z ymbrynką, którą odnaleźliśmy niemal za cenę życia, i teraz mknął gdzieś w trzewiach Londynu, wioząc pasażerów skazanych na los gorszy od śmierci.

„Za późno” — pomyślałem.

Było za późno już wtedy, gdy żołnierze Caula przypuścili atak na lodową kryjówkę panny Wren i gdy nocą pomyliliśmy niegodziwego brata pani Peregrine z naszą ukochaną ymbrynką. Poprzysiągłem sobie jednak, że odnajdziemy i ją, i przyjaciół, bez względu na cenę, nawet jeśli mielibyśmy odbić tylko ich zwłoki albo złożyć siebie w ofierze.

Gdzieś w rozjaśnianej migotaniem ciemności znajdowała się droga ucieczki na ulicę: zwykłe drzwi, ruchome schody albo ściana, pod którą można przebiec. Tylko jak tam dotrzeć?

„Zejdź nam z drogi, do diabła!” — krzyknąłem na głucholca po raz ostatni.

Oczywiście po angielsku. Stwór zamuczał jak krowa, ale się nie ruszył. Wszystko na nic. Zabrakło odpowiednich słów.

— Plan B — zdecydowałem. — Skoro mnie nie słucha, ominiemy go. Może się nie ruszy.

— Którędy chcesz go ominąć? — zapytała Emma.

Żeby obejść głucholca szerokim łukiem, musielibyśmy przebrnąć przez sterty rozbitego szkła, którego okruchy przeorałyby nagie łydki Emmy i poharatały na strzępy łapy Addisona. Rozważyłem opcje — mógłbym przenieść psa, ale to nie rozwiązałoby problemu Emmy. Mógłbym też znaleźć odpowiednio duży kawałek szyby i wbić go w oko stwora. Wypróbowałem tę metodę w przeszłości i się sprawdziła, ale gdyby nie udało mi się zabić głucholca pierwszym pchnięciem, z pewnością ocknąłby się i nas rozszarpał. Jedyna inna droga ucieczki prowadziła przez wąski, wolny od szkła przesmyk między potworem a ścianą. Rzecz w tym, że ścieżka liczyła mniej niż pół metra szerokości i aby ją pokonać, musielibyśmy przywrzeć plecami do ściany. Obawiałem się, że przechodząc tak blisko, albo co gorsza niechcący dotykając monstrum, moglibyśmy je wyrwać z płytkiego transu i rozjuszyć. Ponieważ jednak brakowało nam skrzydeł, by przefrunąć nad głucholcem, byliśmy skazani na to rozwiązanie.

— Dasz radę przejść kawałek? — zapytałem opartą o mnie Emmę. — A przynajmniej pokuśtykać?

Wyprostowała nogi w kolanach i odsunęła rękę, chcąc sprawdzić, czy nie straci równowagi.

— Mogę pokuśtykać — odparła.

— Wobec tego zrobimy tak: prześlizgniemy się obok niego, plecami do ściany. Przejście jest ciasne, ale jeśli będziemy uważać...

Addison zrozumiał, o co mi chodzi, i wcisnął się z powrotem do budki.

— Naprawdę możemy podchodzić do niego tak blisko? — spytał.

— Pewnie nie.

— A jeśli się ocknie, kiedy będziemy...?

— Nie ocknie się — przerwałem mu z nieszczerym przekonaniem. — Wystarczy nie wykonywać gwałtownych ruchów i pod żadnym pozorem go nie dotykać.

— Jesteś teraz naszymi oczami — podkreślił Addison. — Niech optaszność nad nami czuwa.

Podniosłem długi, poręczny kawał szkła i wsunąłem do kieszeni. Bez pośpiechu przysunęliśmy się dwa kroki do ściany i przyciskając plecy do zimnych kafelków, ruszyliśmy w kierunku głucholca. Widziałem, jak wodzi za mną wzrokiem. Po kilku krokach poczuliśmy smród potwora, tak odrażający, że oczy zasły mi łzami. Addison się rozkaszał, a Emma zasłoniła nos dłonią.

— Jeszcze trochę — mruknąłem, zmuszając się do zachowania spokoju.

Wyciągnąłem z kieszeni szkło i ująłem je niczym nóż, a potem zrobiłem jeszcze jeden krok, i następny. Znajdowaliśmy się teraz na wyciągnięcie ręki od głucholca. Słyszałem, jak jego serce łomocze w piersi, z każdym naszym krokiem coraz gwałtowniej. Stwór się napinał, walcząc z całych sił o kontrolę, którą mu nieporadnie odbierałem.

„Nie ruszaj się” — wyszeptałem po angielsku. „Mam cię. Kontroluję cię. Nie ruszaj się”.

Wstrzymałem oddech, wyprostowałem się i z całych sił przywarłem do ściany, wchodząc bokiem w przesmyk pomiędzy murem a głucholcem.

„Nie ruszaj się, nie ruszaj się”.

Jeden powolny krok, drugi, trzeci. Nadal nie oddychałem, nasłuchując, jak potwór dyszy, ślini się

i świszcze. Z jego nozdrzy buchała ohydna czarna mgła. Z pewnością trawiła go niepohamowana żądza pożarcia nas żywcem, a ja równie mocno pragnąłem rzucić się biegiem przed siebie. Stłumiłem tę chęć. Ja tu rozkazywałem i nie mogłem się zachowywać jak ofiara.

„Nie ruszaj się. Nie waż się drgnąć”.

Pomyślałem, że jeszcze tylko kilka kroków, parę metrów i go minimy. Jego ramię znajdowało się o szerokość włosa od mojego.

„Nie waż się...” .

Drgnął, po czym płynnym ruchem obrócił głowę i całe ciało przodem do mnie. Zamarłem.

— Nie ruszajcie się — powiedziałem tym razem głośno.

Addison ukrył pysk między łapami, a Emma znieruchomiała, ściskając moją rękę jak w imadle.

Przygotowałem się na nieuchronne spotkanie z jęzorami i zębami potwora.

„Cofnij się, cofnij się, cofnij się”.

Znowu wszystko po angielsku.

Mijały sekundy, a my, o dziwo, nadal żyliśmy. Głucholec nawet nie drgnął — o tym, że żyje, świadczyło tylko unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej.

Na próbę zacząłem przesuwać się wzdłuż ściany, milimetr po milimetrze. Stwór wodził za mną wzrokiem, minimalnie poruszając głową, która obracała się niczym wycelowana we mnie igła magnesu. Ciało głucholca funkcjonowało w idealnej harmonii z moim, ale on sam nie poszedł za mną, nie rozwarł szczęk. Gdyby cokolwiek pokonało zakłęcie, które na niego rzuciłem, już bylibyśmy martwi.

Nie odrywał ode mnie wzroku, najwyraźniej w oczekiwaniu na rozkazy, ale nie wiedziałem, jak je wydać.

— Fałszywy alarm — oznajmiłem, a Emma odetchnęła z ulgą.

Wyśliznęliśmy się z przesmyku. Oderwałem plecy od ściany i ruszyłem przodem, niezbyt prędko, żeby Emma nadążała. Gdy od głucholca dzieliła nas spora odległość, obejrzałem się za siebie. Stwór stał nieruchomo przodem do mnie.

„Zostań” — wymamrotałem po angielsku. „Dobrze”.

* * *

Kłęby pary pozostały za nami i naszym oczom ukazały się ruchome schody, czy raczej nieruchome, bo nie działały. Wokół nich jaśniało kuszące blade światło dnia, ze świata żywych, świata dnia dzisiejszego. Ze świata, w którym miałem rodziców. Oboje byli teraz w Londynie, oddychali tym samym powietrzem co ja. Mógłbym pójść do nich piechotą.

„No cześć!” — powiedziałbym.

To się wydawało nie do pomyślenia, ale nie aż tak, jak to, co się wydarzyło niespełna pięć minut temu, kiedy wyznałem ojcu wszystko, a właściwie prawie wszystko. W telegraficznym skrócie: „Jestem taki jak

dziadek Portman. Jestem osobliwy”. Nie mogli zrozumieć, ale przynajmniej już wiedzieli. Liczyłem na to, że dzięki temu nie traktują mojej nieobecności jak zdrady. Nadal słyszałem w głowie głos ojca błagającego mnie o powrót do domu. Gdy kuśtykaliśmy w stronę światła, musiałem przewyciężyć nagle, wstydlive pragnienie, by odtrącić rękę Emmy i pobiec ku jasności. Chciałem uciec przed tą dławiącą ciemnością, odnaleźć rodziców i błagać ich o wybaczenie, a potem wpełznąć na łóżko w ich eleganckim hotelu i zasnąć.

To było nie do pomyślenia. Nie mógłbym tego zrobić. Kochałem Emmę i jej to wyznałem. Za nic bym jej nie zostawił i to nie dlatego, że byłem szlachetny, mężny albo rycerski. Po prostu bałem się, że jeśli ją opuszczę, pęknie mi serce.

Do tego pozostali jeszcze nasi biedni przyjaciele, których los wydawał się przesądzony. Musieliśmy wyruszyć za nimi. Tylko jak? Od odjazdu pociągu, do którego wsiedli, nie pojawił się następny. Byłem pewien, że po przetoczeniu się fali dźwiękowej i strzelaninie, które obróciły stację w perzynę, nic już nie przyjedzie. Innymi słowy, pozostały nam dwie możliwości, jedna gorsza od drugiej. Mogliśmy ruszyć piechotą przez tunele, z nadzieją, że nie natkniemy się już na głucholce, albo też wspiąć się po nieruchomych schodach i stawić czoło temu, co nas tam czekało, czyli zapewne zorganizowanej przez upiory obławie. Potem spróbowalibyśmy się przegrupować i ponownie ocenić sytuację.

Wiedziałem, która opcja bardziej mi odpowiada. Miałem już po dziurki w nosie ciemności, a jeszcze bardziej głucholców.

— Idziemy na górę — zakomenderowałem, kierując Emmę ku nieruchomym schodom. — Poszukamy jakiegoś bezpiecznego miejsca, żeby zaplanować następne posunięcie.

— Wykluczone! — sprzeciwiła się Emma. — Nie możemy porzucić przyjaciół. Mniejsza o to, jak ja się czuję.

— Nikogo nie porzucamy, po prostu musimy myśleć realistycznie. Jesteśmy ranni i bezbronni, a oni są już pewnie wiele kilometrów stąd. Opuścili metro i wędrują do nieznanego nam miejsca. Niby jak mamy ich znaleźć?

— Tak jak ja znalazłem was — odezwał się Addison. — Wywęszę ich. Osobliwcy roztaczają specyficzną woń, którą wywęszą tylko psy mojego autoramentu. Tak się składa, że od was bije szczególnie mocny odór, jak mniemam pogłębiony strachem i brakiem higieny...

— W takim razie musimy ruszyć za nimi! — przerwała mu Emma.

Szarpnęła mnie ze zdumiewającą siłą, ale nie zamierzałem ustąpić, więc przez chwilę zmagaliśmy się jak przy przeciąganiu liny.

— Nie, nie — zaprotestowałem. — Pociągi na pewno już nie jeżdżą, a jeśli wejdziemy do tunelu pieszo...

— Nie obchodzi mnie, że to niebezpieczne. Nie zostawię ich.

— Nie dość, że niebezpieczne, to jeszcze bezcelowe. Ich już tam nie ma.

Zabrała rękę i kuśtykając, ruszyła na tory, ale potknęła się i omal nie upadła.

„Powiedz coś” — wyszeptalem bezgłośnie do Addisona, który wyminął Emmę i stanął jej na drodze.

— Obawiam się, że Jacob ma rację — oświadczył. — Jeśli wyruszymy pieszo, zapach naszych przyjaciół zdąży zniknąć na długo, nim zdołamy ich odnaleźć. Nawet moje wybitne umiejętności mają pewne ograniczenia.

Emma popatrzyła na wlot do tunelu i ze zrozpaczoną miną przeniosła wzrok na mnie. Wyciągnąłem rękę.

— Proszę cię, chodźmy — powiedziałem. — Przecież nie składamy broni.

— Dobrze — odparła ponuro. — Niech będzie.

Kiedy jednak skierowaliśmy się z powrotem ku schodom, ktoś zawołał nas z mroku, od strony torów.

— Tutaj!

Głos brzmiał słabo, ale znajomo. Rozpoznałem rosyjski akcent człowieka-szczoryka i wyteżyłem wzrok, wpatrując się w ciemność. Po chwili z trudem dostrzegłem powyginaną sylwetkę. Leżał przy torach, unosząc rękę. W zamieszaniu oberwał kulkę, a ja zakładałem, że upiory wepchnęły go do pociągu razem z pozostałymi. Tymczasem nadal znajdował się na stacji i właśnie do nas machał.

— Siergiej! — zawołała Emma.

— Znacie go? — spytał Addison podejrzliwie.

— Był jednym z osobliwych uchodźców panny Wren — wyjaśniłem, jednocześnie nadstawiając uszu, gdyż z góry dobiegło mnie zawodzenie syren.

Czekały nas kolejne kłopoty, być może w formie rzekomej pomocy. Bałem się, że właśnie tracimy okazję do bezpiecznej ucieczki, ale nie mogliśmy zostawić przyjaciela w potrzebie.

Addison popędził do Siergieja, omijając największe sterty szkła. Emma nie protestowała, gdy ponownie wziąłem ją pod rękę i ruszyliśmy za psem. Siergiej leżał na boku, obsypany szkłem i cały we krwi. Kula musiała trafić w jeden z ważnych organów. Okulary w drucianych oprawkach się stłukły i teraz Siergiej je poprawiał, chcąc mnie lepiej widzieć.

— To cud, to cud — powtarzał chrapliwie głosem słabym jak herbata z trzeciego parzenia. — Ja słyszał, jak ty mówił językiem potwora. To cud.

— Wcale nie. — Przyklęknąłem obok niego. — Straciłem tę umiejętność. Zniknęła.

— Jeśli dar w tobie, to w tobie na zawsze.

Na górze schodów rozległ się stukot kroków i czyjś głos. Odgarnąłem szkło, żeby wsunąć rękę pod człowieka-szczoryka.

— Zabieramy cię ze sobą — zapowiedziałem.

— Zostawcie — wychrypiał. — Będzie po mnie już niedługo...

Puściłem te słowa mimo uszu i wziąłem go na rękę. Był długi jak tyczka i lekki jak piórko. Miałem wrażenie, że trzymam duże niemowlę. Kościste nogi Siergieja dyndały mi przy łokciu, a jego głowa opierała się o moje ramię.

Po schodach zbiegły dwie osoby. Obramowane bladym światłem dnia, zamarły i wyteżyły wzrok,

próbując przywyknąć do ciemności. Emma bez słowa wskazała palcem podłogę i uklękliśmy w nadziei, że to tylko przypadkowi przechodnie i że nas nie zauważą. Po chwili jednak rozległ się szum krótkofalówki, a nieznajomi zapalili latarki. Światło zaśniło na ich jaskrawych kamizelkach odblaskowych.

Niewykluczone, że zjawili się tu ratownicy medyczni, lecz równie dobrze mogły to być przebrane za nich upiory. Nie miałem pewności, dopóki obaj nie zdjęli jednocześnie panoramicznych okularów przeciwsłonecznych.

No jasne.

Jedna opcja ratunku zniknęła i pozostała nam tylko droga ucieczki po torach przez tunel. Poranieni nie mieliśmy szansy zwać upiorom, ale mogliśmy spróbować zniknąć po cichu, gdyż dotąd nie zauważyli nas na zdemolowanej stacji. Snopy światła tańczyły na betonie, kiedy wraz z Emmą wycofywałem się ku wlotowi tunelu. Gdyby tylko udało się nam zakraść do niego niepostrzeżenie...

Nagle dotarło do mnie, że przeklęty Addison stoi jak słup.

— No chodź! — syknąłem.

— Są z pogotowia ratunkowego, a ten człowiek potrzebuje pomocy — powiedział zbyt głośno.

W ułamku sekundy upiory skierowały na nas światło latarek.

— Nie ruszać się! — zagrzmiął jeden z nich i dobył pistoletu z kabury.

Drugi natychmiast sięgnął po krótkofalówkę.

Wtedy, jedna po drugiej, zdarzyły się dwie nieoczekiwane rzeczy. Najpierw, kiedy miałem zrzucić człowieka-szczyryka na tory i zanurkować za nim wraz z Emmą, w tunelu rozległo się donośne trąbienie lokomotywy i w oddali ujrzeliśmy jasne światło reflektora. Owiał nas zatechły wiatr i zrozumiałem, że pomimo zniszczeń na peronie pędzi ku nam pociąg. Nagle poczułem bolesny skurcz w brzuchu i tuż potem okazało się, że był to sygnał zapowiadający oswobodzenie się głucholca. Pędził ku nam, sadząc wielkie susy przez obłoki pary i chłoszcząc powietrze jęzorami, które wystawały z szeroko rozwartych czarnych warg.

Utknęliśmy w pułapce. Bieg do schodów nie wchodził w grę, gdyż upiory zastrzeliłyby nas albo pokiereszowały. Na torach groziło nam rozjechanie przez pociąg. Nie mieliśmy też szansy uciec w wagonie, gdyż pociąg zatrzymywałby się przez co najmniej dziesięć sekund, otworzył drzwi po kolejnych dwóch sekundach, zamknął je po następnych dziesięciu, a w tym czasie potwory zrobiłyby z nas miazgę. W tej sytuacji, jak zwykle w tarapatkach, postanowiłem zdać się na Emmę. Po jej zdesperowanej minie poznałem, że uświadamia sobie beznadziejność naszego położenia. Mimo to mocno zaciskała zęby, najwyraźniej zdecydowana nie dawać za wygraną. Dopiero kiedy ruszyła chwiejnie naprzód, wyciągając przed siebie ręce, dotarło do mnie, że przecież nie widzi głucholca. Usiłowałem powiedzieć jej o nim, chwycić ją i powstrzymać, ale nie potrafiłem wydobyć z siebie słów, a zresztą musiałbym upuścić człowieka-szczyryka, żeby ją złapać. W dodatku przy Emmie skakał Addison i czekał na upiora, podczas gdy ona bezskutecznie usiłowała rozniecić płomień. Widziałem tylko rozbłyśki iskier, które nie

przeradzały się w ogień, zupełnie jakby próbowała użyć zapalniczki bez gazu.

Upiór wybuchnął śmiechem, odciągnął kurek pistoletu i wycelował w Emmę. Głucholec pędził prosto na mnie, wyciem zagłuszając pisk hamulców pociągu za moimi plecami. Zrozumiałem, że to już koniec i że w żaden sposób nie zapobiegnę temu, co nieuchronne. W tym momencie odprężyłem się wewnętrznie i ból, który odczuwałem za każdym razem, gdy w pobliżu znajdował się głucholec, niemal zniknął. Przed sekundą ten ból był niczym przenikliwy pisk, a kiedy przycichł, odkryłem zagłuszony przez niego inny dźwięk, pomruk na obrzeżach świadomości.

Dwa słowa.

Zanurkowałem po nie, chwyciłem je oburącz i wykrzyczałem z mocą miotającego piłkę mistrza baseballu. „Bierz go” — rozkazałem w nieznanym sobie języku. Tylko dwie sylaby, które jednak skrywały głębokie znaczenie. Skutek był natychmiastowy. Głucholec zahamował, ślizgając się na posadzce, stanął jak wryty i odwrócił się na bok. Z jego otwartej paszczy wystrzelił jęzor, który sięgnął drugiej strony peronu i trzykrotnie owinął się wokół nogi upióra. Ten stracił równowagę i nacisnął spust. Kula odbiła się rykoszetem od sufitu, a ułamek sekundy później upiór poleciał do góry, rzucając się bez opamiętania i wrzeszcząc.

Emma i Addison dopiero po chwili zrozumieli, co się wydarzyło. Stali z wytrzeszczonymi oczami, drugi upiór krzyczał do krótkofalówki, a ja usłyszałem za sobą świst otwieranych drzwi pociągu.

To był odpowiedni moment.

— Biegiem!!! — krzyknąłem.

Ruszyliśmy wszyscy jednocześnie. Emma niemal się przewróciła, Addison zaplątał się jej pod nogami, a ja usiłowałem wepchnąć przez drzwi tyczkowatego, śliskiego od krwi człowieka-szczyryka. Skończyło się tak, że wylądowaliśmy na podłodze wagonu, tworząc jedno wielkie kłębowisko.

Rozległ się huk kolejnych wystrzałów, kiedy upiór na ślepo usiłował trafić głucholca. Drzwi zamknęły się do połowy, a następnie ponownie się otworzyły.

— Proszę się odsunąć od drzwi — dobiegł nas pogodny głos z nagrania.

— Stopy! — zawołała Emma, wskazując na długie nogi człowieka-szczyryka.

Czubki jego butów wystawały z wagonu, więc popęzłem bliżej i kopniakami przesunąłem stopy Siergieja. Zanim drzwi zamknęły się ponownie, minęło kilka długich sekund. W tym czasie dyndający nogami do góry upiór zdołał strzelić jeszcze kilka razy. Głucholec w końcu się znudził i gruchnął swoją ofiarą o mur, a upiór osunął się na peron i legł bez ruchu.

Drugi upiór rzucił się do wyjścia. „Bierz go” — usiłowałem powiedzieć, ale było już za późno. Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył z gwałtownym szarpnięciem.

Rozejrzałem się i odetchnąłem z ulgą, gdyż wagon był całkiem pusty. Co by o nas pomyśleli zwykli ludzie?

— Wszystko w porządku? — zapytałem Emmę.

Usiadła, oddychając ciężko, i popatrzyła na mnie z uwagą.

— W porządku — odparła. — Dzięki tobie. Naprawdę kazałeś głucholcowi to zrobić?

— Tak mi się wydaje — przyznałem, choć i mnie trudno było w to uwierzyć.

— Niesamowite — westchnęła cicho.

Nie wiedziałem, czy jest wystraszona, czy jej zaimponowałem, czy też jedno i drugie.

— Zawdzięczamy ci życie — zauważył Addison, z wdzięcznością przyciskając łeb do mojej ręki.

— Jesteś zupełnie wyjątkowy.

Człowiek-szczyryk się roześmiał, lecz na jego twarzy dostrzegłem ból.

— I widzisz? Ja mówił. To cud. — Nagle spoważniał, złapał mnie za dłoń i wcisnął w nią kawałek papieru. Zobaczyłem, że to zdjęcie. — Moja żona, moje dziecko — wyjaśnił Siergiej. — Dawno zabrane przez wroga. Jeśli znajdziesz innych, to może...

Zerknąłem na fotografię i przeżyłem wstrząs na widok kobiety z dzieckiem w objęciach. Siergiej bez wątplenia nosił to zdjęcie przy sobie od bardzo dawna. Chociaż uwiecznione osoby wyglądały całkiem sympatycznie, fotografia — czy też może negatyw — była poważnie uszkodzona, jakby ledwie przetrwała pożar. Pod wpływem wysokiej temperatury twarze uległy deformacji i wydawały się popękane. Siergiej nigdy wcześniej nie wspominał o swoich bliskich. Rozmawiał ze mną wyłącznie o utworzeniu armii osobliwców. Chciał krążyć od pętli do pętli, żeby rekrutować sprawnych niedobitków po napadach i pogromach. Nigdy nie powiedział nam, że taka armia potrzebna mu była do odzyskania rodziny.

— Ich też znajdziemy — zapewniłem go.

Obaj wiedzieliśmy, że to mało prawdopodobne, ale właśnie tych słów potrzebował Siergiej.

— Dziękuję — powiedział z ulgą.

Plama krwi, w której leżał, jeszcze się powiększyła.

— Niewiele czasu mu zostało — mruknął Addison i polizał Siergieja po twarzy.

— Mogłabym spróbować przyżegania — zasugerowała Emma.

Przysunęła się do nich, pocierając ręce. Addison dotknął nosem koszuli na brzuchu Siergieja.

— Tutaj — oznajmił. — Tu jest rana.

Emma położyła dłonie po obu stronach rany. Zrobiło mi się słabo, gdy usłyszałem skwierczenie przyżeganego ciała, więc wstałem i podszedłem do okna.

Jeszcze nie opuściliśmy stacji, co zapewne wynikało ze spowolnienia pociągu przez walające się na torach odłamki. Migające lampy alarmowe oświetlały przypadkowe fragmenty zaciemnionej stacji. Zauważyłem na wpół zagrzebane pod szkłem zwłoki upiora, a także zniszczoną budkę telefoniczną, w której doświadczyłem przełomu. Nagle wstrząsnął mną widok głucholca truchającego po peronie przy pociągu, kilka wagonów od nas. Był całkiem odprężony, jakby uprawiał jogging.

„Stój. Cofnij się” — warknąłem po angielsku. Nie myślałem jasno, przeszkadzały mi ból i jęki.



Wreszcie nabraliśmy prędkości i pociąg wjechał do tunelu. Przycisnąłem twarz do szyby i raz jeszcze spojrzałem na peron. W mroku nagle rozbłysło światło tak oślepiające jak flesz aparatu fotograficznego. Przez ułamek sekundy widziałem głucholca, który odbił się od peronu i jęzorami niczym lassem chwycił się poręczy w ostatnim wagonie.

Cud. Przekleństwo. Nie umiałem się zdecydować.

* * *

Chwyciliśmy Siergieja — ja za nogi, a Emma za ręce — i ostrożnie położyliśmy go na długiej ławce z boku, pod reklamą blatów do pizzy. Leżał tam nieprzytomny, kołysząc się miarowo w rytmie pędzącego pociągu. Nawet jeśli musiał umrzeć, to nie chcieliśmy, żeby wyzionął ducha na podłodze.

Emma zajrzała pod jego cienką koszulę.

— Krwawienie ustało — oznajmiła. — Ale on umrze, jeśli wkrótce nie trafi do szpitala.

— Tam też może umrzeć — zauważył Addison. — Zwłaszcza w szpitalu w terażniejszości. Pomyślcie tylko: ocknie się za trzy dni z zagojonym bokiem i szwankującą resztą, w wieku dwustu lat. I po ptakach.

— Niewykluczone — przyznała Emma. — Inna sprawa, że zdziwię się, jeśli za trzy dni którekolwiek z nas będzie żyło. Nie bardzo wiem, co jeszcze moglibyśmy dla niego zrobić.

Już wcześniej słyszałem, jak moi przyjaciele wspominali o śmierci poza czasem. Żaden z zamieszkujących pętle osobliwców nie miał szansy przeżyć więcej niż dwa, trzy dni poza jej obrębem, gdyż zaczynał się starzeć w przyspieszonym tempie. Tyle czasu wystarczało do odwiedzenia terażniejszości, nie można jednak było w niej pozostać. Osobliwcy podróżowali między pętlami, lecz starali się skracać te wizyty do minimum. Tylko ymbrynki oraz śmiałkowie pozostawali w terażniejszości dłużej niż kilka godzin — dla reszty konsekwencje spóźnienia były śmiertelnie poważne.

W bladożółtym świetle Emma sprawiała wrażenie chorej. Wstając, zachwiała się i uczepiła jednego ze słupków, żeby nie upaść. Wzięłem ją za rękę i posadziłem obok siebie, a wtedy, skrajnie wyczerpana,

oparła się o mnie. Oboje padaliśmy z nóg. Od wielu dni sypiałem o wiele za krótko. Brakowało nam też okazji, żeby jadać regularne posiłki, i tylko kilka razy obzarliśmy się jak świnie. Nieustannie uciekałem, czułem przerażenie i chodziłem w przeklętych butach, od których robiły mi się koszmarne bąble. Co gorsza, zawsze gdy przemawiałem w języku głucholców, odnosiłem wrażenie, że znika jakaś część mnie, której już nie odzyskam. W rezultacie czułem się zmęczony do szpiku kości, jak nigdy wcześniej. Pojawiło się we mnie nowe źródło mocy, ale nie było ono niewyczerpane. Przyszło mi do głowy, że eksploatując je, eksploatuję także samego siebie.

Postanowiłem pomartwić się tym przy innej okazji. Teraz chciałem delektować się nieczęstą chwilą spokoju, obejmować Emmę, czuć jej głowę na swoim ramieniu i tylko oddychać. Może to było samolubne z mojej strony, ale nie wspominałem o głucholcu, który gonił nasz pociąg. I tak nic nie dało się na to poradzić. Mógł nas dogonić albo nie, zabić albo nie. Byłem pewien, że dojdzie do następnej konfrontacji, i nie wiedziałem, czy zdołam znaleźć słowa, żeby powstrzymać jego jęzory.

Patrzyłem, jak Addison wskakuje na miejsce naprzeciwko nas, odblokowuje łapą okno i nieco je uchyla. Do wagonu wdarły się ogłuszający huk pociągu i ciepły fetor powietrza z tunelu. Addison usiadł z roziskrzonymi oczami i poruszając nosem, zabrał się do odczytywania informacji. Jak dla mnie, powietrze pachniało zatęchłym potem i suchą zgnilizną, ale on najwyraźniej wychwytywał bardziej finezyjne nuty, które wymagały drobiazgowej interpretacji.

— Wyczuwasz ich? — zapytałem.

Pies mnie usłyszał, ale dość długo zwlekał z odpowiedzią. Wpatrywał się w sufit, jakby usiłował dokończyć myśl.

— Wyczuwam — odparł w końcu. — Ślad jest wyraźny i treściwy.

Pędziliśmy z dużą prędkością, a jednak potrafił wychwycić pozostałości woni sprzed wielu minut, choć osobliwcy byli zamknięci w wagonie wcześniejszego pociągu. Zrobił na mnie wrażenie, o czym go poinformowałem.

— Dziękuję, ale nie mogę przypisywać sobie całej zasługi — oznajmił. — Ktoś musiał otworzyć okno w ich wagonie, inaczej zapach byłby zdecydowanie słabszy. Może panna Wren wpadła na ten pomysł, wiedząc, że będę próbował ich wytropić.

— Wiedziała, że tu jesteś? — spytałem.

— Jak nas znalazłeś? — zainteresowała się Emma.

— Chwileczkę — przerwał nam Addison ostrym tonem.

Pociąg zwalniał przed stacją, a czerń tunelu za oknami zniknęła, zastąpiona bielą kafelków. Addison wystawił nos za okno i w skupieniu zamknął oczy.

— Nie sądzę, by tutaj wysiedli, niemniej na wszelki wypadek się przygotujcie — dodał.

Emma i ja wstaliśmy, próbując jakoś osłonić człowieka-szczoryka przed wzrokiem pasażerów na peronie. Zorientowałem się z ulgą, że na stacji nie ma zbyt wielu osób. Właściwie dziwne było, że w ogóle ktoś tam był i że pociągi kursowały jakby nigdy nic. Jak podejrzewałem, upiory zadbały o to

w nadziei, że połkniemy haczyk, wskoczmy do pociągu i łatwiej będzie nas wyłapać. Z całą pewnością wyróżnialibyśmy się w tłumie współczesnych londyńskich podróżnych.

— Postarajcie się wyglądać zwyczajnie — mruknąłem. — Jakbyście byli stąd.

To chyba rozbawiło Emmę, bo omal nie parsknęła śmiechem. Pewnie dlatego, że przecież nie byliśmy z żadnego konkretnego miejsca, a już na pewno nie stąd.

Pociąg stanął, a drzwi się rozsunęły. Addison mocno pociągnął nosem, kiedy do wagonu weszła myszowata kobieta w marynarskim płaszczu. Na nasz widok szeroko otworzyła usta, a następnie odwróciła się i pospiesznie wymaszerowała z powrotem na peron. Trudno się było dziwić, że nie chciała mieć do czynienia z bandą brudnych i dziwacznych obdartusów w poplamionych krwią szmatach. Pewnie uznała, że biedak, który leżał obok, dopiero co zginął z naszej ręki.

— Wyglądaj zwyczajnie — zachichotała złośliwie Emma.

Addison cofnął pysk zza okna.

— Jesteśmy na dobrym tropie — obwieścił. — Panna Wren i pozostali z całą pewnością minęli to miejsce.

— Nie wysiedli tutaj? — upewniłem się.

— Nie sądzę. Jeśli jednak nie wyczuję ich na następnej stacji, będzie to oznaczało, że pojechaliśmy za daleko.

Rozległ się trzask zasuwanych drzwi i elektryczny pociąg z wyciem ruszył. Właśnie miałem zasugerować zmianę ubrań, kiedy Emma drgnęła, jakby coś jej się przypomniało.

— Addison? — Popatrzyła na psa. — Co się stało z Fioną i Claire?

Na wzmiankę o nich poczułem, że robi mi się słabo z przejęcia. Ostatni raz widzieliśmy je w menażerii panny Wren, gdzie Flora została z osłabioną Claire. Caul twierdził, że napadł na menażerę i pojmał dziewczyny, ale nie był wiarygodny, bo wmawiał nam również, że Addison nie żyje.

— Ach — westchnął Addison i z powagą pokiwał głową. — Obawiam się, że mam złe wieści. Cóż, przyznaję, trochę liczyłem na to, że nie zapytacie.

— Mów — zażądała pobladła nagle Emma.

— Naturalnie. Niedługo po tym, jak wyruszyliście, napadła na nas banda upiorów. Oberwały od nas armagedońskimi jajami, a potem się rozproszyliśmy, żeby znaleźć sobie kryjówki. Większa dziewczyna, ta rozczochrana...

— Fiona — odpowiedziałem z mocno dudniącym sercem.

— Wykorzystała swój dar, żeby nas ukryć wśród drzew i pod świeżo wyrosniętymi zaroślami. Byliśmy tak dobrze zamaskowani, że upiory musiałyby wyławiać nas po całych dniach, ale używając gazu, wypędziły nas na otwartą przestrzeń.

— Gaz! — wzdrygnęła się Emma. — Dranie obiecywali, że więcej go nie wykorzystają.

— Ewidentnie kłamali — podsumował Addison.

W jednym z albumów pani Peregrine widziałem zdjęcie przedstawiające taki atak. Upiory

w przerażających maskach z puszkami filtrującymi powietrze stały jakby nigdy nic, wypuszczając w powietrze chmury trującego gazu. Chociaż wyziewy nie były zabójcze, wywoływały potwornie bolesne pieczenie płuc i gardła, a do tego krążyły plotki, że kontakt z gazem uniemożliwia ymbrynkom powrót do ludzkiej postaci.

— Po złapaniu przesłuchano nas w kwestii miejsca pobytu panny Wren — ciągnął Addison. — Upiory przetrząsnęły jej wieżę od góry do dołu w poszukiwaniu map, dzienników i kto tam wie czego jeszcze. Kiedy biedna Deirdre usiłowała ich powstrzymać, upiory ją zastrzeliły.

Oczami wyobraźni ujrzałem pociągły pysk niezdarnej, lecz uroczej emurafy o rzadko rozstawionych zębach, i ścisnął mi się żołądek. Jak można było zabić takie stworzenie?

— Boże, to straszne — westchnąłem.

— Straszne — przyznała Emma zdawkowo. — A co z dziewczynami?

— Młodszą złapały upiory — wyjaśnił Addison. — Co do tej drugiej... Cóż, doszło do potyczki z grupą żołnierzy, blisko krawędzi urwiska, no i dziewczyna spadła.

Zamrugąłem z niedowierzaniem.

— Co takiego? — Pociemniało mi przed oczami i dopiero po chwili doszedłem do siebie.

Emma zeszywniała, lecz nie potrafiłem niczego wyczytać z jej twarzy.

— Jak to: spadła? — spytała. — Z jakiej wysokości?

— To była stroma przepaść, wysoka na co najmniej trzysta metrów. — Mięiste policzki psa wyraźnie obwisły. — Ogromnie mi przykro.

Usiadłem ciężko. Emma nadal stała, a kostki jej rąk ściskających drążek pobielały.

— Nie — oświadczyła stanowczo. — Nie wierzę. Może podczas upadku chwyciła się jakiejś gałęzi albo występu skalnego...



Addison nie odrywał wzroku od upstrzonej rozdeptanymi gumami podłogi.

— Możliwe — powiedział.

— Albo drzewa w dole zamortyzowały upadek, gdy spadła w nie jak w sieć. Przecież potrafi rozmawiać z roślinami.

— Tak — westchnął. — Zawsze można mieć nadzieję.

Usiłowałem sobie wyobrazić upadek z dużej wysokości na ostre szpilki sosny i uznałem, że marna to amortyzacja. Promyk nadziei, którą zdołała w sobie wykrzesać Emma, zgasł. Nogi ugięły się pod nią,

puściła drążek i opadła na miejsce obok mnie. Popatrzyła na Addisona wilgotnymi oczami.

— Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki — odezwała się.

— I nawzajem. — Skinął głową.

— Nie doszłoby do tych okropieństw, gdyby była tutaj pani Peregrine — szepnęła Emma, a następnie w milczeniu zwiesiła głowę i zalała się łzami.

Chciałem otoczyć ją ramieniem, ale przeszło mi przez myśl, że nie powinienem się jej teraz narzucać i przerywać czegoś, co pragnęła przeżyć sama, więc tylko gapiłem się na swoje dłonie, podczas gdy Emma opłakiwała utraconą przyjaciółkę. Addison się odwrócił, zapewne przez szacunek, ale i dlatego, że pociąg wjeżdżał na następną stację.

Drzwi się rozsunęły. Pies wystawił głowę przez okno, powęszył przez chwilę, warknął na kogoś, kto usiłował wejść do naszego wagonu, po czym schował łeb z powrotem do środka. Zanim drzwi się zamknęły, Emma uniosła głowę i otarła łzy.

Uścisnąłem jej dłoń.

— Dobrze się czujesz? — spytałem, żałując, że nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy.

— Muszę, nie mam wyjścia — odparła. — Żeby pomóc tym, którzy nadal żyją.

Niektórzy mogliby uznać, że jest nieczuła, ja jednak znałem ją dostatecznie dobrze, by to rozumieć. Urodziła się z sercem wielkości Francji, a nieliczni szczęśliwcy, których kochała, mieli je w całości dla siebie. Rzecz w tym, że taka wrażliwość bywała niebezpieczna. Gdyby Emma pozwoliła sobie na odczuwanie wszystkiego, stałaby się wrakiem człowieka i właśnie dlatego musiała poskramiać serce, uciszać je i hamować. Gromadziła najgorsze cierpienia na wyspie, która szybko się nimi zapełniała i na której Emma zamierzała pewnego dnia zamieszkać.

— Mów dalej — zachęciła Addisona. — Co się stało z Claire?

— Upiory z nią odmaszerowały. Zakneblowały jej usta, jedno i drugie, a potem cisnęły ją do worka.

— Ale żyje? — upewniłem się.

— I nieźle się miewa, o ile nic się nie zmieniło od wczorajszego południa. Wtedy pochowaliśmy Deirdre na naszym cmentarzyku. Potem pogałem do Londynu, żeby znaleźć pannę Wren i ostrzec was wszystkich. Jeden z jej gołębi doprowadził mnie do kryjówki i z zadowoleniem przekonałem się, że dotarliście tam przede mną. Niestety, upiory również. Oblężenie już się rozpoczęło, więc mogłem tylko bezradnie patrzeć, jak szturmują budynek i... Cóż, resztę już znacie. Podążyłem za wami, gdy prowadzono was do metra. Potem przez stację przetoczyła się fala dźwiękowa i uznałem, że to dobry moment, aby wam pomóc.

— Bardzo ci dziękujemy — powiedziałem, uświadomiwszy sobie, że jeszcze tego nie zrobiłem.

— Gdybyś nas nie odciągnął...

— No tak, cóż... Nie ma sensu rozważać hipotecznych nieprzyjemności — odrzekł. — Mam jednak nadzieję, że w rewanżu za moje męstwo zechcecie mi pomóc w ratowaniu panny Wren z rąk upiorów, nawet jeśli wydaje się wam to skazane na niepowodzenie. Powiem tylko, że ona jest dla mnie wszystkim.

Addison chciał uwolnić pannę Wren, a nie nas, lecz pomógł nam, gdyż to było łatwiejsze. Znajdowaliśmy się dalej od pociągu, więc w okamgnieniu podjął decyzję i osiągnął to, co mógł.

— Naturalnie, że pomożemy — oświadczyłem. — Przecież właśnie to robimy, prawda?

— Tak, tak — przyznał. — Musicie jednak sobie uświadomić, że jako ymbrynka, panna Wren jest bardziej cenna dla upiórów niż osobliwe dzieci. Z tego względu zapewne trudniej będzie ją wyzwolić. Obawiam się, że jeśli jakimś cudem dopisze nam szczęście i uratujemy waszych przyjaciół...

— Zaraz, zaraz — warknąłem. — Kto powiedział, że panna Wren jest bardziej...

— Addison ma słuszość — przerwała mi Emma. — Bez dwóch zdań będzie starannie ukryta i lepiej pilnowana. Ale i tak jej nie zostawimy. Już nigdy nikogo nie zostawimy. Masz na to nasze słowo osobliwców.

Pies wydawał się usatysfakcjonowany.

— Dziękuję — powiedział, po czym zwiesił uszy i wskoczył na miejsce, żeby obserwować przez okno, jak pociąg wtacza się na kolejną stację. — Schowajcie się — mruknął i pochylił łeb. — Wróg w pobliżu.

* * *

Upiory już na nas czekały. Dostrzegłem dwa przebrane za policjantów, które tkwiły na peronie w otoczeniu gromady pasażerów. Z uwagą przyglądały się wagonom, gdy nasz skład wjeżdżał na stację. Padliśmy na podłogę pod oknami w nadziei, że się ukryjemy, ale wiedziałem, że i tak nas znajdą. Upiór z radiotelefonem powiadomił pozostałe i teraz na pewno wszystkie wiedziały, że jesteśmy w tym pociągu. Wystarczyło tylko go przeszukać.

Pociąg się zatrzymał i ludzie zaczęli go zapełniać, omijając jednak nasz wagon. Dość ryzykownie wyjrzałem przez otwarte drzwi i zobaczyłem upióra, który pospiesznie zmierzał prosto ku nam, zaglądając do każdego mijanego wagonu.

— Jeden z nich tu idzie — wymamrotałem. — Jak tam twój ogień, Em?

— Ledwie, ledwie — odparła.

Upiór się zbliżał. Był w odległości czterech wagonów. Trzech.

— W takim razie szykujcie się do ucieczki.

Gdy był dwa wagony dalej, rozległ się głos z nagrania:

— Uwaga, drzwi się zamykają.

— Zatrzymać pociąg! — krzyknął upiór, ale drzwi już się zasuwały.

Wetknął rękę między zaciskające się skrzydła drzwi, które natychmiast się rozsunęły, i upiór wszedł do sąsiedniego wagonu.

Skierowałem wzrok na drzwi łącznikowe i zauważyłem na nich łańcuch. „Dzięki Bogu” — pomyślałem. Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Przełożyliśmy człowieka-szczoryka na podłogę tak,

żeby upiór nie mógł go zauważyć z wagonu obok, i przykucnęliśmy.

— Co teraz? — wyszeptała Emma. — Gdy pociąg znowu się zatrzyma, upiór tutaj przyjdzie i nas zobaczy.

— Czy mamy absolutną pewność, że to upiór? — spytał Addison.

— Czy koty rosną na drzewach? — burknęła Emma.

— Nie w tej części świata.

— Więc to oczywiste, że nie mamy. Ale kiedy w grę wchodzi upiory, obowiązuje stara zasada: jeśli nie masz pewności, zakładaj najgorsze.

— W porządku — wtrąciłem. — W takim razie, gdy tylko otworzą się drzwi, biegniemy do wyjścia.

Addison westchnął ciężko.

— Ciągłe tylko uciekamy — oznajmił z pogardą, jakby był smakoszem i ktoś poczęstował go plastrem sflaczałego amerykańskiego sera. — Jakieś to takie bez wyobraźni. Nie mogliśmy się wymknąć, wtopić w otoczenie? Przydałaby się odrobina finezji. Przy minimalnym wysiłku po prostu niepostrzeżenie oddalimy się z godnością.

— Nikt nie lubi uciekać — odparłem. — Ale Emma i ja wyglądamy jak dziewiętnastowieczni mordercy, których ulubionym narzędziem zbrodni są siekiery, a ty jesteś psem w okularach. Po prostu rzucamy się w oczy.

— Dopóki nie wyprodukują soczewek kontaktowych dla psów, jestem skazany na okulary — burknął Addison.

— Kiedy akurat przydałby się głucholec, to go nie ma — zauważyła Emma ni z tego, ni z owego.

— Jeśli mamy szczęście, rozjechał go pociąg — oświadczyłem. — A właściwie o co ci chodzi?

— Wcześniej się przydał.

— A jeszcze wcześniej omal nas nie pozabijał, i to dwukrotnie. Nie, trzykrotnie! Jakimś cudem, całkiem przypadkowo udało mi się nad nim zapanować. Jeśli następnym razem się nie uda, będzie po nas.

Emma w milczeniu przypatrywała mi się przez chwilę, a potem chwyciła moją umorusaną rękę i dwukrotnie ją ucałowała.

— A to z jakiej okazji? — spytałem zaskoczony.

— Nie masz pojęcia, prawda?

— O czym?

— O tym, jaki jesteś cudowny.

Addison jęknął.

— Masz niesamowity dar — szepnęła Emma. — Jestem pewna, że potrzebujesz tylko odrobiny ćwiczeń.

— Może i tak. Tyle że ćwiczenia zwykle na początku wiążą się z błędami, a moje niepowodzenia ludzie przypłacają życiem.

— Nic tak nie mobilizuje jak odrobina presji — oznajmiła, ściskając mnie za rękę.

Na próżno usiłowałem zmusić się do uśmiechu. Na myśl o tym, ile szkód mógłbym narobić, zabołało mnie serce. Czułem się tak, jakbym trzymał w rękach naładowany pistolet i nie umiał z niego skorzystać. Nie miałem nawet pojęcia, jak wycelować. W takiej sytuacji lepiej odłożyć broń, niż czekać, aż wybuchnie ci w dłoniach.

Na drugim końcu wagonu coś szcęknęło i zobaczyliśmy, jak otwierają się niezabezpieczone łańcuchem drzwi łącznikowe. Na progu pojawiło się dwoje ubranych w skóry nastolatków, chłopak i dziewczyna. Ze śmiechem podawali sobie zapalonego papierosa.

— Wpakujemy się w kłopoty! — zauważyła dziewczyna, całując chłopaka w szyję.

Chłopak odgarnął znad oczu lalusiowaty kosmyk włosów.

— Robię to na okrągło, skarbie — odparł.

Na nasz widok zamarł i uniósł brwi. Drzwi za jego plecami zatrzęsły się z hukiem.

— Cześć — powiedziałem od niechcienia, jakbyśmy nie kucali na podłodze przy zalanym krwią umierającym człowieku. — Co tam?

„Tylko bez paniki” — pomyślałem. „Nie zdradz się”.

Chłopak zmarszczył czoło.

— Czy wy...? — Zawiesił głos.

— To tylko kostiumy — odparłem. — Trochę przesadziliśmy ze sztuczną krwią.

— Aha — mruknął chłopak kompletnie bez przekonania.

Dziewczyna wpatrywała się w człowieka-szczoryka.

— Czy on...? — zaczęła.

— Jest pijany — wyjaśniła Emma. — Zalany w trupa. Dlatego zapaprał podłogę całą naszą sztuczną krwią. Siebie zresztą też.

— I nas — dodał Addison.

Młodzi ludzie gwałtownie obrócili ku niemu głowy, robiąc jeszcze większe oczy.

— Ucisz się, matołku — wymamrotała Emma.

Chłopak wskazał ręką psa.

— Czy on przed chwilą...? — spytał niepewnie.

Addison wypowiedział tylko dwa słowa. Mogliśmy udawać, że to złudzenie związane z pogłosem, coś innego, niż się wydaje, ale Addison uniósł się dumą i postanowił nie udawać głupka.

— Ależ skąd — zaprzeczył, unosząc pysk. — Psy nie mówią po angielsku. Nie władają żadnym ludzkim językiem, z jednym zasadniczym wyjątkiem. Potrafią porozumiewać się po luksembursku, który jest zrozumiały wyłącznie dla bankowców i Luksemburczyków, a tym samym właściwie zupełnie bezużyteczny. Chodzi o to, że zjedliście coś niestrawnego i śni wam się koszmar, nic ponadto. A teraz bądźcie łaskawi natychmiast się rozebrać, gdyż moi przyjaciele muszą pożyczyć od was odzież.

Poblady i roztrzęsiony chłopak zabrał się do ściągania z siebie skórzanej kurtki, ale zdołał tylko oswobodzić się z jednego rękawa, gdy ugięły się pod nim nogi i nieprzytomny osunął się na podłogę.

Wtedy dziewczyna zaczęła wrzeszczeć, długo i nieprzerwanie.

Upiór w sąsiednim wagonie natychmiast załomotał do zablokowanych łańcuchem drzwi. Jego puste oczy pałały żądzą mordy.

— Tyle tytułem wymykania się — westchnąłem.

Addison skierował wzrok na stwora za drzwiami.

— Z całą pewnością upiór — orzekł i pokiwał głową niczym mędrzec.

— Cieszę się ogromnie, że udało nam się ostatecznie wyjaśnić tę tajemnicę — burknęła Emma.

Pociągiem szarpnęło i zapiszczały hamulce, co oznaczało, że wjeżdżamy na stację. Pomogłem Emmie wstać, szykując się do ucieczki.

— Co z Siergiejem? — zapytała i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

Wiedziałem, że trudno będzie umknąć dwóm upiorom, zwłaszcza że Emma jeszcze nie doszła do siebie. Gdybym niósł człowieka-szczoryka, nie mielibyśmy szans.

— Musimy go zostawić — odparłem. — Ludzie go znajdą i wezwą lekarza. To jedyna szansa dla Siergieja... i dla nas.

Zdziwiłem się, że Emma przyznała mi rację.

— Sam pewnie by tego chciał — powiedziała i szybko podeszła do Siergieja. — Wybacz, że nie zabierzmy cię ze sobą. Jestem pewna, że jeszcze się spotkamy.

— W innym życiu — wychrypiał i lekko uniósł powieki. — W Abatonie.

Nadal słyszeliśmy jego tajemnicze słowa i wrzaski dziewczyny, kiedy pociąg się zatrzymywał, a drzwi otwierały.

* * *

Nie wykazaliśmy się ani sprytem, ani zręcznością. Gdy tylko drzwi pociągu się otworzyły, pobiegliśmy przed siebie ile sił w nogach.

Upiór wpadł do naszego wagonu, ale zdążyliśmy już ominąć wrzeszczącą dziewczynę, przeskoczyć nad nieprzytomnym chłopakiem i wypaść na peron, gdzie przyszło nam stawić czoło tłumowi płynącemu do metra niczym ławica ryb podczas tarła. Ta stacja, w przeciwieństwie do poprzednich, pękała w szwach.

— Tam! — krzyknąłem, ciągnąc Emmę ku jaśniejącemu w oddali znakowi wyjścia.

Miałem nadzieję, że Addison pędzi gdzieś u naszych stóp, jednak wszędzie kręciło się tyłu ludzi, że ledwie było widać podłogę. Emma na szczęście odzyskiwała siły — a może był to przypływ adrenaliny — bo chyba nie zdołałbym jednocześnie jej podtrzymywać i przepychać się przez armię pasażerów metra.

Od pociągu dzieliło nas jakieś siedem metrów i pół setki osób, kiedy upiór wypadł na peron, roztrącając podróżnych i krzycząc: „Jestem policjantem!”, „Z drogi!” i „Zatrzymać te dzieci!”. Albo nikt go nie słyszał w ogólnym harmidrze na stacji, albo też nikt nie zwracał na niego uwagi. Kiedy się

odwróciłem, ujrzałem, że nas dogania, i w tym samym momencie Emma zaczęła przewracać ludzi, podstawiając im nogi na prawo i lewo. Wszyscy krzyczeli i padali na ziemię, a kiedy znów spojrzałem do tyłu, upiór zmagał się z nimi, deptał im po nogach i plecach, przy okazji obrywając parasolkami i aktówkami. W końcu się zatrzymał, czerwony jak burak i sfrustrowany, i rozpiął kaburę. Dzielila nas zbyt wielka masa ludzi i choć nie wątpiłem, że nie miałby oporów przed strzelaniem do tłumu, nie był aż takim głupcem. Panika, którą by wywołał, dodatkowo utrudniłaby mu pościg.

Gdy obejrzałem się po raz trzeci, był tak daleko wśród podróżnych, że ledwie go widziałem. Może wcale nie zależało mu na tym, żeby nas złapać. W końcu nie stanowiliśmy szczególnego zagrożenia i nie dostałby za nas dużej nagrody. Kto wie, czy Addison nie miał racji — w porównaniu z ymbrynką nie byliśmy warci specjalnego zachodu.

W połowie drogi do wyjścia tłum przerzedził się na tyle, żebyśmy znów mogli rzucić się pędem przed siebie. Po zaledwie kilku krokach Emma nagle chwyciła mnie za rękaw i zatrzymała.

— Addison! — krzyknęła, odwracając się. — Gdzie Addison?

Po chwili pies przytruchtał z największej gęstwiny ludzkiej, ciągnąc za sobą długi skrawek białego materiału, który przyczepił mu się do ćwieka na obroży.

— Zaczekaliście na mnie! — zdumiał się. — Zaplątałem się w pończochę pewnej damy...

Jego głos przykuł uwagę kilku osób.

— No już, nie możemy się teraz zatrzymywać! — wykrzyknąłem.

Emma zerwała pończochę z obroży Addisona i znów pobiegliśmy. Przed nami znajdowały się ruchome schody i winda. Schody działały, jednak tłoczyli się na nich ludzie, więc poprowadziłem Emmę i psa ku windzie. Minęliśmy pomalowaną na niebiesko kobietę i odwróciłem się w biegu, żeby na nią popatrzeć. Miała ufarbowane włosy, twarz pokrytą niebieskim makijażem i kostium obcisły niczym druga skóra, również w niebieskim kolorze.

Ledwie zniknęła mi z oczu, zauważyłem mężczyznę o głowie podzielonej pionowo na dwie równe części, jednej łysej i spalonej na wiór, a drugiej nietkniętej, z włosami ułożonymi w elegancką falę. Nawet jeśli Emma go dostrzegła, nie odwróciła się, żeby popatrzeć. Może tak przywykła do towarzystwa prawdziwych osobliwców, że ledwie zauważała osobliwie wyglądających zwykłych ludzi. „A jeśli wcale nie są zwykli?” — pomyślałem. „Jeśli to osobliwcy, a zamiast w terażniejszości, wylądowaliśmy w nowej pętli? A jeśli...”.

Wtedy zobaczyłem dwóch chłopaków pojedynkujących się na miecze świetlne obok ustawionych pod ścianą automatów z przekąskami. Przy każdym uderzeniu mieczem o miecz rozlegało się ciche, miękkie stuknięcie. Nagle uświadomiłem sobie coś oczywistego. Ci dziwaczni ludzie wcale nie byli osobliwcami, tylko nerdami. Bez wątpienia trafiliśmy do terażniejszości.

Parę metrów dalej drzwi windy się otworzyły, więc przyspieszyliśmy kroku i wpadliśmy do środka, odbijając się dłońmi od tylnej ściany kabiny, Addison zaś potknął się o własne łapy. Odwróciłem się w samą porę, żeby zobaczyć dwie rzeczy między zamykającymi się drzwiami. Pierwszą był upiór, który

wyrwał się z tłumu i pędził prosto ku nam, drugą głucholec, który zeskoczył z dachu ostatniego wagonu odjeżdżającego pociągu i zawisł na językach zaczepionych o lampę pod sufitem w głębi peronu. Kołysał się jak pająk, a jego czarne oczy zdawały się wypalać we mnie dziury.

Potem drzwi windy się zamknęły i powoli ruszyliśmy w górę.

— Gdzie się pali, stary? — rozległ się czyjś głos.

Dziwnie ubrany mężczyzna w średnim wieku stał w kącie windy i patrzył na mnie pogardliwie. Miał podartą koszulę i wymalowane rany na twarzy. Na jego ręce tkwiła zakrwawiona piła łańcuchowa, umocowana jak hak kapitana Haka.

Emma cofnęła się na jego widok.

— Kim pan jest? — zapytała.

— No przestań. — Wydawał się urażony.

— Jeśli naprawdę chce pan wiedzieć, gdzie się pali, to niech pan nie odpowiada. — Uniosła ręce, ale szybko ją za nie złapałem.

— Przecież to nikt — szepnąłem.

— Myślałem, że w tym roku wszyscy się zorientują — wymamrotał mężczyzna, a następnie zmarszczył brwi i lekko uniósł piłę. — Nazywam się Ash. No, wiecie... Z *Armii Ciemności*.

— Nigdy o niej nie słyszałam — odparła Emma. — Kto jest pana ymbrynką?

— Moim czym?

— On tylko wczuł się w postać — usiłowałem jej wytłumaczyć, ale nie zwróciła na mnie uwagi.

— Wszystko jedno, kim pan jest — dodała. — Przyda nam się armia, a zresztą darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Gdzie reszta pańskich ludzi?

Mężczyzna przewrócił oczami.

— Ha, ha, ha. Ale jesteście zabawni. Wszyscy są w centrum konwentowym, to jasne.

— Przecież on ma na sobie kostium — wyszeptalem do Emmy, po czym wyjaśniłem mężczyźnie: — Rzadko ogląda filmy.

— Kostium? — Emma zmarszczyła brwi. — Przecież to dorosły człowiek.

— No to co? — Mężczyzna zmierzył nas wzrokiem. — A wy niby kim jesteście? Nieumarłymi dupkami? Ligą Niezwykłych Fujarmenów?

— Osobliwymi dziećmi — odparł Addison, któremu ego nie pozwoliło dłużej milczeć. — Ja jestem siódmy z miotu siódmego szczenięcia z długiej i uznanej linii...

Zanim skończył, mężczyzna zemdlał i łupnął głową o podłogę z taką siłą, że się wzdrygnąłem.

— Musisz wreszcie przestać — oznajmiła Emma i uśmiechnęła się wbrew sobie.

— Dobrze mu tak — skomentował Addison. — Nad wyraz niekulturalna osoba. A teraz szybko, zabierzcie mu portfel.

— Mowy nie ma! — zaprotestowałem. — Nie jesteśmy złodziejami.

Addison parsknął.

— Śmiem twierdzić, że potrzebujemy tego bardziej niż on — oświadczył.

— Dlaczego, do licha, tak się przebrał? — zastanawiała się Emma.

Rozległ się dzwonek windy i drzwi zaczęły się rozsuwać.

— Myślę, że wkrótce się dowiesz — westchnąłem.

* * *

Drzwi windy otworzyły się szeroko i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozpostarł się przed nami świat skąpany w dziennym świetle, tak jaskrawym, że musieliśmy osłonić oczy. Z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem i wyszliśmy na zatłoczony chodnik. Wszędzie dookoła roiło się od przebranych ludzi: superbohaterów w spandeksie, snujących się zombie z grubą warstwą makijażu na twarzach, dziewczyn ucharakteryzowanych na postaci z anime, o podmalowanych na czarno oczach, z toporami wojennymi w garści. Ludzie stali w niedopasowanych grupkach i wylewali się na ulicę zamkniętą dla ruchu kołowego, ciągnąc jak pszczoły do miodu ku wielkiemu szaremu budynkowi, na którym wisiał transparent: WITAMY NA KONWENCIE FANÓW KOMIKSÓW I SCI-FI!

Emma cofnęła się do windy.

— Co to ma być? — wymamrotała.

Addison zerknął znad okularów na zielonowłosego Jokera, który poprawiał makijaż.

— Sądząc po strojach, to najwyraźniej jakieś religijne święto — oznajmił.

— W zasadzie tak — potwierdziłem, ciągnąc Emmę na chodnik. — Ale nie bójcie się. To tylko zwykli przebierańcy, a my też ich zdaniem tak wyglądamy. Powinniśmy się przejmować tylko tym upiorem.

— Nie wspominałem o głucholcu, mając nadzieję, że pozbyliśmy się go, wchodząc do windy.

— Powinniśmy znaleźć jakąś kryjówkę, dopóki sobie nie pójdzie, a potem wrócić do metra...

— Nie ma potrzeby. — Poruszając nosem, Addison potruchtał na zatłoczoną ulicę.

— Ej! — zawołała za nim Emma. — A ty dokąd?

Pies jednak już zawracał.

— Jakże szczęśliwe zrzędzenie losu! — Zamerdał kikutem ogona. — Nos podpowiada mi, że naszych przyjaciół właśnie w tym miejscu wyprowadzono z metra, tymi ruchomymi schodami. A więc jednak podążyliśmy właściwą drogą!

— Optaszności niech będą dzięki — westchnęła Emma.

— Myślisz, że zdołasz ich wytropić? — zapytałem.

— Czy zdołam? Nie bez przyczyny zwań mnie Addisonem Arcywspaniałym. Nie ma takiego aromatu, zapachu ani osobliwej wody toaletowej, których nie potrafiłbym wyczuć ze stu metrów...

Addison łatwo się rozpraszał opowiadaniem o swojej wspaniałości, nawet w sytuacjach wymagających szybkiego działania, a jego dumny, grzmiący głos niósł się na znaczną odległość.

— Tak, tak, rozumiemy — oznajmiłem, ale on gadał dalej, jednocześnie podążając za tropem.

— Mógłbym znaleźć osobliwca w stogu głucholców, ymbrynkę w ptaszarni...

Pogoniliśmy za nim przez poprzebierany tłum, między nogami krasnoluda na szczudłach, obok gromadki nieumarłych księżniczek, i prawie się zderzyliśmy z tańczącymi Pikachu i Edwardem Nożycorękim. „Oczywiście, że tędy poprowadzono naszych przyjaciół” — pomyślałem. Kamuflaż był idealny — nie tylko my w tym otoczeniu wyglądaliśmy całkiem zwyczajnie, ale i upiory ze stadkiem porwanych osobliwych dzieci. Nawet gdyby któreś ośmieliło się głośnym krzykiem wzywać pomocy, czy ktokolwiek potraktowałby je na tyle poważnie, by interweniować? Ludzie wokół nas odgrywali rozmaite rólki, toczyli zaimprovizowane walki, warczeli w kostiumach potworów i pojękiwali niczym zombie. Dziwne dzieciaki wrzeszczące coś o porwaniu przez ludzi, którzy pragną odebrać im dusze, nie wzbudziłyby niczyjego zainteresowania.

Addison zatoczył koło, nadal węsząc przy ziemi, po czym usiadł ze stropioną miną. Nawet w takim tłumie gadający pies okazałby się sensacją, więc pochyliłem się dyskretnie i zapytałem, o co chodzi.

— O to, że... yyy — zająknął się. — Chyba właśnie...

— Zgubiłeś ślad? — dopowiedziała Emma. — Myślałam, że twój nos jest niezawodny.

— To tylko... trop mi się zawieruszył — odparł Addison. — Ale nie rozumiem jak... Prowadzi do tego miejsca i znika.

— Zawiąż buty — powiedziała Emma nieoczekiwanie. — Natychmiast.

Popatrzyłem na nich.

— Przecież nie są...

Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła.

— Zawiąż. Buty — powtórzyła i dodała szeptem: — Upiór!

Kłęczeliśmy, ukryci poniżej poziomu głów niezbyt gęstego tłumy, gdy nagle rozległ się głośny szum zakłóceń elektrycznych i z głośnika radiotelefonu dobiegł nas pełen napięcia głos.

— Kod sto czterdzieści jeden! Wszystkie załogi natychmiast zgłoszą się do punktu zbornego.

Upiór był blisko. Słyszeliśmy, jak odpowiada z szorstkim, dziwnym akcentem:

— Tu M. Tropię uciekinierów. Proszę o pozwolenie na kontynuowanie misji. Odbiór.

Z napięciem spojrzałem na Emmę.

— Odmawiam, M. Czyściciele później zajmą się tym terenem. Odbiór.

— Chłopak wyraźnie potrafi wpływać na czyścicieli. Sprzątanie może się okazać nieskuteczne.

„Czyściciele”. Najwyraźniej mówił o głucholcach i bez wątpienia o mnie.

— Odmawiam! — zatrzeszczał głos. — Natychmiast zgłosisz się w wyznaczonym miejscu albo najbliższą noc spędzisz w jamie. Potwierdź!

— Potwierdzam, bez odbioru — wymamrotał upiór do walkie-talkie i odszedł.

— Musimy go śledzić — szepnęła Emma. — Doprowadzi nas do pozostałych!

— I prosto w paszczę lwa — dodał Addison. — Inna rzecz, że chyba nic na to nie poradzimy.

Dalej kręciło mi się w głowie.

— Wiedzą, kim jestem — wymamrotałem cicho. — Musieli wiedzieć, co zrobiłem.

— Zgadza się — przytaknęła Emma. — I cholernie ich to przestraszyło!

Wyprostowałem się, żeby popatrzeć na odchodzącego upióra. Pomaszerował wśród tłumu, potem przeskoczył przez barierkę i pobiegł do zaparkowanego policyjnego radiowozu.

Gdy i my znaleźliśmy się przy barierce, rozejrzałem się, próbując wyobrazić sobie następny ruch porywaczy. Za nami był tłum, a przed nami, za blokadą, samochody krążyły po pobliskich ulicach w poszukiwaniu miejsc parkingowych.

— Może nasi przyjaciele doszli tu piechotą, a potem załadowano ich do samochodu — powiedziałem.

Addison rozpromienił się i stanął na tylnych łapach, żeby zerknąć nad zaporą.

— Tak! — wykrzyknął uradowany. — Na pewno tak. Bystry chłopak!

— Z czego tak się cieszysz? — burknęła Emma. — Jeśli zabrali ich stąd autem, teraz mogą być wszędzie.

— Wobec tego podążymy za nimi wszędzie — oświadczył. — Wątpię jednak, żeby zdołali daleko odjechać. Mój dawny pan miał nieopodal dom i doskonale znam tę część miasta. W pobliżu nie ma żadnych głównych portów ani ważnych dróg wylotowych z Londynu, ale jest kilka wejść do pętli. O wiele bardziej prawdopodobne, że porwani trafili do jednej z nich. Proszę mnie natychmiast podnieść!

Z moją pomocą pokonał barierkę i zaczął węszyć po drugiej stronie. Już po kilku sekundach znowu odnalazł zapach naszych przyjaciół.

— Tędy! — zakrzyknął, wskazując miejsce, w którym upiór wsiadł do radiowozu i właśnie odjeżdżał.

— Chyba czeka nas spacer — zwróciłem się do Emmy. — Poradzisz sobie?

— Owszem, jeśli tylko w ciągu kilku godzin znajdziemy jakąś pętlę — odparła. — Inaczej mogę osiwieć i zrobią mi się zmarszczki.

Uśmiechnęła się, jakby to było zabawne.

— Nie dopuszczę do tego — zapewniłem ją.

Przeskoczyliśmy przez zaporę i po raz ostatni spojrzałem na stację metra za nami.

— Widzisz głucholca? — spytała Emma.

— Nie. Nie wiem, gdzie jest, i to mnie martwi.

— Przejmujmy się jedną sprawą na raz — westchnęła.

* * *

Szliśmy za Addisonem tak szybko, jak pozwalał na to stan Emmy, trzymając się pograżonej w porannym cieniu strony ulicy i uważając na policję. Wkrótce trafiliśmy do przemysłowej okolicy nieopodal portu, gdzie między magazynami lśniły ciemne wody Tamizy, a potem znaleźliśmy się w modnej części handlowej miasta, pełnej przeszklonych budynków z eleganckimi sklepami na parterze. Nad dachami dostrzegałem co jakiś czas kopułę katedry świętego Pawła, znowu całą pod pogodnym błękitem nieba.

Bomby spadły już dawno temu, a bombowce znikły — zestrzelone, zezłomowane albo umieszczone w muzeach, gdzie zbierały kurz za sznurami i gdzie gapiły się na nie dzieciaki, którym wojna wydawała się równie odległa jak wyprawy krzyżowe. Dla mnie jednak to wszystko działo się dosłownie wczoraj. Trudno uwierzyć, że znajdowaliśmy się na tych samych zrytych kraterami po bombach, zaciemnionych ulicach, po których biegaliśmy ostatniej nocy, próbując się uratować. Teraz nie dało się ich rozpoznać. Wyglądało to tak, jakby z popiołów wyrosły sklepy, a także ludzie w ubraniach modnych marek, spacerujący z opuszczonymi głowami i przyklejeni do telefonów. Teraźniejszość nagle wydała mi się obca, banalna i pogrążona w szaleństwie. Poczułem się jak mityczny heros, który cudem wraca z podziemi tylko po to, żeby uświadomić sobie, że świat na górze jest równie przeklęty jak ten na dole.

Wtedy nagle mnie oświeciło — wróciłem. Znowu znajdowałem się w teraźniejszości i udało mi się dotrzeć do niej bez interwencji pani Peregrine... Co podobno było niemożliwe.

— Emma? — odezwałem się. — Skąd się tu wziąłem?

Wpatrywała się w ulicę przed nami, szukając ewentualnych problemów.

— Gdzie? W Londynie? — spytała. — Przyjechałeś pociągiem, głupku.

— Nie, w teraźniejszości — dodałem ciszej. — Mówiłaś, że tylko pani Peregrine może mnie odesłać.

Emma odwróciła głowę i spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

— Tak — potwierdziła spokojnie. — Rzeczywiście.

— Albo tak ci się wydawało.

— Nie, jestem tego pewna. Tak to działa.

— No to skąd się tu wziąłem?

— Nie wiem, Jacob. — Wydawała się zagubiona. — Może...

— Jest! — wykrzyknął Addison z ożywieniem, więc na niego spojrzeliśmy. Stał nieruchomo i wskazywał na ulicę, w którą właśnie skręciliśmy. — Teraz czuję dziesiątki osobliwych zapachów. Setki! I to świeżych.

— A to oznacza, że...? — Zawiesiłem głos.

— Że prowadzono tędy innych porwanych osobliwców, nie tylko naszych przyjaciół — wyjaśniła Emma. — Kryjówka upiórów musi być gdzieś niedaleko.

— Niedaleko stąd? — zapytałem. Ulica była pełna barów szybkiej obsługi i sklepów z tandetnymi pamiątkami, a my staliśmy pod neonem obskurnej knajpki. — Wyobrażałem sobie jakieś bardziej złowieszcze miejsce.

— Na przykład lochy w zimnym i wilgotnym zamczysku. — Emma pokiwała głową.

— Albo otoczony strażnikami obóz koncentracyjny za drutem kolczastym — dodałem.

— W śniegu, jak na rysunku Horace'a.

— Może i znajdziemy takie miejsce — zauważył Addison. — Nie zapominajcie, że to zapewne tylko wejście do pętli.

Po drugiej stronie ulicy turyści robili sobie zdjęcia przed jedną z typowych dla Londynu czerwonych

budek telefonicznych. Gdy znaleźliśmy się dostatecznie blisko, pstryknęli fotkę także i nam.

— Ejże! — zaprotestowała Emma. — Żadnych zdjęć.

Przechodnie zaczęli zwracać na nas uwagę. Teraz, z dala od uczestników konwentu, pasowaliśmy do otoczenia jak wół do karety.

— Za mną — syknął Addison. — Wszystkie ślady wiodą w tym kierunku.

Pobiegliśmy za nim ulicą.

— Szkoda, że nie ma tu Millarda — odezwałem się. — Mógłby rozejrzeć się po okolicy i nikt by go nie zauważył.

— A gdyby był tu Horace, być może przypomniałby sobie sen, który by nam pomógł — westchnęła Emma.

— Albo znalazłby nam nowe ubrania — dodałem.

— Jeśli nie przestaniemy, rozplączę się — jęknęła.

Dotarliśmy na tętniącą życiem przystań. Promienie słońca odbijały się od wody w wąskiej zatoczce ciemnej Tamizy, a grupy turystów z daszkami na głowach i saszetkami na paskach opuszczały pokłady kilku wycieczkowych statków albo na nie wchodziły.

Addison nagle się zatrzymał.

— Tu ich sprowadzono — oznajmił. — Chyba załadowali ich na statek.

Ruszyliśmy za nim przez tłum do pustego stanowiska cumowania. Upiory rzeczywiście umieściły naszych przyjaciół na statku i teraz należało za nimi popłynąć. Tylko czym? Rozeszliśmy się po pomoście w poszukiwaniu środka transportu.

— Nic z tego nie będzie — mruknęła Emma. — Statki są za duże i zbyt załoczone. Potrzebujemy czegoś małego, czym sami pokierujemy.

— Chwileczkę. — Addison zmarszczył pysk.

Potruchtał przed siebie, przyciskając nos do desek przystani. Pobiegliśmy za nim na drugą stronę i zeszliśmy po małej, nieoznakowanej pochylni, całkowicie ignorowanej przez turystów. Prowadziła na niższy pomost, pod ulicą, niemal na poziomie wody. Było tam zupełnie pusto, w pobliżu nikt się nie kręcił.

Addison przystanął, wyraźnie skupiony.

— Tędy szli osobliwcy — oświadczył.

— Nasi osobliwcy? — spytała Emma.

Znów powąchał deski i pokręcił głową.

— Nie, nie nasi — odparł. — Ale tu jest wiele śladów, zarówno nowych, jak i starych, wyraźnych i zwiertzałych. Wszystkie się mieszają. To bardzo uczęszczane przejście.

Pomost zwęzał się przed nami i zniknął pod główną przystanią, tonąc w cieniu.

— Bardzo uczęszczane przez kogo? — Emma niespokojnie wpatrywała się w ciemność. — Nigdy nie słyszałam o wejściu do pętli pod przystanią w Wapping.

Addison nie potrafił odpowiedzieć na jej pytanie, więc nie pozostało nam nic innego, jak zbadać teren. Tak właśnie zrobiliśmy, nerwowo wkraczając w półmrok. Gdy tylko nasz wzrok się przyzwyczaił, ujrzeliśmy jeszcze jeden pomost, zupełnie inny niż ten przyjemny i zalany słońcem przed nami. Deski były zielonkawe i przegniłe, tu i tam połamane. Stado piszczących szcurów rozpierzchnęło się wśród sterty starych puszek, a potem skoczyło z pomostu na przycumowaną do niego starą łódkę, która kołysała się na ciemnej wodzie między śliskimi od mchu słupami.

— No cóż — odezwała się Emma. — Z konieczności chyba musimy się tym zadowolić...

— Ależ na tej łódce roi się od szcurów! — sapnął wstrząśnięty Addison.

— To nie potrwa długo. — Emma roznieciła płomyk na dłoni. — Szczury nie przepadają za moim towarzystwem.

Nikt nie próbował nas zatrzymać, więc podeszliśmy do łódki, przeskakując nad co bardziej zmurszałymi deskami, i zaczęliśmy odwiązywać liny cumownicze.

— PRZESTAĆ! — zagrzmiął głos z pokładu.

Emma pisnęła, Addison zaskamlał, a ja niemal wyskoczyłem ze skóry. Nie wiem, jak to możliwe, ale nie zauważyliśmy, że w łodzi siedział mężczyzna. Wstał powoli, prostując się centymetr po centymetrze, aż wreszcie znieruchomiał. Górował nad nami — miał ponad dwa metry wzrostu. Masywne ciało okrywał płaszczem, a twarz chował pod ciemnym kapturem.

— Bardzo... bardzo przepraszam — wyjąkała Emma. — My... myśleliśmy, że ta łódka jest...

— Niejeden usiłował okraść Sharona! — oznajmił donośnym głosem mężczyzna. — Teraz w ich czaszkach gnieźdzą się morskie stwory!

— Przysięgam, że nie próbowaliśmy...

— To my już sobie pójdziemy — zaskowytał Addison i szybko się cofnął. — Nie było naszym zamiarem nękanie szanownego pana.

— MILCZEĆ! — ryknął przewoźnik i jednym krokiem przeszedł na pomost. — Każdy, kto przybywa po moją łódkę, musi za to ZAPŁACIĆ!

Umierałem ze strachu, a zanim Emma krzyknęła: „W NOGI!”, już zdążyłem częściowo się odwrócić. Przebiegliśmy tylko kilka kroków, kiedy przebiłem stopą przegniłą deskę i runąłem twarzą na pomost. Usiłowałem się podźwignąć, jednak utkwilem w dziurze aż po samo udo. Nie mogłem się wydostać, a kiedy Emma i Addison wrócili, żeby mi pomóc, było już za późno. Przewoźnik nas dogonił, stanął nad nami i zaśmiał się głośno. Jego grzmiący rechot dudnił nam w uszach. Być może wzrok płatał mi figle w półmroku, niemniej dałbym głowę, że z kaptura płaszcza przewoźnika wypada szcur, a drugi wyslizguje się z rękawa, kiedy Sharon powoli unosił ku nam rękę.

— Precz, wariacie! — krzyknęła Emma i zaklaskała w dłonie, żeby rozpałić ogień.

Choć światło płomienia nie rozproszyło ciemności na tyle, byśmy zdołali dostrzec osłoniętą kapturem twarz — zapewne nie byłoby jej widać nawet w słońcu — jednak przekonaliśmy się, że w wyciągniętej ręce nie trzyma ani noża, ani żadnej innej broni. Podawał nam kartkę papieru, którą ścisnął między

kciukiem a długim, białym palcem wskazującym.

Pochylił się nade mną na tyle nisko, żebym mógł dosięgnąć kartki.

— Proszę — powiedział łagodnie. — Przeczytaj.

— Co to takiego? — zapytałem z wahaniem.

— Cena — odparł. — I informacje dotyczące moich usług.

Trzęsąc się ze strachu, sięgnąłem po kartkę. Cała nasza trójka pochyliła się, żeby przeczytać jej treść przy blasku płomienia Emmy.

Popatrzyłem na olbrzymiego przewoźnika.

— A więc to pan? — spytałem niepewnie. — Pan to... Sharon?

— We własnej osobie — odparł głosem tak nieprzyjemnie świszczącym, że włosy na karku stanęły mi dęba.

— A niech to gęś kopnie, człowieku, śmiertelnie nas przeraziłeś! — sapnął Addison. — Czy to całe kłapanie dziobem i stroszenie piór było konieczne?

— Proszę o wybaczenie. Drzemałem i napędziliście mi stracha.

— My panu?

— Przez chwilę naprawdę sądziłem, że chcecie mi ukraść łódź — wyznał, chichocząc.

— Ha, ha! — roześmiała się Emma nieszczerze. — Nie, po prostu... sprawdzaliśmy, czy jest należycie przycumowana.

Sharon odwrócił się i przyjrzał uważnie niedbale przywiązanej do drewnianego słupka łodzi.



— No i jak wypadła wasza ocena? — zapytał, a na jego nieosłoniętych kapturem ustach wykwił szeroki, blady uśmiech.

— Mucha nie siada — odparłem i w końcu uwolniłem nogę z dziury. — Cumowanie... naprawdę bardzo dobre.

— Sama nie zawiązałabym lepszego węzła. — Emma pomogła mi wstać.

— A tak na marginesie... — wtrącił się Addison. — Czy ci, którzy usiłowali... Czy oni wszyscy naprawdę...?

Spojrzał na mroczną wodę i głośno przełknął ślinę.

— Nieważne — odparł Sharon. — Skoro już mnie obudziliście, jestem do usług. Co mogę dla was

zrobić?

— Chcemy wynająć pańską łódź — oświadczyła Emma stanowczo. — Potrzebujemy jej tylko dla siebie.

— Na to nie mogę przystać — mruknął Sharon. — Jestem kapitanem mojej łodzi i zawsze nią kieruję.

— No to wielka szkoda — podsumował Addison i odwrócił się szybko, żeby odmaszerować, ale Emma złapała go za obrożę.

— Czekaj! — syknęła. — Jeszcze nie skończyliśmy. — Z miłym uśmiechem zwróciła się do Sharona. — Otóż wiemy, że wielu osobliwców pojawia się w tym... — Rozejrzała się w poszukiwaniu odpowiedniego słowa. — ...miejsca. Czy dlatego, że niedaleko stąd znajduje się wejście do pętli?

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł Sharon głucho.

— Jasne, że pan wie, tylko nie chce pan się przyznać. Doskonale to rozumiem, ale przy nas jest pan bezpieczny. Naturalnie, jesteśmy...

Szybko trąciłem ją łokciem.

— Emma, przestań! — wymamrotałem.

— Dlaczego? Przecież widział, jak pies gada, a ja rozpalam ogień. Jeśli nie będziemy szczerzy...

— Ale nie wiemy, czy on jest... — zauważyłem.

— Jasne, że jest! — Odwróciła się do Sharona. — Jest pan, prawda?

Przewoźnik wpatrywał się w nas beznamiętnie.

— Jest nim, prawda? — Emma popatrzyła na Addisona. — Chyba to wyczuwasz?

— No, niezupełnie.

— Chyba zresztą wszystko jedno, byle tylko nie był upiorem. — Wbiła w Sharona podejrzliwy wzrok. — Nie jest pan, prawda?

— Jestem biznesmenem — odparł spokojnie.

— Biznesmenem przywykłym do spotkań z gadającymi psami oraz dziewczynami, które rozniecają ogień rękami — zauważył Addison.

— W mojej branży spotyka się rozmaitych ludzi.

— Może przejdę do rzeczy. — Strząsnąłem wodę najpierw z jednej stopy, potem z drugiej. — Szukamy przyjaciół i wydaje się nam, że mogli tędy przechodzić w ciągu ostatniej godziny. To głównie dzieciaki i kilkoro dorosłych. Jedna osoba była niewidzialna, inna umiała unosić się w powietrzu...

— Trudno byłoby ich przegapić — przerwała mi Emma. — Banda upiorów prowadziła ich pod bronią.

Sharon słuchał z założonymi rękami, które układały się w szeroki, czarny znak X.

— Mówiłem już, że łódź wynajmują rozmaici ludzie, ale wszyscy oni polegają na mojej absolutnej dyskrecji. Nie zamierzam dyskutować o klientach.

— Czyżby? — mruknęła Emma. — Przepraszam na chwilę.

Odciągnęła mnie na bok.

— Jeśli nie zaczniesz mówić, bardzo się wkurzę — wyszeptała.

— Nie rób nic głupiego — ostrzegłem ją, również szeptem.

— Dlaczego? Wierysz w to bajdurzenie o czaszkach i morskich stworach?

— Szczerze mówiąc, tak. Wiem, że to gnida, ale...

— Gnida? Przecież właściwie przyznał się do interesów z upiorami! Może nawet jest upiorem!

— ...ale pożyteczna gnida. Czuję, że wie, dokąd zabrano naszych przyjaciół. Trzeba tylko zadać mu kilka właściwych pytań.

— A proszę bardzo — burknęła zirytowana.

Z szerokim uśmiechem odwróciłem się do Sharona.

— Opowie mi pan o swoich wycieczkach? — spytałem, a on natychmiast się rozpogodził.

— Wreszcie temat, o którym mogę swobodnie rozmawiać. Tak się składa, że mam tu pewne informacje...

Odwrócił się szybko i podszedł do pobliskiego słupa z przybitą półką, na której leżała czaszka przystrojona jak staroświecki pilot: w skórzaną czapkę, okulary ochronne i zawadiacki szalik. Między zębami tkwiło kilka ulotek. Sharon wyciągnął jedną z nich i mi wręczył. To była tandetna broszurka turystyczna, podobna do tych, które drukowano w czasach młodości mojego dziadka. Przewertowałem kartki, a Sharon odkasznął.

— No dobrze — powiedział. — Rodziny cenią sobie pakiet „Głód i pożoga”... Rankiem płyniemy w górę rzeki, żeby popatrzeć, jak wikingowie za pomocą machin oblężniczych katapultują zarażone owce nad murami miasta. Potem raczymy się smacznym drugim śniadaniem i wracamy wieczorem przez Wielki Pożar roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego który prezentuje się imponująco po zapadnięciu zmroku, gdy płomienie odbijają się w wodzie. To naprawdę bardzo ładny widok. A jeśli macie tylko kilka godzin, proponuję uroczą wyprawę szubieniczną do przystani katowskiej — równo o zachodzie słońca, szczególnie popularną wśród młodych małżeństw, które spędzają tutaj miesiąc miodowy. W trakcie widowiska wyjątkowo soczyście klnący piraci wygłaszają barwne mowy, zanim zadyndają na stryczku. Za drobną opłatą można nawet zrobić sobie z nimi zdjęcie!

W broszurce znajdowały się fotografie uśmiechniętych turystów, którzy podziwiali opisane przez Sharona widoki. Na ostatniej stronie widniało zdjęcie jednego z gości, pozującego z bandą gburowatych piratów z nożami i strzelbami.

— Osobliwcy robią to dla przyjemności? — spytałem ze zdziwieniem.



— Tracimy czas — wyszeptała Emma, oglądając się niespokojnie. — Założę się, że on tylko gra na zwłokę, czekając na następny patrol upiorów.

— Chyba nie — odparłem. — Chwileczkę...

Sharon gadał dalej, jakby nas nie słyszał.

— ...i można zobaczyć głowy obłąkańców nabite na włócznie, gdy będziemy płynęli pod londyńskim mostem. A na koniec jest jeszcze nasza najbardziej popularna wycieczka, moja ulubiona. Ale... nieważne — oświadczył z fałszywą skromnością i zamachał ręką. — Jak się nad tym zastanowić, raczej nie będziecie zainteresowani Diabelskim Poletkiem.

— Dlaczego? — zacięła się Emma. — Zbyt miłe i niegroźne?

— Szczerze mówiąc, wręcz przeciwnie. To nie jest miejsce dla dzieci.

Emma tupnęła tak mocno, że zatrzęsł się cały gnijący pomost.

— Właśnie tam zabrano naszych przyjaciół, prawda?! — wrzasnęła. — Prawda?

— Spokojnie, panienko. Wasze bezpieczeństwo to mój priorytet.

— Niech pan przestanie drażnić się z nami i powie, co tam jest!

— Skoro nalegacie... — Sharon wydał z siebie taki dźwięk, jakby zanurzał się w ciepłej kąpieli, a następnie zatarł szorstkie dłonie, całkiem jakby samo myślenie o tym sprawiało mu przyjemność.

— Paskudztwa. Okropieństwa. Potworności. Wszystko, czego chcecie, pod warunkiem że jest paskudne, okropne i potworne. Często śniłem o tym, że pewnego dnia odłożę wiosło i spędzę tam emeryturę. Może będę miał małą rzeźnię przy ulicy Wysięk...

— Jak pan nazwał tę lokalizację? — spytał Addison.

— Diabelskie Poletko — westchnął Sharon tęsknie.

Addison wzdrygnął się od czubka nosa po koniuszek ogona.



— Znam to miejsce — oświadczył z powagą w głosie. — Jest okropne. To najbardziej zepsuta i niebezpieczna dzielnica nędzy w całej długiej historii Londynu. Słyszałem opowieści o osobliwych zwierzętach, które sprowadzano tam w klatkach i zmuszano do walk na śmierć i życie. Szczudłonogie niedźwiedzie szczuto na emurafy, szymporożce wystawiano przeciwko flaminkozom... Rodzice walczyli z własnymi dziećmi! Zwierzęta musiały się okaleczać i zabijać dla rozrywki kilku chorych osobliwców.

— Odrażające — oznajmiła Emma. — Jacy osobliwcy chcieliby oglądać coś takiego?

Addison ze smutkiem pokręcił łbem.

— Wyjęci spod prawa... najemnicy... wygnańcy... — odparł.

— Przecież wśród osobliwców nie ma wyjętych spod prawa! — zauważyła Emma. — Skazanych za przestępstwa straż prowadzi do karnej pętli!

— Jak niewiele wiesz o własnym świecie — mruknął Sharon.

— Kryminalistów nie da się osadzić, jeśli nie zostaną złapani — wyjaśnił Addison.

— W szczególności jeśli zdążą uciec do pętli bez prawa i bez władz.

— Tak musi wyglądać piekło — powiedziałem. — Po co ktokolwiek miałby tam iść z własnej woli?

— To, co jest piekłem dla niektórych, bywa rajem dla innych — oznajmił Sharon. — Mówimy o ostatnim naprawdę wolnym miejscu. Tam można kupić wszystko, sprzedać wszystko... — Pochylił się ku mnie i zniżył głos. — I ukryć wszystko.

— Na przykład porwane ymbrynki i osobliwe dzieci? — zapytałem. — O to panu chodzi?

— Tego nie powiedziałem. — Sharon wzruszył ramionami i zajął się szczurem, którego wydłubał spod podszewki płaszcza. — Cicho, Percy, tatuś pracuje.

Kiedy ostrożnie odstawił szczura, Emma, Addison i ja zbiliśmy się w gromadkę.

— I co myślicie? — wyszeptalem. — Czy nasi przyjaciele mogli trafić do tego... diabelskiego miejsca?

— Upiory muszą przetrzymywać więźniów w jakiejś pętli, i to naprawdę starej — odparła Emma.

— W przeciwnym razie większość z nas postarzałaby się i umarła dzień czy dwa później...

— Dlaczego upiory miałyby się przejmować naszą śmiercią? — spytałem. — Chcą nam ukraść dusze.

— Może i tak, ale nie mogą dopuścić do śmierci ymbrynek. Potrzebują ich, żeby odtworzyć wydarzenie z tysiąc dziewięćset ósmego roku. Pamiętacie szalony plan upiorów?

— A, to wszystko, o czym bredził Golan. Nieśmiertelność i władza nad światem...

— Tak jest. No więc od miesięcy porywają ymbrynki i z pewnością przetrzymują je gdzieś, gdzie nie zmieniają się w proch, prawda? To oznacza, że ymbrynek należy szukać w starej pętli, co najmniej osiemdziesięcio- lub stuletniej. A jeśli Diabelskie Poletko naprawdę jest takim siedliskiem występku i deprawacji...

— Owszem, jest — wtrącił Addison.

— ...to chyba idealne miejsce na przetrzymywanie uprowadzonych — dokończyłem.

— I to w samym sercu osobliwego Londynu — dodał Addison. — Tuż pod naszym nosem. To dopiero szczerwane łotry...

— Więc chyba wiemy już wszystko — podsumowałem.

Emma podeszła do Sharona.

— Poprosimy trzy bilety do tego okropnego, odrażającego miejsca, które pan opisał — powiedziała.

— Ale musicie być naprawdę pewni, że tego chcecie — odparł. — Takie niewiniątka jak wy nie zawsze wracają z Diabelskiego Poletka.

— Jesteśmy pewni — oznajmiłem.

— Wobec tego zgoda. Tylko nie mówcie, że was nie ostrzegałem.

— Problem w tym, że nie mamy trzech sztuk złota — przyznała Emma.

— Czyżby? — Sharon złożył długie palce w daszek i westchnął, a my poczuliśmy zapach otwartego grobu. — Zwykle nalegam na płatność z góry, ale dzisiejszego ranka jestem usposobiony niezwykle wspaniałomyślnie. Podoba mi się wasz zuchwały optymizm. Będziecie moimi dłużnikami. — Roześmiał się po tych słowach, jakby wiedział, że nie pożyjemy na tyle długo, żeby mu zapłacić. Cofnął się o krok i wskazał ręką łódź. — Witam na pokładzie, dzieci.



ROZDZIAŁ DRUGI



Jeszcze zanim weszliśmy na pokład, Sharon demonstracyjnie wyłowił z łodzi sześć wijących się szczurów, tak jakby wolna od szkodników podróż była luksusem, na który stać wyłącznie osobliwych VIP-ów. Następnie podał Emmie rękę i pomógł jej wskoczyć do łodzi. Gdy już siedzieliśmy ramię w ramię na drewnianej ławeczce, a Sharon odwiązywał cumę, zastanawiałem się, czy ufanie mu jest tylko nierozsądne, czy już bezmyślne, tak jak ucięcie sobie drzemki na środku jezdni.

Problem z różnicą między brakiem rozsądku a kompletną głupotą polega na tym, że często nie wiadomo, po której jesteś stronie, dopóki nie jest za późno. Refleksja nadchodzi poniewczasie, kiedy klamka już zapadła, samolot opuścił hangar albo — jak w naszym wypadku — łódka odbiła od przystani. Patrzyłem, jak Sharon odpycha się bosą nogą od pomostu, i wtedy dostrzegłem, że jego stopa wcale nie wygląda na ludzką. Palce miał tak długie jak miniaturowe parówki, a jego grube, żółte paznokcie podwijały się niczym szpony. Pełen złych przeczuc uświadomiłem sobie, po której stronie się znaleźliśmy oraz że jest już za późno, by to zmienić.

Przewoźnik szarpnął linką zapłonu przy słabiutkim przyczepnym silniku, który rozkaszał się i zaterkotał, po czym wypluł chmurę niebieskich spalin. Podkuliwszy długie nogi, Sharon usiadł na fałdach czarnego płaszcza, dodał gazu i wyprowadził łódź spod górnego pomostu, przez las sterczących z wody drewnianych pali, na ciepłe promienie słońca. Wkrótce znaleźliśmy się w kanale, w utworzonej przez człowieka odnodze Tamizy, po obu stronach zabudowanej oszklonymi budynkami i pełnej rozkołysanych statków. Było ich więcej niż w dziecięcej wanience w porze kąpieli malucha: widzieliśmy cukierkowoczerwone holowniki, szerokie i niskie barki, a także wycieczkowce pełne turystów na otwartych górnych pokładach. Co zastanawiające, ani jeden z pasażerów nie wycelował w nas aparatu i chyba nikt nie zauważył niezwyklej łódki, która ich mijała, z aniołem śmierci u steru, dwójką umorusanych krwią dzieci na ławeczce i psem w okularach. No i bardzo dobrze. Może Sharon rzucił na łódź czar, dzięki któremu widzieli ją wyłącznie osobliwcy? Postanowiłem w to wierzyć, bo w razie potrzeby i tak nie moglibyśmy się w niej ukryć.

Przypatrując się łodzi w świetle dnia, zauważyłem, że była bardzo skromna, jedyny wyjątek stanowił misterny galion na dziobie. Rzeźba przedstawiała tłustego, pokrytego łuskami węża w kształcie litery S. W miejscu łba znajdowało się wielkie jak melon i pozbawione powiek oko, zapatrzone w przestrzeń przed nami.

— Co to? — zapytałem, głaszcząc dłonią wypolerowane drewno.

— Buk! — zawołał Sharon, przekrzykując warkot silnika.

— Bóg czego?

— Rzeźba jest z buku!

— Ale do czego służy?

— Do patrzenia! — odparł cierpko.

Dodał gazu, pewnie po to, żeby zagłuszyć moje pytania, a gdy przyspieszyliśmy, dziób łodzi lekko uniósł się nad wodą. Odetchnąłem głęboko, rozkoszując się słońcem i wiatrem na twarzy, a Addison wywalił jęzor i oparł się łapami o burtę. Chyba jeszcze nigdy nie wydawał się taki szczęśliwy.

Piękny dzień na podróż do piekła.

— Tak się zastanawiałam, jak tu trafiłeś — odezwała się Emma. — Jak wróciłeś do terażniejszości.

— No i jakie wnioski? — zainteresowałem się.

— Istnieje tylko jedno wyjaśnienie, które ma sens, chociaż nie do końca. Kiedy byliśmy w tunelach metra z tymi wszystkimi upiorami i wróciliśmy do terażniejszości, trafiłeś do niej z nami, zamiast tkwić samotnie w dziewiętnastym wieku, ponieważ pani Peregrine znajdowała się gdzieś w pobliżu i pomogła ci przejść, chociaż nikt się nie zorientował.

— Sam nie wiem, Emma. To jest jakies... — Zawahałem się, nie chcąc powiedzieć nic obcesowego.

— Uważasz, że chowała się w tunelu?

— Myślę, że to możliwe. Nie mamy pojęcia, gdzie była.

— Mają ją upiory. Caul tak powiedział!

— Od kiedy to wierzysz upiorom?

— Fakt — przyznałem. — Ale skoro Caul się przechwalał, myślałem, że mówił prawdę.

— Niewykluczone... ale równie dobrze mógł to powiedzieć, żebyśmy się załamali. Przecież chciał nas skłonić do poddania się, pamiętasz?

— Fakt. — Emma zmarszczyła brwi, a ja pomyślałem, że mózg mi się lasuje od tych wszystkich możliwości. — Okej. Przyjmijmy na chwilę, że pani Peregrine była z nami w tunelu. Po co miałyby zadawać sobie trud i wysyłać mnie do terażniejszości jako jeńca upiorów? Przecież chcieli nam wysać drugie dusze. Byłoby dla mnie lepiej, gdybym utkwiał w tamtej pętli.

Emma wydawała się szczerze zagubiona, ale po chwili się rozpogodziła.

— Być może ty i ja mamy wszystkich uwolnić — powiedziała. — Może to część jej planu.

— Ale skąd miałyby wiedzieć, że uciekniemy upiorom?

Emma zerknęła na Addisona.

— Może ktoś jej pomagał — wyszeptała.

— Hm, ten teoretyczny łańcuch zdarzeń robi się coraz mniej prawdopodobny. — Odetchnąłem głęboko, starannie dobierając słowa. — Wiem, chcesz wierzyć, że panna Peregrine jest wolna i nad nami czuwa. Ja też bym tego chciał...

— Pragnę tego tak bardzo, że aż boli — przerwała mi.

— Ale gdyby była wolna, czy nie skontaktowałyby się z nami? A gdyby on maczał w tym łapy...

— dodałem ciszej, wskazując głową Addisona — czy nie wspomnieliby już o tym?

— Nie, jeśli poprzysiągł milczenie. Niewykluczone, że nie może zdradzić tego sekretu nawet nam, bo to zbyt niebezpieczne. Gdybyśmy znali miejsce pobytu pani Peregrine, a ktoś wiedział, że je znamy, moglibyśmy załamać się w czasie tortur...

— A on nie? — spytałem nieco zbyt głośno.

Pies spojrzał na nas. Jego policzki się rozděły, a język łopotał idiotycznie na wietrze.

— Hop, hop! — zawołał. — Doliczyłem się już pięćdziesięciu sześciu ryb, chociaż jedna czy dwie mogły być na wpół zanurzonymi śmieciami. O czym tak szepczecie?

— O niczym — odparła Emma.

— Nie wydaje mi się — wymamrotał, ale instynkt szybko zdusił jego podejrzenia. — Ryba! — zaskowytał nagle i znów skupił uwagę na wodzie. — Ryba... ryba... śmieć... ryba...

Emma zaśmiała się ponuro.

— Wiem, że to kompletnie pomyłony pomysł, ale mój mózg to maszyna do produkcji nadziei — wyznała.

— Cieszę się — powiedziałem. — Mój to generator najgorszych opcji.

— W takim razie jesteśmy sobie potrzebni.

— Tak, ale to już chyba wiemy.

Przez miarowe kołysanie łodzi raz siedzieliśmy bliżej siebie, raz dalej.

— Na pewno nie wolicie romantycznej wycieczki? — spytał Sharon. — Jeszcze nie jest za późno.

— Na pewno — odparłem. — Mamy misję.

— Wobec tego sugeruję, żebyście otworzyli skrzynię, na której siedzicie. Przyda się wam jej zawartość, kiedy dotrzemy na miejsce.

Podnieśliśmy deskę, która służyła nam za ławkę, i ujrzeiliśmy pod nią schowek z dużą płachtą brezentu.

— Do czego to? — spytałem.

— Do tego, żeby się zasłonić — wyjaśnił Sharon i skierował łódź do jeszcze węższego kanału, na którego brzegach wznosiły się nowe, niewątpliwie drogie apartamentowce. — Dotąd udawało mi się ukrywać was przed ciekawskimi spojrzeniami, ale na Diabelskim Poletku ta ochrona nie działa. Przebywający tam podejrzani osobnicy mają zwyczaj obserwować wejście, licząc na łatwą zdobycz. A wy zdecydowanie jesteście łatwą zdobyczą.

— Wiedziałem, że coś było nie tak — oznajmiłem. — Ani jeden turysta na nas nie spojrzał.

— Łatwiej obserwować historyczne potworności, kiedy uczestnicy nie zauważają widzów — odparł.

— Przecież nie mógłbym dopuścić do tego, żeby wikingowie porwali mi klientów, prawda? Wyobrażacie sobie recenzje użytkowników?

Szybko zbliżaliśmy się do czegoś w rodzaju tunelu — zabudowanego fragmentu kanału o długości mniej więcej trzydziestu metrów, na którym znajdował się stary magazyn albo zakład produkcyjny. Na

drugim końcu kanału jaśniało półkole błękitnego nieba i skrawek migoczącej wody. Widywałem już podobne wejścia do pętli.

Z trudem wydobyliśmy ze skrytki olbrzymią płachtę, która wypełniła pół łodzi. Emma położyła się obok mnie, po czym wsunęliśmy się pod impregnowane płótno, podciągając płachtę pod brody jak kołdrę. Kiedy łódź wpłynęła do osłoniętej i pograżonej w półmroku części kanału, Sharon zgasił silnik i ukrył go pod mniejszą plandeką. Wstał, rozłożył składany kij, zanurzył go w wodzie i powolnymi ruchami zaczął odpychać się od dna.

— Przy okazji, przed jakimi „podejrzanyimi osobnikami” się kryjemy? — spytała Emma. — Chodzi o upiory?

— W świecie osobliwości jest więcej zła niż tylko znieawidzone przez was upiory — oświadczył Sharon, a jego głos rozniósł się echem po kamiennym tunelu. — Oportunista w przebraniu przyjaciela bywa równie niebezpieczny jak jawny wróg.

Emma westchnęła ciężko.

— Nigdy nie mówi pan wprost? — mruknęła.

— Głowy! — warknął Sharon. — Ty też, psie.

Addison dał nura pod plandekę, a my naciągnęliśmy ją na twarze. Pod płótnem było gorąco, ciemno i śmierdziało olejem silnikowym.

— Boicie się? — wyszeptał Addison w mroku.

— Nieszczerólnie — odparła Emma. — A ty, Jacob?

— Niedobrze mi ze strachu. Addison?

— Jasne, że nie — oznajmił pies. — Strach nie jest typową cechą dla mojej rasy.

Po tych słowach jednak wsunął się między Emmę i mnie, a wtedy poczułem, że cały się trzęsie.

* * *

Są przejścia, które pokonuje się szybko i sprawnie jak autostradę. Nasz wjazd jednak przypominał wyprawę po drodze nierównej jak tarka, z mnóstwem wybojów, ostrych zakrętów i gwałtownych zjazdów, i to w całkowitej ciemności. Gdy było już po wszystkim, kręciło mi się w głowie i dudniło w skroniach. Zastanawiałem się, z powodu jakich niewidzialnych mechanizmów niektóre przejścia są trudniejsze do pokonania od innych. Może podróż była równie koszmarna jak jej cel, a teraz czuliśmy się tak, jakby nasza łódź trafiła do kompletnej dziczy.

I tak właśnie było.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Sharon.

— Nic się nikomu nie stało? — Chwyciłem Emmę za rękę.

— Musimy wracać — jęknął Addison. — Zostawiłem nerki po drugiej stronie.

— Milczcie, dopóki nie znajdę jakiegoś dyskretnego miejsca, żebyście mogli zejść na ląd — warknął

Sharon.

Trudno uwierzyć, jak bardzo wyostrza się słuch, kiedy nie można używać oczu. Leżałem cicho pod brezentem, zahipnotyzowany dźwiękami wokół nas. Początkowo słyszałem tylko plusk wody rozchlapywanej przez kij Sharona, ale wkrótce doszły do tego inne hałasy, zlewając się w jedno i tworząc wyszukane sceny w moim umyśle. Pomyślałem, że miarowy chłupot dobiega z wypełnionej rybami wiosłowej łodzi. Wyobraziłem sobie też, że krzyczące do siebie kobiety wychylają się z okien przeciwległych domów i plotkują nad kanałem, jednocześnie wywieszając pranie. Gdzieś przed nami dzieci zanosili się śmiechem, kiedy szczekał pies, a w oddali słyszałem głosy śpiewające w rytm uderzeń młotków: „Słuchajcie, jak wałają młoty, słuchajcie, jak biją w gwoździe!”. Oczyma duszy ujrzałem dziarskich kominiarzy w cylindrach, którzy w podskokach przemierzali zaniedbane, ale urokliwe ulice. Wyobrażałem sobie też ludzi jednoczących się ze swadą i pieśnią na ustach we wspólnej walce z trudami codzienności.

Nic nie mogłem na to poradzić. Cała moja wiedza o wiktoriańskich dzielnicach nędzy pochodziła z kiczowatej musicalowej wersji *Olivera Twista*. W wieku dwunastu lat wystąpiłem w niej w miejscowym amatorskim teatryku jako sierota numer pięć, jeśli to kogokolwiek interesuje. W wieczór premiery spanikowałem do tego stopnia, że udałem atak grypy żołądkowej, dzięki czemu mogłem oglądać przedstawienie zza kulis, w kostiumie i z wiadrem na wymioty między kolanami.

Tak czy inaczej, właśnie wyobrażałem sobie otoczenie, gdy dostrzegłem tuż przy swoim ramieniu dziurkę w plandece, bez wątpienia wygryzioną przez szczury. Przesunąłem się nieco i przez nią zerknąłem. Wystarczyło kilka sekund, żeby wesoły musicalowy pejzaż rozplynał się jak zegary na obrazie Salvadora Dali. Pierwszym przerażającym widokiem były ustawione wzdłuż kanału konstrukcje, które nie zasługiwały na miano domów. We wszystkich zapadły się dachy, a chylące się ku upadkowi krzywe ściany były przegniłe. Budynki garbiły się niczym szeregi wyczerpanych żołnierzy, którzy zasnęli, stojąc na baczność. Chyba już dawno runęłyby do wody, gdyby nie były tak ciasno upchnięte na brzegu, a ich dolnej części nie oblepiała gruba i kleista warstwa spoiwa w postaci czarnozielonego, brudnego mułu. Na chwiejnych gankach dostrzegłem skrzynie, które przypominały ustawione na sztorc trumny. Dopiero kiedy usłyszałem dobiegające z jednej z nich donośne stęknienie, a potem dostrzegłem, że spod skrzyni coś wylatuje i wpada do wody, coś sobie uświadomiłem. To nie wiosła pluskały wcześniej na kanale, tylko produkty przemiany materii, które wypadały z wychodków, przyczyniając się do zagęszczenia brudu podtrzymującego chałupy.

Kobiety krzyczące do siebie po obu stronach kanału rzeczywiście tkwiły w przeciwległych oknach, tak jak to sobie wyobrażałem, jednak wcale nie plotkowały ani nie rozwieszały bielizny. Chwilowo skupiły się na wywrzaskiwaniu obelg i pogróżek. Jedna potrząsała stłuczoną butelką i zanosila się pijackim śmiechem, a druga wyrzucała z siebie epitety, które ledwo mogłem zrozumieć („Ściebie to zaśmiardła ściera, co to by za ćwirć pensa kulasy rozwarła przede samiuśkim diabłem!”). Jak na ironię, sama była naga od talii w górę i chyba nie przeszkadzało jej, że ktoś może to zobaczyć. Gdy przepływaliśmy obok,

obie umilkły i zagwizdały na Sharona, ale je zignorował.

Chciałem jak najszybciej wymazać ten obrazek z głowy, ale udało mi się jedynie zastąpić go jeszcze gorszym. Jakaś banda łobuzów przysiadła na chwiejnym mostku nad kanałem i machając nogami, wywijała psem przywiązany za tylne łapy do sznura. Dzieciaki zanurzały biedne stworzenie w wodzie i rechotały, kiedy jego rozpaczliwe szczekanie zamieniało się w bulgot. Niewiele brakowało, a wyskoczyłbym spod brezentu i nawrzeszczał na tę gromadę. Przynajmniej Addison tego nie widział. Gdyby się zorientował, co się dzieje, nic by go nie powstrzymało. Pogoniłby za łobuzami, szczerząc zęby, i tym samym ujawniłby naszą kryjówkę.

— Widzę, co knujesz — wymamrotał do mnie Sharon. — Jeśli chcesz się rozejrzeć, poczekaj. Wkrótce minimy najgorsze.

— Podglądasz? — wyszeptła Emma i trąciła mnie w żebra.

— Może — odparłem, nie przerywając wyglądania przez dziurę.

Sharon nas uciszył. Wyciągnął kij z wody, a z jego uchwytu wydobył krótki nóż, którym przeciął sznurek z psem, kiedy przepływaliśmy obok mostka. Stworzenie wpadło do wody i z wdzięcznością odpłynęło, a chłopcy, wyjąc z wściekłości, obrzucili nas czym popadnie. Sharon kompletnie ich ignorował, podobnie jak wcześniej gwizdzące kobiety, dopóki ogryzek nie przeleciał mu nad uchem. Wtedy westchnął, odwrócił się i lekko zsunął kaptur — żeby tylko chłopcy zobaczyli jego oblicze.

Najwyraźniej ten widok śmiertelnie ich przestraszył, bo wszyscy z wrzaskiem uciekli z mostka. Jeden z nich biegł tak prędko, że się potknął i wpadł do cuchnącej wody. Chichocząc pod nosem, Sharon poprawił kaptur i znów popatrzył przed siebie.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona Emma. — Co to było?

— Powitanie na Diabelskim Poletku — odparł Sharon. — Jeśli chcecie zobaczyć, gdzie jesteśmy, opuśćcie nieco plandekę. Zostało trochę czasu, więc spróbuję wam posłużyć za przewodnika, żebyście nie czuli, że zmarnowaliście złoto.

Wystawiliśmy głowy spod brezentu i wtedy Emma oraz Addison jęknęli — Emma zapewne na widok otoczenia, a Addison z powodu woni, gdyż wymownie zmarszczył nos. Smród był niewiarygodny, zupełnie jakby wokół nas gotowała się potrawka z nieoczyszczonych ścieków.

— Lepiej przywyknij — powiedział Sharon na widok mojej skwaszonej miny.

Emma chwyciła mnie za rękę.

— Jak tu okropnie... — wydusiła.

Rzeczywiście, było ohydnie. Teraz, gdy widziałem otoczenie obojgiem oczu, jeszcze bardziej przypominało mi piekło. Fundamenty wszystkich domów przegniły na wskroś. Zwichrowane mostki, często szerokości deski, gęsto przecinały kanał, którego brzegi były zasypane cuchnącymi śmieciami. Wśród odpadków roiło się od upiornych stworzeń zajętych poszukiwaniem resztek. Jedynymi kolorami w okolicy były rozmaite odcienie czerni, żółci i zieleni, sztandarowe barwy brudu i zgnilizny. Czerń wyraźnie dominowała — plamiła każdą powierzchnię, rozsmarowywała się na wszystkich twarzach

i kreśliła dymne smugi w powietrzu nad wszechobecnymi kominami zarówno domów, jak i widocznych w oddali fabryk. Zakłady produkcyjne co chwilę przypominały o swoim istnieniu donośnym hukiem, niskim i pierwotnym niczym łoskot wojennych bębnow, a do tego tak potężnym, że drżały wszystkie szyby, które uchowały się w okolicy.

— Przyjaciele, oto Diabelskie Poletko — zaczął Sharon świszczącym głosem na tyle cicho, byśmy tylko my go słyszeli. — Rzeczywista liczba mieszkańców wynosi siedem tysięcy dwieście sześć osób. Według oficjalnych danych, nie ma tu nikogo. Władarze miasta w swej mądrości nawet nie uznają jego istnienia. Uroczy ciek wodny, który obecnie przemierzamy, nosi nazwę Rowu Malariańskiego. Nieustannie zasilają go odpady fabryczne, fekalia oraz zwierzęce trupy. Zanieczyszczenia są źródłem nie tylko urzekającego odoru, ale również epidemii, które wybuchają tak regularnie, że można według nich nastawiać zegarek. W dodatku są tak widowiskowe, że cały ten obszar zasłynął jako „stolica cholery”. A jednak... — Uniósł spowite czarnym materiałem ramię i wskazał dziewczynę zanurzającą wiadro w wodzie. — Dla wielu tych nieszczęśników kanał jest zarówno ściekiem, jak i źródłem.

— Ona chyba tego nie wypije! — wykrzyknęła przerażona Emma.

— Za kilka dni, kiedy ciężkie drobiny osiadną, zbierze najbardziej klarowny płyn z samej góry.

— O nie... — wzdrygnęła się Emma.

— Tak. To straszne — oświadczył Sharon bez cienia zainteresowania, po czym dalej wyliczał fakty takim tonem, jakby cytował książkę. — Podstawowym zajęciem obywateli jest zbieranie śmieci i wabienie obcych w ciemny zaułek, by zdzielić ich tam pałką w głowę, a następnie dokonać rabunku. Dla rozrywki mieszkańcy spożywają wszelkiego typu łatwopalne płyny, które uda im się znaleźć, i śpiewają, równie głośno, co fałszywie. Podstawowe produkty eksportowe z tych okolic to żużel po wytopie żelaza, mączka kostka i bieda. Najbardziej godne obejrzenia miejsca to...

— To wcale nie jest śmieszne — przerwała mu Emma.

— Co takiego?

— Powiedziałaś, że to nie jest śmieszne! Ci ludzie cierpią, a pan sobie z nich żartuje!

— Wcale sobie nie żartuję — odparł Sharon wyniośle. — Dostarczam tylko cenne informacje, które pomogą wam ocalić życie. Jeśli jednak macie chęć rzucić się w tę dżunglę w błogiej ignorancji...

— Nie wolimy — powiedziałem. — Ona bardzo przeprasza. Niech pan mówi dalej.

Emma popatrzyła na mnie z dezaprobatą, a ja odwzajemniłem się identycznym spojrzeniem. To nie była pora na polityczną poprawność, nawet jeśli słowa Sharona brzmiały nieco bezdusznie.

— Nie wrzeszczcie tak, na Hadesa — burknął z irytacją. — O czym to ja mówiłem? Jednym z miejsc godnych uwagi jest Więzienie dla Podrzutków im. Rutledge’a, instytucja, która zapobiegliwie izoluje sieroty, nim zdążą popełnić przestępstwo, i tym samym oszczędza społeczeństwu niesłychanych wydatków i kłopotów. Inne ważne miejsce to Dom Wariatów, Szarlatanów oraz Kryminalnych Złośników im. św. Barnaby — leczy woluntarystycznie i ambulatoryjnie, więc niemal zawsze świeci pustkami. Warto też zajrzeć na ulicę Dymną, która stoi w ogniu od osiemdziesięciu siedmiu lat, gdyż nikomu nie

chciało się ugasić podziemnego pożaru. O! — Wskazał poczerniałą przestrzeń między domami na brzegu. — Tu jest jej koniec, jak widzicie, spalony na węgiel.

Kilku mężczyzn pracowało u wylotu ulicy Dymnej, zbijając drewnianą ramę. Uznałem, że przebudowują jeden z domów. Na nasz widok przerwali pracę, aby przywitać się z Sharonem, a on do nich pomachał.

— Przyjaciele? — zapytałem.

— Dalecy krewni — wymamrotał z lekkim zakłopotaniem. — Stawianie szubienic to nasza rodzinna specjalność...

— Stawianie czego? — osłupiała Emma.

Zanim zdążył odpowiedzieć, mężczyźni wrócili do pracy, głośno śpiewając w rytm uderzeń: „Słuchajcie, jak wałą młoty, słuchajcie, jak biją w gwóźdź! Przyłóżmy się do roboty, by szafot powstać mógł!”.

Gdybym nie był taki przerażony, pewnie bym się roześmiał.

* * *

Płynęliśmy spokojnie Rowem Malariańskim. Sharon miarowo odpychał się kijem od dna, ale musiał zachowywać szczególną ostrożność, bo momentami kanał tak się zwężył, że mostki były niepotrzebne — dałoby się go pokonać, skacząc z dachu na dach. Szare niebo wyglądało jak wąska szczelina między budynkami, więc dookoła panował nieprzyjemny półmrok. Sharon nieustannie trąkotał niczym chodzący podręcznik. W kilka minut zdołał nam opowiedzieć o modzie w Diabelskim Poletku (szczególną popularnością cieszyły się przytroczone do pasa kradzione peruki), o produkcie krajowym brutto (mocno na minusie) oraz o historii powstania Poletka (założyli je przedsiębiorczy hodowcy czerwi na początku dwunastego wieku). Właśnie zaczął opisywać architekturę, kiedy Addison, który dotąd niecierpliwiał się obok mnie, w końcu mu przerwał.

— Chyba zna pan wszystkie fakty dotyczące tej piekielnej dziury poza tymi, które mogłyby się nam choć trochę przydać — oznajmił.

— Czyli? — spytał Sharon ze zniecierpliwieniem.

— Komu możemy tu zaufać?

— Absolutnie nikomu.

— Jak znajdziemy osobliwców, którzy żyją w tej pętli? — zapytała Emma.

— Lepiej, żebyście ich nie znaleźli.

— Gdzie upiory przetrzymują naszych przyjaciół? — Tym razem to ja zadałem pytanie.

— Taka wiedza szkodzi interesom — odparł spokojnie Sharon.

— Zatem proszę nas wypuścić z tej przeklętej łodzi, a sami poszukamy odpowiedzi! — parsknął Addison. — Marnujemy cenny czas, a pański nieustający monolog mnie usypia. Wynajęliśmy

przewoźnika, nie belfra!

— Za nieuprzejmość powinienem wrzucić was do rowu. Tyle że wówczas nie dostałbym swoich złotych monet — burknął Sharon.

— Złotych monet! — powtórzyła Emma z niesmakiem. — A dobro innych osobliwców? A lojalność? W odpowiedzi Sharon zachichotał.

— Gdyby mi na tym zależało, od dawna bym nie żył — oświadczył.

— Tak by było lepiej dla wszystkich — wymamrotała Emma i odwróciła wzrok.

W trakcie rozmowy otoczyły nas macki mgły, która nie przypominała tej szarej z Cairnholm. Była tłusta i żółtobrazowa, barwy i konsystencji zupy z kabaczka. Najwyraźniej zaniepokoiła Sharona, a gdy zasnuła mu widok przed łodzią, zaczął kręcić głową, jakby spodziewał się kłopotów albo szukał miejsca, w którym mógłby nas wyrzucić.

— Tam do czorta — mruknął. — Zły znak.

— Przecież to tylko mgła — zauważyła Emma. — My nie boimy się mgły.

— Ja też nie — odparł. — Ale to nie mgła. To wyziewy, w dodatku wytworzone przez człowieka.

W wyziewach dzieją się paskudne rzeczy, więc musimy wydostać się stąd jak najszybciej.

Syknął, żebyśmy się zakryli, i tak właśnie zrobiliśmy. Znów obserwowałem okolicę przez dziurkę w brezencie. Po chwili z wyziewów wyłoniła się łódź i minęła nas, płynąc w przeciwnym kierunku. Przy wiosłach siedział mężczyzna, a miejsce na ławeczce zajmowała kobieta, i choć Sharon przywitał się z nimi, tylko patrzyli na niego w milczeniu, dopóki wyziewy nie pochłoneły ich ponownie. Mamrocząc pod nosem, Sharon skierował łódkę ku lewemu brzegowi i niewielkiej przystani, którą ledwie widziałem. Kiedy jednak usłyszeliśmy kroki na deskach i szmer głosów, natychmiast oparł się na drągu, żeby oddalić się od pomostu.

Sunęliśmy zygzakiem od brzegu do brzegu w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na przycumowanie, jednak za każdym razem, gdy gdzieś podpływaliśmy, Sharon dostrzegał coś, co mu się nie podobało, i znów się oddalał od brzegu.

— Sępy — wymamrotał. — Wszędzie sępy...

Nie widziałem nikogo, dopóki nie dopłynęliśmy do rozpadającej się kładki, po której szedł jakiś mężczyzna. Kiedy dziób naszej łodzi zniknął pod mostkiem, nieznajomy przystanął i spojrzał w dół, po czym otworzył usta. Głęboko odetchnął, a ja pomyślałem, że chce krzyczeć o pomoc, jednak zamiast głosu z jego gardła wydobył się strumień gęstego żółtego dymu, który wystrzelił ku nam niczym woda z węża strażackiego.

Spanikowany wstrzymałem oddech. A jeśli to był trujący gaz? Sharon jednak nie zasłonił twarzy ani nie sięgnął po maskę, tylko przez cały czas mamrotał: „Tam do czorta”, podczas gdy oddech nieznajomego kłębił się wokół nas, mieszał z wyziewami i ograniczał widoczność do zera. Po kilku sekundach straciłem z oczu mężczyznę, mostek, na którym stał, i oba brzegi.

Odsłoniłem głowę, gdyż i tak nikt nie mógł nas zobaczyć.

— Kiedy wspomniał pan, że te wyziewy to wytwór człowieka, sądziłem, że chodzi o kominy fabryczne, a nie że mówi pan dosłownie... — powiedziałem cicho.

— O rany. — Emma też się odkryła. — Po co to?

— Sępy wypełniają okolicę wyziewami, żeby ukrywać, co robią — odparł Sharon. — I oślepić ofiary. Na szczęście dla was nie tak łatwo mnie upolować.

Wyciągnął kij z wody, uniósł go nad naszymi głowami i stuknął nim w drewniane oko na dziobie, które pojaśniało jak lampa przeciwmgielna i rozświetliło wyziewy przed nami. Ponownie zanurzył drąg, oparł się na nim całym ciężarem ciała i powoli zatoczył łodzią koło, omiatając światłem przestrzeń przy łodzi.

— Ale skoro potrafią to robić, to są osobliwcami, prawda? — zauważyła Emma. — A jeśli to są osobliwcy, może nie mają złych zamiarów.

— Osobliwcy czystego serca nie zostają kanałowymi piratami — burknął Sharon i przestał kręcić kółko, kiedy nasze światło padło na zbliżającą się łódź. — O wilku mowa.

My widzieliśmy ich dobrze, ale oni mogli dostrzec tylko oślepiający blask. Nie dawało nam to szczególnej przewagi, lecz przynajmniej zdążyliśmy ocenić przeciwnika i dopiero potem ukryć się pod brezentem. Łodzią mniej więcej dwukrotnie większą od naszej podróżowało dwóch mężczyzn: jeden kierował niemal zupełnie cichym przyczepnym silnikiem, drugi trzymał w dłoni pałkę.

— Skoro są tacy niebezpieczni, to dlaczego na nich czekamy? — wyszeptałem.

— Zapusciliśmy się zbyt głęboko, żeby teraz uciec, no i najprawdopodobniej uda mi się ich zagadać.

— A jeśli nie? — chciała wiedzieć Emma.

— Wówczas może będziecie zmuszeni płynąć.

— Wolałabym umrzeć — powiedziała, patrząc na oleistą, czarną wodę.

— Twój wybór. Dzieci, proponuję, żebyście się ukryły i ani drgnęły.

Znów schowaliśmy głowy.

— Ahoj, przewoźniku! — zawołał donośny głos.

— Ahoj — odparł Sharon.

Usłyszałem plusk wioseł i poczułem wstrząs, gdy druga łódź stuknęła o naszą.

— Co tu robisz?

— Wybrałem się na rejs wycieczkowy dla przyjemności — odparł Sharon pogodnie.

— Piękny dzień na wycieczkę! — roześmiał się mężczyzna.

Jego towarzysz nie był w nastroju na żarty.

— Co tam ma pod tom płachtom? — warknął bełkotliwie.

— To, co wiozę w mojej łodzi, to moja sprawa.

— Wszystko, co siem dziejem wew Rowie Malariańskim jest naszym sprawom.

— Stare liny i drobiazgi, skoro musisz wiedzieć — oświadczył Sharon. — Nic interesującego.

— Więc z pewnością pozwolisz nam na to zerknąć — zauważył pierwszy mężczyzna.

— A nasza umowa? Nie zapłaciłem wam w tym miesiącu?

— Ni ma już umów — obwieścił drugi. — Upiory płacom po pinciokróć wincej jak zwykle za pinkne, tłuściuchne tuczniki. A jak siem któren wymknie... trafim do jamy abo i gorzej.

— Co może być gorszego niż jama? — spytał pierwszy.

— Ni chcem wiedzieć.

— Panowie, apeluję o rozsądek — powiedział Sharon. — Może pora na renegocjacje. Jestem gotów zaproponować warunki lepsze niż ktokolwiek...

Tuczniki. Zadrzałem mimo upału pod plandeką, nasilającego się za sprawą coraz gorętszych dłoni Emmy. Miałem nadzieję, że nie będzie musiała robić z nich użytku, ale mężczyźni nie odpuszczali. Obawiałem się, że paplanina naszego przewoźnika ich nie powstrzyma, a walka będzie oznaczała tragedię. Nawet gdybyśmy zdołali pokonać mężczyzn w łodzi, to i tak sępy, jak twierdził Sharon, były wszędzie. Wyobraziłem sobie tuszczę, która rusza za nami w łodziach, strzela z brzegów, skacze z mostków, i zamarłem ze strachu. Naprawdę bardzo, ale to bardzo nie chciałem się dowiedzieć, o jakich tucznikach mowa.

Wtedy usłyszałem krzepiący dźwięk — brzęk przekazywanych monet.

— Ja ciem krencem! — wykrzyknął drugi mężczyzna. — Z takom pełnom kabzom to by mógł wybyć na starość do Izpanii...

Kiedy już nabrałem nadziei, ścisnęło mnie w brzuchu. Poczułem znajomy ucisk i uświadomiłem sobie, że narasta już od pewnego czasu. Zaczął się jako swędzenie, potem przerodził w tępy ból, a teraz się nasilił, co oznaczało bliskość głucholca.

Nie pierwszego lepszego głucholca. Mojego głucholca.

To słowo pojawiło się w mojej głowie bez żadnego ostrzeżenia. Mojego. Może zresztą było odwrotnie. Może to ja należałem do niego.

Żadna z tych opcji nie gwarantowała mi bezpieczeństwa. Z pewnością chciał mnie zabić, jak każdy głucholec, ale wcześniej coś go powstrzymało. Teraz zbliżał się do mnie, a ja go wyczuwałem, jakbym miał w sobie igłę kompasu, która podpowiadała mi, że głucholec zaraz tu będzie.

Dogonił nas w chwili, gdy groziło nam pojmanie i śmierć. Być może zamierzał nas zgładzić osobiście. Postanowiłem, że jeśli uda się nam dotrzeć bezpiecznie na brzeg, przede wszystkim pozbędę się tego głucholca.

Tylko gdzie on był? Jeśli tak blisko, jak mi się wydawało, z pewnością płynął do nas kanałem. Dlaczego jednak nie słyszałem plusku siedmiu kończyn stwora? Moja wewnętrzna igła kompasu nagle drgnęła i skierowała się w dół. Wtedy już wiedziałem ze stuprocentową pewnością, że głucholec jest pod wodą. Wyglądało na to, że głucholce nie potrzebowały powietrza tak bardzo jak ludzie.

Po chwili rozległo się ciche puknięcie, gdy potwór przywarł do dna łodzi. Wszyscy podskoczyliśmy, jednak tylko ja byłem świadomy, co to takiego. Żałowałem, że nie mogę ostrzec przyjaciół, ale musieliśmy leżeć bez ruchu. Tymczasem głucholec znajdował się zaledwie kilka centymetrów ode mnie, pod deskami, z których zbito łódź.

— Co to było? — spytał pierwszy mężczyzna.

— Nic nie słyszałem — skłamał Sharon.

„Odejdź” — pomyślałem w nadziei, że głucholec usłyszy. „Odejdź i daj nam spokój”.

On jednak zaczął chrobotać o drewno. Wyobraziłem sobie, jak długimi zębami wgryza się w dno łodzi.

— A ja usłyszała, i to jak! — oświadczył drugi. — Reg, przywoźnik dybili zez nas robi!

— Też tak myślę — mruknął pierwszy.

— Zapewniam was, że to nie ma nic wspólnego z prawdą — powiedział Sharon. — To ta cholerna rozklekotana łajba. Już od dawna należy się jej remont.

— Zapomnij o umowie. Pokaż, co tam masz.

— Mogę też podbić stawkę — oświadczył Sharon. — W ramach nagrody za wasze zrozumienie.

Mężczyźni cicho się naradzili.

— Jak go puścim, kto inszy złapie go zez tucznikami, a my trafim do jamy — powiedział drugi.

— Albo i jeszcze gorzej — dodał pierwszy.

„Odejdź, odejdź, odejdź” — błagałem głucholca po angielsku.

„Bum, bum, BUM” — odpowiedział, dudniąc w dno.

— Ściągaj ten brezent! — zażądał pierwszy.

— Proszę chwileczkę poczekać...

Mężczyźni byli jednak zdeterminowani. Nasza łódź zakołysała się, jakby ktoś na nią wszedł. Rozległy się krzyki, a potem kroki i odgłosy walki tuż przy naszych głowach.

„Nie ma sensu się chować” — pomyślałem. Moi towarzysze chyba też doszli do tego wniosku. Zauważyłem, że rozzarzone palce Emmy dotykają plandeki.

— Na trzy — wyszeptała. — Gotowy?

— Jak na wyścigach — warknął Addison.

— Czekaście — wtrąciłem. — Powinniście wiedzieć, że pod łodzią jest...

Coś zdarło z nas brezent i nie zdołałem dokończyć zdania.

* * *

Wszystko rozegrało się bardzo szybko. Addison ugryzł w rękę zdumionego mężczyznę, który odciągnął plandekę, a Emma podrapała mu twarz parzącymi palcami. Mężczyzna zawył, a cofając się, stracił równowagę i wpadł do wody. Sharon leżał po ciosie, drugi mężczyzna zaś stał nad nim z uniesioną pałką. Addison skoczył i złapał go za nogę, a gdy ten odwrócił się, żeby strząsnąć psa, Sharon skorzystał ze sposobności, podniósł się i uderzył napastnika w brzuch. Mężczyzna zgiął się wpół, a wtedy Sharon go rozbroił, sprawnie wykonując młynek kijem.

Obcy postanowił rejterować, póki jeszcze mógł, i wskoczył z powrotem do swojej łodzi. Sharon zdarł z silnika impregnowane płótno, szarpnął za linkę zapłonową i nasza łódź ożyła w chwili, gdy

z wyziewów raptownie wyłoniła się trzecia jednostka z trzema kolejnymi mężczyznami na pokładzie, w tym jednym uzbrojonym w staroświecki pistolet, wycelowany prosto w Emmę.

Krzyknąłem, żeby padła, i sam ją powaliłem w chwili, gdy pistolet wystrzelił w chmurze białego dymu. Potem mężczyzna skierował lufę na Sharona, który dał sobie spokój z silnikiem i uniósł ręce. Pewnie byłoby już po nas, gdyby nie dziwne słowa, wylewające się ze mnie, głośne, dobitne i całkiem mi obce.

„Zatop ich łódź! Użyj języków i zatop ich łódź!”

W ułamku sekundy wszyscy skierowali na mnie wzrok. Głucholec oderwał się od dna, wykonał potężny zamach jęzoramami, otoczył nimi krawędź rufy i pociągnął ją pod wodę. Łódź zrobiła salto do tyłu, a wszyscy trzej mężczyźni widowiskowo wpadli do wody. Opadający kadłub gruchnął do góry dnem na dwóch z nich.

Sharon mógł teraz skorzystać z okazji, dodać gazu i umknąć, ale wyraźnie zaszokowany stał jak słup soli, z uniesionymi rękami.

Co nie miało znaczenia, bo i tak jeszcze nie skończyłem.

„Ten” — powiedziałem, wskazując na uzbrojonego mężczyznę, który szamotał się w topieli. Głucholec najwyraźniej słyszał mnie pod wodą, ponieważ po chwili mężczyzna wrzasnął, spojrział w dół i zniknął w odmętach. Woda niemal od razu zabarwiła się na czerwono.

— Nie mówiłem, żebyś go zjadł! — odezwałem się po angielsku.

— Na co pan czeka?! — krzyknęła Emma do Sharona. — Uciekajmy!

— Już, już — wymamrotał.

Wyrwany z odrętwienia opuścił ręce i pochylił się nad silnikiem, który natychmiast zawył. Sharon chwycił ster i ostro zawrócił, przewracając Emmę, Addisona i mnie. Łódź szarpnęła, wystrzeliła naprzód i już po sekundzie pędziliśmy przez kłęby wyziewów tą samą drogą z powrotem.

Emma i ja popatrzyliśmy na siebie, i chociaż motor za bardzo hałasował, żeby dało się cokolwiek usłyszeć, a do tego dudniło nam w uszach, widziałem na jej twarzy i strach, i radość. Jej spojrzenie mówiło: „Jacobie Portmanie, jesteś niesamowity i przerażający”. Kiedy jednak w końcu przemówiła, zrozumiałem tylko jedno słowo: „Dokąd?”.

No właśnie. Miałem nadzieję, że uda nam się uciec od głucholca, kiedy będzie wykańczał kanałowego pirata, ale wnioskując z bólu, nadal był blisko. Płynął za nami, zapewne uczepliwszy się łodzi jęzorem jak liną holowniczą.

„Niedaleko” — wyszeptałem.

Jej oczy błysnęły i skinęła głową.

„To dobrze” — zdawała się mówić.

Pokręciłem głową. Dlaczego się nie bała? Czemu nie dostrzegła powagi zagrożenia? Głucholec zakosztował krwi i właśnie zostawił niedokończony posiłek. Kto wiedział, jak paskudne miał zamiary? Emma jednak patrzyła na mnie i uśmiechała się w taki sposób, że poczułem przypływ energii, jakbym

mógł zrobić wszystko.

Szybko zbliżyliśmy się do mostku z zionącym wyziewami osobliwcem. Wpatrywał się w nas, kucając i mierząc do nas z karabinu, który oparł o barierkę.

Schyliliśmy się natychmiast i usłyszałem dwa strzały. Kiedy ponownie uniosłem wzrok, zobaczyłem, że obie kule chybiły celu.

Wpływaliśmy pod mostek i było jasne, że za moment, gdy pojawimy się z drugiej strony, osobliwiec znowu do nas strzeli. Nie mogłem na to pozwolić.

Odwróciłem się i po głucholsku krzyknąłem: „Most!”. Potwór najwyraźniej od razu zrozumiał, o co mi chodzi. Dwa jężory, którymi nie uczeplił się łodzi, wystrzeliły w górę i z mokrym plaśnięciem owinęły się wokół wątych filarów. W rezultacie wszystkie trzy języki rozciągnęły się w trzech kierunkach i napięły do granic możliwości niczym gumka, wyciągając z wody głucholca, który zawisł w powietrzu, naprężony między łodzią a mostem jak rozgwiazda.

Łódź zwolniła tak szybko, jakby ktoś pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, i wszyscy runęliśmy na deski. Rozkołysany mostek zaskrzypiał, a celujący do nas osobliwiec zachwiał się i upuścił broń. Pomyślałem, że ustąpi albo most, albo głucholec, który kwiczał jak mordowana świnia. Gdy jednak osobliwiec schylił się po karabin, zrozumiałem, że most wytrzyma, więc łódź bez sensu wytraciła pęd i prędkość. Teraz już nawet nie byliśmy ruchomym celem.

„Puść!” — krzyknąłem do głucholca w jego języku.

Nie zwolnił uścisku. Ten stwór nigdy nie zostawiłby mnie z własnej woli, więc pobiegłem na rufę i wychyliłem się za burzę. Jeden z jęzorów był mocno owinięty wokół steru. Pamiętając, że głucholec puścił Emmę, gdy go dotknęła, przyciągnąłem ją do siebie i kazałem jej rozgrzać ster. Zrobiła to, chociaż omal nie wypadła za burzę, a głucholec zaskowytał i puścił łódź.

To było niczym wystrzał z procy. Głucholec odfrunął i gruchnął o most, roztrzaskując kruchą konstrukcję, która przechyliła się i runęła do wody. W tym samym momencie tył naszej łodzi opadł, a ponownie zanurzona śruba przecięła wodę i pchnęła nas naprzód. Gwałtowne przyspieszenie sprawiło, że poprzewracaliśmy się niczym kręgle. Sharon zdołał uczeplić się steru i wyprostować, jednocześnie kierując łódź przed siebie, żeby uniknąć kolizji z brzegiem kanału. Łódź pruła naprzód, znacząc na wodzie szlak w kształcie litery V.

Kuliliśmy się na wypadek dalszego ostrzału, ale wyglądało na to, że bezpośrednie zagrożenie minęło. Sępy zostały w tyle i nie wyobrażałem sobie, żeby mogły nas teraz złapać.

— To ta sama kreatura, którą spotkaliśmy w metrze, prawda? — spytał zadyszany Addison.

Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech, więc wypuściłem powietrze z płuc, po czym skinąłem głową. Emma zerknęła na mnie, czekając na dalsze wyjaśnienia, ale ja nadal zastanawiałem się nad tym, co przed chwilą zaszło. Jedno było pewne — tym razem prawie go dopadłem, całkiem jakbym z każdym spotkaniem wchodził głębiej w świadomość głucholca. Słowa przychodziły mi łatwiej, nie brzmiały już tak obco, a stwór stawiał coraz mniejszy opór. Mimo to był niczym tygrys na smyczy: w każdej chwili

mógł skoczyć i odgryźć któremuś z nas fragment ciała. A jednak, z powodów których nie potrafiłem zrozumieć, nie doszło do tego.

Pomyślałem, że być może przy kolejnej próbie zdołam nad nim naprawdę zapanować. A potem... Potem... Mój Boże, co za myśl.

Będziemy niepokonani.

Popatrzyłem na resztki mostu, kurz i drzazgi wirujące w powietrzu tam, gdzie przed chwilą stała konstrukcja. Zastanawiałem się, czy nie dostrzegę wyłaniającej się spod wody kończyny, ale kłębiły się tam wyłącznie śmieci. Staralem się wyczuć głucholca instynktem, jednak nic z tego nie wyszło — byłem pusty i zmordowany. Po chwili opary koloru błota zasnuły przestrzeń za nami, zasłaniając widok.

Potwór dał się zabić akurat wtedy, gdy był mi potrzebny.

* * *

Łódź zakołysała się w przód i w tył, kiedy Sharon zwolnił i skręcił w prawo, sunąc przez powoli rozwiewające się wyziewy ku upiornemu blokowisku. Budynek tworzył rozległy, niemal jednolity mur, który przypominał ścianę labiryntu wzniesionego na podobieństwo złowrogiej fortecy z nielicznymi wejściami. Powoli płynęliśmy wzdłuż brzegu, wypatrując odpowiedniego miejsca do zacumowania. Emma w końcu coś dostrzegła, choć dopiero kiedy zmrużyłem oczy, zorientowałem się, że to nie jest gra świateł.

Nazwanie tego miejsca alejką byłoby przesadą. Znaleźliśmy się w wąskim jak ostrze noża przejściu, szerokim na pół metra i pięćdziesięciokrotnie wyższym. U wlotu wisiała porośnięta mchem drabinka, przykręcona do nabrzeża. Widziałem tylko krótki fragment korytarza, który skręcał i nikł w mroku.

— Dokąd tędy dotrzemy? — spytałem.

— Tam, gdzie można się porwać z motyką na słońce — odparł Sharon. — Nie tutaj chciałem was wysadzić, ale chwilowo mamy ograniczone możliwości. Na pewno nie wolicie opuścić Poletka? Wciąż jeszcze jest czas.

— Na pewno — odparli Emma i Addison jednocześnie.

Osobiście chętnie bym to omówił, ale było już za późno na odwrót. „Ocalimy ją albo zginiemy w walce” — powiedziałem niedawno. Nadeszła pora na skok do głębokiej wody.

— W takim razie, ziemia na horyzoncie! — mruknął Sharon z ironią. Wyciągnął cumę spod ławki, przerzucił koniec liny przez drabinkę i przyciągnął łódź do brzegu. — Wszyscy wysiadają, tylko ostrożnie! Chwileczkę, najpierw ja.

Wspiął się po śliskiej drabince, w której brakowało połowy szczebli, ze zręcznością kogoś, kto robił to wiele razy. Na górze przykląkł i wyciągnął rękę, żeby nam pomóc. Emma poszła pierwsza, ja zaś podniosłem zdenerwowanego i wyrrywającego się Addisona. Ze względu na swoją dumę i głupotę wdrapałem się po drabince bez asekuracji Sharona i omal nie przypłaciłem tego upadkiem.

Kiedy znaleźliśmy się bezpiecznie na łodzi, Sharon ruszył z powrotem do łodzi, której silnik przez cały czas pracował na jałowych obrotach.

— Chwileczkę! — zawołała Emma. — Dokąd to?

— Jak najdalej stąd — odparł, zeskakując z drabinki na pokład. — Rzucicie linę?

— Na pewno nie! Najpierw musi nam pan pokazać, dokąd mamy iść. Nie wiemy, gdzie jesteśmy.

— Nie oprowadzam po łodzi. Jestem przewodnikiem wodnym, tylko i wyłącznie.

Popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem.

— To proszę nam dać wskazówki! — nalegałem.

— Albo lepiej mapę — wtrącił Addison.

— Mapę! — wykrzyknął Sharon, jakby nigdy w życiu nie słyszał nic równie głupiego. — Na Diabelskim Poletku jest więcej złodziejskich przejść, tuneli dla morderców i wszelkiego typu melin niż gdziekolwiek. Nie da się sporządzić mapy takiego miejsca! A teraz dosyć tej dziecinady, dawać linę.

— Nie, dopóki nie powie nam pan czegoś użytecznego! — sprzeciwiła się Emma. — Proszę mi podać nazwisko kogoś, kto nam pomoże i nie sprzeda nas upiorom!

Sharon wybuchnął śmiechem, a Emma spojrzała na niego spode łba.

— Musi być chociaż jedna taka osoba — burknęła.

— Właśnie z nią rozmawiasz. — Sharon się uklonił, po czym znów wszedł na drabinę. W połowie drogi na górę wyjął sznur z rąk Emmy. — Dosyć tego. Do widzenia, dzieci. Jestem pewien, że już nigdy się nie spotkamy.

Po tych słowach wszedł do łodzi i natychmiast zanurzył się po kostki w wodzie. Piszcząc jak mała dziewczynka, pochylił się, żeby ocenić szkody. Wyglądało na to, że kule, które nas ominęły, wydrążyły kilka dziur w pokładzie i teraz łódź przeciekała.

— To wszystko przez was! — wrzasnął. — Zrobili mi sito z łodzi!

— Co przez nas? — Oczy Emmy błysnęły.

Sharon przyjrzał się otworom w drewnie i doszedł do wniosku, że obrażenia są poważne.

— Jestem rozbitkiem! — rzekł dramatycznym tonem i zgasił silnik. Potem złożył drąg i znów wlaź na drabinę. — Muszę znaleźć rzemieślnika, który zdoła naprawić moją łajbę — mruknął, gdy nas mijał. — I nie chcę, żebyście za mną szli.

Natychmiast ruszyliśmy za nim wąskim przejściem.

— A to dlaczego? — spytała Emma ostro.

— Bo jesteście przekłęci! Przynosicie pecha! — Sharon zamachał rękami, jakby odpędzał muchy. — Sio!

— Jakie znowu sio?

Emma podbiegła do Sharona i złapała go za rękaw płaszcza. Odwrócił się i wyszarpnął, a ja przez chwilę myślałem, że ją uderzy. Zamarłem, gotów rzucić się na niego, ale on tylko stał z ostrzegawczo uniesioną dłonią.

— Pływałem tą trasą więcej razy, niż dałbym radę zliczyć, i ani razu nie zaatakowali mnie piraci z Rowu. Nigdy nie musiałem się dekonspirować i używać silnika. Nigdy przenigdy nie zniszczono mi łodzi. Za dużo z wami problemów. Nie chcę was więcej widzieć.

Kiedy mówił, popatrzyłem w głąb przesmyku. Mój wzrok nadal przyzwyczajał się do ciemności, ale to, co zdołałem zobaczyć, przeraziło mnie. Przejście wiło się i przypominało labirynt, a ściany domów z otworami po wyrwanych drzwiach zionęły pustką niczym usta pełne dziur po usuniętych zębach. Ze środka dobiegały złowieszcze szepty, chrzęsty i pośpieszne kroki. Czuję na sobie wygłodniałe spojrzenia i wyobraziłem sobie, że obserwujące nas istoty dobywają noży.

Nie mogliśmy zostać tu sami. Nadeszła pora na błagania.

— Zapłacimy dwa razy tyle, ile obiecaliśmy — oznajmiłem.

— Naprawimy pańską łódź — dodał Addison.

— Mam gdzieś wasze drobnaki! — warknął Sharon. — Nie widzicie, że jestem zrujnowany? Niby jak mam wrócić do Diabelskiego Poletka? Myślicie, że sępy dadzą mi spokój po tym, jak moi klienci zabili dwójkę z nich?

— A co mieliśmy zrobić? — spytała Emma. — Musieliśmy walczyć.

— Nie bądź śmieszna. Nie byłoby sprawy, gdyby nie... Gdyby... — Sharon popatrzył na mnie i zniżył głos do szeptu. — Mogłeś wspomnieć, że się kumasz ze stworzeniami nocy!

— Eee... — zająknąłem się. — Nie nazwałbym tego kumaniem się.

— Niewielu rzeczy boję się na tym świecie, ale z zasady trzymam się z daleka od potworów wysysających dusze, a jeden z nich gania za tobą jak pies myśliwski! Pewnie zaraz się zjawi?

— Mało prawdopodobne — oznajmił Addison. — Już pan nie pamięta, jak most zwałił mu się na głowę?

— To był malutki mostek — odparł Sharon. — A teraz przepraszam, muszę się z kimś spotkać w sprawie łodzi.

Po tych słowach odszedł pospiesznie. Nim się ruszyliśmy, już skręcał za róg, a gdy udało nam się tam dotrzeć, zdążył zniknąć, być może w jednym z tuneli, o których wspominał. Staliśmy, przestępując z nogi na nogę, skołowani i wystraszeni.

— Nie wierzę, że tak nas porzucił! — mruknąłem.

— Ja też nie — oznajmił Addison. — Właściwie wątpię, by to zrobił. Raczej negocjuje. — Odkasznął, przysiadł na tylnych łapach, zadarł łeb i wrzasnął głośno: — Szlachetny panie! Chcemy uratować naszych przyjaciół i nasze ymbryniki, i zapewniam, że to uczynimy. Kiedy się dowiedzą, jak pan nam pomógł, będą niezwykle wdzięczni. — Umilkł na chwilę, po czym ciągnął: — Do diaska ze współczuciem! Plwać na lojalność! Jeśli jest pan tak inteligentny i ambitny, jak mniemam, dostrzeże pan dla siebie niezwykłą okazję. Już mamy wobec pana dług, niemniej wyciąganie bilonu od dzieci i zwierząt to nic w porównaniu z tym, ile może panu przynieść wdzięczność kilku ymbrynek. Może otrzyma pan własną pętlę, własny zakątek bez innych osobliwców, którzy wchodziliby panu w paradę. Kiedy i gdzie

pan zechce: na pięknej, słonecznej wyspie w czasie pokoju albo w paskudnej dziurze w czasach zarazy.
Do wyboru, do koloru.

— Naprawdę mogłyby to zrobić? — wyszeptałem do Emmy.

Bez słowa wzruszyła ramionami.

— Proszę sobie wyobrazić możliwości! — kusił Addison.

Jego słowa rozniosły się echem po okolicy, a my czekaliśmy w milczeniu. Po chwili dobiegły nas podniesione głosy dwóch osób i suchy kaszel. Ktoś ciągnął po schodach coś ciężkiego.

— Cóż, to była ładna przemowa — westchnęła Emma.

— Zapomnijmy o nim. — Popatrzyłem na przejścia po lewej, prawej i na wprost nas. — Którędy?

Wybraliśmy pierwsze lepsze przejście, to na wprost, i ruszyliśmy przed siebie. Zaledwie po dziesięciu krokach usłyszeliśmy znajomy głos:

— Na waszym miejscu nie szedłbym tędy. To Załek Kanibali. Prawdziwych.

Za nami stał Sharon, z rękami na biodrach jak instruktor fitnessu.

— Chyba miękne na starość — mruknął. — Albo coś mi się porobiło z głową.

— Czy to znaczy, że pan nam pomoże? — spytała Emma.

W tej samej chwili zaczęło mżyć. Sharon podniósł głowę, żeby deszczyk skropił jego ukrytą twarz.

— Znam tu takiego jednego prawnika — oświadczył. — Najpierw chcę podpisać umowę i ustalić wysokość zapłaty.

— Dobrze, dobrze — uspokoiła go Emma. — Ale pomoże nam pan?

— Potem muszę się zająć naprawą łodzi.

— A później?

— Później pomogę, chociaż niczego nie gwarantuję. Poza tym chciałbym od razu poinformować was, że moim zdaniem jesteście durniami.

Jakoś nie byliśmy w nastroju na podziękowania, zważywszy na to, na co nas naraził.

— A teraz trzymajcie się mnie i dokładnie wykonujcie wszystkie polecenia — dodał. — Zabiliście dzisiaj dwa sępy, więc zapewniam was, że pozostałe będą was ścigać.

Zgodziliśmy się bez wahania.

— Jeśli was złapią, nie znamy się. Nigdy mnie nie widzieliście.

Kiwaliśmy głowami, jakby były na sprężynach.

— I cokolwiek się stanie, nigdy przenigdy nie dotykajcie nawet kropli ambrozji, bo, jak pragnę zdrowia, pozostaniecie tutaj na zawsze.

— Nawet nie wiem, co to jest — oświadczyłem.

Sądząc po minach Emmy i Addisona, oni również nie mieli pojęcia.

— Dowiedcie się — zapowiedział Sharon złowieszczo.

Odwrócił się, łopocząc połamami płaszcz, i ruszył prosto do labiryntu.



ROZDZIAŁ TRZECI



W nowoczesnej rzeźni, przed ogłuszeniem krowy prowadzi się ją przez kręty labirynt. Ostre zakręty i ślepe zaułki sprawiają, że zwierzę widzi tylko to, co ma przed sobą i niemal do samego końca nie zdaje sobie sprawy, dokąd zmierza. Krowa uświadamia sobie, co ją czeka, dopiero kiedy labirynt zwęża się raptownie, a na jej szyję trafia ciasny metalowy kołnierz. Gdy nasza trójka pędziła za Sharonem do samego serca Diabelskiego Poletka, czułem, że doskonale wiem, co mnie czeka, lecz nie miałem pojęcia, kiedy i jak to się stanie. Z każdym krokiem i przy każdym zakręcie coraz głębiej wchodziliśmy w gęstwinę alejek, a we mnie narastał lęk, że nigdy nie uda się nam z niej wypłatać.

Powietrze było stęchłe i zupełnie nieruchome. W szczelinie wysoko nad naszymi głowami przebłyskiwały skrawki nieba. Wybrzuszone i pochyłe mury znajdowały się tak blisko siebie, że momentami musieliśmy przeciskać się między nimi bokiem. Ci, którzy wędrowali tą drogą przed nami, pozostawili po sobie tłuste, czarne plamy. Nie dostrzegłem tu niczego naturalnego, żadnej zieleni i żadnych żywych stworzeń, z wyjątkiem pełzającego robactwa i ludzi-upiorów o przekrwionych oczach, którzy czaili się za progami i pod kratami studzienek kanalizacyjnych. Z pewnością by nas zaatakowali, gdyby nie nasz wysoki, ubrany na czarno przewodnik. Śmierć we własnej osobie wiodła nas do piekielnej otchłani.

Raz za razem skręcaliśmy, a każdy kolejny przesmyk wyglądał tak jak poprzedni. Nigdzie nie było ani znaków, ani tablic. Albo Sharon miał genialną pamięć, albo szedł na oślep, próbując zgubić kanałowych piratów, którzy mogli nas tropić.

— Wie pan, dokąd idziemy? — spytała go Emma.

— Pewnie, że tak! — warknął.

Nie oglądając się za siebie, skoczył za róg. Potem przystanął, zawrócił i przeszedł przez otwór znajdujący się częściowo pod poziomem ulicy. Znaleźliśmy się w zatechłej piwnicy, wysokiej zaledwie na półtora metra i oświetlonej słabym ziemistoszarym światłem. Zgarbieni pokonywaliśmy podziemny korytarz, depcząc zwierzęce kości i szorując głowami po suficie. Starłem się nie patrzeć na to, co mijamy — zauważyłem skuloną sylwetkę w kącie, kilka rozdygotanych osób śpiących na wytartych słomiankach i leżącego na ziemi młodego obdartusa z żebraczym wiaderkiem na ręce. Przejście kończyło się pomieszczeniem, a tam, w świetle z kilku brudnych okien ujrzałem dwie wymizerowane praczki, które na klęczkach szorowały ubrania w cuchnącej wodzie z Rowu.

Potem wspięliśmy się po paru stopniach i, Bogu dzięki, trafiliśmy na wspólne dla kilku budynków

podwórze. W innej rzeczywistości pewnie rosłaby tu trawa albo stała altanka. Ponieważ jednak znajdowaliśmy się na Diabelskim Poletku, podwórze było brudne jak chlew. Pod ścianami zalegały sterty rozwiewanych przez muchy śmieci, które ludzie wyrzucali przez okna, a w koślawej zagrodzie chudy chłopak pilnował jeszcze chudszej świni. Pod murem z ulepionych z błota cegieł siedziała jakaś kobieta, paląc papierosa i czytając gazetę. Dziewczyna za plecami staruszki wydłubywała gnidy z jej włosów. Ani kobieta, ani dziewczyna nie zwróciły na nas uwagi, jednak chłopak skierował ku nam zęby wideł. Gdy stało się jasne, że nie mamy zamiaru zabrać mu świni, wyraźnie wyczerpany przykucnął.



Emma zatrzymała się na środku podwórza, żeby popatrzeć na rozwieszone między rynnami sznury z praniem. Raz jeszcze zauważyła, że przez zakrwawioną odzież wyglądamy jak mordercy, i zaproponowała zmianę ubrań. Sharon odparł, że mordercy występują tu dość powszechnie, i kazał jej ruszać, ale powiedziała, że upiór w metrze widział nas w poplamionej garderobie i przekazał tę informację kamratom. Jej zdaniem zbyt łatwo było wypatrzyć nas w tłumie. Myślę jednak, że podobnie jak ja, tak naprawdę czuła się niekomfortowo w bluzce sztywnej od cudzej krwi. Poza tym nie chciałem, żeby nasi przyjaciele zobaczyli nas w takim stanie, kiedy już ich odnajdziemy.

Sharon z niechęcią przystał na propozycję Emmy. Wcześniej prowadził nas do ogrodzenia na skraju podwórza, ale teraz zawrócił do jednego z budynków. Wspinaliśmy się po schodach tak długo, że nawet Addison zaczął rzeźić, a na czwartym piętrze weszliśmy za Sharonem przez otwarte drzwi do zaniedbanego pokoiku. Przez otwór w suficie wdzierała się deszczówka, więc podłoga była pofałdowana niczym tafla stawu na wietrze, a czarny grzyb znaczył ściany żyłami. Przy stole pod przydymionym oknem dwie kobiety i dziewczynka pociły się nad maszyną do szycia.



— Potrzebne nam ubrania — oznajmił Sharon gromkim basem, od którego zatrzęsły się cienkie ściany. Błede kobiety uniosły wzrok. Jedna z nich sięgnęła po igłę i uniosła ją niczym broń.

— Proszę — powiedziała.

Sharon podniósł rękę i lekko odchylił kaptur, żeby szwaczki mogły zobaczyć jego oblicze. Kobiety zachłysnęły się powietrzem i z cichym jękiem padły nieprzytomne na stół.

— Czy to było konieczne? — zapytałem.

— Niekonieczne, ale przydatne — odparł Sharon, poprawiając kaptur.

Szwaczki szyły proste koszule i sukienki z walających się po podłodze szmat. Gotowe ubrania na sznurze za oknem liczbą lat i szwów były na głowę potwora Frankensteina. Gdy Emma je przyciągała, mój wzrok wędrował po pomieszczeniu, które z pewnością nie było jedynie miejscem pracy. Kobiety tu również mieszkały, o czym świadczyło między innymi sklecone z połamanych desek łóżko. Zajrzałem do powyginanego kociołka nad paleniskiem i zobaczyłem bieda-zupkę, upichconą z rybiej skóry i zwiędłych liści kapusty. Niezbyt udane próby przyozdobienia wnętrza gałązką zasuszonych kwiatów, podkową przybitą nad kominkiem i oprawionym portretem królowej Wiktorii sprawiały, że pokój wyglądał jeszcze smętniej.

Wyczuwało się tu wszechobecną i przytłaczającą rozpacz. Nigdy dotąd nie zetknąłem się z kwintesencją nieszczęścia. Czy to możliwe, żeby osobliwcy wiedli aż tak beznadziejne życie? Spytałem o to Sharona, gdy zgarniał zza okna naręczce koszul. Wydawał się wręcz obrażony.

— Osobliwcy nigdy nie upadliby tak nisko — oświadczył. — To biedota uwięziona w nieskończonej powtórce dnia, z którego stworzono tę pętlę. Na odrażających obrzeżach Poletka, którego serce należy do

nas, żyją zwykli ludzie.

A zatem to byli zwyczajni ludzie, w dodatku uwięzieni w pętli, tak jak ci na Cairnholm. Powtarzałem sobie, że to tylko tło, jak morze czy góry, jednak patrząc na zniszczone twarze ubogich kobiet, bardzo się wstydziłem, że je okradamy.

— Na pewno uda się nam rozpoznać osobliwców, kiedy ich zobaczymy — mruknęła Emma, przeglądając stos brudnych bluzek.

— Oczywiście — przytaknął Addison. — Subtelność nigdy nie była mocną stroną naszego gatunku.

Ściągnąłem zakrwawioną koszulę i zamieniłem ją na najmniej brudne ubranie, jakie udało mi się znaleźć, czyli coś, co mogliby rozdawać w więzieniu. Pasiasta koszula bez kołnierzyka miała rękawy różnej długości i była zszyta ze skrawków tkaniny bardziej szorstkiej niż papier ścierny. Pasowała jednak na mnie, a razem z prostym czarnym płaszczem, który znalazłem na oparciu krzesła, upodobniła mnie do mieszkańca tej okolicy.

Odwróciliśmy się, gdy Emma wkładała sięgającą za kostki workowatą sukienkę.

— Nie da się w tym biegać — mruknęła z niezadowoleniem.

Chwyciła nożyczki ze stołu i z finezją rzeźnika zmodyfikowała sukienkę, rozcinając i dziabiąc tak długo, aż ucięła dół na wysokości kolan.

— No proszę. — Popatrzyła na siebie w lustrze. — Trochę to obszarpane, ale...

— Horace uszyje ci lepszą — powiedziałem bez zastanowienia, nie wiadomo dlaczego zapomniawszy, że nasi przyjaciele nie czekają w pokoju obok. — To znaczy... jeśli znowu się spotkamy...

— Przestań. — Emma przez chwilę wydawała się smutna i całkiem zagubiona. Potem jednak odłożyła nożyczki i zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi. Gdy ponownie na nas popatrzyła, miała zaciętą minę. — Chodźcie. I tak zmarnowaliśmy sporo czasu.

Dysponowała niezwykłą umiejętnością przekuwania smutku w złość, a złości w czyn, co znaczyło, że jej przygnębienie nigdy nie trwało zbyt długo. Addison i ja, a także Sharon, który aż do teraz chyba nie wiedział, z kim ma do czynienia, wyszliśmy za nią na schody.

* * *

Diabelskie Poletko, a przynajmniej jego osobliwe serce, zajmowało zaledwie kilkanaście, najwyżej dwadzieścia ulic. Po wyjściu z budynku poluzowaliśmy deskę w płocie, żeby wcisnąć się w klaustrofobiczne przejście. Prowadziło ono do następnego przesmyku, nieco szerszego, który kończył się jeszcze przestronniejszym, aż wreszcie Emma i ja mogliśmy iść ramię w ramię. Korytarze były coraz bardziej drożne, niczym tętnice rozluźniające się po zawale, i w pewnej chwili naszym oczom ukazała się dróżka, którą można by nazwać ulicą. Wyłożono ją pośrodku czerwonymi ceglami, a po bokach biegły chodniki.

— Cofnijcie się — wymamrotała Emma.

Przyczailiśmy się za rogiem, rozglądając się czujnie jak komandosi.

— Co wy wyprawiacie? — spytał Sharon.

Pozostał na ulicy i najwyraźniej bardziej przejmował się tym, że przynosimy mu wstyd niż zagrożeniem życia.

— Wypatrujemy zasadzek i szukamy dróg ucieczki — wyjaśniła Emma.

— Nikt się na nikogo nie zasadza — oznajmił Sharon. — Piraci trzymają się tylko ziemi niczyjej. Nie przyjdą tu za nami, jesteśmy w Alejce Podejrzliwych.

Rzeczywiście, była tu tabliczka z nazwą, pierwsza, jaką widziałem na całym Diabelskim Poletku. Fantazyjne litery układały się w napis „Alejka Podejrzliwych. Nie pochwała się piractwa”.

— Nie pochwała się? — przeczytałem. — A co z morderstwem? Jest źle widziane?

— Wydaje mi się, że morderstwo jest „tolerowane z zastrzeżeniami”.

— Czy cokolwiek jest tu nielegalne? — spytał Addison.

— Przetrzymanywanie książek z biblioteki. Dziesięć batów za dzień opóźnienia, i to tylko w wypadku wydań w miękkich okładkach.

— Jest tu biblioteka?

— Dwie, chociaż jedna niczego nie wypożycza. Wszystkie tamtejsze książki są oprawione w ludzką skórę i bardzo cenne.

Ostrożnie wyszliśmy z za rogu i rozejrzeliśmy się ze zdziwieniem. Na ziemi niczyjej spodziewałem się śmierci na każdym kroku, tymczasem Alejka Podejrzliwych wydawała się oazą obywatelskiego porządku. Roiło się tu od schludnych sklepików, które miały szyldy, witryny i mieszkania na piętrze. Nigdzie nie dostrzegłem zawalonych dachów ani wybitych szyb. Nie brakowało też ludzi — spacerowali, pojedynczo i parami, co jakiś czas przystając, żeby popatrzeć na towar w witrynach albo wejść do sklepu. Nie byli ubrani w łachmany i mieli czyste twarze. Może nie wszystko lśniło nowością i świeżością, jednak nadgryzione zębem czasu powierzchnie i złuszczone płyty farby dodawały tej staroświecko oryginalnej, wręcz czarującej okolicy dziwnego uroku. Gdyby moja matka zobaczyła Alejkę Podejrzliwych w jednym z wertowanych i nigdy nieczytanych czasopism o podróżach, które zalegały na stoliku w naszym domu, pewnie piałaby z zachwyty nad tym miejscem i narzekała, że tata nigdy nie zabrał jej na prawdziwe europejskie wakacje: „Och, Frank, jedźmy tam!”.

Emma wydawała się szczerze rozczarowana.

— Spodziewałam się czegoś bardziej złowrogiego — oznajmiła.

— Ja też — dodałem. — Gdzie mordownie, meliny i krwawe sporty?

— Naprawdę nie wiem, co sobie myślicie o miejscowych i ich zajęciach, ale jak żyję, nie słyszałem o mordowniach i melinach w tej okolicy — odparł Sharon. — A co do krwawych sportów... Jest tylko jedna arena, na której odbywają się walki. Nazywa się U Dereka i mieści się przy ulicy Wysięk. Porządny chłop z tego Dereka. Jest mi winien piątaka...

— A upiory? — przerwała mu Emma. — Co z naszymi porwanymi przyjaciółmi?

— Ciszej! — syknął Sharon. — Gdy tylko uporządkuję swoje sprawy, znajdziemy kogoś, kto wam pomoże. A do tego czasu nie powtarzajcie tego nikomu.

Emma popatrzyła mu w oczy.

— To niech nas pan nie zmusza do powtarzania — wycedziła. — Doceniamy pańską pomoc i doświadczenie, ale nasi przyjaciele nie mają zbyt dużo czasu. Nie zamierzam czekać z założonymi rękami i gadać tylko tak, żeby przypadkiem nikogo nie wkurzyć.

Sharon patrzył na nią w milczeniu.

— Każdy z nas ma swoją datę przydatności — powiedział w końcu. — Na waszym miejscu nie spieszyłbym się z jej sprawdzaniem.

* * *

Wyruszyliśmy na poszukiwania prawnika Sharona, jednak nasz przewoźnik szybko się sfrustrował.

— Mógłbym przysiąc, że urzędował przy tej ulicy — mruknął, odwracając się na pięcie. — Ale też od lat się z nim nie widziałem. Może się przeniósł.



Postanowił udać się na poszukiwania sam i kazał nam się nie wychylać.

— Za parę minut wracam — oznajmił. — Z nikim nie gadajcie.

Odszedł i zostawił nas samych na chodniku. Przystępowaliśmy z nogi na nogę, niepewni, co dalej, a przechodnie gapili się na nas z ciekawością.

— Nabrał nas, prawda? — mruknęła Emma. — Mówił, że to miejsce jest wylęgarnią przestępców, a ono raczej przypomina każdą inną pętlę. Na dobrą sprawę ludzie wyglądają tu normalniej niż osoblwcy, których dotąd widywałam. Całkiem jakby ktoś wyssał z nich wszystkie charakterystyczne cechy. Co za nuda.

— Chyba żartujesz — obruszył się Addison. — Nigdy nie widziałem tak okropnego, odrażającego miejsca.

Oboje spojrzeliśmy na niego ze zdumieniem.

— Jak to? — zdziwiła się Emma. — Przecież tu są tylko małe sklepiki.

— Tak, ale spójrz, co sprzedają.

Dotąd się im nie przyglądaliśmy. Tuż za nami znajdowała się witryna, a w niej elegancko ubrany mężczyzna o smutnych oczach i długiej brodzie. Kiedy zorientował się, że na niego patrzymy, lekko skinął głową, uniósł kieszonkowy zegarek i dotknął przycisku z jego boku. W tej samej chwili znieruchomiał i zaczął rozmywać się w powietrzu, a kilka sekund później przesunął się, nie ruszając się z miejsca — znikł i pojawił się na drugim końcu witryny.

— No, no, niezła sztuczka — mruknąłem

Po chwili teleportował się z powrotem. Gdy stałem zafascynowany, Emma i Addison przeszli do witryny następnego sklepu. Dołączyłem do nich i ujrzałem podobną wystawę, tylko że tu stała kobieta w czarnej sukni, a z jej dłoni spływał sznur koralików. Na nasz widok zamknęła oczy i wyciągnęła ręce jak lunatyczka, a następnie zaczęła powoli przesuwając paciorki i obracać je między palcami. Wpatrywałem się w sznur, więc dopiero po kilku sekundach uświadomiłem sobie, że coś się dzieje z jej twarzą — zmieniała się lekko przy każdym obrocie koralika. Gdy obróciła pierwszy, jej cera pojaśniała. Przy drugim jej usta się zwężyły. Potem jej włosy lekko zrudziały i tak oto po kilkudziesięciu koralikach twarz kobiety stała się zupełnie inna — ciemnowłosa babcia o okrągłym obliczu przeobraziła się w rudowłosą dziewczynę o ostrym nosie. Było to zarazem fascynujące i niepokojące.

Po tym widowisku odwróciłem się do Addisona.

— Nie rozumiem — powiedziałem. — Co oni sprzedają?

Zanim zdążył odpowiedzieć, podbiegł do nas jedenasto- lub dwunastoletni chłopiec i wcisnął mi w rękę dwie wizytówki.

— Dwa w cenie jednego, tylko dzisiaj! — wrzasnął. — Przyjmujemy każdą rozsądną propozycję!

Odwróciłem wizytówki. Na jednej widniało zdjęcie mężczyzny ze stoperem, a z tyłu napis: *J. Edwin Bragg, bilokacjonalista*. Na drugiej ujrzałem fotografię koralikowej damy w transie i słowa: *G. Funke, kobieta o tysiącu twarzach*.

— Sio stąd, nic nie kupujemy — powiedziała Emma, a chłopak zmarszczył brwi i odbiegł.

— Teraz widzicie, co sprzedają? — spytał Addison.

Popatrzyłem na ulicę. Niemal w każdej witrynie w Alejce Podejrliwości stali ludzie tacy jak mężczyzna ze stoperem i kobieta z koralikami — osobliwcy gotowi rozpocząć przedstawienie, gdy tylko się na nich spojrzęło.



— Sprzedają... siebie? — zaryzykowałem.

— Nareszcie cię olśniło — westchnął Addison.

— To źle, że tak robią? — spytałem z wahaniem.

— Tak — odparł Addison ostro. — To zabronione wśród osobliwców, i to nie bez powodu.

— Nasz dar jest święty — wyjaśniła Emma. — Sprzedawanie go obniża wartość tego, co w nas najbardziej wyjątkowe.



Zabrzmiało to tak, jakby powtarzała wyuczoną na pamięć formułkę.

— Hm — mruknąłem. — Okej.

— Nie wydajesz się przekonany — zauważył Addison.

— Bo chyba nie wiem, w czym problem. Gdybym potrzebował usług niewidzialnego człowieka, a ten niewidzialny człowiek potrzebowałby pieniędzy, to dlaczego nie mielibyśmy dobić targu?

— Ale ty masz zasady i to cię odróżnia od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludzkości — powiedziała Emma. — A jeśli zły człowiek, albo choćby człowiek nie do końca moralny, zechce sobie kupić usługi niewidzialnego osobliwca?

— Niewidzialny osobliwiec powinien odmówić.

— Nie wszystko jest czarne albo białe — westchnęła. — A sprzedawanie siebie niszczy kompas moralny. Człowiek nieświadomie i szybko grzęźnie w mroku, robiąc rzeczy, na które nigdy by się nie zdecydował, gdyby mu nie zapłacono. A jeśli ktoś jest zdesperowany, sprzedaje się każdemu, niezależnie od intencji kupca.

— Na przykład upiorowi — dodał Addison znacząco.

— No tak, to byłoby kiepskie — mruknąłem. — Ale myślicie, że osobliwiec by tak postąpił?

— Nie bądźże głupcem! — zachnął się. — Rozejrzyj się dookoła. Może to jedyna pętla w Europie, której nie zniszczyły upiory, a to dlaczego, co? Albowiem niewątpliwie doszły do wniosku, że bardzo im się przyda cała populacja chętnych do współpracy zdrajców i informatorów, gotowych na wszystko dla zarobku.

— Może nie powinieneś mówić tak głośno — zauważyłem.

— To ma sens — przyszła mu w sukurs Emma. — Do naszych pętli z pewnością przeniknęli osobliwi donosiciele. Niby skąd upiory tyle by wiedziały o wejściach do pętli, zabezpieczeniach, słabych punktach... Uzyskały informacje dzięki pomocy takich ludzi. — Rozejrzała się nienawistnie dookoła, z miną kogoś, kto właśnie wypił skwaśniałe mleko.

— Przyjmujemy każdą rozsądną propozycję, też coś! — warknął Addison. — Zdraycy, co do jednego! Na szubienicę z nimi!

— Co jest, skarbie? Zły dzień?

Odwróciliśmy się do kobiety za nami. (Jak długo tu tkwiła? Co zdołała podsłuchać?) Była ubrana w biurowym stylu lat pięćdziesiątych, czyli spódnica do kolan oraz czarne czółenka, i leniwie zaciągała się papierosem. Miała upięte na czubku głowy włosy i mówiła z amerykańskim akcentem.

— Jestem Lorraine — przedstawiła się beznamytnie. — A wy jesteście nowi w mieście.

— Czekamy na kogoś — odparła Emma. — Jesteśmy... na wakacjach.

— Świetnie to rozumiem! — oznajmiła Lorraine. — Sama też mam wakacje. Od pół wieku! — Zaśmiała się, prezentując wysmarowane szminką zęby. — Dajcie znać, czy mogę wam w czymś pomóc. Lorraine ma najlepszy wybór w Alejce Podejrzliwości, co prawda, to prawda.

— Nie, dziękuję — burknąłem.

— Nie bój nic, skarbie. Nie gryzą.

— Nie jesteśmy zainteresowani.

— Chciałam być miła. — Lorraine wzruszyła ramionami. — Wyglądacie na trochę zagubionych.

Ruszyła przed siebie, ale jej słowa najwyraźniej zdążyły przykuć uwagę Emmy.

— Wybór czego?

Lorraine odwróciła się z przebiegłym uśmiechem.

— Starych, młodych — odparła. — Dysponują różnymi talentami. Niektórzy klienci chcą tylko pokazu, i dobrze, inni jednak mają konkretne potrzeby. Dbamy o to, żeby każdy był zadowolony.

— Chłopak podziękował — burknął Addison niemiło.

Chyba już miał ją spławić, jednak Emma wysunęła się przed niego.

— Chcę zobaczyć — oświadczyła.

— Co? — zdziwiłem się.

— Chcę zobaczyć — powtórzyła z rozdrażnieniem. — Proszę mi pokazać.

— Tylko poważne oferty — podkreśliła Lorraine.

— Och, jestem bardzo poważna.

Nie miałem pojęcia, co knuje Emma, ale darzyłem ją na tyle dużym zaufaniem, żeby nie zaprotestować.

— A oni? — Lorraine popatrzyła niepewnie na mnie i na Addisona. — Zawsze tacy niemili?

— Tak, ale poza tym są w porządku.

Lorraine zmrużyła oczy, jakby się zastanawiała, jak w razie potrzeby nas stąd usunąć.

— Co potrafisz? — zwróciła się do mnie. — Cokolwiek?

Emma odkaszlnęła i wybałuszyła oczy. Od razu się zorientowałem, o co jej chodzi. „Kłam!”

— Kiedyś umiałem siłą woli podnosić ołówki i inne rzeczy, ale teraz nie potrafię nawet utrzymać ich w pionie — odparłem. — Chyba jestem niesprawny czy coś.

— Zdarza się nawet najlepszym. — Przeniosła spojrzenie na Addisona. — A ty?

— Jestem gadającym psem. — Przewrócił oczami.

— I tylko tyle umiesz? Gadać?

Nie mogłem się oprzeć.

— Na to wygląda — zauważyłem złośliwie.

— Nie wiem, które z was bardziej mnie obraża — warknął Addison.

Lorraine po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i odrzuciła niedopałek.

— No dobra, skarbenki, za mną — powiedziała i ruszyła przed siebie.

Przez chwilę tylko staliśmy, naradzając się szeptem.

— A co z Sharonem? — spytałem. — Kazał nam tu czekać.

— Przecież to zajmie minutę — odparła Emma. — Mam przeczucie, że ona wie znacznie więcej o kryjówkach upiórów niż Sharon.

— I myślisz, że chętnie podzielili się z nami tą wiedzą? — spytał Addison z powątpiewaniem.

— Zobaczymy. — Emma odwróciła się i poszła za Lorraine.

* * *

W lokalu nie było ani witryny, ani szyldu. Zatrzymaliśmy się przed zwyczajnymi drzwiami ze srebrnym dzwoneczkiem na łańcuszku, za który szarpnęła Lorraine. Czekaliśmy chwilę, podczas gdy ktoś w środku odciągał kilka zasuw. Potem drzwi się uchylily i w półmroku błysnęło oko.

— Świeże mięsko? — rozległ się męski głos.

— Klienci — odparła Lorraine. — Wpuść nas.

Oko zniknęło, a drzwi otworzyły się szeroko i weszliśmy do eleganckiego holu. Znajdujący się tam portier obrzucił nas uważnym spojrzeniem. Miał na sobie ciężki płaszcz z wysoko postawionym kołnierzem i fedorę o szerokim rondzie, tak mocno nasadzoną na głowę, że widzieliśmy tylko parę małych oczu i czubek nosa. Blokował nam drogę i mierzył nas wzrokiem.

— No i? — spytała Lorraine.

Portier najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie stanowimy zagrożenia.

— W porządku — oznajmił.

Cofnął się o krok, zamknął i zaryglował drzwi, a potem ruszył za nami i Lorraine w głąb długiego korytarza.



Weszliśmy do pograżonego w półmroku salonu, który oświetlały jedynie lampy naftowe. Był obskurny, ale z pretensjami do świetności. Ściany przyozdobiono złotymi ślimacznicami i aksamitnymi storami, a na suficie o kształcie kopuły widniały podobizny śniadych i ubranych w tuniki greckich bogów. Po obu stronach wejścia znajdowały się marmurowe kolumny.

Lorraine skinęła portierowi głową.

— Dziękuję, Carlos — powiedziała.

Carlos przeszedł na drugą stronę salonu. Lorraine podeszła do zasłoniętej kotarą ściany i pociągnęła za sznur, a wtedy naszym oczom ukazała się szeroka tafla grubego szkła. Za nią znajdowało się inne pomieszczenie, bardzo podobne do tego, w którym staliśmy, ale mniejsze. Ludzie wypoczywali tam na krzesłach i sofach, czytając albo drzemiąc.

Naliczyłem osiem osób. Kilka było starszych, z siwymi włosami na skroniach, a dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, nie miało jeszcze dziesięciu lat. Uświadomiłem sobie, że to więźniowie.

Addison chciał o coś spytać, ale Lorraine uciszyła go niecierpliwym gestem.

— Pytania później, jeśli łaska — mruknęła, podeszła do szyby i podniosła zainstalowaną pod nią rurę, której koniec przysunęła do ust. — Numer trzynasty!

Po drugiej stronie szklanej tafli najmłodszy chłopiec wstał i powoli zbliżył się do nas. Ręce oraz nogi miał skute łańcuchami i był jedynym osobliwcem w stroju przypominającym więzienny. Miał na sobie pasiak i czapkę, jedno i drugie z naszytym numerem trzynaście. Mimo młodego wieku był gęsto zarośnięty — nosił trójkątną kozią bródkę, a jego brwi kojarzyły się z tłustymi gąsienicami. Spoglądał na nas zimnym, badawczym wzrokiem.

— Dlaczego go skuliście? — zapytałem. — Jest niebezpieczny?

— Zobaczycie — odparła Lorraine.

Chłopiec zamknął oczy, jakby się koncentrował. Po chwili jego włosy wypełzły spod czapki i zasłoniły

mu czoło. Bródka również urosła, zamieniając się w skręconą kępę, która unosiła się coraz wyżej i kołysała niczym wąż w transie.

— W mordę dziobany — mruknął Addison. — Jakież to cudownie dziwne.



— Patrzcie uważnie. — Lorraine uśmiechnęła się szeroko.

Numer trzynasty uniósł ręce w kajdanach. Spiczasty czubek jego zakłętej brody skierował się ku kłódce, ostrożnie zatoczył kółko przed dziurką od klucza i wśliznął się do środka. Chłopiec otworzył oczy i z beznamietnym wyrazem twarzy patrzył przed siebie. Po kilkunastu sekundach skręcona bródka zeszywniała i zaczęła wibrować, wydając wysokie dźwięki, które słyszeliśmy przez szybę.

Kłódka się otworzyła, a łańcuchy spadły z nadgarstków chłopca, który nisko się uklonił. Z trudem powstrzymałem się od nagrodzenia go brawami.

— Nie ma takiego zamka na świecie, którego nie zdołałby otworzyć — oświadczyła Lorraine z dumą w głosie.

Chłopiec usiadł na krześle i powrócił do czytania, a Lorraine przykryła wylot rury dłonią.

— Jest jedyny w swoim rodzaju, jak cała reszta — powiedziała. — Jedno z nich czyta w myślach, i to świetnie, inne potrafi wsunąć rękę w ścianę, i to aż do ramienia. To bardziej przydatne, niż mogłoby się wydawać. A ta mała lata, jeśli dostanie odpowiednio dużo napoju winogronowego.

— Być nie może — burknął Addison z lekceważeniem.

— Chętnie to zademonstruje. — Lorraine wezwała przez rurę dziewczynkę, która podeszła do szyby.

— To nie będzie konieczne — wycodziła Emma przez zaciśnięte zęby.

— Taką mają pracę — oświadczyła Lorraine. — Piątka, wystąp!



Dziewczynka podeszła do stołu wypełnionego butelkami, wybrała jedną wypełnioną fioletowym płynem i przystawiła sobie do ust. Po opróżnieniu butelki odstawiła ją, cicho czknęła i zbliżyła się do krzesła z trzciniowym oparciem. Potem znowu czknęła, a jej nogi uniosły się do przodu i w górę, głowa jednak pozostała na tym samym poziomie. Gdy dziewczynka czknęła po raz trzeci, jej nogi unosiły się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, ona sama zaś leżała na wznak w powietrzu, podtrzymywana wyłącznie przez oparcie krzesła.

Lorraine zapewne spodziewała się po nas bardziej entuzjastycznej reakcji, my jednak milczeliśmy, choć pokaz zrobił na nas wrażenie.

— Trudna klientela — mruknęła Lorraine. Kazała dziewczynce wrócić na miejsce, po czym odwiesiła rurę i spojrzała na nas. — Jeśli to nie przypadło wam do gustu, mogę wypożyczyć kogoś z innych stajni. Wasz wybór żadną miarą nie ogranicza się do tego, co tutaj widzicie.

— Stajni — powtórzyła Emma głucho, ale wiedziałem, że gotuje się w środku. — A więc traktuje pani ludzi jak zwierzęta, tak?

Lorraine wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym przeniosła wzrok na Carlosa, który czuwał w głębi pomieszczenia.

— Jasne, że nie — odparła. — To nasz największy skarb, bardzo cenny i wartościowy. Nie żałujemy

im jedzenia, są wypoczęci, przyuczeni do występów pod presją i czysti jak łąza. Większość nawet nie tknęła ambro... I mam na to dokumenty, w biurze. A zresztą wystarczy ich zapytać. Numery trzynaście i sześć! — wrzasnęła do rury. — Powiedzcie tym ludziom, jak wam się tu podoba.

Chłopiec oraz dziewczynka wstali i powoli zbliżyli się do szyby. Chłopiec podniósł rurę.

— Bardzo nam się tu podoba — odparł mechanicznie, jak robot. — Pani dobrze nas traktuje.

Wręczył rurę dziewczynce.

— Lubimy naszą pracę i... — Umilkła, próbując przypomnieć sobie coś, czego się najwyraźniej wyuczyła i co zapomniała. — Lubimy tu pracować — wymamrotała w końcu.

Lorraine z irytacją odprawiła ich na miejsce.

— Mogę pokazać, co potrafi jeszcze jeden czy drugi, ale jeśli chcecie zobaczyć więcej, musicie wpłacić zaliczkę.

— Chętnie zobaczę te dokumenty. — Emma zerknęła na Carlosa. — Te w biurze.

Jej zaciśnięte dłonie się rozzarzyły i zrozumiałem, że musimy wyjść, zanim zrobi się nieciekawie. Informacje, którymi mogła ewentualnie dysponować Lorraine, nie były warte awantury, a oswobodzenie tych dzieciaków... No cóż, jakkolwiek egoistycznie to brzmiało, mieliśmy własne do uratowania.

— To nie będzie konieczne — powiedziałem, po czym pochyliłem się ku Emmie i szepnąłem: — Wrócimy im pomóc. Musimy pamiętać o tym, co najważniejsze.

— Dokumenty — zażądała, zupełnie mnie ignorując.

— Nie ma problemu — odparła Lorraine. — Wstąpcie do mojego gabinetu, wyłożymy kawę na ławę.

Emma ruszyła za nią. Nie mogłem jej powstrzymać, nie wzbudzając podejrzeń Lorraine.

Biuro okazało się pomieszczeniem wielkości garderoby, gdzie mieściły się tylko biurko i krzesło. Lorraine zamknęła za nami drzwi, a wtedy Emma gwałtownie popchnęła ją na blat. Lorraine zakłęta i zawołała Carlosa, ale umilkła, kiedy Emma przysunęła do jej twarzy rękę rozżarzoną niczym węgiel w palenisku. Na bluzce Lorraine widniały dwa poczerwiałe i dymiące ślady dłoni.

Ktoś załomotał w drzwi i jęknął.

— Powiedz mu, że wszystko w porządku — zażądała Emma cichym, zdecydowanym głosem.

— Wszystko w porządku! — powtórzyła Lorraine sztywno.

Drzwi za jej plecami się zatrzęsły.

— Powiedz to jeszcze raz.

— Precz! — Zabrzmiało to bardziej przekonująco. — Dobijam targu!

Znowu usłyszeliśmy warknięcie, a potem stukot oddalających się kroków.

— Zachowujecie się idiotycznie — odezwała się Lorraine. — Nikt, kto mnie okradł, nie przeżył.

— Nie chcemy pieniędzy — oznajmiła Emma. — Odpowiesz na parę pytań.

— O co?

— O tych ludzi. Wydaje ci się, że jesteś ich właścicielką?

Lorraine zmarszczyła brwi.

— O co właściwie chodzi?

— O tych ludzi. O dzieci. Kupiłaś je i myślisz, że należą do ciebie, tak?

— Nigdy nikogo nie kupiłam.

— Kupiłaś je, a teraz je sprzedajesz. Handlujesz niewolnikami.

— To nie tak. Sami do mnie przyszli. Jestem ich agentką.

— Jesteś ich alfonsem — prychnęła Emma.

— Beze mnie by głodowali albo trafili w ich łapy.

— W czyje łapy?

— Przecież wiecie.

— Chcę to usłyszeć od ciebie — nalegała Emma.

— To kiepski pomysł. — Lorraine roześmiała się ponuro.

— Tak? — Zrobiłem krok w jej kierunku. — Dlaczego?

— Wszędzie mają wtyki i nie lubią, kiedy się o nich gada.

— Zabijałem już upiory i wcale się ich nie boję — oznajmiłem.

— No to jesteś idiotą.

— Może bym ją ugryzł? — zaproponował Addison. — Tak leciutko. Naprawdę mam ochotę.

— Co się dzieje, gdy zabierają ludzi? — zapytałem Lorraine.

— Nikt nie wie — odparła. — Próbowałam się dowiedzieć, ale...

— Na pewno próbowałaś z całych sił — mruknęła Emma ironicznie.

— Czasem tu przychodzą — ciągnęła Lorraine. — Na zakupy.

— Na zakupy — powtórzył Addison. — Jak ładnie to pani ujęła.

— Zrobić użytek ze swoich ludzi. — Rozejrzała się i dodała szeptem: — Nienawidzę tego. Nigdy nie wiadomo, ilu zechcą i na jak długo. Trzeba im dawać, czego żądają. Poskarżyłabym się... ale nikt się nie skarży.

— Na pewno nie skarżysz się na zapłatę — oznajmiła Emma z pogardą.

— To marne grosze, jeśli się weźmie pod uwagę, na co upiory ich narażają. Kiedy słyszę, że nadchodzą, próbuję ukrywać maluchy, bo wracają poturbowane, z wyczyszczoną pamięcią. Pytam: „Gdzie byliście? Co wam kazali robić?”, ale dzieciaki nic a nic nie pamiętają. — Pokręciła głową. — Potem śnią im się koszmary, i to okropne. Po czymś takim trudno je sprzedać.

— Powinnaś sprzedać ciebie. — Emma zatrzęsała się z wściekłości. — Tyle że nikt nie da za ciebie złamanego grosza.

Wepchnąłem pięści do kieszeni, żeby nie uderzyć Lorraine. Mogliśmy się jeszcze czegoś od niej dowiedzieć.

— A co z osobliwcami porwanymi z innych pętli? — zapytałem.

— Przywożą ich tu w ciężarówkach. Kiedyś zdarzało się to bardzo rzadko, teraz niemal bez przerwy.

— Czy dzisiaj przyjechała jakaś ciężarówka? — drążyłem.

— Parę godzin temu — odparła. — Strażnicy z bronią zablokowali całą ulicę. Zrobili straszne widowisko.

— Inaczej niż zwykle?

— Inaczej. Chyba czują się tu bezpiecznie. Ta dostawa musiała być bardzo ważna.

„A więc to oni” — pomyślałem. Przeszył mnie dreszcz, jednak radość wyparowała, gdy Addison warknął do Lorraine:

— Na pewno czują się bardzo bezpiecznie wśród takich zdrajców!

Zanim zdążył się na nią rzucić, chwyciłem go za obrożę.

— Uspokój się! — wrzasnąłem.

Addison próbował się wyrwać i przez chwilę sądziłem, że ugryzie mnie w rękę, ale nagle się odprężył.

— Robimy, co możemy, żeby przetrwać — syknęła Lorraine.

— My też — powiedziała Emma. — A teraz mów, dokąd pojechały ciężarówki. Jeśli skłamiesz albo wpakujesz nas w pułapkę, wrócę tu i zaspawam ci nozdrza. — Uniosła rozgrzany palec i przytrzymała go tuż przy czubku nosa Lorraine. — Zgoda?

Niemal sobie wyobraziłem, jak Emma to robi. Jeszcze nigdy nie widziałem w niej takiej nienawiści, i choć to się przydało w naszej sytuacji, budziło też lęk. Wolałem nie myśleć, do czego byłaby zdolna w odpowiednich okolicznościach.

— Pojechały do części Poletka, która należy do upiorów. — Lorraine odsunęła głowę od palca Emmy. — Za most.

— Jaki most? — Emma przybliżyła palec do jej twarzy.

— Na końcu ulicy Dymnej. Nie próbujcie przez niego przejść, chyba że chcecie, aby wasze głowy trafiły na włócznie.

Uznałem, że to wszystko, czego możemy się dowiedzieć od Lorraine. Teraz musieliśmy się zastanowić, co z nią zrobić. Addison chciał ją pogryźć, Emma zaś miała ochotę wypalić jej na czole litery HN, by wszyscy wiedzieli, że mają do czynienia z handlarką niewolników. Wyperswadowałem im to, więc w rezultacie tylko zakneblowaliśmy Lorraine sznurem od zasłon i przywiązaliśmy ją do nogi biurka. Już mieliśmy wyjść, kiedy nagle coś przyszło mi do głowy.

— Co się dzieje z porwanymi osobliwcami? — spytałem.

— Mmmmmmm!

Ściągnąłem jej knebel.

— Żaden nie uciekł — odparła. — Ale krążą plotki.

— O czym?

— Że spotyka ich los gorszy od śmierci. — Jej uśmiech ociekał jadem. — Chyba musicie się sami przekonać.

Otworzyliśmy drzwi i wypadliśmy z biura, a wtedy z drugiego końca salonu ruszył ku nam Carlos z ciężkim przedmiotem w ręce. Zanim do nas dobiegł, w gabinecie rozległ się stłumiony okrzyk, więc zamiast nas gonić, Carlos skręcił, żeby sprawdzić, co z Lorraine. Gdy przekroczył próg, Emma zatrzęsnęła drzwi i stopiła gałkę, zmieniając ją w nieforemną bryłę.

Dzięki temu zyskaliśmy minutę albo dwie.

Addison i ja rzuciliśmy się do wyjścia, ale w połowie drogi zorientowałem się, że Emma nie biegnie za nami. Zamiast uciekać, bębniła pięściami w szybę oddzielającą pomieszczenie dla osobliwców.

— Pomożemy wam uciec! — krzyczała. — Pokażcie, gdzie są drzwi!

Ociężale skierowali na nią wzrok, rozwaleni na szeszlonych i kozetkach.

— Rzućcie czymś, zbijcie szkło! — zażądała. — Byle szybko!

Nikt się nie ruszył. Wszyscy ci osobliwcy sprawiali wrażenie zagubionych. Może nie wierzyli, że zdołamy ich uratować, a może wcale nie chcieli być ratowani.

— Emma, zbyt długo zwlekamy. — Pociągnąłem ją za rękę.

Nie chciała rezygnować.

— Proszę! — zawołała do rury. — Przynajmniej oddajcie nam dzieci!

Z biura dobiegały głośne okrzyki, drzwi trzęsły się od uderzeń. Sfrustrowana Emma rąbnęła pięścią w szybę.

— Co się z nimi dzieje? — jęknęła.

Osobliwcy patrzyli na nas niepewnie, dzieci wybuchnęły płaczem. Addison pociągnął zębami rąbek sukienki Emmy.

— Musimy iść! — ponaglił ją.

Gorzko westchnęła i puściła rurę. Po chwili biegiem wypadliśmy na chodnik spowity gęstymi kłębami żółtych wyziewów, które wdzierały się wszędzie, uniemożliwiając zobaczenie drugiej strony ulicy. Byliśmy już na rogu, gdy wrzaski Lorraine dotarły do naszych uszu, jednak nigdzie jej nie widzieliśmy. Skręciliśmy raz, potem drugi i wyglądało na to, że nas nie dogoni. Na pustej ulicy przystanęliśmy przy zabitej deskami witrynie sklepowej, aby złapać oddech.

— To się nazywa syndrom sztokholmski — wyjaśniłem. — Kiedy ludzie przywiązują się do swoich porwaczy.

— W mojej opinii po prostu się boją — powiedział Addison. — Dokąd mieliby uciec? Przecież całe to miejsce jest jednym wielkim więzieniem.

— Obaj się mylicie — wtrąciła Emma. — Byli odurzeni narkotykami.

— Skąd ta pewność? — spytałem.

Odgarnęła włosy z oczu.

— Po ucieczce z domu, kiedy pracowałam w cyrku jako połykaczka ognia, po jednym z pokazów

podeszła do mnie kobieta, która twierdziła, że wie, kim jestem, i że zna innych takich jak ja. Chciała mnie zabrać ze sobą. Miałam u niej sporo zarobić. — Zarumieniona po biegu wpatrywała się w ulicę. — Mówiłam, że nie chcę, ale ona się upierała. Kiedy w końcu sobie poszła, była wściekła. Tamtej nocy ocknęłam się z tyłu jakiegoś wozu, zakneblowana i w kajdankach. Nie mogłam się ruszać ani trzeźwo myśleć. Ratunek zawdzięczam pani Peregrine. Gdyby nie znalazła mnie następnego dnia, kiedy porywacze zatrzymali się, żeby podkuć konia, pewnie skończyłabym tak jak tamci. — Wskazała brodą kierunek, z którego przyszliśmy.

— Nigdy mi o tym nie wspominałaś — powiedziałem cicho.

— Bo nie lubię o tym mówić.

— Ogromnie mi przykro z powodu tego, co cię spotkało — odezwał się Addison. — Czy tamta kobieta... czy to ona cię wówczas porwała?

Emma przez chwilę milczała.

— To się zdarzyło tak dawno temu — westchnęła w końcu. — Wyrzuciłam z pamięci to, co najgorsze, w tym rysy porywaczki. Ale wiem jedno — gdybyście zostawili mnie sam na sam z Lorraine, nie mam pewności, czy zdołałabym się powstrzymać od odebrania jej życia.

— Wszyscy mamy swoje demony — powiedziałem.

Nagle ogarnęło mnie przeraźliwe zmęczenie i oparłem się o zabity deskami witrynę. Od jak dawna nie spaliśmy? Ile czasu minęło, odkąd Caul się ujawnił? Miałem wrażenie, że wiele dni, chociaż pewnie tylko dziesięć czy dwanaście godzin. Od tamtej pory trwała nieustająca wojna, koszmar walki i przerażenie. Czuję, że za chwilę nic nie powstrzyma mojego ciała przed upadkiem. Tylko panika trzymała mnie w pionie, a gdy zaczynała mijać, ja też słabłem.

Pozwoliłem sobie na to, by na ułamek sekundy zamknąć oczy, ale i tak dopadły mnie koszmary. W ciemnościach ujrzałem widmo wiecznej śmierci, które przykucnęło obok mojego dziadka, żeby pożreć jego ciało. Z jego ślepiów spływała czarna oliwa. Potem zobaczyłem te same oczy przebite nożycami. Potwór wył, coraz głębiej zanurzony w trzęsawisku, które stało się jego grobem. W końcu ujrzałem stężale z bólu oblicze postrzelonego w szyję właściciela głucholca, upiora, który runął w przepaść i tam dokonał żywota. Ja już pokonałem swoje demony, jednak zwycięstwo było pozorne, gdyż nowe potwory zajęły miejsce starych.

Na odgłos kroków po drugiej stronie witryny rozchyliłem powieki, po czym odskoczyłem i spojrzałem na sklep. Chociaż wydawał się opuszczony, ktoś był w środku i właśnie wychodził.

Panika wróciła, znów poczułem się rozbudzony. Pozostali też usłyszeli ten dźwięk. Kierowani instynktem stadnym zanurkowaliśmy za pobliski stos drewna na opał. Zerknąłem między polanami na witrynę i odczytałem zatarty, zawieszony nad drzwiami napis.

Munday, Dyson i Strype, prawnicy. Budzimy nienawiść i strach od 1666 roku.

Ktoś odciągnął zasuwę i ostrożnie uchylił drzwi. Po chwili ujrzeliśmy znajomy czarny kaptur. Sharon rozejrzał się wokół siebie, a uznawszy, że teren jest czysty, wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Gdy

szybkim krokiem podążał ku Alejce Podejrzliwych, szeptem naradzaliśmy się, czy iść za nim. Czy w ogóle był nam potrzebny i czy można było mu ufać? Któż to wiedział. Co robił w zamkniętym sklepie? Chciał się spotkać z prawnikiem z tej kancelarii? Dlaczego tak się skradał?

Nasuwało się nam zbyt wiele pytań i wątpliwości. W końcu zadecydowaliśmy, że poradzimy sobie sami, i ani drgnąwszy, patrzyliśmy, jak Sharon niczym duch znika w wyziewach.

* * *

W takiej sytuacji pozostało nam wyruszyć na poszukiwania ulicy Dymnej oraz mostu upiorów. Nie chcąc ryzykować kolejnego nieprzewidzianego spotkania, postanowiliśmy nie pytać o drogę. Zrobiło się łatwiej, gdy odkryliśmy tabliczki z nazwami ulic, ukryte w najbardziej niedostępnych miejscach: zawieszane za ławkami na wysokości kolan, dyndające na wierzchołkach latarni, nabazgrane na wytartym bruku. Mimo to nieustannie się gubiliśmy. Wyglądało na to, że Poletko zaprojektowano w taki sposób, aby doprowadzić do szaleństwa każdego, kto tu trafi. Część ulic kończyła się murem i później zaczynała zupełnie gdzie indziej, inne zakręcały tak ostro, że się zapętlały. Niektóre nie miały nazw, za to na innych widniały tabliczki z dwiema lub trzema nazwami. Ani jedna ulica nie była tak schludna i zadbana jak Alejka Podejrzliwych, gdzie niewątpliwie wielkim wysiłkiem stworzono przyjemne otoczenie dla nabywców szczególnego rodzaju towaru. Żołądek mi się przewracał na samą myśl o tym, co widziałem w sklepie Lorraine i co usłyszałem od Emmy.

Im dłużej wędrowaliśmy, tym lepiej orientowałem się w niepowtarzalnej topografii Poletka, rozpoznając ulice nie tyle po nazwach, ile po charakterze. Każda ulica była inna, a znajdujące się przy nich sklepy uporządkowano według asortymentu. Ulica Smętna szczyciła się dwoma zakładami pogrzebowymi, jednym medium, jednym stolarzem — pracującym wyłącznie w „drewnie trumiennym z odzysku” — trupą zawodowych płaczków, którzy w weekendy pracowali jako męski kwartet wokalny *a capella*, oraz jednym doradcą podatkowym. Ulica Wysiłek okazała się zdumiewająco radosna, ze skrzynkami na kwiaty zainstalowanymi na parapetach i domami pomalowanymi na jaskrawe kolory. Nawet wieńcząca ulicę rzeźnia miała pogodną błękitną barwę. Oparłem się dziwnemu impulsowi, który podpowiadał mi, że powinienem tam wejść i poprosić o oprowadzenie. Z kolei ulica Barwinkowa przypominała szambo. Jej środkiem ciągnął się otwarty kanał ściekowy, na którym żerowały zastępy tłustych i natarczywych much, a po chodnikach walały się sterty gnijących warzyw. Należały one do właściciela warzywniaka z przecenionymi towarami, który na szyldzie napisał, że potrafi w okamgnieniu przywracać im świeżość.

Aleja Zabiedzonych miała zaledwie kilkanaście metrów długości i znajdował się na niej tylko jeden biznes: dwóch mężczyzn sprzedawało przekąski z kosza na płozach. Wokół kręciły się dzieci, domagając się darmowego poczęstunku. Addison podszedł bliżej, żeby powęszyć u ich stóp w poszukiwaniu resztek. Już miałem go zawołać, kiedy jeden z mężczyzn wrzasnął: „Kocie mięso! Gotowane kocie mięso!”.

Addison natychmiast przybiegł z powrotem, z podkulonym ogonem.

— Już nigdy, przenigdy niczego nie zjem... — zajęczał.

Do ulicy Dymnej dotarliśmy od strony Górnosmużnej. Im bliżej celu się znajdowaliśmy, tym posępniej wyglądała okolica. Widzieliśmy coraz więcej opuszczonych sklepów, chodniki świeciły pustkami, a kamienie brukowe poczerniały od popiołu rozwiewanego przez wiatr u naszych stóp. Wyglądało to tak, jakby ulica zaraziła się szybko postępującą śmiertelną chorobą. Na końcu skręcała ostro na prawo, a tuż przed tym zakrętem stał stary drewniany dom. Na ganku równie stary mężczyzna zamiatał popiół sfatygowaną miotłą. Jego trud był jednak daremny, gdyż wiatr nanosił coraz to nowe pokłady brudu.

Zapytałem mężczyznę, po co w ogóle to robi. Uniósł wzrok i przytulił do piersi miotłę, jakby się bał, że mu ją ukradną. Jego stopy były bosa i brudne, a spodnie umorusane sadzą aż do kolan.



— Ktoś musi się tym zajmować — burknął. — Żeby szlag nie trafił tego miejsca.

Po tych słowach z ponurą miną powrócił do pracy, chociaż ledwie trzymał kij od miotły w powykręcanych artretyzmem dłoniach. Pomyślałem, że jest w nim coś szlachetnego, wytrwałość, która budziła podziw. Z uporem trwał na posterunku, niczym ostatni strażnik na końcu świata.

Idąc krętą ulicą, mijaliśmy budynki, które zdawały się zrzucać skórę — ich farba złuszczała się od wysokiej temperatury. Budowli z poczerniałymi i rozbitymi oknami było coraz więcej. Zwróciłem uwagę na pozapadane dachy i walące się ściany, aż wreszcie, gdy dotarliśmy do skrzyżowania z ulicą Dymną, naszym oczom ukazały się jedynie szkielety domów. Otaczały nas ruiny i zgliszcza, a wśród popiołu tu

i tam żarzyły się węgielki niczym maleńkie, dogorywające serca. Staliśmy jak rażeni piorunem, rozglądając się dookoła. Z głębokich szczelin w chodniku wydobywał się siarkowy dym. Popalone drzewa sterczały nad ruinami niczym strachy na wróble, a zasy popiołu piętrzyły się na ulicy, miejscami osiągając wysokość kilkudziesięciu centymetrów. Nigdy dotąd nie znalazłem się w miejscu tak bardzo przypominającym piekło.

— A zatem tak się prezentuje droga dojazdowa do siedziby upiorów — mruknął Addison. — Jakże stosownie.

— To wygląda jak nie z tego świata — zauważyłem i rozpiąłem płaszcz. Panował tu upał jak w saunie, ciepło przenikało nawet przez podeszwy butów. — Co tu się stało, zdaniem Sharona?

— Podziemny ogień — odparła Emma. — Potrafi płonąć przez lata i niezwykle trudno go ugasić.

Rozległ się syk, jakby ktoś otworzył gigantyczną puszkę napoju gazowanego, i zaledwie kilka metrów od nas z pęknięcia w chodniku wystrzelił wysoki jęzor pomarańczowego płomienia. Podskoczyliśmy ze strachu i dopiero po chwili udało się nam uspokoić.

— Chodźmy stąd jak najszybciej — poprosiła Emma. — Tylko którądy teraz?

Mogliśmy skrócić w lewo albo w prawo. Ulica Dymna kończyła się Rowem Malariańskim z jednej strony i mostem upiorów z drugiej, ale nie mieliśmy pojęcia, która droga prowadzi dokąd. Z powodu dymu, mgły i nawiewanego przez wiatr popiołu niewiele dało się zobaczyć. Wybór na chybił trafił najprawdopodobniej wiązał się z błędzeniem, dodatkowym niebezpieczeństwem i stratą czasu.

Staliśmy coraz bardziej zdenerwowani, kiedy nagle dobiegły nas jękliwe dźwięki piosenki, więc uciekliśmy z ulicy, żeby się skryć wśród zwęglonych pozostałości jednego z domów. Śpiewacy zbliżali się do nas, zawodząc donośnie, a słowa piosenki stawały się coraz bardziej zrozumiałe:

*Gdy złodziejowi wybił dzwon,
Z wizytą przyszedł kat.
I mówi: „Słuchaj, pókiś żyw
Jak skończysz, panie chwata:
Zadyndasz na postronku, do czarta pójdiesz precz,
Obetnę ci rączynę, katowski spadnie miecz,
I skórę wygarbuję, zostanie zimny trup,
A na sam koniec, brachuuuuuu...*

Umilkli, żeby wziąć głęboki oddech, a potem wrzasnęli: „Czeka cię ciemny grób!”.

Rozpoznałem te głosy, zanim jeszcze śpiewacy wyłonili się z mgły. Po pewnym czasie zobaczyłem sylwetki w czarnych kombinezonach, solidnych czarnych buciorach, i z kołyszącymi się pogodnie torbami na narzędzia. Nawet po dniu ciężkiej pracy niezłomni budowniczo szafotów śpiewali ile sił w płucach.

— Niech Bóg błogosławi tych fałszujących pocziwców — powiedziała Emma, śmiejąc się cicho.

Wcześniej widzieliśmy, jak pracują nad kanałem, u wylotu ulicy Dymnej, więc rozsądnie było założyć,

że właśnie stamtąd idą. Innymi słowy, zmierzali w kierunku mostu. Poczekaliśmy, aż nas miną i znowu znikną we mgle, po czym wróciliśmy na ulicę, by ruszyć za nimi.

Brnęliśmy przez pokłady popiołu, który brudził na czarno wszystko: nogawki moich spodni, buty i nagie kostki Emmy, całe łapy Addisona. Gdzieś w oddali cieśle zaśpiewali inną piosenkę, a ich głosy odbijały się echem od spalonych szczątków. Wokół nas były tylko ruiny. Co jakiś czas rozlegał się donośny świst i kolejny płomień wyskakiwał z ziemi, ale wszystkie znajdowały się dalej od nas niż ten pierwszy. Mieliśmy szczęście — łatwo tu było upiec się żywcem.

Ni z tego, ni z owego powiał silniejszy wiatr i wzbił w powietrze popiół oraz gorące drobiny węgla, które utworzyły czarną zadymkę. Odwróciliśmy się, zakrywając twarze i próbując oddychać. Zasłoniłem usta kołnierzykiem koszuli, ale niewiele to dało. Rozkaszałem się, a Emma wzięła Addisona na rękę, lecz również zaczęła się dławić. W takiej sytuacji zerwałem z siebie płaszcz i zarzuciłem im na głowy. Emma przestała kaszleć, a po chwili usłyszałem stłumione mamrotanie Addisona:

— Dziękuję!

Staliśmy tak, przytuleni do siebie, i czekaliśmy, aż burza popiołowa się skończy. Nagle dobiegł mnie jakiś hałas. Rozchyliłem powieki i zerknąwszy przez palce, ujrzałem coś, co mnie poruszyło, nawet po tym wszystkim, czego byłem świadkiem na Diabelskim Poletku. Chodnikiem szedł spokojnie mężczyzna, który co prawda przyciskał chusteczkę do ust, ale poza tym wydawał się całkiem odprężony. Bez trudu przemierzał pogrążoną w mroku okolicę, gdyż z jego oczu spływały strumienie silnego, białego światła.

— Dobry wieczór! — zawołał, kierując je na mnie i uchylając kapelusza.

Chciałem odpowiedzieć, lecz moje usta wypełniły się popiołem, podobnie jak oczy. Zacisnąłem powieki, a kiedy otworzyłem je z powrotem, nieznajomy już zniknął.

Wiatr nieco zelżał, a my kaszleliśmy, plując i trąc oczy, aż w końcu byliśmy w stanie znowu jako tako funkcjonować. Emma postawiła Addisona.

— Jeśli nie będziemy dostatecznie uważać, ta pętla zabije nas jeszcze szybciej niż upiory — oznajmił.

Emma zwróciła mi płaszcz i mocno mnie uścisnęła. Potrafiła tak szczelnie otoczyć mnie ramionami i przytulić głowę do mojej klatki piersiowej, że nie dzielił nas nawet centymetr przestrzeni. Zapragnąłem ją pocałować, tu i teraz, pokrytą od stóp do głów sadzą.

Addison odchrząknął.

— Przykro mi, że muszę wam przerwać, ale naprawdę powinniśmy już się zbierać — oświadczył.

Oderwaliśmy się od siebie, lekko zawstyżeni, i cała nasza trójka ponownie ruszyła w drogę. Wkrótce dostrzegliśmy blade sylwetki we mgle. Jakieś osoby kręciły się po ulicy, wędrując między chatkami przy chodnikach. Zawahaliśmy się, niepewni, kto to taki, ale nie pozostało nam nic innego, jak brnąć przed siebie.

— Głowa do góry, wyprostuj ramiona — poleciła mi Emma. — Postaraj się wyglądać groźnie.

Zwarliśmy szyki przed wejściem między obdartych i umorusanych sadzą od stóp do głów ludzi, którzy rozglądali się nerwowo i wodzili dookoła błędnym wzrokiem. Zmarszczyłem brwi, próbując zrobić

groźną minę bandziora, a wtedy wycofali się niczym zbite psy.

To było coś w rodzaju dzielnicy nędzy. Niskie domki sklecone ze złomowanego metalu miały blaszane dachy, przygniecione kamieniami i pniami drzew, a w otworach drzwiowych powiewały płócienne szmaty. W części chatynek brakowało nawet takich symbolicznych drzwi. Okolica wyglądała tak, jakby żałosne resztki najprymitywniejszego życia dogorywały na pogorzeliści cywilizacji.

Po ulicy biegały kury. Jakiś mężczyzna klęczał przy dymiącym otworze w ziemi i gotował jajka w bijącym spod gruntu żarze.

— Nie podchodźcie zbyt blisko — wymamrotał Addison. — Ci ludzie wydają się chorzy.

To samo przyszło mi do głowy. Miejscowi chodzili, powłócząc nogami, mieli mętne spojrzenia. Ten i ów zakrywał twarz maską albo nosił na głowie worek z wyciętymi szparami na oczy. Najwyraźniej chodziło o to, żeby zasłonić oblicza zżarte chorobą lub spowolnić rozprzestrzenianie się epidemii.

— Kim oni są? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia — odparła Emma. — I nie zapytam.

— Myślę, że nigdzie nie są mile widziani — odezwał się Addison. — To nietykalni, nosiciele zarazy i przestępcy, których zbrodni nie wybacza się nawet na Diabelskim Poletku. Uciekinierzy spod stryczka osiedlili się tutaj, na samym dnie, na całkowitym krańcu społeczeństwa osobliwców. Zostali wypędzeni z najdalszych obrzeży dziczy.

— Skoro jesteśmy na rubieżach świata, upiory muszą czaić się nieopodal — zauważyła Emma.

— Czy ci ludzie to na pewno osobliwcy? — zapytałem.

Nie wydawali się ani trochę niezwykli, jeśli nie liczyć ich skrajnej nędzy. Może przemawiała przeze mnie duma, ale trudno było mi uwierzyć, że społeczność osobliwców, nawet takich, którzy upadli skrajnie nisko, pozwoliłaby sobie na życie w nieopisanym brudzie i koszmarnej biedzie.

— Nie wiem i mam to w nosie — oświadczyła Emma. — Idziemy.

Ruszyliśmy, patrząc przed siebie i udając brak zainteresowania w nadziei, że miejscowi odwzajemnią się tym samym. Większość trzymała się z dala, ale kilkoro ruszyło za nami, by żebrać.

— Cokolwiek, cokolwiek — jęczał jeden, wskazując na swoje oczy. — Kropelkę, fiolkę.

— Prosimy... — nalegał drugi. — Od dawna nie mieliśmy działki.

Ich policzki były podziobane i zryte bliznami, jakby płakali kwasem. Ledwie mogłem na nich patrzeć.

— Nie mamy tego, na czym wam zależy — oznajmiła Emma, odpędzając natrętów.

Żebracy w końcu się odczepili i stanęli na drodze, wpatrując się w nas spode łbów.

— Ej, ty! — zawołał ktoś wysokim, zdartym głosem. — Chłopcze!

— Nie zwracaj na niego uwagi — mruknęła Emma.

Nie odwracając głowy, popatrzyłem na tego człowieka. Kuczał pod ścianą, cały w łachmanach, i wskazywał na mnie drżącą ręką.

— To ty? Chłopcze! To ty, prawda? — Podniósł przepaskę na jednym ze szkieł okularów, żeby mi się lepiej przyjrzeć. — Taaak! — wyszeptał, po czym uśmiechnął się do mnie poczerńiałymi dziąsłami.

— Czekali na ciebie.

— Kto czekał?

Nie mogłem tego dłużej znieść. Zatrzymałem się przed nim, a Emma westchnęła ze zniecierpliwieniem. Żebrak uśmiechnął się jeszcze szerzej, wręcz szaleńczo.

— Czcciele pyłu i magowie! Przekłęci bibliotekarze i błogosławieni kartografowie! Każdy, kto jest kimś! — Uniósł ręce i skłonił się, a ja poczułem potężny smród. — Czekają baaaardzo długo!

— Na co?



— Chodź, przecież to wariat — oznajmiła Emma.

— Na wielkie widowisko, wielkie widowisko — odparł żebrak, a jego głos wznosił się i opadał niczym głos naganiacza w lunaparku. — Największe, najlepsze i ostatnie! Już praaaawie nadeszło!

Przeszył mnie zimny dreszcz.

— Nie znam cię i ty też mnie nie znasz, do diabła! — Odwróciłem się i odszedłem.

— Pewnie, że cię znam — usłyszałem jego głos. — To ty jesteś chłopcem, który gada z głucholcami. Zamarłem. Emma i Addison znieruchomieli i popatrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami.

Podbiegłem do żebraka.

— Kim jesteś?! — wrzasnąłem mu prosto w twarz. — Kto ci to powiedział?!

On jednak tylko pokładał się ze śmiechu i już niczego więcej się nie dowiedziałem.

Odeszliśmy w chwili, gdy zaczął się zbierać tłumek.

— Nie odwracajcie się — przestrzegł nas Addison.

— Zapomnij o nim — poradziła mi Emma. — To wariat.

Chyba żadne z was nie wątpiło, że żebrak to ktoś więcej, ale poza tym nic nie wiedzieliśmy na jego temat. W milczeniu powędrowaliśmy przed siebie, a w głowach huczało nam od pytań bez odpowiedzi. Cieszyło mnie, że nikt nie wspominał o dziwacznych słowach nieznajomego. Nie miałem pojęcia, co oznaczały, i byłem zbyt zmęczony na rozważania. Sądząc po tym, jak Emma i Addison powłóczyli nogami, i oni opadli z sił. O tym również nie rozmawialiśmy. Wyczerpanie stało się naszym nowym wrogiem, ale nazwanie rzeczy po imieniu osłabiłoby nas jeszcze bardziej.

Wyteżaliśmy wzrok w poszukiwaniu mostu upiorów, gdy droga przed nami zmierzała w dół, niknąc w niecce gęstej mgły. Uświadomiłem sobie, że Lorraine mogła kłamać, co by oznaczało, że nie ma żadnego mostu. A jeśli wysłała nas do tej dziury w nadziei na to, że jej mieszkańcy pożrą nas żywcem? Gdybyśmy zabrali Lorraine ze sobą, moglibyśmy ją zmusić do...

— Jest! — wykrzyknął Addison i wyprężył się jak struna, wskazując punkt prosto przed nami.

Próbowaliśmy zobaczyć to, co widział — mimo okularów miał lepszy wzrok niż my — i w końcu, po kilkunastu krokach, udało nam się dostrzec zarys wąskiej drogi, która wypiętrzała się w łuk ponad zamgloną przepaścią.

— Most! — krzyknęła Emma.

Puściliśmy się biegiem, na chwilę zapominając o zmęczeniu, a spod naszych stóp wzbijały się obłoki czarnego pyłu. Gdy na moment przystanęliśmy, żeby złapać oddech, widoczność nieco się poprawiła. Nad przepaścią wisiał całun zielonkawej mgły, a za nią rozciągał się długi mur z białego kamienia, który bronił dostępu do wysokiej jasnej wieży o wierzchołku ukrytym w niskich chmurach.

To była forteca upiorów, niepokojąco nijaka, jak twarz pozbawiona rysów. Miejsce, w którym ją wzniesiono, wydawało się niestosowne — wielka, jasna i czysta sylwetka wieży dziwacznie kontrastowała z pogorzelskim ulicy Dymnej, zupełnie jakby ktoś postawił podmiejskie centrum handlowe w samym środku pola bitwy pod Agincourt. Samo patrzenie na fortecę wywoływało we mnie strach, ale i poczucie misji, całkiem jakby wszystkie wątki mojego niemądrego i chaotycznego życia zbiegały się w jednym punkcie, niewidzialnym za murami. Stałem przed ostatecznym wyzwaniem — musiałem mu sprostać albo zginąć w walce. To był dług, który pozostał mi do spłacenia. Wszystkie radości i koszmary w moim dotychczasowym życiu stanowiły tylko preludium. Wiedziałem, że jeśli nic w życiu nie dzieje się bez przyczyny, powinienem jej szukać po drugiej stronie tych murów.

Emma nagle wybuchnęła śmiechem, ale szybko się opanowała, gdy spojrzałem na nią ze zdumieniem.

— Więc tam się ukrywają? — zapytała.

— Na to wygląda — przytaknął Addison. — To cię śmieszy?

— Niemal przez całe życie nienawidziłam upiorów i się ich bałam. Nawet nie wiem, ile razy przez te wszystkie lata wyobrażałam sobie chwilę, w której znajdziemy ich wylegarnię. Ich kryjówkę.

Spodziewałam się przynajmniej złowieszczego zamku o ociekających krwią murach i jeziora bulgoczącego oleju. A tu guzik.

— Jesteś rozczarowana? — zapytałem.

— Trochę jestem. — Oskarżycielskim gestem wskazała fortecę. — Tylko na tyle ich stać?

— I ja jestem rozczarowany — oświadczył Addison. — Żywiłem nadzieję, że natrzemy na nich z armią.

Najwyraźniej jednak nie będzie nam potrzebna.

— Trudno powiedzieć — powiedziałem. — Nie mam pojęcia, co nas czeka po drugiej stronie tych murów.

— W takim razie będziemy gotowi na wszystko — zauważyła Emma. — Czym jeszcze nas nie zaskoczyli? Udało nam się przetrwać ostrzał, bombardowanie, ataki głucholców... W końcu dotarliśmy tutaj, a po tych wszystkich latach, w których to oni nas osaczali, nareszcie my ich atakujemy.

— Na pewno trzęsą się ze strachu — wymamrotałem ironicznie.

— Odnajdę Caula — ciągnęła Emma. — Odszukam go, a wtedy pożałuje, że przyszedł na świat. Będzie błagał o swoje bezwartościowe życie. Zacisnę dłonie na jego szyi tak mocno, że łeb mu wyparuje.

— Nie mów hop — poradziłem jej. — Do niego jeszcze daleka droga. Wszędzie tutaj czają się upiory i pewnie uzbrojeni strażnicy.

— Może nawet głucholce — dodał Addison.

— Głucholców na pewno nie zabraknie — zgodziła się Emma.

Wydawała się dziwnie rozradowana tą perspektywą.

— Chodzi o to, że chyba nie powinniśmy szturmować bram, nie wiedząc nic na temat tego, co nas czeka po drugiej stronie — odezwałem się. — Być może mamy tylko jedną szansę. Nie chciałbym jej zmarnować.

— Okej, to co proponujesz? — spytała Emma.

— Niech Addison się tam zakradnie. Znajdziemy jakiś sposób, żeby go przerzucić na drugą stronę murów. Najmniej rzuca się w oczy — jest na tyle mały, że może się ukryć niemal wszędzie, i ma najlepszy nos. Niech zrobi rozpoznanie, a potem wymknie się i powie nam, co odkrył. Oczywiście, jeżeli czuje się na siłach.

— A jeśli nie wróce? — zainteresował się Addison.

— Wtedy wyruszymy ci na ratunek — zapewniłem go.

Pies zastanawiał się przez chwilę, bardzo krótką chwilę.

— Zgadzam się, niemniej pod jednym warunkiem — powiedział.

— Mów — westchnąłem.

— Pragnę, by w opowieściach o naszym zwycięstwie nazywano mnie Addisonem Nieustraszonym.

— Tak się stanie — zapowiedziała Emma.

— Albo jeszcze lepiej: Niesłuchanie Nieustraszonym — dodał Addison. — I przystojnym.

— Załatwione — mruknąłem.

— Doskonale — oznajmił. — Zatem pora działać. Niemal wszyscy, na których nam zależy, znajdują się po drugiej stronie tego mostu. Każda minuta spędzona przeze mnie po tej stronie jest minutą zmarnotrawioną.

Postanowiliśmy odprowadzić Addisona, by potem poczekać na jego powrót w pobliżu mostu, i ruszyliśmy pędem w dół drogi. W trakcie biegu zauważyliśmy, że otaczające nas ubogie zabudowania są coraz gęściej poupychane po obu stronach ulicy. Odstęp między chatynkami malały, aż wreszcie całkiem znikły. Mijaliśmy więc jednolity ciąg byle jak posklepanych, przeżartych rdzą domostw, które w pewnym momencie się skończyły i ulica Dymna ponownie przeobraziła się w stumetrowe czarne i wyludnione pogorzelsko zawałonych ścian i dachów. Niewykluczone, że wkroczyliśmy w swoistą strefę ochronną, stworzoną przez bezlitosne upiory. W końcu wyrósł przed nami most, u którego wylotu zgromadziła się ludzka ciżba, łącznie kilkadziesiąt osób. Gdy byliśmy jeszcze zbyt daleko, aby przyjrzeć się ich strojom, Addison zastrzygł uszami.

— Patrzcie! — powiedział. — Obozowisko wojskowe! Trwa oblężenie twierdzy! Wiedziałem, że nie my jedni chwycimy za broń...

Przy bliższych oględzinach okazało się jednak, że ci ludzie bynajmniej nie są żołnierzami. Addison westchnął z rozczarowaniem.

— Niczego nie oblegają — mruknął. — Po prostu... zalegli.

Przed mostem zebrała się gromada najędźniejszych nędzarzy, jakich kiedykolwiek widzieliśmy. Tkwili bez ruchu w popiele, tak ospali i niemrawi, że błędnie uznałem kilkoro siedzących za stężałe trupy. Ich włosy i skóra poczerniały od sadzy i węgla, na twarzach mieli tyle dziobów i blizn, że zastanawiałem się, czy nie są trędowaci. Kiedy ich mijaliśmy, paru ze znużeniem podniosło wzrok, ale jeśli nawet na coś czekali, to na pewno nie na nas, więc z powrotem opuścili głowy. Nie siedziała tylko jedna osoba, chłopiec w myśliwskiej czapce z nausznikami, który krążył między śpiącymi, przetrząsając ich kieszenie. Ci, którzy się obudzili, usiłowali trzepnąć dzieciaka, ale nie chciało im się go ścigać. I tak nie mieli nic wartego kradzieży.

Prawie już ich wymyśleliśmy, kiedy jeden z nich zawołał:

— Zginiecie!

Emma przystanęła i odwróciła się do niego.

— Co takiego? — spytała ostro.

— Zginiecie.

Mężczyzna, który się odezwał, leżał na kartonie, a jego żółte oczy połyskiwały pod grzywą czarnych włosów.

— Nikomu nie wolno przechodzić przez most bez pozwolenia — dodał.

— I tak przejdziemy — zapowiedziała Emma. — Więc jeśli wiesz coś, czego powinniśmy się bać, mów!

Nędzarz stłumił śmiech. Reszta milczała. Emma powiodła wzrokiem po ich twarzach.

— Żaden z was nam nie pomoże? — spytała.

— Uważajcie na... — zaczął jeden z mężczyzn, ale natychmiast uciszył go inny.

— Niech idą — wymamrotał. — Za kilka dni będziemy mieli ich kropię!

Ubodzy zajęczeli boleśnie i tęsknie.

— Och, oddałabym wszystko za fiołkę — powiedziała kobieta u moich stóp.

— Za kropelkę, jedną kapkę! — Jakiś mężczyzna zakołysał się, siedząc w kucki. — Kropelkę ich kropii!

— Przestańcie, to tortura! — jęknął jeszcze inny. — Nawet o tym nie mówcie!

— Do diabła z wami wszystkimi! — krzyknęła Emma. — Addisonie Nieustraszony, pomożemy ci przejść na drugi brzeg!

I z niesmakiem odwróciliśmy się od tłumu.

* * *

Wąski, łukowato wygięty pośrodku most wzniesiono z tak czystego marmuru, że nawet popiół z ulicy zdawał się go unikać. Addison przystanął na skraju konstrukcji.

— Chwileczkę, tu coś jest — powiedział.

Czekaliśmy nerwowo, podczas gdy on z zamkniętymi oczami węszył w powietrzu. Przypominał jasnowidza zagląającego do kryształowej kuli.

— Musimy już iść. Jesteśmy tu widoczni jak na dłoni — wymamrotała Emma.

Addison jednak błędził myślami gdzie indziej, zresztą nie wyglądało na to, żeby groziło nam bezpośrednie niebezpieczeństwo. Most świecił pustkami, nikt nie strzegł okratowanej bramy po drugiej stronie. Szczyt długiego białego muru, gdzie można by oczekiwać ludzi z karabinami i lornetkami, także był zupełnie pusty. Nie licząc murów, jedynym elementem obronnym twierdzy wydawała się przepaść otaczająca budowlę niczym fosa. Na jej dnie bulgotała rzeka wrzątku, a siarkowe zielone opary kłębiły się wokół nas. Nie widziałem żadnej innej drogi do twierdzy niż ta po moście.

— Nadal rozczarowana? — zapytałem Emmę.

— Wręcz obrażona — odparła. — Całkiem jakby nie próbowali nas zniechęcić do wejścia.

— Tak, mnie też to martwi.

Addison jęknął i szeroko otworzył błyszczące oczy.

— Co się stało? — zapytała Emma bez tchu.

— To bardzo słaby trop, ale wszędzie rozpoznam zapach Balenciagi Wren — odparł.

— A inni?

Addison raz jeszcze pociągnął nosem.

— Było z nią więcej naszych. Nie wiem, kto konkretnie ani ilu. Ślad się zaciera. Ostatnio wędrowało tędy mnóstwo osobliwców i nie mam na myśli tych tam. — Popatrzył z potępieniem na bezdomnych za

nami. — Ich osobliwa esencja jest słaba, wręcz niewyczuwalna.

— A więc kobieta, którą przesłuchaliśmy, mówiła prawdę — zauważyłem. — To tutaj upiory sprowadzają swoich jeńców. Tu są nasi przyjaciele.

Odkąd ich zabrano, czułem, jak moje serce ściska dławiąca rozpacz. Teraz jednak to przykre uczucie zaczęło powoli ustępować. Po raz pierwszy od wielu godzin nie tylko domysły i nadzieja dodawały nam siły. Wytropiliśmy przyjaciół na wrogim terytorium i udało nam się dotrzeć na sam próg siedziby upiorów. To samo w sobie było drobnym zwycięstwem. Przez krótką chwilę czułem, że wszystko jest możliwe.

— W takim razie to dziwne, że nikt nie pilnuje tego miejsca — oznajmiła Emma ponuro. — Wcale mi się to nie podoba.

— Mnie też nie — powiedziałem. — Ale nie widzę innej drogi do twierdzy.

— Miejmy już to z głowy — westchnął Addison.

— Odprowadzimy cię najdalej, jak się da — zdecydowała Emma.

— Dziękuję, jestem wdzięczny. — Mówiąc to, Addison wcale nie wydawał się niesłuchanie nieustraszony.

Oszacowałem, że most dałoby się pokonać sprintem w niespełna minutę, tylko dlaczego mielibyśmy biec? „Dlatego — pomyślałem, parafrazując Tolkiena — że do Mordoru nie da się wejść ot tak, po prostu”.

Ruszyliśmy zważym krokiem, słysząc za sobą szepty i stłumione śmiechy. Zerknąłem na nędzarzy. Pewni, że czeka nas ponury koniec, ożywili się i usiłowali zająć jak najlepsze miejsca do obejrzenia widowiska. Brakowało im tylko popcornu. Miałem ochotę wrócić i cisnąć ich wszystkich po kolei do wrzącej rzeki.

„Za kilka dni będziemy mieli ich kropię”. Nie wiedziałem, co to znaczy, i liczyłem na to, że nigdy się nie dowiem.

Wspinaliśmy się po coraz bardziej stromej powierzchni mostu. Narastające przerażenie sprawiało, że mój puls gwałtownie przyspieszył. Byłem pewien, że za chwilę coś zaatakuje nas z góry, a nie mieliśmy dokąd uciec. Czułem się jak mysz gnająca do pułapki.

Szeptem raz jeszcze omówiliśmy plan. Trzeba było pomóc Addisonowi przedostać się przez bramę, potem powrócić do dzielnicy nędzy i poczekać tam w dyskretnym miejscu. Gdyby nie pojawił się w ciągu trzech godzin, mieliśmy znaleźć sposób na wdarcie się do twierdzy.

Dochodziliśmy do szczytu mostu i wtedy zobaczyłem wcześniej ukryty, opadający fragment nawierzchni przed bramą. W tym momencie rozwrzeszczały się latarnie przy balustradzie:

— Stać!

— Kto idzie?!

— Wstęp wzbroniony!

Zatrzymaliśmy się z szeroko otwartymi ustami, wbijając wzrok w latarnie. Dopiero wtedy dotarło do

nas, że to wcale nie są uliczne lampy, tylko zasuszone głowy na długich metalowych tykach. Z wywalonymi językami i naciągniętą szarą skórą wyglądały strasznie. Trzy z nich przemówiły do nas, choć brakowało im gardeł. Razem było ich osiem, nabitych na pręty parami, po obu stronach mostu.

Tylko Addison nie wydawał się zdumiony.

— Nie mówcie mi, że nigdy nie widzieliście łebskiego strażnika — mruknął.

— Ani kroku dalej! — wycedziła głowa po naszej lewej stronie. — Niemal pewna śmierć czeka na tych, którzy przechodzą tędy bez pozwolenia!

— Może powinieneś raczej powiedzieć „pewna śmierć” — odezwała się głowa po naszej prawej.

— „Niemal” brzmi safandułowato.

— Mamy pozwolenie — skłamałem pod wpływem impulsu. — Jestem upiorem i dostarczam Caulowi dwóch pojmanych osobliwców.

— Nikt nas nie uprzedził — zirytowała się głowa po lewej.

— Richardzie, czy oni wyglądają ci na pojmanych? — zapytała ta po prawej.

— Nie jestem w stanie tego stwierdzić — odparła głowa z lewej. — Wiele tygodni temu kruki wydziobały mi oczy.

— Tobie też? — westchnęła ta z prawej. — Fatalna sprawa.

— Nie wydaje mi się, żeby mówił głosem któregoś ze znanych mi upiorów — oświadczyła ta z lewej.

— Jak szanowny pan się nazywa, hm?

— Smith — odparłem.

— Ha! Nie mamy tu żadnego Smitha! — zatriumfowała ta z prawej.

— Bo właśnie do was dołączyłem.

— Tere fere. Chyba jednak was nie przepuścimy.

— A kto nas powstrzyma? — zapytałem.

— No przecież, że nie my — burknęła lewa. — My tu tylko przepowiadamy.

— I informujemy — uzupełniła prawa. — Wiedziałaś, że skończyłem muzealnictwo? Nie chciałem być łebskim strażnikiem...

— Nikt nie chce być łebskim strażnikiem — burknęła głowa z lewej. — Nie ma dziecka, które dorasta, marząc o przyszłości łebskiego strażnika z oczami wydziobanymi przez cholerne kruki i o czarnowidzeniu od rana do wieczora. Ale nie każda droga życiowa jest usłana płatkami róż, prawda?

— Chodźmy — mruknęła Emma. — Mogą tylko głądzić.

Ruszyliśmy dalej, ignorując łebskich strażników, którzy kolejno nas ostrzegali.

— Nie idźcie dalej! — krzyknęła czwarta głowa.

— Podążacie tam na własną odpowiedzialność! — zawyła piąta.

— Chyba nie słuchają — zdumiała się szósta.

— No cóż — westchnęła siódma cicho. — Ale nie mówcie, że was nie ostrzegaliśmy.

Ósma tylko pokazała nam tłusty zielony jezor. Wkrótce minęliśmy łebskich strażników, weszliśmy na

szczyt mostu... I w tym miejscu wyprawa się skończyła, gdyż przed nami pojawiła się ogromna, sześćo- lub siedmiometrowej szerokości przepaść tam, gdzie powinna znajdować się kamienna droga. Niewiele brakowało, a runąłbym w otchłań. Emma chwyciła mnie w ostatniej chwili, a ja cofnąłem się gwałtownie, wywijając rękami.

— Nie dokończyli cholernego mostu! — wykrzyknąłem zaczerwieniony z emocji i zakłopotania.

Usłyszałem śmiech głów za nami, a także rechot nędzarzy na brzegu. Gdybyśmy biegli, nie zdołalibyśmy zatrzymać się na czas i spadlibyśmy do rzeki.

— Wszystko w porządku? — spytała mnie Emma.

— Tak — odparłem. — Mnie nic się nie stało, ale sytuacja nie jest w porządku. Niby jak mamy przetransportować Addisona na drugą stronę?

— To szalenie irytujące — oświadczył Addison. — Raczej nie zdołamy skoczyć, prawda?

— Mowy nie ma — westchnąłem. — Jest za daleko, nawet gdybyśmy się rozpędzili. Nawet gdybyśmy skoczyli o tycze.

— Hm. — Emma obejrzała się za nas. — Właśnie podsunąłeś mi pewien pomysł. Zaraz wracam.

Addison i ja patrzyliśmy, jak maszeruje z powrotem. Zatrzymała się przy pierwszej napotkanej głowie, zacisnęła dłonie na pręcie i szarpnęła.

Bez trudu wysunęła go z kamienia. Nie zważając na hałaśliwe protesty głowy, Emma położyła ją na ziemi, przycisnęła stopę do twarzy i z całych sił pociągnęła za pręt. Jego koniec wysunął się z głowy, która potoczyła się w dół mostu, wyjąc z wściekłości. Emma wróciła z triumfalną miną, postawiła zdobycz na skraju przepaści i puściła. Pręt padł z donośnym, metalicznym szczęknięciem, tworząc pomost nad otchłanią.

Emma popatrzyła na swoje dzieło i zmarszczyła brwi.

— Cóż, Most Londyński to to nie jest — oceniła.

Kładka miała jakieś siedem metrów długości i trzy centymetry szerokości, była lekko ugięta pośrodku i wyglądała jak przeszkoda, którą jest w stanie pokonać tylko cyrkowy linoskoczek.

— Przynieśmy jeszcze kilka — zaproponowałem.

Biegaliśmy w tę i z powrotem, wyciągając pręty i układając je nad przepaścią. Głowy pluły, kłęły i rzucały czcze pogroźki. Kiedy odtoczyła się ostatnia z nich, mieliśmy już mały metalowy mostek, szeroki na mniej więcej trzydzieści centymetrów i śliski od mazi, która wysączyła się z głów. Kładka grzechotała na pełnym popiołu wietrze.

— Za Anglię! — wykrzyknął Addison i z wahaniem ruszył na pręty.

— Za panią Peregrine — dodałem, idąc za nim.

— Zaklinam was na wszystkie ptaki świata, ostrożnie — powiedziała Emma, idąc w moje ślady.

Addison przeraźliwie nas spowalniał. Jego małe łapy nieustannie ześlizgiwały się między pręty, a wtedy żołądek podchodził mi pod gardło. Próbowałem się skupić na stopach i nie patrzeć w przepaść, było to jednak niemożliwe. Wrząca rzeka przyciągała mój wzrok jak magnes. Zastanawiałem się, czy

jesteśmy na tyle wysoko, żeby zabił nas sam upadek, czy też przeżyłbym uderzenie i ugotował się na śmierć. Addison tymczasem zmienił taktykę — położył się i zaczął pełznąć jak ślimak. W ten sposób przesuwaliliśmy się centymetr po centymetrze, aż wreszcie minęliśmy połowę mostku. Nagle poczułem, że mój żołądek zaciska się boleśnie w aż nazbyt znajomy sposób.

„Głucholec”. Chciałem powiedzieć to na głos, ale zaschło mi w ustach. Zanim zdążyłem przełknąć ślinę i uprzedzić przyjaciół, przykre ciśnienie w brzuchu dramatycznie się nasiliło.

— Co za koszmary pech — mruknął Addison. — Jest przed czy za nami?

Nie umiałem tego określić, więc przez chwilę się zastanawiałem.

— Jacob! Przed nami czy za nami?! — wrzasnęła mi Emma do ucha.

„Przed nami”. Mój wewnętrzny kompas był tego pewien, ale to nie miało sensu. Widziałem fragment mostu aż do bramy i nie było tam nic. Nie dostrzegałem żadnego zagrożenia.

— Nie wiem! — odparłem.

— No to idź dalej! — pospieszyła mnie Emma.

Pokonaliśmy już połowę kładki, więc nie pozostało nam nic innego, jak tylko brnąć naprzód. Z trudem zapanowałem nad strachem. Wzięłem Addisona na ręce i ruszyłem biegiem przed siebie, ślizgając się i chwiejąc na niestabilnych prętach. Czułem, że głucholec jest na wyciągnięcie ręki, słyszałem jego pochrząkiwanie z niewidocznej kryjówki przed nami. Mój wzrok padł na miejsce poniżej poziomu nawierzchni mostu, gdzie w kamieniu wyłobiono kilka wysokich i wąskich szczelin.

Tam się chował. Most był pusty w środku i to właśnie w jego wnętrzu czaił się głucholec. Ciało potwora nie zmieściłoby się w szczelinach, ale języki precyzyjnie przecisnęły się przez nie bez trudu.

Dotarłem na drugi koniec kładki i zeskoczyłem na most, kiedy za moimi plecami niespodziewanie rozległ się krzyk Emmy. Upuściłem Addisona, a odwróciwszy się, ujrzałem, że jeden z jęzorów głucholca owinał się wokół jej pasa i dźwignął ją w powietrze.

Zawołała mnie, a ja wykrzyknąłem jej imię. Jęzor obrócił Emmę do góry nogami i nią potrząsnął. Ponownie wrzasnęła, a jej głos ściał mi krew w żyłach.

Drugi ozór uderzył w spód kładki, pręty rozprysły się na wszystkie strony jak zapalki i runęły w przepaść. Jęzor owinał się wokół Addisona, a trzeci gruchnął mnie w pierś.

Upadłem bez tchu. Gdy usiłowałem nabrać powietrza w płuca, język głucholca otoczył mnie w pasie i uniósł. Zauważyłem, że Addison wisi w powietrzu za tylne łapy. Moment później wszyscy troje dyndaliśmy do góry nogami.

Krew napłynęła mi do głowy i przed oczami zobaczyłem czarne plamy. Dotarło do mnie ujądanie Addisona, który kąsał jęzor.

— Nie rób tego, bo cię upuści! — wrzasnąłem, ale pies mnie zignorował.

Także Emma była bezsilna. Gdyby przypaliła język ściskający ją w pasie, poleciałaby w dół.

— Przemów do niego, Jacob! — krzyknęła. — Każ mu przestać!

Odwróciłem się, żeby spojrzeć na wąskie szczeliny w murze, przez które potwór precyzyjnie przecisnął języki.

W tym momencie obgryzał kamienne płyty, wybałuszając wygłodniałe czarne ślepia. Wisieliśmy niczym winogrona na grubych, ciemnych pęczkach, rozkołysani nad głęboką przepaścią.

Spróbowałem odezwać się do głucholca w jego języku.

— POSTAW NAS! — krzyknąłem, ale po angielsku.

— Jeszcze raz! — szczechnął Addison.

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, jak głucholec wykonuje moje polecenie, a potem próbowałem ponownie.

— Postaw nas na moście!

Znowu po angielsku. To nie był głucholec, którego wcześniej poznałem, z którym obcowałem długimi godzinami, gdy tkwił zamrożony w lodzie. Natrafiłem na zupełnie obcego, nieznanego mi stwora, więc udawało mi się nawiązać z nim bardzo słaby, ledwie wyczuwalny kontakt. Głucholec najwyraźniej się domyślił, że szukam klucza do jego umysłu, bo nagle uniósł nas wysoko, jakby brał zamach. Byłem pewien, że zaraz wylądujemy w otchłani. To był ostatni moment, żeby nawiązać kontakt z potworem...

— PRZESTAŃ! — ryknąłem ochrypłym głosem.

Tym razem wydobyłem z siebie gardłowe trzaski języka głucholców.

Głucholec zamarł z gwałtownym szarpnięciem, a my zakołysaliśmy się jak pranie na wietrze. Moje słowa dotarły do stwora, ale tylko go skołowały.

— Nie mogę oddychać — wyrzeziła Emma.

Jęzor zaciskał się wokół niej zbyt mocno i jej twarz była coraz bardziej sina.

— Postaw nas na moście — powiedziałem.

Ponownie po głucholsku! Słowa zdawały się rozrywać moje gardło. Mowa potworów kaleczyła mi przełyk tak, jakbym wykastywał zszywki do papieru.

Głucholec zagrzechotał niepewnie, a ja w przyływie optymizmu uznałem, że wykona moje polecenie. W następnym momencie potrząsnął mną w górę i w dół tak mocno i raptownie, jakby strzepywał ręcznik.

Świat rozmył mi się przed oczami i na moment ogarnęły mnie ciemności. Gdy oprzytomniałem, na zdrętwiałym języku czułem smak krwi.

— Każ mu nas postawić! — krzyczał Addison, ale nie mogłem wypowiedzieć ani słowa.

— Staham szie — wymamrotałem i po ataku kaszlu wyplułem sporą porcję krwi. — Poftaf nasz... — poleciłem bełkotliwą angielszczyzną. — Poftaf...

Było jasne, że muszę wziąć się w garść. Odetchnąłem głęboko.

— Postaw nas na moście — rozkazałem wyraźną głucholszczyzną.

Powtórzyłem to jeszcze trzy razy, mając nadzieję, że cokolwiek dotrze do gadziego mózdzku głucholca.

— Postaw nas na moście. Postaw nas na moście. Postaw nas na...

Zatrzęśliśmy się, gdy potwór ryknął z frustracją. W następnej sekundzie przyciągnął mnie do otworów w moście, za którymi był uwięziony, i zaryczał ponownie, obryzgując mi twarz drobinami czarnych plwocin. Potem uniósł nas wysoko i cisnął tam, skąd przyszliśmy.

Miałem wrażenie, że długo frunęliśmy, obracając się w powietrzu. Byłem pewien, że spadamy i czeka nas pewna śmierć. W pewnej chwili uderzyłem ramieniem o kamienny most, a wszyscy potoczyliśmy się i ześliznęliśmy do samego podnóża konstrukcji.

* * *

Zakrawało na cud, że żyjemy — byliśmy poobijani, ale przytomni, żadne z nas nie straciło ani jednej kończyny. Poturlaliśmy się po gładkiej marmurowej konstrukcji, zderzając ze stertą głów, które rozsypały się na boki. Teraz leżały dookoła i kpiły z nas, gdy próbowaliśmy się pozbierać.

— Witamy z powrotem! — powiedział łebski strażnik najbliżej mnie. — Trzeba przyznać, że wasze przerażone wrzaski były przezabawne. Kto by się spodziewał, że macie aż tak mocne płuca!

— Dlaczego nas nie uprzedziliście, że w tym przeklętym moście czai się głucholec? — burknąłem i rozkołysałem się, aby usiąść.

Bolało mnie wszystko, począwszy od otartych rąk, przez podrapane kolana, a skończywszy na ramieniu, które zapewne było wybite.

— Wtedy nie byłoby uciechy. Nie ma to jak niespodzianki.

— Przypadliście Łachotkowi do gustu — zauważyła inna głowa. — Poprzedniemu gościowi odgryzł nogi!

— To jeszcze nic — wtrąciła się głowa z uchem ozdobionym lśniącem kolczykiem w kształcie kółka, co sprawiało, że wyglądała jak pirat. — Kiedyś widziałem, jak owinał osobliwca sznurem, zanurzył go w rzece na pięć minut, a potem wyciągnął i pożarł.

— Osobliwiec *al dente* — skomentował trzeci strażnik z podziwem. — Nasz Łachotek to smakosz.

Jeszcze nie czułem się na siłach, żeby stać, więc dopełzłem do Emmy i Addisona. Ona na siedząco rozcierała poobijaną głowę, a on sprawdzał, czy da radę oprzeć ciężar ciała na ranionej łapie.

— Wszystko w porządku? — zapytałem.

— Mocno się rąbnęłam — wyjaśniła Emma, krzywiąc się z bólu, gdy rozgarnąłem jej włosy, żeby obejrzeć krwawiącą ranę.

Addison uniósł bezwładną łapę.

— Obawiam się, że uległa złamaniu — oświadczył. — Jak mniemam, nie mogłeś poprosić bestii, żeby odstawiła nas w delikatny sposób.

— Bardzo śmieszne — mruknąłem. — Właściwie mogłem kazać głucholcowi pozabijać wszystkie upiory i uratować naszych przyjaciół, prawda?

— Szczerze powiedziawszy, zastanawiałam się, czemu tego nie zrobiłeś — powiedziała Emma.

— Na litość boską, żartowałem.

— A ja nie — odparła, a gdy zabrałem się do osuszania jej rany mankietem koszuli, syknęła gwałtownie i odepchnęła mi rękę. — Co tam się właściwie zdarzyło na tym moście?

— Głucholec chyba mnie zrozumiał, ale nie potrafiłem go zmusić do posłuszeństwa. Nie mam z nim takiego kontaktu, jak z poprzednim.

Przypomniałem sobie, że „mój” głucholec prawdopodobnie się utopił, przywalony mostem, i teraz trochę tego żałowałem.

— W jaki sposób udało ci się zbliżyć do tego pierwszego? — zainteresował się Addison.

Pokrótce opowiedziałem, jak natrafiłem na zamrożonego w lodzie głucholca i jak spędziłem przy nim noc, nawiązując zdumiewająco intymny kontakt, kiedy trzymałem dłoń na jego łbie. Najwyraźniej właśnie wtedy udało mi się wedrzeć do kluczowej części jego umysłu.

— Skoro nie porozumiałeś się z głucholcem z mostu, to dlaczego darował nam życie? — drążył Addison.

— Może namieszałem mu w głowie?

— Powinieneś się podszkolić — oświadczyła Emma bez ogródek. — Musimy pomóc Addisonowi przeniknąć do twierdzy.

— Powinienem się podszkolić? — powtórzyłem zdumiony. — Jak to sobie wyobrażasz? Mam się zapisać na kurs czy jak? Ten głucholec zabije nas, gdy znowu się do niego zbliżymy. Trzeba znaleźć inny sposób.

— Jacob, inny sposób nie istnieje. — Emma odgarnęła zmierzwione włosy z twarzy i popatrzyła mi w oczy. — Ty jesteś naszym sposobem.

Już chciałem burknąć coś w odpowiedzi, gdy nagle poczułem piekący ból w pośladku i zerwałem się na równe nogi, krzycząc głośno. Jedna z głów ugryzła mnie w tyłek.

— Ejże! — wrzasnąłem, rozcierając obolałe miejsce.

— Zatknijcie nas z powrotem na pręty, wandalę jedni! — zażądała głowa.

Z całej siły kopnąłem łebskiego strażnika, a on odtoczył się w stronę grupy nędzarzy. Wszystkie głowy się rozwrzeszczały, wyzywając nas od najgorszych i nieporadnie odpychając się od ziemi szczękami. Nie pozostałem im dłużny — klnąc na czym świat stoi, kilka razy kopnąłem popiół w stronę ich odrażających zniszczonych twarzy, przez co strażnicy zaczęli pluć i krztusić się pyłem. Nagle jakiś mały i okrągły przedmiot wylądował z mokrym plaśnięciem na moich plecach.

Ktoś cisnął we mnie zgniłym jabłkiem. Odwróciłem się raptownie do nędzarzy.

— Który to rzucił?! — warknąłem.

Zarechotali cicho i szyderczo, jakby byli po wpływie.

— Wracajcie tam, skąd was przyniosło! — krzyknął jeden z nich.

Przyszło mi do głowy, że to nie jest najgorszy pomysł.

— Jak oni mają czelność?! — warknął Addison z oburzeniem.

— Mniejsza z tym — mruknąłem do niego, czując, jak złość mnie opuszcza. — Uznajmy, że...

— Jak śmiecie?! — krzyknął Addison wściekle i wyprostował się na tylnych łapach. — Czyż nie jesteście osobliwcami? Gdzie wasza godność? Usiłujemy wam pomóc!

— Dawać fiolet albo wypchać się sianem! — odkrzyknęła kobieta w łachmanach.

Addison trząśł się ze zgrozy.

— Usiłujemy wam pomóc — powtórzył. — A wy... a wy tkwicie tutaj, kiedy potwory mordują nasz

lud, kiedy nasze pętle są rozrywane na strzępy! Śpicie u bram wroga, zamiast na niego nacierać!

— Wycelował w nich ranną łapę. — Wszyscy jesteście zdrajcami i przysięgam, że pewnego dnia traficie przed oblicze rady ymbrynek, która stosownie was ukarze!

— Już dosyć. Nie trać na nich całej energii. — Emma zachwiała się lekko.

Głowa zgniłej kapusty odbiła się od jej ramienia i pacnęła na ziemię.

Emma straciła panowanie nad sobą.

— No dobra! — ryknęła, machając płonąca dłońią w stronę nędzarzy. — Ktoś tutaj chce mieć zaspawaną twarz!

Gdy Addison wygłaszał przemówienie, nędzarze zbili się w gromadkę i szeptem przeprowadzili szybką naradę, a teraz zbliżali się ku nam, uzbrojeni w prymitywną broń, taką jak odpiłowane gałęzie czy fragmenty rury. Sytuacja robiła się paskudna.

— Mamy was po uszy — obwieścił posiniaczony mężczyzna, powoli cedząc słowa. — Wrzucimy was do rzeki.

— Chciałabym to zobaczyć — warknęła Emma.

— A ja nie — powiedziałem. — Na nas chyba pora.

Ich było sześcioro, nas troje, a w dodatku przedstawialiśmy sobą opłakany widok: Addison kulał, po twarzy Emmy spływała krew, a ja z powodu urazu ramienia ledwie mogłem unieść prawą rękę. Tymczasem napastnicy rozdzielili się i powoli zdążali prosto ku nam. Było jasne, że zamierzają nas zepchnąć do wody.

Emma obejrzała się na most, a potem znowu popatrzyła na mnie.

— No, spręż się — burknęła. — Wiem, że umiesz nas przeprowadzić na drugą stronę. Spróbuj jeszcze raz.

— Nie, Em — powiedziałem. — Nie umiem. Nie oszukuję cię.

Mówiłem prawdę. Nie dałbym rady przejąć kontroli nad głuchołcem z mostu, przynajmniej na razie. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

— Jeśli chłopak mówi, że tego nie zrobi, byłbym skłonny mu wierzyć — odezwał się Addison. — Musimy znaleźć inny sposób na wykaraskanie się z opresji.

— Niby jaki? — prychnęła Emma i popatrzyła na psa. — Możesz biegać? — Przeniosła spojrzenie na mnie. — Dasz radę walczyć?

W obu wypadkach odpowiedź brzmiała: nie. Rozumiałem punkt widzenia Emmy. Nasze opcje kurczyły się z sekundy na sekundę.

— W takich sytuacjach ja i moi pobratymcy nie podejmujemy walki — obwieścił Addison z wyższością. — Zamiast tego wygłaszamy mowę! — Zwrócił się do nędzarzy i zawołał grzmiącym

głosem: — Bracia osobliwcy! Zachowajcie rozsądek! Wysłuchajcie moich słów!

Oni jednak nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Gdy konsekwentnie usiłowali odciąć nam drogi ucieczki, my wycofywaliśmy się ku mostowi, a Emma w tym samym czasie szykowała jak największą kulę ognia.

Addison nie przestawał paplać, przywołując przykład leśnych zwierząt, które przecież żyją w zgodzie, więc dlaczego nie moglibyśmy wziąć z nich przykładu?

— Weźmy prostego jeża i jego sąsiada, oposa — mówił. — Czy marnotrawią energię na wzajemne strącanie się w przepaść, kiedy przychodzi im stawić czoło wspólnemu wrogowi — zimie? Skąd!

— Całkiem mu odbiło — westchnęła Emma. — Zamknij gadaczkę i ugryź choć jednego z nich!

Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś broni, lecz jedynymi twardymi przedmiotami w pobliżu były głowy. Podniosłem jedną za resztki włosów.

— Czy jest inna droga do twierdzy?! — krzyknąłem jej w twarz. — Mów, bo wylądujesz w rzece!

— Idź do diabła! — zawarczała i kłapnęła na mnie zębami.

Cisnąłem nią w nędzarzy, ale nie doleciała i rąbnęła w ziemię, bo użyłem lewej, nadwerężonej ręki. Natychmiast złapałem następną głowę, podniosłem ją i powtórzyłem pytanie.

— Pewnie, że jest — odparła szyderczo. — Na pace winziary! Chociaż na waszym miejscu raczej spróbowałbym szczęścia z głucholcem na moście...

— Co to jest winziara? Mów, bo i tobą cisnę!

— Zaraz jedna z nich wam przywali — oświadczyła głowa.

W oddali rozległy się trzy wystrzały — buch, buch, buch — powolne i miarowe, niczym ostrzeżenie. Nędzarze, którzy na nas nacierali, natychmiast przystanęli i odwrócili się ku drodze.

Coś dużego i kanciastego pędziło w naszym kierunku, częściowo osłonięte chmurą popiołu. W pewnej chwili usłyszeliśmy, jak kierowca pojazdu redukuje bieg i naszym oczom ukazała się ciężarówka, nowoczesna, wojskowa maszyna, nitowana i wzmocniona, z kołami metrowej średnicy. Na samochodzie zainstalowano pozbawioną okien budę, a dwa upiory w kamizelkach kuloodpornych, uzbrojone w pistolety maszynowe, pełniły straż na stopniach.

Gdy tylko zjawił się pojazd, nędzarze wpadli w euforię, śmiejąc się i zachłystując z radości powietrzem. Ze zdumieniem patrzyłem, jak wymachują rękami i klaszczą niczym rozbitkowie, którzy dostrzegli przelatujący samolot. W jednej sekundzie o nas zapomnieli. Nadarzyła się niepowtarzalna okazja i nie zamierzaliśmy zaprzepaścić takiej szansy. Odrzuciłem głowę na bok, pospiesznie podniosłem Addisona i usadowiłem go w zgięciu lewej ręki. Potem zbiegłem za Emmą z drogi. Mogliśmy iść dalej — oddalić się od ulicy Dymnej i szukać schronienia w bezpieczniejszym rejonie Diabelskiego Poletka — ale wreszcie zjawił się wróg i cokolwiek miało się stać, z pewnością było ważne. Przyczailiśmy się nieopodal pobocza, ledwie ukryci za kilkoma zwęglonymi drzewami, żeby stamtąd obserwować przebieg zdarzeń.

Ciężarówka zwolniła, a tłum nędzarzy natychmiast ją obskoczył, płaszcąc się i zebrząc o „fiolki”,

o „poddusze” i o „ambkę”.

— Tylko odrobinę, troszeńkę, bardzo prosimy — powtarzali.

Zachowywali się odrażająco, nadskakując rzeźnikom, czepiając się mundurów i podkutych butów żołnierzy, którzy odwdzięczali się im kopniakami. Przeszło mi przez myśl, że upiory zaczną strzelać albo dodadzą gazu i zmiażdżą tych, którzy bezmyślnie ustawili się między ciężarówką a mostem. Samochód jednak przystanął, a upiory wykrzykiwały polecenia. „Ustawić się jeden za drugim, tutaj, zachować porządek, bo nic nie dostaniecie!”

Zastraszeni nędzarze ustawili się posłusznie jak w kolejce po darmowy chleb i przestępując z nogi na nogę, czekali na to, co mieli dostać.

Addison bez ostrzeżenia zaczął się wyrywać. Spytałem go, o co chodzi, ale tylko zaskamlał i szarpnął się jeszcze mocniej. Na jego pysku malowała się determinacja, zupełnie jakby złapał wyraźny trop. Emma go uszczypnęła, dzięki czemu na moment doszedł do siebie.

— To ona, to ona — wymamrotał. — To panna Wren.

Wtedy uświadomiłem sobie, że „winziara” oznacza więźniarkę, a ogromny pojazd upiorów niemal na pewno przewozi ludzi.

Nagle Addison mnie ugryzł. Wrzasnąłem i puściłem go, a on natychmiast pognał przed siebie. Emma zakłęła.

— Addison, stój! — krzyknąłem.

Na próżno. Gnał powodowany instynktem, niepohamowanym odruchem wiernego psa, który pragnie chronić właściciela. Rzuciłem się za Addisonem, ale nie udało mi się go chwycić — był zdumiewająco szybki jak na istotę o zaledwie trzech sprawnych nogach. Emma pomogła mi wstać i wspólnie wybiegliśmy za przyjacielem z kryjówki na drogę.

W pewnej ulotnej chwili sądziłem, że go złapiemy, że żołnierze są zbyt szczelnie otoczeni przez tłum, a nędzarze w ogóle nie zwracają uwagi na to, co się dzieje, więc nikt nas nie zauważy. Mogłoby się tak stać, gdyby nie zmiana, która zaszła w Emmie, kiedy znaleźliśmy się na drodze. Emma dostrzegła drzwi z tyłu ciężarówki i z pewnością pomyślała, że jest w stanie stopić zamki, aby uwolnić więźniów. Z widoczną na twarzy nadzieją minęła Addisona, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, i wdrapała się na zderzak.

Usłyszałem krzyki żołnierzy. Postanowiłem schwycić Addisona, ale wymknął mi się i wśliznął pod ciężarówkę. Emma właśnie przystępowała do topienia uchwyty przy zamku, kiedy jeden ze strażników zamachnął się pistoletem maszynowym jak kijem do baseballu i trafił ją w bok. Upadła na ziemię, a ja rzuciłem się biegiem w kierunku strażnika, gotów desperacko walczyć zdrową ręką, ale ktoś mnie podciął i gruchnąłem na obolałe ramię. Przeszyła mnie gwałtowna fala porażającego bólu.

Usłyszawszy wrzask żołnierza, skierowałem na niego spojrzenie. Nie miał broni i machał zranioną ręką, odsuwając się niepewnym krokiem od gromady zdenerwowanych nędzarzy. Opadli go całą masą, ale już nie po to, żeby błagać. Domagali się, grozili mu z obłędem w oczach, a teraz któryś z nich miał

jego broń. Wyraźnie spanikowany żołnierz dawał sygnały innemu upiorowi, machając obiema rękami nad głową. „Zabierz mnie stąd!” — zdawał się krzyczeć.

Podźwignąłem się z trudem i pobiegłem do Emmy. Drugi strażnik skoczył w tłum i strzelał w powietrze tak długo, aż nędzarze się rozstąpili, żeby mógł zaciągnąć kompana z powrotem na ciężarówkę. Gdy tylko stanęli na stopniach, załomotali w bok pojazdu i silnik zawył. Pociągnąłem Emmę, kiedy samochód ruszył w kierunku mostu, rozrzucając żwir i popiół monstrialnymi oponami.

Zacisnąłem dłoń na ręce Emmy, żeby sprawdzić, czy nadal jest w jednym kawałku.

— Krwawisz — powiedziałem. — I to mocno.

To stwierdzenie faktu zabrzmiało niezręcznie, ale nie umiałem w inny sposób wyrazić, jak fatalnie się czuję, widząc ją w takim stanie. Emma kuląła, a z rozległej rany na jej głowie płynęła krew i coraz bardziej brudziła włosy.

— Gdzie Addison? — spytała Emma, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, że nie wiem, dodała szybko: — Musimy gonić ciężarówkę. Być może to nasza jedyna szansa!

Skierowaliśmy wzrok na więźniarkę, która właśnie dojeżdżała do mostu. W tym samym momencie jadący nią strażnik zastrzelił dwóch ścigających ją nędzarzy. Gdy wili się na ziemi, zrozumiałem, że Emma jest w błędzie — pogoń za ciężarówką nie miała sensu. Sytuacja była beznadziejna, z czego zdawali sobie sprawę także nędzarze. Po postrzeleniu tamtych dwóch przez upiora desperacja tłumu zmieniła się we wściekłość, którą natychmiast postanowił wyładować na nas.

Próbowaliśmy uciec, ale okazało się, że jesteśmy okrążeni. Nędzarze wykrzykiwali, że wszystko zepsuliśmy i że zasługujemy na śmierć, a teraz już się nie wymkniemy. Potem posypały się ciosy: bili nas otwartymi dłońmi i pięściami, szarpali za włosy i darli nasze ubrania. Usiłowałem bronić Emmy, ale wyszło na to, że to ona mnie musi bronić, przynajmniej chwilowo. Wyciągając ręce, parzyła każdego, kto się nawinął, jednak nawet ogień nie był w stanie utrzymać ich na dystans. Bili nas tak długo, aż padliśmy na kolana, a potem pozostało nam tylko leżeć na ziemi i osłaniać rękami twarz, kiedy nędzarze tłukli nas boleśnie po czym się dało.

Byłem niemal pewien, że umieram albo śnię, gdyż w którymś momencie usłyszałem śpiew — donośną, pełną werwy, chóralną pieśń „Słuchajcie, jak wałą młoty, słuchajcie, jak biją w gwóźdź!” — ale przy każdym wersie rozlegały się rytmiczne odgłosy mięsistych razów: „Przyłożmy się (BACH!) do roboty, by szafot powstać (GRUCH!)”.

Po kilku wersach i paru uderzeniach ciosy przestały się sypać, a tłum się wycofał, pomrukując nieufnie. Przez mgłę krwi i pyłu z trudem dostrzegłem wymachujących młotami pięciu krzepkich cieśli. Wbili się klinem w tłuszcę, a teraz krążyli wokół nas, przypatrując się nam z góry z powątpiewaniem, jakbyśmy byli osobliwym gatunkiem ryb, których nie spodziewali się ujrzeć w swoich sieciach.

— Niby że to oni? — usłyszałem głos jednego z cieśli. — Nie za dobrze z nimi, kumie.

— Naturalnie, że oni! — potwierdził inny, głosem tubalnym jak syrena mgłowa, głębokim i znajomym.

— To Sharon! — krzyknęła Emma.

Udało mi się poruszyć ręką na tyle, żeby wytrzeć krew z oka. Przed nami stał Sharon w czarnym płaszczu, wysoki na ponad dwa metry. Uświadomiłem sobie, że się śmieję albo przynajmniej próbuję. Jeszcze nigdy nie cieszyłem się tak bardzo na widok kogoś tak brzydkiego. Po chwili wyciągnął z kieszeni garść szklanych fiolek i uniósł je wysoko.

— Mam tu coś, czego chcecie, wy chore pawiany! — zawołał. — Weźcie to i dajcie spokój dzieciom!

Odwrócił się i cisnął fiołki daleko na drogę, a tłum rzucił się po nie, sapiąc i krzycząc. Widać było, że ludzie są gotowi rozszarpać się na kawałki, byle tylko zdobyć fiołki. Po chwili pozostali przy nas jedynie cieśle, nieco potargani po potyczce, ale cali i zdrowi. Zatknęli młotki z powrotem za pasy, a Sharon ruszył ku nam z wyciągniętą śnieżnobiałą ręką.

— Cóż wam przyszło do głowy, żeby tak zniknąć? — spytał. — Odchodziłem od zmysłów!

— Co prawda, to prawda — potwierdził jeden z jego towarzyszy. — Mało kręcaka nie dostał. Kazał nam wszędzie was szukać.

Bezskutecznie próbowałem usiąść. Sharon przypatrywał się nam z lekkim obrzydzeniem, jak rozjechanym na drodze zwierzętom.

— Jesteście w jednym kawałku? Dacie radę iść? Cóż ci potępieńcy wam zrobili? — Mówił tonem prowadzącego musztrę rozłoszczonego sierżanta i zarazem zatroskanego ojca.

— Jacob jest ranny — odezwała się Emma łamiącym się głosem.

„Ty też” — chciałem powiedzieć, ale język odmawiał mi posłuszeństwa. Wyglądało na to, że Emma się nie myli. Głowa ciążyła mi jak kamień, a mój wzrok zdawał się funkcjonować jak sygnał telewizji satelitarnej: pojawiał się i znikał. Poczulem, jak Sharon mnie podnosi, i pomyślałem, że jest znacznie silniejszy, niż mogłoby się wydawać. Nagle zadałem sobie pytanie.

„Gdzie jest Addison?”

Wybełkotałem je niewyraźnie, ale Sharon i tak mnie zrozumiał. Odwrócił się tak, żebym widział most.

— Tam — powiedział.

W oddali ujrzałem ciężarówkę, która zdawała się frunąć. Czyżby mój uszkodzony mózg płatał mi figle?

Nie. Teraz widziałem to wyraźnie: jężory głucholca przenosiły pojazd nad przepaścią.

„Ale... Gdzie jest Addison?”

— Tam — powtórzył Sharon. — Pod spodem.

Pod podwoziem ciężarówki dostrzegłem dyndające tylne łapy oraz drobne brązowe ciało. Addison uczepił się samochodu zębami i w ten sposób sprytnie jechał na gapę. Gdy jężory postawiły ciężarówkę na przeciwległym krańcu mostu, pomyślałem: „Z Bogiem, nieustraszony psiaku. Być może jesteś naszą jedyną nadzieją”.

A potem zapadłem się w mrok, jakby świat ogarnęła ciemność.





ROZDZIAŁ CZWARTY



Nawiedzały mnie niespokojne sny w obcych językach, marzenia senne o domu i o śmierci. Doświadczałem absurdalnych, przypadkowych skojarzeń, które wyłaniały się z przebłysków świadomości, a wszystko to było rozmytym i niejasnym wymysłem mojego wstrząśniętego mózgu. Pozbawiona oblicza kobieta dmuchała mi w twarz pyłem. Odnosiłem wrażenie, że ktoś zanurza mnie w ciepłej wodzie. Słyszałem głos Emmy, która zapewniała mnie, że wszystko będzie dobrze, bo to są przyjaciele i jesteśmy tu bezpieczni. Potem na wiele godzin zapadła całkowita, pozbawiona snów ciemność.

Kiedy ponownie się ocknąłem, już nie śniłem, i nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Leżałem w łóżku w małym pokoju, a zza zasłony w oknie sączyło się słabe światło. Zatem na zewnątrz było jasno. Tylko co to był za dzień?

Miałem na sobie nocną koszulę, a nie stare, uwalane krwią ubranie, i nie czułem pyłu w oczach. Ktoś się mną zajął. Poza tym, choć byłem potwornie zmęczony, w zasadzie prawie nic mnie nie bolało — ani ramię, ani głowa. Nie bardzo wiedziałem, o czym to świadczy.

Nie udało mi się usiąść, więc tylko wsparłem się na łokciach. Na nocnym stoliku przy łóżku stał szklany dzbanek z wodą. Jeden kąt pokoju zajmowała masywna drewniana szafa, w drugim — musiałem zamrużyć i przetrzeć oczy, żeby się upewnić — tak, w drugim stało krzesło, a na nim spał jakiś mężczyzna. Mój umysł funkcjonował tak ociężale, że nawet się nie przestraszyłem. „Dziwne” — przeszło mi tylko przez myśl. Nieznajomy rzeczywiście wyglądał dziwnie, i to do tego stopnia, że dopiero po chwili udało mi się pojąć, co widzę. Ten człowiek wydawał się złożony z połówek: połowę włosów miał starannie przylizaną, druga zaś była rozczochrana na wszystkie strony. Jedną połowę twarzy porastała postrzępiona broda, drugą starannie ogolił. Nawet jego ubranie (spodnie, wygnieciony sweter, elżbietańska kreza pod szyją) wydawało się na wpół współczesne, na wpół archaiczne.

— Dzień dobry? — odezwałem się niepewnie.

Mężczyzna krzyknął i podskoczył tak wysoko, że spadł z krzesła i głośno gruchnął o podłogę.

— O rety! Rany boskie! — Rozdygotany wytrzeszczył oczy i wgramolił się z powrotem na krzesło.

— Nie śpisz!

— Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć...

— Och, nie, to moja wina, tylko i wyłącznie. — Wyglądził ubranie i poprawił krezę. — Proszę cię, nie mów nikomu, że zasnąłem, kiedy miałem cię obserwować.

— Kim jesteś? Gdzie ja jestem? — Szybko przejaśniało mi się w głowie i miałem coraz więcej pytań.

— Gdzie Emma?

— Hm, no tak... — Nieznajomy wydawał się zbity z tropu. — Chyba nie jestem najodpowiedniejszą osobą w domu, żeby odpowiadać... na pytania...

Ostatnie słowo wyszeptał i uniósł brwi, jakby zadawanie pytań było tu zabronione.

— Ale... — Wskazał mnie palcem. — Ty jesteś Jacob. — Wycelował palec w siebie. — A ja jestem Nim. — Zatoczył koło ręką. — A to jest dom pana Benthama, który bardzo chciałby cię poznać. Prawdę mówiąc, mam go zawiadomić, kiedy tylko się zbudzisz.

Nieporadnie podźwignąłem się na łokciach i usiadłem, prawie mdlejąc z wysiłku.

— Nic mnie to nie obchodzi — warknąłem. — Chcę się widzieć z Emmą.

— Naturalnie! Twoja przyjaciółka...

Zatrzepotał dłońmi jak skrzydełkami, jednocześnie spoglądając na boki, jakby mógł dostrzec Emmę w kącie pomieszczenia.

— Chcę się z nią spotkać. W tej chwili! — krzyknąłem.

— Mam na imię Nim! — pisnął. — I powinienem zawiadomić... Tak, otrzymałem wyraźne polecenie...

Nagle wpadłem w panikę. Przeszło mi przez myśl, że Sharon, bądź co bądź człowiek interesu, mógł nas ocalić przed tłuszczą tylko po to, by sprzedać nas na organy.

— EMMA! — ryknąłem. — GDZIE JESTEŚ?

Nim pobladł i osunął się na krzesło — chyba potwornie go przeraziłem.

Po chwili na korytarzu zadudniły kroki i do pokoju wpadł mężczyzna w białym kitlu.

— Ocknąłeś się! — zawołał.

Z pewnością był lekarzem.

— Chcę się widzieć z Emmą! — oznajmiłem.

Gdy spróbowałem zwiesić nogi z łóżka, okazały się ciężkie jak kłody. Lekarz szybko podszedł i pchnął mnie z powrotem na materac.

— Żadnego wysiłku, jeszcze nie wydobrzałeś! — oświadczył.

Kazał Nimowi odszukać pana Benthama. Nim wybiegł, objając się o framugę drzwi i zataczając na korytarzu. Po chwili zjawiała się Emma, zadyszana, lecz rozpromieniona. Jej włosy spływały na czystą białą sukienkę.

— Jacob?

Na jej widok poczułem gwałtowny przypływ sił i usiadłem, odpychając lekarza.

— Emma!

— Ocknąłeś się! — wykrzyknęła i podbiegła.

— Tylko ostrożnie, nadal jest osłabiony! — uprzedził ją lekarz.

Przytuliła mnie jak najdelikatniej, a potem usiadła na skraju łóżka.

— Przepraszam, że nie było mnie przy tobie, kiedy odzyskałeś świadomość — powiedziała.

— Mówili, że będziesz nieprzytomny jeszcze przez kilka godzin...

— Nic się nie stało — odparłem. — Ale gdzie jesteśmy? I jak długo?

Emma zerknęła na lekarza, który zapisywał coś w notatniku, ale niewątpliwie nas słuchał. Odwróciła się do niego plecami.

— Znajdujemy się w domu pewnego bogatego człowieka na Diabelskim Poletku — oznajmiła cicho.

— To kryjówka. Sharon umieścił nas tutaj dzień czy półtora temu.

— I to tyle? — Z uwagą wpatrywałem się w twarz Emmy. Miała idealnie gładką skórę. Jej skaleczenia wyglądały teraz jak cienkie, białe kreski. — Widzę, że zupełnie wyzdrowiałaś!

— Miałam tylko kilka draśnięć i guzów...

— Akurat — przerwałem jej. — Pamiętam, co się tam zdarzyło.

— Miałaś złamane żebro i wywichnięte ramię — wtrącił lekarz.

— Jest tutaj taka jedna kobieta — wyjaśniła Emma. — Znachorka. Jej ciało wytwarza potężny pył...

— ...i wstrząs mózgu — dokończył lekarz. — W sumie nic, z czym nie zdołalibyśmy się uporać. Ale ty, chłopcze... Byłeś jedną nogą w grobie, kiedy tu dotarłeś.

Poklepałem się po piersi, brzuchu i po wszystkich miejscach, w które oberwałem. Nic mnie nie bolało. Uniosłem prawą rękę i bez problemu poruszyłem ramieniem.

— Zupełnie jakbym miał nową rękę — zdumiałem się.

— Dobrze, że nie potrzebowałaś nowej głowy — rozległ się znajomy głos. Sharon musiał się pochylić, żeby wejść do pokoju. — Właściwie szkoda, że ci jej nie wymienili, bo najwyraźniej jest wypchana trocinami. Jak mogliście tak zniknąć, uciec na ślepo, choć tyle razy ostrzegałem was przed niebezpieczeństwami Poletka! Coście sobie myśleli? — Stał nad nami i pogroził nam długim, białym palcem.

— Pan Sharon. — Uśmiechnąłem się szeroko. — Miło pana znowu widzieć.

— Tak, tak, teraz to uśmiechy i wszystko cacy, a przecież niemal daliście się zabić!

— Mieliśmy szczęście — powiedziała Emma.

— Tak, mieliście, bo ja tam byłem! I szczęśliwym trafem tamtego wieczoru moi krewni, cieśle szubieniczni, mieli wolne. Udało mi się ich przechwycić, nim przesadzili z piwem z Rowu Malariańskiego w gospodzie Pod Kołyską i Trumną. A skoro o tym mowa, bynajmniej nie pracują za darmo. Koszt ich usług dopiszę do rachunku, wraz z rozliczeniem za remont łodzi!

— Dobrze, dobrze — powiedziałem. — Tylko niech się pan uspokoi.

— Coście sobie myśleli? — spytał ponownie, a jego paskudny oddech zawisł nad nami jak chmura.

Nagle przypomniało mi się, co sobie myślałem, i momentalnie mi odbiło.

— Pomyśleliśmy sobie, że niegodna zaufania łajza z pana! — wypaliłem. — Że obchodzą pana tylko pieniądze i że przy pierwszej lepszej okazji pewnie sprzedałby nas pan w niewolę. Tak jest, zajrzeliśmy pod podszewkę! — dodałem. — Dobrze wiemy o wszystkich mrocznych sprawkach, których wy,

osobliwcy, dopuszczacie się tutaj. Jeśli pan... — Wskazałem Sharona. — ...albo którykolwiek z was... — Wycelowałem palec w lekarza. — ...choć przez chwilę sądził, że wierzymy w waszą bezinteresowność, to chyba zwariowaliście! Albo nam wyjawicie, czego od nas chcecie, albo puściecie nas wolno, bo mamy... mamy...

Zaląła mnie nagła i przytłaczająca fala wyczerpania i straciłem ostrość widzenia.

— Mamy ważniejsze rzeczy...

Pokręciłem głową i spróbowałem wstać, ale pokój zawirował. Emma chwyciła mnie za rękę, a lekarz delikatnie pchnął mnie z powrotem na poduszkę.

— Pomagamy wam, gdyż pan Bentham nas o to poprosił — powiedział lekarz zwięźle. — Jeśli chcecie wiedzieć, jakie ma plany względem was, musicie sami go spytać.

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że ten cały pan Jakmutam może mnie pocałować w mmfm..

Emma zasłoniła mi usta dłonią.

— Jacob chwilowo nie jest sobą — oświadczyła. — Z pewnością chciał powiedzieć, że bardzo dziękuje za uratowanie. Jesteśmy waszymi dłużnikami.

— To fakt — wymamrotałem przez jej palce.

Byłem zły i wystraszony, ale też szczęśliwy, gdyż żyłem, podobnie jak Emma, cała i zdrowa. Gdy to do mnie dotarło, gniew wyparował i przepełniła mnie szczerą wdzięczność. Zamknąłem oczy, żeby pokój przestał wirować, i podsłuchiwałem, co o mnie szepczą.

— Sprawia kłopoty — powiedział lekarz. — Nie można pozwolić, żeby w takim stanie spotkał się z panem Benthamem.

— Jego mózg nie bardzo działa — zgodził się Sharon. — Gdybyśmy mogli z nim pogadać na osobności, ja i dziewczyna, z pewnością doszedłby do siebie. Możemy liczyć na odrobinę prywatności?

Lekarz wyszedł niechętnie, a wtedy otworzyłem oczy i skupiłem uwagę na Emmie, która patrzyła na mnie z góry.

— Gdzie Addison? — spytałem.

— Przedostał się na drugi brzeg — odparła.

— Racja — przypomniałem sobie. — Wiesz, co u niego? Jeszcze nie wrócił?

— Nie — powiedziała cicho. — Jeszcze nie.

Zastanowiłem się, co to oznacza i co mogło się stać z Addisonem, ale nawet nie chciałem brać pod uwagę najgorszego.

— Obiecaliśmy mu, że za nim pójdziemy — podkreśliłem. — Skoro on się przedostał, to i my zdołamy.

— Głucholec na moście mógł zignorować psa, ale was dwoje od razu by złapał i cisnął do kipieli — wtrącił Sharon.

— Niech pan stąd idzie — burknąłem. — Chcę porozmawiać z Emmą na osobności.

— Mam odejść? Żebyście czmychnęli przez okno?

— Nigdzie się nie wybieramy — poinformowała go Emma. — Jacob nie może nawet wstać z łóżka. Sharon nie ustępował.

— Pójdę do kąta i zajmę się swoimi sprawami — obwieścił. — Na więcej nie liczcie.

Odszedł, pogwizdując, i przycupnął na krześle z jednym podłokietnikiem, po czym zajął się wydlubowaniem brudu z paznokci.

Emma pomogła mi usiąść. Rozmawialiśmy szeptem, niemal dotykając się czołami. Przez moment byłem do tego stopnia przejęty jej bliskością, że znikły wszystkie kłębiące się w mojej głowie pytania i liczyła się wyłącznie dłoń Emmy na mojej twarzy.

— Tak bardzo mnie przestraszyłeś — powiedziała Emma. — Byłam pewna, że już po tobie.

— Czuję się dobrze — zapewniłem ją.

Wiedziałem, że było ze mną krucho, ale czułem się zakłopotany, kiedy ktoś tak się mną przejmował.

— Ale było z tobą źle, i to jak. Powinieneś przeprosić lekarza.

— Wiem, trochę mnie poniosło. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Skinęła głową i odwróciła wzrok. Powiodła spojrzeniem po ścianie, a gdy ponownie na mnie popatrzyła, jej oczy wydawały się surowe.

— Chcę wierzyć, że jestem silna — wyznała. — Na tyle odporna i wytrzymała, aby inni mogli na mnie polegać, i że dzięki tej mocy jestem teraz wolna, w przeciwieństwie do Bronwyn, Millarda czy Enocha. Zawsze byłam tą, która zniesie wszystko, zupełnie jakbym miała w sobie wyłączony czujnik bólu. Potrafię odgrodzić się od okropności i dawać sobie radę, robić, co należy. — Wzięła mnie za rękę, a nasze palce odruchowo splotły się na pościeli. — Kiedy jednak myślę o tobie, o tym, jak wyglądałeś, gdy podnosili cię z ziemi, poturbowanego przez tych ludzi... — Roztrzęsiona odetchnęła i pokręciła głową, jakby chciała odpędzić złe wspomnienie. — Po prostu się załamuję.

— Ja też — odparłem, wspominając ból, który czułem zawsze, gdy Emma cierpiała, i przerażenie, które mnie ogarniało, gdy była w niebezpieczeństwie. — Ja też.

Zacisnąłem palce na jej dłoni. Szukałem słów, żeby coś dodać, lecz Emma mnie uprzedziła.

— Chcę, żebyś mi coś obiecał — zażądała.

— Oczywiście.

— Nie wolno ci umrzeć.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale Emma patrzyła na mnie z powagą.

— Nie możesz mi tego zrobić — podkreśliła. — Jeśli cię stracę, cała reszta nie będzie funta kłaków warta.

Otoczyłem ją ramionami i mocno przytuliłem.

— Zrobię, co w mojej mocy.

— To za mało — szepnęła. — Przysięknij, że nie umrzesz.

— Jasne. Nie umrę.

— Powiedziałam, że masz przysiąc.

— Przyrzekam. Ty też.

— Przyrzekam — odparła.

— Ach, ach — odezwał się Sharon ze swojego kąta. — Te słodkie kłamstewka kochanków.

Oderwaliśmy się od siebie.

— Miał pan nie podsłuchiwać! — wrzasnąłem.

— To i tak trwało za długo — oświadczył i hałaśliwie przywlókł krzesło do mojego łóżka. — Mamy ważne sprawy do przedyskutowania. Przede wszystkim oczekuję od ciebie przeprosin.

— Niby za co?! — warknąłem z irytacją.

— Za kwestionowanie mojego charakteru i reputacji.

— Wszystko, co powiedziałem, było zgodne z prawdą — oświadczyłem. — Ta pętla naprawdę jest pełna kanalii i szumowin, a pan jest łajzą i obchodzi pana tylko pieniądze.

— Nie ma pan grama współczucia dla swoich nieszczęśliwych współbraci — dodała Emma. — Niemniej jeszcze raz dziękujemy za to, że nas pan uratował.

— W tych okolicach człowiek uczy się myśleć tylko o sobie — odparł Sharon. — Każdy ma swoją historię nieszczęść. Każdy chce czegoś od ciebie i niemal zawsze kłamie. Owszem, przyznaję, powoduje mnie niewybaczalny egoizm i żądza zysku. Zdecydowanie jednak odrzucam sugestię, jakobym utrzymywał kontakty z handlarzami osobliwców. Jestem kapitalistą, co nie oznacza, że jestem też cynicznym draniem.

— Skąd mieliśmy to wiedzieć? — zapytałem. — Musieliśmy pana błagać i przekupywać, żeby nie porzucił nas pan na nabrzeżu. Zgadza się?

— To było, zanim zrozumiałem, kim jesteś. — Wzruszył ramionami.

Zerknąłem niepewnie na Emmę.

— Kim jestem? — powtórzyłem ostrożnie.

— Tak, kim jesteś, drogi chłopcze — potwierdził. — Pan Bentham długo czekał, żeby móc z tobą porozmawiać — od dnia, w którym rozpocząłem działalność przewoźniczą, czyli czterdzieści lat z okładem. Bentham zapewnił mi bezpieczny transport na Poletko i z powrotem, a w zamian za to ja się zobowiązałem mieć na ciebie oko i przyprowadzić cię na spotkanie z nim. Wreszcie udało mi się dotrzymać słowa.

— Z pewnością pan mnie z kimś pomylił — powiedziałem. — Nie jestem nikim ważnym.

— Pan Bentham wspomniał, że potrafisz mówić z głucholcami. Ilu znasz osobliwców, którzy dysponują podobną umiejętnością?

— Ale przecież Jacob ma tylko szesnaście lat — odezwała się Emma. — Prawdziwe szesnaście. Więc jak...

— Właśnie dlatego upłynęło nieco czasu, nim dodałem dwa do dwóch — przerwał jej Sharon. — Musiałem osobiście spotkać się w tej sprawie z panem Benthamem i właśnie u niego bawiłem, gdy uciekliście. Otóż nie pasujesz do opisu, Jacob. Przez te wszystkie lata wypatrywałem człowieka leciwego.

— W podeszłym wieku? — upewniłem się.

— Tak jest.

— Kogoś, kto umie rozmawiać z głucholcami?

— Jako się rzekło.

Emma mocniej zacisnęła palce na mojej dłoni, jakby chciała powiedzieć, że to niemożliwe. W tym momencie poczułem przypływ energii i opuściłem nogi na podłogę.

— Chcę porozmawiać z tym całym Benthamem — zadeklarowałem. — W tej chwili.

— Spotka się z tobą, gdy będzie gotów — odparł Sharon.

— Nie! — warknąłem. — Natychmiast!

W tym momencie rozległo się pukanie, a gdy Sharon otworzył drzwi, ujrzeliśmy Nima.

— Pan Bentham przyjmie naszych gości na podwieczorku za godzinę — obwieścił Nim.

— W bibliotece.

— Nie możemy tyle czekać — sprzeciwiłem się. — I tak zmarnowaliśmy tu za dużo czasu.

Słyszając to, Nim lekko poczerwieniał i wyduł policzki.

— Zmarnowaliśmy? — powtórzył.

— Jacobowi chodziło o to, że mamy pilne sprawy do załatwienia w innym miejscu Poletka i już jesteśmy spóźnieni — wyjaśniła Emma.

— Pan Bentham nalega, by spotkanie przebiegło w odpowiedniej oprawie — podkreślił Nim.

— Zawsze powtarza, że w dniu, w którym zabraknie czasu na dobre maniery, świat i tak będzie dla nas stracony. W związku z powyższym mam dopilnować, byście byli należycie ubrani. — Podszedł do szafy i otworzył ciężkie drzwi, za którymi znajdowało się kilka wieszaków pełnych odzieży. — Do wyboru, do koloru.

Emma wyjęła falbaniastą sukienkę i wyduła wargi.

— To bez sensu — westchnęła. — Mamy się bawić w przebieranki i raczyć podwieczorkiem, podczas gdy nasi przyjaciele i ymbryniki muszą znosić diabli wiedzą co.

— Robimy to dla nich — powiedziałem. — Musimy uczestniczyć w tej szopce, dopóki Bentham nie powie nam, co wie. Może chodzić o coś ważnego.

— A może to po prostu samotny stary człowiek.

— Nie mówcie tak o panu Benthamie — zaprotestował Nim, marszcząc brwi. — To święty mąż, gigant wśród ludzi!

— Uspokój się — burknął Sharon. Podszedł do okna i rozsunął zasłony, wpuszczając do pokoju słabe światło o barwie grochówki. — Wstawać i do dzieła! — zakomenderował. — Idziecie na spotkanie.

Odrzuciłem kołdrę, a Emma pomogła mi wstać. Ze zdziwieniem przekonałem się, że nogi utrzymują ciężar mojego ciała. Wyjrzałem przez okno na pustą ulicę pogrążoną w żółtawej poświacie, a następnie wsparty na Emmie podszedłem do szafy, żeby wybrać ubranie na zmianę. Szybko znalazłem strój na wieszaku oznaczonym kartką z moim imieniem.

— Czy moglibyśmy liczyć na odrobinę prywatności? — spytałem.

Sharon popatrzył na Nima i wzruszył ramionami, a Nim zatrzepotał dłońmi.

— To nie byłoby przyzwoite! — zawołał.

— E tam, nic im nie będzie. — Sharon machnął ręką. — Tylko żadnych wygibasów, jasne?

Emma spiekła raka.

— Nie mam pojęcia, co pan ma na myśli — wymamrotała.

— No jasne, gdzieżby tam. — Sharon pogonił Nima, ale przystanął na progu. — Chyba mogę wam zaufać? Nie uciekniecie ponownie, prawda?

— Dlaczego mielibyśmy uciekać? — zapytałem. — Przecież chcemy się spotkać z panem Benthamem.

— Nigdzie się nie wybieramy — dodała Emma. — Ale dlaczego pan nadal tu jest?

— Pan Bentham poprosił, żebym miał na was oko.

Zastanawiałem się, czy to oznacza, że Sharon zatrzymałby nas siłą, gdybyśmy spróbowali odejść.

— Z pewnością oddał panu ogromną przysługę — zauważyłem.

— Gigantyczną — przyznał Sharon. — Zawdzięczam temu człowiekowi życie.

Następnie pochylił się nisko, żeby przejść przez drzwi, i znikł za progiem.

— Ty przebierzesz się tam — zdecydowała Emma, wskazując brodą małą wspólną łazienkę między dwoma pokojami. — Ja zmienię ubranie tutaj. I żadnego podglądania, zanim zapukam!

— No doobra — mruknąłem z demonstracyjnym rozczarowaniem, które miało zamaskować autentyczny zawód.

Perspektywa ujrzenia Emmy w samej bieliźnie była niewątpliwie kusząca, lecz śmiertelne niebezpieczeństwa, których ostatnio doświadczyliśmy, wprawiły pewną część mojego nastoletniego mózgu w stan głębokiego odrętwienia. Wiedziałem jednak, że wystarczy kilka namiętych pocałunków, żeby moje pierwotne instynkty ponownie dały o sobie znać.

Tymczasem zamknąłem się w łazience, całej w lśniących białych kafelkach i z ciężką żelazną armaturą, i pochyliłem się nad umywalką, żeby popatrzeć na siebie w srebrzystej tafli lustra.

Wyglądałem okropnie.

Zapuchniętą twarz miałem wściekle przeoraną czerwonymi pręgami, które goiły się szybko, ale nadal były widoczne i przypominały mi o każdym otrzymanym ciosie. Mój tułów przypominał archipelag sińców, bezbolesnych, lecz paskudnych. W zakamarkach uszu utkwili mi trudne do usunięcia bryłki krwawych zakrzepów. Na sam ten widok zakręciło mi się w głowie i musiałem złapać się umywalki, żeby nie upaść. Nagle przypomniałem sobie, jak sypał się na mnie grad uderzeń i kopniaków, i jak runąłem na ziemię.

Dotąd nikt nie próbował mnie zabić gołymi rękami. To było coś nowego i w niczym nie przypominało zmagania z powodowanymi instynktem głucholcami. Czym innym była też strzelanina — uważałem kule za szybki, bezosobowy sposób zabijania. Mordowanie dłońmi wymagało wysiłku i nienawiści. Czuję dziwną gorycz na myśl o takiej wrogości wymierzonej właśnie przeciwko mnie. Osobliwcy, którzy nawet

nie znali mojego imienia, ogarnięci zbiorowym szaleństwem nienawidzili mnie do tego stopnia, że usiłowali zatłuc mnie pięściami. Upokarzało mnie to, w pewnym sensie odczłowieczało, choć nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego. Czułem, że pewnego dnia będę musiał to przemyśleć, tyle tylko, że nie wiedziałem, czy znajdę czas na taki luksus.

Odkręciłem kurek, żeby umyć twarz. Kran się zakrzusił i zabulgotał, lecz po tym uroczystym orkiestrowym ozdobniku rury wypłyły tylko odrobinę brązowej cieczy. Ten cały Bentham może i był bogaty, ale nawet największe luksusy nie mogły go odgradzić od rzeczywistości piekiełka, w którym mieszkał.

Jak to się stało, że tutaj trafił?

Jeszcze bardziej intrygowało mnie co innego — jak poznał mojego dziadka lub gdzie o nim usłyszał? Nie wątpiłem, że kiedy Sharon mówił o poszukiwanym przez Benthama starszym panu, który potrafił rozmawiać z głucholcami, miał na myśli właśnie Abrahama Portmana. Może dziadek poznał Benthama na wojnie, po tym, jak opuścił dom pani Peregrine, lecz nim dotarł do Ameryki. Wtedy właśnie jego życie nabierało konkretnych kształtów i wspominało o tym rzadko, a już na pewno nie szczegółowo. Chociaż w ostatnich miesiącach sporo się dowiedziałem o dziadku, pod wieloma względami pozostał dla mnie tajemnicą. Ze smutkiem pomyślałem, że teraz, kiedy odszedł, to zapewne już nigdy się nie zmieni.

Włożyłem ubranie od Benthama, czyli elegancką niebieską koszulę i sweter z szarej wełny do kompletu z prostymi czarnymi spodniami. Wszystko pasowało jak ulał, zupełnie jakby ktoś wiedział, że się zjawię. Gdy wkładałem brązowe skórzane buty, Emma zapukała do drzwi.

— Jak tam sobie radzisz? — zapytała.

Otworzyłem drzwi i zamarłem, niemal oślepiony jej wściekle żółtym strojem. Emma stała z nieszczęśliwą miną, ubrana w sięgającą stóp kanarkową sukienkę z bufiastymi rękawami.

— To najmniejsza katastrofa ubraniowa, zapewniam cię — wyjaśniła i ciężko westchnęła.

— Wyglądasz jak Wielki Ptak — poinformowałem ją, wychodząc z łazienki. — A ja jak pan Rogers. Ten Bentham to sadysta.

Moje aluzje nic jej nie mówiły. Ignorując mnie, podeszła do okna i wyjrzała.

— Bardzo dobrze — mruknęła.

— Co „bardzo dobrze”? — zapytałem.

— Gzyms jest wielkości Kornwalii i wszędzie aż się roi od wygodnych uchwytów. To bezpieczniejsze niż małpi gaj dla dzieci.

— Dlaczego miałoby nas obchodzić, czy gzyms jest bezpieczny? — spytałem, dołączając do niej przy oknie.

— Ponieważ Sharon obserwuje korytarz, więc to oczywiste, że nie możemy tamtędy uciec.

Czasami odnosiłem wrażenie, że Emma prowadzi ze mną rozmowy we własnej głowie, po czym się frustruje, że nic nie rozumiem, gdy w końcu oznajmia mi, co ustaliła. Jej umysł funkcjonował tak szybko, że niekiedy sama za nim nie nadążała.

— Nie możemy odejść — zauważyłem. — Musimy się spotkać z Benthamem.

— Spotkamy się, ale prędzej padnę trupem, niż spędzę w tym pokoju choćby godzinę więcej, siedząc z założonymi rękami. Święty mąż pan Bentham to wygnaniec, który osiedlił się na Diabelskim Poletku, czyli najprawdopodobniej niebezpieczna szumowina o parszywej przeszłości. Chcę rozejrzeć się po jego domu i czegoś się dowiedzieć. Wrócimy, zanim ktokolwiek zauważy naszą nieobecność. Słowo honoru.

— Świetnie, operacja-dyskrecja. W takim razie jesteście niebywale stosownie ubrani.

— Bardzo śmieszne.

Miałem buty o twardych podeszwach, w których przy każdym kroku tupałem tak głośno, jakbym walił młotem, a w dodatku dopiero co znalazłem w sobie dość energii, żeby wstać o własnych siłach. Emma była ubrana w suknię o intensywniejszym odcieniu żółci niż znak ostrzegawczy. Mimo to się zgodziłem. Emma często miała rację w takich sprawach, więc coraz bardziej polegałem na jej przeczuciach.

— Jeśli ktoś nas zauważy, trudno — dodała. — Zdaje się, że ten człowiek czeka na ciebie od niepamiętnych czasów, więc nie wyrzuci nas teraz tylko dlatego, że pójdziemy na krótki spacer.



Otworzyła okno i wygramoliła się na gzyms. Ostrożnie wystawiłem głowę na zewnątrz. Znajdowaliśmy się dwa piętra nad pustą ulicą w „dobrej” dzielnicy Diabelskiego Poletka. Rozpoznałem stertę drewna opałowego — tutaj się ukrywaliśmy, kiedy Sharon wyszedł z pozornie opuszczonego sklepu. Bezpośrednio pod nami mieściła się kancelaria prawna Munday, Dyson i Strype. Ta instytucja nie istniała, rzecz jasna. Była to tylko przykrywka, ukryte wejście do domu Benthama.

Emma podała mi rękę.

— Wiem, że nie przepadasz za wysokościami, ale nie pozwolę ci spaść — oświadczyła.

Niedawno dyndałem nad wrzącą rzeką, pojmany przez głucholca, więc odległość do chodnika nie zrobiła na mnie wrażenia. Poza tym Emma miała rację — gzyms był szeroki, a wystające z muru ozdobne guzy i łby maszkaronów tworzyły wygodne uchwyty. Wspiąłem się na parapet i ruszyłem za nią po zewnętrznej półce.

Za rogiem, gdy byliśmy prawie pewni, że znajdujemy się na wysokości korytarza poza zasięgiem wzroku Sharona, spróbowałem otworzyć okno.

Było zamknięte na zamek. Przesunęliśmy się do następnego — to samo. Sytuacja powtórzyła się przy trzecim, czwartym i piątym.

— Zaraz skończy się nam budynek — zauważyłem. — A jeśli żadne okno nie jest otwarte?

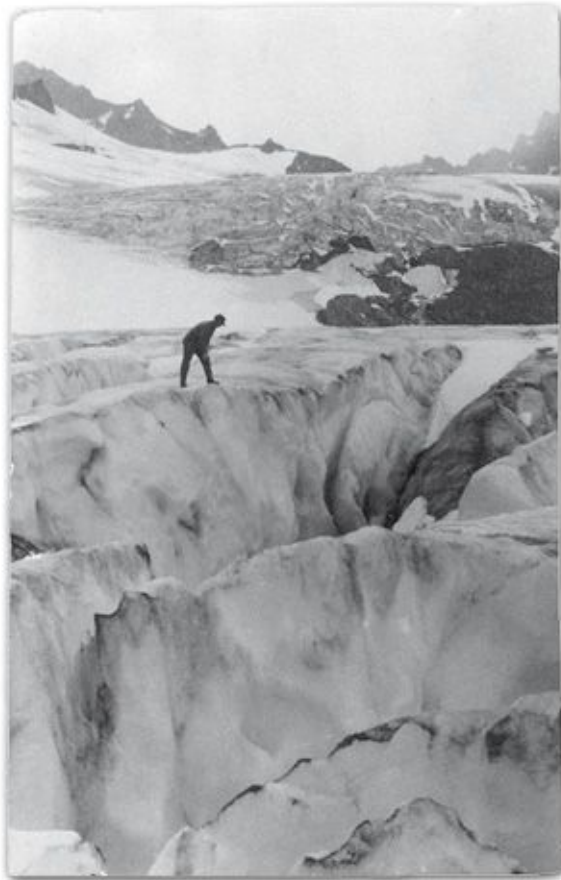
— Następne będzie — zapewniła mnie Emma.

— Skąd wiesz?

— Jestem jasnowidzem — oświadczyła i kopniakiem wybiła szybę.

Okruchy szkła zasypały podłogę w pokoju i zadzwoniły na ulicy przed budynkiem.

— Nie, jesteś wandalą — sprostowałem.



Emma uśmiechnęła się od ucha do ucha i otwartą dłonią wykruszyła resztki szkła, po czym weszła do środka. Niezbyt chętnie ruszyłem za nią. Znaleźliśmy się w ciemnym, przestronnym pomieszczeniu.

Dopiero po chwili nasze oczy oswoiły się z mrokiem. Jedyne światło wpadało zza wybitego okna, w którym uszkodziliśmy okiennicę. W żalonym blasku dało się dostrzec raj zbieracza niepotrzebnych rupieci. Drewniane skrzynki i pudła piętrzyły się aż do sufitu, tworząc chwiejne sterty, między którymi znajdował się tylko jeden wąski korytarz.

— Mam wrażenie, że Bentham nie lubi niczego wyrzucać — mruknęła Emma.

W odpowiedzi trzykrotnie kichnąłem. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu. Emma życzyła mi zdrowia, zapaliła na dłoni płomyk i przysunęła go do najbliższej skrzynki. Widniało na niej oznaczenie *Rm. AM-157*.

— Jak myślisz, co jest w środku? — spytałem.

— Potrzebowalibyśmy łomu, żeby się dowiedzieć — odparła Emma. — To mocne drewno.

— Myślałem, że jesteś jasnowidzem.

W odpowiedzi tylko się skrzywiła.

Ruszyliśmy w głąb pomieszczenia. Emma powiększała płomień w miarę oddalania się od gasnącego światła zza okna. Wąska dróżka między skrzyniami prowadziła przez sklepienie drzwi do innego pokoju, tak samo ciemnego i niemal równie zagraconego. Zamiast skrzyń zebrano w nim okazałe przedmioty ukryte pod białymi prześcieradłami. Emma od razu chciała zedrzeć jedno z nich, lecz chwyciłem ją za rękę.

— Co jest? — spytała z irytacją.

— Tam może być coś okropnego.

— No właśnie — zgodziła się i ściągnęła płachtę, wzniecając tumany kurzu.

Gdy pył opadł, ujrzyliśmy swoje odbicia w szklanym blacie sięgającej nam do pasa gabloty, takiej, jakie widuje się w muzeach, o rozmiarze mniej więcej pół metra na pół metra. W środku, starannie uporządkowane i opisane, leżały rozmaite przedmioty: rzeźbiona łupina orzecha kokosowego, grzebień z kręgu wieloryba, kamienna siekierka i kilka innych drobiazgów, których przeznaczenia mogłem się tylko domyślać. Tabliczka na szkle głosiła: *Przedmioty domowego użytku wykorzystywane przez osobliwców na wyspie Espiritu Santo, Nowe Hebrydy, południowy Pacyfik, ok. 1750*.

— Hm — mruknęła Emma.

— Dziwne — zgodziłem się.

Zarzuciła prześcieradło z powrotem, choć zacieranie śladów nie miało większego sensu — i tak nie mogliśmy wstawić nowej szyby w ramę okna. Powoli ruszyliśmy przez pokój, zdzierając płachty z kolejnych gablot i witryn. Ich zawartość wydawała się dość przypadkowa, choć wszystkie kiedyś należały do osobliwców lub były przez nie wykorzystywane. W jednej z gablot ujrzyliśmy kolekcję kolorowej jedwabnej odzieży noszonej przez osobliwców na Dalekim Wschodzie około 1800 roku, w innej znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak przekrój szerokiego pnia, lecz przy bliższych oględzinach okazało się drzwiami o żelaznych zawiasach i kłamce z sęka. Na tabliczce napisano: *Wejście do domu osobliwca w Wielkiej Dzikiej Irlandzkiej, ok. 1530*.

— Ho, ho — powiedziała Emma i pochyliła się, żeby lepiej widzieć. — Nie miałam pojęcia, że tyłu nas jest na świecie.

— Albo było — zauważyłem. — Ciekawe, czy jeszcze tam jacyś żyją.

Ostatnia gablota, przy której się zatrzymaliśmy, była opisana jako *Broń osobliwych Hetytów, podziemne miasto Kaymakli, rok nieznany*. Co zdumiewające, pod szkłem ujrzeliśmy tylko martwe żuki i motyle.

Emma odsunęła płomień i spojrzała na mnie.

— Chyba już wiemy na pewno, że Bentham ma bzika na punkcie historii — podsumowała. — Idziemy dalej?

Szybko minęliśmy jeszcze dwa pomieszczenia pełne przykrytych gablot i przeszliśmy po schodach na następne piętro. Za drzwiami klatki schodowej rozciągał się absurdalnie długi, wyłożony puszystym dywanem korytarz, a powtarzający się wzór na tapecie i regularnie rozmieszczone drzwi tworzyły oszałamiające wrażenie nieskończoności.

Po drodze zaglądaliśmy do kolejnych pomieszczeń. Wszystkie urządzone w taki sam sposób, tak samo rozplanowano, ściany oklejono identyczną tapetą. W każdym znajdowały się łóżko, nocny stolik i szafa, tak jak w pokoju, w którym dochodziłem do siebie. Wzór ze splątanych czerwonych maków pokrywał wszystkie ściany i hipnotyzującymi falami spływał na wykładzinę, przez co przestrzeń wyglądała tak, jakby powoli odzyskiwała ją przyroda. Pomieszczenia byłyby nieodróżnialne, gdyby nie przybite do drzwi niewielkie mosiężne tabliczki z nazwami. Wszystkie brzmiały egzotycznie: *Pokój alpejski*, *Pokój Gobi*, *Pokój amazoński*.



Na korytarzu znajdowało się około pół setki drzwi, a byliśmy dopiero w połowie jego długości. Szliśmy pospiesznie, w przekonaniu, że nie ma tam już nic do odkrycia, kiedy nagle owiało nas lodowate powietrze.

— Brrr! — Przycisnąłem do siebie ręce, czując gęsią skórkę. — A to skąd?

— Może ktoś zostawił otwarte okno? — zasugerowała Emma.

— Przecież na zewnątrz nie jest zimno — zauważyłem, a ona wzruszyła ramionami.

Robiło się coraz chłodniej. Gdy w końcu skręciliśmy za róg, naszym oczom ukazał się fragment korytarza z soplami na suficie i szronem na dywanie. Zimno było szczególnie wyczuwalne przy jednym z pokoiów. Zatrzymaliśmy się przed nim i spojrzeliśmy na wyfruwające spod drzwi płatki śniegu.

— To bardzo dziwne — powiedziałem, drżąc.

— Bez wątplenia — zgodziła się Emma. — Nawet jak na moje standardy.

Podszedłem bliżej z chrzęstem butów na zaśnieżonym dywanie. Napis na tabliczce głosił: *Pokój syberyjski*.

Popatrzyłem na Emmę, a ona na mnie.

— To pewnie tylko nadaktywna klimatyzacja — oznajmiła.

— Otwórzmy drzwi, to się przekonamy. — Chciałem obrócić gałkę, ale nawet nie drgnęła.

— Zamknięte na klucz.

Emma położyła dłoń na gałce, która po kilku sekundach zaczęła ociekać wodą ze stopionego lodu.

— Nie są zamknięte na klucz, tylko zamarzły.



Obróciła gałkę i pchnęła drzwi, które jednak uchyliły się tylko na centymetr lub dwa, gdyż po drugiej stronie zalegał śnieg. Oparliśmy się o drewno i pchnęliśmy na trzy. Kiedy drzwi się otworzyły, owiało nas arktyczne powietrze. Śnieg był wszędzie, wpadał nam do oczu i zasypywał korytarz.

Oślaniając twarze, zajrzeliśmy do środka. Pokój był urządzony tak jak inne — łóżko, szafa i nocny stolik — ale pod głębokim śniegiem zobaczyłem pokaźne garby.

— Co to takiego? — Musiałem przekrzykiwać wyjący wiatr. — Kolejna pętla?

— Niemożliwe! — odkrzyknęła Emma. — Przecież już jesteśmy w pętli!

Kuląc się na wietrze, weszliśmy do środka, aby popatrzeć. Sądziłem, że śnieg i lód wpadają przez otwarte okno, lecz gdy zadymka minęła, stało się jasne, że w pokoju nie ma okna i brakuje ściany w głębi pomieszczenia. Po bokach pokoju piętrzył się lód, który pokrywał także sufit i podłogę, zapewne z wykładziną. Zamiast czwartej ściany ujrzeliśmy lodową jaskinię, a za nią otwartą przestrzeń i bezkresną połąć białego śniegu oraz czarnych skał.

O ile się nie myliłam, rozpościerała się przed nami Syberia.

Przez środek pokoju wiodła wąska ścieżka w odgarniętym śniegu, niknąca w oddali. Ruszyliśmy przed siebie i po chwili otoczyły nas ściany jaskini o dnie i sklepieniu pokrytym soplami, które przypominały las lodowych drzew.

Na Emmie trudno było zrobić wrażenie — w końcu miała prawie sto lat i przez całe życie widywała

osobliwości. Ten widok jednak wyraźnie ją oszołomił.

— To niesamowite! — powiedziała i pochyliła się, żeby podnieść garstkę śniegu, po czym ze śmiechem cisnęła nią we mnie. — Zdumiewające, prawda?

— Prawda — zgodziłem się, szcękając zębami. — Ale skąd tu się wzięła lodowa jaskinia?

Lawirując między gigantycznymi soplami, w końcu wyszliśmy na zewnątrz. Odwróciłem się, ale nie dostrzegłem pokoju — był idealnie zamaskowany w jaskini.

Emma pospiesznie ruszyła przodem, a po chwili przystanęła i się odwróciła.

— Tutaj! — krzyknęła z napięciem w głosie.

Przebrnąłem przez głęboki śnieg i stanąłem u jej boku. Krajobraz był niespotykany. Przed nami rozpościerało się lodowe, białe pole, za którym opadał grunt, tworząc głębokie, falujące zagłębienia i szczeliny.

— Nie jesteśmy sami — zauważyła Emma, wskazując przeoczony przeze mnie szczegół.

Na skraju rozpadliny stał mężczyzna i spoglądał w dół.

— Co on tam robi? — spytałem bez szczególnej nadziei na odpowiedź.

— Wygląda na to, że czegoś szuka.

Patrzyliśmy, jak mężczyzna powoli spaceruje nad przepaścią, nieustannie zaglądając w otchłań. Po jakiejś minucie uświadomiłem sobie, że potwornie zmarzłem i nie czuję twarzy. Powiew wiatru wzbudził kłęby śniegu i przysłonił nam widok, a gdy widoczność się poprawiła, zobaczyliśmy, że nieznajomy patrzy prosto na nas.

— Oho. — Emma zeszywniała.

— Myślisz, że nas widzi?

Opuściła wzrok na swoją jaskrawożółtą sukienkę.

— Owszem — odparła.

Staliśmy przez moment ze wzrokiem utkwionym w mężczyźnie, który najpierw obserwował nas z drugiej strony białego pustkowia, a potem rzucił się biegiem prosto ku nam. Znajdował się kilkaset metrów od nas, oddzielony głębokim śniegiem i licznymi szczelinami. Nie sposób było powiedzieć, czy zamierza nas skrzywdzić, ale znajdowaliśmy się w miejscu, w którym nie powinno nas być. W takiej sytuacji ucieczka wydawała się najlepszym wyjściem — zwłaszcza że rozległ się ryk, podobny do tych, które słyszałem dotąd tylko raz, w obozowisku Cyganów.

Niedźwiedź.

Obejrzelismy się przez ramię. W rzeczy samej, ogromny, czarny niedźwiedź wdrapywał się po zboczu jednej ze szczelin, a gdy dołączył do nieznajomego, obaj pognali w naszym kierunku. Naturalnie niedźwiedź zbliżał się znacznie szybciej.

— NIEDŹWIEDŹ! — wrzasnąłem niepotrzebnie.

Usiłowałem biec, ale moje zmrożone stopy odmówiły posłuszeństwa. Emma chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Po chwili daliśmy nura do jaskini. Potykając się, przebiegliśmy przez pokój

i wypadliśmy przez drzwi otoczone chmurą śniegu, który zasypywał korytarz. Zatrzasnąłem za nami drzwi — jakby to mogło powstrzymać niedźwiedzia — i pomknęliśmy z powrotem długim korytarzem, w dół schodów, do martwego muzeum Benthama, żeby schować się wśród okrytych prześcieradłami zjaw.

* * *

Zaszyliśmy się między ścianą a przykrytym prześcieradłem masywnym i kanciastym przedmiotem, który stał w najbardziej oddalonym kącie pokoju. W tej wąskiej przestrzeni nie dało się nawet odwrócić do siebie przodem. Zimno, przed którym uciekliśmy, zagnieździło się w naszych kościach na dobre. Dygotaliśmy w milczeniu, sztywni jak manekiny, a śnieg z naszych ubrań topniał, tworząc kałuże na podłodze. Emma wzięła mnie za rękę — tylko tyle ciepła i uczucia mogła mi przekazać. Tworzyliśmy wspólny język, całkowicie nieprzetłumaczalny na słowa, oparty na gestach i spojrzeniach, dotyku i coraz głębszych pocałunkach, które szybko stawały się urozmaicone, intensywne i niepowtarzalne. To było fascynujące i niezbędne, i dzięki temu chłód i strach nieco mniej mi doskwierały.

Po kilku minutach, kiedy nie pojawił się wygłodniały niedźwiedź, ośmieliliśmy się porozmawiać szeptem.

— Trafiliśmy do pętli? — spytałem. — To była pętla w pętli?

— Nie wiem, co to było — odparła Emma.

— Syberia. Tak głosił napis na drzwiach.

— Skoro byliśmy na Syberii, to dotarliśmy do niej przez pokój, który był czymś w rodzaju portalu, a nie pętli. A portale oczywiście nie istnieją.

— Oczywiście — powtórzyłem, choć wcale nietrudno byłoby uwierzyć, że w świecie pętli istnieją również portale.

— A jeśli to była bardzo stara pętla? — zasugerowałem. — Mogła pochodzić z epoki lodowcowej, sprzed dziesięciu albo piętnastu tysięcy lat. Diabelskie Poletko wtedy mogło właśnie tak wyglądać.

— Nie sądzę, żeby na świecie były tak stare pętle — powiedziała Emma.

Zaszczękałem zębami.

— Nie mogę przestać dygotać — poskarżyłem się.

Emma przycisnęła się do mnie bokiem i potarła ciepłą ręką moje plecy.

— Gdybym mógł otworzyć portal dokądkolwiek, Syberia nie znajdowałaby się wysoko na liście moich preferencji — oświadczyłem.

— A dokąd byś się wybrał?

— Hm. Może na Hawaje? Ale to chyba banał. Wszyscy wybraliby Hawaje.

— Ja nie.

— Gdzie chciałabyś się znaleźć?

— Tam, skąd ty jesteś — wyznała. — Na Florydzie.

— Co takiego cię tam ciągnie?

— Ciekawi mnie miejsce, w którym dorastałeś.

— To miło z twojej strony — powiedziałem. — Ale tam nie ma nic godnego uwagi. Wychowywałem się w bardzo spokojnej okolicy.

Oparła głowę na moim ramieniu i poczułem jej ciepły oddech na skórze.

— Czyli żyłeś jak w raju — zauważyła.

— Masz śnieg na włosach — szepnąłem, ale płatki stopniały, kiedy spróbowałem je strzepnąć.

Strząsnąłem zimną wodę z dłoni na podłogę i wtedy zauważyłem ślady naszych stóp. Pozostawiliśmy po sobie trop topniejącego śniegu, który zapewne prowadził prosto do naszej kryjówki.

— Ale z nas ciemniaki — jęknąłem i wskazałem ślady. — Trzeba było zostawić gdzieś buty!

— To bez znaczenia — pocieszyła mnie Emma. — Skoro nie wytropili nas do tej pory, zapewne...

Na drugim końcu pokoju usłyszeliśmy donośny stukot kroków oraz dyszenie wielkiego zwierzęcia.

— Do okna, najszybciej jak możesz — syknęła Emma i wypełzliśmy z kryjówki.

Usiłowałem biec, ale pośliznąłem się w kałuży. Szukając punktu zaczepienia, chwyciłem płachtę na dużym przedmiocie, za którym się ukrywaliśmy. Prześcieradło zsunęło się gwałtownie z głośnym szelestem, odsłaniając kolejną witrynę, a ja runąłem wraz z nim na podłogę.

Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem dziewczynkę za plecami Emmy, która stała nade mną. Dziecko o idealnie anielskiej twarzy siedziało za szkłem, ubrane w sukienkę z falbankami, z kokardą we włosach, i wpatrywało się szklistym wzrokiem w przestrzeń. Na ustach dziewczynki zastygł grymas uśmiechu wypchanego człowieka.

Spanikowałem. Emma odwróciła się, żeby sprawdzić, o co mi chodzi, i sama wpadła w panikę. Pospiesznie pomogła mi wstać i pobiegliśmy przed siebie.

* * *

Zupełnie zapomniałem o człowieku, który nas gonił, o niedźwiedziu i o Syberii. Pragnąłem tylko wydostać się z tego pokoju, znaleźć się jak najdalej od wypchanej dziewczynki oraz ewentualnej perspektywy podzielenia jej losu i wylądowania w przeszklonej szafie. Teraz wyszło na jaw wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tym całym Benthamie — był chorym umysłowo kolekcjonerem i nie wątpię, że pod innymi prześcieradłami znajdowało się więcej takich eksponatów jak dziewczynka.



Pędem skręciliśmy za róg, nieświadomi, że piętrzy się za nim przerażająca trzymetrowa góra futra, uzbrojona w gigantyczne pazury. Próba gwałtownego hamowania skończyła się tak, że oboje z wrzaskiem upadliśmy na podłogę u stóp niedźwiedzia. Było jasne, że możemy już tylko kulić się w oczekiwaniu na śmierć. Owiał nas ciepły i cuchnący oddech dzikiego zwierza, a potem poczułem na policzku wilgotny, szorstki dotyk.

Polizał mnie niedźwiedź, a ktoś głośno się śmiał.

— Spokojnie, nie ugryzie! — rozległ się męski głos.

Odśloniłem twarz i ujrzałem przed sobą długi, włochaty pysk i wielkie brązowe oczy, które wpatrywały się we mnie z góry.

Czy to niedźwiedź się odezwał? Czy niedźwiedzie używają trzeciej osoby liczby pojedynczej, gdy mówią o sobie?

— Wabi się PT — ciągnął głos. — Jest moim osobistym strażnikiem. To bardzo przyjacielski stwór, o ile jesteście po właściwej — czyli mojej — stronie. PT, siad!

PT usiadł i polizał łapę. Przewróciłem się na lewy bok, wytarłem ślinę z twarzy i w końcu zobaczyłem, kto do nas przemawiał. To był dojrzały dżentelmen z uśmiechem na ustach i laską w dłoni, ubrany w zabójczy strój: cylinder, rękawiczki i koszulę z wysokim białym kołnierzykiem, wystającym znad ciemnego surduta.

Mężczyzna zdawkowo skinął głową i uchylił cylindra.

— Myron Bentham, do usług — przedstawił się.

— Wycofaj się powoli — wyszeptała mi Emma na ucho i oboje wstaliśmy, żeby ostrożnie odsunąć się od niedźwiedziich łap. — Nie chcemy kłopotów, proszę pana. Proszę nam pozwolić odejść i nikomu nie stanie się krzywda.

Bentham uśmiechnął się i szeroko rozłożył ramiona.

— Ależ możecie odejść w każdej chwili — oświadczył. — Byłoby to jednak szalenie rozczarowujące. Dopiero co przybyliście i mamy mnóstwo tematów do rozmowy.

— Czyżby? — odezwałem się. — Może na początek wyjaśni pan, co w tamtej witrynie robi martwa dziewczynka?!

— I o co chodzi z pokojem syberyjskim?! — dodała Emma.

— Oboje jesteście zdenerwowani, przemarznięci i mokrzy. Nie wolelibyście raczej pogawędzić o tym przy imbryku gorącej herbaty?

Właściwie nie miałbym nic przeciwko temu, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać.

— Nigdzie nie pójdziemy, dopóki nie będzie jasne, co się tutaj dzieje — zapowiedziała Emma.

— Doskonale — odparł Bentham, ani na moment nie tracąc dobrego samopoczucia. — W pokoju syberyjskim zaskoczyliście mojego asystenta. Jak już wam zapewne wiadomo, pomieszczenie prowadzi do pętli czasowej na Syberii.

— Przecież to niemożliwe — zaoponowała Emma. — Syberia znajduje się tysiące kilometrów stąd.

— Pięć tysięcy sześćset piętnaście kilometrów — sprecyzował Bentham. — Dziełem mojego życia jest jednak umożliwienie podróży międzypętlowych. — Popatrzył na mnie. — W witrynie, którą odsłoniłeś, znajduje się Sophronia Winstead. Była pierwszym osobliwym dzieckiem w angielskiej rodzinie królewskiej i wiodła fascynujące życie, które jednak zakończyło się raczej tragicznie. W swoim *peculiarium* zebrałem przeróżnych godnych uwagi osobliwców, znanych i nieznanym, owianych dobrą i złą sławą, i chętnie wam ich zademonstruję. Nie mam nic do ukrycia.

— To psychol — wyszeptałem do Emmy. — Zamierza nas wypchać i dołączyć do swojej kolekcji!

Bentham się roześmiał. (Najwyraźniej miał doskonały słuch.)

— To tylko woskowe modele, drogi chłopcze — zapewnił mnie. — Jestem kolekcjonerem i strażnikiem zabytków, ale nie zbieram wypchanych ludzi. Naprawdę sądzicie, że tak długo czekałem na spotkanie z wami tylko po to, żeby was wybebeszyć i zamknąć w witrynie?

— Słyszałem o jeszcze dziwniejszych hobby — powiedziałem, myśląc o Enochu i jego armii homunkulusów. — Czego pan od nas chce?

— Wszystko w swoim czasie — odparł. — Przede wszystkim musicie się ogrzać i wysuszyć. Potem herbata, a następnie...

— Nie chciałabym być nieuprzejma, ale i tak spędziliśmy tutaj zbyt dużo czasu — wtrąciła Emma. — Nasi przyjaciele...

— Miewają się dobrze — wpadł jej w słowo Bentham. — Przyjrzałem się sprawie i zapewniam was,

że ich sytuacja jest daleka od dramatycznej.

— Skąd pan to wie? — spytała szybko Emma. — I co to znaczy, że ich sytuacja jest daleka od dramatycznej?

— Jak to: przyjrzał się pan ich sprawie? — zapytałem w tym samym momencie.

— Wszystko w swoim czasie — powtórzył. — Wiem, że to trudne, ale musicie zachować cierpliwość.

Mamy sobie dużo do powiedzenia, a wy jesteście w opłakanym stanie. — Wyciągnął ku nam rękę. — Spójrzcie sami. Dygoczenie!

— W porządku — powiedziałem. — Napijmy się herbaty.

— Doskonale! — ucieszył się Bentham i dwukrotnie stuknął laską o podłogę. — PT, do mnie!

Niedźwiedź mruknął przychylnie, stanął na tylnych łapach i podszedł do Benthama, kołysząc się jak łąscoch na krótkich nóżkach. Następnie pochylił się i wziął swojego właściciela na ręce, tak jak się nosi dziecko — jedną łapę miał pod jego plecami, drugą podtrzymywał mu nogi.

— Wiem, że to niekonwencjonalny sposób podróżowania — powiedział Bentham znad włochatego ramienia PT. — Cóż, łatwo się męczyć. — Uniósł laskę przed siebie. — PT, biblioteka! — zakomenderował.

Patrzyliśmy ze zdumieniem, jak PT rusza z panem Benthmem.

„Czegoś podobnego nie widuje się codziennie” — pomyślałem i doszedłem do wniosku, że to się odnosi do prawie wszystkiego, co widziałem tego dnia.

— PT, stój! — rozkazał Bentham.

Niedźwiedź znieruchomiał, a Bentham pomachał do nas ręką.

— Idziecie?

Zagapiliśmy się oboje.

— Przepraszamy — powiedziała Emma i pobiegliśmy, żeby nie zostać w tyle.

* * *

Podążyliśmy przez labirynt za Benthmem i jego niedźwiedziem.

— Czy pański niedźwiedź jest osobliwy? — zapytałem.

— Tak, to ogryzli. — Bentham z czułością potarł ramię PT. — Zwierzęta jego gatunku są cenionymi towarzyszami ymbrynek w Rosji i Finlandii, a osvajanie ogryzli jest starą i szanowaną sztuką wśród tamtejszych osobliwców. Ogryzli są na tyle silne, żeby przeciwstawić się głucholcom, i jednocześnie wystarczająco delikatne, żeby zaopiekować się dzieckiem. Zimowymi nocami są cieplejsze niż elektryczne koce i nie ma groźniejszych obrońców niż one, o czym zaraz się przekonacie... PT, w lewo!

Gdy Bentham rozvodził się nad zaletami ogryzli, weszliśmy do małego saloniku, gdzie na środku pod szklanym dachem stały trzy damy, nad którymi górował gigantyczny i groźny niedźwiedź. Wstrzymałem oddech i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że cała ta nieruchoma grupka to tylko

jeden z eksponatów w kolekcji Benthama.

— To panna Waxwing, panna Troupial i panna Grebe — wyjaśnił Bentham. — A także ich ogryzli Aleksy.

Przyjrzałem się uważnie ogryzłemu i zrozumiałem, że broni woskowych ymbrynek. Damy upozowały się spokojnie przy niedźwiedziu, który stał z otwartym do ryku pyskiem i brał zamach, żeby zaatakować wroga. Jego druga łapa spoczywała niemal czule na ramieniu jednej z ymbrynek, która zahaczyła palce o długi pazur zwierzęcia, jakby chcąc zademonstrować swoją władzę nad groźną bestią.

— Aleksy był stryjecznym dziadkiem PT — wyjaśnił Bentham. — PT, przywitaj się z dziadkiem! PT zamruczał.

— Szkoda, że nie potrafisz tak z głucholcami — szepnęła do mnie Emma.

— Jak długo tresuje się ogryzłego? — spytałem Benthama.

— Latami — odparł. — Z natury są bardzo niezależne.

— Latami — szepnąłem do Emmy, która przewróciła oczami.

— Aleksy też jest z wosku? — zapytała.

— Och nie. Jest wypchany.

Wyglądało na to, że niechęć Benthama do wypychania osobliwców nie dotyczyła osobliwych zwierząt. Pomyślałem, że gdyby był z nami Addison, wybuchłaby awantura.

Wzdrygnąłem się, a Emma pogłaskała mnie ciepłą dłonią po plecach. Bentham również to zauważył.

— Wybaczcie mi! — powiedział. — Tak rzadko miewam gości, że gdy już przyjdą, nie mogę się powstrzymać i chwale się kolekcją. Obiecałem herbatę, więc na nią pora!

Machnął laską, a PT ruszył przed siebie. Poszliśmy za nimi z magazynów eksponatów do innych części domu, który pod wieloma względami wyglądał jak siedziba przeciętnego bogacza. Zwróciłem uwagę na marmurowe kolumny w holu przy wejściu, na elegancką jadalnię z gobelinami na ścianach i kilkudziesięcioma miejscami przy stole, i na skrzydła zbudowane wyłącznie dla wyeksponowania starannie zaaranżowanych mebli. W każdym pomieszczeniu obok normalnych przedmiotów zawsze znajdowało się kilka obiektów z osobliwej kolekcji Benthama.

— Piętnasty wiek, Hiszpania — oświadczył w pewnej chwili, demonstrując lśniąca zbroję w holu. — Dałem do odnowienia i teraz pasuje na mnie jak ulał!

W końcu weszliśmy do najpiękniejszej biblioteki, jaką kiedykolwiek widziałem. Bentham zsiadł z PT, otrzepał surdut i oprowadził nas po sali. Miała wysokość co najmniej trzech pięter i trzeba było mocno zadzierać głowę, żeby dojrzeć półki pod sufitem. Chcąc do nich dosięgnąć, należało skorzystać ze schodów, kładek i drabin na kółkach.

— Muszę wyznać, że nie przeczytałem ich wszystkich — powiedział Bentham. — Niemniej staram się nadrobić zaległości.

Zaprowadził nas do kanap ustawionych wokół paleniska, którego ogień rozgrzewał całe pomieszczenie. Przy kominku czekali Sharon i Nim.

— I niby to ja jestem niegodną zaufania łajzą! — syknął Sharon.

Zanim jednak zdołał zrugać mnie skuteczniej, Bentham posłał go po koce dla nas. Cieszyliśmy się względami pana domu, więc połajanki Sharona musiały poczekać.

Po chwili siedzieliśmy na kanapie, opatuleni kocami, Nim krzątał się przy nas, przygotowując herbatę na poślaczanych tacach, a PT drzemał przy ogniu. Usiłowałem bronić się przed ogarniającym mnie komfortowym zadowoleniem i skupić na sprawach wymagających wyjaśnień — na ważnych pytaniach i trudnych do rozwiązania problemach. Musieliśmy myśleć o naszych przyjaciółach i ymbrynkach, a także o absurdalnym i beznadziejnym zadaniu, które sobie postawiliśmy. Wszystko to razem mnie przytłaczało, więc poprosiłem Nima o trzy kostki cukru i tyle śmietanki, żeby herbata przybrała białą barwę. Trzema łykami opróżniłem filiżankę i zażądałem dolewki.

Sharon zaszył się w kącie, gdzie mógł się dąsać i jednocześnie podsłuchiwać naszą rozmowę.

Emma z miejsca przeszła do rzeczy.

— Możemy już porozmawiać? — spytała.

Bentham ją zignorował. Siedział naprzeciwko nas, ale patrzył tylko na mnie, uśmiechając się lekko.

— Tak? — Wytarłem strużkę herbaty z brody.

— Niezwykłe podobieństwo — odparł. — Zdarta skóra.

— Z kogo?

— Z twojego dziadka naturalnie.

Opuściłem filiżankę.

— Znał go pan?

— Owszem. Dawno temu był moim przyjacielem, kiedy ogromnie potrzebowałem wsparcia.

Zerknąłem na Emmę, która nieco pobladła i mocno ścisnęła filiżankę.

— Zmarł kilka miesięcy temu — wyjaśniłem.

— Tak — westchnął Bentham. — Było mi bardzo przykro, kiedy się o tym dowiedziałem. Szczerze mówiąc, zdumiało mnie, że wytrzymał tak długo. Wcześniej sądziłem, że zginął przed laty. Miał licznych wrogów, ale był ogromnie uzdolniony.

— Jaki charakter miała wasza przyjaźń? — spytała Emma tonem prowadzącego dochodzenie policjanta.

— A ty z pewnością nazywasz się Emma Bloom — powiedział Bentham i w końcu przeniósł na nią spojrzenie. — Sporo o tobie słyszałem.

— Naprawdę? — Wydawała się zaskoczona.

— Ależ tak. Abraham bardzo cię lubił.

— To coś nowego — mruknęła, oblewając się rumieńcem.

— Jesteś jeszcze ładniejsza, niż wynikałoby to z jego opisu.

Emma zacisnęła zęby.

— Dziękuję — powiedziała chłodno. — Jak pan go poznał?

— Przechodzimy do rzeczy, tak? — Uśmiech Benthama przygasł.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Nie, nie mam — odparł, choć jego ton nie był już tak serdeczny jak jeszcze przed chwilą.

— Wcześniej spytałaś mnie o pokój syberyjski i wiem, że nie usatysfakcjonowała cię moja odpowiedź.

— To prawda, ale jestem... jesteśmy bardziej zainteresowani dziadkiem Jacoba i tym, dlaczego nas pan tutaj przyprowadził.

— Zapewniam cię, że te sprawy są powiązane. Tamten pokój i ten dom, ogólnie rzecz biorąc, to punkt wyjścia.

— Rozumiem — powiedziałem. — W takim razie niech nam pan opowie o domu.

Bentham odetchnął głęboko, złączył opuszki palców, przycisnął dłonie do ust i na moment się zamyślił.

— Ten dom jest pełen bezcennych znalezisk, które przez całe życie gromadziłem podczas ekspedycji

— oświadczył wreszcie. — Jednak żadne z nich nie ma takiej wartości jak sam budynek, który w istocie rzeczy jest machiną, moim własnym wynalazkiem. Nazywam go pantransportikum.

— Pan Bentham jest geniuszem — odezwał się Nim, stawiając przed nami talerz kanapek. — Może zechce się pan poczęstować?

Bentham odprawił go machnięciem dłoni.

— Ale nawet to nie jest trzonem mojej opowieści, której początki sięgają czasów znacznie poprzedzających budowę mojego domu — ciągnął. — Byłem wówczas młodzieńcem w twoim wieku, Jacobie. Ja i mój brat pragnęliśmy zostać podróżnikami, więc ślęczeliśmy nad mapami Perplexusa Anomalousa, marząc o odwiedzeniu wszystkich pętli, które odkrył. Chcieliśmy też znaleźć nowe i zaglądać do nich nie raz, lecz wielokrotnie, żeby świat osobliwości ponownie stał się wielki. — Pochylił się. — Czy rozumiecie, co mam na myśli?

Zmarszczyłem brwi.

— Wielkość... dzięki mapom? — spytałem.

— Nie, nie tylko dzięki mapom. Zadajcie sobie pytanie — dlaczego jesteśmy słabi?

— Z powodu upiorów? — podsunęła Emma.

— Przez głucholce? — zasugerowałem.

— A zanim pojawiły się jedne i drugie? — drążył Bentham.

— Bo prześladują nas zwykli ludzie? — spytała Emma.

— Nie. To tylko oznaka naszej słabości. Jesteśmy słabi z powodu geografii. Wedle moich przybliżonych szacunków, na świecie żyje obecnie około dziesięciu tysięcy osobliwców. Wiemy, że muszą istnieć, podobnie jak z pewnością są we wszechświecie inne planety, na których rozwinęło się inteligentne życie. Tak wynika z praw matematyki. — Z uśmiechem wypił łyk herbaty. — Wyobraźcie sobie tylko dziesięć tysięcy obdarzonych zdumiewającymi umiejętnościami osobliwców razem w jednym miejscu, zjednoczonych we wspólnej sprawie. Z taką siłą należałoby się liczyć, prawda?

— Raczej tak — przyznała Emma.

— Zdecydowanie tak — poprawił ją Bentham. — Tyle tylko, że jesteśmy rozdzieleni przez geografie na setki słabych podgrup — dziesięciu osobliwców tu, dwunastu tam. Niesłychanie trudno jest podróżować z pętli na przykład w australijskim buszu do pętli na krańcu Afryki. Długotrwała wędrówka wiąże się z oczywistymi niebezpieczeństwami ze strony zwyczajnych ludzi oraz przyrody, ale także z groźbą przyspieszonego starzenia. Tyrania geografii wyklucza dalekie wyprawy i sprawia, że możliwe są tylko krótkotrwałe wypadki do odległych pętli, choć przecież żyjemy w czasach transportu powietrznego.

Umilkł i rozejrzył się po pokoju.

— A teraz wyobraźcie sobie, że istnieje połączenie między pętlami w Australii i w Afryce — odezwał się po chwili. — Dwie zamieszkujące tam populacje mogłyby z dnia na dzień zacieśnić stosunki, rozwinąć handel, uczyć się od siebie nawzajem, łączyć siły w czasie kryzysu. Dzięki łączności pojawiłoby się mnóstwo nieznanych wcześniej fascynujących opcji. Stopniowo, w miarę tworzenia nowych kanałów, osobliwe społeczeństwo przeobraziłoby się z luźnego zbioru odległych plemion ukrytych w odosobnionych pętlach w potężny naród, zjednoczony i silny!

Bentham coraz bardziej się ożywiał, aż w końcu uniósł ręce i rozłożył palce, jakby chwycił niewidzialny drążek do ćwiczeń.

— Dlatego powstała machina? — odezwałem się.

— Tak jest. — Opuścił ręce. — Ja i mój brat poszukiwaliśmy łatwiejszego sposobu eksplorowania osobliwego świata, a tymczasem znaleźliśmy metodę jego zjednoczenia. Pantransportikum miało zbawić nasz lud, stać się wynalazkiem, który na zawsze odmieni oblicze osobliwego społeczeństwa. Idea jego działania jest następująca: zaczynamy tutaj, w tym domu, z małym elementem urządzenia, który nazywamy lotką. Jak widzicie, mieści się w dłoni. — Zademontrował przyrząd na otwartej ręce. — Lotkę należy zabrać ze sobą, gdy się opuszcza ten dom i pętlę. Trzeba przemierzyć teraźniejszość i wkroczyć do innej pętli, która może się znajdować na drugim końcu świata albo w sąsiedniej wsi. Gdy wysłannik powróci z lotką, dostarczy zapisany w niej podpis innej pętli, który można porównać do kodu DNA. Na jego podstawie da się wyhodować — tutaj, w domu — drugie wejście do docelowej pętli.

— W jednym z pokoiów przy korytarzu na piętrze — domyśliła się Emma. — Tam, gdzie jest mnóstwo drzwi z tabliczkami.

— Zgadza się — potwierdził Bentham. — W każdym z tych pomieszczeń znajduje się wejście do pętli, które ja i mój brat kiedyś odtworzyliśmy po podróży. Za sprawą pantransportikum wystarczy tylko raz pokonać męczącą trasę do celu i z powrotem. Każda następna wyprawa jest błyskawiczna.

— To tak, jak z rozciąganiem przewodów telegraficznych — zauważyła Emma.

— W istocie — przyznał Bentham. — W rezultacie, przynajmniej teoretycznie, dom staje się centralną skarbnicą wszystkich pętli na całym świecie.

Zastanowiłem się nad tym i przypomniałem sobie, jak trudno mi było po raz pierwszy dotrzeć do pętli pani Peregrine. Sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, gdybym mógł przenieść się tam bezpośrednio

z Englewood, bez podróŜowania na wysepkę u wybrzeŜy Walii. Dzięki temu wiódlbym jednocześnie dwa ůycia — w domu z rodzicami i tutaj, z przyjacióŹmi oraz Emmą.

Problem w tym, ůe gdyby istniało takie przejœcie, dziadek Portman i Emma nie musieliby ze sobą zerwać. Ten wniosek był tak dziwny, ůe dostałem gęziej skórki.

Bentham upił łyk herbaty.

— Wystygła — mruknął i odstawił filiŹankę.

Emma wygramoliła się spod koca i podeszła do kanapy Benthama. Zanurzyła w jego herbacie czubek palca wskazującego, a po chwili napój się zagotował.

— Fantastycznie. — Bentham obdarzył Emmę szerokim uœmiechem.

— Mam pytanie — zaczęła.

— Idę o zakład, ůe wiem, jakie.

— Naprawdę? Jakie?

— Skoro tak cudowna rzecz naprawdę istnieje, dlaczego nigdy o niej nie słyŹalaœ. Zgadza się?

— Owszem. — Emma wróciła na miejsce obok mnie.

— Nikt o tym nie słyŹał, nie tylko ty, a powodem był nader niefortunny problem z moim bratem.

— Bentham spochmurniał. — Machina powstała miêdzy innymi dzięki niemu, ale w ostatecznym rozrachunku przyczynił się teŹ do jej niepowodzenia. Pantransportikum nigdy nie zostało wykorzystane do jednoczenia ludzi, choć taki zamiar nam przyœwiecał. PosłuŹyło do czegoœ wręcz przeciwnego. Kłopoty pojawiły się, kiedy zrozumieliœmy, ůe zadanie odwiedzenia wszystkich pętli na œwiecie i odtworzenia wejœc do nich jest niewykonalne. Nie mieliœmy najmniejszych szans, a sam pomysł w pewnym momencie wydał się nam niemal obłakany. Potrzebna nam była pomoc, i to daleko idąca. Szczęœliwym trafem mój brat był do tego stopnia charyzmatyczny i przekonujący, ůe bez trudu zwerbował odpowiedniå liczbę pomocników. Wkrótce dysponowaliœmy nieduŹå armiå młodych osobliwców, idealistów gotowych narazić ůycie i zdrowie, bylebyœmy spehnili nasze marzenie. Wtedy nie uœwiadamiåłem sobie, ůe brat marzy o czymœ innym niŹ ja i ukrywa prawdziwe zamiary. — Wstał z wysiłkiem. — Być moŹe znasz pewnå legendę, Emmo. — Stukajåc laskå, podszedł do jednego z regałów i wyciågnåł niewielkå ksiåŹkę. — Dotyczy opowieœci o zaginionej pętli, czymœ w rodzaju tamtego œwiata, w którym przechowuje się dusze zmarłych osobliwców.

— Abaton — odezwała się Emma. — Pewnie, ůe o nim słyŹalaam. Ale to tylko legenda.

— MoŹe zechciałabyœ ją opowiedziec — zasugerował. — Przez wzglåd na naszego nowicjusza.

Pokuœtykał z powrotem do kanapy i podał mi cienkå, zielonå i tak starå ksiåŹkę, ůe kruszyły się jej brzegi. Na okładce widniał tytuł: *Zbiór baœni osobliwych*.

— Czytałem to! — oœwiadczyłem. — A przynajmniej część.

— Wydanie, które trzymasz w dłoniach, liczy niemal szeœcset lat — poinformował mnie Bentham.

— W kolejnych juŹ nie publikowano historii, którą za moment poznasz z ust panny Bloom, gdyŹ została uznana za niebezpiecznå. Przez pewien czas jej opowiadanie traktowano jak przestępstwo. Z tego

względu niniejsza książka jest jedyną w historii osobliwego społeczeństwa, która została zakazana.

Otworzyłem *Baśnie*. Każda strona była odręcznie zapisana wręcz nieludzko ozdobnymi literami, a na wszystkich marginesach widniały liczne ilustracje.

— Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio słyszałam tę legendę — wyznała Emma niepewnie.

— Pomogę ci w miarę potrzeby. — Bentham ostrożnie usiadł na kanapie. — Śmiało.

— No dobrze — zaczęła. — Legenda głosi, że w dawnych czasach, i to naprawdę dawnych, tysiące lat temu, istniała szczególna pętla, do której osobliwcy wędrowali po śmierci.

— Osobliwe niebo — wtrąciłem.

— Niezupełnie. Nie szliśmy tam na wieczność. To miejsce można raczej porównać z... biblioteką.

— Najwyraźniej nie była pewna, czy trafnie dobrała słowo, więc popatrzyła na Benthama. — Zgadza się?

— Tak jest. — Skinął głową. — Uważano, że osobliwe dusze są cenne, a ich zasoby ograniczone, więc marnotrawstwem byłoby zabieranie ich do grobu. Podobno po śmierci pielgrzymujemy do biblioteki, gdzie magazynuje się nasze dusze, by ponownie wykorzystać je w przyszłości. Nawet w kwestiach duchowych my, osobliwcy, zawsze byliśmy oszczędni.

— Pierwsza zasada termodynamiki — skomentowałem.

Bentham popatrzył na mnie pytająco.

— Materii nie można ani stworzyć, ani zniszczyć. W tym wypadku odnosi się to do dusz — wytłumaczyłem mu, zdumiony, jakie rzeczy czasem pamięta się ze szkoły.

— Cóż, reguła jest chyba podobna — przyznał Bentham. — Nasi przodkowie wierzyli, że tylko określona liczba osobliwych dusz jest dostępna ludzkości, a przychodząc na świat, osobliwiec bierze duszę przeznaczoną do zwrotu. To tak, jakbyśmy pożyczali książkę z biblioteki. — Wskazał otaczający nas księgozbiór. — Kiedy jednak kończy się życie i upływa termin zwrotu, duszę należy oddać. — Skinął dłonią na Emmę. — Kontynuuj, proszę.

— No więc, co do tej biblioteki — zawsze sobie wyobrażałam, że jest pełna pięknych, jaśniejących ksiąg, a każda z nich zawiera osobliwą duszę. Ludzie przez tysiące lat pożyczali je, a potem zwracali tuż przed śmiercią, i wszystko pięknie się układało. Wreszcie któregoś dnia ktoś wykombinował, że warto zajrzeć do tej biblioteki, choć sam bynajmniej nie stał nad grobem. Włamał się więc do niej i ukradł najpotężniejsze dusze, jakie mu wpadły w ręce, a potem wykorzystał je do swoich niszczycielskich celów. — Emma popatrzyła na Benthama. — Zgadza się?

— To fakty, lecz podane w nieco nieudolny sposób — skomentował Bentham.



— Wykorzystał dusze? Jak? — zapytałem.

— Połączył ich moc z własną — wyjaśnił Bentham. — Koniec końców strażnicy biblioteki zabili łotra, odzyskali skradzione dusze i doprowadzili sprawy do porządku, ale puszka Pandory, że tak powiem, została otwarta. Świadomość, że do biblioteki można się wedrzeć, zatrwała ludzkie umysły. Ten, kto sprawował kontrolę nad biblioteką, mógł władać całym osobliwym światem. Nic więc dziwnego, że wkrótce skradziono kolejne dusze. Nastaly mroczne czasy, gdy zaślepieni żądzą władzy osobliwcy toczyli dramatyczne boje o kontrolę nad Abatonem i biblioteką dusz. Wielu wówczas zginęło. Płonęły ziemie, panoszyły się głód i zaraza, a osobliwcy o niewyobrażalnej mocy mordowali się nawzajem, zsyłając na przeciwników powodzie i burze z piorunami. Właśnie stąd się wzięły opowieści o bogach toczących boje o supremację w niebie. Ich Tytanomachia była w gruncie rzeczy naszą bitwą o bibliotekę dusz.

— O ile pamiętam, powiedział pan, że ta historia nie jest prawdziwa — przypomniałem mu.

— Właśnie do tego zmierzam. — Bentham popatrzył na Nima, który kręcił się w pobliżu. — Możesz już odejść, Nim. Nie potrzebujemy więcej herbaty.

— Przepraszam, jaśnie panie, nie chciałem podsłuchiwać, ale to mój ulubiony fragment opowieści.

— Usiądźże zatem!

Nim klapnął na podłogę, usiadł po turecku i oparł brodę na dłoniach.

— Wracając do tematu — ciągnął Bentham. — Przez krótki, lecz straszny czas nasz lud borykał się ze zniszczeniem i niedolą. Biblioteka często przechodziła z rąk do rąk, a ginęły przy tym zastępy

osobliwców. Wreszcie w pewnym momencie wszystko się zmieniło. Samozwańczy król Abatonu poległ w bitwie, jego pogromca zaś postanowił zagarnąć bibliotekę dla siebie, lecz jej nie znalazł. Z dnia na dzień pętla znikła.





— Znikła? — zdumiałem się.

— Przepadła — potwierdziła Emma. — Kamień w wodę.

— Trzask prask — dodał Nim.

— Według legendy biblioteka dusz mieściła się na wzgórzach pradawnego miasta Abaton. Kiedy jednak zabójca króla przybył po swoją nagrodę, po bibliotece i po mieście nie było ani śladu. Wszystko się zdematerializowało, a w miejscu budynków i dróg rozciągały się zielone łąki.

— To jakiś absurd — mruknąłem.

— Ale nic z tego nie wynika — powiedziała Emma. — To tylko stara opowieść.

— *Legenda zaginionej pętli* — przeczytałem napis w otwartej książce.

— Może nigdy nie dowiemy się na pewno, czy Abaton rzeczywiście istnieje — zauważył Bentham i uśmiechnął się enigmatycznie. — Dlatego to tylko legenda. Podobnie jednak jak w wypadku pogłosek o zakopanym skarbie, brak potwierdzenia nie zniechęcił ludzi, którzy przez stulecia poszukiwali zaginionej pętli. Powiada się, że Perplexus Anomalous we własnej osobie spędził wiele lat na poszukiwaniach Abatonu i dzięki temu odkrył wiele pętli, które zaznaczył na swoich słynnych mapach.

— Nie wiedziałam — odezwała się Emma. — Czyli z tej całej sprawy wynikło coś dobrego.

— I coś bardzo złego — dodał Bentham. — Mój brat również uwierzył w legendę. Niemądrze wybaczyłem mu słabość i ją zignorowałem. Zbyt późno dotarło do mnie, że ogarnęła go zgubna obsesja. Mój charyzmatyczny brat przekonał naszą małą armię młodych rekrutów, że Abaton istnieje, a biblioteka

dusz czeka na odkrywcę. Powiedział podkomendnym, że Perplexus był o włos od sukcesu, więc należało tylko dokończyć jego dzieło, by przejąć ogromną i niebezpieczną moc biblioteki. Czekałem zbyt długo i ta myśl stała się groźna niczym rak — ciągnął Bentham. — Mój brat i jego ludzie bez wytchnienia szukali zaginionej pętli. Wysyłali ekspedycję za ekspedycją, a kolejne niepowodzenia tylko podsycaly ich zapał. Idea zjednoczenia świata osobliwców poszła w zapomnienie. Mój brat przez cały czas pragnął tylko władzy nad nim, niczym niedoszli bogowie z dawnych czasów. Kiedy postanowiłem stawić mu czoło i odzyskać władzę nad machiną, którą stworzyłem, ogłosił mnie zdrajcą, nastawił innych przeciwko mnie i wtrącił mnie do celi.





Bentham zaciskał palce na zgięciu laski jak na szyi człowieka, którego pragnął udusić. Gdy jednak podniósł wzrok, jego twarz wydawała się surowa niczym maska pośmiertna.

— Być może już się domyślacie, jak brzmi jego imię — powiedział.

Skierowałem spojrzenie na Emmę. Miała oczy wielkie jak spodki.

— Caul — powiedzieliśmy unisono.

Bentham skinął głową.

— Tak naprawdę ma na imię Jack — dodał.

Emma się pochyliła.

— Zatem pańska siostra to... — Zawiesiła głos.

— Moją siostrą jest Alma Peregrine — dokończył.

* * *

Oszołomieni wpatrywaliśmy się w Benthama, zastanawiając się, jak to możliwe, że jest bratem pani Peregrine. Wiedziałem, że miała dwóch braci — napomknęła o nich raz czy dwa, a nawet pokazała mi ich zdjęcie z dzieciństwa. Opowiedziała mi też, jak ich pragnienie nieśmiertelności doprowadziło do katastrofy w 1908 roku i przemiany obu braci oraz ich towarzyszy w głucholce, a później w znane nam i przerażające upiory. Nigdy jednak nie wymieniła żadnego z braci z imienia, a jej opowieść niezbyt przypominała wersję Benthama.

— Jeśli mówi pan prawdę, to musi pan być upiorem — oznajmiłem.

Nim otworzył usta.

— Pan Bentham nie jest żadnym upiorem — zaczął, gotów stanąć w obronie honoru swojego pana. Ten jednak uciszył go machnięciem dłoni.

— Spokojnie, Nim — powiedział. — Znają tylko wersję Almy, a informacje mojej siostry są niepełne.

— Nie słyszę, żeby pan zaprzeczał — odezwała się Emma.

— Nie jestem upiorem — oświadczył Bentham ostrym tonem.

Nie był przyzwyczajony do tego, żeby osoby naszego pokroju kwestionowały jego słowa, i to wyraźnie go uraziło.

— Skoro tak, chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli to sprawdzimy — powiedziałem.

— Tak dla pewności...

— Ależ bardzo proszę — zgodził się Bentham.

Wstał, podpierając się laską, i pokuśtykał na ziemię niczyją pomiędzy naszymi kanapami. Zaciekawiony PT leniwie podniósł łeb, a Nim odwrócił się poirytowany, że jego pan musi znosić takie upokorzenia.

Podeszliśmy do Benthama. Był zaskakująco wysoki, więc pochylił się nieco, żebyśmy nie musieli wspinać się na palce, i czekał cierpliwie, aż zbadamy jego białka w poszukiwaniu soczewek kontaktowych i innych oznak oszustwa. Miał koszmarnie przekrwione oczy, jakby nie spał od wielu dni, lecz poza tym nic nie wzbudziło naszych podejrzeń.

Cofnęliśmy się.

— W porządku, nie jest pan upiorem — przyznałem. — To jednak oznacza, że nie może pan być bratem Caula.

— Obawiam się, że wyciągasz wnioski na podstawie błędnych założeń — westchnął. — Ponoszę odpowiedzialność za to, że mój brat i jego ludzie stali się głucholcami, ale sam nigdy nie zmieniłem się w potwora.

— To pan stworzył głucholce? — zdumiała się Emma. — Dlaczego?

Bentham się odwrócił i wbił wzrok w ogień.

— Nastąpiła straszna omyłka. Doszło do wypadku — zaczął i umilkł.

Zamarliśmy w oczekiwaniu. Wyglądało na to, że Bentham z ogromnym trudem wraca do historii, o której zazwyczaj stara się nie myśleć.

— To przeze mnie sprawa ciągnęła się tak długo — odezwał się po chwili, wyraźnie przygnębiony. — Wmawiałem sobie, że mój brat nie jest tak niebezpieczny, jak mogłoby się wydawać. Dopiero kiedy mnie uwięził i było już za późno, aby działać, dotarło do mnie, jak poważny popełniłem błąd.

Zbliżył się do paleniska i ukląkł, żeby pogłaskać niedźwiedzia po szerokim brzuchu. Palce Benthama zanurzyły się w gęstym futrze ogryzłego.

— Wiedziałem, że Jacka należy powstrzymać, i to nie tylko przez wzgląd na mnie. Nie chodziło też

o niebezpieczeństwo odnalezienia biblioteki dusz. Było jasne, że jego ambicje sięgnęły znacznie wyżej. Przez wiele miesięcy szkolił naszych rekrutów, zmieniając ich w żołnierzy groźnego ruchu politycznego. Przyjął rolę skromnego bojownika, dążącego do uwolnienia naszego społeczeństwa spod kontroli ymbrynek, które — jak to ujął — „infantylizują” osobliwców.

— Nasze społeczeństwo jeszcze istnieje nadal dzięki ymbrynkom — burknęła Emma.

— W istocie — potwierdził Bentham. — Tak się jednak składa, że mój brat był straszliwie zawistny. Już w dzieciństwie zazdrościł siostrze mocy i statusu. Nasze wrodzone zdolności są żalodne w porównaniu z jej umiejętnościami. Opiekujące się nami ymbrynki dostrzegły wielki talent Almy, zanim skończyła trzy lata. Ludzie się nią zachwycali, co doprowadzało Jacka do białej gorączki. Gdy była niemowlęciem, szczypał ją tylko po to, by popatrzeć, jak płacze. Kiedy uczyła się przemieniać w ptaka, biegał za nią i wyrywał jej pióra.

Na jednym z palców Emmy dostrzegłem płomyk wściekłości, który ugasiła w herbacie.

— Ta paskudna zawiść z upływem czasu przybierała na sile — ciągnął Bentham. — Jack potrafił wykorzystać do własnych celów toksyczną zazdrość, jaką rozbudził u niektórych naszych współbraci osobliwców. Organizował wiece i wygłaszał przemówienia, przekonując malkontentów do swojej sprawy. Na Diabelskim Poletku jego słowa padały na podatny grunt. Wielu mieszkających tu osobliwców to uciekinierzy, odizolowani i stroniący od matriarchatu ymbrynek.

— Gliniane skrzydła — zauważyła Emma. — Zanim upiory stały się upiorami, określały siebie mianem glinianych skrzydeł. Pani Peregrine trochę nas o nich uczyła.

— „Nie potrzebujemy ich skrzydeł!”, powtarzał Jack. „Będziemy mieli własne!”. Oczywiście, mówił w przerośni, niemniej urządzali przemarsze, nosząc u ramion sztuczne skrzydła, które stały się symbolem ich ruchu. — Bentham wyprostował się i machnął ręką, żebyśmy podeszli do regału. — Patrzcie, nadal mam tutaj parę zdjęć z tamtych czasów. To te nieliczne, których nie zdołał zniszczyć. — Zdjął z półki album i otworzył go na stronie z fotografią tłumu ludzi słuchających jakiegoś mężczyzny. — O, tutaj Jack wygłasza jedno ze swoich nienawistnych przemówień.

Gęsto ściśnięci zebrani, niemal wyłącznie mężczyźni, mieli na głowach kapelusze. Niektórzy balansowali na skrzynkach lub czepiali się wierzchołków ogrodzenia, żeby lepiej słyszeć słowa Caula.

Bentham przewrócił kartkę i pokazał nam inne zdjęcie — dwóch młodych, zdrowych mężczyzn w garniturach i kapeluszach. Jeden uśmiechał się szeroko i szczerze, drugi miał obojętną minę.

— Ten z lewej to ja — wyjaśnił Bentham. — Jack stoi z prawej. Uśmiechał się tylko wtedy, gdy czegoś od kogoś chciał.

W końcu otworzył album na stronie ze zdjęciem chłopca o dużych sowich skrzydłach u ramion. Chłopak siedział rozwalony na postumencie i z lekką pogardą patrzył w obiektyw. Jego oko ukryte było pod zawadiacko przekrzywioną czapką. U dołu fotografii widniał napis: Nie potrzebujemy ich skrzydeł.

— Jeden z rekrutacyjnych plakatów Jacka — wyjaśnił Bentham.

Zbliżył drugie zdjęcie do oczu i uważnie przyjrzał się twarzy brata.

— Zawsze tkwił w nim mrok — westchnął. — Nie chciałem tego dostrzec. Alma była bardziej przenikliwa i szybko odsunęła od siebie Jacka. Cóż, ja i on byliśmy w zbliżonym wieku i podobnie myśleliśmy, a przynajmniej tak mi się wydawało. Przyjaźniliśmy się, znaliśmy się jak łyse konie, że tak powiem. On jednak ukrywał przede mną prawdziwe oblicze. Nie miałem pojęcia, kim jest naprawdę, dopóki nie powiedziałem mu: „Jack, musisz z tym skończyć”. Wtedy kazał mnie obić i wtrącić do ciemnej jamy, żebym tam szczał. Było już za późno na interwencję.

Bentham podniósł wzrok, a w jego oczach zamigotało odbicie płomieni.

— Niełatwo uświadomić sobie, że dla własnego brata jesteś nikim. — dodał i umilkł, pogrążony w okropnych wspomnieniach.

— Ale pan przeżył — zauważyła Emma. — I pozamieniał ich pan w głucholce.

— Tak.

— W jaki sposób?

— Przechytrzyłem ich.

— Robiąc z nich koszmarnie potwory? — spytałem.

— Nigdy nie chciałem zmienić ich w potwory. Zależało mi tylko na tym, żeby się ich pozbyć. — Sztywnym krokiem powrócił na kanapę i powoli usiadł na poduszkach. — Głodowałem, byłem bliski śmierci, kiedy nagle wpadłem na pewien pomysł. Obmyśliłem doskonały plan wystrychnięcia mojego brata na dudka. Przypomniałem sobie kłamstwo stare jak świat — źródło młodości. Na klepisku celi wydrapałem palcem plan: etapy niejasnej manipulacji pętlą, techniki, dzięki której można było odwrócić, a nawet na zawsze wyeliminować niebezpieczeństwo starzenia się. Tak przynajmniej wydawało się na pierwszy rzut oka. W gruncie rzeczy był to tylko skutek uboczny innego procesu, czyli tajemnej i w dużej mierze zapomnianej procedury likwidacji pętli, szybkiej i nieodwracalnej, stosowanej w ostateczności.

Wyobraziłem sobie przycisk „samozniszczenie”, tak często występujący w filmach science fiction, a potem miniaturę supernowej i gasnące gwiazdy.

— Nie przypuszczałem, że moja sztuczka zadziała tak skutecznie — ciągnął. — Pewien człowiek z otoczenia Jacka okazał mi życzliwość, więc opisałem mu tę technikę, a on upowszechnił ją jako własną. Jack połknął haczyk i powiódł swoich ludzi do pewnej odległej pętli, żeby tam przeprowadzić operację. Miałem nadzieję, że na zawsze zatrzaskną za sobą drzwi.

— Ale tak się nie stało — powiedziała Emma.

— Czy to wtedy wyleciała w powietrze połowa Syberii? — spytałem.

— Reakcja była niebywale silna i trwała całą dobę — odparł Bentham. — Zachowały się zdjęcia dokumentujące tamto zdarzenie i jego następstwa...

Wskazał album na podłodze, a potem czekał, aż odnajdziemy fotografie. Na jednej, zrobionej gdzieś na pustkowiu, widniał pionowy słup białego ognia — potężna, choć odległa eksplozja energii, rozświetlająca nocne niebo niczym ognie rzymskie wielkość wieżowca. Na drugim zdjęciu ujrzeliśmy zniszczoną wieś, po której zostały tylko gruzy i ruiny domów, a także odarte z kory drzewa. Patrząc na ten

krajobraz, niemal słyszałem szum wiatru w głuchej okolicy, nagle ograbionej z życia.

Bentham pokręcił głową.

— W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie, co wypełnie z zawalonej pętli — wyznał.

— Przez krótki czas panował spokój. Po uwolnieniu zacząłem nabierać sił i odzyskałem kontrolę nad machiną. Wyglądało na to, że mroczna epoka mojego brata dobiegła końca, lecz był to tylko początek.

— Tak się zaczęły wojny głucholskie — wtrąciła Emma.

— Wkrótce dotarły do nas pierwsze opowieści o stworach powstałych z cienia, które wyłaniały się ze zniszczonych lasów, by żerować na osobliwcach, a także na zwykłych ludziach, zwierzętach i na wszystkim, co mogło się zmieścić w ich paszczach.

— Kiedyś widziałem, jak głucholec pożarł samochód — odezwał się Nim.

— Samochód? — powtórzyłem.

— Ze mną w środku — dodał.

W milczeniu czekałem na dalsze wyjaśnienia.

— No i? — zapytała Emma.

— Wydostałem się. — Wzruszył ramionami. — Kolumna kierownicy utkwiała mu w przełyku.

— Czy mogę kontynuować? — spytał Bentham.

— Oczywiście, jasnie panie. Najmocniej przepraszam.

— Jak mówiłem, mało co mogło powstrzymać te ohydne stwory, z wyjątkiem okazjonalnej kolumny kierownicy oraz wejść do pętli. Na szczęście było ich mnóstwo. Większość z nas radziła sobie z problemem głucholców, nie ruszając się z pętli. Opuszczaliśmy je tylko w razie absolutnej konieczności. Głucholce nas nie wytepiły, ale zdołały sprawić, że żyło nam się trudno, w poczuciu izolacji i zagrożenia.

— A co z upiorami? — zapytałem.

— Podejrzewam, że pan Bentham właśnie do tego zmierza — powiedziała Emma.

— W istocie — potwierdził. — Pięć lat po tym, jak napotkałem pierwszego głucholca, po raz pierwszy zetknąłem się z upiorem. Któregoś wieczoru, tuż po północy, usłyszałem pukanie do drzwi. Przebywałem we własnym domu, w swojej bezpiecznej pętli — a przynajmniej tak mi się wydawało. Kiedy jednak otworzyłem drzwi, na progu stał mój brat Jack. Miał nieco sfatygowane ubranie, ale poza tym wyglądał jak dawniej, jeśli nie liczyć martwych oczu, które były puste jak niezapisany papier.

Emma i ja siedzieliśmy po turecku, uważnie wsłuchując się w słowa Benthama. Mówił ze zboląłym wzrokiem wbitym w przestrzeń nad naszymi głowami.

— Pochłonał tyłu osobliwców, że wypełnił nimi swoją pustą duszę głucholca i przeobraził się w stwora, który przypominał mojego brata, lecz nim nie był. Resztki ludzkiej natury opuściły go całkowicie, spłynęły wraz z barwą oczu. Upiór ma się tak do osobliwca, którym niegdyś był, jak kolejna z wielu kopii do oryginału. Zanikły szczegóły i barwy...

— A co z pamięcią? — zapytałem.

— Jack jej nie stracił, niestety. Szkoda, że nie zapomniał o Abatonie i bibliotece dusz, a także o tym, co mu zrobiłem.

— Jak się dowiedział, że to pańskie dzieło? — zainteresowała się Emma.

— Powiedzmy, że kierował się braterską intuicją. Potem, któregoś dnia, gdy nie miał nic lepszego do roboty, torturował mnie tak długo, aż się przyznałem. — Bentham wskazał brodą nogi. — Jak widzicie, nie odzyskałem już dawnej sprawności.

— Ale pana nie zabił — zauważyłem.

— Upiory to pragmatyczne istoty, a zemsta nie jest najlepszym czynnikiem motywującym — oświadczył Bentham. — Jacka dopadła wyjątkowo silna obsesja na punkcie znalezienia Abatonu, jednak potrzebował do tego mojej maszyny, a także mnie do jej obsługi. Stałem się jego więźniem i niewolnikiem. Z Diabelskiego Poletka uczynił tajną kwaterę małej, lecz wpływowej grupy upiorów, zdeterminowanych, by znaleźć i otworzyć bibliotekę dusz. Jak już się zorientowaliście, to ich zasadniczy cel.

— Sądziłem, że chcą odtworzyć reakcję, w której wyniku przemienili się w głucholce — powiedziałem. — Tyle tylko, że teraz pragną stać się więksi i potężniejsi. Zamierzają „tym razem zrobić to jak należy” — zacytowałem z pamięci.

Bentham zmarszczył brwi.

— Gdzie to usłyszeliście? — zapytał.

— Pewien upiór powiedział nam to tuż przed śmiercią — wyjaśniła Emma. — Podobno dlatego potrzebowali wszystkich ymbrynek. Dzięki nim reakcja miała być silniejsza.

— Kompletny absurd — oznajmił Bentham. — To pewnie tylko wymyślona historyjka dla zamydlenia wam oczu. Niewykluczone jednak, że upiór, który opowiedział wam to kłamstwo, święcie w nie wierzył. Tylko najbliższe otoczenie Jacka wiedziało o poszukiwaniach Abatonu.

— Ale skoro nie potrzebowali ymbrynek do przeprowadzenia reakcji, dlaczego zadali sobie tyle trudu, żeby je porwać? — zainteresowałem się.

— Ponieważ zaginiona pętla Abatonu nie jest tylko zaginiona — wyjaśnił Bentham. — Jak głosi legenda, nim pętla zaginęła, została zamknięta przez ymbryniki, a konkretnie przez dwanaście ymbrynek przybyłych z dwunastu odległych zakątków świata osobliwości. O ile uda się odnaleźć Abaton, jego ponowne otwarcie będzie wymagało obecności tych samych dwunastu ymbrynek albo ich następczyń. Nic zatem dziwnego, że mój brat porwał dokładnie dwanaście ymbrynek, które wcześniej latami tropił i śledził.

— Wiedziałem — oświadczyłem. — Musiało chodzić o coś więcej niż tylko odtworzenie reakcji, która przemieniła ich w głucholce.

— A więc znalazł zaginioną pętlę — powiedziała Emma. — Caul nie porwałby ymbrynek, gdyby nie wiedział, gdzie jest Abaton.

— Przecież powiedział pan, że to miejsce jest legendą — zauważyłem. — Teraz mówi pan o nim tak,

jakby istniało. To jak jest naprawdę?

— Zgodnie z oficjalnym stanowiskiem rady ymbrynek, biblioteka dusz to miejsce rodem z legend — odrzekł Bentham.

— Nie obchodzi mnie, co mówi rada ymbrynek — burknęła Emma. — Chcę znać pańskie zdanie.

— Moje opinie to moja sprawa — powiedział wymijająco. — Ale nawet jeśli biblioteka istnieje, a Jack znajdzie ją i otworzy, to i tak nie uda mu się ukraść dusz. Nie wie, że potrzeba do tego trzeciego elementu, trzeciego klucza.

— Co to za klucz? — zapytałem.

— Nikt nie zdoła zabrać słoików. W zasadzie dla wszystkich są one niewidzialne i niematerialne, nawet ymbrynki nie mogą ich dotknąć. Jak głosi legenda, tylko wyjątkowi mistrzowie, zwani bibliotekarzami, potrafią dostrzec zbiory i zająć się nimi. Od tysiąca lat nie urodził się ani jeden bibliotekarz. Jeśli biblioteka istnieje, Jack znajdzie w niej tylko puste półki.

— No to kamień z serca — podsumowałem.

— Niezupełnie — zaproponowała Emma. — Co się stanie, kiedy zrozumie, że z takim trudem wytropione i porwane ymbrynki są bezużyteczne? Szlag go trafi!

— Właśnie to martwi mnie najbardziej — westchnął Bentham. — Jack jest porywczy, a kiedy rozwieje się jego od dawna pielęgnowane marzenie...

Usiłowałem sobie wyobrazić, co mogłoby to oznaczać. Ktoś taki jak Caul wzięłby swoje ofiary na najokrutniejsze męki. Nawet nie chciałem o tym myśleć. Takie same okropności z pewnością wyobraziła sobie także Emma, gdyż jej następne słowa były ostre i przepełnione złością.

— Odbijemy nasze ymbrynki — wycedziła.

— Łączy nas wspólny cel — zauważył Bentham. — Musimy zniszczyć mojego brata i jego sługusów, aby dzięki temu uratować Almę. Jestem zdania, że razem osiągniemy jedno i drugie.

W tym momencie wydał mi się taki drobny na masywnej kanapie, z laską opartą na rachitycznych nogach, że omal nie wybuchnąłem śmiechem.

— Ale jak? — spytałem. — Przecież do tego potrzebna jest armia.

— To nie tak — zaprzeczył. — Upiory z łatwością odparłyby zmasowany atak. Na szczęście mamy w zanadrzu coś lepszego. — Z uśmiechem popatrzył na mnie i na Emmę. — Mamy was dwoje. A wy, szczęśliwie dla siebie, macie mnie. — Powoli wstał, pomagając sobie laską. — Musimy przetrwać was do środka fortecy.

— Mury tej twierdzy wydają się nie do pokonania — mruknąłem.

— Cóż, zasadniczo są nie do pokonania — przyznał Bentham. — W czasie, gdy Diabelskie Poletko pełniło funkcję pętli więziennej, fortecę zaprojektowano tak, by wytrzymała najgorsze. Powracające tu upiory przerobiły ją na własny dom. To, co było więzieniem, stało się ich niezdobytą twierdzą.

— Ale pan wie, jak tam przeniknąć — domyśliła się Emma.

— Niewykluczone, ale musicie mi pomóc — odparł Bentham. — Jack i jego upiory zrabowały serce

mojego pantransportikum. Zmusiły mnie do zniszczenia maszyny, skopiowania pętli i odtworzenia ich w fortecy. Dzięki temu upiory mogły kontynuować pracę w lepiej strzeżonym miejscu.

— Więc istnieje... jeszcze jedno urządzenie? — upewniłem się.

Bentham skinął głową.

— Ja mam pierwowzór, a oni kopię — wyjaśnił. — Oba są połączone przejściem.

Emma się wyprostowała.

— Chce pan powiedzieć, że dzięki pańskiej maszynie możemy się przedostać do ich urządzenia?

— zapytała.

— Zgadza się.

— Więc dlaczego pan tego nie zrobił? Czemu nie skorzystał pan z okazji już dawno temu?

— Jack uszkodził moją maszynę do tego stopnia, że nie mogłem jej naprawić — powiedział Bentham.

— Przez długie lata funkcjonowało tylko jedno pomieszczenie: to, które prowadzi na Syberię. Długo i na próżno poszukiwaliśmy przejścia do maszyny Jacka.

Przypomniałem sobie człowieka, który zaglądał do szczeliny w śniegu — najwyraźniej szukał tam przejścia.

— Musimy otworzyć inne drzwi, inne pokoje — dodał Bentham. — Ale przedtem trzeba znaleźć odpowiedni element do zastąpienia części ukradzonej przez Jacka. Brakuje nam dynama będącego sercem pantransportikum. Od dawna uważam, że jest coś, co będzie się nadawało, pewien bardzo potężny i niebezpieczny element, ale choć znajduje się on tutaj, na Diabelskim Poletku, aż do teraz nie miałem szansy go zdobyć. — Popatrzył na mnie. — Drogi chłopcze, musisz mi przyprowadzić głucholca.

* * *

Oczywiście się zgodziłem. Przystałbym na prawie każdą propozycję, gdybym uznał, że w ten sposób zdołam uwolnić przyjaciół. Dopiero kiedy przyjąłem propozycję Benthama, a on uścisnął mi dłoń, dotarło do mnie coś oczywistego — nie miałem pojęcia, skąd wytrzasnąć głucholca. Bez wątplenia w fortecy było ich zatrzęsienie, ale już ustaliliśmy, że nie da się do niej wdrzeć.

W tym momencie z cienia, który stopniowo pochłaniał coraz większą część pokoju, wyłonił się Sharon i przekazał nam dobre wieści.

— Pamiętasz swojego przyjaciela, na którego runął most? — Sharon popatrzył na mnie pytająco.

— Jak się okazuje, nie całkiem wyzionął ducha. Kilka godzin temu udało się im wyciągnąć go z Rowu.

— Im? — spytałem.

— Piratom. Skuli go łańcuchami i zamknęli w klatce na końcu Wysięku. Podobno wywołał nieliczy zamęt.

— A więc sprawa jest prosta — ożywiła się Emma. — Wykradniemy głucholca, sprowadzimy go tutaj, odpalimy maszynę pana Benthama, udroźnimy przejście do fortecy upiorów i oswobodzimy naszych

przyjaciół.

— Łatwizna! — zaśmiał się Sharon zgryźliwie. — Z wyjątkiem ostatniej części.

— I pierwszej — dodałem.

Emma przysunęła się do mnie.

— Wybacz, najdroższy — szepnęła. — Zgłosiłam cię bez pytania. Myślisz, że poradzisz sobie z tym głucholcem?

Nie byłem tego pewien. Fakt, udało mi się go zmusić do kilku ruchów w Rowie Malariańskim, ale żebym miał kazać mu iść przy mojej nodze aż do domu Benthama? Byłem początkującym treserem głucholców i nie należało spodziewać się po mnie czegoś takiego. Poza tym po ostatnim katastrofalnie zakończonym pojedynku zupełnie straciłem wiarę w siebie. Tymczasem wyglądało na to, że wszystko zależy ode mnie.

— Oczywiście, że sobie poradzę — odparłem po zbyt długim namyśle. — Kiedy wyruszamy?

Bentham klasnął w dłonie.

— To mi się podoba! — wykrzyknął.

Emma nie odrywała ode mnie wzroku, świadoma, że robię dobrą minę do złej gry.

— Możecie iść, jak tylko będziecie gotowi — oświadczył Bentham. — Sharon podejmie się roli waszego przewodnika.

— Nie powinniśmy zwlekać — zauważył Sharon. — W mojej opinii, miejscowi zabawią się z tym głucholcem, a zaraz potem go zaszlachtują.

Emma uniosła przód bufiastej sukienki.

— W takim razie uważam, że powinniśmy się przebrać — powiedziała.

— Oczywiście — zgodził się Bentham.

Niezwłocznie posłał Nima po odzież bardziej odpowiednią do naszego zadania i już po chwili mieliśmy do dyspozycji buty o grubych podeszwach, nowoczesne spodnie oraz czarne, wodoodporne i elastyczne kurtki.



Zaszyliśmy się w oddzielnych pokojach, aby się przebrać, i wkrótce spotkaliśmy się na korytarzu w odzieży poszukiwaczy przygód. W szorstkim i bezkształtnym ubraniu Emma wyglądała dość męsko (choć nie najgorzej), ale jej to nie przeszkadzało. Związała włosy w kucyk i zasalutowała, stając na baczność.

— Sierżant Bloom melduje się na rozkaz! — wykrzyknęła.

— Z ciebie to jest najśliczniejszy żołnierz, jakiegom w życiu widział — oznajmiłem, bez powodzenia siląc się na akcent Johna Wayne'a.

Był bezpośredni związek między stopniem mojego zdenerwowania a liczbą głupawych żartów, jakie wygłaszałem. Nagle dopadły mnie dreszcze. Mój żołądek przypominał ciekący kran, z którego spływał kwas, rozlewając się po wnętrznościach.

— Naprawdę uważasz, że sobie poradzimy? — zapytałem.

— Naprawdę — przytaknęła.

— Czy w ogóle zdarza ci się wątpić?

Emma pokręciła głową.

— Wątpić to jak przekłuwać ponton ratunkowy — odparła.

Podeszła bliżej, aby się przytulić, i wtedy poczułem, że lekko drży. Nie była ze stali. Wówczas zrozumiałem, że moja ograniczona wiara w siebie zaczyna szkodzić również Emmie, której pewność siebie utrzymywała nas na powierzchni niczym tratwa ratunkowa.

Utwierdzałem się w przekonaniu, że wiara Emmy we mnie jest nieco na wyrost. Zachowywała się tak, jakbym w dowolnej chwili potrafił kazać głucholcom tańczyć i tylko wewnętrzna słabość uniemożliwiała mi rozwinięcie zdolności. Po części odrzucałem tę myśl, po części zastanawiałem się, czy to może być prawda. Jedynym sposobem sprawdzenia było zbliżenie się do głucholca z niezachwianym przekonaniem, że go poskromię.

— Szkoda, że nie widzę siebie twoimi oczami — szepnąłem.

Przytuliła mnie mocniej, a ja postanowiłem spróbować.

Sharon i Bentham wyszli na korytarz.

— Gotowi? — spytał Sharon.

Odsunęliśmy się od siebie.

— Gotowi — potwierdziłem.

Bentham uściśnął nam dłonie, najpierw mnie, potem Emmie.

— Nie macie pojęcia, jak się cieszę, że tu jesteście — wyznał. — Moim zdaniem to dowód, że los wreszcie się do nas uśmiechnął.

— Oby się pan nie mylił — westchnęła Emma.

Już mieliśmy iść, kiedy przyszło mi do głowy pytanie, które zamierzałem zadać od dłuższego czasu. Uświadomiłem sobie, że być może to moja ostatnia szansa na poznanie prawdy.

— Proszę pana — zwróciłem się do Benthama. — Nie mieliśmy okazji porozmawiać o moim dziadku. Jak pan go poznał? Czy pan go szukał?

Bentham uniósł brwi, ale uśmiechnął się pospiesznie, jakby chciał ukryć zaskoczenie.

— Brakowało mi go i tyle — odparł. — Byliśmy starymi przyjaciółmi i miałem nadzieję, że pewnego dnia znowu go zobaczę.

Czułem, że to nie jest cała prawda, a po zmrużonych oczach Emmy poznałem, że i ona ma tego świadomość. Nie mieliśmy jednak czasu na drążenie tego tematu. W tej chwili przyszłość była dla nas znacznie większym problemem niż przeszłość.

Bentham uniósł dłoń.

— Uważajcie na siebie — powiedział na pożegnanie. — Będę tutaj, zajmę się przygotowaniem pantransportikum na triumfalny powrót do służby. — Kuśtykając, ruszył z powrotem do biblioteki i usłyszeliśmy, jak krzyczy do niedźwiedzia: — PT, wstawaj! Czeka nas mnóstwo pracy!

Sharon poprowadził nas długim korytarzem, kołysząc drewnianą laską i plaskając wielkimi stopami o kamienną podłogę. Gdy dotarliśmy do drzwi wejściowych, przystanął i pochylił się, żeby popatrzeć nam w oczy.

— Miejsce, do którego się wybieramy, jest niebezpieczne — oświadczył. — Na Diabelskim Poletku nie ma wielu bezpańskich osobliwych dzieci, więc ludzie zwrócą na was uwagę. Nie odzywajcie się, chyba że ktoś przemówi do was pierwszy. Nie patrzcie nikomu w oczy. Podążajcie kilka kroków za mną, ale nigdy nie traćcie mnie z oczu. Będziemy udawali, że jesteście moimi niewolnikami.

— Co takiego? — zdumiała się Emma. — Wykluczone.

— Tak będzie najbezpieczniej — podkreślił Sharon.

— To poniżające!

— Owszem, ale budzi najmniej podejrzeń.

— Jak się do tego zabierzemy? — zapytałem.

— Macie robić to, co wam każe, natychmiast i bez zbędnych pytań. Ponadto starajcie się wyglądać na nieco otepiały.

— Rozkazzzz, panie — powiedziałem mechanicznym głosem.

— Nie tak — zaproponowała Emma. — Chodzi o to, że mamy udawać dzieci z tego okropnego miejsca przy Alejce Sprawiedliwości.

Rozluźniłem mięśnie twarzy i powiedziałem głucho:

— Dzień dobry, wszyscy jesteście tu szczęśliwi.

Emma się wzdrygnęła i odwróciła.

— Bardzo dobrze — pochwalił mnie Sharon i popatrzył na Emmę. — Teraz ty spróbuj.

— Skoro musimy to robić, będę udawała niemowę — oświadczyła.

Sharon nie miał nic przeciwko temu. Otworzył drzwi i wypuścił nas na przedwieczorną szarówkę.





ROZDZIAŁ PIĄTY



Powietrze na zewnątrz przypominało żółtawą, trującą zupę, tak gęstą, że nie potrafiłem określić położenia słońca na niebie. Ponieważ jednak ciemniało, doszedłem do wniosku, że nadchodzi noc. Szliśmy parę kroków za Sharonem, usiłując za nim nadążyć, gdy widział na ulicy kogoś znajomego i przyspieszał, żeby uniknąć rozmowy. Ludzie najwyraźniej go rozpoznawali — był tutejszym celebrytą i chyba się bał, że popsujemy mu reputację.

Szliśmy dziwnie pogodną ulicą Wysięk, pełną kwiatów w skrzynkach na oknach jaskrawo pomalowanych domów, a potem skręciliśmy w ulicę Barwinkową, na której kończył się chodnik, a zaczynało błoto, gdzie znikwały domy i pojawiały się nędzne chatynki. Mężczyźni w kapeluszach nasuniętych nisko na oczy zbierali się na końcu parszywego zaułka, zupełnie jakby strzegli drzwi do budynku o zaciemnionych oknach. Sharon kazał nam poczekać, więc posłusznie przystanęliśmy, kiedy szedł porozmawiać z nieznajomymi.

W powietrzu unosiła się lekka woń benzyny. Gdzieś w oddali rozbrzmiewały raz głośniejsze, raz cichsze głosy rozbawionych ludzi. Takie dźwięki towarzyszą mężczyznom oglądającym sport w barze — tyle tylko, że są to całkiem współczesne odgłosy, a na Diabelskim Poletku nie było telewizji.

Z domu wyłonił się człowiek w ubłoconych spodniach i z wiadrem w ręce. Głosy zabrzmiały donośniej, a potem przycichły, gdy mężczyzna zatrzasnął za sobą drzwi. Patrzyliśmy, jak przechodzi przez ulicę, a następnie zbliża się do czegoś, czego wcześniej nie zauważyłem. Przy słupku po odpłowanej latarni na skraju ulicy tkwiły dwa niedźwiadki na łańcuchach. Wyglądały na przeraźliwie smutne, a ich okowy miały zaledwie kilkadziesiąt centymetrów długości. Zwierzaki siedziały w błocie i kładąc uszy po sobie, z lękiem patrzyły na zbliżającego się mężczyznę, który wysypał im z wiadra nieco gnijących resztek i odszedł bez słowa. Cała ta scena koszmarnie mnie przygnębiła.



— To są ogryzli treningowe — wyjaśnił Sharon, który cicho podszedł i stanął za naszymi plecami.

— Krwawe sporty to tutaj świetny interes, a walka z ogryzlim jest uważana za największe wyzwanie. Młodzi zapaśnicy muszą jakoś trenować, więc zaczynają od potyczek z niedźwiadkami.

— Okropność — westchnąłem.

— Dzięki waszej bestii niedźwiedzie mają dzisiaj dzień wolnego. — Sharon wskazał na mały domek.

— Jest tam, na tyłach. Zanim jednak wejdziemy do środka, powinienem was ostrzec: to jaskinia ambrozji. Zobaczycie tam otepiałych osobliwców. Nie rozmawiajcie z nimi i cokolwiek się stanie, nie patrzcie im w oczy. Znam ludzi, którzy oślepli po czymś takim.

— Jak to: oślepli? — zdumiałem się.

— Tak jak słyszysz. A teraz idźcie za mną i nie zadawajcie mi żadnych pytań. Niewolnicy nie wypytują swoich panów.

Zauważyłem, że Emma zacisnęła zęby. Ruszyliśmy za Sharonem, który podążył w stronę mężczyzn zebranych przy drzwiach domu, a następnie przystanął, żeby zamienić z nimi kilka słów. Nadstawiłem uszu, jednocześnie zachowując pełen szacunku dystans i odwracając wzrok. Jeden z mężczyzn powiedział, że trzeba uiścić „opłatę za wstęp”, na co Sharon wygmerał z kieszeni płaszcza monetę. Inny człowiek spytał o nas.

— Jeszcze nie nadałem im imion — odparł Sharon. — Mam ich dopiero od wczoraj. Są jeszcze tak nieopierzeni, że wolę nie spuszczać ich z oczu.

— Coś podobnego. — Mężczyzna zbliżył się ku nam. — Nie mają imion?

Pokręciłem głową, udając niemowę tak jak Emma. Nieznajomy obrzucił nas uważnym spojrzeniem, a ja wzdrygnąłem się z odrazą.

— Czy ja cię gdzieś nie widziałem? — wymamrotał i przysunął się bliżej.

Milczałem.

— Może w oknie u Lorraine? — podsunął mu Sharon.

— E, nie. — Mężczyzna machnął ręką. — Wszystko jedno, i tak sobie przypomnę.

Odważyłem się spojrzeć na niego dopiero wtedy, gdy się odwrócił. Jeśli był piratem z Rowu, to nie jednym z tych, z którymi zadarliśmy. Miał brodę i czoło owinięte bandażami. Kilku innych mężczyzn było podobnie opatrzonych. Jeden chodził z opaską na oku. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zostali ranni podczas walki z ogryzlami.

Człowiek z opaską otworzył nam drzwi.

— Dobrej zabawy — powiedział. — Ja bym ich dzisiaj nie pchał do klatki, chyba że chcesz pan zeszkrobywać ich z ziemi.

— Jesteśmy tu tylko po to, żeby popatrzeć i czegoś się dowiedzieć — odparł Sharon.

— I bardzo dobrze.

Poszliśmy tuż za Sharonem, chcąc uniknąć badawczych spojrzeń osób przy drzwiach. Mierzący ponad dwa metry Sharon musiał się pochylić, żeby przejść przez próg, a ze względu na niski sufit przez cały czas chodził przygięty. Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, było ciemne i cuchnęło dymem. Dopóki nie oswoiłem się z półmrokiem, widziałem tylko jaśniejące tu i tam punkciki pomarańczowego światła. Powoli zacząłem dostrzegać cały pokój, oświetlony lampkami olejnymi o tak mocno przyciętych knotach, że nie dawały więcej blasku niż zapalki. Po obu stronach długiej i wąskiej przestrzeni znajdowały się prycze wbudowane w ściany, zupełnie jak w mrocznych trzewiach statku oceanicznego.

Potknąłem się o coś i niemal straciłem równowagę.

— Dlaczego tu jest tak ciemno? — wymamrotałem, łamiąc obietnicę, że powstrzymam się od zadawania pytań.

— Oczywiście są wrażliwe, gdy mija wpływ ambro — wyjaśnił Sharon. — Nawet słabe światło dnia jest wręcz nieznośne.

Wtedy dostrzegłem ludzi na pryczach — niektórych rozwalonych i śpiących, innych siedzących na gniazdach ze zmiętej pościeli. Obserwowali nas, paląc ospale i rozmawiając półgłosem. Kilku prowadziło niezrozumiałe monologi. Paru miało zabandażowane twarze, tak jak ci przy drzwiach, a ten i ów nosił maskę. Korciło mnie, żeby spytać o te maski, lecz jeszcze bardziej pragnąłem dotrzeć do głucholca i jak najszybciej wydostać się z tego miejsca.

Minęliśmy zasłonę z koralików i naszym oczom ukazał się pokój nieco jaśniejszy i znacznie bardziej zatłoczony niż poprzedni. Na krześle pod ścianą w głębi stał krzepki mężczyzna, kierując ludzi do jednych lub do drugich drzwi.

— Zapaśnicy na lewo, widzowie na prawo! — krzyczał. — Zakłady zawiera się w salonie!

Gdzieś w oddali rozległy się krzyki i po chwili tłum się rozstał, żeby przepuścić trzech mężczyzn.

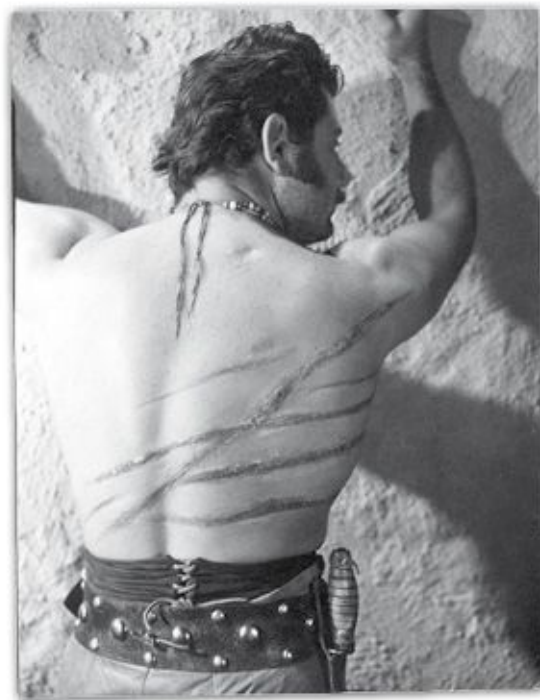
Dwóch wlokło trzeciego, który był nieprzytomny i zalany krwią. Towarzyszyły im gwizdy i buczenie.

— Tak wyglądają przegrani! — zawołał człowiek na krześle. — A tak wyglądają tchórze! — Wskazał ręką pokój z boku.

Zerknąłem tam i ujrzałem dwóch żalonych mężczyzn, którzy stali pod strażą, wysmarowani smołą i oblepieni pierzem.

— Niech ci dwaj będą dla wszystkich ostrzeżeniem! — dodał człowiek. — Każdy zawodnik musi spędzić w klatce co najmniej dwie minuty!

— Kim będziesz? — zwrócił się do mnie Sharon. — Zawodnikiem czy widzem?



Poczułem ucisk w piersi, gdy spróbowałem sobie wyobrazić, co się zaraz stanie. Nie dość, że żądano ode mnie ujarznienia głucholca, to jeszcze czekała mnie konfrontacja z hałaśliwą i zapewne wrogą publicznością. A na koniec trzeba było jakoś uciec. Miałem nadzieję, że nie odniosę zbyt poważnych ran, gdyż ucieczka z pewnością będzie wymagała sporo wysiłku. Ci osobliwcy nie zamierzali oddać bez walki nowej zabawki.

— Zawodnikiem — odparłem. — Żeby naprawdę przejąć kontrolę nad głucholcem, muszę się znaleźć blisko niego.

Emma z uśmiechem popatrzyła mi w oczy. „Poradzisz sobie” — zdawała się mówić. W tamtej chwili

poczułem, że wszystko będzie dobrze. Podbudowany ruszyłem do drzwi przeznaczonych dla zawodników, a Sharon i Emma podążyli za mną.

Wiary w siebie wystarczyło mi na mniej więcej cztery sekundy, gdyż właśnie tyle zajęło mi wejście do pokoju i zauważenie plam krwi rozmazanych po podłodze i rozsmarowanych po ścianach. Struga posoki prowadziła do jasnego przedpokoju oraz otwartych drzwi, za którymi ujrzałem tłum ludzi zebranych przy wielkiej klatce.

Na zewnątrz rozległ się wrzask. Wzywano następnego zawodnika.

Mężczyzna wyłonił się z ciemnego pokoju po prawej stronie. Kandydat do walki był obnażony od pasa w górę i miał na twarzy prostą białą maskę. Na moment zatrzymał się w przedpokoju, jakby zbierał się na odwagę, a następnie odchylił głowę i uniósł rękę, w której trzymał małą szklaną fiolkę.

— Nie patrzcie — powiedział do nas Sharon, lecz nie mogłem się oprzeć.

Nieznajomy powoli wlał czarny płyn z fiolki do wykonanych w masce otworów na oczy. Następnie rzucił fiolkę, opuścił głowę i zawarczał. Przez kilka sekund stał jak sparaliżowany, po czym jego ciało przeszył dreszcz, a z oczu wystrzeliły mu dwa stożki białego światła, doskonale widoczne nawet w jasnym pomieszczeniu.

Emma jęknęła. Mężczyzna, który sądził, że jest sam, gwałtownie odwrócił się do nas. Promienie z jego oczu zakreśliły łuk nad naszymi głowami, a przypalona ściana zaskwierczała.

— Tylko przechodzimy! — oświadczył Sharon tonem, który zdawał się mówić: „Jak się masz, przyjacielu!” i jednocześnie: „Bardzo proszę, nie zabijaj nas tymi promieniami”.

— No to tylko przejdźcie — warknął mężczyzna.

Promienie zdążyły już nieco przygasnąć, a gdy się odwrócił, mignęły i całkiem znikły. Zapaśnik ruszył do drzwi w przedpokoju i wyszedł, pozostawiając po sobie dwie smugi dymu. Kiedy straciliśmy go z oczu, odważyłem się spojrzeć na tapetę nad naszymi głowami. Dwa karmelowej barwy ślady po przypaleniu znajdowały się tam, gdzie powiódł wzrokiem. Podziękowałem Bogu, że nie spojrzał mi w oczy.

— Zanim cokolwiek zrobimy, chyba należą się nam wyjaśnienia — zwróciłem się do Sharona.

— Ambrozja — oznajmił. — Zawodnicy ją przyjmują, żeby zwiększyć sprawność. Problem w tym, że ambrozja ma krótkotrwały wpływ na ciało, a kiedy się ulatnia, człowiek jest słabszy niż wcześniej. Jeśli wpadnie w nałóg, nie zdoła niemal nic zrobić bez przyjęcia dawki. Uzależnieni w niedługim czasie muszą brać ambrozję nie tylko przed walką, lecz na okrągło, żeby zachować sprawność osobliwca. W ten sposób stają się zależni od handlarzy ambrozji. — Sharon wskazał głową pokój z prawej, skąd dobiegał szmer prowadzonej półgłosem rozmowy, która była dziwnym kontrapunktem dla wrzasków i ryków na zewnątrz. — Wyprodukowanie ambrozji okazało się najprawdziwszym majstersztykiem. Nikt tutaj nie zdradzi upiorów, dopóki miejscowi będą uzależnieni.

Zajrzałem do sąsiedniego pomieszczenia, żeby sprawdzić, jak wygląda osobliwy diler, i dostrzegłem kogoś w masce z dziwaczną brodą, strzeżonego przez dwóch uzbrojonych w pistolety strażników.

— Co się stało z oczami tamtego zawodnika? — zapytała Emma.

— Eksplozja światła to skutek uboczny — wyjaśnił Sharon. — Nie jedyny zresztą. Po latach zażywania ambrozji człowiekowi roztapia się twarz. Właśnie po tym można poznać najciężej uzależnionych — noszą maski, żeby ukryć uszkodzenia.

Emma i ja wymieniliśmy spojrzenia pełne niesmaku i w tym samym momencie rozległ się głos z pokoju obok.

— Dzień dobry! — powitał nas diler. — Zapraszam do mnie.

— Bardzo przepraszamy, na nas pora... — zacząłem, ale Sharon szturchnął mnie w ramię.

— Jesteś niewolnikiem — syknął.

— Ehem, tak jest, proszę pana — wymamrotałem i podszedłem do drzwi.

Zamaskowany mężczyzna z ręką opartą na stoliku i założonymi nogami siedział na krzeselku w pokoju o ścianach pełnych fresków. Wydawał się niepokojąco nieruchomy. W dwóch kątach pokoju stali wartownicy, w trzecim zaś znajdowała się drewniana skrzynia na kółkach.

— Nie bój się. — Handlarz skinął na mnie ręką. — Twój przyjaciele też mogą wejść.

Przeszedłem przez próg, a Sharon i Emma podążali tuż za mną.

— Dotąd cię tu nie widziałem — zauważył diler.

— Dopiero co go kupiłem — odezwał się Sharon. — Nie ma nawet...

— Mówiłem do ciebie? — warknął ostro handlarz.

Sharon natychmiast umilkł.

— Nie, nie mówiłem — odpowiedział sobie diler.

Pogłaskał sztuczną brodę, obserwując mnie przez otwory w masce. Zastanawiałem się, jak wygląda i ile ambrozji trzeba, aby stopić sobie twarz. Potem wzdrygnąłem się, dochodząc do wniosku, że wcale nie chcę tego wiedzieć.

— Jesteś tu, żeby walczyć — zauważył.

W milczeniu pokiwałem głową.

— No to masz szczęście — oznajmił. — Właśnie otrzymałem pierwszorzędną partię ambro, więc twoje szanse na przeżycie radykalnie wzrosły!

— Nie, nie chcę, dziękuję.

Popatrzył na swoich ludzi, jakby chciał sprawdzić ich reakcję, a potem się roześmiał. Strażnicy zachowali pokerowe twarze.

— Tak się składa, że tam jest głucholec — przypomniał mi handlarz. — Chyba zdajesz sobie sprawę, co to takiego?

Nie mógł wiedzieć, że w tym momencie myślę tylko o głucholcach, a zwłaszcza o jednym z nich, który czekał na zewnątrz. Chciałem jak najszybciej wyjść, ale mój odrażający rozmówca ewidentnie kierował tym przybytkiem. Gdybym rozwścieczył dilera, wpakowalibyśmy się w jeszcze większe tarapaty.

— Słyszałem o głucholcach — odparłem wymijająco.

— I jak sobie poradzisz w walce z jednym z nich?

— Myślę, że nie najgorzej.

— Tylko nie najgorzej? Chcę wiedzieć, czy powinienem na ciebie postawić. Zwycięzysz?

Powiedziałem mu to, co chciał usłyszeć.

— Tak.

— No cóż, skoro mam na ciebie postawić, potrzebujesz stosownego wsparcia.

Wstał i podszedł do apteczki, a gdy otworzył drzwiczki, wewnątrz zaślniło od szklanych fiolek. Było ich mnóstwo, a wszystkie wypełnione po brzegi ciemnym płynem i zamknięte małymi koreczkami. Wyjął jedną i mi podsunął.

— Weź — powiedział. — Dzięki temu dziesięciokrotnie poprawisz wszystko to, co w tobie najlepsze.

— Nie, dziękuję — odparłem. — To nie jest mi potrzebne.

— Wszyscy tak mówią na początku. Potem obrywają i jeśli uda im się przeżyć, biorą to, co im dają.

Obrócił fiolkę w dłoni i uniósł ją do słabego światła. Ambrozja w środku zakołysała się, migocząc srebrzystymi drobinkami. Wbrew sobie, nie mogłem oderwać wzroku od płynu.

— Z czego to się robi? — zapytałem.

— Z tego, śmęgo i owego — zaśmiał się i ponownie podsunął mi substancję. — Za darmo.

— Chłopak powiedział, że nie chce — odezwał się ostro Sharon.

Sądziłem, że diler rzuci się na niego, ale on tylko przechylił głowę i popatrzył uważnie na Sharona.

— Czy ja cię skądś nie znam? — spytał.

— Śmiem wątpić — burknął Sharon.

— Znam na pewno. — Diler pokiwał głową. — Byłeś jednym z moich najlepszych klientów. Co ci się stało?

— Zerwałem z nałogiem.

Handlarz zbliżył się do niego.

— Wygląda na to, że zbyt długo czekałeś — zauważył i złośliwie pociągnął kaptur Sharona.

Sharon ze złością chwycił go za rękę, a strażnicy unieśli pistolety.

— Uważaj — ostrzegł go diler.

Sharon przytrzymał go jeszcze przez chwilę, a potem puścił.

— No dobrze — mruknął diler i odwrócił się do mnie. — Chyba nie odmówisz darmowej próbki, hm?

Nie miałem zamiaru otwierać fiołki, ale doszedłem do wniosku, że to najlepszy sposób zakończenia rozmowy, więc przyjąłem prezent.

— Grzeczny chłopczyk — pochwalił mnie diler, a następnie wygonił nas z pokoju.

— Był pan uzależniony? — syknęła Emma do Sharona. — Dlaczego pan nam nie powiedział?

— A co by to zmieniło? — mruknął. — W istocie, miałem kilka nietęgich lat. Potem zajął się mną Bentham i odzwyczaił mnie od ambrozji.

— Bentham? — Popatrzyłem na Sharona, usiłując to sobie wyobrazić.

— Powiedziałem przecież, że zawdzięczam mu życie.

Emma wzięła do ręki fiolkę i ją uniosła. W mocniejszym świetle srebrzyste drobiny zawieszane w czarnym płynie lśniły jak drobne okruchy słońca. Wyglądało to hipnotyzująco i choć znałem już skutki uboczne stosowania ambrozji, mimowolnie zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób kilka jej kropli poprawiłoby moje umiejętności.

— Nie chciał powiedzieć, co jest w środku — zauważyła Emma.

— My sami — odparł Sharon. — Drobinki naszych skradzionych dusz, pokruszone i przekazywane nam z powrotem przez upiory. Kawalek każdego osobliwca, którego porwą, trafia właśnie do takiej fiolki.

Emma ze zgrozą odsunęła od siebie fiolkę, a Sharon wyjął ją z jej ręki i schował w płaszczu.

— Nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać — wyjaśnił.

— Nie wierzę, że brał pan to paskudztwo, wiedząc, z czego jest zrobione — mruknąłem.

— Nigdy nie twierdziłem, że jestem z siebie dumny — odparł Sharon.

Cały piekielny plan upiorów był doskonały w swej niegodziwości. Upiory przemieniły osobliwców z Diabelskiego Poletka w kanibali, wygłodniałych własnych dusz. Uzależnionych od ambrozji nieszczęśników dało się łatwo kontrolować, a całą ich populację trzymać w ryzach. Zrozumiałem, że jeśli wkrótce nie uwolnimy przyjaciół, ich dusze trafią do fiolek.

Głucholec zaryczał, niewątpliwie triumfalnie, i po chwili jacyś ludzie przywlekli przez drzwi i przedpokój mężczyznę, który wcześniej przy nas brał ambro. Nieprzytomny zawodnik obficie krwawił.

„Moja kolej” — pomyślałem i poczułem przyływ adrenaliny.

* * *

Za jaskinią ambrozji znajdował się otoczony murem dziedziniec, a na jego środku stała klatka o rozmiarach mniej więcej czterech metrów kwadratowych. Uznałem, że grube pręty bez trudu wytrzymają ciosy głucholca. Na ziemi widniała namalowana linia, oddalona od klatki na długość jęzorów głucholca. Widownia, czyli około czterdziestu osobliwców, zapobiegliwie trzymała się za linię. Pod ścianami dziedzińca stały mniejsze klatki z tygrysem, wilkiem i czymś, co wyglądało jak dorosły ogryzli. Te zwierzęta, niewątpliwie mniej interesujące od głucholca, miały stoczyć walki przy innej okazji.

Główna atrakcja widowiska spacerowała niespokojnie w dużej klatce, przykuta do ciężkiego, żelaznego słupa łańcuchem zawieszonym na szyi. Potwór był w tak opłakanym stanie, że niemal zrobiło mi się go żal. Zbryzgano go białą farbą, a także popaćkano tu i tam błotem, dzięki czemu wszyscy go widzieli, ale prezentował się dziwacznie, jak dalmatyńczyk albo mim. Wyraźnie kulał i broczył czarną posoką. Jego mięsiste jęzory, które przed walką powinny chłostać powietrze, ciągnęły się bezwładnie po ziemi. Ranny i upokorzony stwór w niczym nie przypominał istot z koszmaru sennego, do których przywykłem. Widzowie nigdy jednak nie widzieli głucholca, więc i tak robił na nich wrażenie, co

rozumiałe — mimo marnej kondycji znokautował kilku przeciwników z rzędu. Był bardzo niebezpieczny i prawie całkiem nieprzewidywalny. Uznałem, że pewnie dlatego wokół dziedzińca czuwają mężczyźni z karabinami.

Postanowiłem odbyć z Sharonem i Emmą naradę wojenną. Zgodziliśmy się, że problemem nie jest wprowadzenie mnie do klatki z głucholcem, ani nawet jego poskromienie — wychodziliśmy z założenia, że to potrafię. Prawdziwą trudność przedstawiało wydostanie głucholca i ucieczka z nim przed tymi ludźmi.

— Myślisz, że mogłabyś stopić łańcuch na jego szyi? — zwróciłem się do Emmy.

— Gdybym miała na to dwa dni — odparła. — A może powinniśmy wyjaśnić wszystkim, że naprawdę potrzebujemy tego głucholca, ale przyprowadzimy go z powrotem, kiedy już zrobi swoje?

— Nie zdążyłabyś nawet skończyć zdania. — Sharon rozejrzał się po hałaśliwym tłumie. — Te nicponie od lat nie miały takiej uciechy. Nic z tego.

— Następny zawodnik! — krzyknęła kobieta obserwująca pojedynki z okna na piętrze.

Z dala od tłumy grupka mężczyzn kłóciła się o to, kto ma teraz walczyć. Podłoga w klatce była przesiąknięta krwią i nikt się nie spieszył do przelania własnej. Zawodnicy przed chwilą ciągnęli słomki, a najkrótszą wyciągnął potężnie zbudowany, nagi do pasa mężczyzna.

— Nie ma maski — zauważył Sharon na widok jego wąsów i w zasadzie gładkiej twarzy. — Z pewnością dopiero zaczyna.

Mężczyzna zebrał się na odwagę i dostojnym krokiem ruszył w kierunku widowni. Głośno, z hiszpańskim akcentem oznajmił, że nigdy nie przegrał walki, że zabije tego głucholca i zatrzyma jego łeb jako trofeum. Poza tym chełpił się, że jego osobliwa zdolność błyskawicznego gojenia się ran uniemożliwi głucholcowi zadanie śmiertelnego ciosu.

— Widzicie te piękne ślady? — zapytał i odwrócił się, żeby zaprezentować plecy z kolekcją paskudnych blizn po pazurach. — Ogryzli zafundował mi je tydzień temu. Na trzy centymetry głębokie! — oświadczył. — A tego samego dnia się zagoiły. — Wskazał na głucholca w klatce. — To pomarszczone stare badziewie nie ma ze mną szans!

— Teraz głucholec na pewno go zabije — westchnęła Emma.

Zawodnik wlał sobie do oczu fiolkę ambro i zeszywniał, a z jego oczu wystrzeliły snopy światła, pozostawiając wypalone smugi na ziemi. Chwilę później mężczyzna zamrugał i snopy znikły. Pokrzepiony, pewnym siebie krokiem ruszył do drzwi klatki, przy których czekał już strażnik z dużym pękiem kluczy.

— Miejcie oko na faceta z kluczami — powiedziałem. — Może będą nam potrzebne.

Sharon sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej za ogon wyrywającego się szczura.

— Słyszałeś, Xavier? — zwrócił się do niego. — Biegnij po klucze.

Upuszczony na ziemię gryzoń szybko czmychnął.

Chełpliwy zawodnik wszedł do klatki i stanął oko w oko z głucholcem. Wyciągnął mały nóż, który

nosił przy pasku, i przyczał się na ugiętych nogach, lecz poza tym nie wydawał się szczególnie skory do bitki. Wyglądało na to, że gra na zwłokę — paplał jak najęty, wygłaszając mowę godną zawodowego chwalipięty.

— Chodź no tu, zwierzaku! — wykrzykiwał. — Nie boję się ciebie! Odkroję ci te ozory i zrobię z nich pasek, żeby mi spodnie nie spadły! Z twoich pazurów będę miał wykałaczkę, a twój łeb zawieszę na ścianie!

Głucholec obserwował go ze znużeniem.

Zawodnik z namaszczeniem przejechał nożem po przedramieniu, a gdy pojawiła się krew, uniósł rękę, żeby zademonstrować ranę. Rozcięcie zasklepiło się i zagoiło, nim choćby jedna kropla krwi skapnęła na ziemię.

— Jestem niezwycięzony! — wykrzyknął. — Nie boję się!

Potwór nagle udał, że rzuca się na mężczyznę, i ryknął. Przerażony zawodnik upuścił nóż i zasłonił rękami twarz. Głucholec najwyraźniej znudził się natrętem.

Publiczność wybuchnęła gromkim śmiechem, a my wraz z nią. Zawstydzony mężczyzna spiekł raka i schylił się po broń. Pobrzękując okowami, głucholec natarł na niego, tym razem na poważnie, z jęzorami wywalonymi i zaciśniętymi jak pięści.

Mężczyzna uświadomił sobie, że musi stawić mu czoło, jeśli ma zachować twarz. Ruszył ostrożnie przed siebie, wymachując nożem. Głucholec zamachnął się na niego jednym z malowanych jęzorów, a zawodnik zaatakował nożem i zranił stwora. Skaleczony głucholec zakwiczał i schował język, po czym syknął na mężczyznę jak rozzłoszczony kot.

— To cię nauczy, żeby nie atakować Don Fernanda! — krzyknął mężczyzna.

— Ten gość nie wyciąga wniosków — mruknąłem. — Drażnienie głucholców to kiepski pomysł.

Potwór wydawał się jednak spłoszony. Nadal sycząc, wycofał się przed nacierającym napastnikiem. Kiedy dotknął plecami krat, Don Fernando uniósł nóż.

— Gotuj się na śmierć, diabelski pomociu! — krzyknął i rzucił się do ataku.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem interweniować, aby ocalić głucholca, ale niemal natychmiast stało się jasne, że potwór zastawił pułapkę. Nagle i gwałtownie szarpnął za łańcuch leżący luźno za Don Fernandem, który runął na żelazny słup i rąbnął w niego głową. Rozległo się głośne metaliczne brzęknięcie i Don Fernando legł nieprzytomny na ziemi. Kolejny zawodnik przegrał przez nokaut.

Był tak bezwstydny pyszałkiem, że tłum nie przestawał wiwatować.

Grupa mężczyzn z pochodniami i elektrycznymi batami wbiegła do klatki, żeby trzymać głucholca na dystans i wywlec nieprzytomnego Don Fernanda.

— Kto następny? — zawołała kobieta z okna.

Pozostali zawodnicy wymienili lękliwe spojrzenia i znowu zaczęli się kłócić. Nikomu nie było spieszno do klatki.

Tylko ja chciałem tam wejść.

Komiczne widowisko w wykonaniu Don Fernanda i sztuczka głucholca podsunęły mi pewien pomysł. Nie był to niezawodny plan, ani nawet dobry, ale uznałem, że lepszy taki niż żaden. Z pomocą głucholca postanowiłem sfingować jego śmierć.

* * *

Zebrałem się na odwagę i jak to się często zdarza, kiedy robię coś albo trochę odważnego, albo bardzo głupiego, mój mózg odłączył się od ciała. Miałem wrażenie, że obserwuję się z oddali, patrzę, jak macham ręką do sędziny w oknie i krzyczę:

— Ja!

Dotąd byłem niewidzialny. Teraz wszyscy widzowie i zapaśnicy skierowali na mnie uważne spojrzenia.

— Masz plan? — wyszeptała Emma.

Miałem, ale byłem tak zaabsorbowany jego obmyśleniem, że zapomniałem wspomnieć o nim Emmie i Sharonowi, a teraz nie było już na to czasu. Cóż, może to i lepiej — gdybym wyjaśnił, co mi przyszło do głowy, mogłoby to zabrzmieć nedorzecznie lub, co gorsza, niewykonalnie, a wówczas straciłbym pewność siebie.

— Chyba lepiej będzie, jeśli po prostu wam pokażę — odparłem. — Ale z całą pewnością nic z tego nie wyjdzie, jeśli nie zdobędziemy tych kluczy.

— Bez obaw, Xavier się tym zajął — zapewnił mnie Sharon i wtedy usłyszeliśmy piśnięcie. Na ziemi stał szczur z kawałkiem kurczaka w pyszczku. Sharon go podniósł i warknął: — Powiedziałem klucze, a nie kurczę!

— Ja po nie pójde — oświadczyła Emma. — Tylko obiecaj, że wrócisz w jednym kawałku.

Obiecałem, a ona życzyła mi szczęścia i pocałowała mnie w usta. Gdy popatrzyłem na Sharona, przechylił głowę, jakby chciał powiedzieć: „Chyba nie oczekujesz, że ja też cię pocałuję”, a ja się roześmiałem i ruszyłem do zawodników.

Obejrzeni mnie od stóp do głów. Byłem pewien, że uznali mnie za wariata, ale mimo to żaden nie próbował mnie zatrzymać. W końcu byłem tylko nieprzygotowanym do walki dzieciakiem, który nawet nie zamierzał zażyć ambro. Nie mieli nic przeciwko temu, żebym rzucił się na bestię i trochę ją zmęczył. Gdybym zginął w klatce, nic by się nie stało, bo byłem jedynie niewolnikiem. Uświadomiwszy to sobie, znienawidziłem tych ludzi i pomyślałem o biednych porwanych osobliwcach, których kawałki dusz trafiły do fiolek, a wtedy wściekłem się jeszcze bardziej. Robiłem, co mogłem, żeby przekuć złość na determinację i skupienie, ale nadal mnie rozpraszała.

Głównie, lecz nie całkowicie. Kiedy strażnik z kluczami otwierał klatkę, zerknąłem do środka i z zaskoczeniem oraz zachwytem przekonałem się, że nie nękają mnie wątpliwości ani nie prześladują wizje nieuchronnej śmierci. Nie walczyłem też z falami zgrozy. Spotkałem tego głucholca już dwa razy i w obu wypadkach udało mi się nad nim zapanować. Teraz mogłem to zrobić po raz trzeci. Pomimo złości byłem spokojny i cichy, dzięki czemu bez trudu odnajdywałem w sobie słowa, które należało wypowiedzieć.

Strażnik otworzył drzwi, a ja wszedłem do środka. Ledwie usłyszałem za sobą szcęknięcie zamka, gdy głucholec ruszył prosto ku mnie, niczym podzwaniający łańcuchem i wściekły duch.

Miałem nadzieję, że język nie odmówi mi posłuszeństwa.

Uniosłem dłoń, aby zasłonić usta, i powiedziałem gardłową głucholszczyzną:

„Stój”.

Głucholec znieruchomiał.

„Siad” — poleciłem.

Usiadł.

Odetchnąłem z ulgą. Nie miałem się czym przejmować — ponowne połączenie przyszło mi tak łatwo, jak wspięcie się na starą i posłuszną klacz. Okiełznanie głucholca trochę przypominało zapasy z kimś znacznie mniejszym — przeciwnik był przygwożdżony i wił się, chcąc odzyskać wolność, ale przewyższałem go siłą do tego stopnia, że w żaden sposób mi nie zagrażał. Łatwość kontrolowania głucholca wiązała się jednak z pewnym problemem. Nie było prostego sposobu wydostania stwora z klatki. Aby to się udało, wszyscy musieli nabrać przekonania, że potwór zginął i nikomu nie zagraża,

a z całą pewnością nikt by w to nie uwierzył, gdyby zwycięstwo przyszło mi zbyt łatwo. Byłem chudym dzieciakiem, który nie nafaszerował się ambro. Nie mogłem tak po prostu trzepnąć głucholca i udawać, że posłałem go na tamten świat. Należało urządzić przedstawienie, żeby przekonać widownię.

Jak miałem „zabić” głucholca? Z całą pewnością nie gołymi rękami. Rozglądając się po klatce w poszukiwaniu natchnienia, zauważyłem przy żelaznym słupie nóż mojego poprzednika. Głucholec siedział obok słupa, co nie było mi na rękę, więc sięgnąłem po garść żwiru, którym obrzuciłem potwora.

„Do kąta” — rozkazałem mu, ponownie zakrywając usta. Głucholec się odwrócił i pognął do kąta klatki, co wyglądało tak, jakby przestraszył się kilku kamyczków. W tym samym momencie rzuciłem się do słupa, szybko podniosłem nóż i wycofałem się pospiesznie. Pełen aprobaty gwizd z widowni nagroził moją odrobinę brawury.

„Wściekły” — zakomenderowałem, a głucholec ryknął i zamachał jęzorami, jakby rozżłościł go mój śmiały manewr. Zerknąłem za siebie i dostrzegłem w tłumie Emmę skradającą się ku strażnikowi z kluczami.

Doskonale.

Musiałem udawać, że wpadłem w tarapaty. „Zaatakuj” — rozkazałem. Kiedy głucholec zrobił kilka kroków w moim kierunku, kazałem mu zamachnąć się jęzorem i chwycić mnie za nogę.

Wykonał polecenie, a język smagnął mnie boleśnie i dwukrotnie owinął się wokół mojej łydki. Wtedy kazałem głucholcowi mnie powalić i przyciągnąć ku sobie po ziemi. Ja w tym czasie udawałem, że próbuję uczeplić się czegoś rękami, i po chwili chwyciłem się słupa.

„Podnieś mnie” — powiedziałem. „Delikatnie”.

Chociaż moje słowa nie były precyzyjne, głucholec zdawał się dobrze rozumieć, o co mi chodzi, zupełnie jakby wyobrażenie sobie danej czynności i wymówienie słowa lub dwóch wystarczało do przekazania opisu długości kilku zdań. Kiedy zatem podniósł mnie i zawisłem w powietrzu, obejmując rękami słup, wyglądało to dokładnie tak, jak sobie wyobraziłem.

Z pewną satysfakcją pomyślałem, że idzie mi coraz lepiej.

Walczyłem i jęczałem przez kilka sekund, mając nadzieję, że przekonująco udaję cierpienie, a potem puściłem słup. Widzowie spodziewali się, że za moment zginę w bodaj najkrótszym dotąd pojedynku, więc zaczęli drwić i wyzywać mnie od najgorszych.

Nadszedł czas, żebym przyłożył głucholcowi.

„Chwyc nogę” — powiedziałem, a on znowu zamachnął się jęzorem i owinął go wokół mojej nogi.

„Ciągnij”.

Pociągnął mnie ku sobie, a ja kopałem i wymachiwałem rękami.

„Do pyska”.

Otworzył paszczę, jakby chciał połknąć mnie w całości. Szybko się odwróciłem i zamachnąłem nożem na jęzor owinięty wokół mojej kostki. Tak naprawdę wcale nie skaleczyłem głucholca, tylko kazałem mu szybko mnie puścić i wrzasnąć, aby wszyscy myśleli, że jest ranny. Zrobił to, zaskrzeczał i zwinął jęzory.

Z mojej perspektywy wyglądało to jak kiepska pantomima — moje polecenie i reakcję głucholca dzieliła sekunda przerwy — ale widzom chyba to nie przeszkadzało. Gwizdy pogardy przemieniły się w gwizdy aprobaty, gdyż pojedynek nabierał rumieńców, a dotychczasowy słabeusz najwyraźniej nie był bez szans.

Miałem nadzieję, że walka nie wygląda jak scena z niskobudżetowego filmu. Po chwili starłem się z głucholcem i wymieniliśmy kilka ciosów. Natarłem na niego, on mnie powalił, więc zamachnąłem się nożem. Głucholec odskoczył i zawył, a potem wywijał jęzorami w powietrzu, kiedy krążyliśmy w klatce. Kazałem mu nawet podnieść mnie językiem i (delikatnie) mną potrząsać, dopóki nie pchnąłem go nożem (na niby), a on (chyba zbyt ostrożnie) mnie puścił.

Zaryzykowałem i ponownie zerknąłem na Emmę. Stała pośrodku grupki zawodników, tuż obok strażnika z kluczami. Napotkawszy mój wzrok, wymownie przesunęła dłonią po gardle.

„Przestań się wygłupiać”.

Racja. Należało już zakończyć to widowisko. Odetchnąłem głęboko, zebrałem się na odwagę i przystąpiłem do wielkiego finału.

Rozpędziłem się i zaatakowałem głucholca wysoko uniesionym nożem. Potwór zamachnął się jęzorem na moje nogi, a ja go przeskoczyłem. Drugim językiem chciał mnie trafić w głowę, ale się uchyliłem.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

W tym momencie zamierzałem skoczyć nad innym jęzorem u moich stóp, a potem udać, że przesywam serce głucholca, lecz jego jęzor trafił mnie prosto w klatkę piersiową. Miałem wrażenie, że oberwałem od boksera wagi ciężkiej. Potężne uderzenie powaliło mnie na plecy i przez moment nie mogłem złapać tchu. Leżałem otępiały, dusząc się, a tłum buczał.

Chciałem rozkazać głucholcowi, żeby się cofnął, jednak słowa nie przechodziły mi przez gardło.

W następnej sekundzie już przygniatał mnie do ziemi i z szeroko rozwartą paszczą wściekle ryczał. Na chwilę zrzucił moje jarzmo i dawał upust złości. Musiałem odzyskać kontrolę, i to błyskawicznie, ale jęzory dociskały do podłoża moje ręce i nogę, a garnitur lśniących zębisk przybliżał się do mojej twarzy. Gdy udało mi się nabrać powietrza, przesyconego dławiącym smrodem głucholca, zamiast cokolwiek powiedzieć, tylko się zakrztusiłem.

W tym momencie zapewne wyzionąlbym ducha, gdyby nie specyficzna anatomia głucholców. Na szczęście nie mógł zacisnąć paszczy na mojej głowie, gdyż uniemożliwiały mu to wywalone ozory. Żeby mnie zdekapitować, musiał puścić moje kończyny. Gdy tylko poczułem, jak uwalnia moją rękę z nożem, w odruchu samoobrony zrobiłem pierwsze, co mi przyszło do głowy — zadałem cios.

Ostrze zatoneło głęboko w szyi głucholca, który wrzasnął, a odtaczając się, wywijał na oślep jęzorami i kurczowo ścisnął nóż.

Publiczność oszalała z emocji.

Wreszcie udało mi się odetchnąć pełną piersią, a gdy usiadłem, zobaczyłem, że głucholec wije się na ziemi zaledwie metr ode mnie, a z jego szyi bucha czarna krew. Uświadomiłem sobie bez satysfakcji, którą mógłbym odczuwać w innych okolicznościach, że zapewne zabiłem stwora. Naprawdę go zabiłem,

co miało się nijak do naszego planu. Kątem oka dostrzegłem, jak Sharon potrząsa otwartymi dłońmi, dając mi do zrozumienia, że wszystko schrzaniłem.

Wyprostowałem się, zdecydowany ratować, co się da. Ponownie przejąłem kontrolę nad głucholcem i kazałem mu się odprężyć. Powtarzałem mu, że nie czuje bólu. Stopniowo przestał walczyć, a jego jęzory opadły na ziemię. Wtedy podszedłem do niego, wyciągnąłem zakrwawiony nóż z jego szyi i uniosłem go wysoko, żeby widzowie zobaczyli. Publiczność wrzeszczała i wiwatowała, a ja robiłem, co mogłem, żeby uznano mnie za triumfatora, choć przegrałem z kretesem. Ogarnął mnie śmiertelny strach, że właśnie zaprzepąściłem szansę ucieczki naszych przyjaciół.

Strażnik z kluczami otworzył drzwi klatki i dwóch mężczyzn wbiegło do środka, żeby sprawdzić, co z głucholcem.

„Nie ruszaj się” — wymamrotałem, kiedy go oglądali. Jeden z ludzi wycelował strzelbę w łeb głucholca, a drugi szturchnął go kijem i podłożył dłoń pod nozdrza.

„I nie oddychaj”.

Wstrzymał oddech. Musiałem przyznać, że doskonale udawał trupa, i gdyby nie nasze połączenie, również byłbym przekonany o jego śmierci.

Mężczyźni dali się nabrać. Badający odrzucił kij, wziął mnie za rękę i uniosł ją jak sędzia po pojedynku bokserskim, po czym ogłosił mnie zwycięzcą. Publiczność wiwatowała. Zauważyłem, że ludzie przekazują sobie pieniądze. Ci rozczarowani, którzy obstawili przeciwko mnie, teraz gderali przy płaceniu.

Widzowie wchodzili do klatki, żeby lepiej się przyjrzeć rzekomo martwemu głucholcowi. Dostrzegłem wśród nich Emmę i Sharona.

Emma zarzuciła mi ramiona na szyję.

— Uszy do góry — pocieszyła mnie. — Nie miałeś wyboru.

— On żyje, ale jest ranny — wyszeptałem jej do ucha. — Nie wiem, jak długo pociągnie. Musimy go stąd zabrać.

— W takim razie dobrze, że udało mi się je zdobyć — oświadczyła, wsuwając mi do kieszeni pęk kluczy.

— Ha! — mruknąłem. — Jesteś genialna!

Kiedy jednak się odwróciłem, żeby uwolnić głucholca od łańcucha, ujrzałem przed sobą chmarę ludzi, którzy koniecznie chcieli z bliska obejrzyć potwora, dotknąć go, wziąć na pamiątkę kosmyk jego włosów. Usiłowałem się przepchnąć, ale wszyscy mnie zatrzymywali, żeby uścisnąć mi rękę i poklepać mnie po plecach.

— To było niewiarygodne!

— Masz szczęście, dzieciaku.

— Naprawdę nie brałeś ambro?

Przez cały czas półgłosem powtarzałem głucholcowi, żeby leżał i udawał trupa, gdyż czułem, że ma

ochotę się poruszyć, jak dziecko, które zbyt długo siedziało w jednej pozycji. Niecierpliwił się i był ranny, więc musiałem skupić całą uwagę na powstrzymaniu go przed zerwaniem się na równe nogi i zatopieniem zębów w smakowitym mięsie zebranych dookoła osobliwców.

Gdy w końcu dotarłem do łańcucha głucholca i zająłem się szukaniem kłódki, zaczepił mnie diler ambrozji. Odwróciłem się i ujrzałem jego brodatą maskę w odległości zaledwie kilku centymetrów od mojej twarzy.

— Myślisz, że nie wiem, co robisz? — warknął. U jego boków stało dwóch uzbrojonych strażników.
— Wydaje ci się, że jestem ślepy?

— Nie wiem, o czym pan mówi — oświadczyłem.

Przez chwilę walczyłem z niepokojącym przekonaniem, że mnie dopadł i wie, że głucholec wcale nie zginął. Ludzie handlarza nie zwracali jednak uwagi na potwora.

Diler chwycił mnie za kołnierz kurtki.

— Nikt nie będzie mnie rolował! — wycedził. — To mój teren!

Ludzie zaczęli się odsuwać. Wyglądało na to, że ten gość nie cieszy się dobrą sławą.

— Nikt nikogo nie roluje — odezwał się Sharon za moimi plecami. — Tylko spokojnie.

— Nie dam sobie w kaszę dmuchać — warknął diler. — Przychodzisz tutaj, twierdząc, że chłopak to nowicjusz, że nigdy dotąd nie walczył nawet z małym ogryzlim, a potem coś takiego? — Wskazał ręką powalonego głucholca. — Nie ma mowy!

— Głucholec nie żyje — oświadczyłem. — Niech pan sam sprawdzi, jeśli pan nie wierzy.

Handlarz puścił moją kurtkę i chwycił mnie za gardło.

— Ejże! — usłyszałem głos Emmy.

Strażnicy wzięli ją na cel.

— Pytam tylko o jedno — powiedział diler. — Co sprzedajesz?

Zacisnął palce.



— Co sprzedają? — wychrypiałem.

Westchnął poirytowany, że musi wyjaśniać coś oczywistego.

— Zjawiasz się na moim terenie, zabijasz mojego głucholca i przekonujesz moich klientów, że nie muszą kupować mojego towaru?

Myślał, że jestem jego konkurencją w handlu narkotykami i chcę podebrać mu klientów. To było jakieś szaleństwo.

Ścisnął jeszcze mocniej.

— Puść chłopaka — zażądał Sharon.

— Skoro nie robisz w ambro, to w czym? Co sprzedajesz?

Usiłowałem odpowiedzieć, ale nie mogłem. Opuściłem wzrok na jego dłonie, a on zrozumiał, o co mi chodzi, i lekko rozluźnił uścisk.

— Mów — warknął.

To, co powiedziałem, zapewne uznał za zdławiony kaszel.

„Ten z lewej” — rozkazałem, a wtedy głucholec usiadł sztywno i prosto jak ożywiony potwór Frankensteina. Nieliczni osobliwcy, którzy jeszcze byli w pobliżu, z wrzaskiem rzucili się do ucieczki. Diler odwrócił się, żeby spojrzeć, co się dzieje, a ja rąbnąłem go pięścią w maskę. Strażnicy nie wiedzieli, do kogo strzelać najpierw: do mnie czy do głucholca.

Ten ułamek sekundy niezdecydowania ich zgubił. Kiedy odwrócili głowy, głucholec zamachnął się

wszystkimi trzema jężorami na najbliższej stojącego strażnika. Jednym go rozbroił, a pozostałymi dwoma otoczył w pasie, podniósł i niczym taranem rąbnął nim drugiego strażnika, powalając na ziemię.

Diler został sam i najwyraźniej uświadomił sobie, że to ja kontroluję głucholca, bo padł na kolana, błagając mnie o litość.

— Może to i pański teren, ale głucholec jest mój — oznajmiłem.

Kazałem potworowi otoczyć jężorem szyję handlarza, którego następnie poinformowałem, że odchodzę razem z moim głucholcem. Dodałem, że diler przeżyje, tylko jeśli pozwoli nam spokojnie się oddalić.

— Tak, tak — zgodził się drżącym głosem. — Tak, naturalnie...

Otworzyłem kłódkę i zdjąłem łańcuch z głucholca. Na oczach tłumu Emma, Sharon i ja poprowadziliśmy kulejącego stwora do uchylonych drzwi klatki.

— Nie strzelać! Nie strzelać! — powtarzał idący przed nami diler, choć mówienie z jężorem głucholca na szyi sprawiało mu pewną trudność.

Zamknęliśmy klatkę na klucz, pozostawiając w niej kilku widzów. Potem wyszliśmy przez jaskinię ambrozji i tą samą trasą co wcześniej dotarliśmy na ulicę. Kusilo mnie, aby zatrzymać się po drodze i zniszczyć należące do dilera zapasy ambro, ale doszedłem do wniosku, że nie warto ryzykować. Niech się udławia swoim narkotykiem. Poza tym lepiej było nie marnować ambrozji, jeśli istniał choćby cień szansy na zwrócenie skradzionych dusz ich prawowitym właścicielom.

Porzuciliśmy dilera na czworakach w rynsztoku. Z trudem chwycił powietrze, a biała maska dyndała mu na jednym uchu. Już mieliśmy zostawić za sobą całe to parszywe miejsce, gdy usłyszałem cichy pomruk małych ogryzlich.

Popatrzyłem na nie niepewnie. Szarpały się na łańcuchach, usiłując się oswobodzić, żeby iść z nami.

— Nie możemy — powiedział Sharon nagłym tonem.

Pewnie bym je zostawił, gdyby Emma nie dostrzegła mojego spojrzenia. „Zrób to” — wyszeptała bezgłośnie.

— To zajmie tylko sekundę — zapowiedziałem.

Ostatecznie trwało to piętnaście sekund. W tym czasie głucholec wyrwał słup, do którego przykuto miśki, a banda narkomanów na głodzie zebrała się przed jaskinią ambrozji. Chyba jednak warto było zaczekać, gdyż wkrótce się oddaliliśmy, a niedźwiadki podążyły za nami, wlokąc łańcuchy i słup. Spowalniałyby nas przez to obciążenie, gdyby nie mój głucholec, który z własnej inicjatywy wziął je na rękę i szybko ruszył naprzód.

* * *

Wkrótce stało się jasne, że mamy problem. Minęliśmy zaledwie kilka przecznic, a ludzie na ulicy zaczęli zauważać głucholca. Dla wszystkich poza mną był tylko zbiorowiskiem plam farby, ale i tak zwracał na siebie uwagę. Ponieważ nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd idziemy, należało znaleźć

dyskretniejszy sposób przetransportowania go do domu Benthama.

Zanurkowaliśmy w boczną uliczkę, a gdy tylko przestałem zmuszać wyczerpanego głucholca do marszu, osunął się bezwładnie. Wydawał się dramatycznie osłabiony — leżał zwinięty w kłębek, cały we krwi, z ukrytymi w paszczy jęzorami. Wyczuwając jego cierpienie, uratowane niedźwiadki wtuliły się w niego wilgotnymi, ruchliwymi pyszczkami. Głucholec zareagował cichym warknięciem, które zabrzmiało niemal czule. Z mimowolnym wzruszeniem przypatrywałem się tej scenie, przypominającej spotkanie rozdzielonego przed laty rodzeństwa.

— Muszę z przykrością zauważyć, że to prawie urocze — oświadczyła Emma.

— Możesz sobie przebrać tego potwora w różową spódniczkę baletnicy, jeśli masz ochotę — prychnął Sharon. — I tak pozostanie maszyną do zabijania.

Musieliśmy szybko omówić sposoby zaprowadzenia żywego głucholca do Benthama.

— Mogłabym zasklepić ranę w jego szyi — zaproponowała Emma i uniosła dłoń, która już się żarzyła.

— To zbyt ryzykowne — odparłem. — Ból może sprawić, że głucholec wyrwie się spod mojej kontroli.

— Znachorka Benthama mogłaby mu pomóc — zauważył Sharon. — Tyle tylko, że musimy go szybko do niej dostarczyć.

Moją pierwszą myślą było, że powinniśmy pobiec po dachach domów. Gdyby tylko głucholec miał dość siły, wniósłby nas po ścianie budynku i przetransportował do Benthama, z dala od natrętnych spojrzeń. W tej chwili jednak nawet zwykły spacer mógłby wykończyć stwora. Zaproponowałem więc, żebyśmy zmyli z niego białą farbę, dzięki czemu pozostałby widoczny jedynie dla mnie.

— Absolutnie wykluczone. Nie ma mowy. W żadnym razie — zaprotestował Sharon, energicznie kręcąc głową. — Ani trochę nie ufam temu potworowi i chcę go mieć na oku.

— Przecież ja go kontroluję — powiedziałem z lekką urazą.

— Póki co — burknął Sharon.

— Zgadzam się z Sharonem — odezwała się Emma. — Świetnie sobie radzisz, ale co się stanie, jeśli pójdziesz do innego pokoju albo zaśniesz?

— Dlaczego miałbym iść do innego pokoju?

— Choćby za potrzebą — powiedział Sharon. — Chcesz zabierać do toalety swoje ukochane zwierzątko?

— Hm — mruknąłem. — Chyba zastanowię się nad tym, kiedy przyjdzie co do czego.

— Farba zostaje — podkreślił Sharon.

— Dobrze — burknąłem z irytacją. — Więc co robimy?

W głębi uliczki ktoś hałaśliwie otworzył drzwi, a zza nich buchnęły kłęby pary. Ze środka wyłonił się jakiś mężczyzna z niedużym wózkiem transportowym, zostawił go na zewnątrz i wrócił do budynku.

Podbiegłem, żeby lepiej się przyjrzeć. Drzwi prowadziły do pralni, a w wózku piętrzyła się brudna bielizna. Był na tyle duży, żeby pomieścić drobnego człowieka albo... zwiniętego w kłębek głucholca.

No dobrze, przyznam się — ukradłem wózek. Odciągnąłem go do naszej gromady, opróżniłem i kazałem głucholcowi położyć się w środku. Zasypaliśmy go rzeczami do prania i posadziliśmy na tej stercie niedźwiadki. Tak przygotowany wózek nie budził niczyjego zainteresowania.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wróciliśmy do budynku o zmierzchu. Nim wprowadził nas do holu, gdzie czekał Bentham. Był tak zniecierpliwiony, że nawet nie zaprzął sobie głowy powitaniem.

— Po co przywieźliście te małe ogryzli? — spytał, zerkając na wózek z brudną bielizną. — Gdzie głucholec?

— Tu — odparłem i wyciągnąłem z wózka niedźwiadki, żeby rozgarnąć pranie.

Bentham patrzył uważnie, ale trzymał się na dystans. Pościel na wierzchu była biała, lecz im głębiej grzebałem w wózku, tym więcej znajdowałem na niej krwi. Na samym dnie przypominała czarny kokon. Odgarnąłem ostatnią warstwę i moim oczom ukazał się mały, zmalretowany stwór w pozycji embrionalnej. Trudno było uwierzyć, że ta żalosna istota jeszcze niedawno przyprawiała mnie o senne koszmary.

Bentham podszedł bliżej.

— Wielkie nieba — mruknął, spoglądając na zakrwawioną bieliznę. — Co oni mu zrobili?

— Właściwie to moja robota — wyznałem. — Nie miałem wyboru.

— Głucholec chciał połknąć Jacobowi głowę — wyjaśniła Emma.

— Ale chyba go nie zabiłeś, prawda? — zaniepokoił się Bentham. — Martwy nie jest nam do niczego potrzebny.

— Chyba żyje — odparłem i kazałem głucholcowi otworzyć oczy. Bardzo powoli uniósł powieki. Nie zdechł, ale prawie całkiem opadł z sił. — Ale nie wiem, jak długo jeszcze pociągnie.

— W takim razie nie mamy ani chwili do stracenia — zdecydował Bentham. — Trzeba natychmiast posłać po moją znachorkę i liczyć na to, że jej pył działa na głucholce.

Kazał Nimowi pędzić po znachorkę, a nas zaprowadził do kuchni, gdzie zaproponował nam ciastka oraz owoce z puszki. Czy to ze zdenerwowania, czy z powodu wszystkich budzących odrazę rzeczy, które się rozegrały na naszych oczach, zupełnie nie chciało nam się jeść. Przez grzeczność skubaliśmy przekąski, słuchając, jak Bentham opowiada o tym, co się zdarzyło pod naszą nieobecność. Podobno wprowadził wszystkie konieczne zmiany i poprawki do maszyny i była już gotowa do działania — wystarczyło tylko podłączyć do niej głucholca.

— Na pewno zadziała? — upewniła się Emma.

— Zyskam całkowitą pewność dopiero wtedy, gdy ją wypróbujemy — odparł.

— Będzie go bolało? — zapytałem.

Ogarnęły mnie dziwnie opiekuńcze uczucia w stosunku do głucholca, wynikające choćby z tego, że zadałem sobie sporo trudu, aby go uratować.

— Ależ skąd. — Bentham lekceważąco machnął ręką.

Wkrótce zjawiała się znachorka. Jej widok tak mnie zaskoczył, że omal nie wrzasnąłem. Nie chodziło o to, że wyglądała niezwykle (choć wyglądała), ale o to, że z całą pewnością już wcześniej ją widziałem. Nie potrafiłem tylko powiedzieć, gdzie i jak to możliwe, że zapomniałem o spotkaniu z kimś tak nietypowym.

Jej jedynymi widocznymi częściami ciała były lewe oko i lewa dłoń. Reszta kryła się pod warstwami tkaniny: chustami, szalami, suknią i wyglądającą jak dzwon spódnicą z obręczą. Wyglądało na to, że znachorka nie ma prawej dłoni, a za lewą kurczowo ścisnął ją młody mężczyzna o brązowej skórze i szeroko otwartych, błyszczących oczach. Miał na sobie jasną koszulę z jedwabiu oraz kapelusz o szerokim rondzie i prowadził znachorkę tak, jakby była niewidoma albo w jakiś sposób niepełnosprawna.

— Mam na imię Reynaldo — przedstawił się młodzieniec. Mówił z wyraźnym francuskim akcentem. — A to jest Matka Pył. Mówię za nią.

Matka Pył pochyliła się ku Reynaldowi i szepnęła mu coś do ucha. Reynaldo popatrzył na mnie.

— Matka Pył ma nadzieję, że czujesz się lepiej — rzekł.

Wtedy do mnie dotarło, że ją widziałem: w snach — w każdym razie zakładałem, że to były sny — gdy odzyskiwałem siły w domu pana Benthama.

— Tak, znacznie lepiej — potwierdziłem wytrącony z równowagi.

Bentham od razu przeszedł do rzeczy.

— Potrafisz leczyć takie stwory? — spytał, prowadząc Matkę Pył i Reynalda do wózka. — To głucholec, widać tylko te jego fragmenty, które są pomalowane farbą.

— Matka Pył uleczy wszystko, co ma bijące serce — podkreślił Reynaldo.

— W takim razie działaj, proszę — powiedział Bentham. — Trzeba za wszelką cenę ocalić życie tej istocie.

Matka Pył wydawała polecenia za pośrednictwem Reynalda. Kazali wyjąć stwora z wózka, więc razem z Emmą przełożyłem głucholca na podłogę. Potem Emma oraz Sharon pomogli mi go podnieść i umieścić w niecce długiego i głębokiego zlewu. Obmyliśmy rany wodą z kranu, starając się nie usuwać zbyt dużo białej farby. Matka Pył przystąpiła do badania głucholca, a Reynaldo poprosił mnie o wskazanie wszystkich obrażeń.

— Marion, posłuchaj. — Bentham zwrócił się do Matki Pył po imieniu. — Nie musisz leczyć każdego zadrapania i siniaka. Nie chcemy, żeby to coś było w szczytowej formie. Ma tylko przeżyć, nic więcej. Chyba rozumiesz?

— Tak, tak — powiedział Reynaldo z lekceważeniem. — Wiemy, co robimy.

Bentham odchrząknął i odwrócił się do niego plecami, demonstrując niezadowolenie.

— A teraz Matka uczyni pył — obwieścił Reynaldo. — Cofnijcie się i uważajcie, żeby go nie wdychać, gdyż natychmiast was uśpi.

Odsunęliśmy się, a on zawiązał sobie maskę przeciwpylową na nosie i ustach, po czym rozwiązał chustę na pozostałości prawej ręki Matki Pył. Kikut, który się ukazał naszym oczom, miał zaledwie kilka centymetrów długości i kończył się znacznie powyżej brakującego łokcia.

Matka Pył potarła kikut, uwalniając w ten sposób drobny biały puder, który zawisł w powietrzu. Reynaldo wstrzymał oddech, po czym zabrał się do przeczesywania powietrza dłonią i zbierania pyłu. Przypatrywaliśmy się temu z fascynacją i lekkim obrzydzeniem, aż wreszcie zgromadził około trzydziestu gramów proszku. Kikut Matki Pył odpowiednio zmalął.

Reynaldo przesywał substancję na dłoń Matki, a ona pochyliła się nad głucholcem i dmuchnęła mu trochę proszku w twarz. Przypomniałem sobie, że tak samo postąpiła ze mną. Głucholec odetchnął pyłem, po czym szarpnął się tak gwałtownie, że z wyjątkiem Matki wszyscy odskoczyli.

„Leż spokojnie” — powiedziałem, ale niepotrzebnie, gdyż — jak wyjaśnił Reynaldo — była to automatyczna reakcja na proszek powodujący spowolnienie życiowych funkcji. Gdy Matka Pył przyprószyła głęboką ranę na szyi głucholca, Reynaldo oznajmił, że drobiny leczą rany i przywołują sen, zależnie od użytej ilości. W tym samym momencie wokół rany narosła świecąca biała piana. Jak powiedział Reynaldo, pył Matki Pył to ona sama i jego ilość jest ściśle ograniczona. Uzdrawiając kogoś, Matka bezpowrotnie oddawała odrobinę siebie.

— Nie chciałabym, żeby moje pytanie zabrzmiało nieuprzejmie — odezwała się Emma. — Ale dlaczego Matka Pył to robi, skoro z tego powodu cierpi?

Matka Pył na moment przerwała pracę przy głucholcu, odwróciła się i zerknęła na Emmę zdrowym okiem. Następnie przemówiła tak głośno, że po raz pierwszy ją usłyszeliśmy — bełkotała niewyraźnie jak ktoś, komu brakuje języka.

— Robię to, ponieważ zostałam wybrana, by służyć — przetłumaczył Reynaldo.

— W takim razie... dziękujemy — powiedziała Emma z pokorą.

Matka Pył skinęła głową i odwróciła się do głucholca.

* * *

Jak się okazało, głucholec nie od razu doszedł do siebie. Pozostawał w głębokim uśpieniu, z którego miał się ocknąć dopiero po tym, jak zasklepią się najgroźniejsze rany, co mogło potrwać nawet całą noc. Ponieważ musiał być świadomy w momencie „podłączania” do maszyny, drugą fazę naszego planu ratunkowego należało opóźnić o kilka godzin. Większość z nas postanowiła spędzić ten czas w kuchni. Byli tam Reynaldo i Matka Pył, która musiała często dokładać swój proszek do ran głucholca, a także Emma i ja, gdyż wolałem nie zostawiać potwora samego, choć głęboko spał. Czułem się za niego odpowiedzialny, tak jakbym przyniósł do domu nienawykłe do czystości zwierzę. Emma również trzymała

się w pobliżu, gdyż w pewnym sensie odpowiadała za mnie (a ja za nią). Gdy zasypiałem, łaskotała mnie albo opowiadała historyjki o dawnych dobrych czasach w domu pani Peregrine. Bentham pojawiał się i znikał, bo przepełniony paranoicznym strachem przed atakiem piechurów swojego brata nieustannie patrolował dom, w czym towarzyszyli mu Sharon i Nim.

Nocą rozmawiałem z Emmą o tym, co przyniesie następny dzień. Gdyby Benthamowi udało się ponownie uruchomić maszynę, już za parę godzin mieliśmy szansę znaleźć się w fortecy upiórów i być może znowu zobaczyć przyjaciół oraz panią Peregrine.

— Jeśli będziemy bardzo przebiegli i dopisze nam mnóstwo szczęścia, i jeżeli... — Zawiesiła głos.

Siedzieliśmy obok siebie na długiej, drewnianej ławie pod ścianą. Emma odwróciła się, żebym nie widział jej twarzy.

— Jeżeli co? — zapytałem.

— Jeżeli jeszcze żyją — dokończyła i spojrzała na mnie z bólem.

— Żyją — zapewniłem ją.

— Jacob, mam dosyć udawania — westchnęła. — Upiory miały wystarczająco dużo czasu, żeby przerobić ich dusze na ambroję. A jeśli uświadomiły sobie, że ymbrynki są bezużyteczne, więc można je torturować albo wycisnąć z nich dusze, albo przykładowo ukarać je za próbę ucieczki...

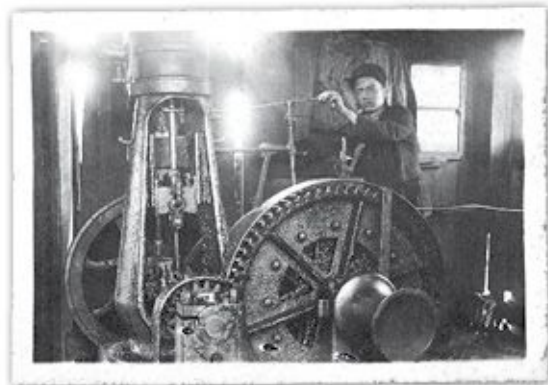
— Daj spokój, nie minęło aż tyle czasu.

— Wkrótce miną dwie doby, a jeszcze tam nie dotarliśmy. Czterdzieści osiem godzin to dość czasu, żeby wydarzyło się mnóstwo okropnych rzeczy.

— Nie musimy sobie wyobrażać każdej z nich. Mówisz jak Horace, a on zawsze wymyśla najczarniejsze scenariusze. Nie ma sensu się zadręczać, dopóki nie będziemy wiedzieli na pewno, co się zdarzyło.

— Wręcz przeciwnie — upierała się. — Mamy całkiem uzasadniony powód, żeby się zadręczać. Jeśli rozważymy wszystkie najgorsze ewentualności i jedna z nich się sprawdzi, nie będziemy na nią kompletnie nieprzygotowani.

— Nie sądzę, żebym zdołał kiedykolwiek przygotować się na to, co może nas spotkać.



Emma oparła głowę na dłoniach i ciężko westchnęła. Trudno było to wszystko ogarnąć.

W tym momencie zapragnąłem wyznać jej miłość. Sądziłem, że to mogłoby pomóc, gdyż skupilibyśmy się na tym, czego jesteśmy pewni, a nie na wszystkim, co nieznane. Dotąd jednak nie mówiliśmy często o uczuciach i nie potrafiłem się zdobyć na wypowiedzenie odpowiednich słów w obecności zupełnie obcych ludzi.

Im dłużej myślałem o miłości do Emmy, tym bardziej byłem rozchwiany i nie wiedziałem, na czym stoję — właśnie z powodu niepewnej przyszłości. Powinienem wyobrazić sobie swoją przyszłość z Emmą, ale nie miałem nawet pojęcia, co przyniesie następny dzień. Toczyłem nieustanną walkę, stąpając po grząskim gruncie. Z natury jestem ostrożny i lubię planować — chcę wiedzieć, co mnie może spotkać nie tylko za moment, ale i nieco później — a wszystko to, co się działo, odkąd wszedłem do opuszczonych ruin domu pani Peregrine do teraz, było jednym długotrwałym upadkiem w bezdenną przepaść. Aby przeżyć, musiałem stać się innym człowiekiem — elastycznym, twardo stąpającym po ziemi i odważnym. Musiałem zmienić się w kogoś, kto byłby powodem do dumy dla mojego dziadka. Przemiana okazała się jednak niecałkowita. Nowy Jacob był sprzężony ze starym. Nadal mieszałem, i to często, chwile upokarzającego przerażenia. Żałowałem wtedy, że w ogóle dotarła do mnie informacja o jakiejś przekłetej pani Peregrine, i pragnąłem, żeby świat przestał wreszcie wirować i dał mi chwilę wytchnienia. Z bólem zastanawiałem się, który Jacob kocha Emmę: czy ten nowy, przygotowany na wszystko, czy też stary, który pragnął tylko odrobiny stabilności?

Jak na dawnego Jacoba przystało, postanowiłem nie myśleć o tym teraz. Trzeba było się skupić na sprawie póki co najważniejszej — na tym, co się stanie, gdy głucholec odzyska przytomność. Wyglądało na to, że czeka nas rozłąka.

— Szkoda, że nie mogę zabrać mojego głucholca — westchnąłem. — Bez trudu zrobiłby porządek z każdym, kto stanąłby nam na drodze. Chyba jednak musi zostać, żeby napędzać maszynę.

— Mojego? — Emma uniosła brwi. — Nie przywiązuj się za bardzo do tego głucholca. Pamiętaj, przy pierwszej okazji z pewnością pożre cię żywcem.

— Wiem, wiem — westchnąłem.

— Poza tym wcale nie jestem pewna, że tak łatwo pokonałby wszystkich naszych wrogów. Upiory na pewno dobrze wiedzą, jak sobie radzić z głucholcami. W końcu same kiedyś nimi były.

— Masz wyjątkowy dar — zauważył Reynaldo.

Odezwał się do nas po raz pierwszy od przeszło godziny. Jakiś czas temu przestał obserwować stan głucholca i postanowił przetrząsnąć szafki Benthama w poszukiwaniu czegoś na ząb. Teraz siedział przy małym stole i dzielił się z Matką Pył sporym kawałem sera z niebieskimi żyłkami.

— Wyjątkowy, ale i dziwny — odparłem. Już od pewnego czasu zastanawiałem się nad zdumiewającą specyfiką swojego daru, ale dopiero teraz znalazłem odpowiednie słowa, żeby ją opisać. — W idealnym świecie nie byłoby żadnych głucholców i nie miałbym czego dostrzec tym swoim szczególnym wzrokiem. Nikt też nie rozumiałby dziwnego języka, którym się posługuję. Nikt nawet by nie wiedział, że mam osobliwy dar.

— W takim razie dobrze, że jesteś tu teraz — zauważyła Emma.

— Niby tak, ale... Czy to nie wydaje ci się trochę zbyt przypadkowe? Mogłem się urodzić kiedykolwiek, podobnie jak mój dziadek. Głucholce istnieją zaledwie od mniej więcej stu lat, a my obaj przyszedliśmy na świat właśnie w tym czasie, akurat wtedy, gdy byliśmy potrzebni. Dlaczego?

— Pewnie tak miało być — oświadczyła Emma. — A może zawsze są ludzie, którzy potrafią robić to, co ty, tylko nie mają o tym pojęcia. Może mnóstwo ludzi przechodzi przez życie, nie wiedząc, że są osobliwcami.

Matka Pył pochyliła się ku Reynaldowi i coś wyszeptwała.

— Matka Pył mówi, że to nie tak — oznajmił Reynaldo. — Twój prawdziwy dar zapewne nie polega na manipulacji głucholcami. To tylko jego najbardziej oczywiste zastosowanie.

— Jak to? — zdumiałem się. — Na czym innym mógłby polegać?

Matka Pył znowu coś szepnęła.

— Jest prostszy — powiedział Reynaldo. — Podobnie jak uzdolniony wiolonczelista rodzi się ze zdolnościami muzycznymi, a nie umiejętnością gry tylko na jednym instrumencie, tak i ty nie urodziłeś się wyłącznie ze zdolnością do manipulowania głucholcami. A ty nie urodziłaś się jedynie z umiejętnością władania ogniem — zwrócił się do Emmy.

Zmarszczyła brwi.

— Mam ponad sto lat i wydaje mi się, że zdążyłam już dobrze poznać swoje osobliwe zdolności — oświadczyła. — Z całą pewnością nie władam wodą, powietrzem ani ziemią. Możecie mi wierzyć, próbowałam.

— To nie znaczy, że tego nie potrafisz — podkreślił Reynaldo. — Na wczesnym etapie życia dostrzegamy u siebie różne umiejętności i koncentrujemy się tylko na nich, nie zwracając uwagi na inne. Nie w tym rzecz, że nic innego nie jest możliwe, tylko że nie było pielęgnowane.

— Interesująca teoria — mruknąłem.

— Chodzi o to, że choć masz talent do manipulowania głucholcami, trudno mówić o niewiarygodnym zbiegu okoliczności. Twój dar rozwinął się w tym kierunku, gdyż zaszła taka potrzeba.

— Skoro to prawda, to dlaczego my wszyscy nie potrafimy zapanować nad głucholcami? — zapytała Emma. — Każdemu osobliwcowi przydałaby się odrobina daru Jacoba.

— Ponieważ tylko on był zdolny do tego, żeby rozwinąć swój podstawowy dar w tym kierunku. W czasach przed pojawieniem się głucholców umiejętności osobliwców o duszach podobnych do duszy Jacoba objawiały się zapewne w inny sposób. Podobno biblioteka dusz była prowadzona przez ludzi, którzy potrafili czytać w duszach osobliwców jak w książkach. Gdyby ci bibliotekarze żyli obecnie, może przypominaliby Jacoba.

— Dlaczego to mówisz? — spytałem. — Czy zauważanie głucholców w jakikolwiek sposób przypomina czytanie dusz?

Reynaldo zamienił parę słów z Matką Pył.

— Wygląda na to, że potrafisz czytać w sercach — powiedział. — Dostrzegłeś dobro w Benthamie i mimo wszystko postanowiłeś mu wybaczyć.

— Wybaczyć? — powtórzyłem zdumiony. — Co takiego miałbym mu wybaczać?

Matka Pył ponieważś zorientowała się, że wyjawiała za dużo. Szepnęła coś Reynaldowi na ucho.

— To, co zrobił twojemu dziadkowi — powiedział.

Spojrzałem na Emmę, ale wydawała się równie zdezorientowana jak ja.

— A co zrobił dziadkowi? — zaniepokoiłem się.

— Ja im powiem — rozległ się głos od progu i do pomieszczenia przykuśtykał Bentham we własnej osobie. — Noszę brzemień hańby, więc sam powinienem wyjawić prawdę.

Powłócząc nogami, minął zlew, odsunął krzesło od stołu i usiadł.

— W czasie wojny twój dziadek cieszył się wielkim uznaniem ze względu na swoje wyjątkowe zdolności radzenia sobie z głucholcami — zaczął. — Razem z kilkoma technologami prowadziliśmy tajne badania nad możliwością powielania tych umiejętności i przekazywania ich innym osobliwcom. Chodziło o uodpornienie ich na głucholce, wprowadzenie pewnego rodzaju szczepień. Gdybyśmy wszyscy mogli widzieć i wyczuwać potwory, przestałyby nam zagrażać i wygrana w wojnie z nimi mielibyśmy w kieszeni. Twój dziadek zdecydował się na wiele szlachetnych poświęceń, ale jedno z nich było wręcz olbrzymie: zgodził się wziąć udział w próbie.

Na twarzy Emmy malowało się napięcie. Z całą pewnością nigdy o tym nie słyszała.

— Pobraliśmy tylko odrobinę — ciągnął Bentham. — Tylko kawałek jego drugiej duszy. Sądziłem, że można poświęcić tę odrobinę albo że się odtworzy sama, tak jak krew po pobraniu.

— Odebrał mu pan duszę — odezwała się Emma słabym głosem.

Bentham rozsunął kciuk i palec wskazujący na odległość jednego centymetra.

— Tak mało — wyjaśnił. — Po podzieleniu próbki podaliśmy ją kilku osobom do przetestowania.

Efekt był zadowalający, lecz nietrwały, a w wyniku wielokrotnej aplikacji naturalne umiejętności badanych zaczęły zanikać. Eksperyment zakończył się porażką.



— A co z Abem? — spytała Emma. W jej głosie pobrzmiwała zawołowana groźba, zarezerwowana dla osób krzywdzących ludzi, których kochała. — Co jemu pan zrobił?

— Był osłabiony, a jego dar przygasł — westchnął Bentham. — Przed zabiegiem bardzo przypominał młodego Jacoba. Jego umiejętność kontrolowania głucholców przesądziła o wyniku wojny z upiorami. Po eksperymencie zorientował się jednak, że już nie ma władzy nad głucholcami, w dodatku ledwie je widział. Jak mnie poinformowano, niedługo później opuścił społeczeństwo osobliwców. Bał się, że narazi na niebezpieczeństwo swoich pobratymców, gdyż nie miał jak im pomagać i ich bronić.

Spojrzałem na Emmę. Z nieprzeniknioną miną wpatrywała się w podłogę.

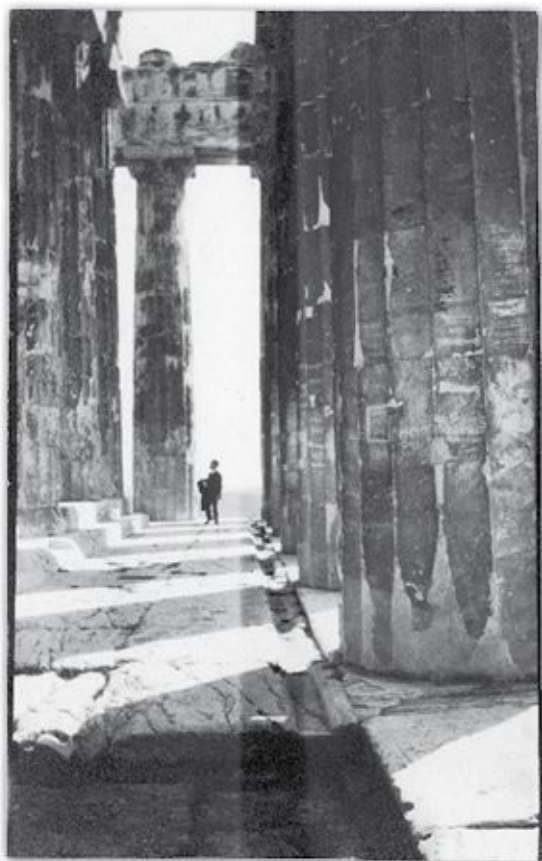


— Nieudany eksperyment to nic strasznego — dodał Bentham. — W taki sposób dokonuje się postęp w nauce. Nigdy jednak nie przestanę ubolewać nad tym, co się stało z twoim dziadkiem.

— Dlatego wyjechał — powiedziała Emma, unosząc głowę. — Z tego powodu wyjechał do Ameryki. — Popatrzyła na mnie. Nie wyglądała na rozzłoszczoną. Przeciwnie, na jej twarzy odmalowało się coś w rodzaju ulgi. — Wstydział się. Wyznał mi to kiedyś w liście, a ja nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego. Napisał, że się wstydzi i że nie czuje się osobliwcem.

— Odebrano mu dar — westchnąłem.

Teraz znałem odpowiedź na inne pytanie: jak to się stało, że głucholec pokonał mojego dziadka na jego własnym podwórzu? Dziadek nie był zniedołężniały, ani nawet szczególnie słabowity — po prostu od dawna właściwie nie miał jak bronić się przed głucholcami.



— Nie tego powinienes żałować — odezwał do Benthama Sharon, który z założonymi rękami stał w drzwiach. — Jeden człowiek nie miał szansy zwyciężyć w tamtej wojnie. Najbardziej bolesne jest to, co upiory uczyniły z twoimi osiągnięciami i wynalazkami. Stworzyłeś pierwowzór ambrozji.

— Staralem się spłacić dług — zauważył Bentham. — Przecież pomogłem ci, prawda? I tobie też, zgadza się? — Popatrzył na Sharona, a potem na Matkę Pył. Wyglądało na to, że kiedyś była uzależniona od ambrozji, podobnie jak Sharon. — Całymi latami pragnąłem go przeprosić — zwrócił się do mnie. — Chciałem wynagrodzić to twojemu dziadkowi, dlatego długo go szukałem. Liczyłem na to, że wróci i spotka się ze mną, a wówczas być może znajdę sposób na odtworzenie jego daru.

Emma zaśmiała się z goryczą.

— Po tym, co mu pan zrobił, miał wrócić po więcej?

— Nie uważałem tego za prawdopodobne, ale nie traciłem nadziei — odparł Bentham. — Na szczęście odkupienie objawia się pod wieloma postaciami. W tym wypadku w osobie wnuka.

— Nie jestem tu po to, żeby ratować pana przed wyrzutami sumienia — burknąłem.

— Tak czy owak, pozostaję twoim dłużnikiem. Jeśli mogę cokolwiek zrobić, powiedz.

— Chciałbym tylko, żeby pomógł nam pan uwolnić przyjaciół i pana siostrę.

— Z przyjemnością — odparł, wyraźnie zadowolony, że nie poprosiłem o nic więcej ani że na niego nie nawrzeszczałem. Właściwie nadal byłem gotów to zrobić — kręciło mi się w głowie i nie mogłem zdecydować, co dalej. — A jeśli chodzi o to, co teraz...

— Mogę zamienić słowo sam na sam z Jacobem? — przerwała mu Emma.

Wyszliśmy za drzwi, żeby porozmawiać na osobności. Straciłem głucholca z oczu, ale nie oddalałem się od niego.

— Powinniśmy sporządzić listę wszystkich okropności, za które odpowiada ten człowiek — zasugerowała Emma.

— Dobrze — zgodziłem się. — Po pierwsze, stworzył głucholce. Co prawda niechący...

— Ale zawsze. Poza tym wyprodukował ambrozię i odebrał Abe'owi moc, a w każdym razie jej większość.

Chciałem powtórzyć, że i to zrobił niechący, jednak intencje Benthama nie miały znaczenia. Było oczywiste, do czego zmierza Emma. Biorąc wszystko pod uwagę, powinniśmy się dobrze zastanowić, zanim powierzmy Benthamowi los przyjaciół i nas samych. Naszemu gospodarzowi może i nie brakowało dobrych chęci, ale konsekwencje jego pomysłów były fatalne.

— Czy możemy mu zaufać? — spytała Emma.

— A czy mamy wybór?

— Nie o to pytałam.

Zastanowiłem się.

— Chyba możemy — odparłem. — Liczę na to, że już zużył cały zapas swojego pecha.

* * *

— CHODŹCIE SZYBKO! BUDZI SIĘ!

Krzyki dobiegały z kuchni. Oboje wbiegliśmy do środka, gdzie wszyscy zbili się w kącie, przerażeni aktywnością otepiałego głucholca. Próbował usiąść, ale udało mu się jedynie oprzeć tułów o krawędź zlewu. Tylko ja widziałem otwartą paszczę głucholca i jego jęzory wywalone bezwładnie na podłogę.

„Zamknij pysk” — rozkazałem po głucholsku, a potwór wciągnął ozory, siorbiąc tak, jakby wsysał spaghetti.

„Siad”.

Głucholec nie miał siły usiąść, więc chwyciłem go za ramiona i wyprostowałem. Zdrowiał w imponującym tempie i już po kilku minutach był na tyle sprawny, że udało mi się skłonić go do wyjścia ze zlewu. Wkrótce poruszał się o własnych siłach i już nie kulał. Jediną pozostałością po ranie na jego szyi była ledwie widoczna biała blizna, podobna do tych, które szybko znikają mi z twarzy. Gdy opisałem kondycję głucholca, Bentham nawet nie próbował ukrywać złości na Matkę Pył za to, że tak gruntownie wyleczyła potwora.

— Co na to poradzę, że mój pył ma silne działanie? — spytała Matka Pył za pośrednictwem Reynalda.

Zmęczeni oboje poszli spać. Emma i ja również padaliśmy z nóg — powoli świtało, a my nie zmrużyliśmy oka — ale nasze postępy dawały nam nadzieję, więc złapaliśmy wiatr w żagle.

Bentham spojrział na nas błyszczącymi oczami.

— Oto moment prawdy, przyjaciele — oznajmił. — Sprawdzimy, czy moją staruszkę uda się wprowadzić w ruch?

Chodziło mu o machinę, a odpowiedź była oczywista.

— Nie mamy chwili do stracenia — odparła Emma.

Bentham przywołał niedźwiedzia, a ja zmobilizowałem swojego głucholca. PT wkrótce stanął na progu, wziął Benthama na łapy i razem poprowadzili nas przez dom. Przyszło mi do głowy, że przypadkowy obserwator mocno by się zdumiał, gdyby nas zobaczył. Wytworny dżentelmen podróżował w ramionach niedźwiedzia, za nim szedł Sharon w wydętym czarnym płaszczu, potem Emma, ziewając i zasłaniając usta dymiącą dłonią, a na końcu snułem się ja, przeciętny chłopak, mamroczący polecenia do wypapranego białą farbą głucholca, który nawet w pełni zdrowia powłóczył nogami, gdyż jego kości nie całkiem pasowały do ciała.

Pokonywaliśmy korytarze i schody, zmierzając coraz niżej, do trzewi budynku. Mijaliśmy pomieszczenia wypełnione szczękającymi urządzeniami, każde następne mniejsze od poprzedniego, aż wreszcie naszym oczom ukazały się nieduże drzwi, w których niedźwiedź nie miał szansy się zmieścić. Zatrzymaliśmy się, a PT postawił swojego pana.

— Oto ono. — Bentham promieniał jak dumny ojciec. — Serce mojego pantransportikum.

Otworzył drzwi i wszyscy poza PT weszliśmy do środka.

Małe pomieszczenie było zdominowane przez imponującą maszynę z żelaza i stali. Jej wnętrzości rozciągały się od jednej ściany do drugiej, tworząc skomplikowaną, lśniąca od oliwy konstrukcję z kołami zamachowymi, tłokami i zaworami. Wyglądało na to, że mechanizm będzie pracował niewiarygodnie hałaśliwie, ale póki co był nieruchomy i milczący. Między dwoma gigantycznymi kołami zębatymi stał wysmarowany mechanik, zaciskając coś kluczem francuskim.

— To mój asystent, Kim — wyjaśnił Bentham.

Rozpoznałem tego człowieka. To on wygonił mnie i Emmę z pokoju syberyjskiego.

— Mam na imię Jacob — przedstawiłem się. — Wczoraj zaskoczyliśmy pana w śniegu.

— Co pan tam robił? — zainteresowała się Emma.

— Marzłem na kość — burknął mechanik i ponownie skupił się na pracy.

— Kim pomaga mi w poszukiwaniach drogi do pantransportikum mojego brata — wyjaśnił Bentham.

— Gdyby przejście znajdowało się w pokoju syberyjskim, to zapewne na dnie głębokiej szczeliny. Kim na pewno się ucieszy, jeśli wasz głucholec uruchomi połączenia z innych pokoi, w których drzwi znajdują się w łatwiej dostępnych miejscach.

Kim odchrząknął i spojrział na nas z powątpiewaniem. Zastanawiałem się, od ilu lat walczy z odmrożeniami i przeczesuje rozpadliny w lodzie.

Bentham zabrał się do roboty. Wydał parę zwięzłych poleceń asystentowi, który obrócił kilka pokręteł i przełożył długą dźwignię. Maszyna zasyczała, parsknęła, a jej tryby drgnęły.



— Przeprowadź stwora — zażądał półgłosem Bentham.

Zawołałem głucholca, który czekał za drzwiami. Powłócząc nogami, minął próg i zawarczał posepnie, jakby przeczuwał, że spotka go coś złego.

Asystent upuścił klucz, ale zaraz go podniósł.

— Oto komora energetyczna — wyjaśnił Bentham, kierując naszą uwagę na dużą skrzynię w kącie.

— Musisz nakierować stwora do wewnątrz, tam go unieruchomimy.

Komora przypominała ślepią budkę telefoniczną z żeliwa. Z jej szczytu wyłaniały się liczne rurki podłączone do rur pod sufitem. Bentham sięgnął do klamki w ciężkich drzwiach komory, które zazgrzytały podczas otwierania. Zajrzałem do środka. Ze względu na ściany z gładkiego szarego metalu z małymi otworami wewnątrz komory przypominało piekarnik. W głębi dostrzegłem zestaw grubych skórzanych pasów.

— Będzie go bolało? — odezwałem się.

Zaskoczyłem tym pytaniem nie tylko siebie, ale i Benthama.

— A jakie to ma znaczenie? — Popatrzył na mnie.

— Wolałbym, żeby go nie bolało, jeśli mamy możliwość wyboru.

— Nie mamy — odparł. — Ale nie będzie cierpieł. Zanim przystąpimy do pracy, komora wypełni się gazem usypiającym.

— A co potem? — chciałem wiedzieć.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

— To bardzo techniczne zagadnienie. Powiem tylko, że twój stwór wyjdzie z komory żywy, mniej więcej w takim stanie, w jakim do niej wszedł. A teraz zechciej łaskawie wprowadzić go do środka.

Nie byłem pewien, czy mu wierzę ani czy to ma dla mnie znaczenie. Głucholce zmieniły nam życie w piekło, a do tego wydawały się całkowicie pozbawione uczuć. Zadawanie bólu takim istotom powinno być przyjemnością, ale nie było. Nie chciałem zabijać tego głucholca, tak jak nie chciałbym mordować dzikich zwierząt. W ostatnim czasie zbliżyłem się do niego na tyle, by rozumieć, że nie jest jedną wielką pustką. Dostrzegłem iskierkę, maleńki okruch duszy. Ten głucholec nie był całkowicie pozbawiony uczuć. Coś się w nim tliło.

„Chodź” — powiedziałem. Głucholec, który wcześniej zaszył się w kącie, ominął Benthama i stanął przed komorą.

„Do środka”.

Wyczułem jego wahanie. Był już zdrowy i silny. Gdybym choć na chwilę stracił nad nim panowanie, na pewno skorzystałby z okazji. Miałem jednak więcej mocy niż on, więc w potyczce na siłę woli nie mógł liczyć na wygraną. Zapewne zawahał się tylko dlatego, że zauważył moją niepewność.

„Przepraszam” — zwróciłem się do niego.

Nawet nie drgnął. Nie wiedział, jak zareagować, gdyż nie znał pojęcia skruchy. Przeprosiłem go, bo tego potrzebowałem.

„Do środka” — powtórzyłem. Tym razem posłuchał i wszedł do komory. Ponieważ nikt za nic nie tknąłby stwora, Bentham wyjaśnił mi, co mam robić. Posłusznie popchnąłem głucholca na tylną ścianę i zacisnąłem skórzane pasy na jego nogach, rękach oraz klatce piersiowej, po czym starannie je zapiąłem. Nie ulegało wątpliwości, że służyły do unieruchamiania człowieka, ale w tej chwili nie chciałem poznać odpowiedzi na nasuwające mi się pytania. Liczyło się tylko to, żeby doprowadzić plan do końca.

Wyszedłem z komory, czując, jak dławi mnie narastająca panika, choć spędziłem w środku zaledwie kilka chwil.

— Zamknij drzwi — polecił mi Bentham.

Zawahałem się, więc asystent podszedł, żeby mnie wyręczyć, ale stanąłem mu na drodze.

— To mój głucholec — powiedziałem. — Sam to zrobię.

Stanąłem w rozkroku, chwyciłem klamkę i choć próbowałem się powstrzymać, popatrzyłem w wielkie czarne oczy głucholca. Były szeroko otwarte i pełne strachu. Zupełnie nie pasowały do ciała, skulonego i pomarszczonego jak garść suszonych fig. Nadal był i miał pozostać odrażającym potworem, ale wyglądał tak żałośnie, że nie wiadomo dlaczego poczułem się okropnie, jakbym musiał uspić psa, który nie rozumiał, za co go ukarano.

„Wszystkie głucholce powinny zdechnąć” — powiedziałem sobie. Miałem słuszość, rzecz jasna, ale nie poczułem się dzięki temu ani trochę lepiej.

Głośno zatrzęsąłem drzwiami. Asystent Benthama zablokował uchwyty gigantyczną kłódką, a potem

wrócił do urządzeń kontrolnych maszyny i skupił się na manipulowaniu pokrętłami.

— Postąpiłeś słusznie — wyszeptała mi do ucha Emma.

Koła zębate zaczęły się obracać, tłoki pompować, a maszyna zadudniła w rytmie, w którym po chwili trzęsło się już całe pomieszczenie. Bentham klasnął i uśmiechnął się szeroko, zachwycony jak dziecko. Wtedy z komory wydobył się rozzwierający wrzask, niepodobny do niczego, co wcześniej słyszałem.

— Miało go nie boleć! — ryknąłem do Benthama.

Odwrócił się do asystenta.

— Gaz! — krzyknął. — Zapomniałeś o znieczuleniu!

Asystent nerwowo przełożył inną dźwignię i usłyszeliśmy donośny syk sprężonego powietrza. Ze szczeliny w drzwiach komory wypłynęła smużka białego dymu, a wrzaski głucholca stopniowo ucichły.

— No i już — odetchnął Bentham. — Teraz nic nie czuje.

Przez chwilę żałowałem, że to nie Bentham tkwi w komorze. Pozostałe elementy maszyny ożyły. Usłyszeliśmy chlupot płynu pompowanego przez rury nad naszymi głowami, a kilka małych zaworów pod sufitem zadźwięczało jak dzwonki. Czarna substancja zaczęła skapywać do wnętrza mechanizmu. Nie była to oliwa, lecz coś ciemniejszego, o bardziej gryzącej woni — głucholce wytwarzały ten płyn niemal nieustannie, widziałem, jak sączył się im z oczu i ściekał po zębach. Tak wyglądała krew potworów.

Miałem już dość tego widowiska. Walcząc z mdłościami, opuściłem pomieszczenie, a Emma podążyła za mną.

— Dobrze się czujesz?

Nie mogłem oczekiwać, że zrozumie moją reakcję, gdyż sam ledwie ją rozumiałem.

— Zaraz mi przejdzie. Masz rację, postąpiłem słusznie.

— To jedyne wyjście. Jesteśmy o krok od sukcesu.

Kuśtykając, Bentham wyszedł z pokoju.

— PT, na górę! — zakomenderował i sam się wdrapał na podsunięte łapy niedźwiedzia.

— Działa? — zapytała Emma.

— Zaraz się przekonamy — powiedział.

Mój głucholec tkwił w zamkniętej na kłódkę żeliwnej komorze, spętany i uspiiony, więc mogłem go zostawić bez większego ryzyka. Mimo to zwlekałem z odejściem od drzwi.

„Śpij” — powiedziałem. „Śpij i się nie budź, dopóki to nie dobiegnie końca”.

Przeszedłem przez pomieszczenia z maszynami i po schodach w górę. Wkrótce dotarliśmy do długiego, wyłożonego dywanem korytarza pełnego egzotycznie nazwanych pokojów. Ściany buczały od energii, a cały dom wydawał się żywy.

PT postawił właściciela na dywanie.

— Oto chwila prawdy! — obwieścił Bentham.

Podszedł do najbliższych drzwi i energicznie je otworzył.

Korytarz wypełnił się wilgotnym wiatrem, a ja zajrzałem za próg. Widok, który ukazał się moim

oczom, przypawił mnie o gęsią skórkę. Znajdowałem się przed portalem do innego czasu i miejsca. Skromnie umeblowane pomieszczenie z łóżkiem, szafą oraz stolikiem było przyprószone piaskiem, a za brakującą ścianą z tyłu rozciągała się plaża obramowana linią palm.

— Widzicie tutaj Rarotongę w roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym drugim! — oświadczył z dumą Bentham. — Witaj, Sammy! Szmata czasu!

Nieopodal kucał drobnej budowy mężczyzna, zajęty sprawianiem ryby. Popatrzył na nas z lekkim zaskoczeniem, a następnie pomachał nam rybą.

— Szmata czasu — zgodził się.

— Więc działa? — zwróciła się Emma do Benthama. — Tego pan chciał?

— Tego chciałem i o tym marzyłem... — odparł Bentham ze śmiechem i pospiesznie podszedł do następnych drzwi. Za nimi rozpościerał się głęboki, porośnięty drzewami kanion, którego brzegi były połączone wąskim wiszącym mostem. — Brytyjska Kolumbia w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku! — zapał z zachwytem.

Niemal tanecznym krokiem pokuśtykał do kolejnych drzwi, za którymi zobaczyłem ciężkie kamienne kolumny i pokryte pyłem ruiny starożytnego miasta.

— Palmyra! — wykrzyknął, uderzając otwartą dłonią w ścianę. — Hura! To cholerstwo działa!

* * *

Bentham z trudem nad sobą panował.

— Moje ukochane pantransportikum! — zawołał, rozkładając szeroko ręce. — Tak bardzo za tobą tęskniłem!

— Gratuluję — odezwał się Sharon. — Cieszę się, że mogę być świadkiem tak szczęśliwego zdarzenia.

Entuzjazm Benthama udzielał się wszystkim. Jego machina budziła podziw — jeden korytarz skrywał prawdziwy wszechświat. Rozglądając się, dostrzegałem oznaki bliskości innych krain. Za jednymi drzwiami wył wiatr, spod drugich wysypywały się ziarenka piasku. W innym czasie i w innych okolicznościach biegałbym od drzwi do drzwi i otwierał je na oścież, ale w tej chwili zależało mi na dostępie tylko do jednych.

— Które prowadzą do twierdzy upiorów? — zapytałem.

— No tak, pora brać się do roboty — zreflektował się Bentham. — Przepraszam, trochę mnie poniosło. Całe życie poświęciłem machinie i cieszę się, że znowu widzę ją na chodzie. — Oparł się o ścianę, nagle wyczerpany. — Przerzucenie was do fortecy nie powinno nastęrczać trudności. Za tymi drzwiami jest co najmniej sześć skrzyżowań. Pytanie brzmi, co zrobicie, gdy już dotrzecie na miejsce?

— To zależy — odparła Emma. — A co tam zastaniemy?

— Minęło sporo czasu, odkąd byłem w środku, dlatego moje informacje mogły się zdezaktualizować

— powiedział Bentham. — Pantransportikum Jacka różni się od tego tutaj — skonstruował je pionowo, w wysokiej wieży. Więźniowie są gdzie indziej, zamknięci w pojedynczych celach i starannie pilnowani.

— Strażnicy będą naszym najpoważniejszym problemem — zauważyłem.

— Może pomogę wam się z nimi uporać — oświadczył Sharon.

— Idzie pan z nami? — zdziwiła się Emma.

— W żadnym razie! Chciałbym jednak pomóc sprawie... przy minimalnym ryzyku, rzecz jasna.

Wywołałam niepokoje za murami twierdzy, żeby ściągnąć na siebie uwagę strażników. Dzięki temu łatwiej wam będzie myszkować.

— Jakie niepokoje? — zainteresowałem się.

— Takie, które upiory lubią najmniej: społeczne. Zachęcę nierobów z ulicy Dymnej do obrzucania murów paskudnymi, płonącymi przedmiotami, żeby wywabić wszystkich strażników i skłonić ich do pościgu.

— Dlaczego te obiboki miałyby nam pomagać? — spytała Emma.

— Ponieważ wiem, skąd wziąć dużo więcej tego. — Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej fiolkę ambrozji, którą wcześniej podebrał Emmie. — Wystarczy obiecać im dostatecznie dużo ambro, a zrobią niemal wszystko.

— Zechciej to schować! — warknął Bentham. — Wiesz, że nie toleruję tego w moim domu.

Sharon przeprosił i ukrył fiolkę w płaszczu, a Bentham popatrzył na zegarek.

— Minęło wpół do piątej rano — powiedział. — Sharon, jak sądzę, twoi pomocnicy od wzniecania niepokojów społecznych jeszcze śpią. Czy zdołasz postawić ich na nogi i zmobilizować przed szóstą?

— Jak najbardziej — odparł Sharon.

— Więc się tym zajmij.



— Służę z przyjemnością. — Zaszleściwszy peleryną, odwrócił się i pospiesznie odmaszerował.

— Pozostało nam półtorej godziny na przygotowania — orzekł Bentham, choć nie było oczywiste, o jakiego rodzaju przygotowania mu chodzi. — Wszystko, co mam, jest do waszej dyspozycji.

— Zastanawiam się, co takiego mogłoby nam się przydać? — spytała Emma.

— Ma pan broń palną? — zapytałem.

Bentham pokręcił głową.

— PT mnie strzeże — odparł. — Nie potrzebuję dodatkowej ochrony.

— A materiały wybuchowe? — drążyła Emma.

— Obawiam się, że nie.

— Pewnie nie ma pan armagedońskich kur? — Nie do końca żartowałem.

— Jedną, wśród innych eksponatów.

Wyobraziłem sobie, jak rzucam wypchaną kurą w wymachującego pistoletem upióra. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać.



— Chyba trochę się pogubiłem — mruknął Bentham. — Po co wam broń palna i materiały wybuchowe, skoro Jacob umie poskromić głucholce? W twierdzy jest ich mnóstwo. Zapanuj nad nimi i zwycięstwo mamy w kieszeni.

— To nie takie proste — westchnąłem znużony wyjaśnieniem. — Potrzeba dużo czasu, żeby przejąć kontrolę choćby nad jednym...

„Dziadek mógł to zrobić” — chciałem powiedzieć. „Zanim go pan załatwił”.

— No cóż, to twoja sprawa. — Bentham wyczuł, że nadepnął mi na odcisk. — Jakkolwiek to zrobicie, ymbrynki muszą być waszym priorytetem. Sprowadźcie je w pierwszej kolejności, jak najwięcej, poczynając od mojej siostry. Są najcenniejsze i dlatego im grozi największe niebezpieczeństwo.

— Zgadzam się — powiedziała Emma. — Najpierw ymbrynki, potem nasi przyjaciele.

— I co dalej? — zapytałem. — Kiedy się wyda, że uwalniamy naszych osobliwców, upiory ruszą za nami w pościg. Dokąd się wtedy udamy?

Sytuacja przypominała napad na bank — zdobycie pieniędzy było tylko połowicznym sukcesem. Potem należało z nimi uciec.

— Możecie się udać, dokąd tylko chcecie. — Bentham wskazał dłonią korytarz. — Wybierzcie sobie dowolne drzwi, dowolną pętlę. Tylko na tym korytarzu macie osiemdziesiąt siedem potencjalnych dróg ucieczki.

— To prawda — przyznała Emma. — Pościg nigdy nas nie dopadnie.

— Upiory na pewno znajdą sposób — zauważyłem. — To je tylko spowolni.

Bentham uniósł palec, żeby mi przerwać.

— I właśnie dlatego zastawię na nie pułapkę i spróbuję zaaranżować wszystko tak, aby myślały, że ukryliśmy się w pokoju syberyjskim. PT ma tam liczną dalszą rodzinę. Niedźwiedzie zaczają się tuż za drzwiami, gotowe na wszystko i wygłodniałe.

— A jeśli niedźwiedzie nie rozprawią się z pościgiem? — spytała Emma.

— Wówczas my będziemy musieli to zrobić — wyjaśnił Bentham.

— I mucha nie siada — burknęła.



Z przesyconego sarkazmem tonu Emmy nietrudno było wywnioskować, co miała na myśli. Chciała powiedzieć: „Pańska nonszalancka postawa świadczy o szaleństwie”. Bentham mówił tak, jakby całe to przedsięwzięcie nie było bardziej skomplikowane od wyjścia na zakupy. Wystarczy się wdrzeć do środka, uratować wszystkich uwięzionych, ukryć się, wykończyć tych złych i tyle. To rzeczywiście było szaleństwo.

— Ale ma pan świadomość, że jesteśmy tylko ludźmi? — odezwałem się. — Jesteśmy dwójką dzieciaków.

— Właśnie o to chodzi. — Bentham z miną mędrca pokiwał głową. — To wasz atut. Jeśli upiory spodziewają się oporu, to raczej armii u bram, a nie dwójki dzieciaków w sercu twierdzy.

Jego optymizm powoli udzielał się i mnie. Pomyślałem, że może naprawdę nam się uda.

— Halo, halo!

Odwróciliśmy się do Nima, który biegł w naszym kierunku.

— Ptak do pana Jacoba! — wydyszał. — Ptak pocztowy... do pana Jacoba... posłaniec z wiadomością... właśnie wylądował... czeka na dole!

Gdy tylko do nas dotarł, zgiął się wpół i zaniósł kaszlem.

— Z jaką wiadomością? — zdumiałem się. — Przecież nikt nie wie, że tu jestem.

— Lepiej się dowiedzmy — zdecydował Bentham. — Nim, prowadź.

Nim osunął się bezwładnie na podłogę.

— Wielkie nieba — westchnął Bentham. — Trzeba będzie ci załatwić osobistego trenera, Nim. PT, przenieś biedaka!

* * *

Posłaniec, który oczekiwał w holu na parterze, okazał się dużą, zieloną papugą. Zaledwie kilka minut wcześniej wleciała do domu przez otwarte okno, skrzecząc moje imię. Wtedy Nim ją złapał i wsadził do klatki.

Papuga nadal wołała mnie po imieniu.

— Jaaa-cob! Jaaa-cob! — powtarzała głosem skrzypiącym jak zardzewiały zawias.

— Ptak chce mówić tylko z panem Jacobem — wyjaśnił Nim, ciągnąc mnie w kierunku klatki.

— Durne ptaszysko, tu jest pan Jacob! Przekaż mu wiadomość!

— Witaj, Jacobie — powiedziała papuga. — Mówi pani Peregrine.

— Co takiego? — zdębiałem. — Jest teraz papuga?

— Nie — zaprzeczyła Emma. — To wiadomość od pani Peregrine. Mów, papugo, co masz przekazać.

— Jestem cała i zdrowa w wieży mojego brata — oświadczył ptak, przemawiając dziwnie ludzkim głosem. — Reszta też tu jest: Millard, Olive, Horace, Bruntley, Enoch i pozostali.

Emma i ja popatrzyliśmy po sobie. Bruntley?

Ptak kontynuował niczym żywa automatyczna sekretarka.

— Pies panny Wren powiedział mi, gdzie mogę znaleźć pana i pannę Bloom. Pragnę wyperswadować wam podejmowanie jakichkolwiek prób przybycia nam z pomocą. Nic nam tutaj nie grozi i nie ma potrzeby, żebyście ryzykowali życie, niemądrze sobie poczynając. Mój brat postanowił złożyć wam propozycję: oddajcie się w ręce jego strażników na moście przy ulicy Dymnej, a włos wam z głowy nie spadnie. Nalegam, żebyście przyjęli tę ofertę. Nie macie innego wyjścia. Ponownie będziemy razem, a pod pieczę i ochroną mojego brata wszyscy staniemy się częścią nowej osobliwej społeczności.

Papuga gwizdnęła na znak, że wiadomość dobiegła końca.

Emma pokręciła głową.

— Pani Peregrine nie przesłałaby takiej wiadomości — powiedziała. — Chyba że zrobiliby jej pranie

mózgu.

— Poza tym nigdy nie używa tylko samego imienia albo nazwiska — dodałem. — Powiedziałyby: panna Bruntley.

— Powątpiewacie w autentyczność przekazu? — spytał Bentham.

— Nie wiem, co o tym myśleć — odparła Emma.

Bentham przysunął się do klatki.

— Potwierdź prawdziwość wiadomości! — zażądał.

Ptak milczał. Bentham ostrożnie powtórzył polecenie i nadstawił ucho, a potem nagle się wyprostował.

— O, do czarta...

Wtedy i ja to usłyszałem. Ptak tykał.

— BOMBA! — wrzasnęła Emma.

PT przewrócił klatkę, posyłając ją do kąta, objął nas i odwrócił się plecami do ptaka. Oślepiającemu błyskowi towarzyszył ogłuszający huk, ale nie poczułem bólu. Niedźwiedź wziął na siebie główną falę eksplozji. Nie licząc zmiany ciśnienia w uszach i podmuchu, który zwiął Benthamowi kapelusz, odczuliśmy jeszcze tylko silne, ale na szczęście krótkotrwałe uderzenie gorąca. Nic nam się nie stało.

Gdy chwiejnym krokiem opuszczaliśmy pokój, na podłogę opadały ptasie pióra i płatki oderwanej farby. Byliśmy w idealnym stanie, w przeciwieństwie do niedźwiedzia, który na czworakach pokazał nam grzbiet i zaskowytał. Miał zwęgloną skórę i spalone futro. Na ten widok Bentham zawył z wściekłości i przytulił zwierzę, obejmując je za szyję,

Nim pobiegł obudzić Matkę Pył.

— Wiesz, co to oznacza? — zwróciła się do mnie Emma.

Była rozdygotana i miała szeroko otwarte oczy. Z pewnością wyglądałem podobnie — cóż, tak prezentują się ludzie, którzy przeżyli atak bombowy.



— Jestem pewien, że to nie pani Peregrine przysłała tę papugę — odparłem.

— To oczywiste...

— I że Caul wie, gdzie jesteśmy.

— Nawet jeśli wcześniej nie miał o tym pojęcia, to teraz już się dowiedział. Pocztowe ptaki potrafią odnajdywać ludzi, nawet jeśli nadawca nie zna dokładnego adresu odbiorcy.

— To z całą pewnością oznacza, że złapał Addisona — powiedziałem, czując bolesny ucisk w sercu.

— Zgadza się, ale świadczy też o czymś jeszcze. Caul się nas boi. W przeciwnym razie nie zaprzętałyby sobie głowy zabijaniem jakiegoś dzieciaka.

— Niewykluczone — westchnąłem.

— Pewne. A skoro się nas boi... — Skierowała na mnie spojrzenie. — To znaczy, że ma się czego bać.

— Jack się nie boi — zaprzeczył Bentham, unosząc głowę znad fałdów na szyi PT. — Powinien czuć strach, ale nie czuje. Ta papuga nie miała cię zabić, Jacob, tylko unieszkodliwić. Wygląda na to, że mój brat potrzebuje cię żywego.

— Mnie? — zdumiałem się. — Do czego?

— Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód. Dotarły do niego wieści o tym, jak sobie radzisz z głucholcami, i to go utwierdziło w przekonaniu, że jesteś wyjątkowy.

— Wyjątkowy? Pod jakim względem?

— Przeczucie mi podpowiada, że jego zdaniem możesz być ostatnim kluczem do biblioteki dusz. Tym, który widzi ukryte w słojach dusze i wie, jak nimi zawładnąć.

— Tak jak powiedziała Matka Pył — szepnęła Emma.

— To jakieś szaleństwo — powiedziałem. — Czy to w ogóle możliwe?

— Grunt, że on w to wierzy — zauważył Bentham. — Zresztą ta sprawa i tak jest bez większego znaczenia. Wyruszyście w misję ratunkową zgodnie z planem, a gdy dotrzecie z powrotem, ukryjemy was, waszych przyjaciół i nasze ymbrynki jak najdalej od mojego brata, żeby nie mógł wprowadzić w życie swoich wariackich pomysłów. Musimy się jednak spieszyć: piechota Jacka podąży śladem wybuchowej papugi i dotrze do tego domu. Powinniście wyruszyć przed ich przybyciem. — Spojrzał na zegarek kieszonkowy. — No właśnie, dochodzi szósta.

Już mieliśmy iść, kiedy przybiegli Matka Pył i Reynaldo.

— Matka Pył pragnie wam coś ofiarować — oświadczył Reynaldo, a Matka Pył uniosła dłoń z małym zawiniątkiem.

Bentham zakomunikował im, że nie ma czasu na upominki, ale Reynaldo nie zamierzał ustąpić.

— Na wypadek, gdybyście wpadli w tarapaty — podkreślił i wcisnął zawiniątko w rękę Emmy. — Rozwiń.

Emma uniosła krawędź szorstkiego materiału. Mały przedmiot w środku wyglądał jak kawałek kredy, ale gdy Emma przesunęła go na dłoni, wszystko stało się jasne. Ujrzeliśmy dwa kłykcie i nieduży polakierowany paznokieć.

Dostaliśmy w prezencie mały ludzki palec.

— Nie trzeba było — wymamrotałem.

Reynaldo zorientował się, że nie rozumiemy.

— To palec Matki — wyjaśnił. — Możecie go rozkruszyć i wykorzystać wedle uznania.

Emma zrobiła wielkie oczy, a jej ramię lekko opadło, jakby palec w ciągu sekundy trzykrotnie zwiększył ciężar.

— Nie możemy przyjąć takiego daru — powiedziała. — Jest zbyt cenny.

Matka Pył uniosła zdrową rękę, która była mniejsza niż ostatnio, a w miejscu małego palca znajdował się zabandażowany kikut. Zacisnęła dłoń Emmy na podarunku i coś wybełkotała.

— Ty i on możecie być naszą ostatnią nadzieją — przetłumaczył Reynaldo. — Oddałabym wam całą rękę, gdybym mogła się bez niej obejść.

— Nie mam pojęcia, co powiedzieć — odparłem. — Dziękujemy.

— Używajcie palca z umiarem — zalecił Reynaldo. — Nawet mała ilość ma bardzo silne działanie. A to się wam przyda. — Z tylnej kieszeni wyjął dwie maski przeciwpylowe i zakołysał nimi w powietrzu. — W przeciwnym razie zaśniecie razem z wrogami.

Ponownie podziękowałem i przyjąłem maski. Matka Pył ukłoniła się nam, zamiatając podłogę imponującą spódnicą.

— A teraz naprawdę musimy już iść — ponaglił nas Bentham.

Zostawiliśmy PT w towarzystwie uzdrawiaczy oraz dwóch niedźwiadków, które przybiegły przytulić się do poturbowanego kolegi.

Po powrocie na korytarz z wejściami do pętli stanąłem tuż przy schodach. Zakręciło mi się w głowie na myśl, że osiemdziesiąt siedem światów ukrytych za dwoma rzędami drzwi znajduje się tuż na wyciągnięcie ręki. Wszystkie te nieskończoności zbiegały się tutaj, w jednym miejscu, niczym nerwy w pniu mózgu. Mieliśmy przekroczyć jeden z progów i być może pozostać za nim już na zawsze. Czułem, jak dawny Jacob toczy we mnie zmagania z nowym Jacobem, jak zgroza ściera się z entuzjazmem.

Bentham szedł o lasce i nie przestawał mówić. Wyjaśnił nam, do którego pokoju wejść, gdzie znaleźć drzwi prowadzące do pętli po stronie Caula i jak się przedostać z powrotem do pantransportikum wewnątrz twierdzy. Wszystko to wydawało się bardzo skomplikowane, ale zapewnił nas, że droga jest krótka i oznakowana. Aby mieć absolutną pewność, że nie zabłądzimy, postanowił wysłać z nami asystenta w charakterze przewodnika. Asystent musiał się oderwać od trybów maszyny i teraz czekał ponury oraz milczący, aż skończymy się żegnać.

Uścisnęliśmy Benthamowi dłoń.

— Do zobaczenia, powodzenia i dziękuję — powiedział.

— Jeszcze za wcześnie na podziękowania — odparła Emma.

Asystent otworzył jedno z drzwi i stanął przy nich, spoglądając na nas wyczekująco.

— Wróćcie z moją siostrą — dodał Bentham. — A kiedy znajdziecie tych, którzy ją więżą... — Uniósł dłoń i zacisnął pięść tak mocno, że zatrzeszczała skórzana rękawiczka. — Nie litujcie się nad nimi.

— Nie zamierzamy — powiedziałem i przekroczyliśmy próg.



ROZDZIAŁ SIÓDMY



Asystent Benthama wprowadził nas do pokoju. Minęliśmy niewyróżniające się niczym meble i wyszliśmy przez otwór znajdujący się w miejscu ściany w głębi na zielony las. Była późna jesień albo wczesna wiosna, panował chłód, a w powietrzu unosiła się woń palonego drewna. Gdy szliśmy mocno wydeptaną ścieżką, oprócz odgłosów naszych kroków słyszeć było jeszcze tylko śpiew ptaka i cichy, lecz narastający ryk wodospadu. Asystent niewiele mówił, jednak jego milczenie nam nie przeszkadzało. Oboje za bardzo skupiliśmy się na walce z dokuczliwym napięciem, żeby podtrzymać grzecznościową pogawędkę.

Za drzewami ścieżka przeszła w szlak, który biegł u podnóża szarego, górskiego zbocza, w otoczeniu skał tu i tam pokrytych płatami śniegu. Rosnące w oddali sosny przypominały rzędy kolczastych zarośli. Truchtaliśmy w umiarkowanym tempie, żeby przedwcześnie nie opaść z sił. Po kilku minutach minęliśmy zakręt i naszym oczom ukazał się grzmiący wodospad.

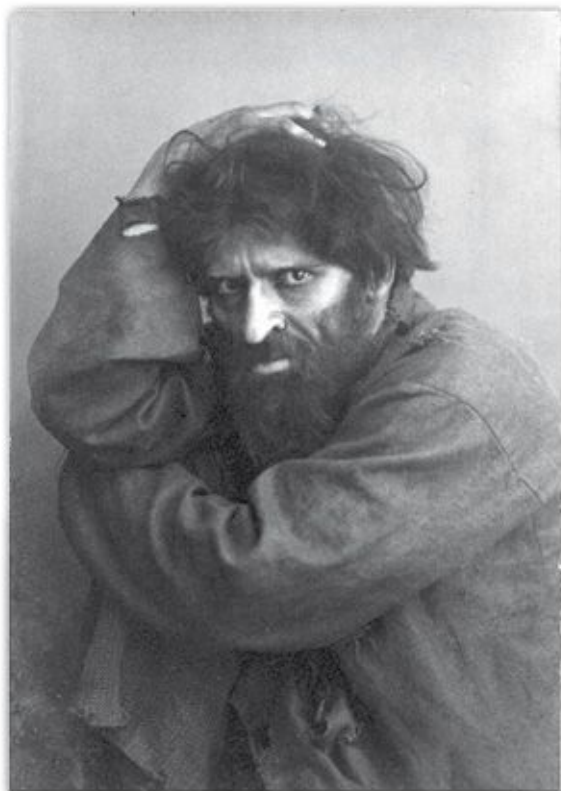
Przy ścieżce dostrzegliśmy jeden ze znaków zapowiedzianych przez Benthama, z napisem TĘDY.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Emma.

— W Argentynie — odparł asystent.

Podążyliśmy w kierunku wyznaczonym przez znak. Coraz trudniej było nam iść ze względu na gęstniejące drzewa i krzewy. Mimo to brnęliśmy naprzód, rozgarniając jeżyny, a huk wodospadu stopniowo cichł za naszymi plecami. Ścieżka kończyła się małym strumykiem i dalej szliśmy jego brzegiem. Kilkaset metrów dalej woda wpływała do niskiej szczeliny w zboczu, ukrytej za paprociami i mchem.

Asystent ukląkł nad potokiem, rozchylił zieloną zasłonę i zamarł.



— Co jest? — wyszeptałem.

Wyciągnął zza paska pistolet i trzy razy strzelił do otworu. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a potem jakaś martwa istota wytoczyła się ze szczeliny do strumyka.

— Co to takiego? — spytałem, wpatrując się w stwora.

Był pokryty futrem i miał potężne pazury.

— Bo ja wiem — mruknął asystent. — Ale to coś na ciebie czekało.

Istota nie przypominała żadnego znanego mi zwierzęcia. Miała guzowate ciało, ostre zęby i wielkie, wylupiaсте oczyska, które również wydawały się porośnięte futrem. Zastanawiałem się, czy Caul umieścił to zwierzę w jaskini. Może przewidział plan brata i zastawił pułapki we wszystkich skrótach do swojego pantransportikum.

Zwłoki spłynęły z biegiem strumienia.

— Bentham powiedział, że nie ma broni palnej — zauważyła Emma.

— Bo nie ma — odparł asystent. — To mój pistolet.

Emma popatrzyła na niego wyczekująco.

— Jasne — powiedziała. — A możemy go pożyczyć?

— Nie — burknął, schował broń i wskazał palcem jamę. — Idźcie tędy, jakbyście wracali do miejsca, z którego wyruszyliśmy. Tam będą upiory.

— A co pan zrobi?

— Zaczekam tutaj — odparł i usiadł w śniegu.

Popatrzyłem na Emmę, a ona na mnie. Oboje staraliśmy się nadrabiać miną, ale czuliśmy się bezbronni.

Pozostało nam tylko przygotować się w duchu na to, co mogło nas spotkać.

Zsunąłem się do strumienia i pomogłem Emmie wejść do lodowatej wody. Pochyliwszy się nad otworem wlotowym do jaskini, dostrzegłem jasny punkt na jej drugim końcu. Czekala nas kolejna przemiana — mieliśmy przejść przez mrok do światłości, doświadczyć pseudonarodzin.

Wyglądało na to, że w jamie nie czają się już żadne zębate stwory, więc zanurzyłem się w wodzie. Potok opływał mi nogi i biodra, a w lodowatej wodzie traciłem dech. Usłyszałem, jak za moimi plecami Emma cicho jęknęła. Nie tracąc czasu, oparłem dłoń o skałę i wśliznąłem się do szczeliny.

W kontakcie z zimnym, wartkim nurtem człowiek czuje się tak, jakby ktoś przesywał mu ciało szpilkami. Ponieważ jednak ból działa mobilizująco, a ten rodzaj bólu motywuje szczególnie, szybko precisnąłem się przez kamienny tunel po śliskich, ostrych skałach i pod niskimi nawisami, krztusząc się, gdy woda zalewała mi twarz. Wkrótce dotarłem na drugą stronę przejścia i odwróciłem się, żeby pomóc Emmie.

Wyskoczyliśmy z lodowatego strumienia, rozglądając się dookoła. Miejsce niczym się nie różniło od tego po drugiej stronie jaskini, tyle tylko, że nie było tu asystenta ani śladów butów, a na śniegu nie leżały łuski po nabojach. Odniosłem wrażenie, że przeszliśmy na drugą stronę lustra, do odbitego świata, w którym brakowało kilku szczegółów.

— Jesteś całkiem siny — powiedziała Emma i mnie przytuliła.

Jej ciepło wniknęło do mojego ciała, przywracając czucie odrętwiałym kończynom.

Wróciliśmy taką samą drogą jak po drugiej stronie granicy. Przedarliśmy się przez jeżyny i ruszyliśmy po wzgórzu, obok wodospadu. Krajobraz był identyczny z wyjątkiem znaku TĘDY, ustawionego dla nas przez Benthama. Pętla nie należała do niego, więc tu brakowało oznakowań.

Wkrótce ponownie dotarliśmy do lasku. Biegając od drzewa do drzewa, chowaliśmy się za pniami, aż w końcu naszym oczom ukazał się pokój na końcu ścieżki, obramowany i ukryty za dwiema krzyżującymi się jodłami. To pomieszczenie różniło się jednak od pokoju w domu Benthama. Prezentowało się spartańsko — nie było w nim żadnych mebli ani tapety w maki, a zarówno podłogę, jak i ściany wykonano z gładkiego betonu. Kiedy weszliśmy do środka, po omacku wodziłem dłońmi po ścianach, aż w końcu natrafiłem na małe zagłębienie z klamką.

Przycisnęliśmy uszy do drzwi, nasłuchując głosów albo kroków. W oddali słychać było tylko przygłuszone echo.

Powoli, ostrożnie uchyliłem drzwi i wysunąłem głowę z pokoju, żeby się rozejrzeć. Moim oczom ukazał się szeroki, kręty korytarz wyłożony kamieniem, nieskazitelnie czysty i oślepiająco jasny. W jego gładkich ścianach szczyrzyły się niczym zęby dziesiątki wysokich, czarnych i ponurych drzwi. Było ich tak dużo, że znikwały za zakrętem.

Znaleźliśmy się na miejscu, w wieży upiorów. Udało się nam wedrzeć do jaskini lwa.

Usłyszałem stukot zbliżających się kroków i szybko cofnąłem głowę. Nie było czasu na zamknięcie drzwi.

Przez szczelinę dostrzegłem błysk bieli. Szybkim krokiem szedł ku nam mężczyzna w kitlu, z głową opuszczoną nad kartką, którą trzymał w dłoni. Nie zauważył mnie.

Poczekaliśmy, aż jego kroki ucichną, po czym wyśliznąłem się na korytarz. Emma wyszła za mną i zamknęła drzwi.

Nie byłem pewien, czy mamy iść w lewo, czy w prawo. Gdybyśmy skręcili w lewo, korytarz zaprowadziłby nas na górę. Droga w prawo prowadziła na dół. Od Benthama wiedzieliśmy, że znajdujemy się w wieży Caula, ale więźniowie przebywali gdzie indziej. Należało więc opuścić wieżę — skręcić w prawo i iść w dół.

Ruszyliśmy spiralnym korytarzem w prawo, przywierając do wewnętrznej ściany. Ciszę zakłócało tylko piszczenie moich gumowych podeszew. Przedtem nie zwracałem uwagi na ten dźwięk, ale teraz, w dzwoniącej w uszach ciszy korytarza o nagich ścianach każdy krok przyprawiał mnie o dreszcz.

Nagle Emma zamarła i przyłożyła dłoń do mojej piersi, żebym się zatrzymał.

W panującej ciszy, niezakłóconej hałasem naszych kroków, dobiegły nas głosy. Ktoś był przed nami, i to blisko, więc rzuciliśmy się do najbliższych drzwi. Bez trudu dały się otworzyć. Zanurkowaliśmy do środka, a po ich zamknięciu oparliśmy się o nie plecami.

Pomieszczenie przypominało wielką tuleję. Wyglądało na to, że jest gigantyczną i jeszcze nieukończoną rurą kanalizacyjną o średnicy dziesięciu metrów, w której znajdowali się ludzie. Rura kończyła się na zewnątrz — zauważyłem, że pada deszcz — a u jej wylotu kilkunastu mężczyzn siedziało na zaokrąglonym rusztowaniu, wpatrując się w nas z osłupieniem. Najwyraźniej zakłóciliśmy im przerwę na lunch.

— Hej! Jak się tam dostaliście? — krzyknął któryś.

— To jakieś dzieciaki — zauważył inny. — Ej, wy! To nie plac zabaw!

Byli Amerykanami i chyba nie wiedzieli, co o nas myśleć. Nie odpowiedzieliśmy z obawy, że usłyszą nas upiory na korytarzu. Martwiłem się też, że krzyki robotników mogą zwabić nieproszonych gości.

— Masz ten palec? — wyszeptałem do Emmy. — Chyba nadeszła odpowiednia chwila, żeby go wypróbować.

I tak załatwiliśmy robotników palcem. W tym celu włożyliśmy maski przeciwpyłowe, które co prawda zamokły w strumieniu, ale nadawały się do użytku. Emma ukruszyła odrobinę małego palca Matki Pył i ruszyliśmy ku robotnikom, żeby ich zapylić. Emma zdmuchnęła proszek z otwartej dłoni, który jednak nie dotarł do celu, tylko utworzył chmurę wokół naszych głów i sprawił, że zaczęła mnie swędzieć twarz i trochę otępieć. Potem spróbowałem obrzucić robotników pyłem, ale zupełnie nic z tego nie wyszło. Wyglądało na to, że kurz z palca jest wyjątkowo mizerną bronią zaczepną. Swoimi poczynaniami

zdenierwowaliśmy robotników i jeden z nich, wyraźnie zniecierpliwiony, zeskoczył z rusztowania, żeby nas pogonić. Emma szybko schowała palec i rozpałała ogień na dłoni. Buch! Zawieszony w powietrzu pył zajął się w jednej chwili i zmienił w dym.

— O cholera! — zaklął robotnik.

Potem się rozkaszała i uśpiony padł na dno rury. Kilku kumpli natychmiast pospieszyło mu z pomocą, ale i oni padli ofiarą usypiającego pyłu i osunęli się na ziemię.

W tym momencie pozostali robotnicy, wystraszeni i wściekli, zaczęli na nas wrzeszczeć, więc popędziliśmy z powrotem do drzwi, żeby nie pogarszać sytuacji. Wyjrzałem ostrożnie, a ponieważ droga była wolna, wysliznęliśmy się na korytarz.

Gdy zamknąłem za nami drzwi, głosy robotników zupełnie znikły, jakby nie tylko pozostały w innym pomieszczeniu, ale jakby ktoś je wyłączył.

Po przebiegnięciu krótkiego dystansu zatrzymaliśmy się, nasłuchując stukotu kroków. Potem znowu podbiegliśmy, by po chwili przystanąć i ponownie nadstawić uszu. W ten sposób pokonywaliśmy spiralny korytarz w dół, na przemian pędząc i nieruchomiejąc. Jeszcze dwukrotnie dobiegły nas odgłosy nadchodzących ludzi i w obu wypadkach ukryliśmy się za drzwiami. Za jednymi znajdowała się parna dżungla z rozwrzeszczanymi małpami, drugie zaś skrywały ceglaste pomieszczenie, za którym zauważyłem pole ubitej ziemi i góry w oddali.

Podłoga w końcu się wypoziomowała, a korytarz wyprostował. Za ostatnim zakrętem ujrzeliśmy podwójne drzwi, spod których sączyło się światło słoneczne.

— Nie za mało tu strażników? — spytałem nerwowo.

Emma wzruszyła ramionami i ruchem głowy wskazała wyjście, które najwyraźniej było jedyną drogą na zewnątrz. Już miałem pchnąć drzwi, kiedy usłyszałem głosy po drugiej stronie. Jakiś mężczyzna opowiadał dowcip. Słyszałem tylko niski pomruk i nie rozumiałem słów, ale z całą pewnością był to żart, gdyż zwieńczyła go eksplozja śmiechu.

— Oto strażnicy — oświadczyła Emma tonem kelnerki, prezentującej wymyślne danie.



Mogliśmy poczekać, mając nadzieję, że sobie pójdą, albo wyjść i rozprawić się z nimi. Ta druga opcja wymagała większej odwagi, ale była szybsza. Przywołałem więc nowego Jacoba i poinformowałem go, że zaraz wypadniemy na zewnątrz i stoczmy bój — niech tylko nie rozmawia o tym z dawnym Jacobem, który zaraz zacznie jęczeć i marudzić. Zanim poukładałem to sobie w głowie, Emma już wzięła się do roboty.

Cicho i szybko otworzyła jedne z wahadłowych drzwi, za którymi ujrzeliśmy plecy pięciu upiorów w niedobrych mundurach, ze współczesnymi policyjnymi pistoletami u pasa. Odprężone upiory stały spokojnie i żaden się nie zorientował, że Emma uchyliła drzwi. Dziedziniec przed wejściem był otoczony niskimi budynkami, które wyglądały jak koszary. Za nimi wznosiły się mury twierdzy. Wskazałem palec ukryty w kieszeni Emmy. „Uśpij ich” — wyszeptałem bezgłośnie, uznając, że najlepszym rozwiązaniem jest pozbawienie upiorów przytomności i wciągnięcie ich do wieży. Emma zrozumiała — przytknęła drzwi i sięgnęła do kieszeni po palec, a ja wyjąłem maski, które trzymałem za paskiem.

W tym momencie nad murem fortecy przeleciał jakiś płonący przedmiot. Zatoczył pełen gracji łuk i z mokrym plaśnięciem pacnął na środek dziedzińca. Wokoło rozprysnęły się iskry ognia, obryzgując wszystko na swojej drodze i wprawiając strażników w stan rozgorączkowania. Dwóch z nich pobiegło sprawdzić, co to takiego. Gdy pochylali się nad ognistą breją, zza murów przyfrunął następny pocisk i trafił jednego z upiorów. Siła uderzenia była tak duża, że strażnik padł na ziemię i natychmiast zajął się ogniem. (Sądząc po ostrym i szybko rozprzestrzeniającym się zapachu, twierdza była bombardowana

mieszanką benzyny i odchodów).

Pozostali strażnicy rzucili się do gaszenia płonącego upiora, a ktoś uruchomił głośny alarm. Po paru sekundach na dziedzińcu zaroilo się od upiorów, które wypadły z budynków i popędziły w stronę muru. Sharon, chwala Bogu, zaatakował w samą porę. Pomyślałem, że jeśli dopisze nam szczęście, dzięki bombardowaniu zdołamy w spokoju przetrząsnąć zabudowania, przynajmniej przez kilka minut. Wątpiłem, żeby upiory potrzebowały więcej czasu na rozprawienie się z kilkoma zbrojnymi w proce narkomanami.

Rozejrzeliśmy się. Dziedziniec był z trzech stron ograniczony niskimi, niemal identycznymi budynkami. Jako że brakowało tu migających strzałek i neonów wskazujących miejsce ukrycia ymbrynek, musieliśmy błyskawicznie przystąpić do poszukiwań i liczyć na łut szczęścia.

Trzech strażników spośród tych, którzy stali przy wejściu, już wcześniej pobiegło na mury, a dwóch gasiło ubabranego płonącymi odchodami kolegę. Właśnie toczyli go po ziemi, odwróceniem plecami do nas.

Na chybił trafił wybraliśmy budynek z lewej i popędziliśmy do drzwi. Wewnątrz ujrzeliśmy przestronne pomieszczenie, całkowicie wypełnione odzieżą — używaną, sądząc po wyglądzie i zapachu. Przebiegliśmy alejką między wieszakami, na których znajdowały się rozmaite ubrania, z przeróżnych czasów i kultur, starannie uporządkowane i ometkowane. Zapewne była to garderoba ze strojami do wszystkich pętli spenetrowanych przez upiory. Przyszło mi do głowy, że może tu wisieć rozpinany sweter doktora Golana — ten sam, w którym zawsze widywałem go na spotkaniach.

Naszych przyjaciół oraz ymbrynek jednak nie znaleźliśmy, więc przez chwilę myszkowaliśmy po alejkach w poszukiwaniu przejścia do sąsiedniego budynku, które nie prowadziłoby przez dziedziniec. Ponieważ jednak nie natrafiliśmy na żaden łącznik, pozostało nam jedynie ponownie zaryzykować bieg przez otwartą przestrzeń.

Za uchylonymi drzwiami zauważyliśmy marudera, który biegł przez dziedziniec, pospiesznie wkładając mundur strażnika. Gdy tylko droga zrobiła się wolna, wybiegliśmy na zewnątrz.

Wszędzie wokół nas lądowały wystrzeliwane przedmioty. Po wyczerpaniu zapasu ekskrementów prowizoryczna armia Sharona przystąpiła do miotania cegieł, śmieci i trupów małych zwierząt. W pewnej chwili usłyszałem, jak jeden z pocisków klnie na czym świat stoi, upadając z plaśnięciem na ziemię, i rozpoznałem zasuszoną głowę z mostu, która potoczyła się po dziedzińcu. Gdyby serce nie waliło mi jak oszalałe, zapewne wybuchnąłbym śmiechem.

Przebiegliśmy na drugą stronę dziedzińca do budynku naprzeciwko. Drzwi wyglądały obiecująco: były ciężkie, metalowe i z pewnością wcześniej pilnował ich strażnik, który musiał porzucić posterunek i spieszyć na mury. Wewnątrz niewątpliwie znajdowało się coś ważnego.

Drzwi nie były zamknięte, więc bez trudu weszliśmy do małego, wyłożonego białymi kafelkami laboratorium, w którym unosiła się przenikliwa woń chemikaliów. Skierowałem spojrzenie na szafkę przepełnioną przerażającymi instrumentami chirurgicznymi wykonanymi ze lśniącej stali. Zza ścian dobiegał niski pomruk, zupełnie jakby serca maszyn dudniły w nieharmonijnym rytmie. Towarzyszył mu

inny hałas...

— Słyszysz to? — spytała Emma, nasłuchując z napięciem.



Słyszałem. Odgłos był przytłumiony i niewyraźny, niemniej brzmiał jak ludzki śmiech.

Popatrzyliśmy na siebie pytająco. Emma przekazała mi palec Matki Pył i roznieciła na dłoni płomień. Włożyliśmy maski, przygotowani na wszystko — przynajmniej tak nam się wydawało, choć z perspektywy czasu widzę, że nie byliśmy ani trochę gotowi na stawienie czoła koszmarom, które nas oczekiwały.

Minęliśmy pomieszczenia, które potem trudno mi było opisać, gdyż starałem się wymazać je z pamięci. Każde następne okazywało się bardziej upiorne od poprzedniego. W pierwszym ujrzyliśmy małą salę operacyjną ze stołem wyposażonym w pasy i zapięcia. Pod ścianami stały ceramiczne kadzie na wytoczone płyny. W następnym pokoju znajdowało się laboratorium, w którym do urządzeń elektrycznych i wskaźników podłączono maleńkie czaszki i inne kości. Na ścianach widniały polaroidowe zdjęcia, dokumentujące eksperymenty przeprowadzone na zwierzętach. W tym momencie oboje już drżeliśmy, zasłaniając oczy — a jednak najgorsze było dopiero przed nami.

Znaleźliśmy się w gabinecie, w którym trwał eksperyment. Dwie pielęgniarki i lekarz przeprowadzali jakieś upiorne zabiegi na małym chłopcu, który leżał rozciągnięty między dwoma stołami. Na podłodze ktoś porozkładał gazety, żeby łatwiej było sprzątać wszystko to, co wycieknie z dziecka. Jedna z pielęgniarek przytrzymywała malca za stopy, a lekarz zaciskał dłonie na jego głowie i patrzył

lodowatym wzrokiem w jego oczy.

Odwrócili się, ujrzeni maski na naszych twarzach oraz płonąca dłoń Emmy i natychmiast zaczęli krzyczeć, ale nikt nie mógł przybyć im z pomocą, bo nikt ich nie słyszał. Lekarz rzucił się do stołu wypełnionego ostrymi przyrządami, jednak Emma była szybsza. Po krótkiej szamotaninie poddał się i uniósł ręce. Zagoniwszy całą trójkę do kąta, zażądaliśmy informacji o miejscu przetrzymywania więźniów. Ponieważ nikt z tej trójki nie chciał puścić pary z ust, dmuchnąłem pyłem na ich twarze i po chwili osunęli się nieprzytomni na podłogę.

Chłopiec był oszołomiony, ale cały i zdrowy. Pytaliśmy go, czy dobrze się czuje i czy jest tu więcej takich jak on, a jeśli tak, to gdzie, lecz w odpowiedzi tylko coś wymamrotał. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie tymczasowo go ukryć. Owinęliśmy go prześcieradłem, aby nie zmarzł, i zamknęliśmy w małej szafce, obiecując mu, że wrócimy. Miałem nadzieję, że zdołamy dotrzymać słowa.

Następne pomieszczenie było szerokie i otwarte jak szpitalny oddział. Stało w nim ponad dwadzieścia przykutych do ścian łóżek, na których leżeli przypięci pasami osobliwcy — zarówno dorośli, jak i dzieci. Wszyscy wydawali się nieprzytomni. Z podeszew ich stóp sterczały igły i rurki, którymi do torebek powoli spływał czarny płyn.

— Drenują ich — powiedziała Emma drżącym głosem. — Odsączają im dusze.

Nie chciałem patrzeć na twarze tych nieszczęśników, ale było to konieczne.

— Kto tu jest, kto tu jest, kim jesteś? — mamrotałem, gdy biegaliśmy od łóżka do łóżka.

Wstyd przyznać, ale miałem nadzieję, że wśród tych osób nie ma naszych przyjaciół. Kilku osobliwców rozpoznaliśmy, między innymi telekinetyczną dziewczynę o imieniu Melina oraz białych braci Joela-i-Petera, których rozdzielono, żeby nie doszło do następnej niszczycielskiej eksplozji. Ich twarze były wykrzywione, mięśnie stężałe, a pięści zaciśnięte nawet we śnie, jakby obu nawiedziły koszmary.

— Wielkie nieba — jęknęła Emma. — Starają się z tym walczyć.

— Wobec tego należy im pomóc.

Podszedłem do łóżka Meliny i ostrożnie wysunąłem igłę z jej stopy. Z rany wypłynęła kropelka czarnego płynu, a po chwili dziewczyna wyraźnie się odprężyła.

— Witam — rozległ się głos w głębi sali.

Odwróciliśmy się gwałtownie. W kącie kulił się mężczyzna z kajdanami na nogach, kołysał się i rechotał bez uśmiechu na ustach. Jego oczy przypominały odłamki czarnego lodu.

Dotarło do nas, że już wcześniej słyszeliśmy ten zimny śmiech. To on roznosił się echem po pokojach.

— Gdzie trzymają pozostałych? — spytała Emma, klękając obok mężczyzny.

— Och, wszyscy są tutaj! — odparł.

— Nie, chodzi mi o pozostałych — upierała się. — Na pewno jest ich więcej.

Zaśmiał się znowu, a z jego ust wydobył się nieduży kłęb pary, co mnie zdumiało, gdyż w sali nie było zimno.

— Stoicie nad nimi — oświadczył.

— Mów do rzeczy, człowieku! — krzyknąłem, tracąc cierpliwość. — Nie mamy ani chwili do stracenia!

— Bardzo pana prosimy — jęknęła Emma. — Jesteśmy osobliwcami. Przybywamy panu z pomocą, ale najpierw musimy znaleźć nasze ymbryniki. W którym budynku są zamknięte?

— Stoicie. Nad. Nimi — powtórzył bardzo powoli.

Gdy mówił, nasze twarze owiewało lodowate powietrze z jego ust.

Już miałem chwycić go za ramiona i nim potrząsnąć, kiedy uniósł rękę i wskazał coś za nami. Odwróciłem się i dopiero wtedy dostrzegłem ukryty wśród kafelków na podłodze uchwyt, a także zarys kwadratowej klapy.

Staliśmy nad nimi — dosłownie.

Podbiegliśmy do uchwyty, obróciłem go i uniosłem klapę. Metalowe, kręcone schody prowadziły do mrocznych podziemi.

— Skąd możemy wiedzieć, czy pan mówi prawdę? — spytała Emma.

— Nie możecie — odparł szczerze.

— Zaryzykujmy — powiedziałem.

I tak nie mieliśmy dokąd pójść, chyba że postanowilibyśmy wrócić tam, skąd przyszliśmy.

Emma wydawała się rozdarta, spoglądała raz na łóżka, raz na schody. Wiedziałem, co myśli i czego nie chce powiedzieć głośno. Nie było czasu na chodzenie od łóżka do łóżka i uwalnianie osobliwców. Postanowiłem zająć się nimi później. Miałem tylko nadzieję, że gdy zjawimy się tu ponownie, będzie jeszcze kogo ratować.

* * *

Emma wsunęła się do ciemnego otworu w podłodze i ruszyła po schodach. Nim za nią podążyłem, spojrzałem w oczy szaleńca i dotknąłem palcem ust. Uśmiechnął się szeroko i zrobił to samo. Pozostało mi tylko mieć nadzieję, że nie jest to jedynie pusty gest. Wiedziałem, że strażnicy wkrótce powrócą, a jeśli mężczyzna będzie trzymał język za zębami, może nie zejść do podziemi.

Po chwili zamknąłem za sobą klapę i stanąłem obok Emmy na szczycie wąskich spiralnych schodów. Oboje popatrzyliśmy w dół. Ponieważ w sali z łózkami było bardzo jasno, nasze oczy dopiero po chwili oswoiły się z pograżonym w niemal całkowitym mroku i wykutym w litej skale lochu.

Emma chwyciła mnie za rękę.

— Cele — wyszeptała mi do ucha.

Wyciągnęła dłoń, a ja wyteżyłem wzrok i po chwili z trudem dostrzegłem kraty więziennej celi.

Skradaliśmy się na dół, coraz lepiej widząc otoczenie. Schody znajdowały się na końcu długiego podziemnego korytarza z licznymi celami, i choć nie sposób było dostrzec więźniów, nabrałem nadziei.

Dotarliśmy do celu. Właśnie to miejsce pragnęliśmy znaleźć.

W następnej sekundzie z głębi korytarza dobiegł nas stukot buciorów. Natychmiast poczułem przyływ adrenaliny. Podziemia patrolował strażnik z karabinem na ramieniu i pistoletem u pasa. Jeszcze nas nie zauważył, ale lada moment musiał się zorientować, że tu jesteśmy. Za bardzo oddaliliśmy się od kłapy, żeby uciec na powierzchnię, a ja stałem zbyt wysoko nad ziemią, aby skoczyć na strażnika i go powalić. W takiej sytuacji przykucnęliśmy w nadziei, że ażurowa konstrukcja schodów nas osłoni.

Nie mieliśmy jednak szans pozostać niezauważeni, próbując ukryć się niemal na wysokości jego wzroku. Znajdował się dwadzieścia kroków od nas i nieuchronnie się zbliżał. Dalsze zwlekanie nie miało sensu, trzeba było działać.

Ruszyłem w dół schodów. Naturalnie od razu mnie zauważył, ale zanim zdołał mi się dobrze przyjrzeć, przemówiłem.

— Nie słyszałeś syreny? — spytałem głośno, pewnym siebie tonem. — Dlaczego nie jesteś na zewnątrz i nie bronisz murów?

Gdy dotarło do niego, że nie jestem jednym z jego przełożonych, byłem już na podłodze. Sięgnął po pistolet, ale nie zdążył wycelować, gdyż natarłem na niego całym pędem, niczym rozgrywający na boisku. Uderzyłem upiora ramieniem w chwili, gdy pociągał za spust. Rozległ się huk, a kula odbiła się rykoszetem od skały za moimi plecami i obaj padliśmy na ziemię. Popełniłem błąd, próbując powstrzymać upiora przed ponownym naciśnięciem spustu i jednocześnie zaaplikować mu palec, który trzymałem w prawej kieszeni. Zabrakło mi rąk, żeby zrobić jedno i drugie, więc upiór odrzucił mnie na bok i wstał. Z pewnością byłaby to moja ostatnia chwila, gdyby nie dostrzegł Emmy, pędzącej ku niemu z płonącymi dłońmi. Zaskoczony wycelował w nią i strzelił, ale kula powędrowała w górę, nie tam, gdzie chciał. Skorzystałem z okazji, żeby zerwać się z podłogi i ponownie zaatakować. Natarłem na niego całym ciałem z taką mocą, że stracił równowagę i gruchnął plecami o kraty jednej z cel. W tym momencie wymierzył mi potężny cios łokciem w twarz, po którym obróciłem się i padłem jak kłoda. Upiór uniósł pistolet, chcąc mnie zastrzelić. Nie mogliśmy nic zrobić, gdyż oboje z Emmą znajdowaliśmy się za daleko.

Nagle zobaczyłem, że zza krat mrocznej celi wyłaniają się dwie umięśnione ręce i chwytają strażnika za włosy. Ktoś gwałtownie odchylił głowę upiora do tyłu, waląc nią w pręty tak mocno, że zadzwoniły. Strażnik zwiotczał i osunął się na podłogę, a za kratami ujrzałem uśmiechniętą twarz Bronwyn.

— Jacob! Emma!

Nigdy wcześniej nie cieszyłem się tak bardzo ze spotkania z kimkolwiek. Patrzyłem z radością na jej duże, poczciwe oczy, mocną brodę i proste brązowe włosy. Bronwyn! Wsunęliśmy ręce za kraty, aby ją przytulić, a ulga i emocje tak ścisnęły nasze gardła, że z trudem zbieraliśmy myśli.

— Bronwyn! Bronwyn! — powtarzała Emma. — To naprawdę ty?

— To ty, Emmo? — upewniła się Bronwyn. — Modliliśmy się, nie tracąc nadziei. Och, tak bardzo się martwiłam, że upiory was dopadły...

Nie zważając na kratę, Bronwyn przywarła do nas tak mocno, że oczy wyszły nam z orbit. Pionowe pręty były grube jak cegły i wykonane z materiału mocniejszego od żelaza. Zrozumiałem, że tylko dlatego Bronwyn nie wydostała się z celi.

— Nie mogę... oddychać — wyrzeźbiła Emma.

Bronwyn natychmiast nas przeprosiła i zabrała ręce. Gdy uważniej się jej przyjrzałem, dostrzegłem siniak na jej policzku i ciemną plamę, być może zaschniętą krew, z boku bluzki.

— Co oni ci zrobili? — spytałem.

— Nic takiego — odparła. — Ale grozili, że zrobią.

— A inni? — zaniepokoiła się ponownie Emma. — Gdzie są pozostali?

— Tutaj! — rozległ się głos z głębi korytarza.

— I tutaj!

Gdy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy twarze naszych przyjaciół przyciśnięte do pionowych prętów. Dostrzegłem Horace'a i Enocha, Hugh i Claire, a także Olive, która posapywała zza kraty, plecami dotykając sufitu. Byli tu wszyscy, cali i zdrowi, z wyjątkiem biednej Fiony, którą straciliśmy, gdy spadła z urwiska w menażerii panny Wren. W tym momencie nie mogliśmy sobie pozwolić na luksus opłakiwania przyjaciółki.

— Chwała ptakom na wysokości! — wykrzyknęła Emma i podbiegła, żeby złapać Olive za rękę. — To prawdziwy cud! Nie macie pojęcia, jak bardzo się martwiliśmy.

— Na pewno nie martwiliście się nawet w połowie tak bardzo jak my! — oświadczył Hugh z oddali.

— Mówiłam im, że po nas przyjdziecie — powiedziała Olive, przełykając łzy. — Powtarzałam i powtarzałam, a Enoch twierdził, że chyba mi odbiło, skoro tak uważam...

— Mniejsza z tym, są tutaj z nami! — przerwał jej Enoch. — Dlaczego to tyle trwało?

— Na Perplexusa, jak nas znaleźliście? — spytał Millard.

Upiory tylko jego przebrały w więzienny strój — miał na sobie pasiasty kombinezon, dzięki czemu można go było zobaczyć.

— Dowiedcie się wszystkiego, ale najpierw musimy znaleźć ymbrynki i wydostać was z tego miejsca — odparła Emma.

— Są w głębi korytarza — wyjaśnił Hugh. — Za wielkimi drzwiami.

Na końcu korytarza znajdowały się ogromne metalowe drzwi, na oko tak ciężkie, że nadawałyby się do zabezpieczania bankowego skarbcza — albo do blokowania drogi głucholcom.

— Weźcie klucz. — Bronwyn wskazała pęk kluczy u pasa nieprzytomnego strażnika. — To ten duży i złoty. Wiem, bo podglądałam!

Rzuciłem się do strażnika i jednym szarpnięciem odebrałem mu klucze, a potem zamarłem, spoglądając raz na cele, raz na Emmę.

— Pospiesz się! — krzyknął Enoch. — Wypuść nas!

— Którym kluczem? — spytałem.

W pęku było ich kilkadziesiąt, a wszystkie identyczne, z wyjątkiem dużego i złotego.

— O nie... — wymamrotała Emma z rozpaczą.

Nie wątpiliśmy, że wkrótce zjawią się inni strażnicy, a otwieranie cel zajmie nam mnóstwo cennego czasu. Dlatego pognaliśmy na koniec korytarza, przekręciliśmy klucz w zamku pancernych drzwi i przekazaliśmy klucze Hugh, którego cela znajdowała się najbliżej.

— Otwórz sobie, a potem innym! — powiedziałem.

— A potem zostańcie tutaj — dodała Emma. — Wrócimy, żeby was stąd wyprowadzić.

— Mowy nie ma! — oświadczył Hugh. — Zaraz do was dołączymy!

Nie było czasu na spory, a poza tym w skrytości ducha poczułem ulgę, słysząc słowa przyjaciela. Od dłuższego czasu walczyliśmy sami, więc cieszyłem się na wsparcie.

Pchnęliśmy wielkie bunkrowe drzwi i po raz ostatni oglądając się na przyjaciół, wśliznęliśmy się do środka.

* * *

Po drugiej stronie drzwi znajdował się długi, prostokątny pokój zagracony praktycznymi meblami i oświetlony zielonkawymi świetlówkami. Miał wyglądać jak biuro, ale nie dałem się zwieść. Jego ściany pokryto gąbczastą pianką dźwiękochłonną, a drzwi były tak grube, że zdołałyby wytrzymać wybuch bomby atomowej. To nie było biuro.

Usłyszeliśmy, że na drugim końcu ktoś się porusza, ale nic nie dało się zobaczyć z powodu wielkiej szafy na dokumenty. Dotknąłem ręki Emmy i skinąłem głową na znak, że powinniśmy iść. Ruszyliśmy cicho, licząc na to, że zaskoczymy tego, kto był z nami w pomieszczeniu.

Po chwili dostrzegłem biały kitel oraz łysiejącą męską głowę. Z całą pewnością nie należała ona do ymbrynki. Zastanowiłem się, czy to możliwe, że nikt nie słyszał szczęku otwieranych drzwi, ale wkrótce stało się jasne, dlaczego nie zwrócono na nas uwagi. Osoby w pokoju słuchały muzyki. Jakaś rockmenka śpiewała cichy, zmysłowy kawałek — znaną mi ramotę, której tytułu nie potrafiłem sobie przypomnieć. Poczujęm się dziwnie zdezorientowany, słysząc ten utwór w tym miejscu.

Skradaliśmy się, korzystając z tego, że utwór zagłuszał nasze kroki. Mijaliśmy biurka zawalone papierami i mapami, przeszliśmy obok regału pod ścianą, w którym zgromadzono setki szklanych zlewek wypełnionych wirującym czarnym płynem ze srebrnymi drobinami. Zerknąłem z bliska na naczynia i zauważyłem, że na każdym z nich widnieje etykieta z wydrukowanym małą czcionką imieniem i nazwiskiem ofiary, od której pobrano duszę.

Po wyjrzeniu zza szafy dostrzegliśmy mężczyznę w kitlu, siedzącego plecami do nas przy biurku i obłożonego papierami. Wszędzie wokół niego znajdowały się upiorne eksponaty anatomiczne: odarta ze skóry ręka z odsłoniętymi mięśniami, kręgosłup zawieszony niczym trofeum na ścianie, kilka pozbawionych krwi organów, które walały się po stole, jakby były zagubionymi elementami układanki.

Mężczyzna coś zapisywał, kiwając głową i nucąc do wtóru piosenkę o miłości i o cudach.

Przeszliśmy na otwartą przestrzeń i ruszyliśmy ku niemu. Przypomniało mi się, kiedy ostatnio słyszałem tę piosenkę: u dentysty, kiedy stalowym szpikulcem dźgał mi miękkie różowe dziąsła.

„Przy Tobie miłość jest zabawą”.

Zaledwie kilka metrów dzieliło nas od mężczyzny. Emma wyciągnęła rękę, gotowa rozniecić ogień na dłoni. Zanim jednak podeszliśmy bliżej, nieznajomy odezwał się do nas.

— Witajcie — powiedział. — Spodziewałem się waszego przybycia.

Wszędzie rozpoznałbym oślizgły, paskudny głos Caula.

Płomienie wystrzeliły z dłoni Emmy przy wtórze trzasku, jakby ktoś strzelił z bata.

— Gdzie są ymbryniki? Mów, to może daruję ci życie! — warknęła.

Przestraszony mężczyzna obrócił się nerwowo, a my zdębieliśmy. Miał szeroko otwarte oczy, a jego twarz przypominała rozpuszczone mięso. To nie był Caul — to nie był nawet upiór — i z całą pewnością nie on do nas przemówił. Wargi tego człowieka wydawały się stopione w jedną całość. W jednej dłoni trzymał automatyczny ołówek, a w drugiej znajdował się mały pilot zdalnego sterowania. Na identyfikatorze przy kitlu widniało nazwisko.

„Warren”.

— Rety, chyba nie zrobicie krzywdy staremu Warrenowi, co? — odezwał się Caul ponownie. Jego głos dobiegał z tego samego miejsca co muzyka: z głośnika w ścianie. — Inna sprawa, że nie miałyby to większego znaczenia. To tylko mój stażysta.

Warren skulił się na obrotowym krześle i z lękiem patrzył na płomień buchający z dłoni Emmy.

— Gdzie jesteś?! — krzyknęła i rozejrzała się po pomieszczeniu.

— Mniejsza z tym! — odparł Caul przez głośnik. — Istotne jest to, że przyszlście spotkać się ze mną. Jestem zachwycony! Dzięki temu nie muszę was tropić.

— Zmierza tutaj cała armia osobliwców! — zablefowała Emma. — Tłum u waszych bram to tylko szpica. Mów, gdzie są ymbryniki, to może załatwimy sprawę pokojowo.

— Armia! — zaśmiał się Caul. — W Londynie jest za mało zdolnych do walki osobliwców, żeby stworzyć zastęp straży pożarnej, a co dopiero armię. A co do waszych pożałowania godnych ymbrynek, daruj sobie czcze pogrożki. Chętnie pokażę wam, gdzie przebywają. Warren, zechciej uczynić nam ten zaszczyt.

Warren nacisnął guzik na pilocie, a wtedy fragment ściany odsunął się z głośnym świstem i naszym oczom ukazała się tafla grubego szkła. Za nią ujrzeliśmy przestronne i zacienione pomieszczenie.

Przywarliśmy do szyby, osłaniając twarze dłońmi, żeby lepiej widzieć. Stopniowo wyłaniało się coraz więcej szczegółów w pokoju przypominającym zagraconą piwnicę, pełną mebli, ciężkich zasłon i ludzkich sylwetek zamartwych w dziwnych pozach. Wiele osób zamkniętych w pomieszczeniu sprawiało wrażenie obdartych ze skóry, trochę jak części na biurku Warrena.

„Dobry Boże, co on im zrobił...”.

Nerwowo wodziłem oczami po wnętrzu, a moje serce waliło bez opamiętania.

— Przecież to panna Glassbill! — krzyknęła Emma.

Wtedy ja również ją zobaczyłem. Siedziała na krześle z boku, z beznamiętną miną, a po bokach jej męskiej twarzy zwisały idealnie symetryczne warkocze. Zadudniliśmy w szybę, głośno wołając, ale ona tylko patrzyła przed siebie, obojętna na nasze głosy.

— Co jej zrobiłeś?! — wrzasnąłem. — Dlaczego nie reaguje?

— Ma usunięty mały fragment duszy — wyjaśnił Caul. — To przytępia umysł.

— Drań z ciebie! — Emma rąbnęła pięścią w szybę, a Warren wycofał się do kąta razem z krzesłem na kółkach. — Czarny charakter, godny pogardy, tchórzliwy...

— Uspokój się wreszcie — przerwał jej Caul. — Zabrałem tylko odrobinę jej duszy. Wasze pozostałe niańki cieszą się dobrym zdrowiem, choć może nie są w najlepszych nastrojach...

Mocne lampy pod sufitem graciarni zamigotały i się zapaliły. Dopiero wtedy się zorientowałem, że większość postaci w pomieszczeniu to bez wątpienia kukły, nie żywe osoby. Były to manekiny albo modele anatomiczne poustawiane jak pomniki, z napiętymi, wyeksponowanymi mięśniami i ścięgnami. Wśród kukieł znajdowały się jednak najprawdziwsze żywe istoty — zakneblowane, przywiązane do krzeseł oraz drewnianych słupków. Były to kobiety, które teraz wzdrygały się i mrużyły oczy pod wpływem oślepiającego światła. Caul przetrzymywał tu osiem, może dziesięć więźniarek — nie miałem czasu policzyć ich wszystkich — w większości w podeszłym wieku. Wyglądały dość niechlujnie, ale dystygowanie.

Odnaleźliśmy nasze ymbrynki.

— Jacob, to one! — zawołała Emma. — Widzisz gdzieś panią...

Światło zamigotało i zgasło, zanim zdołaliśmy wypatrzeć panią Peregrine. Mój wzrok odzwyczaił się od ciemności, więc teraz nie widziałem już, co znajdowało się za szybą.

— Ona też tam jest — westchnął wyraźnie znudzony Caul. — Wasza świętoszkowata ptaszyna, wasza mamka...

— Twoja siostra — powiedziałem, licząc na to, że rozbudzę w nim choć trochę ludzkich uczuć.

— Wcale nie chcę jej zabić — podkreślił. — I chyba tego nie zrobię... pod warunkiem że dacie mi to, czego chcę.

— A czego chcesz? — burknąłem, odsuwając się od szyby.

— Drobiazgu — odparł od niechcienia. — Odrobiny twojej duszy.

— Tylko tyle? — prychnęła Emma, a ja zaśmiałem się głośno.

— Spokojnie, najpierw mnie wysłuchajcie — zażądał Caul. — Przecież nie chcę całej duszy. Daj mi tylko jej kropelkę. Potrzebuję nawet mniej, niż zabrałem pannie Glassbill. Owszem, przez pewien czas będziesz trochę ogłupiała, ale za kilka dni odzyskasz wszystkie zdolności.

— Potrzebujesz mojej duszy, żeby zrobić użytek z biblioteki — oświadczyłem. — Pragniesz zagarnąć całą ukrytą w niej moc.

— Widzę, że rozmawialiście z moim bratem — skomentował Caul. — Cóż, równie dobrze mogę wyjawić wam prawdę. Moje dzieło jest już na ukończeniu. Spędziłem całe życie na poszukiwaniach i wreszcie znalazłem Abaton, ymbrynki zaś, ta ich doskonała kombinacja, otworzyły dla mnie drzwi. Niestety, dopiero wtedy dowiedziałem się, że potrzebuję jeszcze czegoś: osobliwca o bardzo szczególnym darze, obecnie nader rzadkim. Już niemal straciłem nadzieję na znalezienie kogoś takiego, kiedy dotarło do mnie, że warto się zainteresować wnukiem pewnego osobliwca. Ymbrynki, zasadniczo już dla mnie bezużyteczne, mogły posłużyć jako przynęta. I stało się! Naprawdę wierzę, że to przeznaczenie, mój chłopcze. Wspólnie pokierujemy historią osobliwców.

— Nic nie będziemy robili wspólnie — zapewniłem go. — Jeśli zdobędziesz moc ukrytą w bibliotece, zmienisz świat w piekło.

— Błędnie odczytałeś moje intencje — westchnął Caul. — To mnie nie dziwi. Większość ludzi mnie nie rozumie. Owszem, musiałem urządzić piekło na ziemi, ale tylko tym, którzy stali mi na drodze. Teraz, kiedy jestem już bliski sukcesu, mogę sobie pozwolić na wielkoduszność. Będę wyrozumiały i wspaniałomyślny.

W tle przemowy Caula nieustannie rozbrzmiewała muzyka, która teraz przybrała formę łagodnej melodii instrumentalnej. Tak bardzo nie pasowała do paniki i zgrozy, które mnie ogarnęły, że aż zadrzałem.

— W końcu zapanuje pokój i harmonia — zadeklarował Caul łagodnym i krzepiącym głosem. — Zadbam o to jako wasz król i bóg. To naturalna hierarchia wśród osobliwców. Nie powinniśmy żyć w warunkach decentralizacji i niemocy, pod rządami kobiet. Kiedy przejmę pełnię władzy, nie będziemy już chowali się po kątach. Skończę z upokarzającym trzymaniem się spódnic ymbrynek. Miejsce osobliwców jest u szczytu stołu rodzaju ludzkiego. Będziemy władcami ziemi i wszystkich jej mieszkańców. Nareszcie odbierzemy należne nam dziedzictwo!

— Chyba masz nie po kolei w głowie, myśląc, że przyłożymy do tego rękę — wycedziła Emma.

— Po tobie nie spodziewałem się niczego więcej, dziewczyno — mruknął Caul. — Jesteś typową wychowanką ymbrynek: bez ambicji i bez rozsądku. Myślisz, że wszystko ci się należy. Milcz, kiedy rozmawiają mężczyźni.

Twarz Emmy przybrała barwę czerwonego płomienia na jej dłoni.

— Powiedz coś konkretnego! — warknąłem z napięciem.

Pomyślałem, że strażnicy pewnie już są w drodze i że nasi przyjaciele ciągle usiłują otworzyć drzwi swoich cel.

— Oto moja propozycja — powiedział Caul. — Pozwolisz moim specjalistom przeprowadzić zabieg, a kiedy pobiorą od ciebie to, na czym mi zależy, puszczę wolno ciebie i twoich przyjaciół, a także ymbrynki. I tak już mi nie zagrają.

— A jeśli odmówię?

— Jeżeli nie zgodzisz się oddać fragmentu swojej duszy w sposób łatwy i bezbolesny, wówczas do

akcji wkroczą moje głucholce, które nie słyną z łagodnego podejścia do pacjentów. Gdy z tobą skończą, zapewne nie zdołam ich powstrzymać przed zajęciem się ymbrynkami. Jak zatem widzisz, postawię na swoim w taki czy inny sposób.

— To ci się nie uda — ostrzegła go Emma.

— Masz na myśli sztuczkę, którą opanował obecny tu chłopak? Obiło mi się o uszy, że potrafi zapanować nad jednym głucholcem, ale nad dwoma, trzema czy pięcioma?

— Poradzę sobie z każdą liczbą — zadeklarowałem pewnym siebie i niewzruszonym tonem.

— Bardzo chciałbym to zobaczyć — odparł Caul. — Czy tak brzmi twoja odpowiedź?

— Moja odpowiedź brzmi tak, że ci nie pomogę — wycedziłem.

— Wybornie — syknął Caul. — Zapowiada się dodatkowa rozrywka!

Usłyszeliśmy, jak się śmieje do mikrofonu, a potem wzdrygnąłem się ze strachu, gdy rozległ się głośny sygnał alarmowy.

— Co to było? — spytała Emma.

Poczułem silne pulsowanie w brzuchu. Caul nie musiał nic wyjaśniać — mogłem sobie wyobrazić, co się dzieje. W tunelu pod pomieszczeniem ymbrynek uwolniono głucholca, dotąd przetrzymywanego głęboko w podziemiach twierdzy. Teraz zbliżał się do nas, wspinał ku zainstalowanej w podłodze kracie, która właśnie odsuwała się ze zgrzytem. Lada moment miał się znaleźć wśród ymbrynek.

— Uwolnił głucholca! — krzyknąłem. — Wypuścił go i skierował do tego pokoju!

— Zaczniemy od jednego głucholca — zapowiedział Caul. — Jeśli dasz sobie z nim radę, przedstawię cię jego kolegom.

Załomotałem w szybę.

— Wpuść nas do środka! — ryknąłem.

— Z przyjemnością — odparł Caul. — Warren?

Warren nacisnął inny guzik na pilocie, a wtedy odsunęła się tafla szkła wielkości drzwi, umożliwiając nam wejście do środka.

— Idę! — poinformowałem Emmę. — Ty zostaniesz tutaj, żeby go pilnować.

— Skoro pani Peregrine tam jest, to ja też idę — oświadczyła.

Wiedziałem, że jej tego nie wyperswaduję.

— W takim razie zabieramy go ze sobą — zadecydowałem, wskazując Warrena.

Usiłował czmychnąć, ale Emma złapała go za kitel.

Wbiegłem do ciemnej graciarni, a Emma podążyła za mną, wlokąc za sobą wyrywającego się bezustego stażystę. Usłyszałem szcęknięcie zamykających się za nami szklanych drzwi.

Emma zaklęła, a ja się odwróciłem. Za drzwiami, na podłodze, leżał pilot. Znaleźliśmy się w pułapce.

Gdy tylko przeszliśmy na drugą stronę szyby, stażysta wyrwał się z uścisku Emmy i uciekł w mrok. Emma ruszyła za nim w pościg, ale ją powstrzymałem. Warren nie był istotny. Liczyło się to, że głucholec zaraz wyskoczy z nory i wpadnie do rupieciarni.

Potwór pragnął się nasycić. Czułem jego głód tak, jakbym sam marzył o posiłku. Głucholec zamierzał pożreć ymbrynki i tylko my mogliśmy go powstrzymać. W zasadzie tylko ja mogłem, ale najpierw musiałem go znaleźć. Pomieszczenie było jednak pełne przedmiotów, które rzucały cienie, więc moja zdolność widzenia głucholców nie na wiele się zdawała.

Poprosiłem Emmę o więcej światła. Roznieciła mocniejsze płomienie na dłoniach, ale w rezultacie wszechobecne cienie jeszcze się wydłużyły. Dla jej własnego bezpieczeństwa poprosiłem, żeby pozostała przy drzwiach, jednak odmówiła.

— Będziemy się trzymać razem — zapowiedziała.

— W takim razie trzymajmy się razem, ale ty idź z tyłu — westchnąłem. — Daleko z tyłu.

Przynajmniej tym razem mnie posłuchała. Gdy mijaliśmy pogrążoną w stanie katatonii pannę Glassbill, Emma szła kilka kroków za mną, unosząc jedną rękę wysoko, żeby oświetlać nam drogę. Te fragmenty pokoju, które widzieliśmy, przypominały szpital polowy pełen porozrzucanych ludzkich szczątków.

Kopnąłem stopą jakąś rękę, która odjechała, wirując z głuchym stukotem. Zorientowałem się, że wykonano ją z gipsu. Na jednym ze stołów leżał tułów, gdzie indziej stał słój z płynem, w którym pływała głowa o szeroko otwartych oczach i ustach, z pewnością prawdziwa, lecz nie pierwszej świeżości. Najwyraźniej trafiliśmy do laboratorium Caula, jego komnaty tortur i magazynu w jednym. Podobnie jak brat uwielbiał gromadzić dziwne i upiorne przedmioty — tyle tylko, że Bentham był doskonale zorganizowany, Caul zaś rozpaczliwie potrzebował sprzątaczkę.

— Witajcie w pokoju zabaw głucholców — powiedział Caul, a jego wzmocniony głos rozniósł się echem po pokoju. — Tutaj przeprowadzamy na nich eksperymenty, tu je karmimy i obserwujemy, jak rozbierają posiłki. Ciekawe, którą część waszych ciał zjedzą najpierw... Niektóre głucholce zaczynają od oczu... Mała rzecz, a cieszy...

Potknąłem się o ciało, które krzyknęło, gdy je przydeptałem. Popatrzyłem w dół i ujrzałem śmiertelnie przerażoną twarz kobiety w średnim wieku, która przyglądała mi się z obłędem w oczach. Była to nieznana mi ymbrynka. Pochyliłem się i wyszeptalem bez zatrzymywania się:

— Niech się pani nie boi, wyciągniemy panią stąd.

W tej samej chwili przyszło mi do głowy, że to nieprawda, wcale jej nie oswobodzimy, a panujący tu chaos kształtów i rozedrganych cieni będzie tłem dla naszej śmierci. Zrozumiałem, że to dawny, niemilknący Jacob znowu uniósł głowę, żeby wieszczyć nieszczęście.

W głębi pokoju rozległ się szelest, a po nim wilgotne mlaśnięcie rozwieranego pyska głucholca. Był tutaj, blisko nas. Zwróciłem się ku niemu i pobiegłem, potykając się i chwytając przedmiotów. Emma też biegła.

— Szybciej, Jacob! — krzyknęła.

— Szybciej, Jacob! — zabrzmiał z głośników kpiący głos Caula.

Podkreślił głośność muzyki, ostrej, rytmicznej i obłąkańczej.

Minęliśmy jeszcze trzy albo cztery ymbrynki szarpiące się w więzach, nim w końcu ujrzałem głucholca.

Stanąłem zadyszany i zakręciło mi się w głowie na jego widok. Ten głucholec był gigantyczny, o kilka głów wyższy od tego, którego poskromiłem. Chociaż się garbił, i tak niemal szorował czaszką po suficie. Znajdował się jakieś siedem metrów dalej, miał szeroko rozwartą paszczę i wywijał jęzorami w powietrzu. Emma wyprzedziła mnie o kilka kroków i wyciągnęła rękę, wskazując coś dłonią z jasnym płomieniem.

— Tam! — krzyknęła. — Patrz!

Co oczywiste, nie dostrzegła głucholca, tylko to, do czego zmierzał. W tym momencie ja również zobaczyłem kobietę, zawieszoną do góry nogami i obracającą się niczym poleć wołowiny. Czarna spódnica opadła jej na głowę, ale mimo to i panującego półmroku rozpoznałem pannę Wren.

Addison wisiał tuż przy niej. Oboje walczyli, dławiąc się, a głucholec był tuż obok. Jego jęzory wysuwały się ku nim, otoczyły ramiona panny Wren, wciągały ją do paszczy.

— STÓJ! — wrzasnąłem, najpierw po angielsku, potem chrapliwym językiem zrozumiałym dla głucholca.

Krzyknąłem ponownie i jeszcze raz, aż wreszcie zamarł, ale wcale nie dlatego, że przejąłem nad nim kontrolę. Głucholec nagle uznał, że jestem bardziej interesującą zwierzyną.

Puścił ymbrynkę, która zakołysała się jak wahadło, i skierował jęzory na mnie.

— Odetnij pannę Wren, a ja odciągnę głucholca — powiedziałem do Emmy.

Odsuwałem się od panny Wren, przez cały czas przemawiając do potwora. Chciałem oddalić się z nim od ymbrynki i skupić na sobie całą jego uwagę.

„Zamknij pysk. Siad. Leżeć”.

Gdy szedłem, głucholec odwrócił się od panny Wren — „bardzo dobrze” — a potem ruszył za mną.

W porządku. I co dalej?

Wsunąłem dłonie do kieszeni. W jednej trzymałem resztki palca Matki Pył, a w drugiej sekret: fiolkę ambro, którą podwędziłem z poprzedniego pomieszczenia, kiedy Emma nie patrzyła. Zabrałem fiolkę w chwili słabości, gdy zabrakło mi wiary we własne siły. Uznałem, że mogę nie poradzić sobie sam, a wówczas przyda mi się coś na pokrzepienie.

„Siad” — powiedziałem. „Stój”.

Zamachnął się na mnie jednym z jęzorów. Pochyliłem się za manekinem, a jęzor owinał się wokół niego, uniósł go i cisnął nim o ścianę. Manekin roztrzaskał się na kawałki.

Odskakując przed drugim ozorem, rąbnąłem goleniami o przewrócone krzesło. Jęzor strzelił w pustą podłogę, tam, gdzie przed chwilą stałem. Głucholec bawił się teraz ze mną, ale nie wątpiłem, że wkrótce zechce mnie zabić. Musiałem coś zrobić, a w grę wchodziły tylko dwie opcje: fiolka i palec.

W żadnym razie nie mogłem przejąć kontroli nad głucholcem bez spotęgowania swoich możliwości porcją ambrozji. Co się tyczyło palca Matki Pył, nie miałem szansy wystrzelić go przed siebie, a w dodatku zgubiłem maskę. Gdybym użył palca, uspiłbym sam siebie, co byłoby kompletnie bez sensu.

Gdy kolejny jęzor trzasnął o podłogę obok mnie, wśliznąłem się pod stół i wyjąłem z kieszeni fiolkę. Otworzyłem ją drżącymi ze zdenerwowania rękami. Zastanawiałem się, czy dzięki tej substancji stanę się bohaterem, czy niewolnikiem. Czy jedna fiołka naprawdę mogła uzależnić na całe życie? I co jest gorsze: uzależnienie i zniewolenie czy śmierć w żołądku głucholca?

Stół nagle się poderwał i odfrunął, a ja zerwałem się na równe nogi. „Dość, dość!” — krzyczałem, odskakując do tyłu przed jęzorami głucholca, którymi niecelnie usiłował mnie chłostać.

W pewnej chwili uderzyłem plecami o ścianę i dotarło do mnie, że nie mam już dokąd uciec.

Jeden z jęzorów rąbnął mnie w brzuch, a potem się rozwinął i skierował ku mojej szyi. Zamiast uciec, tkwiłem w miejscu, bez tchu, oszołomiony i zgięty wpół. Nagle rozległo się wściekłe warknięcie, którego nie wydał z siebie głucholec, a później jakieś zwierzę donośnie zaszczekało.

Addison.

Jęzor, który już niemal otoczył moją szyję, zeszywniał jakby z bólu i cofnął się raptownie. Zrozumiałem, że dzielny mały bokser ugryzł głucholca. Warcząc i ujadając, zaatakował dwadzieścia razy większego, niewidzialnego potwora.

Osunąłem się na podłogę, nadal oparty plecami o ścianę, a moje płuca wypełniły się powietrzem. Gotowy na wszystko sięgnąłem po fiolkę. Było dla mnie jasne, że bez niej nie mam szans. Wyciągnąwszy zatyczkę, uniosłem buteleczkę powyżej oczu i odchyliłem głowę.

Wtedy ktoś wypowiedział moje imię.

— Jacob.

Głos dobiegał z ciemności, zabrzmiał zaledwie kilka kroków ode mnie.

Odwróciłem się. Na podłodze, wśród sterty rupieci, leżała pani Peregrine, posiniaczona i związana. Było jasne, że próbuje coś powiedzieć, ale nie pozwalała jej na to dojmujący ból albo oszołomienie narkotykowe. Znajdowała się jednak tuż obok i przenikliwie patrzyła na mnie zielonymi oczami.

— Niech pan tego nie robi — powiedziała cicho. — Nie warto.

Jej głos był ledwie słyszalny, jakby docierał z oddali.

— Pani Peregrine!

Przeszedłem się do niej na czworakach, zakorkowawszy wcześniej fiolkę. Pani Peregrine, święta wśród osobliwców, moja druga matka, spoczywała teraz na podłodze, ranna, może umierająca.

— Niech pani powie, że nic pani nie jest — poprosiłem.

— Odłóż to — zażądała, zapominając o formalnościach. — Nie potrzebujesz tego.

— Owszem, potrzebuję. Nie jestem taki jak on.

Oboje wiedzieliśmy, o kogo mi chodziło — o dziadka.

— Jesteś — upierała się. — Masz już wszystko, co niezbędne. Odłóż fiolkę i weź to.

Skinęła głową, wskazując leżący między nami nierówny kawałek drewna z połamanego krzesła.

— Nie dam rady. To nie wystarczy.

— Wystarczy — zapewniła mnie. — Celuj w oczy.

— Nie dam rady — powtórzyłem, ale odłożyłem fiolkę i sięgnąłem po ostro zakończony palik.

— Grzeczny chłopak — wyszeptwała. — A teraz zrób z tym coś paskudnego.

— Dobrze — odparłem.

Uśmiechnęła się i znów opuściła głowę na podłogę.

Wstałem z determinacją, zaciskając kołek w dłoni. Po drugiej stronie pomieszczenia Addison mocno wbijał zęby w jeden z języków głucholca i ujeżdżał go jak kowboj na rodeo. Warczał donośnie, podczas gdy głucholec miotał nim na lewo i na prawo. Emma rozcięła sznur oplatający pannę Wren i strzegła jej teraz, wymachując na oślep płonącymi dłońmi.

Głucholec gruchnął Addisonem o sterczący nieopodal słup i pies osunął się bezwładnie. Ruszyłem w kierunku potwora, biegnąc najszybciej jak się dało wśród porzrzucanych kończyn. On jednak wydawał się bardziej zainteresowany Emmą, zupełnie jak ćma płomieniem. Był coraz bliżej niej, więc krzyknąłem, najpierw po angielsku: „Ej, tutaj!”, a potem po głucholsku: „Chodź i mnie dorwij, sukinsynu!”

Chwyciłem pierwszą lepszą rzecz pod ręką — tak się złożyło, że akurat rękę — i nią rzuciłem. Odbiła się od pleców głucholca, a wtedy odwrócił się do mnie.

„Chodź i mnie dorwij, chodź i mnie dorwij”.

Przez chwilę wydawał się skołowany, a to wystarczyło, żebym podszedł do niego, nie narażając się na schwytanie jednym z jęzorów. Raz i drugi dźgnąłem głucholca drewnianym kołkiem w pierś, ale zareagował tak, jakby użądliła go pszczoła, i tyle. Potem jęzorem obalił mnie na podłogę.

„Dość, dość, dość!” — krzyczałem po głucholsku, rozpaczliwie próbując znaleźć słowa, które do niego dotrą.

Bestia wydawała się jednak całkowicie odporna i niewrażliwa na moje polecenia. Nagle przypomniałem sobie o palcu, małym kawałku pylistej kredy w mojej kieszeni. Gdy po niego sięgnąłem, poczułem, że jęzor owija się wokół mnie, i uniosłem się w powietrze. Słyszałem krzyki Emmy, która żądała, żeby mnie odstawił. Wrzeszczał także Caul.

— Nie zjadaj go! — ryczał chrapliwie przez głośniki. — Jest mój!

Wyciągnąłem z kieszeni palec Matki Pył, a głucholec wpakował mnie do swojej otwartej paszczy.

Byłem uwięziony od kolan do klatki piersiowej między zębiskami głucholca, które wrzynały mi się w ciało. Szczęki potwora rozwierały się szybko, żeby mnie pochłonąć.

To miał być mój ostatni wyczyn, moja ostatnia chwila. Zmiażdżyłem palec w dłoni i wcisnąłem go w gardło głucholca, a przynajmniej taką miałem nadzieję. W tym czasie Emma biła go i przypalała. Nagle, nim zdążył zamknąć paszczę i przeciąć mnie na pół, zaczął się krztusić. Dławiąc się, zrobił krok do tyłu i ruszył z powrotem do otworu w podłodze, z którego wypełzył. Zamierzał wrócić do gniazda, żeby

pożreć mnie w spokoju i bez pośpiechu.

Próbowałem go powstrzymać krzykiem („Puszczaj!”), ale gryzł mnie coraz mocniej. Ból był tak oszałamiający, że nie mogłem myśleć. Wkrótce znaleźliśmy się nad uchyloną kratą w podłodze i głucholec zaczął ześlizgiwać się pod ziemię. Ze mną w paszczy nie mógł jednak chwycić się szczebli, więc spadał i spadał, nieustannie się krztusząc, a ja, nie wiadomo dlaczego, nadal żyłem.



Uderzyliśmy o dno z ogromną mocą. Byłem pewien, że słyszę trzask łamanych kości. Obaj straciliśmy dech w piersiach, a z płuc głucholca wydobył się cały usypiający pył, który mu zaaplikowałem. Otoczyła nas chmura kurzu, który tłumiał mój ból i wyciszał mózg. Chyba tak samo wpływał na głucholca, gdyż stwór przestał mnie gryźć, a jego szczęki się rozluźniły.

Kiedy tak leżeliśmy, otępiali i znieczuleni, szybko pogrążając się we śnie, ujrzałem przed sobą wilgotny i ciemny tunel wypełniony kośćmi, ledwie widoczny przez chmurę białych drobinek zawieszonych w powietrzu. Ostatnie, co ujrzałem, nim zapadłem w sen, była chmara zmierzających ku nam przygarbionych, ciekawskich głucholców.



ROZDZIAŁ ÓSMY



Ocknąłem się, co samo w sobie było dość niezwykle, zważywszy na okoliczności.

Znajdowałem się w jamie głucholców, a dookoła mnie leżało pokotem wiele z nich. Albo nie żyły, albo — co bardziej prawdopodobne — nawdychały się resztek kurzu z małego palca Matki Pył i w rezultacie zaległy w plątaniu śmierdzących, chrapiących i w większości nieprzytomnych potworów.

W myślach odmówiłem dziękczynną modlitwę do Matki Pył, a następnie, coraz bardziej zaniepokojony, zacząłem się zastanawiać, jak długo tu jestem. Godzinę? Dzień? Co się stało ze wszystkimi na górze?

Musiałem stąd zniknąć. Kilku głucholców powoli wybudzało się ze snu, podobnie jak ja, ale jeszcze nie oprzytomniały. Wstałem z ogromnym wysiłkiem. Moje obrażenia najwyraźniej nie były zbyt poważne, a kości się nie połamały. Zachwiałem się, kiedy dopadły mnie zawroty głowy, ale udało mi się odzyskać równowagę i ruszyłem przez stos głucholców.

Niechcący kopnąłem jednego z nich w głowę, a wtedy nagle oprzytomniał, stęknął i otworzył oczy. Zamarłem w przekonaniu, że jeśli pobiegnę, to z pewnością rzuci się za mną w pościg. Chyba mnie zauważył, ale nie potraktował ani jako zagrożenia, ani jako potencjalnego posiłku, gdyż znowu zamknął oczy.

Szedłem dalej, ostrożnie stawiając jedną nogę przed drugą, aż udało mi się minąć dywan z głucholców i dotrzeć do ściany. W tym miejscu kończył się tunel, a wyjście znajdowało się nade mną. Szyb miał jakieś trzydzieści metrów wysokości i kończył się prowadzącym do graciarni wlotem. Dostrzegłem uchwyty, które jednak umieszczono w dużej odległości od siebie. Były idealne dla chwytnych jęzorów głucholców, nie dla ludzkich rąk i stóp. Patrzyłem w górę na krąg przyćmionego światła, w nadziei, że pojawi się tam przyjazna twarz, ale nie ośmieliłem się wołać o pomoc.

W desperacji podskoczyłem, drapiąc po twardej ścianie w poszukiwaniu pierwszego uchwytu, i jakoś mi się udało go złapać. Podciągnąłem się i nagle uświadomiłem sobie, że jestem ponad trzy metry nad ziemią. („Jakim cudem?”) Skoczyłem ponownie i sięgnąłem do następnego uchwytu, i kolejnego. Wspinałem się w górę szybu, nogi wynosiły mnie wyżej, a ręce sięgały dalej niż to było możliwe. „Szaleństwo” — pomyślałem. Po chwili znalazłem się na górze, wystawiłem głowę i wskoczyłem do pomieszczenia.

Nawet się nie zadyszałem.

Rozejrzałem się dookoła, a kiedy dostrzegłem światełko Emmy, ruszyłem w tamtym kierunku po

zagraconej podłodze. Próbowiałem krzyknąć, ale nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa. Nieważne — była tam, po drugiej stronie otwartych szklanych drzwi, w biurze. Warren znajdował się z mojej strony, przywiązany do krzesła, na którym wcześniej siedziała panna Glassbill. Kiedy podszedłem, jęknął ze strachem i się przewrócił. W drzwiach pokazały się twarze, podejrzliwe i zaciekawione — ujrzałem Emmę, panią Peregrine, Horace'a, a za nimi także inne ymbryny oraz przyjaciół. Wszyscy byli cali i zdrowi. Udało im się opuścić cele, ale zostali ponownie uwięzieni tutaj, za pancernymi drzwiami bunkra Caula. Upiory chwilowo im nie zagrażały, lecz znaleźli się w pułapce.

Na ich twarzach widniał strach, a im bliżej podchodziłem do szyby, tym bardziej wydawali się przerażeni. „To ja” — próbowałem powiedzieć, ale słowa nie zabrzmiały jak powinny i moi przyjaciele odskoczyli.

„To ja, Jacob!”

Usiłowałem mówić po angielsku, jednak wydałem z siebie tylko chrapliwy warkot. Z moich ust wysunęły się trzy długie, grube jęzory, które zafalowały w powietrzu przede mną. Nagle usłyszałem, jak jeden z moich przyjaciół — Enoch, to był Enoch — powiedział głośno to, co właśnie do mnie dotarło:

— To głucholec!

„Nieprawda” — usiłowałem zaprotestować. „Nie jestem głucholcem” — ale wszystkie dowody świadczyły o czymś wręcz przeciwnym. Nie wiadomo, w jaki sposób stałem się jednym z nich. Przemieniłem się po pogryzieniu, jak wampir, albo zostałem zabity, zjedzony i przetworzony, po czym odrodziłem się w innym wcieleniu. „Boże, Boże, to niemożliwe...”.

Próbowałem wyciągnąć do nich ręce, jakoś dać się rozpoznać jako człowiek teraz, gdy mowa mnie zawiodła, ale wyciągałem wyłącznie języki.

„Przepraszam, przepraszam, nie wiem, jak tym kierować...”.

Emma na ślepo zamachnęła się ręką i trafiła. Przeszył mnie nagły, okropny ból.

A potem się obudziłem. Ponownie.

Lub raczej, wstrząśnięty nagłym bólem, ocknąłem się w swoim poranionym ludzkim ciele. Nadal leżałem w ciemnościach, tkwiłem w rozluźnionej paszczy uspiętego głucholca, a mimo to jednocześnie byłem głucholcem na górze i chowałem zraniony jęzor z powrotem do pyska, chwiejnym krokiem odsuwając się od drzwi. Znajdowałem się zarazem we własnym umyśle i w mózgu potwora. Odkryłem, że kontroluję oba — mogłem jednocześnie podnieść własną rękę i głucholca, odwrócić swoją głowę i jego łeb, a w dodatku robiłem to wszystko bez słowa, jedynie myślą.

Nawet nie próbując się skoncentrować, bez wysiłku zapanowałem nad głucholcem (patrząc jego oczami, czując przez jego skórę) do tego stopnia, że przez jakiś czas czułem się jak prawdziwy głucholec. Później jednak rozgraniczenie coraz bardziej dawało mi się we znaki. Byłem kruchym poranionym chłopcem, otoczonym głęboko w jamie półprzytomnymi potworami. Budziły się wszystkie z wyjątkiem tego, który sprowadził mnie tutaj w swoich szczękach (miał tyle pyłu w organizmie, że mógłby spać latami), i siadały, próbując oprzytomnieć.

Nie wydawały się zainteresowane uśmierceniem mnie. Przyglądały mi się spokojnie, ze skupieniem, siedząc w półkolu niczym grzeczne dzieci, które chcą wysłuchać bajki. Czekają na to, co im powiem.

Wytoczyłem się ze szczęk głucholca na podłogę. Mogłem siedzieć, ale byłem zbyt obolały, żeby podźwignąć się na nogi. Stwory jednak mogły wstać.

„Wstańcie”.

Nie powiedziałem tego na głos, nawet nie pomyślałem. Poczułem się tak, jakbym to robił, choć to było polecenie. Jedenaście głucholców stanęło przede mną w tym samym momencie. To oczywiście było zdumiewające, a jednak czułem głęboki spokój. Odprężyłem się niemal całkowicie. Nasze umysły wyłączyły się jednocześnie i ponownie się ocknęły w pełnej harmonii, zupełnie jakby nastąpił zbiorowy reset. To sprawiło, że nieświadomie wniknąłem do istoty swojej mocy i dotarłem do umysłów głucholców w chwili, gdy stwory były całkiem bezbronne.

Teraz miałem je wszystkie w garści. Stały się marionetkami, które byłem w stanie kontrolować, pociągając za niewidzialne sznurki. Ale jak daleko mogłem się posunąć? Gdzie była granica? Nie wiedziałem też, iloma głucholcami mogłem kierować jednocześnie i nie zdradzić się z tym.

Żeby poznać prawdę, rozpocząłem zabawę.

Głucholcowi w pomieszczeniu na górze poleciłem się położyć.

Położył się.

Tym przed sobą kazałem podskoczyć.

Podskoczyły.

Teraz rozróżniałem dwie grupy: samotnika na górze i gromadę przede mną. Spróbowałem kontrolować każdego z osobna, zmusić tylko jednego z nich do uniesienia dłoni. Przypominało to trochę poruszanie jednym palcem u stopy bez unoszenia pozostałych, trudne, ale nie niemożliwe, i wkrótce zdołałem to opanować. Im mniej świadomie się starałem, tym łatwiej mi to przychodziło. Odkryłem, że najlepiej jest po prostu wyobrazić sobie czynność, którą mają wykonać głucholce.

Kazałem im pobiec do zawalonego resztkami trupów tunelu, a potem podnosić jęzorami kości i rzucać nimi do siebie. Najpierw kierowałem jednym głucholcem, potem dwoma, trzema i czterema, aż wreszcie udało mi się zapanować nad sześcioma. Dopiero kiedy kazałem temu na górze wstać i robić pajacyki, głucholce na dole zaczęły chybiać.

Chyba nie zabrzmiało to jak przechwałka, jeśli powiem, że świetnie mi szło, całkiem jakbym był do tego stworzony. Wiedziałem, że mając więcej czasu na praktykę, zostałem mistrzem. Mógłbym kierować obiema drużynami głucholców podczas meczu koszykówki. Mógłbym kazać im zatańczyć dowolną partię w *Jeziorku łabędzim*, ale nie miałem czasu na trening — tyle musiało wystarczyć. Zebrałem więc wszystkie głucholce wokół siebie, a następnie kazałem najsilniejszemu wziąć mnie na barana i przytrzymać jęzorem. Potem członkowie mojej małej armii potworów ruszyli wielkimi susami w górę szybu, do pomieszczenia na górze.

Lampy pod sufitem były zapalone. W ich ostrym świetle zauważyłem, że w pomieszczeniu pozostały tylko manekiny i modele. Wszystkie ymbryniki zniknęły. Szklane drzwi do pokoju obserwacyjnego były zamknięte. Kazałem głucholcom poczekać, a sam popędziłem swojego wierzchowca w stronę szyby i zawołałem przyjaciół, tym razem własnym głosem i po angielsku.

— To ja, Jacob!

Podbiegli do drzwi i zobaczyłem ich twarze.

— Jacob! — Szkło tłumiło głos Emmy. — Żyjesz!

Zauważyłem, że miała dziwną minę, jakby nie mogła zrozumieć, co widzi. Po chwili domyśliłem się, dlaczego tak na mnie patrzyła: dosiadałem głucholca, co w jej oczach wyglądało tak, jakbym fruwał nad ziemią.

— Wszystko w porządku — zapewniłem ją. — Jadę na głucholcu! — Klepnąłem go w ramię, aby udowodnić, że mam pod sobą coś namacalnego. — Jest całkowicie pod moją kontrolą, tak jak cała reszta.

Kazałem jedenastu głucholcom podejść bliżej i zatupać na dowód obecności. Moi zdumieni przyjaciele otworzyli szeroko usta.

— Czy to naprawdę ty, Jacob? — zapytała Olive.

— Co to znaczy, że są pod twoją kontrolą? — chciał wiedzieć Enoch.

— Masz krew na koszuli! — zauważyła Bronwyn.

Uchylili szklane drzwi na tyle szeroko, żebyśmy mogli swobodnie rozmawiać. Wyjaśniłem, jak wpadłem do jamy głucholców, jak niewiele brakowało, by jeden z nich przegryzł mnie na pół, jak zasnąłem ogłuszony i jak obudziłem się z tuzinem głucholców pod swoją kontrolą. Żeby ponownie to udowodnić, kazałem potworom podnieść Warrena razem z krzesłem, do którego był przywiązany, i podrzucić kilka razy. Krzesło wywinęło parę kół w powietrzu przy wtórze wiwatów dzieci i jęków Warrena, któremu najwyraźniej zrobiło się niedobrze. W końcu pozwoliłem głucholcom go odstawić.

— Gdybym nie widział tego na własne oczy, w życiu bym nie uwierzył — oświadczył Enoch. — Nawet za milion lat!

— Jesteś fantastyczny! — rozległ się cienki głosik i zobaczyłem Claire.

— Niech ci się przyjrzę — powiedziałem.

Kiedy jednak podszedłem do otwartych drzwi, cofnęła się spłoszona. Choć osobliwcy byli oszołomieni tym, co potrafię, przewyciężenie naturalnego strachu przed głucholcami nie przychodziło im łatwo, a zapach prawdopodobnie nie pomagał.

— Nic ci nie grozi — podkreśliłem. — Słowo.

Olive pewnym krokiem podeszła do drzwi.

— Ja się nie boję — oznajmiła.

— Ja też nie — zawtórowała jej Emma. — Ja pierwsza.

Przekroczyła próg i podeszła do mnie. Kazałem głucholcowi uklęknąć, odchyliłem się i nieco niezręcznie objąłem Emmę.

— Wybacz, nie dam rady utrzymać się na nogach — wymamrotałem tuż przy jej policzku.

Moje zamknięte powieki dotykały jej miękkich włosów. To było za mało, ale na razie musiało wystarczyć.

— Jesteś ranny. — Odsunęła się, żeby lepiej mi się przyjrzeć. — Wszędzie masz skaleczenia, i to głębokie.

— Nic mnie nie boli. Pył nadal działa...

— To znaczy, że jesteś znieczulony, nie wyleczony.

— Potem się nad tym zastanowię. Jak długo mnie nie było?

— Kilka godzin — wyszeptwała. — Myśleliśmy, że nie żyjesz.

Dotknąłem jej czoła swoim.

— Przecież ci obiecałem, pamiętasz?

— Musisz obiecać mi coś jeszcze. Przestań mnie tak straszyć.

— Zrobię, co w mojej mocy — odparłem.

— Nie. Obiecuj.

— Kiedy to się skończy, obiecuję ci wszystko, co zechcesz.

— Na pewno nie zapomnę — zapowiedziała.

W drzwiach pojawiła się pani Peregrine.

— Oboje lepiej tu wejdźcie i zostawcie potwora na zewnątrz, z łaski swojej — zażądała.

— Pani chodzi! — wykrzyknąłem.

— Tak, zdrowieję — odparła. — Później się tu pojawiłam i to mnie ocaliło. W pewnej mierze pomógł mi także nepotyzm mojego brata. Nie wszystkie ymbrynki miały tyle szczęścia.

— Wcale nie zamierzałem cię ocalić, siostrze — rozległ się grzmiący głos Caula w głośnikach. — Po prostu zachowałem najsmaczniejsze danie na koniec!

— Zamknij się! — wrzasnęła Emma. — Kiedy cię znajdziemy, głucholce Jacoba zeżrą cię na śniadanie!

— Bardzo w to wątpię — roześmiał się Caul. — Chłopcze, najwyraźniej cię nie doceniłem, ale nie daj się zwieść. Jesteście otoczeni, nie ma drogi ucieczki. Tylko odwlekacie nieuchronne. Jeśli jednak teraz się poddadacie, mogę rozważyć oszczędzenie kilkorga z was...

Nakazałem głucholcom wystrzelić jęzory w kierunku głośników, wyrwać je z sufitu i rozbić o podłogę. Druty i elementy sprzętu rozprysnęły się po całym pomieszczeniu, a Caul umilkł.

— Kiedy go znajdziemy, najpierw wyrwę mu paznokcie, a dopiero potem go zabijemy — zapowiedział Enoch. — Ktoś ma z tym problem?

— Nie, jeśli będę mógł wcześniej posłać mu eskadrę pszczoł do nosa — oznajmił Hugh.

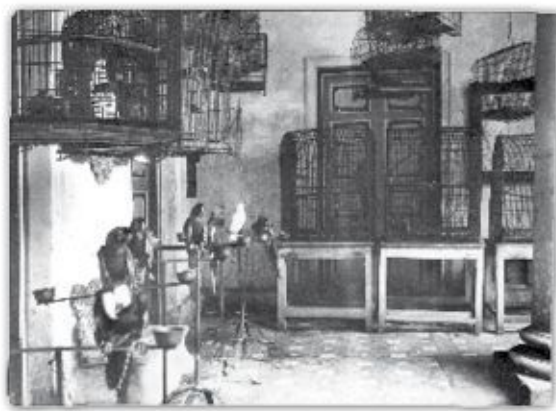
— My tak nie postępujemy — przypomniała im pani Peregrine. — Już po wszystkim zostanie skazany

zgodnie z prawem ymbrynek na gnicie w karnej pętli przez resztę swojego osobliwego życia.

— A co z uciechą dla nas? — spytał Enoch.

Pani Peregrine skarciła go wzrokiem.

Kazałem głucholcowi mnie opuścić i z pomocą Emmy pokuśtykałem do pokoju obserwacyjnego za szybą. Byli tam wszyscy moi przyjaciele, z wyjątkiem Fiony. Wzdłuż ścian i na krzesłach widziałem blade, wystraszone twarze obserwujących mnie ymbrynek.



Zanim do nich podszedłem, przyjaciele stanęli mi na drodze. Przytulali mnie, podtrzymując moje chwiejne ciało, a ja poddałem się uściskom. Od dawna nie czułem się tak dobrze.

Addison przydreptał z taką godnością, na jaką mógł się zdobyć, zważywszy na dwie poranione łapy. Natychmiast oderwałem się od przyjaciół, żeby go powitać.

— Już dwukrotnie mnie ocaliłeś. — Położyłem dłoń na jego łbie. — Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

— Możesz zacząć od wydostania nas z tej przekłetej pętli — warknął. — Żałuję, że w ogóle pokonałem ten most!

Ci, którzy go słyszeli, wybuchnęli śmiechem. Może ze względu na swoją psią naturę, Addison nigdy nie owijał w bawełnę i mówił to, co leżało mu na sercu.

— Chyba nigdy nie widziałem tak odważnego numeru jak ten z ciężarówką — wyznałem.

— Pojmali mnie, gdy tylko wdarłem się do twierdzy. Obawiam się, że wszystkich was zawiodłem.

Za ciężkimi drzwiami coś donośnie huknęło i całe pomieszczenie się zatrzęsło. Drobne przedmioty

pospadały z półek.

— Upiory usiłują wysadzić drzwi — wyjaśniła mi pani Peregrine. — I to już od dłuższego czasu.

— Damy sobie z nimi radę — odparłem. — Najpierw jednak chcę wiedzieć, kogo brakuje. Kiedy otworzymy drzwi, sytuacja wymknie się spod kontroli, więc jeśli na terenie twierdzy znajdują się jeszcze jacyś osobliwcy w potrzasku, chcę o nich pamiętać podczas walki.

Było tak ciemno i tłoczno, że postanowiliśmy zorganizować apel. Dwukrotnie sprawdziłem listę, wywołując imiona przyjaciół, aby mieć absolutną pewność, że wszyscy są na miejscu. Potem zapytałem o osobliwców zabranych wraz z nami z lodowego domu panny Wren: o klauna (wrzuconego do przepaści przy twierdzy, jak powiedziała nam rozsłochana Olive, za odmowę wykonywania rozkazów upiorów), o człowieka-szczoryka (pozostawionego w ciężkim stanie w metrze), o telekinetyczną Melinę (była na górze, nieprzytomna po odsączeniu części duszy) i o ślepych braci (to samo). Zostały jeszcze dzieci uratowane przez pannę Wren: pospolitej urody chłopak w wygniecionym kapeluszu i zaklinaczka węży, dziewczyna o mocno kręconych włosach. Bronwyn oznajmiła, że widziała, jak prowadzono ich do innej części twierdzy, gdzie przetrzymywano pozostałych osobliwców.

Na koniec przeliczyliśmy ymbrynki. Naturalnie była pani Peregrine. Od uwolnienia dzieci nie odstępowały jej na krok. Miałem jej tak wiele do powiedzenia — o tym, co się zdarzyło od naszego ostatniego spotkania, i o tym, co przytrafiło się jej. I choć nie było czasu na rozmowę, porozumiewaliśmy się bez słów w tych przelotnych momentach, gdy krzyżowały się nasze spojrzenia. Patrzyła na mnie i na Emmę z dumą oraz podziwem. „Ufam wam” — wyczytywałem w jej oczach.

Choć jednak bardzo nas cieszył widok pani Peregrine, nie była jedyną ymbrynką, którą musieliśmy się przejmować. Oprócz niej pozostało ich jeszcze jednaście. Panna Wren, którą Emma odcięła spod sufitu, była ranna, lecz przytomna. Panna Glassbill wciąż gapiła się bezmyślnie w przestrzeń. Najstarsza, panna Avocet, niewidziana od dnia, w którym wraz z panią Peregrine porwano ją na Cairnholm, zajęła krzesło nieopodal drzwi. Panna Bunting, panna Treecreeper i kilka innych skakały nad nią, poprawiając koce na jej ramionach.

Niemal wszystkie wydawały się przestraszone, bardzo nietypowo jak na ymbrynki. Miały być naszymi mentorkami i przywódczyniami, a tymczasem tygodniami tkwiły w niewoli i doświadczyły rzeczy, po których nie mogły wyjść z szoku. (Poza tym nie podzielały wiary moich przyjaciół w to, że jestem w stanie zapanować nad tuzinem głucholców, i trzymały się od nich tak daleko, jak na to pozwalały rozmiary pomieszczenia).

Została jeszcze jedna osoba, której nie wymieniłem — brodaty, drobny mężczyzna, który stał w milczeniu obok ymbrynek, obserwując nas przez ciemne okulary.

— A to kto? — zapytałem. — Upiór?

— Skąd! — oburzył się nieznajomy, a następnie ściągnął okulary i zobaczyliśmy jego wyjątkowo zezowate oczy. — Jestem nim! — oświadczył mocnym włoskim akcentem.

Na stoliku obok mężczyzny leżała duża, oprawiona w skórę księga. Wskazał ją, jakby wyjaśniała jego

tożsamość.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. To był Millard, znowu niewidzialny, bez więziennego uniformu.

— Pozwolę sobie przedstawić najskrytniejszego kartografa czasowego w historii — oznajmił z namaszczeniem. — Jacob, oto Perplexus Anomalous.

— *Buongiorno* — powiedział Perplexus. — Jak się miewasz?

— To zaszczyt pana poznać — odparłem.

— I owszem — odparł, zadzierając nosa. — Nie byle jaki.

— Co on tu robi? — wyszeptałem do Millarda. — I dlaczego wciąż żyje?

— Caul znalazł go w czternastowiecznej weneckiej pętli, o której nikt nie wiedział. Ponieważ jednak jest tu już od dwóch dni, wkrótce zapewne bardzo się zestarzeje.

O ile dobrze rozumiałem zawilóści pętli, Perplexusowi groziło przyspieszone starzenie się, gdyż pętla, w której żył, była znacznie starsza od tej, w której przebywaliśmy, więc różnica czasu wkrótce musiała się na nim odbić.

— Jestem pańskim największym wielbicielem — zwrócił się Millard do Perplexusa. — Mam wszystkie pańskie mapy...

— Tak, już mówiłeś — przerwał mu Perplexus — *Grazie*.

— To nadal nie wyjaśnia, co on tu robi — zauważyła Emma.

— Perplexus napisał w dziennikach o odnalezieniu biblioteki dusz — wyjaśnił Millard. — A wtedy Caul go wytropił, porwał i zmusił do wyjawienia, gdzie ona jest.

— Poprzysiągłem na krew, że nigdy tego nie zdradzę — odezwał się smętnie Perplexus. — Teraz mnie przekląło na wieki!

— Perplexus musi wrócić do siebie, nim się zestarzeje — podkreślił Millard. — Nie chcę być odpowiedzialny za utratę największego żywego skarbu osobliwców!

Za drzwiami rozległ się następny huk, jeszcze potężniejszy i donośniejszy niż poprzedni. Pomieszczenie zadrżało, a na nasze głowy posypały się odłamki z sufitu.

— Zrobimy, co w naszej mocy, mój drogi — powiedziała pani Peregrine. — Ale najpierw musimy dopilnować innych spraw.

* * *

Szybko opracowaliśmy plan działania: należało gwałtownie otworzyć wielkie drzwi i wykorzystać głuchołce do oczyszczenia drogi. Nieźle dawały sobie radę i mogliśmy pozwolić sobie na utratę kilku sztuk, do tego moja zdolność do kontaktu z nimi się nasilała. Wołałem się nie zastanawiać nad tym, co ewentualnie pójdzie nie tak, jak trzeba. Chcieliśmy znaleźć Caula, przede wszystkim jednak zależało nam na wydostaniu się żywcem z twierdzy.

Wprowadziłem moje głuchołce do pomieszczenia obserwacyjnego. Wszyscy się rozstąpili,

przyciskając plecy do ścian i zatykając nosy, kiedy stwory przechodziły obok i stawały przy ciężkich drzwiach. Największy z nich przykląkł, a ja ponownie na nim usiadłem, przez co musiałem się garbić, żeby nie walić głową w sufit.

Słyszeliśmy dobiegające z korytarza głosy upiorów, które bez wątpienia podkładały kolejną bombę. Postanowiliśmy poczekać na jej zdetonowanie i dopiero potem wyjść, więc chwilowo pozostało nam tylko stać w pełnym napięcia milczeniu.

W końcu Bronwyn przerwała niepokojącą ciszę.

— Myślę, że Jacob powinien coś nam powiedzieć — oświadczyła.

— Niby co? — Dałem sygnał mojemu wierzchowcowi, żeby się odwrócił przodem do wszystkich.

— Masz poprowadzić nas do boju — zauważyła Bronwyn. — Chcemy wysłuchać przemówienia dowódcy.

— Ma być inspirujące — dodał Hugh.

— I takie, żebyśmy choć trochę przestali się bać — dodał Horace.

— To straszna presja — westchnąłem z przejęciem. — Nie wiem, czy dzięki temu ktokolwiek poczuje przypływ odwagi, ale zastanawiałem się nad pewną kwestią. Znam was zaledwie od kilku tygodni, jednak mam wrażenie, że znacznie dłużej. Jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi. To dziwne, że dwa miesiące temu byłem w domu i nawet nie wiedziałem o waszym istnieniu. I miałem dziadka.

Z korytarza dobiegły stłumione głosy i stukot metalowego przedmiotu rzuconego na podłogę.

— Tęsknię za nim każdego dnia, ale pewna bardzo mądra przyjaciółka powiedziała mi kiedyś, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu — ciągnąłem głośnie. — Gdybym nie stracił dziadka, nigdy bym was nie odnalazł, więc pewnie musiałem stracić część rodziny, żeby zyskać inną. W każdym razie tak się przy was czuję: jak w rodzinie. Jak jeden z was.

— Bo jesteś jednym z nas — zauważyła Emma. — Należysz do naszej rodziny.

— Kochamy cię, Jacob — pisnęła Olive.

— Cieszę się, że pana poznałam, panie Portman — odezwała się pani Peregrine. — Dziadek byłby z pana dumny.

— Dziękuję. — Czuję się coraz bardziej wzruszony i zakłopotany.

— Jacob, mogę ci coś dać? — spytał Horace.

— Jasne — odparłem.

Inni czując, że to prywatna sprawa, zaczęli mamrotać między sobą.

Horace podszedł do głucholca najbliżej jak zdołał i lekko się trzęsąc, wyciągnął złożony kawałek tkaniny. Pochyliłem się i wyjąłem ją z jego dłoni.

— To szalik — wyjaśnił Horace. — Pani Peregrine przemyciła dla mnie druty i zrobiłem go w celi. Chyba tylko dzięki temu nie zwariowałem.

Podziękowałem mu i rozłożyłem szalik. Był prosty, szary, z frędzlami na końcach, ale wykonany fachowo i nawet opatrzony inicjałami JP w rogu.

— O rany, Horace, to...

— To nie jest dzieło sztuki — przerwał mi. — Gdybym miał książkę z wzorami, wyszłoby lepiej.

— I tak jest niesamowity — oznajmiłem. — Ale skąd wiedziałeś, że w ogóle się zobaczymy?

— Przyśniło mi się to — odparł ze wstydliwym uśmiechem. — Będiesz go nosił? Wiem, że nie jest zimno, ale... na szczęście?

— Jasne. — Niezręcznie omotałem sobie szalik wokół szyi.

— Nie, to się nie będzie trzymało. Trzeba tak.

Złożył szalik w połowie, a potem zarzucił mi go na szyję i przełożył końce przez pętlę, dzięki czemu materiał idealnie się ułożył, a luźne końce zwisały na koszuli. Nie był to może strój bojowy, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało.

— Śniesz o czymś poza męską modą? — spytała Emma, która do nas podeszła. — Na przykład o tym, gdzie ukrywa się Caul?

Horace pokręcił głową.

— Nie, ale miałem fascynujący sen o znaczkach pocztowych — zaczął.

Zanim zdążył nam go opowiedzieć, na korytarzu rozległ się hałas, jakby w ścianę wjechała śmieciarka. Huk przeniknął nas do szpiku kości, a wielkie drzwi na końcu pomieszczenia eksplodowały. Odłamki wyrwanych zawiasów i szrapnele zryły ściany pokoju, ale na szczęście nikt z nas nie stał na ich drodze. Zapanowała cisza, a gdy pył opadł, wszyscy powoli się wyprostowali. Mimo dzwonienia w uszach usłyszałem głos dobiegający z głośników:

— Przyślijcie samego chłopaka, a nikomu włos z głowy nie spadnie!

— Jakoś im nie wierzę — mruknęła Emma.

— Zdecydowanie nie — dodał Horace.

— Proszę nawet o tym nie myśleć, panie Portman — powiedziała pani Peregrine.

— Nie myślałem — odparłem. — Wszyscy gotowi?

Usłyszałem twierdzący pomruk i ustawiłem głuchołce po obu stronach drzwi. Potwory rozwarły paszcze i przygotowały jęzory. Już miałem rozpocząć atak z zaskoczenia, gdy z megafonów na korytarzu zabrzmiał głos Caula:

— Kontrolują głuchołce! Wycofać się, wszyscy! Zająć pozycje obronne!

— Niech go szlag! — wrzasnęła Emma.

Na korytarzu rozległ się stukot oddalających się kroków. Nic nie wyszło z naszego niespodziewanego ataku.

— To nieważne — powiedziałem. — Kiedy ma się dwanaście głuchołców, nie trzeba zaskoczenia.

Nadeszła pora na użycie mojej tajnej broni. Zamiast spinać się przed bitwą, całkowicie się odprężyłem i poczułem, że dzielę świadomość między wszystkie swoje głuchołce. Potem, kiedy razem z przyjaciółmi pozostaliśmy z tyłu, warczące stwory z szeroko otwartymi paszczami wybiegły na korytarz przez otwór po wyrwanych drzwiach. Niewidzialne ciała stworów ryły tunele w kłębach dymu po wybuchu bomby.

Lufy pistoletów wyrzucały z siebie błyski ognia, gdy upiory prowadziły ostrzał, jednocześnie się wycofując. Kule świstały przez otwór drzwiowy i kaleczyły ścianę z tyłu, a my kuliliśmy się nerwowo.

— Powiedz, kiedy! — krzyknęła Emma. — Ruszemy na twoją komendę!

Mój umysł znajdował się w dwunastu miejscach jednocześnie, więc nie mogłem wykrztusić ani słowa w odpowiedzi. Byłem nimi, głucholcami na korytarzu, i czułem przenikliwy ból za każdym razem, gdy kula trafiała któregoś z nich.

Nasze języki pierwsze sięgnęły do upiorów, które nie uciekały dostatecznie prędko, oraz do tych odważnych, lecz głupich, które postanowiły walczyć. Tłukliśmy nimi, ile popadło, waliliśmy ich głowami o ściany, a część z nas przystanęła — w tym momencie postarałem się wyłączyć własną wrażliwość — żeby zatopić w upiorach zęby, połknąć ich broń, uciszyć wrzaski i pozostawić ich poharatanych, z ziejącymi ranami.

Stłoczone upiory utkwiliły przy schodach na końcu korytarza i nie mogąc uciekać, ponownie otworzyły ogień. Przeszyła nas druga fala kul, głęboko i boleśnie, lecz mimo to biegliśmy dalej z wywalonymi jęzorami.

Niektóre upiory uciekły przez otwór w podłodze, inne nie miały tyle szczęścia. Gdy przestały wrzeszczeć, rzucaliśmy ich trupy ze schodów. Dwa moje głucholce poległy — ich sygnały zniknęły z mojego umysłu, połączenie się przerwało. Wkrótce korytarz był czysty.

— Teraz! — powiedziałem do Emmy i był to najbardziej skomplikowany przekaz, jaki w tamtej chwili mogłem z siebie wydobyć.

— Teraz! — krzyknęła głośno do reszty grupy. — Tędy!

Skierowałem na korytarz swojego wierzchowca, przywierając do jego szyi, żeby nie spaść. Emma biegła za mną razem z innymi, używając płonących dłoni do sygnalizowania w dymie. Wszyscy razem ruszyliśmy korytarzem: batalion potworów przede mną i armia osobliwców za mną. Na jej czele podążały najsilniejsze i najodważniejsze dzieciaki, czyli Emma, Bronwyn i Hugh. Potem wędrowały ymbrynki i gderający Perplexus, który uparł się wziąć ze sobą ciężką mapę dni. Pochód zamykali nieśmiali, ranni i najmłodsze dzieci.

Korytarz wypełniała woń prochu i krwi.

— Nie patrzcie! — usłyszałem głos Bronwyn, gdy zaczęliśmy mijać zwłoki upiorów.

Policzyłem je w biegu: było ich pięć, sześć, siedem na dwa zabite głucholce. Porównanie wypadło krzepiąco, ale z iloma upiorami mieliśmy tutaj do czynienia? Czterdziestoma, pięćdziesięcioma? Martwiłem się, że jest ich zbyt wiele, abyśmy zdołali je pozabijać. Moje głucholce nie miały też szansy obronić naszej licznej grupy. Bałem się, że na powierzchni upiory z łatwością nas otoczą, zmylą i pokonają. Musiałem zabić ich jak najwięcej, zanim wydobiją się na otwartą przestrzeń, gdyż w bitwie byliśmy skazani na porażkę.

Ponownie skupiłem uwagę na głucholcach. Pierwszy, który właśnie wbiegał po krętych schodach, wyskoczył przez otwór w podłodze i nieoczekiwanie poczułem dojmujący ból, a potem pustkę.

Mój głucholec wpadł w pułapkę.

Następnemu na schodach kazałem podnieść trupa poprzednika i wykorzystać go jako tarczę. Zwłoki przyjęły grad kul, podczas gdy pozostałe głucholce wyskakiwały na powierzchnię. Musiałem szybko odeprzeć upiory, jak najdalej odsunąć je od leżących wszędzie wokół w szpitalnych łóżkach osobliwców. Wystarczyło kilka uderzeń jęzorami, żeby powalić najbliższe upiory i przegnać pozostałe.

Posłałem za nimi swoje głucholce, a my, osobliwcy, wyszliśmy przez otwór w podłodze. Było nas już tylu, że wspólnie mogliśmy szybko i łatwo oswobodzić naszych przykutych do łóżek braci. Rozbiegliśmy się, by sprawniej wykonać zadanie. Co się tyczyło skutego kajdanami szaleńca oraz chłopca, którego zamknęliśmy w szafce, byli bezpieczniejsi bez nas niż z nami. Postanowiliśmy wrócić po nich później.

Moje pozostałe głucholce pognały za upiorami w kierunku wyjścia z budynku. Uciekając, upiory strzelały na oślep, a my chwytałyśmy je jęzorami za pięty, dzięki czemu udało się nam powalić dwa lub trzy, które zginęły szybką, ale straszną śmiercią w zębatach paszczach. Jeden z upiorów ukrył się za ladą, gdzie uzbierał bombę. Głucholec wyrwał go z kryjówki i cisnął wraz z ładunkiem wybuchowym do sąsiedniego pokoju. Po sekundzie bomba eksplodowała, a kolejny głucholec zniknął z mojej świadomości.

Upiory się rozproszyły, ponad połowa uciekła przez okna i boczne drzwi. Umykały nam, walka przenosiła się na zewnątrz. Uwolniliśmy resztę osobliwców na łóżkach i niemal dogoniliśmy głucholce. Bez mojego wierzchowca pozostało ich siedem. Znajdowaliśmy się blisko wyjścia, w pomieszczeniu pełnym koszmarnych przyrządów, i tu należało dokonać wyboru. Zwróciłem się więc z pytaniem do tych, którzy stali najbliżej mnie: do Emmy, pani Peregrine, Enocha i Bronwyn.

— Czy chcecie, żeby głucholce nas ochraniały, kiedy będziemy się przedzierać do wieży?
— Odzyskałem mowę dzięki temu, że liczba głucholców pod moją kontrolą zmalała. — Czy też waszym zdaniem powinniśmy dalej walczyć?

O dziwo, byli jednomyślni.

— Nie możemy teraz przerwać — powiedział Enoch, wycierając krew z rąk.

— Jeśli to zrobimy, nigdy nie przestaną nas ścigać — dodała Bronwyn.

— Nieprawda! — oświadczył ranny upiór, który kulił się na podłodze w pobliżu. — Podpiszemy traktat pokojowy!

— Próbowaliśmy tego w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym — odezwała się pani Peregrine. — To porozumienie nie było warte papieru toaletowego, na którym je spisano. Musimy walczyć, dzieci. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

Emma uniosła płonąca dłoń.

— Puśćmy to miejsce z dymem! — wykrzyknęła.

Kazałem głucholcom wybiec z budynku laboratorium na dziedziniec i ścigać pozostałe upiory. Moje potwory znów wpadły w pułapkę i kolejny zniknął z mojego umysłu. Poza tym, którego dosiadałem, każdy z głucholców oberwał co najmniej jedną kulkę, jednak mimo ran nadal dobrze sobie radziły. Jak kilka razy przekonałem się na własnej skórze, okazały się twardzielami. Z kolei upiory wydawały się trwożliwe, co nie oznaczało, że nie stanowiły zagrożenia. Nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie przebywają, co sprawiało, że były jeszcze bardziej niebezpieczne.

Wysyłając głucholce na zwiad, usiłowałem zatrzymać przyjaciół w budynku, ale rozzłoszczeni osobliwcy ruszyli przed siebie z żądzą mordy w oczach.

— Z drogi! — warknął Hugh, gdy próbował przepchnąć się przez drzwi, które blokowałem razem z Emmą.

— To nie fair, że Jacob robi wszystko! — wykrzyknęła Olive. — Zabiłeś już prawie połowę upiorów, ale ja też ich nienawidzę, tak jak ty! A w ogóle, to nawet dłużej, prawie od stu lat! Więc daj spokój!

To była prawda. Te dzieciaki miały stuletnie rachunki z upiorami do wyrównania, a ja zbierałem całą chwałę. To była również ich walka. Nie miałem prawa im jej zabronić.

— Jeśli naprawdę chcesz pomóc, zrób tak... — zwróciłem się do Olive.

Pół minuty później znaleźliśmy się na dziedzińcu, a Horace i Hugh zajęli się wypuszczaniem Olive w górę, na sznurze zawiązanym wokół jej talii. Od razu stała się naszym nieocenionym obserwatorem, wykrzykując informacje, których przykute do ziemi głucholce nie byłyby w stanie zdobyć.

— Dwóch po prawej, za małą białą szopą! I jeszcze jeden na dachu! A kilku biegnie do wielkiego muru!

Nie rozproszyli się na wszystkie strony, ale większość znajdowała się poza dziedzińcem. Mimo to, przy odrobinie szczęścia, nadal mieliśmy szansę ich złapać. Przywołałem sześć żywych głucholców, po czym ustawiłem cztery z nich w falangę, która miała maszerować przed nami. Dwóch skierowałem do osłaniania tyłów. To oznaczało, że moi przyjaciele i ja musieliśmy kroczyć w środku i walczyć z upiorami, którym udałooby się przedrzeć przez naszą głucholską obronę.



Ruszyliśmy marszowym krokiem w kierunku skraju dziedzińca. Dosiadając głuchołca, czułem się niczym generał na koniu, wydający rozkazy podkomendnym. Emma szła u mojego boku, a inni osobliwcy za nami. Bronwyn zbierała walające się po ziemi cegły, żeby nimi ciskać. Horace i Hugh trzymali sznur z Olive, a Millard przyczepił się do Perplexusa, który nie przestawał kląć po włosku, osłaniając się mapą dni. Ymbrynki z tyłu gwizdały i wydawały donośne ptasie dźwięki, próbując przekonać skrzydlatych przyjaciół do naszej sprawy. Diabelskie Poletko było jednak niemal całkiem wymarłym miejscem, zamieszkanym przez mizerną liczbą dzikich ptaków. Pani Peregrine zajęła się leciwą panną Avocet oraz kilkoma pozostającymi w stanie szoku ymbrynkami. Nie mieliśmy gdzie ich zostawić, więc musiały towarzyszyć nam w bitwie.

Doszliśmy do skraju dziedzińca, za którym znajdował się pas otwartej ziemi o długości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Pomiędzy nami a zewnętrznym murem stał tylko jeden niewielki budynek. Była to dziwna budowla o pagodowym dachu, z wysokimi, ozdobnymi drzwiami. Zauważyłem, że ukryło się za nimi kilka upiorów. Jak poinformowała nas Olive, niemal wszystkie pozostałe zajęły pozycje w budynku. W tej sytuacji musieliśmy je jakoś stamtąd wykurzyć.

Na terenie twierdzy zapadła cisza. Nigdzie nie było widać upiorów, więc schowaliśmy się za murem obronnym, żeby omówić następne posunięcie.

— Co oni tam robią? — mruknąłem.

— Próbują wywabić nas na otwarty teren — odparła Emma.

— Nie ma problemu. Poślę tam głucholce.

— A kto nas będzie ochraniał?

— Chyba nie pozostało nam nic innego. Olive policzyła, że weszło tam co najmniej dwadzieścia upiorów. Muszę wysłać na tyle dużo głucholców, żeby zdołały ich pokonać, a nie dać się zabić.

Odetchnąłem głęboko i popatrzyłem na pełne napięcia oraz wyczekiwania twarze dookoła. Wysyłałem głucholce jednego po drugim, aby na palcach przemykały przez otwartą przestrzeń. Miałem nadzieję, że lekki chód pozwoli im niepostrzeżenie otoczyć budynek.

Wyglądało na to, że plan się sprawdza. Budowla miała troje drzwi i udało mi się ustawić po dwa głucholce przy każdym. Przez ten czas ani razu nie dostrzegłem twarzy upiora. Głucholce strzegły drzwi, ja zaś nasłuchiwałem. W środku przemawiał ktoś o cienkim głosie, ale nie rozumiałem słów. Nagle zagwizdał ptak, co mnie zmroziło.

W budynku znajdowały się ymbryniki. A więc przebywało ich tu więcej, niż sądziliśmy.

Były zakładniczkami.

Tylko dlaczego upiory nie próbowały negocjować?

Mój pierwotny plan polegał na tym, żeby wdrzeć się do środka wszystkimi drzwiami jednocześnie. Jeśli jednak w grę wchodzili zakładnicy, zwłaszcza ymbryniki, nie mogłem ryzykować tak lekkomyślnego ataku.

Kazałem jednemu z głucholców ostrożnie zajrzeć przez okno. Niestety, zasłaniała je okiennica, podobnie jak pozostałe, co oznaczało, że głucholec musiał wejść drzwiami.

Wybrałem najmniejszego, po czym poleciłem mu polizać i chwycić gałkę u drzwi.

— Wysyłam jednego do środka — powiedziałem. — Tylko jednego, na zwiady.

Głucholec powoli obrócił gałkę. Policzyłem w myślach do trzech i kazałem mu otworzyć drzwi. Pochylił się i przycisnął czarne oko do szpary.

— Zaglądam do środka — mruknąłem.

Okiem głucholca zobaczyłem fragment ściany i liczne klatki: ciężkie, czarne ptasie klatki przeróżnych kształtów i rozmiarów.

Głucholec uchylił drzwi nieco szerzej. Ujrzałem więcej klatek, a także ptaki w nich i poza nimi, przykute łańcuszkami do żerde. Nigdzie nie było upiorów.

— Co widzisz? — spytała Emma.

Nie było czasu na wyjaśnienia, należało działać. Kazałem głucholcom jednocześnie otworzyć drzwi i wpaść do środka.

W domku roiło się od spłoszonych ptaków, które głośno skrzeczały.

— Ptaki! — odparłem. — To pokój pełen ymbrynek!

— Co takiego? — zdumiała się Emma. — A gdzie upiory?

— Nie wiem.

Głucholce kręciły się i węszyły, przeszukując wszystkie kąty i zakamarki.

— To niemożliwe! — odezwała się pani Peregrine. — Wszystkie porwane ymbrynki są tu z nami.

— Więc co to za ptaki? — zapytałem.

Nagle jeden z nich zaskrzeczał chrapliwie:

— Goń, króliku, goń! Goń, króliku, goń!

Wtedy sobie uświadomiłem, że to nie ymbrynki, tylko papugi, i że wszystkie tykają.

— Padnij! — wrzasnąłem.

Wszyscy gruchnęli na ziemię za murem na dziedzińcu, a mój wierzchowiec runął do tyłu wraz ze mną.

Błyskawicznie posłałem potwory do drzwi, ale papuzie bomby eksplodowały, nim głucholce zdążyły się wydostać. Dziesięć ładunków wybuchło jednocześnie z ogłuszającym hukiem, zmiatając budynek i głucholce z powierzchni ziemi. Ziemia, cegły i gruz fruwały po dziedzińcu, spadały na nas niczym grad, a ja czułem, jak sygnały głucholców kolejno zanikają i milkną. Wkrótce w moim umyśle pozostał już tylko jeden.

Nad murem unosiła się chmura dymu i piór. Ymbrynki oraz osobliwcy, brudni po wybuchu, zanosili się kaszlem i przyglądali się sobie w poszukiwaniu obrażeń. Byłem w szoku, a w każdym razie tak mi się wydawało. Wbiłem wzrok w zryty skrawek ziemi, na którym walały się podrygujące szczątki jednego z rozerwanych głucholców. Mój umysł przez godzinę intensywnie pracował, żeby sprawnie kierować tuzinem potworów, a ich nagła śmierć pozostawiła we mnie dezorientującą pustkę. Teraz kręciło mi się w głowie i czułem dziwne osamotnienie. Kryzys sprawił jednak, że szybko znowu się skupiłem i momentalnie wstałem wraz z moim wierzchowcem.

Za murem rozległ się chóralny okrzyk bojowy, któremu towarzyszył tupot ciężkich buciorów. Wszyscy zamarli i popatrzyli na mnie z przestraszeniem.

— Co to takiego? — zapytała Emma.

— Niech sprawdzę. — Odczołgałem się od głucholca, żeby wyrzeć zza muru.

Horda upiorów biegła w naszym kierunku po spowitym dymem dziedzińcu. Było ich dwadzieścia, uzbrojonych w karabiny i pistolety. Ich oczy i zęby połyskiwały bielą. Wyszli z eksplozji bez szwanku — najwyraźniej uciekli do jakiejś podziemnej kryjówki. Zwabili nas w pułapkę, a papugi były zapewne tylko wstępem do innych działań. Teraz, gdy straciliśmy najlepszą broń, upiory postanowiły przypuścić ostateczny atak.

Wszyscy w panice wyglądali za mur, żeby na własne oczy zobaczyć szarżującą watahę.

— Co robimy?! — krzyknął Horace.

— Walczymy! — odparła Bronwyn. — Damy im popalić!

— Nie, musimy uciekać, dopóki możemy! — oświadczyła panna Avocet, ale patrząc na jej zgarbione plecy i przeoraną głębokimi zmarszczkami twarz, jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, żeby zdołała komukolwiek uciec. — Nie stać nas na utratę kolejnego osobliwego życia!

— Proszę wybaczyć, ale pytałem Jacoba — zwrócił się do niej Horace. — W końcu to on nas doprowadził aż tutaj...

Mimowolnie popatrzyłem na panią Peregrine, którą uważałem za wyrocznię w sprawach wyrokowania. Odwzajemniła moje spojrzenie i skinęła głową.

— Tak — odezwała się. — Moim zdaniem to pan Portman powinien zdecydować. Byle szybko, bo w przeciwnym wypadku upiory podejmą decyzję za pana.

Chciałem zaprotestować. Nie żyły wszystkie moje głucholce poza jednym. W ten sposób pani Peregrine dawała mi jednak do zrozumienia, że we mnie wierzy, bez względu na to, czy mam wsparcie potworów, czy nie. To, co mieliśmy zrobić, wydawało się oczywiste. Przez sto lat osobliwcy nigdy nie byli tak blisko ostatecznego unicestwienia upiorów i gdybyśmy teraz uciekli, taka szansa mogłaby się już nie powtórzyć. Na twarzach moich przyjaciół malowały się strach, ale i determinacja. Pomyślałem, że są gotowi zaryzykować życie, byle tylko pozbyć się wreszcie plagi upiorów.

— Walczymy — oznajmiłem stanowczo. — Za daleko zaszliśmy, żeby teraz zrezygnować.

Nawet jeśli wśród nas znalazł się ktoś, kto wolałby uciec, nie przyznał się do tego. Nie protestowały nawet ymbrynki, które poprzysięgły strzec naszego bezpieczeństwa. Były świadome, jaki los czekałby nas w wypadku zniewolenia.

— Dałeś słowo — przypomniała mi Emma.

Wyciągnąłem szyję i wyjrzałem. Upiory szybko pokonywały dystans między nami. Teraz były nie dalej niż trzydzieści metrów od muru, ale chciałem, żeby podeszły bliżej — na tyle blisko, żeby udało nam się wytrącić im broń z rąk.

Rozległ się huk wystrzałów, a po nich przeraźliwy wrzask z góry.

— Olive! — krzyknęła Emma. — Strzelają do Olive!

Zostawiliśmy biedną dziewczynkę na sznurze, a upiory ostrzeliwały ją teraz na chybił trafił, podczas gdy ona piszczała i wymachiwała kończynami jak rozgwiazda. Nie było czasu jej ściągnąć, ale nie mogliśmy jej tam zostawić w charakterze ruchomego celu.

— Niech postrzelają do czegoś lepszego! — zawołałem. — Gotowi?

Odpowiedź moich przyjaciół była głośna i twierdząca. Wgramoliłem się na plecy mojego głucholca, który przykucnął.

— DO BOJU! — ryknąłem.

Głucholec zerwał się z miejsca, niemal zrzucając mnie z ramion, a potem pognał do przodu niczym koń wyścigowy po strzale z pistoletu startowego. Wypadliśmy zza muru, ja i mój wierzchowiec przodem, a tuż za nami moi przyjaciele i ymbrynki. Wydałem z siebie okrzyk bojowy nie tyle po to, by przerazić upiory, ile dlatego, że musiałem jakoś zapanować nad panicznym strachem. Osobliwcy również ryknęli dla dodania sobie animuszu, a upiory stanęły jak wryte i przez moment chyba nie mogły się zdecydować, czy nacierać dalej, czy też zająć pozycję i otworzyć ogień. Ta chwila wystarczyła, żebym wraz z głucholcem pokonał znaczną część dystansu dzielącego mnie od wrogów.

Upiory nie zwlekały z podjęciem decyzji. Zatrzymały się, wycelowały do nas niczym pluton egzekucyjny i zasypały nas gradem kul. Pociski bzyczały dooła, dziobały ziemię i pobudzały moje

receptory bólu, przeszywając ciało głucholca. Modląc się, żeby kule nie uszkodziły mu żadnego ważnego organu, skuliłem się na jego plecach i popędziłem go, żeby biegł prędzej, używając jęzorów jak dodatkowych nóg.

Wystarczyło kilka sekund, żebyśmy wszyscy pokonali resztę drogi. Głucholec i ja pierwsi znaleźliśmy się wśród nich i rozpoczęła się bezpośrednia walka, w której przewaga była po naszej stronie. Skoncentrowałem się na wytrącaniu broni z rąk upiorów, a moi przyjaciele z niezłym skutkiem wykorzystywali swoje osobliwe umiejętności. Emma wymachiwała rękami, jakby była uzbrojona w płonące maczugi, i dzięki nim skutecznie przedarła się przez linię wroga. Bronwyn miotała zebranymi wcześniej cegłami, a gdy skończyła się jej amunicja, z zapalem tłukła upiory gołymi rękami. Ostatnia pszczoła Hugh niedawno zyskała nowe przyjaciółki, które zagrzewał do walki („Celujcie w oczy, dziewczyny!”), a one kłębiły się i przy każdej sposobności pikowały na wrogów. Podobnie walczyły ymbryniki, które po pierwszych strzałach zamieniły się w ptaki. Najmężniej toczyła bój pani Peregrine, gdyż jej wielki dziób i szpony siały postrach wśród upiorów, ale nawet małeńka i kolorowa panna Bunting dowiodła swojej przydatności, wrywając włosy jednemu z upiorów i dziobiąc go w głowę tak mocno, że spudłował, gdy starał się do nas strzelić. Dzięki temu Claire podskoczyła i ugryzła go w ramię szeroko otwartymi, pełnymi ostrych zębów ustami z tyłu czaszki. Enoch też nie próżnował — wyjął spod koszuli trzy gliniane ludziki z widelcami zamiast nóg i nożami zamiast rąk, a następnie posłał je do boju, żeby poharatały upiorom kostki. Przez cały ten czas Olive, która widziała wszystko z lotu ptaka, wykrzykiwała wskazówki.

— Za tobą, Emma! On sięga po broń, Hugh!

Mimo naszej osobliwej pomysłowości nie mogliśmy sprostać liczebniejszemu wrogowi, który walczył tak, jakby od tego zależało jego przeżycie — i tak właśnie było.

Nagle oberwałem w głowę kolbą karabinu i przez moment zwisałem bezwładnie z ramion głucholca, a świat wokół mnie wirował. Panna Bunting trafiła w ręce upiorów, które cisnęły ją na ziemię. Zapanował chaos, koszmarny i krwawy chaos, a upiory zaczęły zyskiwać przewagę. Musieliśmy się wycofać.

Wtedy usłyszałem za sobą znajomy ryk. Szybko odzyskawszy przytomność, odwróciłem się i ujrzałem Benthama, który galopował ku nam, siedząc okrakiem na grzbiecie swojego ogryzli. Obaj byli przemoknięci po przejściu przez pantransportikum tą samą drogą, co ja i Emma.

— Witaj, młody człowieku! — zawołał i podjechał do mnie. — Może pomóc?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, głucholec znów oberwał. Kula przeszła jego szyję z boku i drasnęła mnie w udo, malując krwawą linię na podartych spodniach.

— Tak, poproszę! — odkrzyknąłem.

— PT, słyszałeś chłopaka! — wrzasnął Bentham. — BIJ, ZABIJ!

Ogryzli ruszył do boju, wymachując ogromnymi łapami i powalając wrogów jak kręgle. Jeden z upiorów, uzbrojony w mały pistolet, podbiegł i strzelił do niedźwiedzia z bliska, prosto w klatkę

piersiową. Poirytowany, lecz poza tym niewzruszony zwierz podniósł upiora i wyrzucił go wysoko w powietrze. Wkrótce dzięki współpracy mojego głucholca i ogryzłego upiory przeszły do obrony. Gdy zabiliśmy ich tyle, że straciły przewagę liczebną, a ich szeregi skurczyły się do zaledwie dziesięciu sztuk, rzuciły się do ucieczki.

— Nie pozwólcie im uciec! — krzyknęła Emma.

Ruszyliśmy za upiorami pieszo, powietrzem, na niedźwiedziu i na głucholcu. Ścigaliśmy ich wśród dymiących ruin papuziarni, po ziemi pokrytej trupami przerzuconych przez powstańców pod wodzą Sharona gryzoni, aż do łukowatej bramy w wysokim murze obronnym.

Pani Peregrine skrzeczała w przestworzach i lotem nurkowym atakowała uciekające upiory. Jednego z nich powaliła ciosem w kark, ale pozostałych dziewięć, dodatkowo nękaną przez pszczoły Hugh, pobiegło jeszcze prędzej, powiększając dzielący nas dystans. Mój głucholec szybko opadał z sił — miał sześć ran, z których wypływał czarny płyn.

Upiory pędziły na łeb na szyję w kierunku unoszącej się kraty w bramie.

— Zatrzymać ich! — krzyknąłem, licząc na to, że usłyszy mnie Sharon wraz ze swoją niesforną gromadką.

Nagle przypomniałem sobie o moście. Przecież był tam jeszcze jeden głucholec, ukryty wewnątrz konstrukcji. Gdybym zdążył przejąć nad nim kontrolę, może udałoby mi się zatrzymać uciekające upiory.

Niestety, już były za bramą i biegły po moście, a ja wlokłem się z tyłu. Zanim udało mi się minąć bramę, mostowy głucholec zdążył chwycić pięć upiorów i cisnąć je na drugą stronę, na ulicę Dymną, gdzie pozostał już tylko niewielki tłumek uzależnionych od ambro narkomanów, zbyt nielicznych, żeby zatrzymać upiory. Cztery z nich, które nie trafiły jeszcze na drugi brzeg, utkwiły nad przepaścią, czekając na swoją kolej na przerzucenie.

Kiedy na swoim wierzchołku wpadłem do bramy, nagle nawiązałem łączność z mostowym głucholcem. Właśnie podnosił trzy z czterech upiorów i przenosił je na drugą stronę.

„Wróc” — powiedziałem głośno po głucholsku, a przynajmniej tak mi się wydawało. Być może jednak coś przeinaczyłem w przekładzie z angielskiego, a może „wróc” po głucholsku brzmi jak „rzuć”. Tak czy inaczej, zamiast odstawić trzy wyrywające się upiory po naszej stronie przeprawy, głucholec po prostu je upuścił. Zamrugąłem ze zdumienia.

Wszyscy osobliwcy z naszej strony oraz narkomani z przeciwnej podbiegli na skraj mostu, żeby popatrzeć na spadające upiory, które wyły i wymachiwały rękami, frunąc przez warstwy siarkowozielonkawej mgiełki, by w końcu z pluskiem zanurzyć się we wrzącej rzece i zniknąć.

Z obu brzegów dały się słyszeć wiwaty, a znany mi chrapliwy głos oświadczył:

— Mają za swoje. I tak nie dawali napiwków!

To był jeden z dwóch łbskich strażników, którzy nadal tkwili na prętach.

— Mama wam nie mówiła, że nie wolno pływać z pełnym brzuchem? — odezwał się drugi.

— TRZEBA POCZEKAĆ DWADZIEŚCIA MINUT!

Ostatni upiór po naszej stronie rzucił broń i podniósł ręce na znak kapitulacji. Piątka na drugim brzegu szybko zniknęła we wznieconej przez wiatr chmurze popiołu.

Patrzyliśmy na oddalające się upiory. W tej chwili nie mieliśmy najmniejszych szans, żeby ich dogonić.

— Przeklęty pech — mruknął Bentham. — Nawet tak niewielka banda upiorów może nam bruździć latami.

— To prawda, drogi bracie, choć szczerze mówiąc, nie sądziłam, że w ogóle cię obchodzi los reszty z nas.

Odwróciliśmy się do pani Peregrine, która szła ku nam w swojej ludzkiej postaci, skromnie okryta chustą. Jej wzrok skierowany na Benthama wyrażał rozgoryczenie i niechęć.

— Witaj, Almo! Cudownie cię widzieć! — wykrzyknął z przesadnym entuzjazmem. — Ależ oczywiście, że mnie obchodzi... — Odkaszlnął zakłopotany. — Przecież to dzięki mnie nie gnijecie w więzieniu. Śmiało, dzieci, powiedzcie im!

— Pan Bentham bardzo nam pomógł — przyznałem, choć najchętniej nie mieszałbym się do kłótni rodzeństwa.

— Wobec tego bardzo dziękuję — oświadczyła pani Peregrine lodowato. — Dopilnuję, żeby rada ymbrynek dowiedziała się o roli, jaką odegrałeś. Może dzięki temu twój wyrok zostanie złagodzony.

— Wyrok? — Emma spojrzała z uwagą na Benthama. — Jaki znowu wyrok?

— Wygnanie. — Skrzywił się. — Chyba nie sądzisz, że mieszkałbym w tej dziurze, gdyby chciano mnie gdzie indziej, co? Zostałem wmanewrowany, niesprawiedliwie oskarżono mnie o...

— O znowu — przerwała mu pani Peregrine. — O kolaborację z wrogiem. O wielokrotną zdradę.

— Pracowałem jako podwójny agent, Almo, żeby wydobywać informacje od naszego brata. Wszystko ci już wyjaśniłem! — Jęczał i wyciągał ręce jak żebrak. — Doskonale wiesz, że mam wszelkie powody, aby nienawidzić Jacka!

Pani Peregrine uniosła dłoń, chcąc go uciszyć. Bez wątpienia słyszała wcześniej tę historię i nie chciała słuchać jej ponownie.

— Zdradził twojego dziadka, co przepełniło czarę goryczy — zwróciła się do mnie.

— To był tylko wypadek. — Urażony Bentham cofnął się o krok.

— Więc co się stało z podduszem, które z niego odciągnąłeś? — spytała pani Peregrine.

— Wstrzyknięto je osobom, które były królikami doświadczalnymi!



Pani Peregrine pokręciła głową.

— Poddaliśmy twój eksperyment procedurze reinyżyneryjnej. Analiza wsteczna wykazała, że badani otrzymali poddusze pochodzące od zwierząt hodowlanych, co może świadczyć tylko o jednym — poddusze Abe’ a zachowałeś dla siebie.

— Cóż za absurdalny zarzut! — wykrzyknął. — To powiedziałaś radzie? Dlatego tutaj gniję?

Nie umiałem stwierdzić, czy naprawdę był zaskoczony, czy tylko grał.

— Wiem, że czułaś się zagrożona z powodu mojego intelektu i niezwykłych zdolności przywódczych... Ale zniżyć się do takich kłamstw, żeby mnie odsunąć? Czy wiesz, ile lat spędziłem na walce z plagą przyjmowania ambrozji? Co, na litość boską, miałbym zrobić z podduszem tego biedaka?

— To samo, co nasz brat chce zrobić z młodym panem Portmanem — odparła pani Peregrine.

— Nie zaszczycę tego oskarżenia odpowiedzią. Żałuję jedynie, że uprzedzenie nie pozwala ci dostrzec prawdy. Jestem po twojej stronie, Almo, i zawsze byłem.

— Jesteś po tej stronie, po której ci się aktualnie opłaca.

Bentham westchnął i spojrzał na mnie oraz na Emmę wzrokiem zbitego psa.

— Do widzenia, dzieci — powiedział. — Bardzo się cieszę, że miałem okazję was poznać. Wracam do domu. Nie jestem już młody, a ratowanie życia wam wszystkim szalenie mnie wyczerpało. Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia, gdy wasza dyrektorka oprzytomnieje, znów się spotkamy.

Uchylił kapelusza, po czym wraz z niedźwiedziem ruszył przez tłum w kierunku wieży.

— Co za histeryk — wymamrotałem, chociaż trochę było mi go żal.

— Ymbrynki! — zawołała pani Peregrine. — Obserwujcie go!

— Naprawdę ukradł część duszy Abe'a? — zapytała Emma.

— Bez dowodów nie możemy mieć tej pewności — odparła pani Peregrine. — Ale reszta przewinień mojego brata w zupełności uzasadnia jego dożywotnie wygnanie. — Patrzyła, jak odchodził, a jej zacięta mina stopniowo łagodniała. — Bracia dali mi lekcję życia. Nikt nie potrafi zranić tak mocno jak ludzie, których kochamy.

* * *

Wiatr się zmienił i posłał w naszym kierunku chmurę popiołu, która pomogła uciec upiorom. Zanim zdążyliśmy zareagować, powietrze wokół nas wyło i kłuło, a światło słoneczne przygasło. Słysząc było głośny trzepot skrzydeł, gdy ymbrynki zmieniały postać i wzbijały się w niebo ponad burzą. Mój głucholec opadł na kolana, pochylił łeb i osłonił twarz dwoma wolnymi jęzorami. Przywykł do burz popiołowych, w przeciwieństwie do moich przyjaciół. Słyszałem ich spanikowane głosy w ciemności.

— Nie ruszajcie się! — wrzasnąłem. — To zaraz minie!

— Niech wszyscy oddychają przez koszulę! — zarządziła Emma.

Gdy burza trochę ustąpiła, usłyszałem coś, od czego zjeżyły mi się włosy na karku. Po drugiej stronie mostu trzy męskie barytony śpiewały piosenkę, akcentowaną hukiem mocnych uderzeń i głośnymi jękami.

— Słuchajcie, jak wałą młoty...

„Trach!”

— ...słuchajcie, jak biją w gwózdź!

„Aj, moje nogi!”

— Przyłóżmy się do roboty...

„Puszczaj, puszczaj!”

— ...by szafot powstać mógł!

„Proszę, już wystarczy! Poddaję się!”

Potem, gdy popiół nieco opadł, naszym oczom ukazał się Sharon i jego trzech krzepkich krewnych, cieśli szubienicznych. Każdy z nich włókł za sobą sponiewieranego upiora.

— Witam wszystkich! — zawołał Sharon. — Nie zgubiliście czegoś?

Wycierając popiół z oczu, przekonaliśmy się, kto został pojmany, i wszyscy zaczęli wiwatować.

— Jest pan genialny! — wrzasnęła Emma.

Wszędzie wokół nas ymbrynki lądowały, natychmiast przybierając ludzkie kształty. Gdy szybko wskakiwały w pozostawione ubrania, my z szacunku nie odrywaliśmy spojrzeń od upiorów.

Nagle jeden z nich wyrwał się swojemu strażnikowi i uciekł. Zamiast go ścigać, cieśla spokojnie stanął na lekko rozstawionych nogach, wyjął z pasa narzędzia niewielki młotek i się zamachnął. Młotek poleciał, obracając się w powietrzu, i upiór z pewnością padłby, powalony ciosem w tył głowy, gdyby nie pochylił się w ostatniej chwili. Nietknięty pognał pędem w kierunku porzucanych śmieci na skraju drogi. Już miał zniknąć między dwiema rudarami, kiedy eksplodowała szczelina w jezdni i upiór spłonął w żółtym płomieniu spod ziemi.

Widok był makabryczny, ale wszyscy się ucieszyli i głośno dawali temu wyraz.

— Widzicie? — odezwał się Sharon. — Samo Poletko chce się ich pozbyć.

— Cudownie — powiedziałem. — Ale co z Caulem?

— No właśnie — odezwała się Emma. — Żadne z tych zwycięstw nie będzie miało znaczenia, jeśli go nie złapiemy. Pani Peregrine może potwierdzić. Prawda, proszę pani?

Rozejrzałem się, ale nigdzie nie zobaczyłem dyrektorki. Emma też omiotła wzrokiem tłum.

— Pani Peregrine? — W jej głosie słyszałem panikę.

Kazałem głucholcowi się wyprostować, co zapewniło mi lepszy widok.

— Czy ktoś widział panią Peregrine?! — wrzasnąłem.

Teraz już wszyscy się rozglądali. Patrzyli w niebo, na wypadek, gdyby nadal była ptakiem, i na ziemię, gdyby wylądowała, ale jeszcze nie zdążyła przemienić się w człowieka.

W pewnej chwili za nami rozległ się donośny, radosny okrzyk, który wzniósł się ponad gwar.

— Nie trzeba dalej szukać, dzieci!

Przez chwilę nie mogłem się zorientować, skąd dobiega głos.

— Róbcie, co każe, a nic jej się nie stanie! — dodała ta sama osoba.

Wtedy zobaczyłem, że spod gałęzi niewielkiego, poczerńiałego od popiołu drzewa tuż za bramą upiorów wyłania się znajoma postać.

Był to Caul, chudy jak szczapa, bez broni i bez ochrony u boku. Miał bladą twarz wykrzywioną w nienaturalnym uśmiechu, a oczy osłonięte wypukłymi, okrągłymi okularami przeciwsłonecznymi, co upodabniało go do owada. Wystrojony był w surdut, pelerynę, złote łańcuchy i bufiastą muchę z jedwabiu. Wyglądał jak ekstrawagancki wariat, szalony lekarz z powieści gotyckiej, który zbyt często eksperymentował na sobie. I chyba właśnie to ewidentne szaleństwo oraz fakt, że wiedzieliśmy, do jakiego zła jest zdolny, sprawiły, że nie podbiegliśmy rozszarpać go na strzępy. Człowiek pokroju Caula nigdy nie był tak bezbronny, jak mogłoby się wydawać.

— Gdzie jest pani Peregrine?! — krzyknąłem, dając początek podobnym pytaniom zgromadzonym za mną ymbrynek i osobliwców.

— Tam, gdzie powinna — odparł Caul. — Z rodziną.

Podmuch wiatru wywiał resztki popiołu z twierdzy za jego plecami, odsłaniając Benthama i panią Peregrine w ludzkiej postaci, unieruchomioną przez PT. Choć jej oczy błyszczały z wściekłości, dobrze wiedziała, że nie może się szarpać w łapach porywczego zwierza o ostrych pazurach.

Poczułem się jak w sennym koszmarze, który nieustannie się powtarza. Tym razem pani Peregrine została porwana przez Benthama — stał teraz za niedźwiedziem i wbijał wzrok w ziemię, jakby się wstydził spojrzeć nam w oczy.

Przez tłum osobliwców i ymbrynek przetoczyły się okrzyki pełne szoku i złości.

— Bentham! — ryknąłem. — Niech pan ją puści!

— Ty zdradziecki sukinsynu! — wrzasnęła Emma.

Bentham uniósł głowę.

— Jeszcze przed dziesięcioma minutami mogliście liczyć na moją pełną lojalność — oświadczył wyniosłym, władczym głosem. — Kilka dni temu mogłem wydać was mojemu bratu, ale tego nie zrobiłem. — Zmrużył oczy, patrząc na panią Peregrine. — Wybrałem ciebie, Almo, bo wierzyłem — naiwnie, jak się okazuje — że jeśli pomogę tobie i twoim podopiecznym, zrozumiesz, jak niesprawiedliwie mnie osądziłaś, i wreszcie wzniesiesz się ponad podziały z przeszłości i zapomnisz o urazach.

— Trafisz za to na Pustkowie Niemiłosierdzia! — krzyknęła pani Peregrine.

— Nie boję się już twojej głupiej rady! — odparł Bentham. — Nie będziecie mnie tu dłużej przetrzymywać! — Stuknął laską o ziemię. — PT, morda!

Niedźwiedź przycisnął łapę do twarzy pani Peregrine.

Caul z uśmiechem podszedł do rodzeństwa i szeroko rozłożył ręce.

— Nasz brat dokonał wyboru i się postawił — oświadczył. — Pragnę pogratulować mu z tego powodu. Nie ma jak rodzinne spotkanie po latach!

Nagle jakaś niewidzialna siła pociągnęła Benthama do tyłu, a przy jego gardle błysnął nóż.

— Niech ten niedźwiedź puści panią Peregrine, bo nie ręczę za siebie!



— Millard! — wyszeptało kilka osób w tłumie.

To rzeczywiście był Millard, rozebrany i niewidzialny. Bentham wydawał się przerażony, Caul jedynie lekko poirytowany. Z głębokiej kieszeni surduta wydobyl pistolet i wymierzył w głowę Benthama.

— Puść ją, a cię zabiję, braciszku! — warknął.

— Zawarliśmy porozumienie! — jęknął Bentham.

— Uginasz się pod żądaniami golasa z tępym nożem. Czy to nie zrywanie porozumienia? — Caul odciągnął kurek i podszedł do Benthama, po czym przycisnął mu lufę do skroni, mówiąc jednocześnie do Millarda: — Jeśli zmusisz mnie do zabicia jedyne go brata, twoja ymbrynka też nie wyjdzie z tego żywa.

Po chwili wahania Millard rzucił nóż i odbiegł. Caul bezskutecznie próbował go chwycić — podczas ucieczki Millard co chwilę skręcał, pozostawiając po sobie kawałki wyszarpanej stopami darni.

Bentham wziął się w garść i poprawił wygniecioną koszulę. Caul, którego dobry humor należał do przeszłości, skierował broń na panią Peregrine.

— A teraz słuchaj — wycedził. — Wy tam, na drugim brzegu! Puśćcie strażników!

Nie mieli wyboru, więc spełnili jego żądanie. Sharon i jego krewni uwolnili pojmane upiory i się wycofali, a upiór, który stał po naszej stronie mostu, opuścił ręce, żeby podnieść pistolet. Wystarczył moment, żeby sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz cztery lufy były wycelowane w tłum i jedna w panią Peregrine. Caul mógł robić, co mu się żywnie podobało.

— Chłopcze! — Wskazał na mnie. — Ten głucholec ma trafić do przepaści!

Jego ostry głos przeszywał mi bębunki. Poprowadziłem głucholca na skraj otchłani.

— A teraz każ mu skoczyć!

Nie miałem wyboru. Uznałem, że to okropna strata, ale chyba tak było najlepiej — głucholec bardzo cierpiał, z jego ran ciekła czarna krew i zbierała się na ziemi. Nie miał szans na przeżycie.

Odwinąłem jego jęzor ze swojej talii i zsiadłem. Odzyskałem siły, żeby stać samodzielnie, jednak z głucholcem było coraz gorzej. Gdy tylko znalazłem się na ziemi, zaryczał smętnie i wciągnął jęzory do pyska, a następnie osunął się na kolana, jakby z własnej woli pragnął się poświęcić.



— Dziękuję ci, kimkolwiek byłeś — powiedziałem. — Gdybyś stał się upiorem, to na pewno nie takim do końca złym.

Postawiłem stopę na jego grzbiecie i go popchnąłem. Głucholec runął naprzód i cicho zanurzył się w mglistej pustce. Po kilku sekundach jego świadomość zniknęła z mojego umysłu.

Upiory na drugim brzegu przeprowiły się na jęzorach mostowego głucholca, a ja nie interweniowałem z obawy o życie pani Peregrine. Strażnicy ściągnęli Olive na ziemię, po czym spędzili nas w ciasno zbitą gromadę, żeby łatwiej nad nami zapanować. Caul krzyknął, że mam się przed nim stawić, i jeden ze strażników wyciągnął mnie z tłumu.

— W zasadzie tylko ten musi pozostać przy życiu — zwrócił się Caul do strażników. — Jeśli będziecie zmuszeni do niego strzelać, celujcie w kolana. Co do reszty... — Wskazał bronią więźniów i wypalił. Rozległy się krzyki. — Strzelajcie do nich, ile chcecie!

Zaśmiał się i zawirował z uniesionymi rękami, niczym baletnica. Już miałem zaatakować Caula i wyłupać mu oczy gołymi rękami, bez względu na konsekwencje, gdy pojawił się przede mną pistolet o długiej lufie.

— Nie — wycedził mój mrukliwy strażnik, upiór o szerokich barach i błyszczącej łysej głowie.

Caul strzelił w powietrze i wrzaskiem nakazał ciszę. Wszyscy umilkli, słysząc było tylko jęki nieszczęśnika, którego postrzelił.

— Nie płaczcie, mam dla was miłą niespodziankę! — zwrócił się do tłumu. — To historyczny dzień. Mój brat i ja zamierzamy zwieńczyć życiowy dorobek w dziedzinie wynalazków i walki, koronując się na podwójnych królów wszystkich osobliwców. Czym jednak byłaby koronacja bez świadków? Dlatego jesteście nam potrzebni. Zachowujcie się grzecznie, a ujrzycie coś, czego nie widział nikt od tysiąca lat — przejęcie kontroli nad biblioteką dusz i jej konfiskatę!

— Musisz nam coś obiecać, bo inaczej ci nie pomogę — zwróciłem się do Caula. Moja sytuacja nie sprzyjała negocjacom, ale Caul uważał, że mnie potrzebuje, a to już było coś. — Gdy dostaniesz to, na czym ci zależy, puścisz panią Peregrine wolno.

— Obawiam się, że nic z tego — odparł Caul. — Ale daruję jej życie, gdyż dzięki temu ciekawiej będzie rządzić. Przytnę ci skrzydła, Almo, i zrobię z ciebie osobistą niewolnicę. Co ty na to?

Usiłowała odpowiedzieć, ale mięsista niedźwiedzia łapa skutecznie wytłumiła jej słowa.

Caul przystawił rękę do ucha i się roześmiał.

— Co takiego? — spytał. — Nie słyszę!

Potem się odwrócił i ruszył ku wieży.

— Idziemy! — wrzasnęli strażnicy i wkrótce potykając się, poszliśmy za nim niepewnym krokiem.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Z brutalnym pośpiechem zapędzono nas do jasnej wieży. Upiory nieustannie popychały i kopały maruderów. Bez głucholca kuśtykałem niemrawo, zmagając się z bólem ran na tułowiu, gdyż znieczulające działanie pyłu wyraźnie słabło. Nieustannie się zastanawiałem, jak nas uratować, ale każdy kolejny sposób, który przychodził mi do głowy, był mniej realistyczny od poprzedniego. Bez głucholców nasze osobliwe moce nie miały szans w starciu z upiorami i ich bronią.

Minęliśmy zburzony budynek, w którym zginęły moje głucholce. Dookoła walały się cegły zbryzgane krwią papug i upiorów. Po marszu przez otoczony murem dziedziniec weszliśmy do wieży, w której czekała nas wspinaczka krętym korytarzem pełnym identycznych czarnych drzwi. Caul szedł przed nami jak obłąkany kapelmistrz — w jednej chwili defilował, wysoko unosząc kolana, i zamasyście kołysał rękami, w następnej odwracał się do nas i kłął jak szewc. Za nim chwiejnym krokiem podążał niedźwiedź z Benthamem na ręce i panią Peregrine przerzuconą przez ramię.

Nasza dyrektorka błagała braci o rozwagę.

— Przypomnijcie sobie stare opowieści o Abatonie i o haniebnym końcu, który spotkał każdego osobliwca kradnącego dusze z biblioteki dusz! Jej moc jest przeklęta!

— Nie jestem już dzieckiem, Almo, i nie boję się bajeczek opowiadanych przez zgrzybiałe ymbrynki — zachnął się Caul. — A teraz trzymaj język za zębami, jeśli nie chcesz go stracić!

Wkrótce pani Peregrine zrezygnowała z przekonywania braci i tylko w milczeniu patrzyła na nas znad barku niedźwiedzia. Jej widok dodawał nam sił. „Nie bójcie się” — zdawała się mówić nam. „To też przeżyjemy”.

Martwiłem się jednak, że nie wszyscy przetrwają wyprawę na szczyt wieży. Odwróciłem głowę, chcąc sprawdzić, kogo postrzelono. W zbitej grupce za mną Bronwyn niosła bezwładne ciało. Przyszło mi do głowy, że to panna Avocet, ale nie zdołałem nic zrobić ani powiedzieć, gdyż mięsista dłoń strzeliła mnie w potylicę.

— Patrz przed siebie albo stracisz rzepkę — warknął upiór.

W końcu dotarliśmy na sam szczyt, do ostatnich drzwi w wieży. W korytarzu za nimi dostrzegłem blade światło dnia, rozjaśniające zakrzywioną ścianę. Nad nami znajdował się otwarty taras, co zapamiętałem sobie na przyszłość.

Caul stanął przed drzwiami.

— Panie Perplexusie! — zawołał z promiennym uśmiechem. — *Signor Anomalous!* Tak, tam z tyłu!

Trzeba oddać panu sprawiedliwość! Ponieważ to odkrycie zawdzięczam między innymi pańskim ekspedycjom i ciężkiej pracy, to pan winien czynić honory i otworzyć drzwi.

— Bez przesady, nie ma czasu na ceremonie — zirytował się Bentham. — Zostawiliśmy twierdzę bez załogi...

— Nie bądź takim mazgajem — upomniał go Caul. — Przecież to zajmie tylko chwilę.

Jeden ze strażników wywlókł Perplexusa z grupy i zaprowadził do drzwi. Od ostatniego razu włosy i broda Anomalousa przybrały alabastrową barwę, jego plecy się zgarbiły, a twarz przeorały głębokie zmarszczki. Zbyt dużo czasu spędził poza pętlą i w rezultacie zaczął się mocno starzeć. Już miał otworzyć drzwi, kiedy dopadł go atak kaszlu. Perplexus dopiero po chwili złapał oddech, popatrzył na Caula, po czym hałaśliwie wciągnął powietrze do płuc, zacharczał i wypluł lśniąca porcję flegmy na jego pelerynę.

— Ty niedouczony ćwoku! — krzyknął.

Caul przystawił mu pistolet do głowy i przy akompaniamencie wrzasków pociągnął za spust.

— Jack, nie! — zawołał Bentham.

Perplexus wyrzucił ręce w górę i się odwrócił, jednak broń wydała z siebie tylko suchy trzask. Caul rozłożył ją i zajrzał do komory, po czym wzruszył ramionami.

— To starość, taka jak ty — poinformował Perplexusa, a następnie lufą strzepnął plwocinę z ubrania. — Chyba los ci sprzyja. I dobrze. Wolę patrzeć, jak wysychasz na proch, niż jak się wykrwawiasz na śmierć.

Dał znać strażnikom, żeby zabrali Perplexusa, który wrócił do grupy, mamrocząc pod adresem Caula włoskie przekleństwa.

— Ech, do diabła z tym — mruknął Caul i otworzył drzwi. — Włazić, wszyscy!

W środku znajdowało się znajome szare pomieszczenie, tyle tylko, że za brakującą czwartą ścianą rozciągał się długi, ciemny korytarz. Ruszyliśmy nim, popychani przez strażników. Gładkie ściany szybko zamieniły się w chropowate i nierówne, po czym utworzyły prosty pokój skąpany w słonecznym świetle. To zrobione z kamieni i gliny pomieszczenie można by nazwać jaskinią, gdyby nie niemal prostokątne drzwi oraz dwa okna. Ktoś je wyrzeźbił, podobnie jak cały pokój, korzystając z narzędzi do rycia w miękkiej skale.

Zapędzono nas na zewnątrz, na gorący i suchy dzień. Widok przyprawiał o zawrót głowy. Znajdowaliśmy się nad okolicą, która mogłaby należeć do innego świata. Krajobraz, bliżej nas górzysty, dalej zmieniał się w doliny. Wokoło piętrzyły się grzbiety i wieżyczki z niezwyklej czerwonej skały, w której wydłubano proste drzwi i okna. Nieustannie hulał wśród nich wiatr, wydając dźwięki przypominające ludzki jęk. Brzmiało to tak, jakby odzywała się sama ziemia. Choć zachód słońca był jeszcze daleko, niebo przybrało pomarańczowy kolor, tak jakby tuż za horyzontem czał się koniec świata. Mimo dowodów istnienia cywilizacji, wyglądało na to, że jesteśmy tu całkiem sami. Dziwnie się czułem. Miałem wrażenie, że ktoś nas obserwuje, bo znaleźliśmy się w nieodpowiednim miejscu.

Bentham zsiadł z niedźwiedzia i ściągnął kapelusz.

— A więc to tutaj — odezwał się, z podziwem patrząc na wzgórze.

Caul w braterskim geście zarzucił mu rękę na ramiona.

— Mówiłem ci, że ten dzień nadejdzie — powiedział. — Przeszliśmy przez piekło, żeby się tu dostać, co?

— Owszem — zgodził się Bentham.

— Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Innymi słowy, nie traćmy czasu. — Caul odwrócił się twarzą do nas. — Przyjaciele! Ymbrynki! Osobliwe dzieci! — Jego głos odbił się echem w niezwykłych, jęczących kanionach. — Dzisiejszy dzień przejdzie do historii. Witajcie w Abatonie!

Umilkł, na próżno czekając na oklaski.

— Stoicie w prastarym mieście, które niegdyś strzegło biblioteki dusz, niewidzianym od czterystu lat, niepodbitym od tysiąca — ciągnął. — Dopiero niedawno odkryłem je ponownie! Teraz, z wami w roli świadków...

Umilkł, na chwilę opuścił wzrok, po czym wybuchnął śmiechem.

— Ale właściwie po co strzępię sobie język? — westchnął. — Wy, filistrzy, nigdy nie docenicie wagi mojego osiągnięcia. Wystarczy na was spojrzeć. Wyglądacie jak osły wgapione w Kaplicę Sykstyńską! — Poklepał Benthama po ramieniu. — Chodźmy, bracie. Weźmy, co nasze.

— Nasze też! — rozległ się głos za mną. Należał do jednego ze strażników. — Nie zapomni pan o nas, prawda, sir?

— Oczywiście, że nie. — Caul bez powodzenia próbował się uśmiechnąć. Nie potrafił ukryć irytacji wywołanej publicznym kwestionowaniem jego wiarygodności. — Zostaniecie po dziesięciokroć nagrodzeni za lojalność.

Odwrócił się i wraz z Benthamem ruszył ścieżką, a strażnicy popędzili nas za nimi.

* * *

Spalona słońcem ścieżka wielokrotnie się rozgałęziała, a jej odnogi i boczne dróżki niknęły wśród stromych pagórków. Caul bez wątpienia siłą skłonił Perplexusa do ujawnienia drogi i w ostatnich dniach wielokrotnie ją pokonał. Teraz kroczył przodem, niczym kolonizator, po ledwie widocznych, zarośniętych jeżynami ścieżynach. Moje wrażenie, że jesteśmy obserwowani, tylko się nasilało, zupełnie jakby otwory w skałach były na wpół przymkniętymi oczyma pradawnej inteligencji uwięzionej w kamieniu, która teraz budziła się z tysiącletniego snu.

Przepelniał mnie niepokój, myśli tłukły się po głowie jak szalone. Następny krok należał do mnie. W końcu byłem potrzebny upiorom. A gdybym odmówił współpracy? Gdybym znalazł sposób, żeby ich wystrychnąć na dudka?

Wiedziałem, co by się stało. Caul zabiłby panią Peregrine, a potem zabrałby się do mordowania ymbrynek, jednej po drugiej, aż w końcu dałbym mu to, czego pragnął. A gdybym nadal się wzbraniał,

zglądziłby Emmę.

Nie byłem wystarczająco silny i zrobiłbym wszystko, żeby jej nie skrzywdzili — w razie konieczności nawet przekazałbym Caulowi klucze do niewyobrażalnej potęgi.

Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl. A jeśli nie umiałem tego zrobić? Jeśli Caul się mylił i nie byłem w stanie zobaczyć słoików z duszami? Albo mogłem je dostrzec, lecz nic poza tym? Nie uwierzyłby mi. Uznałby, że kłamię. Zacząłby wybijać moich przyjaciół. Nawet gdybym go przekonał o prawdziwości moich słów, gdyby uwierzył, że nie potrafię władać duszami, to zapewne wpadłby w szal i wymordował wszystkich tak czy owak.

Zmówiłem w duchu modlitwę do dziadka (Czy w ogóle można modlić się do zmarłych? W każdym razie ja się modliłem...), żeby mnie przez to przeprowadził, jeśli nade mną czuwa, i ofiarował mi swoją dawną moc i potęgę. „Dziadku” — modliłem się. „Wiem, że to brzmi wariacko, ale Emma i moi przyjaciele są dla mnie najważniejsi na świecie, na całym tym przeklętym świecie. Z radością oddałbym go Caulowi w zamian za ich życie. Czy jestem złym człowiekiem? Nie wiem, ale pomyślałem, że zrozumiesz. Błagam”.

Podniosłem wzrok i ze zdumieniem zobaczyłem, że pani Peregrine wpatruje się we mnie znad ramienia niedźwiedzia. Gdy ujrzała, że się zorientowałem, odwróciła spojrzenie, a ja dostrzegłem łzy na jej umorusanych białych policzkach. Przeszło mi przez myśl, że mnie usłyszała.

Droga wiała się przez stary labirynt krętych ścieżek i wyrżniętych w skale schodów, których wytarte stopnie przybrały kształt półksiężyców. W niektórych miejscach szlak prawie całkiem zanikał, zarośnięty chwastami. Usłyszałem, jak Perplexus narzeka, że przez całe lata usiłował dotrzeć do biblioteki dusz, a teraz ten niewdzięczny złodziej bez grama szacunku deptał odkrytą przez niego trasę, co było straszliwą zniewagą!

— Dlaczego nikt nam nigdy nie powiedział, że biblioteka naprawdę istnieje? — odezwała się Olive.

— Dlatego, moja droga, że nie wolno było o tym mówić — odparła jedna z ymbrynek. — Bezpieczniej było twierdzić... — Umilkła, by złapać oddech — ...że to tylko historyjka — dokończyła po chwili.

Tylko historyjka. Jedną z najważniejszych prawd w moim życiu stało się to, że nieważne jak bardzo próbowałem utrzymać je w dwóch wymiarach, uwięzić na papierze i w atramencie, niektórych historii i tak nie dało się ograniczyć do książek. To nigdy nie były tylko historyjki. Wiedziałem o tym dobrze, gdyż jedna z nich stała się całym moim życiem.

Przez kilka minut szliśmy wzdłuż prostego muru, zasłuchani w niepokojące zawrodożenie wiatru, które nasilało się i nikło. Caul nagle podniósł rękę i krzyknął, żeby wszyscy się zatrzymali.

— Poszliśmy za daleko? — zapytał. — Przysięgłbym, że grota jest tutaj. Gdzie kartograf?

Upiory wywlekły Perplexusa z tłumu.

— Nie cieszysz się, że go nie zastrzeliłeś? — wymamrotał Bentham.

— Gdzie grota? — zapytał, stając przed Perplexusem.

— Może ukryła się przed tobą — zasugerował Perplexus złośliwie.

— Nie przeciągaj struny — wycedził Caul. — Spalę wszystkie egzemplarze twojej mapy dni.

W przyszłym roku już nikt nie będzie o tobie pamiętał.

Perplexus splótł palce i westchnął.

— Tam — powiedział i wskazał gdzieś za nami.

A zatem minęliśmy grootę.

Caul hałaśliwie zszedł do porośniętego winobluszczem skrawka muru. Wejście było tak skromne i dobrze ukryte, że każdy by je przeoczył. Właściwie to nie było wejście, tylko zwykła dziura.

Odgarnął pnącza i wetknął głowę do środka.

— Tak! — usłyszałem jego głos.

Wyprostował się i przystąpił do wydawania rozkazów.

— Od tej chwili będą nam towarzyszyć tylko niezbędne osoby. Bracie i siostrze. — Wskazał na Benthama i panią Peregrine. — Chłopcze. — Wycelował palec we mnie. — Dwaj strażnicy. I jeszcze...

— Popatrz na tłum. — Tam jest ciemno, potrzebujemy światła. Ty, dziewczyno. — Wskazał Emmę.

Ścisnęło mnie w żołądku, gdy upiory wyciągały Emmę z grupy.

— Jeśli inni będą sprawiać kłopoty, wiecie, co robić — zwrócił się Caul do strażników i wycelował broń w tłum, a wszyscy skulili się z wrzaskiem.

Caul zaniósł się śmiechem.

Strażnik Emmy wepchnął ją do pieczary. Niedźwiedź Benthama nie miał szansy się zmieścić, więc postawił panią Peregrine. Mój upiór musiał odtąd pilnować także jej.

Najmłodsze dzieci popłakiwały, nie wiedząc, czy jeszcze ją zobaczą.

— Bądźcie dzielne, dzieci! — zawołała do nich pani Peregrine. — Wróć!

— Tak jest, dzieci! — wycedził drwiąco Caul. — Słuchajcie dyrektorki! Ymbrynka wie najlepiej!

Upiory jednocześnie wepchnęły do groty mnie i panią Peregrine. Przez moment, pod osłoną pnączy, mogłem porozumieć się z nią niezauważenie.

— Co mam zrobić, kiedy tam trafimy? — wyszeptalem.

— Wszystko, czego zażąda — odszepnęła. — Jeśli go nie rozgniewamy, może uda się nam przeżyć!

„Przeżyć, tak — ale za jaką cenę?”

Rozgarnąwszy pnącza, trafiliśmy w całkiem inne miejsce — było to kamienne pomieszczenie bez sufitu. Na moment zabrakło mi tchu, tak zaszokowała mnie olbrzymia, zdeformowana twarz, wpatrująca się w nas z przeciwległej ściany. To była ściana, nic ponadto, jednak zamiast drzwi miała otwarte usta, zamiast okien dwoje kaprawych oczu, a zamiast nozdrzy — dwie dziury. Porastała ją długa trawa, przypominająca włosy i zapuszczoną brodę. Wiatr zawodził tu głośniej, całkiem jakby drzwi o kształcie ust usiłowały przestrzec nas w jakimś pradawnym języku, złożonym z absurdalnie długich samogłosek.

Caul wskazał drzwi.

— Zapraszam do biblioteki — powiedział.

Bentham zdjął kapelusz.

— Nadzwyczajne — powiedział z nabożną czcią. — Całkiem jakby dla nas śpiewała, jakby wszystkie spoczywające tu dusze budziły się, żeby nas powitać z otwartymi ramionami.

— Z otwartymi ramionami — powtórzyła Emma. — Śmiem wątpić.

Strażnicy popchnęli nas ku drzwiom. Schyliliśmy głowy w niskim wejściu i naszym oczom ukazało się inne pomieszczenie, przypominające grotę. Podobnie jak to, które widzieliśmy w Abatonie, i ono było wyryte ręcznie w miękkiej skale, kto wie jak dawno temu. Pokój miał niski sufit i był pusty, jeśli nie liczyć rozrzuconej tu i tam słomy oraz skorup rozbitych naczyń z gliny. Najbardziej niezwykle wydawały się ściany z kilkudziesięcioma zagłębieniami, owalnymi u góry i płaskimi na dole. Każde z nich było wystarczająco duże, żeby pomieścić butelkę lub świecę. W głębi pomieszczenia wyłupano kilkoro drzwi, które prowadziły w mrok.

— I co, chłopcze? — odezwał się Caul. — Widzisz jakieś?

Rozejrzałem się dookoła.

— Jakież co?

— Nie pogrywaj sobie ze mną. Słoje z duszami. — Podszedł do ściany i wsunął rękę do jednego z zagłębień. — Podejdz i weź jeden.

Odwróciłem się powoli, patrząc na ścianę. Wszystkie wnęki wydawały się puste.

— Nic nie widzę — odparłem. — Może nic tu nie ma.

— Kłamiesz.

Caul skinął głową do mojego strażnika, a ten uderzył mnie pięścią w brzuch.

Emma i pani Peregrine krzyknęły, gdy jęcząc, opadłem na kolana. Zobaczyłem, że krew przesiąka mi przez koszulę — nie od uderzenia, ale z rany po ugryzieniu przez głucholca.

— Proszę, Jack! — wykrzyknęła pani Peregrine. — Przecież to tylko chłopiec!

— Tylko chłopiec, tylko chłopiec! — powtórzył z drwiną Caul. — Właśnie o to chodzi. Trzeba ich karać jak mężczyzn. Jeśli podlejesz takiego odrobiną krwi, ziarno wykiełkuje, a roślina wzrośnie. — Podszedł do mnie, wywijając lufą starego, niespotykanego pistoletu. — Wyprostuj jego nogę. Chcę mu przestrzelić kolano — zwrócił się do upiora.

Strażnik popchnął mnie, powalił i złapał za łydkę. Leżałem z policzkiem przyciśniętym do podłogi i wzrokiem utkwionym w ścianie. Szczęknął odciągany kurek. Gdy kobiety błagały Caula o litość, dostrzegłem w jednym z zagłębień na ścianie kształt, którego wcześniej nie zauważyłem...

— Czekajcie! — krzyknąłem. — Coś widzę!

Strażnik przewrócił mnie na plecy.

— Poszedłeś po rozum do głowy, co? — Caul stanął nade mną. — Co widzisz?

Ponownie skierowałem spojrzenie na wnękę. Zmusiłem się do skupienia wzroku, z trudem zachowując spokój.

W ścianie stopniowo objawił mi się niewyraźny zarys kamiennego słoja, zupełnie jakbym patrzył na świeżo zrobione, polaroidowe zdjęcie. We wnęce stało proste, cylindryczne naczynie bez ozdób, ze

związującą się szyjką i zatyczką, tak samo czerwone jak niezwykle wzgórza Abatonu.

— To słoć — oznajmiłem. — Tylko jeden. Był przewrócony, dlatego na początku go nie zauważyłem.

— Wstań — zażądał Caul. — Chcę zobaczyć, jak go podnosisz.

Przyciągnąłem kolana do piersi, zakołysałem się w przód i wstałem, nie zważając na ból brzucha. Powlokłem się do wnęki, objąłem palcami słoć i pod wpływem nagłego wstrząsu natychmiast cofnąłem rękę.

— Co jest? — spytał Caul.

— Jest lodowaty — odparłem. — Nie spodziewałem się tego.

— Fascynujące — wymamrotał Bentham.

Dotąd krążył nieopodal drzwi, jakby dręczyły go wątpliwości w związku z tym całym przedsięwzięciem. Teraz jednak zrobił krok w głąb pomieszczenia.

Ponownie sięgnąłem do wnęki, tym razem przygotowany na zimno, i wyjąłem słoć.

— Tak nie wolno — odezwała się pani Peregrine. — Tam jest osobliwa dusza, którą należy traktować z szacunkiem.

— Zjedzenie przeze mnie to największy dowód szacunku, jaki może spotkać duszę. — Caul stanął przy mnie. — Opisz ten słoć.

— Jest bardzo skromny, kamienny. — Prawa ręka zaczynała mi przemarzać, więc przełożyłem słoć do lewej, i wtedy zobaczyłem z tyłu naczynia słowo wypisane wielkimi literami, pełnymi ozdobnych zawijasów.

ASWINDAN.

Nie chciałem o tym mówić, jednak Caul obserwował mnie jak jastrząb i zauważył, że coś dostrzegłem.

— Co tam? — zapytał natychmiast. — Ostrzegam, niczego nie ukrywaj.

— Słowo — odparłem. — Aswindan.

— Przeliteruj.

— A-s-w-i-n-d-a-n.

— Aswindan. — Caul zmarszczył brwi. — To staroosobliwy, prawda?

— Oczywiście — przytaknął Bentham. — Nie pamiętasz, jak nas tego uczyli?

— Jasne, że pamiętam! Uczyłem się szybciej niż ty, zapomniałeś? Aswindan. Rdzeniem tego słowa jest *wind*, ale nie chodzi o wietrzną pogodę, tylko o prędkość, moc, orzeźwienie.

— Wcale nie jestem tego pewien, bracie.

— Och, nie jesteś? — wycedził Caul sarkastycznie. — A ja myślę, że chcesz tej duszy dla siebie.

Caul wyciągnął ręce, żeby wyrwać mi słoć. Udało mu się zacisnąć wokół niego palce, ale gdy tylko straciłem kontakt z naczyniem, dłonie Caula nagle się zamknęły, jakby nic w nich nie było, a słoć upadł na podłogę i rozbił się na kawałki.

Caul zaklął i z osłupieniem opuścił wzrok. U naszych stóp zebrała się ciecz, od której była jaskrawoniebieska poświata.

— Widzę ją! — wykrzyknął z entuzjazmem, wskazując niebieską kałużę. — Widzę!

— Tak... tak, ja też — dodał Bentham, a strażnicy pokiwali głowami.

A zatem wszyscy mogli zobaczyć płynną zawartość słoików, choć one same pozostawały niewidzialne.

Jeden z upiorów przykląkł, żeby zanurzyć palec w niebieskiej cieczy. W chwili, gdy jej dotknął, usłyszeliśmy jego wrzask. Strażnik natychmiast odskoczył, wymachując ręką, żeby strząsnąć substancję. Skoro słoik mroził dłonie, mogłem sobie tylko wyobrazić, jak zimna była jego zawartość.

— Co za marnotrawstwo — mruknął Caul. — Chętnie zmieszałbym to z kilkoma innymi duszami najlepszego gatunku.

— Aswindan — powiedział Bentham. — Podstawą słowotwórczą jest *swind*, wywodzące się od *shrink*, które oznacza „kurczyć się”. Ciesz się, że tego nie zażyłeś, bracie.

— Nie — upierał się Caul. — Jestem przekonany, że miałem rację.

— Nie miałeś — odezwała się pani Peregrine.

Caul patrzył z paranoiczną podejrzliwością raz na nią, raz na Benthama, jakby się zastanawiał, czy przypadkiem nie zwarli szyków przeciwko niemu. Po chwili jednak chyba się uspokoił.

— To tylko pierwsze pomieszczenie — burknął. — Jestem pewien, że im głębiej się zapuścimy, tym lepsze dusze znajdziemy.

— Zgadzam się z tobą — oświadczył Bentham. — Dalej spoczywają starsze dusze, a im starsze, tym potężniejsze.

— W takim razie wiedzmy się do samego serca tej góry i je pożremy — zdecydował Caul.

* * *

Popychani, z pistoletami przy żebrach, przeszliśmy przez jedno z czarnych drzwi. Następne pomieszczenie bardzo przypominało poprzednie i pełne było wnęk w ścianach oraz prowadzących w mrok drzwi. Brakowało tu jednak okien i tylko jeden snop popołudniowego słońca rozjaśniał zakurzoną podłogę. Zostawialiśmy za sobą dzienne światło.

Caul rozkazał Emmie rozniecić płomień, a mnie — opisać zawartość schowków w ścianach. Posłusznie poinformowałem go o trzech słoikach, lecz moje słowa mu nie wystarczyły. Na dowód istnienia słoików musiałem postukać w każdy paznokciem i machać ręką w dziesiątkach pustych wnęk, aby dowieść, że nic tam nie ma.

Potem kazał mi czytać napisy na naczyniach. *Heolstor. Unge-sewen. Meagan-wundor*. Te słowa nic dla mnie nie znaczyły, a jego nie satysfakcjonowały.

— To dusze nędznych niewolników — poskarżył się Benthamowi. — Jeśli mamy być królami, potrzebne nam dusze królów.

— A więc idźmy dalej — zdecydował Bentham.

Zagłębiliśmy się w kręty i pozornie bezkresny labirynt jaskiń. Po świetle dnia pozostało tylko

wspomnienie, a w miarę schodzenia odczuwaliśmy coraz bardziej przenikliwy chłód. Ścieżki rozgałęziały się w ciemnościach niczym żyły. Caul bez wahania skręcał to w prawo, to w lewo, idąc tak, jakby prowadził go szósty zmysł. Był szalony, całkowicie obłąkany. Bez wątpienia zgubiliśmy się już do tego stopnia, że nawet gdyby udało się nam uciec, czekałaby nas wieczna tułaczka po grotach.

Próbowałem wyobrazić sobie bitwy toczone o te dusze — batalie z udziałem pradawnych, gigantycznych osobliwców, którzy ścierali się wśród iglic oraz dolin Abatonu — ale nie mieściło mi się to w głowie. Mogłem myśleć tylko o tym, jak przerażające byłoby utkwienie na zawsze w tym mroku.

Im dalej się zapuszczaliśmy, tym więcej słoików widziałem w ścianach, jak gdyby rabusie sprzed wieków ograbili zewnętrzne pomieszczenia, ale coś powstrzymało ich przed wdarciem się zbyt głęboko. Może był to zwykły instynkt samozachowawczy. Caul żądał, bym informował go na bieżąco o tym, co widzę, ale przestał się domagać dowodów na to, które wnęki są zajęte, a które puste, i tylko od czasu do czasu kazał mi odczytywać opisy zamieszczane na słoikach. Postanowił grać o większą stawkę i chyba doszedł do wniosku, że nie ma sensu zawracać sobie głowy tą częścią biblioteki.

Wędrowaliśmy w absolutnej ciszy. Pomieszczenia były coraz większe i surowo dostojne, sufity coraz wyższe, a ściany szersze. Słoje stały teraz wszędzie — wypełniały wszystkie wnęki, tworzyły coś w rodzaju słupów totemicznych w kątach, tkwiły poutykane w zakamarkach i załomkach, a sączące się z nich zimno chłodziło powietrze. Drżąc, objąłem się ramionami. Z moich ust wydobywały się kłęby pary. Wróciło poczucie, że ktoś mnie obserwuje. Ta tak zwana biblioteka była olbrzymim podziemnym światem, katakumbami i kryjówką dla drugiej duszy wszystkich osobliwców, którzy żyli przed ostatnim tysiącleciem. Zebrano tu setki tysięcy dusz. Ich liczba wywierała na mnie zaskakującą presję — czułem coraz większe ciśnienie w głowie i płucach, zupełnie jakbym tonął w głębokiej wodzie.

Nie tylko ja dziwnie się czułem. Nawet strażnicy wydawali się podenerwowani, drżeli przy byle hałasie i nieustannie oglądali się za siebie.

— Słyszałeś? — zapytał mój.

— Głosy? — spytał inny.

— Nie, to raczej woda w strumieniu...

Kiedy rozmawiali, zaryzykowałem szybkie spojrzenie na panią Peregrine. Czy była przestraszona? Nie — raczej czekała na właściwy moment, śledziła rozwój wypadków i obserwowała otoczenie. To mnie podniosło na duchu. Przecież już dawno temu mogła przybrać ptasią postać i uciec swoim strażnikom, a tego nie zrobiła. Postanowiła pozostać w niewoli tak długo, jak Emma i ja. Może nie chodziło tylko o jej instynkt opiekuńczy. Może miała plan.

Robiło się coraz zimniej, a warstwa potu na mojej szyi stopniowo zamieniała się w lodowatą wodę. Brnęliśmy przez grotę do tego stopnia zapełnioną słoikami, że musiałem skakać, aby się nie poprzewracały, chociaż stopy innych przenikały przez nie jak przez powietrze. Czułem, że umarli mnie dławią. To były pomieszczenia wyłącznie z miejscami stojącymi — peron w godzinach szczytu na stacji metra, Times Square na sylwestra — tyle że wszyscy uczestnicy zabawy dawno zmarli i gapili się na nas,

niezadowoleni z naszej obecności. (Nie tyle to widziałem, ile czułem). W końcu nawet Bentham stracił zimną krew.

— Bracie, czekaj — powiedział bez tchu, chwytając Caula. — Nie uważasz, że zaszliśmy już dostatecznie daleko?

Caul odwrócił się do niego powoli. Połowa jego twarzy była pogrążona w cieniu, połowę rozjaśniał ogień z rąk Emmy.

— Nie, nie uważam — odparł.

— Jestem pewien, że te dusze są wystarczająco...

— Jeszcze nie znaleźliśmy — oznajmił ostrym tonem Caul.

— Czego, sir? — zaryzykował mój strażnik.

— Będę wiedział, kiedy to zobaczę — warknął Caul.

Potem zamarł, ogarnięty nagłym entuzjazmem, i odbiegł w ciemność.

— Sir! Proszę poczekać! — krzyczeli strażnicy, popychając nas za nim.

Caul na moment zniknął, po czym pojawił się na końcu pomieszczenia, skąpany w strumieniach jasnoniebieskiego światła. Stał w miejscu, połowicznie otoczony poświatą i wyraźnie czymś zafascynowany. Kiedy dobiegliśmy do niego, tuż za rogiem stało się dla nas jasne, w czym rzecz — rozciągał się tam pogrążony w lazurowym blasku długi tunel. Otwór na jego przeciwległym końcu lśnił i słychać było jednostajny hałas, przypominający szum wartkiego strumienia wody.

Caul zaklaskał.

— Jesteśmy blisko, na Boga! — zawołał.

Pognał przed siebie jak wariat, a nam nie pozostało nic innego jak pobiec za nim chwiejnym krokiem. Światło na końcu korytarza było tak jaskrawe, że wszyscy przystanęliśmy, zbyt oślepieni, żeby wiedzieć, dokąd zmierzamy.

Emma wygasila płomienie na rękach, nie były tutaj potrzebne. Gdy zerkałem przez palce, moim oczom powoli ukazywała się olbrzymia przestrzeń. Nigdy nie widziałem tak wielkiej jaskini. Skąpana w rozproszonym niebieskim świetle, była gigantyczna i okrągła, podobna do ula, liczącego trzydzieści metrów średnicy u podstawy i zwężającego się do jednego punktu na wysokości kilku pięter. Na wszystkich powierzchniach pieczary, w każdej jej wnęce znajdowały się kryształki lodu, które przede wszystkim osiadły na tysiącach słojuw zapełniających okrągłą ścianę aż po sam szczyt.

Mimo mrozu płynęła tu woda. Wytryskiwała z kranu w kształcie sokolej głowy, ściekała do małego kanału, który okręzał pomieszczenie u podstawy ściany i docierała do płytkiego basenu na skraju podłogi, otoczonego otoczką z czarnego kamienia. Właśnie ta woda była źródłem wypełniającego grocie niebiańskiego światła. Podobnie jak zawartość słojuw na duszę, roztaczała niezmierną, błękitną poświatę i na przemian przygasała oraz jaśniała w regularnych odstępach, zupełnie jakby potrafiła oddychać. Byłoby to nawet dziwnie odprężające, jak w skandynawskim spa, gdyby nie wyraźne, ludzkie jęki, przebijające się przez przyjemny plusk wody. To był identyczny odgłos jak ten na zewnątrz — który

uznałem za świst wiatru w drzwiach — ale tu nie wiał wiatr i na pewno nie mogliśmy go słyszeć. To było coś innego.

Bentham dokuśtykał za nami do groty, zadyszany i z zasłoniętymi oczami, Caul zaś przeszedł na środek podłogi.

— ZWYCIĘSTWO! — krzyknął, chyba napawając się echem swojego głosu w wysokim pomieszczeniu. — Oto on! Nasz skarbiec! Nasza sala tronowa!

— Jest wspaniała — przyznał słabym głosem Bentham i powlókł się do brata. — Teraz rozumiem, dlaczego tak wielu oddało życie, by to zdobyć...

— Popełniacie straszliwy błąd — przerwała mu pani Peregrine. — Nie wolno wam bezcześcić tego świętego miejsca.

Caul ostentacyjnie westchnął.

— Musisz psuć każdą chwilę tym swoim belferskim moralizatorstwem? — spytał. — A może jesteś po prostu zazdrosna i oplakujesz koniec swoich rządów? Rządów rzekomo bardziej utalentowanej siostry? „Patrzcie, umiem latać, mogę tworzyć pętle czasu!” Następne pokolenie nie będzie już pamiętało, że kiedykolwiek istniały tak głupkowate stworzenia jak ymbryniki!

— Nieprawda! — wrzasnęła Emma, nie mogąc dłużej trzymać języka za zębami. — To wy dwaj pójdziecie w zapomnienie!

Strażnik przysunął się, żeby ją uderzyć, ale Caul go powstrzymał.

— Niech gada — powiedział. — Być może to jej ostatnia okazja.

— A w zasadzie nie zostaniecie zapomniani — oznajmiła Emma. — Napiszemy o was nowy rozdział w *Zbiorze baśni osobliwych*. Zatytułujemy go: „Pazerni bracia” albo „Wstrętni i ohydni zdrajcy, którzy dostali za swoje”.

— Hm, trochę bez polotu — odparł Caul. — Tytuł będzie brzmiał: „O dwóch wspaniałych braciach, którzy wbrew wszelkim przeciwnościom zostali prawowitymi boskimi królami osobliwej społeczności” czy jakoś tak. Masz szczęście, że teraz jestem w tak dobrym humorze, dziewczyno. — Odwrócił się do mnie. — Chłopcze, opowiedz mi o tych słojach, i to z najdrobniejszymi szczegółami.

Zażądał drobiazgowych opisów, więc mu je dostarczyłem. Odczytałem dziesiątki ozdobnych, odręcznych napisów na słojach. Gdybym tylko władał staroosobliwym, mógłbym okłamać Caula i może przekonać go do zabrania słabej i nie za mądrej duszy. Byłem jednak idealnym automatem — miałem umiejętności, lecz brakowało mi wiedzy. Mogłem tylko próbować odciągnąć jego uwagę od najbardziej obiecujących słoików.

Choć większość z nich była mała i skromna, zwróciłem uwagę na kilka dużych, ozdobnych i ciężkich, w kształcie klepsydry, z podwójnymi uchwytami oraz z namalowanymi na powierzchni skrzydłami, których dekorację stanowiły klejnoty. Wydawało się oczywiste, że zawierają dusze potężnych i ważnych (a przynajmniej tak o sobie myślących) osobliwców. Niestety, większe wnęki były wskazówką, a kiedy Caul zmuszał mnie, żebym stukał w takie naczynia, słoje wydawały z siebie donośny, głęboki odgłos.

Żadne sztuczki na nic się nie zdały. Caul miał dostać to, co chciał, i nic nie mogłem poradzić. Nagle zrobił coś, co zaskoczyło nas wszystkich — coś, co początkowo wydawało się niesłychanie wspaniałomyślne.

— No dobrze! — powiedział, odwróciwszy się do strażników. — Kto pierwszy spróbuje?

Zbici z tropu strażnicy spoglądali na siebie.

— Jak to? — spytał Bentham z niepokojem i podszedł do Caula. — A to nie ty i ja najpierw? Mamy tyle pracy za sobą...

— Nie bądź taki chciwy, bracie. Czy nie twierdziliśmy, że nagrodzimy ich lojalność? — Znów popatrzył na strażników, szczerząc się od ucha do ucha jak gospodarz teleturnieju. — No więc, który z was?

Obaj unieśli ręce.

— Ja, sir! Ja!

— Ja też chcę!

Caul wskazał na upiora, który mnie pilnował.

— Ty! — oznajmił. — Podoba mi się twój zapach. Podejdź tu!

— Dziękuję, sir, dziękuję!

Caul wycelował we mnie broń, tym samym wyręczając strażnika.

— Która z tych dusz jest w twoim typie? — Przypomniał sobie, które słoje mu zaprezentowałem, i zaczął je wskazywać. — *Yeth-Faru*. Coś z wodą i potopem. Odpowiednia, jeśli miałbyś chęć żyć pod wodą. *Wolsenwyrsend*. To chyba coś w rodzaju centaury, taki stwór będący w połowie koniem, w połowie człowiekiem, który włada chmurami. Ben, kojarzysz?

Bentham wymamrotał coś w odpowiedzi, ale Caul prawie go nie słuchał.

— *Styl-hyde* to coś dobrego. Skóra z metalu. Przydatna w walce, choć nie jestem pewien, czy nie musiałbyś się oliwić...

— Sir, przepraszam, że pytam, ale może którąś z większych urn? — odezwał się strażnik nieśmiało.

Caul pogroził mu palcem.

— Lubię ambitnych ludzi, ale tamte są dla mnie i dla mojego brata — wyjaśnił.

— Oczywiście, sir, oczywiście — przytaknął strażnik. — To może... hm... Są jeszcze jakieś inne?

— Zaproponowałem ci najatrakcyjniejsze. — W głosie Caula zabrzmiało ostrzeżenie. — Wybieraj.

— Tak, tak, przepraszam, sir... — Strażnik wydawał się udęczony. — Poproszę *Yeth-faru*.

— Doskonale! — rozpromienił się Caul. — Chłopcze, wyjmij ten słój!

Sięgnąłem do wskazanej przez niego wnęki i wyjąłem naczynie. Było tak zimne, że musiałem naciągnąć rękaw kurtki na dłoń jak rękawiczkę. Mimo to odnosiłem wrażenie, że nawet przez materiał słój kradnie mi całe ciepło z ciała.

Strażnik wpatrywał się w moją rękę.

— Co mam z tym zrobić? — zapytał. — Mam to zażyć jak ambrozię?

— Ja nie jestem pewien — mruknął Caul. — Co o tym sądzisz, bracie?

— Też nie jestem pewien — odparł Bentham. — Nie ma o tym wzmianki w żadnym ze starych zapisów.

Caul podrapał się po brodzie.

— Myślę... — Zawiesił głos. — Tak, chyba powinieneś przyjąć to jak ambroję. — Z pewną siebie miną pokiwał głową. — Tak, na pewno o to chodzi. Trzeba to brać jak ambro.

— Jest pan pewien, sir? — dopytywał się strażnik.

— Stuprocentowo — zapewnił go Caul. — Nie denerwuj się. Dzięki temu przejdiesz do historii jako pionier!

Upiór popatrzył na mnie.

— Żadnych sztuczek — oznajmił.

— Żadnych sztuczek — powtórzyłem.

Otworzyłem słoje, z którego wydobyło się niebieskie światło. Strażnik ujął moją dłoń, uniósł ją wraz ze słojem nad siebie i odchylił głowę.

Wziął głęboki, niepewny oddech.

— Raz kozie śmierć — wymamrotał i przechylił moją rękę.

Płyn spłynął ze słoja kleistym strumieniem. W chwili, gdy zetknął się z oczami upiora, ten tak mocno zacisnął rękę, jakby miał mi połamać palce. Wyrwałem się i odskoczyłem, upuszczając słoje, który rozbił się o podłogę.

Twarz upiora dymiła i przybierała niebieską barwę, kiedy wrzeszczał i padał na kolana. Jego ciało zatrzęsło się gwałtownie, nim runął jak kłoda. Uderzając o ziemię, głowa upiora roztrzaskała się jak szkło. Drobin zamrożonej czaszki rozsypały się u moich stóp, a potem upiór umilkł — na zawsze.

— Wielkie nieba! — krzyknął Bentham.

Caul zacmokał z dezaprobatą, jakby ktoś rozlał kieliszek kosztownego wina.

— A niech to! — mruknął. — A jednak nie zażywa się tego jak ambroję. — Rozejrzał się po pomieszczeniu. — W takim razie ktoś inny musi spróbować...

— Ja jestem bardzo zajęty, sir! — wrzasnął inny strażnik, który mierzył do Emmy i pani Peregrine.

— Tak, widzę, że masz ręce pełne roboty, Jones. Może więc któryś z naszych gości? — Spojrzał na Emmę. — Dziewczyno, zrób to dla mnie, a uczynię cię swoim błaznem.

— A idź do diabła! — warknęła.

— Da się zrobić! — odwarknął.

Rozległ się głośny syk i na skraju pomieszczenia coś zajaśniało. Wszyscy się odwrócili, żeby popatrzeć, co się dzieje. Błękitny płyn z rozbitego słoja powoli spływał do kanału pod ścianą, gdzie mieszał się z wodą. Pod wpływem zachodzącej reakcji wzburzona woda wrzała i biła od niej jaskrawa poświata.

Caul nie krył radości.

— Proszę, proszę! — wykrzykiwał, podrygując w miejscu.

Jasna, bąbelkująca woda szybko popłynęła kanałem wzdłuż krawędzi podłogi. Odwróciliśmy się, wodząc za nią wzrokiem, aż dotarła na drugi koniec sali, do płytkiego basenu o kamiennym obrzeżu. Woda w zbiorniku się zagotowała i pojaśniała, a słup mocnego, niebieskiego światła wystrzelił aż do sufitu.

— Wiem, co to takiego! — odezwał się Bentham drżącym głosem. — To się nazywa sadzawka duchów. W dawnych czasach przyzywano w niej zmarłych i kontaktowano się z nimi.

Nad powierzchnią basenu, w snopie światła unosiły się białe nieziemskie opary, powoli przybierając kształt człowieka.

— Jeśli jednak żywa osoba wejdzie do sadzawki podczas seansu...

— Wówczas wchłonie przyzywanego ducha — przerwał mu Caul. — Chyba znaleźliśmy odpowiedź!

Duch zawisł w powietrzu. Był ubrany w prostą tunikę, spod której wystawała pokryta łuskami skóra i płetwa grzbietowa na plecach. Mieliśmy przed sobą duszę trytona *Yeth-faru*, wybranego przez upiora. Słup światła wydawał się czymś w rodzaju więzienia, z którego zjawa nie mogła zbiec.

— No i? — Bentham wskazał na brodzik. — Idziesz?

— Nie interesują mnie resztki po innych — odparł Caul. — Chcę to! — Pokazał naczynie, które ostukałem dla niego wcześniej, największe ze wszystkich. — Wylej zawartość do wody, chłopcze. — Wycelował pistolet w moją głowę. — I to już!

Zrobiłem, co mi kazał. Sięgnąłem do nietypowo dużej wnęki i przesunąłem ukrytą w środku urnę, dźwigając ją za oba ucha, po czym przechyliłem ją ku sobie, bardzo ostrożnie, żeby nic nie chlupnęło i nie zdeformowało mi twarzy.

Jaskrawoniebieski płyn spłynął po ścianie i wlał się do kanału. Woda oszalała, zaczęła syczeć i bulgotać, a bijące od niej światło było tak jaskrawe, że musiałem zmrużyć oczy. Gdy ciecz z urny opływała pomieszczenie, kierując się ku basenowi, przeniosłem spojrzenie na panią Peregrine i Emmę. To była nasza ostatnia szansa powstrzymania Caula. Co prawda został tylko jeden strażnik, ale nie odrywał wzroku od kobiet, do których celował, Caul zaś nieprzerwanie trzymał pistolet przy mojej głowie. Wyglądało na to, że nadal jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę wroga.

Ciecz z wielkiej urny dotarła do sadzawki duchów, która spieniła się i wezbrała, zupełnie jakby jakiś morski stwór postanowił wynurzyć się na jej powierzchnię. Słup światła ponad basenem pojaśniał, a *Yeth-faru* zniknął bez śladu.

W jego miejscu zaczęła się objawiać nowa, znacznie większa postać. Jeśli ta istota przybierała kształt człowieka, to gigantycznego, dwukrotnie większego od najwyższego z nas i dwa razy szerszego w klatce piersiowej. Zakończony pazurami dłonie trzymał w górze, co świadczyło o jego wielkiej i straszliwej mocy.

Caul popatrzył na niego z uśmiechem.

— I to, jak mówią, jest sygnałem dla mnie. — Sięgnął do peleryny, wyjął z niej złożoną kartkę i ją

rozprostował. — Chciałbym powiedzieć dwa słowa, nim oficjalnie przejdę na wyższy poziom.

Bentham dokuśtykał do niego.

— Bracie, chyba nie powinniśmy dłużej zwlekać...

— Nie wierzę! — wrzasnął Caul. — Nikt nie pozwoli mi na chwilę triumfu?

— Posłuchaj! — syknął Bentham.

Wszyscy nadstawiliśmy uszu. Przez chwilę nie było nic słychać, jednak potem w oddali rozległ się wysoki, ostry dźwięk. Zobaczyłem, że Emma zamiera i szeroko otwiera oczy.

— Czy to... pies? — Caul ściągnął brwi.

Tak, to był pies. Słyszeliśmy szczekanie psa, dobiegające z daleka i zniekształcone przez echo.

— Osobliwcy mieli ze sobą psa — przypomniał sobie Bentham. — Jeśli podąża naszym tropem, to wątpię, żeby był sam.

To mogło oznaczać tylko jedno — nasi przyjaciele pokonali strażników i prowadzeni przez Addisona, ruszyli na poszukiwania. Tak jest — nadciągali z odsieczą! Jednak Caul lada chwila miał zdobyć ogromną moc i kto wiedział, jak daleko niosło się echo w tych pieczarach. Ratunek mógł przybyć dopiero za kilka minut, czyli poniewczasie.

— No cóż, moje uwagi będą musiały zaczekać — westchnął Caul i wsadził kartkę z powrotem do kieszeni.

Nieszczerólnie się spieszył, co doprowadzało Benthama do białej gorączki.

— Do roboty, Jack! — mruknął nerwowo. — Bierz tego ducha, a potem ja przejmę swojego!

— Co do tego... — westchnął Caul. — Wiesz, zastanawiałem się i nie mam pewności, czy zdołasz udźwignąć tak wielką moc. Nie chodzi mi o to, że jesteś nieinteligentny. Wręcz przeciwnie, jesteś inteligentniejszy ode mnie! Ale myślisz jak słaby człowiek. Masz słabą wolę. Nie wystarczy być bystrym, sam rozumiesz. Trzeba mieć w sobie bezwzględność!

— Nie, bracie! Nie rób tego! — wyjęczał Bentham błagalnie. — Będę twoim numerem drugim, twoim lojalnym sojusznikiem... Zostanę, kim zechcesz!

„Dobrze ci tak” — pomyślałem. „Gadaj dalej...”.

— Właśnie takie płaszczenie się mam na myśli. — Caul pokręcił głową. — Wielka władza może zmienić umysł człowieka o słabej woli, takiego jak ty. Ja jednak nie jestem podatny na emocjonalne błaganie.

— Nieprawda, chcesz się zemścić — powiedział Bentham z goryczą. — Połamanie mi nóg i zrobienie ze mnie wieloletniego niewolnika to dla ciebie za mało.

— Och, to wystarczyło — zapewnił go Caul. — W istocie, byłem na ciebie wściekły, że zamieniłeś nas wszystkich w głucholce, ale w sumie warto było mieć armię potworów do dyspozycji. Jeśli jednak mam być szczery, nie chodzi nawet o twój słaby charakter, tylko chyba o to... że nie jestem dobrym bratem. Alma może zaświadczyć. Nie lubię się dzielić.

— Więc zrób to! — wycedził Bentham. — Dalej, zastrzel mnie!

— Mógłbym — powiedział Caul. — Ale chyba będzie lepiej, jeśli zastrzelę... jego.

Wycelował pistolet w moją pierś i nacisnął spust.

* * *

Poczułem kulę, niemal zanim usłyszałem huk wystrzału. Miałem wrażenie, że gigantyczna, niewidzialna pięść rąbnęła mnie w klatkę piersiową. Straciłem równowagę i padłem na plecy, a potem świat stał się nierzeczywisty. Leżałem ze wzrokiem skierowanym w górę i polem widzenia wielkości szpilki. Ktoś wołał mnie po imieniu. Znowu rozległ się wystrzał, po nim jeszcze jeden, a potem wrzaski.

Ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, że moje ciało doświadcza ogromnego bólu, że umieram.

Emma i pani Peregrine ukłękły przy mnie przerażone i krzyczały z udręką. Nie widziałem strażnika, nie mogłem zrozumieć ich słów, całkiem jakbym miał głowę pod wodą. Usiłowały mnie poruszyć, zaciągnąć za ramiona ku drzwiom, ale moje ciało było bezwładne i ciężkie. Nagle od strony sadzawki duchów rozległo się wycie, jakie zwykle towarzyszy huraganowym wiatrom. Pomimo nieznośnego bólu zdołałem odwrócić głowę i spojrzeć.

Caul stał w płytkim basenie, z nogami zanurzonymi do łudek, z rozłożonymi rękami i odchyłoną głową, sparaliżowany w objęciach zjawy i złączony z nią w jedną całość. Duch wlewał się w niego przez wszystkie otwory na twarzy, wici fantoma wnikały Caulowi do gardła i wdzierały się do nosa, a jaśniejące obłoki osadzały się na jego oczach i uszach. Po kilku sekundach zjawa znikła, a niebieskie światło w grocie połowicznie przygasło, jakby Caul wchłonał jego moc.

Dotarł do mnie krzyk pani Peregrine. Emma podniosła broń jednego ze strażników i wystrzeliła wszystkie naboje w Caula. Nie stał daleko, a ona miała celne oko. Na pewno go trafiła, jednak nawet nie drgnął. Zamiast się przewrócić, rozrastał się bardzo szybko. Wystarczyło kilka sekund, żeby stał się dwukrotnie wyższy i szerszy. Wydawał z siebie zwierzęce wrzaski, gdy jego skóra wielokrotnie pękała i się goiła. Wkrótce zmienił się w wieżę surowego, różowego mięsa i podartych ubrań. Jego oczy przybrały elektryzująco błękitną barwę, a ukradziona dusza wypełniła w końcu pustkę, którą od dawna w sobie pielęgnował. Najgorsze jednak były dłonie — olbrzymie, sękaty, grube i powykręcane jak korzenie drzewa, po dziesięć palców u każdej.

Emma i pani Peregrine ponownie spróbowały zaciągnąć mnie do drzwi, ale teraz Caul ruszył za nami. Wyszedł z sadzawki i ryknął głosem, który przeszywał aż do szpiku kości:

— ALMA, WRACAJ TU!

Uniósł swoje okropne ręce, a wtedy jakaś niewidzialna siła oderwała ode mnie panią Peregrine i Emmę. Zawisły w powietrzu, wymachując rękami i nogami, trzy metry nad ziemią, aż Caul w końcu obrócił dłonie spodem w dół. Wtedy pani Peregrine i Emma spadły niczym odbite piłeczki.

— ZMIAŹDŹĘ WAS ZĘBAMI! — zawył Caul i ruszył ku nim. Każdy jego krok zdawał się wywoływać trzęsienie ziemi.

Zapewne dzięki adrenalinie mogłem skupić się tak, żeby coś zobaczyć i usłyszeć. Nie wyobrażałem sobie okrutniejszej śmierci — w ostatnich chwilach życia musiałem patrzeć, jak moje ukochane kobiety zostają rozdarte na strzępy. A potem dobiegło mnie szczekanie psa i przyszło mi do głowy jeszcze coś gorszego stało się dla mnie jasne — że zobaczę, jak giną także moi przyjaciele.

Emma i pani Peregrine uciekły. Nie miały wyjścia. Powrót po mnie był teraz niemożliwy.

Inni zaczęli wbiegać z korytarza: wszyscy naraz, dzieci i ymbrynki, a także Sharon i cieśle szubieniczni. Najwyraźniej przyprowadził ich Addison, gdyż teraz wszedł na ich czele, trzymając w pysku rozkołysaną lampę.

Nie mieli pojęcia, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Żałowałem, że nie mogę ich ostrzec. „Nie zawracajcie sobie głowy, tylko po prostu ucieknijcie” — chciałem powiedzieć, ale i tak by mnie nie posłuchali. Gdy tylko ujrzeli bestię, obrzucili ją wszystkim, co im wpadło w ręce. Cieśle ciskali młotkami. Bronwyn cisnęła kawałem muru, który przydźwigała — musiała zamachnąć się jak przy pchnięciu kulą. Niektóre dzieciaki przybiegły z bronią odebraną upiorom, więc ostrzelały Caula. Ymbrynki przemieniły się w ptaki i zaatakowały głowę potwora, dziobiąc go, gdzie popadło.

Wszystko to nie zrobiło na Caulu najmniejszego wrażenia. Kule odbijały się od niego, kiedy po prostu odtrącał nadlatujący kawał muru i olbrzymimi zębami łapał młotki, po czym je wypluwał. Ymbrynki tylko go irytowały niczym chmara komarów. Nagle rozłożył ręce i rozpostarł sękate palce, a zwisające z nich wici zakołysały się jak przewody pod napięciem. Powoli złączył dłonie, a wtedy krążące wokół ymbrynki odepchnęła niewidzialna siła, która cisnęła wszystkich osobliwców na stertę.

Caul raz po raz składał ręce, jakby zgniatał kartkę papieru. Ymbrynki i osobliwcy unieśli się ponad ziemię, tworząc ciasno zbitą kulę kończyn i skrzydeł. Tylko mnie nic się nie działo — mnie i Benthamowi, który gdzieś się zawieruszył. Próbowaliśmy wstać i coś zrobić, lecz udało mi się tylko unieść głowę. Wtedy dotarło do mnie, że moi przyjaciele są zgniatani na miazgę. Gdy ich przerażone wrzaski odbijały się echem od ścian, pojąłem, że to już koniec, że za moment krew z kuli żywych istot pocieknie jak sok z miażdżonego owocu. Nagle jednak Caul uniósł nerwowo rękę i zaczął nią wymachiwać przed twarzą, jakby się przed czymś opędał.

Zaatakowały go pszczoły. Strumień pszczoł Hugh wyleciał z żywej kuli i teraz żądlił oczy Caula przy wtórze jego ogłuszającego wycia. Ymbrynki i osobliwcy upadli na ziemię, żywa kula się rozsypała, a ptaki i ludzie potoczyli się po podłodze. Na szczęście nikomu nic się nie stało.

Pani Peregrine, skrzeczając i trzepocząc skrzydłami, łapała ludzi, pomagając im wstać, a potem wypychała ich na korytarz. „Uciekajcie” — zdawała się mówić. „Biegiem!”

Potem natarła na Caula, który rozprawił się już z pszczołami i ponownie rozkładał ręce, gotów nas chwytać i roztrzaskiwać o ścianę. Zanim jednak zdołał cokolwiek zrobić, pani Peregrine runęła na niego i poorwała mu twarz szponami. Wtedy zamachnął się ciężko i uderzył ją tak mocno, że przeleciała przez pomieszczenie, odbiła się od ściany i upadła na ziemię, gdzie znieruchomiała.

Kiedy Caul skierował oblicze ku pozostałym, żeby się z nimi rozprawić, prawie zdążyli już zniknąć na

korytarzu. Wyciągnął ku nim otwartą dłoń, zacisnął ją i przyciągnął do siebie, jakby chciał zawrócić uciekinierów, ale wszyscy znaleźli się już poza zasięgiem jego telekinezy. Rycząc z frustracji, pobiegł za nimi, po czym opadł na brzuch, żeby spróbować wydostać się na korytarz. Z trudem udało mu się precyzyjnie przejść przez wyjście.

Wtedy wreszcie zauważyłem Benthama, który stoczył się do kanału, żeby ukryć się w wodzie, a teraz gramolił się na podłogę, przemoczony, lecz nietknięty. Pochylał się tyłem do mnie i nad czymś pracował.

Czułem się tak, jakbym powracał do życia. Ból w mojej klatce piersiowej zelżał. Eksperymentalnie spróbowałem poruszyć rękami i okazało się, że mogę. Przejechałem nimi po ciele, spodziewając się dziur po kulach i zalewu krwi, ale wszystko było suche. Moje ręce nie natrafiły na rany, lecz na kawałek metalu, spłaszczony jak moneta. Zacisnąłem na nim palce i podniosłem, żeby popatrzeć z bliska.

To była kula. Nie przeszła mojego ciała, nie umierałem. Utknęła w moim szaliku — tym, który zrobił dla mnie Horace. Przewidział, że ktoś będzie do mnie strzelał, więc podarował mi szalik z wełny osobiwej owcy. „Dzięki Bogu za Horace’a” — pomyślałem.

Nagle ujrzałem błysk po drugiej stronie pomieszczenia. Uniosłem głowę i zobaczyłem, że Bentham stoi, a z jego oczu wydobywają się stożki ostrego białego światła. Usłyszałem brzęk szklanej fiolki, którą upuścił na podłogę.

Zażył ambroję.

Wytężyłem wszystkie siły, żeby obrócić się na bok, po czym podkuliłem nogi i spróbowałem usiąść. Bentham ruszył pospiesznie wzdłuż ściany, podnosząc wzrok na słoje. Oglądał wszystkie z uwagą, zupełnie jakby je widział.

Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, co zrobił. Przez wiele lat przechowywał skradzioną duszę mojego dziadka, a teraz ją zażył.

Widział słoje i mógł robić to, co ja.



Klękałem, opierając się dłońmi o ziemię. Potem wysunąłem jedną nogę i odepchnąłem się rękami od podłogi, żeby się podźwignąć. Tak oto powstałem z martwych.

Caul zdążył już wpełznąć na korytarz i przemierzyć połowę drogi do moich przyjaciół. Słyszałem ich głosy dobiegające z drugiego końca przejścia. Jeszcze nie uciekli. Może nie chcieli zostawić pani Peregrine, może postanowili pozostać przy mnie. Tak czy owak, nadal walczyli.

Bentham teraz biegł ile sił w nogach, a gdy zauważył inną wielką urnę, natychmiast ruszył w jej kierunku. Pokuśtykałem ku niemu, kiedy wyciągał ręce do urny i ją przewracał. Niebieski płyn z sykiem wlał się do kanału i popłynął w kierunku sadzawki duchów.

Wtedy Bentham się odwrócił i mnie zobaczył.

Skierował się do basenu, a ja za nim. Błękitna ciecz wkrótce dotarła do zbiornika, woda się wzburzyła i wystrzelił z niej słup oślepiającego światła.

— KTO ZABIERA MOJE DUSZE?! — ryknął Caul z korytarza i popęzł z powrotem do sali.

Natarłem na Benthama, czy też raczej upadłem na niego, jak kto woli. Słaniałem się, kręciło mi się w głowie, a on miał swoje lata i ledwie się trzymał na nogach, więc nasze siły były wyrównane. Przez chwilę walczyliśmy, a gdy stało się jasne, że go przygwoździłem, w końcu dał za wygraną.

— Posłuchaj — wysapał. — Muszę to zrobić. Jestem waszą jedyną nadzieją.

— Cicho! — warknąłem, usiłując złapać go za ręce, którymi wciąż próbował wymachiwać. — Nie będę słuchał tych kłamstw!

— On zabije nas wszystkich, jeśli mnie nie puścisz!

— Oszalał pan? Jeśli pana puszczę, tylko mu pan pomoże!

W końcu udało mi się chwycić go za nadgarstki, zanim zdołał wyjąć coś z kieszeni.

— Nie zrobię tego! — krzyknął. — Popełniłem wiele błędów, ale mogę je naprawić. Daj sobie pomoc!

— Chce mi pan pomóc?

— Zobacz, co mam w kieszeni!

Caul powoli wracał korytarzem, wrzeszcząc coś o swoich duszach.



— Kieszeń kamizelki! — krzyknął Bentham. — Tam jest papier, który zawsze ze sobą noszę, na wszelki wypadek.

Puściłem jedną jego rękę i sięgnąłem we wskazane miejsce. Wyjąłem stamtąd złożoną kartkę, którą rozprostowałem.

— Co to takiego? — zapytałem.

Tekst napisano w staroosobliwym i nie potrafiłem go odczytać.

— Przepis. Pokaż go ymbrynkom. Będą wiedziały, co zrobić.

Czyjaś ręka wysunęła się zza moich pleców i wyrwała mi papier. Odwróciłem się i ujrzałem panią Peregrine, poobijaną, ale w ludzkiej postaci.

Przeczytała słowa na kartce i popatrzyła na Benthama.

— Jesteś pewien, że zadziała?

— Kiedyś zadziałał — odparł. — Dlaczego nie miałby zadziałać ponownie? A skoro jest jeszcze więcej ymbrynek...

— Puść go — zwróciła się do mnie.

— Co? — Byłem w szoku. — Przecież on...

Położyła rękę na moim ramieniu.

— Wiem — powiedziała.

— Ukradł duszę mojego dziadka! Zabrał ją! Jest teraz w nim!

— Wiem, Jacob. — Patrzyła na mnie z łagodną, ale stanowczą miną. — To wszystko prawda. Robił jeszcze gorsze rzeczy. Dobrze, że go pan złapał, ale teraz musi go pan uwolnić.

Puściłem rękę Benthama i wstałem z pomocą pani Peregrine. Potem wstał Bentham — smutny, przygarbiony starzec z twarzą upstrzoną czarnymi plamami po duszy mojego dziadka, spływającej mu po policzkach. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę błysk Abe'a w jego oczach, odrobinę jego duszy, która mi się objawiła.

Bentham się odwrócił i pobiegł do kolumny światła bijącej z sadzawki duchów. Opary przybierały kształt olbrzyma niemal tak wielkiego jak Caul, ale ze skrzydłami. Gdyby Benthamowi udało się dotrzeć do sadzawki, przeobraziłby się w straszliwego wojownika.

Caul już gramolił się z korytarza do sali.

— CO TY ZROBIŁEŚ?! — ryczał. — ZABIJĘ CIĘ!

Pani Peregrine pchnęła mnie na podłogę.

— Nie ma czasu się chować — powiedziała. — Udawaj trupa.

Bentham chwiejnym krokiem wszedł do sadzawki, a opary natychmiast zaczęły w niego wnikać. Caul w końcu przecisnął się do środka, z trudem wstał i ciężkim krokiem podbiegł do Benthama. Omal nas nie zmiażdżył olbrzymią stopą, którą postawił tuż przy naszych głowach, ale zjawił się zbyt późno, żeby uniemożliwić Benthamowi połączenie się ze starą, wielką duszą z urny. Młodszy, słabszy brat pani Peregrine był już dwa razy wyższy niż dotąd.

Pomagając sobie nawzajem, pani Peregrine i ja podnieśliśmy się z podłogi. Za nami Caul i Bentham starli się w walce, a towarzyszące temu dźwięki przypominały wybuchy bomb. Nikt nie musiał mi mówić, że pora uciekać.

Byliśmy już w połowie drogi na korytarz, kiedy Emma i Bronwyn wybiegły nam na spotkanie. Chwyciły nas pod ręce i pociągnęły ku korytarzowi prędzej, niż dalibyśmy radę sami, biorąc pod uwagę nasze słabe, poobijane ciała. Milczeliśmy — nie było czasu na nic poza ucieczką, a zresztą nie dałoby się przekrzyczeć odgłosów walki olbrzymów — ale na twarzy Emmy malowały się zdumienie i ulga, że żyją. Słowa były niepotrzebne.

Czarny tunel nas pochłonał. Udało się nam. Obejrzałem się tylko raz i moim oczom ukazało się pole bitwy. Przez kłęby kurzu i oparów dostrzegłem dwie wyższe niż domy istoty, usiłujące się zamordować.

Caul dusił Benthama jedną kolczastą łapą, a drugą wyłupywał mu oczy. Bentham, o głowie owada, miał tysiące oczu na zbyciu, więc niezrażony wgrzyzał się w szyję Caula długimi, elastycznymi żuwaczkami, jednocześnie okładając go wielkimi, skórzastymi skrzydłami. Kołysali się tanecznym krokiem, w plątaniu kończyn i razem walili ciałami o ściany, które się rozsypywały, a z rozbijanych słoików na dusze wylewała się strumieniami i pryskała na wszystkie strony ciecz, tworząc jaśniejący deszcz.

Ten koszmarny widok na zawsze utrwalił się w mojej głowie, zanim Emma wciągnęła mnie w ciemność.

* * *

Znaleźliśmy naszych przyjaciół w sąsiedniej grocie, pogrążonej w półmroku i rozjaśnionej jedynie słabym światłem latarni w pysku Addisona. Kiedy Emma rozpałała ogień na dłoni i wszyscy zobaczyli, że do nich pędzimy, w strasznym stanie, ale żywi, jednocześnie krzyknęli z radości. Ujrzałem ich w świetle z dłoni Emmy i natychmiast się wzdrygnąłem. Wygladali źle, zakrwawieni i posiniaczeni przez Caula, a kilkoro z nich kulało na zwichniętych lub połamanych nogach.

Odgłosy walki na moment ucichły i Emma w końcu mogła mnie przytulić.

— Widziałam, jak cię zastrzelił! — wykrzyknęła. — Jakim cudem żyjesz?

— Cudem, który zawdzięczam snom Horace'a i wełnie osobliwych owiec — odparłem.

Pocałowałem Emmę, po czym oderwałem się od niej, żeby odnaleźć w tłumie Horace'a. Uścisnąłem go tak mocno, że jego lakierki oderwały się od podłogi.

— Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mógł się odwdziżyć. — Pociągnąłem się za szalik.

— Bardzo się cieszę, że pomógł — odparł z uśmiechem Horace.

Ziemia ponownie zadrżała i rozległ się ogłuszający, niewyobrazalny huk. Z korytarza wytoczyły się na nas odłamki skalne. Nawet jeśli Caul i Bentham nie byli w stanie nas dosięgnąć, nadal mogli zburzyć całą budowlę i zwalić ją nam na głowy. Musieliśmy wydostać się z biblioteki, no i z pętli.

Z trudem ruszyliśmy z powrotem ku wejściu drogą, którą tu przyszliśmy. Połowa z nas ledwie chodziła, pozostali służyli wsparciem. Dzięki swojemu niezawodnemu nosowi Addison sprawnie prowadził nas przez labirynt. Odgłosy pojedynku braci pani Peregrine zdawały się nasilać — były coraz głośniejsze, choć się oddalaliśmy. Jak wielcy stali się Caul i Bentham, jak silni? Może dusze ze wszystkich słoików, które potłukli, spływały do sadzawki, dodając im sił i zamieniając ich w jeszcze straszniejsze potwory.

Czy biblioteka dusz miała ich pogrzebać? Czy miała się stać ich grobem lub więzieniem? A może pięknie niczym skorupka jajka i wyda te okropności na świat?

Dotarliśmy do wyjścia z groty i raz jeszcze wyszliśmy na pomarańczowe światło dnia. Łoskot za naszymi plecami był teraz jednostajny, przypominał odgłos towarzyszący trzęsieniu ziemi, które przetaczało się przez wzgórze.

— Nie możemy się zatrzymać! — krzyknęła pani Peregrine. — Biegnijcie do wyjścia z pętli!

Byliśmy w połowie drogi, kiedy nagle grunt pod naszymi nogami zadrżał tak gwałtownie, że wszyscy straciliśmy równowagę. Nigdy nie słyszałem na własne uszy wybuchu wulkanu, ale na pewno nie brzmiał głośniejsz niż ten huk gromu, który odbił się echem od niskich wzniesień za nami. Odwróciliśmy się przerażeni i naszym oczom ukazała się wielka chmura drobnych odłamków skalnych, wylatujących wysoko w powietrze. Potem dobiegły nas wyraźne ryki Benthama i Caula.

A zatem uwolnili się z biblioteki. Jakimś cudem udało się im przebić przez sklepienie grotty, zrobić wyrwę w grubych warstwach skał i wydostać się na powierzchnię.

— Nie możemy dłużej czekać! — krzyknęła pani Peregrine, a potem wstała, unosząc zmiętą kartkę papieru od Benthama. — Siostry, pora zamknąć tę pętlę!

Wtedy do mnie dotarło, co Bentham nam ofiarował i dlaczego pani Peregrine go puściła. „Przepis”. Tak to nazwał. „Kiedyś zadziałał...”.

A więc to właśnie tę procedurę zastosował Caul i jego poplecznicy przed wieloma laty, w 1908 roku. Właśnie w ten sposób uległa zniszczeniu pętla, w której byli, choć mieli nadzieję przestawić swoje wewnętrzne zegary. Tym razem pętla miała zostać zawałona celowo, ale pozostawał jeden problem...

— Czy nie zamienią się w głucholców? — zapytała panna Wren.

— Głucholec to nie problem — odparłem. — Ale ostatnim razem, kiedy ktoś zniszczył w ten sposób pętlę, eksplozja zniszczyła połowę Syberii, prawda?

— Ymbrynki, które mój brat zmusił do współpracy, były młode i niedoświadczone — odparła pani Peregrine. — My poradzimy sobie lepiej.

— Oby — mruknęła panna Wren.

Zza wzgórze na horyzoncie wyjrzało gigantyczne oblicze. To był Caul, teraz wielki jak dziesięć domów. Przerazającym głosem, który roznosił się nad wzgórzami, ryknął:

— ALMOOOOOOOOOO!

— Idzie po panią! — pisnęła Olive. — Musimy wydostać się na wolność!

— Za chwilę, kochanie.

Pani Peregrine odpędziła wszystkie osobliwe dzieci (oraz Sharona z dalekimi krewnymi) na bezpieczną odległość, po czym zebrała wokół siebie ymbrynki. Wyglądały jak jakieś tajemnicze towarzystwo, przymierzające się do odtworzenia pradawnego obrzędu. I pewnie tak właśnie było.

— Zgodnie z informacjami na kartce, od uruchomienia procedury pozostanie nam tylko minuta na ucieczkę z pętli — oznajmiła pani Peregrine, patrząc na zapiski.

— Czy wystarczy nam czasu? — zapytała panna Avocet.

— Musi — odparła panna Wren ponuro.

— Może powinniśmy bardziej zbliżyć się do wyjścia — zasugerowała panna Glassbill, która dopiero co oprzytomniała.

— Nie ma czasu — oświadczyła pani Peregrine. — Musimy...

Resztę zdania zagłuszył odległy ryk Caula. Teraz nie dało się już zrozumieć słów, najwyraźniej jego

mózg rozpuszczał się w wyniku niewiarygodnie szybkiego rozrostu ciała. Kilka sekund później dotarł do nas jego oddech — żółty, cuchnący powiew, od którego zgęstniało powietrze.

Od paru minut nie słyszeliśmy Benthama. Zastanawiałem się, czy zginął.

— Życie swoim nestorkom powodzenia! — zawołała do nas pani Peregrine.

— Powodzenia! — odkrzyknęliśmy unisono.

— Proszę nas nie wysadzić! — dodał Enoch.

Pani Peregrine odwróciła się do sióstr. Dwanaście ymbrynek utworzyło ciasny krąg i złapało się za ręce. Pani Peregrine przemawiała w staroosobliwym, a ymbrynki odpowiadały chórem. Ich głosy rozbrzmiewały z tajemniczym zaśpiewem. Trwało to dobre pół minuty, jeśli nie więcej. W tym czasie Caul zaczął wygrzebywać się spod ziemi, rozrzucając ciężkimi łapami głazy, które staczały się ze wzgórz.

— Fascynujące — mruknął Sharon. — Naturalnie, możecie sobie stać i patrzeć, ale moi krewni i ja raczej już pójdziemy. — Ruszył przed siebie, lecz zauważył, że ścieżka rozdziela się na pięć drózek, a na twardej ziemi nie pozostały żadne ślady naszych stóp. — Hm — mruknął i się odwrócił. — Może ktoś pamięta drogę?

— Będziesz musiał poczekać — warknął Addison. — Nikt się nie ruszy przed ymbrynkami.

W końcu ymbrynki puściły swoje dłonie i przerwały krąg.

— I tyle? — spytała Emma.

— I tyle — odparła pani Peregrine, spiesząc ku nam. — W drogę! Lepiej, żeby nas tu nie było za pięćdziesiąt cztery sekundy!

Tam, gdzie wcześniej stały ymbrynki, w ziemi pojawiła się rozpadlina. Poszerzając się szybko, pochłaniała glinę z powierzchni gruntu. W szczelinie ujrzałem lej, który wydawał z siebie donośne, niemal mechaniczne buczenie. Pętla się zapadała.

Pomimo wyczerpania, połamanych kończyn i chwiejnego kroku biegliśmy coraz szybciej, gnani przerażeniem i okropnymi, apokaliptycznymi dźwiękami — a także olbrzymim, rozedrganym cieniem, który padł na naszą drogę. Ziemia rozstępowała się dookoła, gdy pędziliśmy po starych schodach, kruszących się pod nogami. Wkrótce wpadliśmy do pierwszego domu, z którego wcześniej się wyłoniliśmy. Choć czerwony pył z walących się ścian nieustannie wywoływał ataki kaszlu, w końcu udało się nam dotrzeć do przejścia, które prowadziło z powrotem do wieży Caula.

Pani Peregrine prowadziła nas, nie zważając na rozsypujące się ściany przejścia, i po pewnym czasie byliśmy już po drugiej stronie, w wieży. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, jak gigantyczna pięść wystrzeliwuje przez strop przejścia.

— Gdzie są drzwi?! — krzyknęła zdenerwowana pani Peregrine. — Musimy je zamknąć, bo zapadnie się teren poza pętlą!

— Bronwyn wybiła drzwi kopniakiem! — doniósł Enoch. — Są wyrwane!

Bronwyn najwyraźniej pierwsza dotarła do drzwi i wykopała je, gdyż dla niej było to szybsze niż obrócenie gałki.

— Przepraszam! — krzyknęła. — Czy przeze mnie wszyscy zginiemy?

Drżenie pętli dotarło aż do wieży, która się zachwiała, przez co poleciliśmy z jednej strony korytarza na drugą.

— Nie, jeśli uda się nam uciec z wieży — odparła pani Peregrine.

— Jesteśmy za wysoko! — krzyknęła panna Wren. — Nie zdążymy dotrzeć na dół!

— Tuż nad nami jest taras — odezwałem się.

Nie byłem pewien dlaczego, bo przecież skok w przepaść w niczym nie był lepszy niż śmierć w walącej się wieży.

— Tak! Skoczmy! — zawołała Olive.

— Wykluczone! — zaproponowała panna Wren. — My, ymbrynki, sobie poradzimy, ale dzieci...

— Uniosę je w powietrze! — oświadczyła Olive. — Jestem dostatecznie silna!

— Nie ma mowy! — odparł Enoch. — Jesteś małeńka, a nas jest zbyt wielu.

Wieża zachwiała się niebezpiecznie, a kafelki z sufitu posypały się dookoła nas. Na podłodze dostrzegłem pajęczynę pęknięć.

— Dobrze, więc zostań tutaj! — poradziła mu Olive.

Ruszyła na górę, a reszta z nas wahała się tylko chwilę. Wieża zakołysała się ponownie i wtedy zrozumieliśmy, że Olive jest naszą jedyną nadzieją.

Nasze życie było teraz w filigranowych rączkach najmniejszego osobliwca. Pomyślałem, że nie poradzimy sobie, jeśli optaszność nie będzie nad nami czuwała.

Pobiegliśmy w górę pochyłego korytarza i po chwili naszym oczom ukazał się niezadaszony taras na otwartym powietrzu. Powoli zmierzchało. W dole rozpościerał się imponujący krajobraz Diabelskiego Poletka, z twierdzą i jej jasnymi murami, otoczonymi mglistą otchłanią, którą częściowo przecinał fragmentaryczny most, z pogorzelskim ulicy Dymnej i ciasnymi zabudowaniami w oddali. Zauważyłem też Rów, wijący się po obrzeżach pętli niczym pierścień szumowin. Cokolwiek miało się stać — bez względu na to, czy przeżyjemy, czy nie — pragnąłem zobaczyć ostateczny koniec tego miejsca.

Zbliżyliśmy się do balustrady, a Emma chwyciła mnie za rękę.

— Tylko nie patrz w dół — powiedziała.

Ymbrynki jedna po drugiej zamieniły się w ptaki i przysiadły na balustradzie, gotowe pomóc najlepiej jak potrafiły. Olive zacisnęła obie dłonie na poręczy i zsunęła buty. Jej stopy się uniosły i po chwili wzbila się do góry nogami, z gołymi piętami wycelowanymi w niebo.

— Bronwyn, złap mnie za stopy! — poleciała. — Utworzymy łańcuch. Emma uczepi się nóg Bronwyn, Jacob chwyci za nogi Emmę, Horace uwiesi się na nim, a Hugh podczepi się pod Horace'a...

— Ale jestem ranny w lewą nogę! — zauważył Hugh.

— No to niech Horace złapie cię za prawą! — zdecydowała Olive.

— To jakieś szaleństwo! — zirytował się Sharon. — Będziemy o wiele za ciężcy!

Olive chciała zaprotestować, ale wieża zatrzęsała się tak mocno, że musieliśmy chwycić się balustrady,

żeby nie pospadać.

Nie było wyjścia, musieliśmy przystać na propozycję Olive.

— Rozumiecie, w czym rzecz! — krzyknęła pani Peregrine. — Róbcie to, co wam każe Olive, a przede wszystkim, trzymajcie się mocno, dopóki nie dotrzemy na ziemię!

Mała Olive ugięła nogi w kolanach i podsunęła jedną stopę Bronwyn, która ją chwyciła, a następnie wyciągnęła rękę i złapała również drugą nogę. Olive puściła balustradę, stanęła w rękach Bronwyn i odepchnęła się od niej ku niebu niczym pływaczka, odbijająca się nogami od ściany basenu.

Bronwyn oderwała się od tarasu. Emma błyskawicznie chwyciła ją za nogi i również uniosła się w powietrze. Olive wyteżyła wszystkie siły i zacisnęła zęby, żeby wzbić się wyżej. Potem nadeszła moja kolej, ale wyglądało na to, że Olive traci moc udźwigu. Męczyła się i postękiwała, płynąc pieskiem ku niebu, ale ewidentnie opuściła ją energia. Wtedy pani Peregrine przemieniła się w ptaka. Zatrzepotała skrzydłami, wzlatując w powietrze, zatopiła szpony w plecach sukienki Olive i pomogła podopiecznej wzbić się wyżej.

Poczułem, jak tracę kontakt z podłożem. Hugh złapał mnie za nogi, Horace podczepił się pod niego, potem dołączył do nas Enoch i tak dalej, aż wreszcie na przejażdżkę załapali się Perplexus, Addison, Sharon i jego krewni. Pofrunęliśmy niczym niespotykany, wijący się latawiec, z niewidzialnym Millardem na końcu. Pozostałe, drobniejsze ymbryniki wczepiły się w różne miejsca naszych ubrań i trzepocząc jak oszalałe, próbowały nam pomóc.

Ledwie ostatnia osoba odbiła się od podłoża, cała wieża zaczęła się rozpadać. Zerknąłem w dół w samą porę, by zobaczyć, jak konstrukcja się wali, błyskawicznie zapada w siebie, a jej szczyt zapada się, zupełnie jakby wsysała go dematerializująca się pętla. Wieża wkrótce zniknęła z powierzchni ziemi po tym, jak przechyliła się i pękła pośrodku. W jej miejscu podniosła się ogromna chmura pyłu i drobnego gruzu, a towarzyszył temu odgłos miliona cegieł wsypywanych do kamieniołomu. Pani Peregrine traciła już siły i powoli opadaliśmy na ziemię, ymbryniki zaś energicznie odciągały nas na bok, żebyśmy mogli miękko wylądować z dala od gruzowiska.

Osiedliśmy na dziedzińcu, najpierw Millard, a na samym końcu Olive, tak wyczerpana, że osunęła się na plecy i przez dłuższy czas leżała bez ruchu, dysząc jak po przebiegnięciu maratonu. Zebraliśmy się wokoło, nagradzając ją oklaskami.

Olive nagle zrobiła wielkie oczy i wskazała coś palcem.

— Patrzcie!

W powietrzu za naszymi plecami, tam, gdzie przed chwilą znajdował się szczyt wieży, pojawił się mały, srebrny wir, który przypominał miniaturowe tornado. Taki był koniec zapadającej się pętli. Zahipnotyzowani patrzyliśmy, jak trąba powietrzna się kurczy, wirując coraz szybciej. Gdy wreszcie była już zbyt mała, żeby ją dostrzec, wydobył się z niej odgłos przypominający huk samolotu przekraczającego prędkość dźwięku:

— ALMAAAAAAAAAA...

Potem wir zamigotał i znikł, wciągając ze sobą głos Caula.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



Po zapadnięciu się pętli oraz wieży nie mieliśmy czasu na to, żeby otrząsnąć się z szoku. Choć wydawało się, że najgorsze niebezpieczeństwo jest już za nami i większość wrogów zginęła lub została pojmana, wszędzie panował chaos i mieliśmy sporo do zrobienia. Mimo wyczerpania, siniaków i zwichnięć ymbrynki zabrały się do tego, co ymbrynki robią najlepiej — do zaprowadzania porządku. Przybrały ludzką formę i objęły przywództwo. Przetrzęsaliśmy twierdzę, żeby sprawdzić, czy nie kryją się tam jakieś upiory. Dwa poddały się natychmiast, a Addison odkrył jeszcze jednego — żalostną kobiecinę, która zaszła się w przypadkowej norze.

Wyszła z podniesionymi rękami, błagając o litość. Krewnym Sharona zlecono skonstruowanie prowizorycznego więzienia dla naszej niewielkiej, lecz coraz liczniejszej grupki więźniów. Podśpiewując, ochoczo zabrali się do pracy. Pani Peregrine i panna Avocet przesłuchały Sharona, jednak po kilku minutach doszły do wniosku, że był tylko najemnikiem, a nie tajnym agentem czy zdrajcą. Wydawał się równie wstrząśnięty zdradą Benthama jak cała nasza reszta.

Więzienia i laboratoria upiorów zostały niezwłocznie opróżnione, a ich przerażające urządzenia zniszczone. Ofiary koszmarnych eksperymentów wyprowadziliśmy na świeże powietrze, gdzie otrzymały odpowiednią pomoc. Kilkudziesięciu uwolniliśmy z innego baraku — wyszli z podziemi chudzi i obszarpani. Niektórzy szli otępiali, więc trzeba było ich prowadzić w jedno miejsce i mieć na oku, aby się nie zgubili. Inni byli do tego stopnia oszołomieni z wdzięczności, że nie mogli przestać nam dziękować. Pewna dziewczynka spędziła pół godziny, wędrując od jednego osobliwca do drugiego i tuląc się do nich z zapalem.

— Nawet nie wiecie, jak wiele to dla nas znaczy — powtarzała. — Nie wiecie, co dla nas uczyniliście.

Trudno było się nie wzruszyć, więc pocieszaliśmy wyzwoleńców, jak tylko potrafiliśmy, a oni pociągali nosami i wdychali z wdzięczności. Nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić, przez co przeszli moi przyjaciele, a co dopiero ci, którzy spędzili tygodnie i miesiące w niewoli u Caula. W porównaniu z tym moje siniaki i obrażenia nic nie znaczyły.

Spośród uratowanych osobliwców najbardziej zapadli mi w pamięć trzej bracia. Ich stan raczej nie budził zastrzeżeń, ale byli tak zaszokowani tym, co ich spotkało, że nie chcieli mówić. Przy pierwszej okazji odłączyli się od tłumu, znaleźli kilka odłamków gruzu, na których usiedli w kucki, i tylko wodzili dookoła pustym wzrokiem. Najstarszy obejmował dwóch młodszych. Wyglądało to tak, jakby nie potrafili

pogodzić widoku, który roztaczał się przed ich oczami, z piekłem, które uznali za swoją rzeczywistość.

— Jesteście już bezpieczni — powiedziała Emma łagodnie, kiedy do nich podeszliśmy.

Popatrzyli na nią tak, jakby nie znali znaczenia tego ostatniego słowa.

Enoch zauważył, że z nimi rozmawiamy, i podszedł do nas z Bronwyn. Ciągnęła za sobą niemal nieprzytomnego upiora, związanego laboranta w białym fartuchu. Chłopcy wzdrygnęli się mimowolnie.

— Już was nie skrzywdzi — zapewniła ich Bronwyn. — Nikt nie zrobi wam nic złego.

— Może powinniśmy go tutaj z wami zostawić. — Enoch uśmiechnął się diabolicznie. — Na pewno macie sobie sporo do powiedzenia.

Upiór uniósł głowę. Na widok chłopców szeroko otworzył czarne oczy.

— Dość — powiedziałem. — Nie dręcz ich.

Najmłodszy chłopiec zacisnął pięści i chciał wstać, ale najstarszy go przytrzymał i wyszeptał mu coś do ucha. Chłopiec zamknął oczy i skinął głową, jakby z trudem się przed czymś powstrzymał, po czym ukrył pięści pod pachami.

— Nie, dzięki — powiedział uprzejmie, z południowym akcentem.

— Idziemy — odezwałem się.

Zostawiliśmy chłopców w spokoju, odchodząc razem z upiorem.

* * *

Kręciliśmy się po twierdzy w oczekiwaniu na polecenia ymbrynek. To, że choć raz nie my musieliśmy decydować o wszystkim, sprawiło nam ulgę. Czuliśmy się wyczerpani, ale i pełni energii. Mimo niewiarygodnego zmęczenia byliśmy radośni, gdyż udało nam się przeżyć.

Cieszyliśmy się i nie brakowało spontanicznych okrzyków triumfu, śmiechów i piosenek. Millard i Bronwyn tańczyli na zawalonej okruchami gruzu ziemi. Olive i Claire tuliły się do pani Peregrine, która nosiła je w objęciach, krążąc to tu, to tam i sprawdzając, czy wszystko w porządku. Horace nie przestawał się szczytać, gdyż podejrzewał, że to jeden z jego snów, piękna wizja przyszłości, która jeszcze nie nadeszła. Hugh snuł się samotnie, bez wątplenia tęskniąc za Fioną. Jej zniknięcie sprawiło, że w każdym z nas pozostała pustka. Millard skakał nad swoim bohaterem Perplexusem, który raptownie przestał się starzeć po wejściu do Abatonu i póki co ta sytuacja się nie zmieniła. Millard zapewnił nas, że Perplexus ponownie zacznie się sypać, a teraz, gdy wieża Caula została unicestwiona, nikt nie wiedział, jak kartograf dotrze do swojej starej pętli. (Naturalnie, pozostało jeszcze pantransportikum Bentham, jednak które z setki jego drzwi były tymi właściwymi?)

Do tego dochodziła kwestii Emmy i mnie. Byliśmy bardzo do siebie przywiązani, a jednak unikaliśmy rozmowy ze sobą. Zapewne baliśmy się tego, co musimy sobie powiedzieć.

Co dalej? Co z nami będzie? Wiedziałem, że Emma nie może zostawić współbraci i jest zmuszona żyć w pętli do końca swoich dni — czy to na Diabelskim Poletku, czy w innym, lepszym miejscu. Ja jednak

mogłem odejść. Czekali na mnie rodzice i dom, a także życie, czy też jego marny odpowiednik. Ale i tu miałem rodzinę. I Emmę. Nadal stawałem się nowym Jacobem i nie mogłem być pewien, czy przetrwa on na Florydzie.

Potrzebowałem tego wszystkiego: obu rodzin, starego i nowego Jacoba, jak również całej Emmy. Wiedziałem, że czeka mnie konieczność wyboru, i czułem strach przed niemożnością podjęcia decyzji.

To było zbyt wiele, nie mogłem stawić temu czoła tak szybko po ostatnich przejściach. Potrzebowałem jeszcze kilku godzin, dnia na udawanie. I tak Emma i ja staliśmy ramię w ramię, patrząc przed siebie i godząc się na wszystko, czego zażądałyby od nas ymbryniki.

One zaś, bardzo opiekuńcze z natury, doszły do wniosku, że dość już przeszliśmy. Powiedziały, że potrzeba nam wypoczynku i że do pewnych spraw osobliwe dzieci nie powinny się mieszać. Gdy wieża runęła, pogrzebała pod sobą mniejszy budynek, jednak ymbryniki zabroniły nam szukać w ruinach pozostałych przy życiu ludzi. W innym punkcie twierdzy znajdowały się fiołki z ambro, które należało odzyskać, ale ymbryniki nie chciały, żebyśmy tam podchodzili. Zastanawiałem się, co zrobią z fiołkami, a także czy skradzione dusze kiedykolwiek trafią do prawowitych właścicieli.

Pomyślałem o fiołce z zawartością przygotowaną z duszy mojego dziadka. To było okropne, kiedy Bentham jej użył, a jednak gdyby tego nie zrobił, nigdy nie ucieklibyśmy z biblioteki dusz. I tak oto, koniec końców, ocaliła nas dusza dziadka. Dobrze mi było ze świadomością, że przynajmniej się nie zmarnowała.

Mieliśmy sporo do zrobienia także poza twierdzą. Należało uwolnić osobliwe dzieci, uwięzione przy Alejce Podejrzliwych i w innych miejscach Diabelskiego Poletka, ale ymbryniki zdecydowały, że same się tym zajmą, wraz z osobliwymi dorosłymi. Okazało się, że nie nikt nie stawiał oporu. Handlarze niewolników i rozmaite szumowiny pouciekały z Poletka, gdy tylko doszło do klęski upiorów, więc należało zebrać dzieci i zaprowadzić je w bezpieczne miejsce, a potem wyłapać zdrajców i postawić ich przed obliczem trybunałów. Powiedziano nam, że ani jedno, ani drugie nie jest naszą sprawą. W tej chwili potrzebowaliśmy miejsca, w którym dojdziemy do siebie i które będzie także bazą operacyjną przy rekonstrukcji osobliwej społeczności. Tak czy owak, żadne z nas nie chciało zostać w koszarnej twierdzy upiorów dłużej niż to konieczne.

Zaproponowałem dom Benthama. Było tam mnóstwo przestrzeni, lekarz na miejscu, a także pantransportikum (kto wie, mogło się kiedyś do czegoś przydać). Wyruszyliśmy wraz z zapadnięciem ciemności. Do jednej z ciężarówek upiorów załadowaliśmy tych, którzy nie mogli chodzić, a reszta pomaszerowała z tyłu. Opuściliśmy fortecę z niewielką pomocą mostowego głucholca, który najpierw przeniósł samochód, a potem resztę z nas, w grupkach po trzy osoby. Niektóre dzieci bały się potwora i trzeba było je łagodnie przekonywać. Inne nie mogły się doczekać i żądały powtórki. Pozwoliłem im na to. Kontrola nad głucholcami stała się moją drugą naturą, co było satysfakcjonujące, choć zaprawione kroplą goryczy. Głucholcom groziło wyginięcie, więc mój dar wydawał się archaiczny — a jeśli nawet nie dar, to sposób, w jaki się objawiał. Nie miałem jednak nic przeciwko temu. Nie zależało mi na

popisach, a teraz to była tylko zwykła sztuczka. Czułbym się o wiele szczęśliwszy, gdyby głucholce w ogóle nie istniały.

Niespiesznie przemierzaliśmy Diabelskie Poletko. Ci z nas, którzy wędrowali pieszo, szli wokół ciężarówki jak przy platformie na paradzie, inni obsiedli zderzaki i dach. Mieliśmy wrażenie, że uczestniczymy w rundzie honorowej na cześć zwycięstwa. Osobliwcy z Poletka wylegli z domów i ruder, aby na nas popatrzeć. Wcześniej widzieli, jak wali się wieża, i nie wątpili, że zaszły zmiany. Wielu było brawo, niektórzy salutowali. Inni chowali się w cieniu, zawstydzeni rolą, którą odegrali.

Kiedy znaleźliśmy się w domu Benthama, Matka Pył i Reynaldo powitali nas w drzwiach. Byli bardzo życzliwi i powiedzieli, że dom należy do nas i możemy korzystać z niego wedle uznania. Matka Pył natychmiast położyła rannych do wygodnych łóżek i obdarzyła swoim pyłem. Zaproponowała, że najpierw zajmie się moimi siniakami i ugryzieniami na brzuchu, ale odparłem, że mogę poczekać. Inni byli w gorszym stanie.

Opowiedziałem, jak użyłem jej palca, jak ocalił mi życie i życie innych. Tylko wzruszyła ramionami i wróciła do pracy.

— Zasługuje pani na medal — oświadczyłem. — Nie wiem, czy osobliwcy przyznają medale, lecz jeśli tak, to dopilnuję, żeby go pani dostała.

Wydawała się zdumiona moimi słowami i zanim odeszła w pośpiechu, usłyszeliśmy jej łkanie.

— Powiedziałem coś nie tak?

Popatrzyłem na Reynalda.

— Nie wiem — odparł z przejęciem i poszedł za nią.

Nim jak w transie wędrował po domu, nie mogąc uwierzyć w to, co zrobił Bentham.

— Na pewno zaszła jakaś pomyłka — powtarzał. — Pan Bentham nigdy by nas tak nie zdradził.

— Przejrzyj na oczy! — poradziła mu Emma. — Twój szef był gnidą.

Pomyślałem, że prawda jest nieco bardziej skomplikowana, ale obrona postawy moralnej Benthama nie przysporzyłaby mi sympatii. Bentham nie musiał przekazywać nikomu przepisu ani atakować swojego potwornego brata. Dokonał wyboru i koniec końców poświęcił życie, żeby nas uratować.

— Potrzebuje czasu — powiedział Sharon o Nimie. — Ma sporo do przemyślenia. Bentham oszukał wielu z nas.

— Pana też? — zapytałem.

— Zwłaszcza mnie. — Wzruszył ramionami i pokręcił głową. Wydawał się rozdarty i smutny.

— Dzięki niemu odstawiłem ambrozię. Wyciągnął mnie z uzależnienia, ocalił mi życie. Miał w sobie dobro. Chyba dlatego byłem ślepy na zło.

— Musiał mieć choć jednego zaufanego człowieka — wtrąciła Emma. — No wiesz, pomagiera.

— Asystent! — wykrzyknąłem. — Czy ktoś go widział?

Okazało się, że nie. Przeszukaliśmy dom, jednak prawa ręka Benthama, człowiek o kamiennej twarzy, zniknął. Pani Peregrine zebrała wszystkich razem i poprosiła Emmę oraz mnie, żebyśmy ze szczegółami

opisali asystenta, na wypadek gdyby powrócił.

— Powinien być traktowany jak osoba niebezpieczna — oznajmiła. — Jeśli go zobaczycie, nic nie róbcie. Uciekajcie i powiedzcie o tym którejkolwiek ymbrynce.

— Powiedzcie ymbrynce — wymamrotał Enoch. — Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że to my je ocaliliśmy, a nie na odwrót?

Pani Peregrine go usłyszała.

— Tak — przytaknęła. — Wszyscy zachowaliście się wspaniale. Poza tym dorośliście, ale nawet dorośli mają starszych, którzy wiedzą lepiej.

— Tak, proszę pani — powiedział zawstydzony.

Potem zapytałem panią Peregrine, czy jej zdaniem Bentham od początku chciał nas zdradzić.

— Mój brat był przede wszystkim oportunistą — odparła. — Myślę, że do pewnego stopnia chciał zrobić coś dobrego, a kiedy pomógł panu i panie Bloom, zrobił to szczerze. Przez cały czas jednak był gotów zdradzić, na wypadek gdyby to się okazało dla niego korzystne. A kiedy powiedziałam mu, żeby się wypchał, postanowił wystawić nas do wiatru.

— To nie pani wina — wtrąciła Emma. — Po tym, co zrobił Abe'owi, też bym mu nie przebaczyła.

— Ale mogłam być łagodniejsza. — Pani Peregrine zmarszczyła brwi i popatrzyła w bok. — Relacje między rodzeństwem bywają skomplikowane. Czasem się zastanawiam, czy to przypadkiem nie moje czyny miały wpływ na życiowe wybory moich braci. Czy mogłam być lepszą siostrą? Może jako młoda ymbrynka byłam zbyt skupiona na sobie.

— Proszę pani, to jest... — Ugryzłem się w język, zanim zdążyłem użyć słowa „idiotyczne”.

Nie miałem ani brata, ani siostry, więc niby co mogłem o tym wiedzieć?

* * *

Jakiś czas później zabraliśmy panią Peregrine i część ymbrynek do piwnicy, żeby pokazać im serce pantransportikum Benthama. Wyczułem swojego głucholca w komorze zasilającej. Był słaby, ale żywy. Zrobiło mi się go żal i spytałem, czy mogę go stamtąd zabrać, jednak pani Peregrine oświadczyła, że machina musi teraz działać. Tyle pętli pod jednym dachem pozwalało przekazać wieści o naszym zwycięstwie do wszystkich rejonów zamieszkałych przez osobliwców, a także ocenić szkody wyrządzone przez upiory i przystąpić do odbudowy zniszczeń.

— Mam nadzieję, że pan rozumie, panie Portman — powiedziała pani Peregrine.

— Owszem...

— Jacob ma słabość do tego głucholca — wtrąciła Emma.

— No cóż, to był mój pierwszy — wyjaśniłem z lekkim skrepowaniem.

Pani Peregrine dziwnie na mnie popatrzyła, ale obiecała, że zrobi, co w jej mocy.

Nie mogłem już dłużej ignorować rany po ugryzieniu w brzuch, więc Emma i ja ustawiliśmy się

w kolejce do Matki Pył. Ogonek wił się z prowizorycznego gabinetu w kuchni i biegł korytarzem. Niesamowite było patrzenie na kolejno wchodzące tam osoby, poobijane i posiniaczone, ze złamanym palcem u nogi albo z lekkim wstrząśnieniem (lub też, jak w wypadku panny Avocet, z kulą w ramieniu, którą posłał jej Caul ze swojego zabytkowego pistoletu), które kilka minut później wychodziły sprężystym krokiem, zdrowe jak ryby. Wyglądały tak dobrze, że pani Peregrine zabrała Reynaldo na bok i kazała mu przypomnieć Matce Pył, że nie jest odnawialnym zasobem, więc nie powinna marnować się na drobne rany, które zagoiłyby się same.

— Cały czas próbowałem jej to mówić — odparł. — Ale to perfekcjonistka, nie chce mnie słuchać.

Wobec tego pani Peregrine osobiście udała się do kuchni, żeby zamienić słowo z Matką Pył. Wróciła po pięciu minutach, wyraźnie spotulniała. Skaleczenia na jej twarzy znikły, a ręka, która nie wisiała prosto, odkąd Caul rąbnął panią Peregrine o ścianę groty, swobodnie się kołysała.

— Co za uparta kobieta! — wykrzyknęła nasza ymbrynka.

Gdy nadeszła moja kolej, żeby wejść do kuchni, niemal odmówiłem poddania się leczeniu — Matce Pył pozostał tylko kciuk i palec wskazujący sprawnej dłoni. Wystarczył jej rzut oka na mój brzuch, przeorany nierównymi bruzdami ran i brudny od zaschniętej krwi, żeby niemal siłą położyła mnie na łóżku polowym przy zlewie. W ranę wdawało się zakażenie, jak mnie poinformowała za pośrednictwem Reynalda. Na zębach głucholca roiło się od paskudnych bakterii, więc bez leczenia poważnie bym zachorował. W takiej sytuacji musiałem ustąpić. Matka Pył posypała mnie pudrem i już po kilku minutach poczułem się znacznie lepiej.

Zanim wyszedłem, ponownie spróbowałem jej wytłumaczyć, jak wiele dla nas znaczy jej poświęcenie i to, że uratował nas fragment jej ciała.

— Naprawdę, bez tego palca nigdy nie zdołałbym... — zacząłem.

Ona jednak natychmiast się odwróciła, zupełnie jakby słowa podziękowania paliły jej uszy.

Reynaldo wyprowadził mnie w pośpiechu.

— Przepraszam — powiedział. — Matka Pył musi przyjąć wielu innych pacjentów.

Emma spotkała się ze mną na korytarzu.

— Wyglądasz fenomenalnie! — zauważyła. — Chwała ptakom na wysokości. Naprawdę zaczynałam się przejmować tym ugryzieniem...

— Koniecznie powiedz jej o problemach ze słuchem — przypomniałem Emmie.

— Że co?

— Powiedz o problemach ze słuchem! — powiedziałem głośniej, wskazując palcem ucho Emmy.

Dzwoniło jej w uszach od czasu bitwy potworów w bibliotece. Gdy uciekaliśmy, Emma musiała oświetlać nam drogę ogniem na dłoniach, więc nie była w stanie zatkać uszu przed straszliwym hałasem, który okazał się dosłownie ogłuszający.

— Tylko nie wspominaj o palcu — dodałem.

— O czym?

— O palcu! — Uniosłem palec. — Jest do tego stopnia przewrażliwiona na tym punkcie, że trzeba chodzić koło niej na palcach... że tak powiem.

— Ale dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie mam pojęcia — odparłem.

Emma poszła do kuchni. Trzy minuty później wróciła, strzelając palcami przy uszach.

— Niesamowite! — mruknęła. — W życiu tak dobrze nie słyszałam!

— Dzięki Bogu. — Odetchnąłem z ulgą. — Wykrzykiwanie wszystkiego jest męczące.

— Jasne. Wiesz, wspomniałam o palcu.

— Co takiego? Po co?

— Z ciekawości.

— No i?

— Zaczęły się jej trząść ręce. Potem wymamrotała coś, czego Reynaldo nie chciał przetłumaczyć, a na koniec mnie wypędziła.

Zapewne mogliśmy zgłębić tę zagadkę, ale doskwierały nam zmęczenie i głód, a w dodatku dotarł do nas zapach jedzenia.

— Coś na ząb! — zawołała panna Wren z głębi korytarza, więc przełożyliśmy rozmowę na później.

* * *

Gdy zapadła noc, zebraliśmy się na kolację w bibliotece Benthama, jedynym pomieszczeniu na tyle przestronnym, żeby wygodnie nas pomieścić. W kominku trzaskał ogień, a na ucztę składały się dobra ofiarowane przez pełnych wdzięczności miejscowych. Raczyliśmy się pieczonymi kurczakami, ziemniakami, dziczyzną i rybami. (Tych ostatnich nie brałem do ust z obawy, że złowiono je w Rowie). Gawędziliśmy przy posiłku, wspominając przygody ostatnich dni. Pani Peregrine niewiele wiedziała o naszej podróży z Cairnholm do Londynu, a potem przez zbombardowaną stolicę do panny Wren, więc nalegała, żebyśmy zrelacjonowali wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Była wspaniałą słuchaczką, śmiała się w odpowiednich momentach i wstrzymywała oddech z wrażenia, słysząc o naszych dramatycznych wyczynach.

— A potem bomba spadła prosto na głucholca i rozerwała go na kawałeczki! — pisnęła Olive i podskoczyła na krześle. — Ale mieliśmy na sobie osobliwe swetry panny Wren, więc odłamki nas nie zabiły!

— Wielkie nieba! — powiedziała pani Peregrine. — Mieliście mnóstwo szczęścia!

Gdy skończyliśmy opowiadać, przez pewien czas siedziała w milczeniu, przypatrując się nam ze smutkiem i podziwem.

— Jestem z was naprawdę dumna — wyznała wreszcie. — I bardzo mi przykro, że doszło do tego

wszystkiego. Nie macie pojęcia, jak załuję, że to nie ja wam towarzyszyłam, tylko mój zdradziecki brat.

Uczciliśmy Fionę chwilą ciszy, choć Hugh się upierał, że przeżyła. Jego zdaniem drzewa zamortyzowały upadek, a teraz biedaczka pewnie błąkała się po lesie gdzieś nieopodal menażerii panny Wren. Spadając, mogła też uderzyć się w głowę i zapomniała, skąd jest. Albo się ukrywała...

Powiódł po nas pełnym nadziei spojrzeniem, ale unikaliśmy jego wzroku.

— Na pewno się zjawi — zapewniła go Bronwyn.

— Nie dawaj mu fałszywej nadziei — upomniał ją Enoch. — To okrutne.

— Coś o tym wiesz, prawda? — burknęła z pogardą.

— Zmieńmy temat — wtrącił się Horace. — Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób pies uratował Jacoba i Emmę w metrze.

Addison z zapałem wskoczył na stół i zabrał się do relacjonowania przebiegu zdarzeń. Okraszał tę opowieść tyłoma dygresjami o swoim bohaterstwie, że Emma musiała przejąć inicjatywę. Z moją pomocą wyjaśniła, jak dotarliśmy na Diabelskie Poletko i jak dzięki wsparciu Benthama zorganizowaliśmy naszą małą inwazję na twierdzę upiorów. Potem wszyscy zasypali mnie pytaniami o głucholce.

— Jak się nauczyłeś ich języka? — spytał Millard.

— Jak to jest kontrolować głucholca? — zainteresował się Hugh. — Czy wyobrażasz sobie, że jesteś jednym z nich? Ja w taki sposób panuję nad pszczołami.

— Czy to swędzi? — zapytała Bronwyn.

— Nie myślałeś nigdy, żeby mieć głucholca jako zwierzątko domowe? — zaciekawiała się Olive.

Odpowiadałem jak najbardziej wyczerpująco, choć nie przychodziło mi to z łatwością. Trudno mi było opisać moje relacje z głucholcami. Przypominało to trochę odtwarzanie w pamięci ulotnego snu. Poza tym dekoncentrowała mnie perspektywa rozmowy, którą Emma i ja odkładaliśmy na później.

Gdy skończyłem, popatrzyłem jej w oczy i ruchem głowy wskazałem drzwi. Przepraszając wszystkich i odchodząc od stołu, wyraźnie czułem na plecach zaciekawione spojrzenia przyjaciół.

Zaszyliśmy się w słabo oświetlonej szatni, pełnej płaszczy, kapeluszy i parasoli. Nie było to ani przestronne, ani wygodne pomieszczenie, ale przynajmniej zapewniało nam nieco prywatności. Wiedzieliśmy, że nikt nas tam nie podsłucha. Nagle ogarnął mnie irracjonalny strach. Stałem przed koniecznością dokonania trudnego wyboru, a dotąd nie musiałem się mierzyć z tym problemem.

Przez moment milczeliśmy, patrząc sobie w oczy. Pokój był tak wytłumiony przez ubrania, że niemal słyszałem bicie naszych serc.

— No dobrze — odezwała się Emma, jak zawsze pierwsza i bezpośrednia, nieskrępowana w niezręcznej chwili. — Zostajesz?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale słowa same popłynęły mi z ust. Mówiłem bez ogródek, jakby kierował mną autopilot.

— Muszę się spotkać z rodzicami — oświadczyłem całkowicie zgodnie z prawdą.

Z pewnością byli wystraszeni i cierpieli, a przecież na to nie zasłużyli. Zbyt długo trzymałem ich w niepewności.

— Naturalnie — odparła Emma. — Rozumiem. To oczywiste.

W powietrzu wisiało niesformułowane pytanie. Zapowiedź spotkania z rodzicami była tylko półśrodkiem, sposobem na uniknięcie odpowiedzi. Jasne, powinienem się z nimi zobaczyć. Ale co potem? Co miałem im powiedzieć?

Usiłowałem sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym wyznał im prawdę. Rozmowa telefoniczna, którą w metrze przeprowadziłem z ojcem, była czymś w rodzaju zapowiedzi czekających mnie atrakcji. „Pogubił się. Nasz syn stracił rozum albo jest pod wpływem narkotyków. Albo za mało się naćpał”.

Nie, wyłożenie kawy na ławę nie rozwiązałoby problemu. Więc co mi pozostało? Miałem zobaczyć się z rodzicami, zapewnić ich, że jestem cały i zdrowy, wymyślić bajeczkę o zwiedzaniu Londynu, a potem kazać im wrócić do domu beze mnie? Też coś. Ścigaliby mnie. Nasłaliby na mnie policjantów, którzy zaczęliby się w krzakach w miejscu naszego spotkania. Zjawiliby się też faceci w białych kitlach, uzbrojeni w siatki wielkości człowieka, i musiałbym wiać. Gdybym wyjawiał prawdę, pograżylibym się jeszcze bardziej. Spotkanie z rodzicami, zakończone kolejną ucieczką, sprawiłoby im jeszcze więcej bólu. A jednak nawet nie chciałem myśleć o tym, że mógłbym ich nie zobaczyć, nigdy nie wrócić do domu. Jeśli miałem być szczery wobec samego siebie, to musiałem przyznać, że choć perspektywa opuszczenia Emmy, przyjaciół i ich świata wydawała się bolesna, jakaś część mnie pragnęła znaleźć się wśród bliskich. Rodzice i ich świat oznaczali dla mnie powrót rozsądku i przewidywalności, o czym marzyłem po tym całym szaleństwie. Chciałem przez pewien czas być normalny. Musiałem się otrząsnąć i dojść do siebie, przynajmniej na chwilę.

Spląciłem dług wobec pani Peregrine i osobliwców. Stałem się jednym z nich, ale nie byłem tylko kimś z ich grona. Byłem również synem swoich rodziców, i choć nie uważałem ich za doskonałych, to jednak za nimi tęskniłem. Brakowało mi domu, a także głupiej codzienności. Oczywiście, zapewne zatęskniłbym za Emmą, i to bardziej niż za wszystkim, co wiązało się z domem. Problem w tym, że pragnąłem zbyt dużo. Chciałem żyć tu i tam jednocześnie, cieszyć się podwójnym obywatelstwem. Pragnąłem być osobliwcem, dowiedzieć się wszystkiego o osobliwym świecie, korzystać z bliskości Emmy i spenetrować pętle uwzględnione przez Benthama w jego pantransportikum. Miałem jednak chęć robić także niemądre, banalne rzeczy, typowe dla normalnych nastolatków — póki jeszcze mogłem uchodzić za jednego z nich. Powinienem zdobyć prawo jazdy, znaleźć sobie przyjaciela w swoim wieku, ukończyć liceum. Jako osiemnastolatek mógłbym pojechać tam, dokąd zechcę... także w przeszłość. Zawsze przecież mogłem wrócić.

Taka była prawda oraz istota rzeczy. Nie chciałem spędzić reszty życia w pętli i na wieczność być osobliwym dzieckiem. Niewykluczone jednak, że pewnego dnia mógłbym zostać osobliwym dorosłym.

Gdyby udało mi się postępować ostrożnie, być może miałem szansę zgarnąć całą pulę.

— Nie chcę odchodzić — wyznałem. — Ale być może będę musiał, na pewien czas.

Emma spojrzała w bok.

— Więc odejdz — powiedziała.

Poczułem się urażony. Nawet nie zapytała, co oznacza „na pewien czas”.

— Będę cię odwiedzał — dodałem pośpiesznie.

Teoretycznie mówiłem prawdę. Po zlikwidowaniu zagrożenia ze strony upiorów zawsze miałem do czego wracać — o ile optaszność pozwoli. Trudno jednak było zakładać, że rodzice zechcą w najbliższym czasie ponownie przyjechać do Wielkiej Brytanii. Okłamywałem Emmę i samego siebie, a ona o tym wiedziała.

— Nie — mruknęła. — Nie chcę.

Poczułem bolesny ucisk w sercu.

— Co? — spytałem cicho. — Dlaczego?

— Bo właśnie tak postąpił Abe. Wracał co kilka lat. Za każdym razem był starszy, a ja się nie zmieniałam. A potem kogoś poznał i się ożenił...

— Nie zrobię tego — zapewniłem ją. — Kocham cię.

— Wiem — westchnęła i odwróciła głowę. — On też mnie kochał.

— Ale my nie jesteśmy... Z nami będzie inaczej... — Miałem mętlik w głowie.

— Będzie tak samo. Dobrze wiesz, że poszłabym za tobą, gdybym mogła, ale to wykluczone, bo postarzałabym się w okamgnieniu. Dlatego musiałabym zostać i czekać na ciebie jak zatopiona w bursztynie. Nie dam rady tego powtórzyć.

— To nie potrwa długo! Tylko parę lat. Potem będę mógł robić, co tylko zechcę. Wyjadę na studia, może tutaj, do Londynu!

— Niewykluczone — przyznała. — Kto wie. Ale teraz składasz obietnice, których być może nie zdołasz dotrzymać. Właśnie w taki sposób bardzo się krzywdzi zakochanych ludzi.

Serce waliło mi jak oszalałe. Czułem narastającą rozpacz, miałem wrażenie, że jestem żaloszny. Do diabła, byłem gotów już nigdy nie zobaczyć rodziców, byle tylko nie utracić Emmy.

— Nie myślałem trzeźwo — oświadczyłem. — Nie chciałem tak tego ująć. Zostanę.

— Wydaje mi się, że byłeś szczery — odparła. — Chyba nie byłbyś szczęśliwy, gdybyś tutaj pozostał, a z biegiem czasu nabrałbyś do mnie urazy. To byłoby jeszcze gorsze.

— Nie. Skąd, przenigdy..

Wyłożyłem jednak karty na stół i nie mogłem już cofnąć swoich słów.

— Powinieneś odejść — podkreśliła. — Masz swoje życie i rodzinę. To nigdy nie miało trwać wiecznie.

Usiadłem na podłodze i oparłem się plecami o ścianę pełną ubrań, które otuliły mnie ze wszystkich stron. Przez kilka długich sekund udawałem, że nic się nie dzieje, że mnie tam nie ma, a cały mój świat jest z wełny i pachnie naftaliną. Gdy się wynurzyłem, aby zaczerpnąć tchu, Emma siedziała po turecku na podłodze obok mnie.

— Ja też tego nie chcę — westchnęła. — Ale chyba rozumiem, dlaczego tak musi być. Ty masz swój świat, który powinieneś odbudować, a ja swój.

— Teraz to także mój świat — zauważyłem.

— To prawda — zgodziła się i przez chwilę milczała, masując brodę. — To prawda i naprawdę mam nadzieję, że wrócisz, bo stałeś się jednym z nas. Nasza rodzina nie byłaby bez ciebie pełna. Wydaje mi się jednak, że wówczas powinniśmy pozostać tylko przyjaciółmi.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Przyjaciele. Ta perspektywa wydawała się pusta i bez wyrazu.

— To chyba lepsze niż całkowite zerwanie kontaktu — mruknąłem.

— Chyba tak — przyznała. — Nie mogłabym tego znieść.

Usiadłem bliżej i objąłem ją w talii. Sądziłem, że się odsunie, ale pozostała na miejscu. Po chwili oparła głowę na moim ramieniu.

Siedzieliśmy tak przez dłuższy czas.

* * *

Kiedy w końcu wyszliśmy z szatni, niemal wszyscy już spali. Ogień na kominku w bibliotece wygasł, na półmiskach walały się resztki jedzenia, a pełne zadowolenia pochrapywania i pomruki biesiadników odbijały się echem od wysokiego sufitu. Dzieci i ymbrynki leżały wyciągnięte na kanapach i skulone na dywanie, choć na piętrze było wystarczająco dużo wygodnych łóżek. Niewiele brakowało, a straciłyby siebie nawzajem, więc jedne i drugie potrzebowały bliskości, przynajmniej na jedną noc.

Postanowiłem odejść rankiem. Teraz, gdy już wiedziałem, co będzie z Emmą i ze mną, dłuższe odwołanie nieuchronnego wiązałoby się z niepotrzebnym cierpieniem. W tej chwili jednak oboje potrzebowaliśmy snu. Ile czasu minęło, odkąd poprzednio zamknąłem oczy na dłużej niż minutę lub dwie? Chyba nigdy dotąd nie byłem tak wyczerpany.

Ułożyliśmy z poduszek dwa posłania w kącie i zasnęliśmy przytuleni do siebie. To była nasza ostatnia wspólna noc, więc obejmowałem Emmę mocno, jakbym w ten sposób mógł zapamiętać ją wszystkimi zmysłami. Słyszałem, jak jej oddech staje się wolniejszy i coraz bardziej miarowy, a po chwili sam zapadłem w mocny sen. Mimo to miałem wrażenie, że obudziłem się zaledwie moment później, oślepiony złotym światłem słonecznym, które wlewało się przez rząd wysokich okien.

Wszyscy byli już na nogach i kręcili się po pokoju, porozumiewając się szeptem, żeby nas nie obudzić. Pospiesznie wypłataliśmy się z objęć, zakłopotani brakiem intymności, którą zapewniała nam noc. Zanim zdaliśmy się ogarnąć, do biblioteki wmaszerowała pani Peregrine z dzbankiem kawy. Po chwili zjawił się Nim, objuczony tacą pełną kubków.

— Dzień dobry wszystkim! — przemówiła nasza ymbrynka. — Ufam, że wszyscy jesteście wypoczęci,

gdyż mamy mnóstwo...

Na nasz widok urwała w pół zdania i wysoko uniosła brwi. Emma ukryła twarz.

— O, nie... — wymamrotała.

Wieczorem byłem wyczerpany i pełen emocji, więc nie uświadomiłem sobie, że noc spędzona na jednym posłaniu z Emmą (choć do niczego nie doszło) to coś, co mogło urazić wiktoriańską wrażliwość pani Peregrine.

— Panie Portman, proszę na słowo. — Pani Peregrine odstawiła dzbanek i skinęła na mnie palcem.

Wyglądało na to, że dostanę cięgi, więc wstałem zaczerwieniony, wygładzając ubranie. Nie było mi ani trochę wstyd, ale trudno było nie czuć lekkiego zakłopotania.

— Życz mi szczęścia — szepnąłem do Emmy.

— Do niczego się nie przyznawaj — odszepnęła.

Idąc przez pomieszczenie, słyszałem chichoty.

— Całował Jacob Emmę, smutna minka, dostanie dziś po uszach, nakryła go ymbrynka...
— wyrecytował ktoś.

— Och, dorośnij wreszcie, Enoch — burknęła Bronwyn. — Zazdrość przez ciebie przemawia.

Podążyłem za panią Peregrine na korytarz.

— To nie tak, jak mogłoby się wydawać, proszę pani — oświadczyłem.

— Z całą pewnością nic mnie to nie obchodzi — odparła. — Jak rozumiem, dzisiaj nas pan opuszcza, zgadza się?

— Skąd pani wie?

— Może i jestem niemłodą kobietą, metrykalnie rzecz biorąc, ale rozumu mi nie odjęło. Wiem, że czuje się pan rozdarty. Z jednej strony pragnie pan powrócić do rodziców, z drugiej — pozostać z nami. Tęskni pan za starym domem i podoba się panu nowy... a raczej to, co z niego pozostało. Chce pan znaleźć złoty środek, nie deklarując się i nie krzywdząc swoich bliskich i ukochanych. To jednak nie jest łatwe, ba, nawet niekoniecznie możliwe. Czy dotknęłam sedna sprawy?

— Hm... zasadniczo owszem.

— Na jakim etapie są pana relacje z panną Bloom?

— Jesteśmy przyjaciółmi — odparłem z wysiłkiem.

— I to panu nie odpowiada.

— No, niezupełnie. Ale... chyba rozumiem.

— Doprawdy? — Przechyliła głowę.

— Ona się chroni.

— Pan również — dodała.

— Nie kapuję.

— Jest pan bardzo młody. Nie brakuje rzeczy, których pan „nie kapuje”.

— Nie wiem, co ma z tym wspólnego mój wiek.

— Wszystko! — Zaśmiała się krótko, ostro. Widząc jednak, że naprawdę nie rozumiem, nieco złagodniała. — Panna Bloom urodziła się na początku poprzedniego stulecia. Jej serce jest stare i stałe. Może się pan martwi, że wkrótce znajdzie kogoś na pana miejsce, że jakiś osobliwy Romeo zawróci jej w głowie. Nie uważam tego za prawdopodobne. Jest skupiona na panu. Nie widziałam, żeby przy kimkolwiek była tak szczęśliwa. Nawet Abe nie był w stanie tego sprawić.

— Naprawdę? — Poczułem falę ciepła w klatce piersiowej.

— Naprawdę. Ale jak już ustaliliśmy, jest pan młody, ma pan zaledwie szesnaście lat — szesnaście lat po raz pierwszy. Pańskie serce dopiero się budzi, a panna Bloom jest pana pierwszą miłością. Czy to się zgadza?

Potulnie skinąłem głową. Każdy to widział.

— Zapewne przytrafią się panu inne miłości — kontynuowała pani Peregrine. — Młode serca, podobnie jak młode umysły, często nie potrafią się skoncentrować na długi czas.

— Ja nie jestem taki — oświadczyłem.

Wiedziałem, że to samo mógłby powiedzieć każdy impulsywny nastolatek, ale w tamtej chwili miałem całkowitą i niezachwianą pewność w kwestii swoich uczuć do Emmy.

Pani Peregrine powoli skinęła głową.

— Cieszę się, że pan to mówi — odparła. — Panna Bloom mogła panu dać przyzwolenie na złamanie jej serca, ale mojej zgody pan nie otrzyma. Panna Bloom jest dla mnie bardzo ważną osobą i nie jest nawet w połowie tak twarda, jak udaje. Nie chcę, żeby snuła się bez celu i podkładała ogień to tu, to tam tylko dlatego, że pańską uwagę przykują wątpliwe wdzięki jakiegoś przeciętnego dziewczęcia. Już raz tego doświadczyłam i najzwyczajniej w świecie nie stać nas na to, żeby kolejne meble poszły z dymem. Czy wyrażam się jasno?

— Mhm — wymamrotałem zbity z tropu. — Chyba tak...

Podeszła bliżej.

— Czy rozumie pan, co mówię? — zapytała ponownie, tym razem niskim i lodowatym głosem.

— Tak, proszę pani.

Krótko skinęła głową, a potem się uśmiechnęła i poklepała mnie po ramieniu.

— W porządku — podsumowała. — Miło się gawędziło.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, już maszerowała z powrotem do biblioteki.

— Śniadanie! — krzyknęła z oddali.

* * *

Pół godziny później w towarzystwie przyjaciół oraz ymbrynek wyruszyłem na przystań. Sharon już czekał z nową łodzią, którą porzucili uciekający piraci rowowi. Długo wymienialiśmy uściski, żegnając się ze łzami w oczach, a na koniec złożyłem obietnicę, że wrócę i ponownie się spotkamy — choć nie miałem

pojęcia, czy zdołam tego dokonać w najbliższej przyszłości, biorąc pod uwagę ceny biletów lotniczych na liniach międzynarodowych i konieczność przekonania rodziców.

— Nigdy o tobie nie zapomnimy, Jacob! — chlipnęła Olive.

— Spiszę twoją historię dla potomnych — zapowiedział Millard. — To będzie mój nowy projekt. Potem dopilnuję, żeby historia trafiła do nowego wydania *Zbioru baśni osobliwych*. Będziesz sławny!

Addison podszedł z dwoma niedźwiadkami ogryzli. Nie wiedziałem, czy to on je przygarnął, czy one jego.

— Jesteś czwartym najodważniejszym człowiekiem, jakiego poznałem — oświadczył. — Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie.

— Ja też mam taką nadzieję — odparłem szczerze.

— Och, Jacob, czy możemy cię odwiedzić? — spytała Claire błagalnym tonem. — Zawsze pragnęłam zobaczyć Amerykę.

Nie miałem serca powiedzieć jej, że to niemożliwe.

— Oczywiście, że tak — zapewniłem ją. — Będziecie mile widzianymi gośćmi.

Sharon zastukał laską o burtę łodzi.

— Wszyscy na pokład! — zakomenderował.

Wsiadłem niechętnie, a Emma i pani Peregrine podążyły za mną. Uparły się towarzyszyć mi do czasu spotkania z rodzicami. Nie protestowałem, gdyż doszedłem do wniosku, że łatwiej będzie żegnać się etapami.

Sharon odcumował i odbiliśmy od brzegu. Przyjaciele machali do nas i krzyczeli, gdy odpływaliśmy. I ja machałem do nich, ale nie byłem w stanie się przyglądać, jak maleją w oddali, więc czekałem z przymrużonymi oczami, aż prąd zanieś nas za zakręt w Rowie i przystań zniknie nam z pola widzenia.

Żadne z nas nie miało ochoty na rozmowę. W milczeniu przypatrywaliśmy się podupadającym budynkom i chwiejnym mostom, które zostawialiśmy za sobą. Po pewnym czasie naszym oczom ukazało się przejście, gdzie brutalnie wessał nas podziemny kanał, ten sam, którym dotarliśmy na Poletko. Wkrótce trafiliśmy na drugą stronę, w duszne współczesne popołudnie. Sypiące się domy czynszowe znikły, zastąpione przez oszklone bloki z mieszkaniami własnościowymi oraz lśniące, wysokie biurowce. Minęła nas hałaśliwa motorówka.



Słyszeliśmy odgłosy tętniącego życiem, nowoczesnego miasta. Gdzieś wył alarm samochodowy, gdzie indziej dzwoniła komórka. W oddali pobrzękiwała jakaś popowa piosenka. Przepłynęliśmy nieopodal drogiej restauracji na nabrzeżu, ale dzięki czarom Sharona goście nas nie zobaczyli. Trudno powiedzieć, jakie myśli przyszyłyby im do głowy, gdyby ujrzeli w łodzi dwoje nastolatków w czarnych ubraniach, kobietę w eleganckiej wiktoriańskiej sukni i wysokiego mężczyznę w pelerynie kostuchy, który odpychając się od dna kijem, wyprowadził nas z podziemnego świata. Kto wie, może w obecnych czasach ludzie byli tak zblazowani, że nikt by nawet nie mrugnął.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z moimi rodzicami, a odkąd wróciłem do swoich czasów, coraz bardziej się nią przejmowałem. I tak już myśleli, że straciłem rozum albo wpakowałem się w ciężką narkomanię. Doszedłem do wniosku, że będę mógł mówić o szczęściu, jeśli nie wsadzą mnie do psychiatryka. Nawet gdyby tego nie zrobili, i tak czekała mnie wieloletnia odbudowa reputacji. Wyglądało na to, że już nigdy nie odzyskam ich zaufania.

To jednak była moja batalia i sam musiałem ją stoczyć. Najłatwiejsze z mojego punktu widzenia wydawało się powiedzenie im prawdy, ale nie mogłem tego zrobić. Rodzice nie mieli szansy zrozumieć tego aspektu mojego życia, a gdybym próbował tłumaczyć im coś na siłę, sami mogliby wylądować w zakładzie zamkniętym.



Tata już wiedział o osobliwych dzieciach tyle, że nie było to dla niego bezpieczne. Poznał je na Cairnholm, choć sądził, że to tylko sen. Potem Emma zostawiła mu list i swoją fotografię z moim dziadkiem. Co więcej, podczas rozmowy telefonicznej wyjawiałem ojcu, że sam jestem osobliwcem. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak wielki błąd popełniłem i jak samolubnie się zachowałem. A teraz jeszcze zmierzałem na spotkanie z rodzicami, mając u boku Emmę i panią Peregrine.

— Po namyśle doszedłem do wniosku, że chyba nie powinnyście iść ze mną — oznajmiłem, odwracając się ku nim.

— A dlaczego nie? — zdziwiła się Emma. — Nie grozi nam aż tak szybkie zestarzenie...

— Rodzice raczej nie powinni widzieć was ze mną. I tak niełatwo będzie im wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Myślałam o tym — odezwała się pani Peregrine.

— O czym? O moich rodzicach?

— Tak. Mogłabym pomóc panu rozwiązać ten problem, o ile miałby pan ochotę.

— W jaki sposób?

— Jednym z niezliczonych obowiązków ymbrynki jest radzenie sobie ze zwykłymi ludźmi, których opanowała niezdrowa ciekawość w związku z nami, albo też sprawiają innego rodzaju kłopoty. Mamy pewne sposoby, żeby uleczyć ich z tej ciekawości lub sprawić, żeby zapomnieli o tym, co zobaczyli.

— Wiedziałaś o tym? — zapytałam Emmę.

— Pewnie. Gdyby nie wymazywanie pamięci, osobliwcy co drugi dzień trafialiby na pierwsze strony gazet.

— Więc ymbrynki umieją... usuwać ludziom pamięć?

— To proces selektywnego likwidowania pewnych niewygodnych wspomnień — zapewniła mnie pani Peregrine. — Zabieg jest bezbolesny i pozbawiony skutków ubocznych, niemniej można go uznać za dość radykalny. Musi pan sam zdecydować.

— Dobrze — powiedziałem.

— Co dobrze? — spytała Emma.

— Dobrze, niech pani Peregrine wymaże moim rodzicom pamięć. W sumie to niesamowita sprawa. Tak przy okazji, kiedy miałem dwanaście lat, rąbnąłem samochodem mamy w bramę garażową i warto byłoby...

— Bez przesady, panie Portman.



— Tak tylko żartowałem — odparłem niezupełnie zgodnie z prawdą.

Kamień spadł mi z serca. Nie musiałem już do osiemnastki przeproszać za to, że uciekłem, nie dawałem znaku życia i niemal na zawsze zniszczyłem życie rodzicom. Naprawdę mi ulżyło.





ROZDZIAŁ JEDENASTY



Sharon wysadził nas na tym samym ciemnym, zaszczurzonej pomoście, na którym go poznaliśmy. Z mieszanymi uczuciami schodziłem z łodzi. W poprzednich dniach nieustannie zmagalem się z przerażeniem, byłem brudny i na przeróżne sposoby obolały, ale zapewne nie miałem już szansy doświadczyć podobnej przygody. Czułem, że będzie mi jej brakowało, choć nie ze względu na wyzwania, którym musiałem sprostać. Już zaczynałem tęsknić za osobą, którą byłem, walcząc z przeciwnościami losu. Odkryłem w sobie żelazną wolę i miałem nadzieję, że jej nie utracę, nawet gdy w moim życiu zapanuje spokój.

— Bywajcie — powiedział Sharon. — Cieszę się, że mogłem cię poznać, choć narobiłeś mi kłopotów po uszy.

— Ja też się cieszę. — Uścisnęliśmy sobie dłonie. — To było interesujące doświadczenie.

— Proszę tu na nas poczekać — zwróciła się pani Peregrine do Sharona. — Za godzinę lub dwie obie tutaj wrócimy.

Odnalezienie moich rodziców nie nastęczało trudności. Poszłoby jeszcze łatwiej, gdybym miał telefon, ale wystarczyło pójść na posterunek policji. Uznano mnie za zaginionego, więc podałem dyżurnemu funkcjonariuszowi swoje imię oraz nazwisko, po czym usiadłem na ławce, żeby poczekać. Po godzinie zjawili się mama i tata, w wymiętych ubraniach, w których niewątpliwie spali. Mama, zawsze z nienagannym makijażem, tym razem była umalowana byle jak, a tata prezentował trzydniowy zarost. Oboje dźwigali naręcza plakatów z moją podobizną i napisem ZAGINAŁ. Poczułem się okropnie z powodu tego, na co ich naraziłem. Gdy jednak próbowałem wyrazić skruchę, rzucili wydruki i zamknęli mnie w uścisku, a moje słowa ugrzęzły w fałdach swetra taty.

— Jake, Jake, o Boże, mój mały Jake — płakała mama.

— To naprawdę on, naprawdę on — powtarzał tata. — Tak bardzo się martwiliśmy, tak bardzo... Ile czasu mnie nie było? Tydzień? Mniej więcej tyle, ale miałem wrażenie, że minęła wieczność.

— Gdzie się podziewałeś? — chlipnęła mama. — Co robiłeś?

Puścili mnie, jednak nadal nie dawali mi dojść do głosu.

— Dlaczego tak uciekłeś? — spytał tata stanowczo. — Co ci strzeliło do głowy, Jacob?

— Przez ciebie osiwiiałam! — jęknęła mama i ponownie zarzuciła mi ręce na szyję.

Tata obejrzał mnie od stóp do głów.

— Gdzie twoje ubranie? — zapytał. — Co ty masz na sobie?

Nadal nosiłem czarną odzież podróżną. Cóż, pomyślałem, że łatwiej mi będzie wytłumaczyć się z takich rzeczy niż z dziewiętnastowiecznego przydzwiewku. Matka Pył na szczęście uleczyła moją twarz...

— Jacob, powiedz coś! — zażądał tata.

— Naprawdę bardzo przepraszam — powiedziałem. — Nie naraziłbym was na to, gdybym nie musiał. Wierzcie mi, teraz już wszystko w porządku. Będzie dobrze. Nie możecie tego zrozumieć, ale nie szkodzi, jest okej. Kocham was oboje.

— Masz słuszość pod jednym względem — oświadczył tata. — Nie rozumiemy ani w ząb.

— Nie rozumiemy i to bynajmniej nie jest okej — dodała mama. — Czekamy na wyjaśnienia.

— My też chcemy wiedzieć, co się stało — powiedział funkcjonariusz, który przysłuchiwał się rozmowie. — I przeprowadzimy badanie na obecność narkotyków.

Sytuacja wymykała mi się spod kontroli. Musiałem działać.

— Powiem wam wszystko — westchnąłem. — Ale najpierw chciałbym wam przedstawić bliską mi osobę. Mamo, tato, oto pani Peregrine.

Zauważyłem, że tata spogląda to na panią Peregrine, to na Emmę. Najwyraźniej ją rozpoznał, gdyż zrobił taką minę, jakby zobaczył ducha. Pomyślałem, że to nie szkodzi, bo przecież wkrótce zapomni.

— Miło mi państwa poznać — odezwała się pani Peregrine i uściśnęła dłonie obojgu moim rodzicom.

— Mają państwo wspaniałego syna, po prostu pierwszorzędного chłopca. Jacob jest stuprocentowym dżentelmenem, w dodatku jeszcze bardziej uzdolnionym niż jego dziadek.

— Jego dziadek? — powtórzył tata. — Skąd pani...

— Kim jest ta dziwna kobieta? — zdumiała się mama. — Skąd pani zna naszego syna?

Pani Peregrine zacisnęła palce na dłoniach moich rodziców, patrząc im głęboko w oczy.

— Alma Peregrine, Alma LeFay Peregrine — przedstawiła się. — Rozumiem, że przeżyli państwo koszmarne chwile na Wyspach Brytyjskich. To była bardzo nieudana wycieczka. Chyba najlepiej będzie dla wszystkich zainteresowanych, jeśli państwo po prostu zapomną o tym, co się zdarzyło. Prawda?

— Tak — zgodziła się mama, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

— Zgadzam się — przytaknął tata takim głosem, jak był lekko zahipnotyzowany.

Pani Peregrine najwyraźniej wyłączyła im umysły.

— Fantastycznie, cudownie — powiedziała. — A teraz niech państwo skierują wzrok na to, jeśli łaska.

Puściła ich ręce i wyjęła z kieszeni długie, nakrapiane na niebiesko pióro sokoła. W tym momencie przetoczyła się przeze mnie paląca fala wstydu i powstrzymałem panią Peregrine.

— Proszę zaczekać — odezwałem się. — Wydaje mi się, że jednak tego nie chcę.

— Na pewno? — Wyglądała na nieco rozczarowaną. — To może bardzo skomplikować panu życie.

— Mam wrażenie, że to oszustwo — wyznałem.

— Więc co im powiesz? — zapytała Emma.

— Jeszcze nie wiem. Ale to wydaje mi się nie w porządku. Tak po prostu... wyczyścić im mózgi.

Jeśli wyznanie rodzicom prawdy było samolubne, to usunięcie tej potrzeby wydawało się dwa razy gorsze. Poza tym co z policją? Co z moją dalszą rodziną oraz z przyjaciółmi mamy i taty? Oni wszyscy z pewnością wiedzieli o moim zaginięciu. Gdyby wyłącznie rodzice zapomnieli o tym, co się zdarzyło, inni ludzie mieliby mętlik w głowach.

— To zależy od pana — podkreśliła pani Peregrine. — Myślę jednak, że nie od rzeczy byłoby wymazać jednak przynajmniej ostatnie dwie lub trzy minuty, żeby zapomnieli o mnie i o pannie Bloom.

— No... dobrze — zgodziłem się. — Pod warunkiem, że przy okazji nie zapomną języka angielskiego.

— Jestem niezwykle precyzyjna — zapewniła mnie pani Peregrine.

— O co chodzi z tym wyczyszczeniem mózgów? — zainteresował się policjant. — Kim pani jest?

— Alma Peregrine — przedstawiła się ponownie pani Peregrine i ruszyła pospiesznie ku funkcjonariuszowi, żeby uścisnąć mu dłoń. — Alma Peregrine, Alma LeFay Peregrine.

Policjant nagle zwiesił głowę, jakby nieoczekiwanie zafascynowała go plama na podłodze.

— Przychodzi mi do głowy kilka upiorów, którym mogłaby pani zaaplikować coś podobnego — oświadczyła Emma.

— Niestety, to działa tylko na łatwo ulegające wpływowi umysły zwykłych osób — wyjaśniła pani Peregrine. — Skoro o tym mowa... — Uniosła pióro.

— Jeszcze moment — powstrzymałem ją. — Zanim pani zrobi swoje... — Podałem jej rękę.

— Chciałem za wszystko podziękować. Naprawdę będę za panią tęsknił.

Pani Peregrine zignorowała moją wyciągniętą dłoń i mocno mnie przytuliła.

— I nawzajem, panie Portman — odparła. — To ja powinnam podziękować. Gdyby nie bohaterska postawa panny Bloom i pana...

— I gdyby przed laty nie uratowała pani mojego dziadka... — dodałem.

— Powiedzmy, że jesteśmy kwita — podsumowała z uśmiechem.

Pozostało już tylko najtrudniejsze pożegnanie. Otoczyłem Emmę ramionami, a ona przywarła do mnie żarliwie.

— Możemy do siebie pisać? — spytała.

— Na pewno chcesz?

— Oczywiście. Przyjaciele powinni być w kontakcie.

— To dobrze — westchnąłem z ulgą, bo przynajmniej mogliśmy...

Wtedy pocałowała mnie w usta, tak mocno i gorąco, że zakręciło mi się w głowie.

— Myślałem, że jesteśmy tylko przyjaciółmi! — powiedziałem, odsuwając się ze zdumieniem.

— Hm, no tak — przyznała z zakłopotaniem. — Teraz już jesteśmy. Potrzebowałam tylko jednego całusa, żeby mi ciebie przypominał.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem, a nasze serca przepełniła ulotna radość.

— Dzieci, natychmiast przestańcie! — syknęła pani Peregrine.

— Frank — odezwała się moja mama słabym głosem. — Co to za dziewczyna, którą całuje Jake?

— Nie mam pojęcia — wymamrotał tata. — Jacob, kim jest ta dziewczyna i dlaczego ją całujesz?

— To moja... przyjaciółka. Emma — wyjaśniłem zarumieniony. — Tylko się żegnamy.

Emma pomachała nieśmiało ręką.

— Nie będą mnie państwo pamiętali, ale... Dzień dobry!

— Przestań całować nieznajome dziewczęta i chodź już wreszcie — powiedziała mama.

— Chyba pora zakończyć sprawę — zwróciłem się do pani Peregrine.

— Proszę nie myśleć, że to pożegnanie na zawsze — powiedziała. — Jest pan teraz jednym z nas. Nie pozbędzie się pan nas tak łatwo.

— Mam nadzieję. — Uśmiechnąłem się z ciężkim sercem.

— Napiszę — obiecała Emma łamiącym się głosem, choć próbowała się uśmiechać. — Powodzenia... cokolwiek będziesz robił jako zwykły człowiek.

— Do widzenia, Emma. Będę tęsknił. — Te słowa wydawały się nieodpowiednie, ale w takich sytuacjach wszystko, co się mówi, brzmi nieodpowiednio.

Pani Peregrine odwróciła się, żeby dokończyć dzieło. Uniosła sokołe pióro i połaskotała nim moich rodziców pod nosami.

— Ależ za pozwoleniem! — oburzyła się mama. — Co pani wyprawia.... Aaaa-AAAA-PSIK!

Rodzice dostali ataku kichania, a wtedy pani Peregrine połaskotała policjanta, który również się rozkichał. Zanim skończyli kichać i zaczerwienieni wytarli ciekące nosy, pani Peregrine oraz Emma zdążyły wymknąć się z posterunku.

— Więc jak mówiłem... — odezwał się tata, jakby ostatnich kilku minut w ogóle nie było. — Zaraz... Co to ja mówiłem?

— Że moglibyśmy wrócić do domu i porozmawiać o wszystkim później? — podsunąłem mu z nadzieją.

— Najpierw muszą państwo udzielić odpowiedzi na kilka pytań — oznajmił policjant.

Przez kilka minut składaliśmy wyjaśnienia. Celowo mówiłem niejasno, w każdym zdaniu przeproszałem, przysięgając na wszystkie świętości, że nikt mnie nie porwał, nie wykorzystał i nie oszołomił narkotykami. (Dzięki czyszczeniu umysłu policjant zupełnie zapomniał o przeprowadzeniu badania na obecność substancji odurzających). Gdy rodzice opowiedzieli o śmierci dziadka i o „problemach”, których po niej doznałem, policjant chyba doszedł do wniosku, że jestem jednym z niezliczonych uciekinierów z domu, którzy zapomnieli przyjmować proszki. Na koniec podpisaliśmy kilka dokumentów i byliśmy wolni.

— Tak, tak, wracajmy do domu — powiedziała mama. — Ale do tej rozmowy jeszcze wrócimy, młody człowieku. Przedyskutujemy wszystko dogłębnie.

Dom. To słowo stało się mi niemal obce. Dom kojarzyłem z odległym miejscem, którego prawie nie umiałem sobie wyobrazić.

— Jeśli się pospieszymy, może uda się nam zdążyć na wieczorny lot — zauważył tata.

Stanowczym ruchem położył mi dłoń na ramieniu, jakby się obawiał, że ucieknę, gdy tylko mnie puści.

Mama nie mogła oderwać ode mnie wzroku, patrzyła szeroko otwartymi oczami i mrugała, powstrzymując łzy szczęścia.

— Nic mi nie jest — zapewniłem ich. — Słowo.

Wiedziałem, że mi nie wierzą i że jeszcze długo nie odzyskam ich zaufania.

Na zewnątrz zatrzymaliśmy czarną taksówkę. Gdy podjeżdżała, dostrzegłem dwie znajome twarze, przypatrujące mi się z parku po drugiej stronie ulicy. W cętkowanym cieniu dębu stały Emma i pani Peregrine. Z bólem serca uniosłem rękę na pożegnanie.

— Jake? — Tata przytrzymał dla mnie otwarte drzwi samochodu. — Co się stało?

Udałem, że drapię się po głowie.

— Nic takiego, tato.

Wsiadłem do taksówki, a tata odwrócił się, żeby spojrzeć na park. Gdy wyjrzałem przez okno, pod dębem ujrzałem już tylko ptaka i rozwiewane wiatrem liście.

* * *

Mój powrót do domu nie był ani triumfalny, ani łatwy. Rodzice całkowicie stracili do mnie zaufanie, a jego odbudowa zapowiadała się na powolny i uciążliwy proces. Przez cały czas podejrzewano mnie o chęć ucieczki, więc byłem pod nieustanną obserwacją. Nigdzie nie wychodziłem bez nadzoru, nie wolno mi było nawet spacerować po sąsiednich ulicach. W domu rodzice zainstalowali skomplikowany system alarmowy, nie po to, by zapobiec włamaniu, ale by uniemożliwić mi wymknięcie się na zewnątrz. Ponownie skierowano mnie na terapię, poddano niezliczonym badaniom psychologicznym, dostałem też nowe, mocniejsze lekarstwa (które ukrywałem pod językiem, żeby je później wypluć). Tego lata doświadczyłem jednak znacznie gorszych przeciwności losu, więc łatwo mogłem się pogodzić z ograniczoną wolnością. Była to cena, którą przyszło mi zapłacić za zawarte przyjaźnie, zdobyte doświadczenia i za nowe niezwykle życie. Nie żałowałem, że muszę prowadzić niezręczne rozmowy z rodzicami, że spędzam samotnie noce, marząc o Emmie i wspominając osobliwych przyjaciół, że w kółko chodzę do nowego psychiatry.

Była nim niewzruszona starsza pani o nazwisku Spanger. Spędzałem cztery poranki tygodniowo w blasku jej permanentnego uśmiechu na zliftingowanej twarzy. Nieustannie wypytywała mnie, dlaczego uciekłem z wyspy i jak spędziłem kolejne dni. Jej uśmiech nie przygasł ani na moment. (Tak na marginesie, miała brudnobrązowe oczy o normalnych źrenicach, bez soczewek kontaktowych). Historia, którą wymyśliłem, opierała się na chwilowym ataku obłąkania, okraszonym przelotną utratą pamięci — ani jednego, ani drugiego nie dało się w żaden sposób zweryfikować. Moja opowieść była krótka: odbiło mi, kiedy się przestraszyłem mordercy owiec, rzekomo grasującego na Cairnholm. W przypiływie

szaleństwa zaszyłem się na łodzi płynącej do Walii i na pewien czas zapomniałem, kim jestem. Udało mi się dotrzeć autostopem do Londynu, gdzie sypiałem w parkach, z nikim nie rozmawiałem, nie zawarłem żadnych znajomości, nie przyjmowałem substancji odurzających lub odmieniających nastroj i przez kilka dni błąkałem się po mieście w stanie dezorientacji oraz amnezji. Co do rozmowy telefonicznej z ojcem, w której trakcie oświadczyłem, że jestem „osobliwy”... Hm, o jakiej rozmowie telefonicznej mowa? Nie przypominałem sobie żadnej rozmowy...

Doktor Spanger w końcu podciągnęła całą tę historię pod pełen urojeń epizod maniakalny wynikający ze stresu, żalu po śmierci bliskiej osoby i nierozwiązanych kwestii związanych z dziadkiem. Innymi słowy — trochę mi odbiło, ale był to zapewne jednorazowy wybryk i teraz czułem się znacznie lepiej. Mimo to rodzice byli niespokojni. Nieustannie spodziewali się, że znowu zeświruję, zrobię coś szalonego, ucieknę — ale ja zachowywałem się wzorowo. Odgrywałem rolę dobrego dzieciaka i skruszonego syna, tak jakbym liczył na Oscara. Zgłaszałem się do pomocy przy pracach domowych. Wstawałem na długo przed południem i kręciłem się na widoku, pod czujnym okiem rodziców. Oglądałem z nimi telewizję, załatwiałem sprawy i siedziałem przy stole po zakończeniu posiłków, uczestnicząc w pustych rozmowach, które tak lubili — o przeprojektowaniu łazienki, o działaniach stowarzyszenia właścicieli domów, o modnych dietach, o ptakach. (Tematy dziadka, wyspy czy mojego „epizodu” pojawiały się tylko przelotnie i w formie aluzji). Byłem miły, uprzejmy, cierpliwy i pod żadnym względem nie przypominałem syna, którego zapamiętali. Z pewnością doszli do wniosku, że porwały mnie ufoludki i w moje miejsce podstawily klona. Mimo to nie narzekali, a po kilku tygodniach podjęli decyzję, że można bezpiecznie zaprosić rodzinę. I tak oto wujkowie oraz ciotki zaczęli wpadać na małą kawę oraz wymuszoną pogawędkę, a ja mogłem osobiście zademonstrować, jaki jestem zdrowy.

Co zastanawiające, tata nigdy nie wspominał o liście, który Emma pozostawiła mu na Cairnholm ani o dołączonej do niego fotografii. Może nie potrafił ogarnąć umysłem tego, co wynikało z listu, a może martwił się, że rozmowa o nim pogorszy mój stan. Bez względu na powód, tata zachowywał się tak, jakby do niczego nie doszło. Co się zaś tyczyło jego spotkania z Emmą, Millardem i Olive, byłem pewien, że już wcześniej uznał je za dziwaczny sen.

Po kilku tygodniach rodzice zaczęli się odprężyć. Łyknęli moją bajeczkę i przyjęli do wiadomości wyjaśnienia doktor Spanger na temat mojego zachowania. Zapewne mogliby drążyć głębiej — zadać więcej pytań, uzyskać drugą lub trzecią opinię od innych psychiatrów — ale naprawdę chcieli wierzyć, że zmieniłem się na lepsze i że lekarstwa od doktor Spanger robią swoje. Przede wszystkim zależało im jednak na tym, żeby nasze życie wróciło do normy, a im dłużej byłem w domu, tym bardziej im się wydawało, że osiągnęli swój cel.

Jeśli o mnie chodzi, z wielkim trudem przystosowywałem się do dawnych warunków. Dręczyły mnie nuda i samotność, a dni dłużyły się niemiłosiernie. Po trudach poprzednich tygodni domowe wygody powinny sprawiać mi radość, ale bardzo szybko się okazało, że nawet czysta pościel i chińskie jedzenie na wynos straciły swój urok. Moje łóżko było zbyt miękkie, potrawy zbyt sycące. Miałem wrażenie, że

jest za dużo wszystkiego, i dręczyło mnie poczucie winy. Czasami, gdy spacerowaliśmy alejkami centrum handlowego, rozmyślałem o ludziach, którzy mieszkali na obrzeżach Diabelskiego Poletka. W takich chwilach ogarniała mnie złość. Dlaczego mieliśmy tak dużo, że nie wiadomo było, co z tym robić, podczas gdy oni mieli mniej, niż potrzebowali do przeżycia?

Źle sypiałem. Budziłem się o rozmaitych porach i wspominałem chwile spędzone z osobliwcami. Chociaż podałem Emmie swój adres i kilka razy dziennie zaglądałem do skrzynki, nie docierały do mnie żadne listy — ani od niej, ani od innych osobliwców. Im dłużej trwało ich milczenie, tym bardziej abstrakcyjne i nierzeczywiste wydawało mi się wszystko, czego doświadczyłem. Czy to się naprawdę zdarzyło? A może padłem ofiarą złudzenia? Niekiedy nachodziły mnie naprawdę czarne myśli.

A jeśli rzeczywiście zwariowałem?

Odetchnąłem z nieopisaną ulgą, gdy miesiąc po powrocie do domu wreszcie odebrałem list od Emmy. W kilku serdecznych słowach opisała proces odbudowy zniszczeń i prosiła, żebym dał znać, co u mnie słychać. Jako adres zwrotny podała skrytkę pocztową w Londynie. Urząd znajdował się na tyle blisko wejścia do pętli na Diabelskim Poletku, że Emma mogła dość często wpadać do współczesnego świata i sprawdzać, czy coś przyszło. Odpisałem tego samego dnia i wkrótce wymienialiśmy korespondencję dwa albo trzy razy w tygodniu. Ponieważ coraz bardziej dusiłem się w domu, listy od Emmy stały się dla mnie liną ratunkową.

Nie mogłem ryzykować, że rodzice się dowiedzą, więc codziennie wypatrywałem listonosza i biegłem mu na spotkanie, kiedy tylko się pojawił na końcu podjazdu. Zaproponowałem Emmie wymianę maili, co byłoby bezpieczniejsze i szybsze, a następnie na kilku stronach próbowałem wyjaśnić, czym jest Internet, jak znaleźć ogólnodostępną kawiarenkę internetową i założyć sobie konto mailowe. Sprawa była beznadziejna, gdyż Emma nigdy nie korzystała nawet z klawiatury. Uznałem jednak, że listy warte są ryzyka, a kontaktowanie się za pośrednictwem tradycyjnej poczty zaczęło sprawiać mi przyjemność. Dostrzegłem pewien urok w tym, że mogłem dotykać papieru, który miała w rękach i na którym pozostawiła swój ślad moja ukochana.



Do jednego z listów Emma dołączyła kilka zdjęć i napisała:

Drogi Jacobie, ponownie dzieje się tu coś ciekawego — nareszcie! Pamiętasz ludzi na wystawie w piwnicy? Tych, którzy według Benthama byli woskowymi modelami? Cóż, Bentham kłamał. Porwał biedaków z różnych pętli i przy użyciu proszku Matki Pył utrzymywał ich w stanie pozornej śmierci. Uważamy, że próbował napędzać swoją maszynę, wykorzystując różne typy osobliwców jako baterie, ale nic się nie sprawdzało, dopóki nie przyprowadziłeś swojego głucholca. Matka Pył wyjawiała, że o tym wiedziała, co tłumaczyłoby jej dziwne zachowanie. Wygląda na to, że Bentham ją szantażował albo zagroził, że skrzywdzi Reynalda, jeśli Matka Pył odmówi pomocy. Tak czy owak, pomogła nam obudzić wszystkich i przetransportować ich do rodzimych pętli. Czy to nie czyste szaleństwo?

Korzystamy z pantransportikum do badania rozmaitych miejsc i zawierania znajomości. Pani Peregrine mówi, że dobrze nam robi sprawdzanie, jak żyją inni osobliwcy, rozsiani po całym świecie. Znalazłam w domu aparat fotograficzny, zabrałam go na ostatnią wycieczkę i teraz mogę dołączyć do listu kilka zdjęć, które zrobiłam. Zdaniem Bronwyn widać, że coraz lepiej sobie radzę!

Tęsknię za Tobą jak szalona. Wiem, że nie powinnam tak pisać, bo tylko pogarszam sytuację. Czasami jednak nic nie mogę na to poradzić. Czy wpadniesz niedługo z wizytą? Bardzo bym się ucieszyła. A może

Przekreśliła a może i napisała: Oho, Sharon mnie woła. Właśnie odpływa, a chcę mieć pewność, że ten list wyruszy do Ciebie jeszcze dzisiaj. Odpisz szybko! Twoja Emma.

Zastanawiałem się, czego dotyczyło to przekreślone *a może*.

Spojrzałem na zdjęcia, które włożyła do koperty. Na odwrocie każdego z nich widniał kilkuwersowy

opis. Pierwsza fotografia przedstawiała dwie damy z epoki wiktoriańskiej, stojące przed pasiastym namiotem z napisem CURIOS, czyli kurioza. Z tyłu Emma napisała: *Panna Bobolink i panna Loon zorganizowały obwoźną wystawę, na której prezentują niektóre ze starych eksponatów Benthama. Odkąd osobliwcy mogą swobodnie podróżować, robią na tym całkiem niezły interes. Wielu z nas niewiele wie o naszej historii...*

Na następnym zdjęciu zobaczyłem kilka dorosłych osób, idących w dół wąskich schodów na plażę, przy której czekała łódź wiosłowa. *Na wybrzeżu Morza Kaspijskiego znajduje się bardzo ładna pętla,* napisała Emma. *W ubiegłym tygodniu Nim i parę ymbrynek wybrali się tam na wycieczkę łódką. Hugh, Horace i ja poszliśmy z nimi, ale tylko na plażę. Mieliliśmy już serdecznie dosyć łodzi.*

Ostatnia fotografia przedstawiała siostry syjamskie z ogromnymi białymi kokardami w kruczoczarnych włosach. Dziewczynki siedziały obok siebie, nieco odciągając sukienki, żeby pokazać miejsce zrośnięcia tułowiów. *Carlotta i Carlita są zrosłakami, głosiła informacja na odwrocie. Ale nie to jest w nich najbardziej osobliwe. Ich ciała wytwarzają lepiszcze, które po wyschnięciu jest mocniejsze od betonu. Enoch usiadł na odrobinie i przyklepił się zadkiem do krzesła na całe dwa dni! Tak się wściekał, że mało mu głowa nie wybuchła. Szkoda, że Cię przy tym nie było...*

Odpisałem natychmiast. *Co miałaś na myśli, pisząc „a może”?*

Minęło dziesięć dni, a ja nadal nie otrzymałem odpowiedzi od Emmy. Coraz bardziej mnie to martwiło. Mogła przecież dojść do wniosku, że posunęła się w listach za daleko. Przecież umówiliśmy się na przyjaźń i być może Emma uznała, że pogwałciła nasze porozumienie, więc postanowiła się wycofać. Zastanawiałem się, czy Emma podpisze następny list *Twoja Emma*. Zawsze ogromnie liczyłem na te dwa słowa. Po dwóch tygodniach zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle dostanę następny list.

Nieoczekiwanie poczta przestała przychodzić. Obsesyjnie wypatrywałem listonosza, a kiedy nie pojawił się przez kolejne cztery dni, zrozumiałem, że coś jest nie tak. Rodzice zawsze otrzymywali naręcza katalogów i rachunków. Od niechcienia poruszyłem tę sprawę, napomykając, że ostatnio nie dociera do nas żadna poczta, co wydaje się trochę dziwne. Tata wymamrotał coś na temat państwowego święta i zmienił temat. Wtedy naprawdę zacząłem się martwić.

Tajemnica wyjaśniła się następnego ranka, podczas spotkania z doktor Spanger, która, co niezwykle, zaprosiła na sesję moich rodziców. Poszarpali na twarzach usiedli sztywno, z trudem uczestnicząc w grzecznościowej pogawędce. Doktor Spanger zaczęła od zwyczajowych, łagodnych pytań. Chciała wiedzieć, jak się czuję, czy mam ciekawe sny. Wiedziałem, że krąży wokół naprawdę ważnego tematu, i w końcu nie mogłem już dłużej wytrzymać narastającego napięcia.

— Co tutaj robią moi rodzice? — zapytałem. — I dlaczego wyglądają tak, jakby właśnie wrócili z pogrzebu?

Permanentny uśmiech doktor Spanger przygasł po raz pierwszy w historii, kiedy sięgnęła do teczki na biurku i wyjęła z niej trzy koperty.

Rozpoznałem listy od Emmy. Wszystkie były rozerwane.

— Musimy o tym porozmawiać — oświadczyła.

— Ustaliliśmy, że nie będzie żadnych tajemnic — odezwał się tata. — Jest źle, Jake. Fatalnie.

Ręce zaczęły mi się trząść.

— To prywatna korespondencja — powiedziałem, usiłując zapanować nad drzeniem w głosie.

— Listy są zaadresowane do mnie. Nie powinniście byli ich czytać.

Zastanawiałem się, co było w listach i co zobaczyli rodzice. Wiedziałem, że doszło do katastrofy, koszmarnej katastrofy.

— Kim jest Emma? — spytała doktor Spanger. — Kim jest pani Peregrine?

— To nie w porządku! — krzyknąłem. — Ukradliście moje prywatne listy, a teraz używacie ich, żeby mnie osaczyć!

— Mów ciszej! — rozkazał tata. — Sprawa wyszła na jaw, więc lepiej bądź uczciwy. W ten sposób łatwiej będzie nam wszystkim.

Doktor Spanger uniosła zdjęcie, które Emma z pewnością dołączyła do jednego z listów.

— Kim są ci ludzie?

Pochyliłem się, żeby lepiej widzieć. Fotografia przedstawiała dwie stare kobiety na bujanym fotelu. Jedna z nich tuliła drugą w objęciach, jak niemowlę.

— Nie mam pojęcia — burknąłem szorstko.

— Na odwrocie jest coś napisane — zauważyła doktor Spanger. — „Wynajdujemy coraz to nowe sposoby udzielania pomocy tym, którym usunięto fragmenty duszy. Bliski kontakt z poszkodowanymi wydaje się niezastąpiony. Po zaledwie kilku godzinach panna Hornbill była jak nowonarodzona ymbrynka”.

Doktor Spanger wymówiła to słowo „ymbrynka”.

— Ymbrynka — poprawiłem ją mimowolnie. — Na początku jest igrek. To nie ma nic wspólnego z imbrykiem.

— Rozumiem. — Odłożyła zdjęcie i złączyła opuszki palców obu dłoni, tworząc daszek pod brodą.

— A któż to taki ta... ymbrynka?

Kiedy o tym myślę z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że być może postąpiłem głupio, ale wówczas czułem się zapędzony w kozi róg i doszedłem do wniosku, że muszę wyjawić prawdę. Mieli listy, mieli zdjęcia, a wszystkie moje marne wyjaśnienia straciły sens.

— Ymbrynki nas chronią — wyjaśniłem.

— Nas wszystkich? — Doktor Spanger zerknęła na moich rodziców.

— Nie. Tylko osobliwe dzieci.

— Osobliwe dzieci — powtórzyła, przeciągając słowa. — A ty wierzysz, że jesteś jednym z nich.

Wyciągnąłem rękę.

— Chciałbym dostać moje listy — powiedziałem.

— Później. Najpierw musimy porozmawiać. Dobrze?

Zabrałem dłoń i odchyliłem się z założonymi rękami. Doktor Spanger przemawiała do mnie tak, jakbym miał iloraz inteligencji siedemdziesiąt.

— Powiedz nam, dlaczego uważasz, że jesteś osobliwy? — zapytała.

— Widzę rzeczy, których nie dostrzegają inni.

Kątem oka zauważyłem, że rodzice coraz bardziej bledną. Kiepsko sobie radzili z tą sytuacją.

— W listach wspominasz o czymś, co nazywasz... pan... pantransportikum, prawda? Co możesz o tym powiedzieć?

— To nie ja napisałem te listy — podkreśliłem. — Są od Emmy.

— Naturalnie. W takim razie zmieńmy temat. Opowiedz mi o Emmie.

— Pani doktor — wtrąciła się mama. — To chyba nie najlepszy pomysł, żeby zachęcać...

— Proszę pani, za pozwoleniem. — Doktor Spanger podniosła rękę, żeby uciszyć mamę. — Jake, opowiedz mi o Emmie. Czy to twoja dziewczyna?

Zauważyłem, że tata uniósł brwi. Nigdy wcześniej nie miałem dziewczyny, nie zdarzyło mi się nawet pójść na randkę.

— Już chyba nie. Powiedzmy, że... póki co odpoczywamy od siebie.

Zapisawszy coś w notatniku, doktor Spanger postukała się długopisem po brodzie.

— A kiedy ją sobie wyobrażasz, jak wygląda? — spytała.

Odchyliłem się na krześle.

— Jak to: wyobrażam ją sobie? — spytałem.

— Hm. — Doktor Spanger zacisnęła usta, świadoma, że wpakowała się w tarapaty. — Chodziło mi o to, że...

— Dobrze, to trwa zbyt długo — wtrącił się tata. — Wiemy, że sam napisałeś te listy, Jake.

Niemal zerwałem się na równe nogi.

— Co takiego?! — krzyknąłem. — Myślicie, że sam piszę do siebie? Przecież to nawet nie jest mój charakter pisma!

Tata wyjął z kieszeni list — ten, który zostawiła mu Emma.

— Ty to napisałeś, prawda? Charakter pisma jest ten sam.

— To też pisała Emma! Patrz, tu jest jej imię! — Chciałem wyrwać list tacie, ale zabrał rękę.

— Czasami, kiedy bardzo czegoś pragniemy, wydaje się nam to rzeczywistością — zauważyła doktor Spanger.

— Myślicie, że zwariowałem! — wrzasnąłem.

— W moim gabinecie nie używa się tego słowa — zaproponowała doktor Spanger. — Jake, uspokój się, proszę.

— A znaczki na kopertach? — spytałem, wskazując listy na biurku. — Wszystkie są z Londynu!

— Jakey — westchnął tata. — W zeszłym semestrze chodziłeś na kurs obsługi Photoshopu. Może i mam swoje lata, ale wiem, jak łatwo jest sfałszować takie rzeczy.

— A zdjęcia? Czy i je sfałszowałem?

— Należały do dziadka. Jestem pewien, że już je kiedyś widziałem.

Kręciło mi się w głowie. Czułem się zdradzony i potwornie zażenowany. Umilkłem więc, gdyż każde moje słowo bez wątpienia utwierdzało ich w przekonaniu, że postradałem zmysły.

Siedziałem wściekły, a oni rozmawiali o mnie tak, jakby mnie tu nie było. Zgodnie z nową diagnozą doktor Spanger cierpiałem na „dramatyczne oderwanie od rzeczywistości”, a „osobliwcy” byli elementem skomplikowanego uniwersum ułudy, które dla siebie stworzyłem, nie zapominając nawet o urojonej dziewczynie. Ponieważ charakteryzuję się wysokim ilorazem inteligencji, całymi tygodniami udawało mi się skutecznie przekonywać innych, że jestem zdrowy psychicznie. Listy dowodzą jednak, że daleko mi do wyleczenia, a na domiar złego mogę stanowić zagrożenie dla samego siebie. Doktor Spanger zaleciła niezwłoczne skierowanie mnie do „zamkniętego zakładu” na „terapię i obserwację”. Innymi słowy, moja pani psychiatra chciała umieścić mnie w wariatkowie.

Już wcześniej wszystko sobie zaplanowali.

— Spędzisz tam tylko tydzień lub dwa — zapewnił mnie tata. — To naprawdę miłe miejsce, i bardzo drogie. Powiedzmy, że wyjedziesz na takie małe wakacje.

— Chcę dostać swoje listy.

Doktor Spanger wsunęła je z powrotem do teczki.

— Przykro mi, Jake — powiedziała. — Naszym zdaniem najlepiej będzie, jeśli je zatrzymam.

— Okłamała mnie pani! — krzyknąłem.

Rzuciłem się na jej biurko i sięgnąłem po listy, ale zdążyła odskoczyć z teczką w ręce. Tata wrzasnął i mnie chwycił, a sekundę później moich dwóch wujów wpadło zza drzwi. Okazało się, że przez cały czas czekali na korytarzu. Rodzice ściągnęli ich w charakterze goryli, na wypadek gdybym postanowił uciec.

Wkrótce odprowadzili mnie na parking i wpakowali do samochodu. Mama poinformowała mnie nerwowo, że wujowie zatrzymają się u nas na kilka dni, dopóki nie zwolni się miejsce w klinice.

Rodzice bali się zostać ze mną sam na sam i postanowili wyekspediować mnie do miejsca, w którym będę kłopotem dla kogoś innego. Miałem trafić do kliniki, co brzmiało niegroźnie, ale należało nazwać rzeczy po imieniu: chcieli mnie zamknąć u czubków, w domu bez klamek, może i drogim, ale co z tego? Nie było to miejsce, w którym mógłbym tylko udawać, że połykam lekarstwa. Tam nie miałem szansy nabrać lekarzy na historyjki o amnezji i utracie pamięci. W takich zakładach ludzi faszerowano serum prawdy i lekami przeciwko psychozom. W krótkim czasie wyśpiewałbym wszystko, co wiem o osobliwcach, a tym samym udowodniłbym, że jestem nieodwracalnie chory umysłowo. Lekarze nie mieliby wyboru, musieliby zamknąć mnie w pokoju ze ścianami obitymi gąbką i spuścić klucz w sedesie.

Utkwiłem w bagnie po uszy.

Przez kilka dni obserwowano mnie jak przestępcę, a rodzice lub wujowie zawsze przebywali w sąsiednim pokoju. Wszyscy czekali na telefon z psychiatryka. Domyślałem się, że to oblegany zakład, ale było jasne, że gdy tylko zwolni się jakieś miejsce, co mogło nastąpić lada dzień, natychmiast tam trafię.

— Będziemy cię codziennie odwiedzać — zapewniła mnie mama. — To tylko kilka tygodni, Jakey, słowo.

Tylko kilka tygodni. Tak, akurat.

Usiłowałem im wszystko wyjaśnić. Prosiłem ich. Nalegałem, aby zatrudnili grafologa, który potwierdzi, że listy nie wyszły spod mojej ręki. Kiedy i to nie pomogło, całkowicie zmieniłem taktykę. Przyznałem się do napisania listów (czego, oczywiście, nie zrobiłem) i zapewniłem rodziców, że to wszystko moje wymysły, że nie istnieją ani osobliwe dzieci, ani ymbrynki, ani Emma. To ich usatysfakcjonowało, jednak nie zmienili zdania. Później podsłuchałem, jak szeptali do siebie, że udało im się zaklepać mi miejsce na liście oczekujących, ale musieli z góry zapłacić za pierwszy tydzień pobytu w klinice — naprawdę bardzo drogiej klinice. Innymi słowy, kłamka zapadła.

Rozważałem możliwość ucieczki. Przyszło mi do głowy, że ukradnę kluczyki do samochodu i odjadę w siną dal. W końcu jednak by mnie złapano, a wówczas byłoby jeszcze gorzej.

Fantazjowałem o tym, jak Emma przybywa mi na ratunek. Napisałem nawet list, w którym wyjaśniłem, co się zdarzyło, ale nie miałem jak go wysłać. Nawet gdybym wymknął się niepostrzeżenie do skrzynki, listonosz i tak nie odwiedzał już naszego domu. I właściwie co by dał kontakt z Emmą? Tkwiałem przecież w terażniejszości, z dala od pętli. Emma i tak nie mogłaby się tu zjawić.

Trzeciej nocy w desperacji zwinąłem ojcu telefon (mój mi odebrano) i wysłałem Emmie mail. Zanim zrozumiałem, jak ona fatalnie radzi sobie z komputerami, założyłem jej adres — *ognistadziejczyna1901@gmail.com* — ale była tak uparcie niezainteresowana, że nigdy nie napisałem do niej ani jednego maila. Po pewnym czasie dotarło do mnie, że nawet nie przekazałem jej hasła. List w butelce wrzuconej do morza miałby większe szanse dotrzeć do Emmy niż mój mail, ale nic innego mi nie pozostało.

Następnego wieczoru zadzwonili z kliniki, że zwolnił się pokój. Moje rzeczy czekały spakowane już od kilku dni. Nie miało znaczenia, że minęła dwudziesta pierwsza ani że do kliniki jechało się dwie godziny. Musieliśmy wyruszyć od razu.

Władowaliśmy się do naszego kombi — rodzice usiedli z przodu, mnie zaś upchnięto między wujami z tyłu, zupełnie jakby dorośli uznali, że wyskoczę z pędzącego samochodu. Prawdę powiedziawszy, byłem gotowy to zrobić. Gdy drzwi garażu otworzyły się hałaśliwie, a tata uruchomił silnik, poczułem, jak gaśnie we mnie ostatnia iskierka nadziei. Naprawdę nie miałem szansy uniknąć swojego losu. Nie zdołałbym przekonać rodziców, żeby dali mi spokój, i straciłem ostatnią możliwość ucieczki — chyba że udałoby mi się zwiać do Londynu, ale do tego potrzebne były pieniądze, paszport i mnóstwo innych nieosiągalnych rzeczy. Cóż, musiałem jakoś wytrzymać. Osobliwcy dawali sobie radę w znacznie

gorszych sytuacjach.

Wycofaliśmy się z garażu. Tato włączył reflektory, a potem radio, i wewnątrz samochodu wypełniło się gadaniną didżeja. Księżyc wschodził zza porastających obrzeże podwórza palm. Zwiesiłem głowę i zamknąłem oczy, usiłując stłumić lęk. Zastanawiałem się, czy umiałbym mocą umysłu przenieść się w inne miejsce albo zniknąć.

Ruszyliśmy, a pokruszone muszle, którymi wysypany był nasz podjazd, zachrzęściły pod oponami. Wujowie wdali się w pogawędkę o sporcie, zupełnie jakbym nie istniał. Chyba próbowali rozluźnić atmosferę. Natychmiast się wyłączyłem.

„Nie było mnie tam”.

Nie zdążyliśmy opuścić podjazdu, kiedy samochód gwałtownie zahamował.

— Co jest, do cholery? — warknął tata.

Zatrąbił, a ja szybko otworzyłem oczy. To, co ujrzałem, przekonało mnie, że jednak zasnąłem. Przed reflektorami auta, na całej szerokości podjazdu stali wszyscy moi osobliwi przyjaciele: Emma, Horace, Enoch, Olive, Claire, Hugh, nawet Millard. Przed nimi zobaczyłem panią Peregrine w podróżnym płaszczu na ramionach i z torbą z materiału przypominającego dywan.

— Co tu się wyprawia, psiakrew? — spytał jeden z wujów.

— Tak, Frank, co tu się wyprawia? — przyłączył się drugi.

— Bo ja wiem — mruknął tata i otworzył okno. — Wynocha z mojego podjazdu!

Pani Peregrine podeszła do drzwi od strony kierowcy.

— To nie wchodzi w grę — poinformowała tatę. — Zechce pan opuścić pojazd.

— Kim pani jest? — spytał tata.

— Alma LeFay Peregrine, tymczasowa przewodnicząca rady ymbrynek, a także opiekunka tych oto osobliwych dzieci. Już mieliśmy okazję się poznać, choć wątpię, żeby pan to pamiętał. Dzieci, przywitajcie się.

Tato zaniemówił, mama zaczęła się hiperwentylować, dzieci machały rękami, Olive wzbiła się w powietrze, Claire otworzyła usta z tyłu głowy, Millard wykonał obrót, prezentując ubranie bez ciała, a Emma zapaliła płomień na dłoni, jednocześnie podchodząc do otwartego okna taty.

— Cześć, Frank! — powiedziała. — Mam na imię Emma i jestem dobrą przyjaciółką twojego syna.

— Widzicie? — odezwałem się. — Przecież mówiłem, że istnieją naprawdę!

— Frank, zabierz nas stąd! — zaskrzeczała mama i trzasnęła go w ramię.

Do tego momentu siedział jak zahipnotyzowany, lecz nagle otrząsnął się z osłupienia i trąbiąc przeraźliwie, nacisnął pedał gazu. Okruchy muszli wystrzeliły spod kół, a samochód wyrwał naprzód.

— STAC! — wrzasnąłem, kiedy pędziliśmy ku moim przyjaciołom.

Odkoczyli na bok — wszyscy z wyjątkiem Bronwyn, która najzwyczajniej w świecie zaparła się nogami, wyciągnęła przed siebie ręce i zatrzymała nimi pędzący samochód. Stanęliśmy z mocnym szarpnięciem. Gdy koła samochodu zaczęły buksować, rodzice zawyli ze zgrozy.

Samochód znieruchomiał, reflektory zgasły, a silnik ucichł. Gdy moi przyjaciele otaczali auto, usiłowałam podnieść rodzinę na duchu.

— Wszystko w porządku — zapewniłem bliskich. — Dobrze ich znam, nie zrobią wam krzywdy.

Obaj wujowie zemdleli, a ich głowy znalazły się na moich ramionach. Wrzaski mamy stopniowo zmieniły się w pojękiwania. Zdenerwowany tata wytrzeszczył oczy.

— To jakieś szaleństwo, szaleństwo, kompletne szaleństwo — mamrotał nieustannie.

— Zostań w samochodzie — powiedziałem.

Wychyliłem się nad nieprzytomnym wujem i otworzyłem drzwi, a następnie wygramoliłem się na zewnątrz i natychmiast wpadłem w objęcia Emmy. Oszołomieni zakręciliśmy się w koło.

— Co ty tu... — zająknąłem się. Ledwie mogłem zebrać myśli. — Jak tutaj...

Czułem mrowienie w całym ciele. Byłem pewien, że nadal śnię.

— Odebrałam twój elektryczny list! — wyjaśniła.

— Mail... ode mnie?

— Tak, wszystko jedno, jak go nazwiesz. Nie odzywałeś się, więc coraz bardziej się martwiłam, a potem przypominałam sobie o zmechanizowanej skrzynce na listy, którą dla mnie skonstruowałeś. Horace domyślił się, jakiego użyłeś hasła i...

— Przybyliśmy, gdy tylko dotarły do nas te wieści. — Pani Peregrine pokręciła głową, spoglądając na moich rodziców. — Jestem szalenie rozczarowana, choć nie całkiem zaskoczona.

— Chcemy cię uratować! — zaszcebiotała Olive. — Tak, jak ty uratowałeś nas.

— Bardzo się cieszę, że was widzę — odparłem. — Ale czy nie musicie już wracać? Wkrótce postarzejecie się w przyspieszonym tempie!

— Nie czytałeś moich ostatnich listów? — zdziwiła się Emma. — Wszystko w nich wyjaśniłam...

— Rodzice je przechwycili. Dlatego byli tacy wkurzeni.

— Co takiego? To okropne! — Popatrzyła na nich złowrogo. — Tak się składa, że to się nazywa kradzież. Wszystko jedno, nie masz się czym przejmować, Jacob. Dokonałiśmy niezwykłego odkrycia!

— Chciałaś powiedzieć, że to ja dokonałem niezwykłego odkrycia — sprostował Millard. — Za sprawą Perplexusa. Przez wiele dni główkowałem, jak go przenieść z powrotem do jego pętli, wykorzystując do tego skomplikowaną maszynę Benthama. W tym czasie Perplexus powinien się postarzeć w szybkim tempie, tak się jednak nie stało. Co więcej, jego siwe włosy ponownie przybrały czarną barwę! Wtedy sobie uświadomiłem, że coś się z nim stało, kiedy był z nami w Abatonie — powrócił do normalnego wieku. Gdy ymbryniki doprowadziły do zawalenia się pętli, wewnętrzny zegar Perplexusa się cofnął, że tak powiem, dzięki czemu organizm dostosował się wiekowo do jego wyglądu i przestał nadrabiać swoje metrykalne pięćset siedemdziesiąt jeden lat.

— Nie tylko zegar Perplexusa się cofnął! — oświadczyła Emma z zapalem. — Wszyscy odmłodzieliśmy! Doświadczyli tego ci, którzy byli tamtego dnia w Abatonie.

— To zapewne skutek uboczny kolapsu pętli — wyjaśniła pani Peregrine. — Uaktywniło się

niesłuchanie niebezpieczne Źródło Młodości.

— To znaczy... że już nigdy nie będziecie się starzeli w przyspieszonym tempie? Naprawdę nigdy?

— Będziemy się starzeli tak szybko jak ty! — zaśmiała się Emma. — Jeden dzień na dzień!

— To... niesamowite! — mruknąłem. Byłem rozradowany, ale z trudem ogarniałem taki natłok nowin.

— Jesteście pewni, że mi się nie śnicie?

— Stuprocentowo — zapewniła mnie pani Peregrine.

— Możemy tu zostać na jakiś czas, Jacob? — spytała Claire, podbiegając do mnie w podskokach.

— Powiedziałeś, że zawsze będziemy mile widzianymi gośćmi!

— Doszłam do wniosku, że nie od rzeczy byłoby zafundować sobie wakacje — poinformowała mnie pani Peregrine, nim zdążyłem odpowiedzieć. — Dzieci prawie nic nie wiedzą o dwudziestym pierwszym wieku, a poza tym ten dom wygląda na znacznie bardziej komfortowy niż pełna przeciągów szcurza nora Benthama. Ile macie sypialni?

— Hm... chyba z pięć, jak sędzę.

— Tak, tyle wystarczy. Tyle wystarczy w zupełności.

— A co z moimi rodzicami? Co z wujami?

Spojrzała na samochód i machnęła ręką.

— Pańskim wujom mogę bez trudu wymazać wspomnienia — oświadczyła. — Co się zaś tyczy pańskich rodziców... Wyszło szydło z worka, że tak powiem. Przez pewien czas trzeba będzie ich mieć na oku i trzymać krótko. Jeśli jednak jakaś dwójka zwykłych ludzi jest w stanie spojrzeć na rzeczywistość z naszej perspektywy, to tylko rodzice wielkiego Jacoba Portmana.

— A także syn i synowa wielkiego Abrahama Portmana! — dodała Emma.

— Znałyście... mojego ojca? — spytał nieśmiało tata, zerkając na nas przez otwarte okno samochodu.

— Kochałam go jak rodzzonego syna — zapewniła go pani Peregrine. — Tak, jak kocham Jacoba.

Tata zamrugał i powoli skinął głową, ale chyba nic nie zrozumiał.

— Moi przyjaciele zatrzymają się u nas na jakiś czas — poinformowałem go. — Dobrze?

Zrobił wielkie oczy i cofnął się w głąb auta.

— No więc... — wyjąkał. — Chyba... lepiej będzie, jeśli spytasz mamę...

Mama kuliła się w fotelu pasażera, kryjąc twarz w dłoniach.

— Mamo? — odezwałem się.

— Idźcie sobie — burknęła. — Odejdźcie wszyscy!

Pani Peregrine pochyliła się ku niej.

— Droga pani, proszę na mnie spojrzeć — zażądała.

Mama zerknęła przez palce.

— Was tam nie ma — wymamrotała. — Wypiłam za dużo wina do kolacji i tyle.

— Gwarantuję, że jesteśmy najzupełniej prawdziwi. W tej chwili zapewne trudno będzie pani w to uwierzyć, ale się zaprzyjaźnimy.

Mama odwróciła głowę.

— Frank, przełącz na inny kanał — poprosiła. — Nie podoba mi się ten program.

— Dobrze, skarbie — zgodził się tata. — Synu, chyba lepiej będzie, jeśli... hm... — Zacisnęła powieki, pokręcił głową i zamknął okno.

— Czy na pewno ich mózgi to wytrzymają? — spytałem panią Peregrine.

— Oboje dojdą do siebie — zapewniła mnie. — Jednym zajmuje to więcej czasu, innym mniej.

* * *

Tej upalnej nocy przy blasku wschodzącego księżyca, zasłuchani w szum wiatru i cykanie cykad całą grupą przeszliśmy do domu. Bronwyn popychała za nami samochód ze zgaszonym silnikiem i moją rodziną w środku. Maszerowałem ramię w ramię z Emmą, intensywnie rozmyślając o wszystkim, co się wydarzyło.

— Nie rozumiem, jak się tutaj dostaliście — powiedziałem w końcu. — W dodatku tak szybko.

Wyobraziłem sobie, jak dziewczynka o ustach z tyłu głowy i chłopiec z rojem pszczoł wokół siebie usiłują przejść przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku. I jeszcze Millard. Czyżby udało się im przemycić go na pokład samolotu? Jak zdobyli paszporty?

— Uśmiechnęło się do nas szczęście — wyjaśniła Emma. — Jeden z pokoiów Benthama prowadził do pętli, która znajduje się nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

— Na jakimś odrażającym bagnie — dodała pani Peregrine. — Wśród krokodyli i w błocie po kolana. Nie mam pojęcia, dlaczego to miejsce zainteresowało mojego brata. Tak czy inaczej udało nam się przenieść do współczesności, a potem wystarczyło złapać dwa autobusy i przejść pięć kilometrów pieszo. Cała wyprawa zajęła niespełna dzień. Nie muszę dodawać, że po wędrówce jesteśmy całkiem wyczerpani i doskwiera nam pragnienie.

Przystanęliśmy na werandzie, a pani Peregrine popatrzyła na mnie pytająco.

— Oczywiście! — wykrzyknąłem. — Wydaje mi się, że w lodówce są napoje chłodzące...

Sięgnąłem po klucz i otworzyłem drzwi.

— Gościnnie, panie Portman, gościnnie! — Pani Peregrine minęła mnie i przekroczyła próg domu.

— Dzieci, zostawcie buty na zewnątrz, nie jesteśmy już na Diabelskim Poletku!

Przytrzymałem drzwi, kiedy wszyscy wchodzili do środka, bynajmniej nie zdejmując ubłoconych butów.

— Tak, dom się nadaje! — usłyszałem głos pani Peregrine. — Gdzie znajdę kuchnię?

— Co mam zrobić z samochodem? — spytała Bronwyn, która nadal stała przy tylnym zderzaku.

— I z tymi, no... zwyklakami?

— Czy mogłabyś ich zamknąć w garażu? — poprosiłem. — I może mieć na nich oko przez kilka minut?

Popatrzyła na Emmę, na mnie i uśmiechnęła się szeroko.

— Jasne — odparła.

Poszukałem pilota do bramy garażowej i nacisnąłem guzik. Bronwyn wtoczyła do garażu samochód z moimi oszołomionymi bliskimi, a po chwili Emma i ja zostaliśmy sami na werandzie.

— Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy się u ciebie zatrzymali? — zapytała.

— Moi rodzice mogą sprawiać trudności — przyznałem. — Ale pani Peregrine chyba uważa, że to się da załatwić.

— Chodzi mi o twoje zdanie. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy...

— Żartujesz? — przerwałem jej. — Tak bardzo się cieszę z twojego przyjazdu, że ledwie mogę mówić.

— No dobra. Uśmiechasz się tak, że chyba ci wierzę.

Uśmiechałem się? Mało powiedziane. Szczerzyłem zęby jak idiota!

Emma zbliżyła się do mnie o krok, a ja otoczyłem ją ramionami. Gdy przywarliśmy do siebie, dotknąłem policzkiem jej czoła.

— Nigdy nie chciałam cię utracić — szepnęła. — Ale nie widziałam innego wyjścia. Szybkie zerwanie wydawało się łatwiejsze niż powolne oddalanie się od siebie.

— Nie musisz mi tego tłumaczyć. Doskonale cię rozumiem.

— W każdym razie teraz naprawdę możemy być już tylko przyjaciółmi, jeśli nie chcesz więcej — dodała.

— Może to dobry pomysł — odparłem. — Tak na pewien czas.

— Och... — westchnęła rozczarowana. — Naturalnie...

— Nie, nie o to mi chodzi... — Odsunąłem się i na nią popatrzyłem. — Teraz mamy czas, więc możemy zwolnić tempo. Mógłbym zapraszać cię do kina... na spacer... No wiesz, robilibyśmy to, co normalni ludzie.

Emma wzruszyła ramionami.

— Niewiele wiem o tym, co robią normalni ludzie — zauważyła.

— Nie robią nic skomplikowanego — zapewniłem ją. — Nauczyłaś mnie, jak być osobliwcem. Teraz ja mógłbym cię nauczyć normalności. Oczywiście, o ile potrafię być normalny.

Przez chwilę milczała, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Pewnie — zgodziła się. — To brzmi obiecująco, Jacob. — Wzięła mnie za rękę, przysunęła się bliżej i pocałowała mnie w policzek. — Skoro teraz mamy czas.

Gdy tak stałem przy niej, oddychając wraz z nią, gdy wsłuchiwałem się w ciszę, nagle uświadomiłem sobie, że być może nie ma dwóch równie pięknych słów jak te.

„Mamy czas”.



O ZDJĘCIACH



Zdjęcia zamieszczone w niniejszej książce są autentyczne i zabytkowe. Z wyjątkiem nielicznych, które poddano obróbce cyfrowej, są one prezentowane w stanie niezmienionym. Zbieranie ich trwało kilka lat i nie było łatwe — wiązało się z poszukiwaniami na pchlich targach, na wystawach dawnych dokumentów oraz w kolekcjach bardziej doświadczonych ode mnie zbieraczy, którzy życzliwie zgodzili się rozstać z częścią swych osobliwych skarbów, żeby pomóc mi w stworzeniu tej powieści.

Poniżej wymienione zdjęcia zostały życzliwie udostępnione mi przez właścicieli:

Tytuł	Właściciel kolekcji
Upiory testują gaz	Erin Waters
Mężczyzna z piratami	John Van Noate
Lewitująca dziewczynka	Jack Mord/The Thanatos Archive
Wypchana dziewczynka	Adriana Müller
Myron Bentham	John Van Noate
Ymbrynki i ich ogryzli	Jack Mord/The Thanatos Archive
Chłopiec ze skrzydłami	John Van Noate
Przedpokój we krwi	Jack Mord/The Thanatos Archive
Wnętrznosci maszyny	John Van Noate
Papuga w klatce	John Van Noate
Wewnątrz wieży	Peter J. Cohen
Rura odpływowa	John Van Noate
Lekarz i pielęgniarki	John Van Noate
Mężczyzna o rzedniejących włosach	John Van Noate
Mężczyzna w ciemnych okularach	John Van Noate
Chłopiec i dziewczyna	John Van Noate